



ERIC VAN LUSTBADER

ROBERT
LUDLUM
CEL BOURNE'A

ROBERT
LUDLUM

ERIC VAN LUSTBADER

CEL BOURNE'A

Z angielskiego przełożył
KRZYSZTOF SOKOŁOWSKI



Wydanie elektroniczne

ROBERT LUDLUM
(1927-2001)

Amerykański aktor, producent teatralny i pisarz. W latach 1945-47 służył w piechocie morskiej. W 1951 ukończył Wesleyan University. Od najmłodszych lat pasjonował się aktorstwem. W wieku 16 lat po raz pierwszy wystąpił w sztuce na Broadwayu. W latach 50-tych zagrał w ponad 200 filmach telewizyjnych; był producentem około 300 przedstawień teatralnych. Jako pisarz zadebiutował późno – mając 41 lat – powieścią *Dziedzictwo Scarlattich*. Odrzucona początkowo przez 10 wydawców stała się bestsellerem i zainicjowała oszałamiającą karierę literacką najbardziej znanego współczesnego twórcy thrillerów spiskowych. Łączna sprzedaż książek Ludluma przekroczyła 300 milionów egzemplarzy w 32 językach. Za życia pisarza ukazały się 24 powieści; po jego śmierci – kilkanaście następnych, z których większość powstała na podstawie pozostawionych przez niego notatek i szkiców, przy współpracy takich autorów jak Patrick Larkin, James Cobb, Eric Van Lustbader i Paul Garrison. Do najbardziej znanych thrillerów Ludluma należą m.in.: *Testament Matarese'a*, *Tożsamość Bourne'a*, *Krucjata Bourne'a*, *Mozaika Parsifala*, *Strażnicy Apokalipsy* i *Kłątwa Prometeusza*. Wiele z nich zostało zekranizowanych – jako seriale telewizyjne lub pełnometrażowe filmy kinowe.

Tego autora

REKOPIS CHANCELLORA
PROTOKÓŁ SIGMY
KŁĄTWA PROMETEUSZA
PIEKŁO ARKTYKI
CZWARTA RZESZA
KRYPTONIM IKAR
STRAŻNICY APOKALIPSY
MOZAIKA PARSIFALA
IMPERIUM AKWITANII
STRATEGIA BANCROFTA
ILUZJA SCORPIO
TOŻSAMOŚĆ AMBLERA

Jason Bourne

TOŻSAMOŚĆ BOURNE'A
KRUCJATA BOURNE'A
ULTIMATUM BOURNE'A
DZIEDZICTWO BOURNE'A
SANKCJA BOURNE'A
MISTYFIKACJA BOURNE'A
CEL BOURNE'A
ŚWIAT BOURNE'A
IMPERATYW BOURNE'A
RETRYBUCJA BOURNE'A

Dynastia Matarese

TESTAMENT MATARESE'A
SPADKOBIERCY MATARESE'A

Paul Janson

DYREKTYWA JANSONA
ODYSEJA JANSONA
OPCJA JANSONA

Spis treści

[O autorze](#)

[Tego autora](#)

[Dedykacja](#)

[Prolog](#)

[Księga pierwsza](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Księga druga](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Księga trzecia](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Księga czwarta](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Przypisy](#)

*Dla Jaime Levine'a,
którego redaktorskiemu doświadczeniu
i niewyczerpanemu entuzjazmowi
zawdzięczam tak doskonałą zabawę*

Prolog

Bangalore, Indie

Noc spadła zasłoną ruchliwych owadów ozywających z zachodem słońca. Wydawały dźwięki ohydne jak smród brudnych ciał, ludzkich ekskrementów, psującego się jedzenia i rozkładających trupów. Śmietnisko Bangalore poruszało się niczym lepka fala.

Leonid Danielewicz Arkadin siedział w ciemnym pokoju, cuchnącym rozgrzaną elektroniką, zastarzałym dymem papierosów i chłodziwem. Zapalił papierosa chromowaną zapalniczką, przyglądając się żebrom szkieletu Fazy Trzeciej, części ogromniejszego z każdym dniem Elektronicznego Miasta, wyrastającego ze slumsów Bangalore jak rozwijająca się choroba. Elektroniczne Miasto, powstałe w latach dziewięćdziesiątych, było dziś światową stolicą technologicznego outsourcingu. Dosłownie wszystkie liczące się firmy informatyczne miały tu biura, czyniąc z niego oś merytorycznego wsparcia przemysłu zrodzonego z technologii zmieniających się co pół roku.

Złoto z betonu, pomyślał oszołomiony Arkadin. Dużo czytał o historii alchemii, idea przemiany była głównym przedmiotem jego zainteresowań. Wczesnym wieczorem, to znaczy wczesnym dla wynajętych pracowników, których biura wypełniały budynki do granic możliwości, hol i korytarze były tak puste, jak w podobnych budynkach w Nowym Jorku o trzeciej nad ranem. W Stanach Zjednoczonych specjaliści zabierają się do pracy, wkrótce staną się wirtualnymi duchami, skulonymi przy konsolach z bezprzewodowymi słuchawkami na uszach.

Po fiasku w Iranie, gdzie udało mu się tylko potwornie wkurzyć Masłowa, przeniósł operacje tutaj, z dala od tych, na których miał zamiar znowu zapolować: Dimitrija Ilianowicza Masłowa i Jasona Bourne'a.

Z zajmowanych przez siebie biur miał doskonały widok na ogromny prostokątny plac budowy, wielką dziurę w ziemi, w której trwały właśnie przygotowania do wylania fundamentów pod kolejny wieżowiec. Zazwyczaj oświetlały ją silne lampy umożliwiające robotnikom pracę w nocy, ale dwa tygodnie temu prace nieoczekiwanie przerwano i do tej pory nie zostały wznowione. Opróżnione przez nich miejsce zajęła miejska armia nędzy: żebraków, prostytutek i dziecięcych gangów atakujących wszystkich pojawiających się w pobliżu.

Od czasu do czasu wypuszczając dym przez nos, Arkadin łowił uchem ciche kroki swoich ludzi rozmieszczonych w strategicznych punktach kompleksu biurowego. W tym miejscu byli jednak tylko on i Hassan, potężnie zbudowany, niemal kwadratowy czarodziej komputerowy, od którego zalatywało układami scalonymi i kminkiem. Zabrał ze sobą swoich ludzi, samych lojalnych muzułmanów. Był z nimi tylko jeden problem: prawdziwi Hindusi nienawidzili muzułmanów. Sprawdził możliwość użycia oddziału sikhijskich najemników, ale jakoś nie potrafił im zaufać.

Hassan okazał się człowiekiem nieocenionym. Pracował jako programista dla Nikołaja Jewsena, nieżyjącego, nieodżałowanego handlarza bronią, którego interes Arkadin przejął pod nosem Masłowa. Skopiował wszystkie dane klientów, dostawców i kontaktów z centralnego komputera Jewsena, nim wyczyścił jego dyski. Arkadin pracował według tej listy, zgarniając nieprawdopodobne pieniądze za dostarczanie lokalnym kacykom, despotom i organizacjom terrorystycznym na całym świecie wszystkiego, co potrzebne do prowadzenia wojny.

W tej chwili Hassan siedział zgarbiony przed komputerem. Pracował, używając zaszyfrowanego oprogramowania umieszczonego na serwerach, dla których Arkadin znalazł bezpieczną lokalizację. Żył tylko dla pracy. Przez całe tygodnie, które upłynęły od czasu, gdy porzucił poprzedniego chlebodawcę, i śmierci Jewseny w Chartumie, Arkadin nie widział go wychodzącego z biur. Po lekkim lunchu spał, zawsze od trzynastej do piętnastej trzydzieści, po czym znów siadał do komputera.

Nowy szef poświęcił mu jednak tylko część uwagi. Pod ręką miał stojący na niskiej szafce laptop z podłączonymi zewnętrznymi napędami dysków. Do jednego z nich włożył twardy dysk z laptopa, którego jeden z jego ludzi ukradł Gustawowi Morenowi tuż przed tym, nim handlarz narkotyków zginął w swej posiadłości w Mexico City. Arkadin spojrział na ekran. Jego twarz zalała upiorna niebieskawa poświata. Była to twarz twarda jak z marmuru. Twarda jak stwardniała od ciężkiej pracy pięść ojca.

Zduślił papierosa. Przejrzał listę plików, nad którą spędził już niejedną godzinę. Na liście płac miał kilku hakerów, ale do tego dysku nie dopuścił żadnego z nich, nawet Hassana. Wrócił do pliku – widma ukazującego swoją tajemniczą twarz niechętnie, tylko pod naciskiem potężnego programu antywirusowego. Widział go w tej chwili, lecz nie mógł się do niego dostać. Jego program kryptograficzny nie potrafił złamać logarytmu, choć pracował ponad dwadzieścia cztery godziny.

Laptop Morena ukryty w bezpiecznym miejscu był równie tajemniczy jak ten plik. Z boku miał gniazdo pozbawione wejścia USB, za duże na kartę SD, ale za małe na czytnik linii papilarnych. Najwyraźniej wyposażenie specjalne. Ale do czego miałyby służyć?

I czym, do diabła, jest ten plik – zastanawiał się Arkadin.

I skąd handlarz narkotyków, nawet tak potężny, ma logarytm nie do przełamania? Z całą pewnością nie do kupienia na lokalnym hakerskim rynku w Cali czy Mexico City.

Mimo iż pogrążony w myślach, Arkadin nagle podniósł głowę, jakby raczej wyczuł dźwięk, niż go usłyszał. Wydawało się, że postawił uszy niczym myśliwski pies. Natychmiast przesunął się w cień.

– Hassanie, co to za światło przesuwa się w dół, tam, na budowie?

Hassan oderwał wzrok od monitora.

– Które, proszę pana? Tam jest tyle świateł...

– Tamto. – Arkadin wskazał palcem. – Nie, dalej. Wstań, to je wyraźnie zobaczysz.

W chwili gdy Hassan wstał z krzesła i pochylił się, seria z broni półautomatycznej rozbiła okna, zasypując jego, biurko i dywan pod nim odłamkami szkła jak gradem. On sam poleciał do tyłu i upadł. Oddychał chrapliwie, z ust ciekła mu krew.

Arkadin zdążył wyjąć dysk z gniazda tuż przed drugą salwą. Kule wpadły przez roztrzaskane okno, wybijając dziury w przeciwległej ścianie. Ukrył się pod biurkiem, wyciągnął pistolet maszynowy Skorpion vz. 61 i jedną krótką serią rozbił w drzazgi komputer, na którym pracował jego ekspert. Ostry trzask serii dobiegał już z wewnątrz biura, usłyszał też inne dźwięki, odbijające się echem komendy, krzyki umierających. Jego ludzie nie byli w stanie mu pomóc, co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości. Rozpoznał język, w którym wydawano krótkie komendy: rosyjski. A dokładniej, moskiewski rosyjski.

Arkadinowi wydawało się, że Hassan coś mówi, a przynajmniej wydaje jakieś dźwięki, ale jeśli nawet coś powiedział, zgłuszyły go coraz gwałtowniejsze i donośniejsze strzały.

Atakowali Rosjanie, więc niewątpliwie chodziło o bezcenne informacje Jewseny. Złapali go w pułapkę, między młot ognia z biur i kowadło ostrzału prowadzonego z terenu budowy przez wybite okna. Na reakcję miał zaledwie sekundy.

Uniósł się, podpełzł do leżącego na wznak Hassana patrzącego przekrwionymi oczami.

– Pomóż... mi – poprosił Hassan głosem stłumionym strachem i płynącą z ust krwią.

– Oczywiście, przyjacielu – powiedział Arkadin uspokajająco. – Oczywiście.

Jeśli dopisze mu szczęście, wrogowie wezmą Hassana za niego, co da mu kilka cennych chwil na ucieczkę. Pod warunkiem że ofiara nie zacznie krzyczeć. Włożył dysk głęboko do kieszeni, po czym przycisnął butem krtań rannego, którego ciało wyprężyło się, a oczy o mało nie wypłynęły z oczodołów. Ze zmiażdżoną tchawicą nie będzie mógł krzyczeć. Zza pleców Arkadina, zza drzwi, dobiegał gorączkowy hałas. Wiedział, że jego ludzie będą go bronili do końca, ale dziś zostali zaskoczeni, a przeciwnicy mogą mieć przewagę liczebną. Musi zacząć działać natychmiast, nie ma chwili do stracenia.

Jak we wszystkich współczesnych budynkach biurowych, w tym także wielkie okna nie otwierały się, by zapobiec samobójstwom zdarzającym się tak czy inaczej. Arkadinowi udało się uchylić boczne okienko przykręcone śrubą. Wydostał się na niespokojną noc. Sześć pięter niżej ziała jama, z której miał wyrosnąć potężny gmach. Ogromne maszyny budowlane drzemały jak długoszyje smoki, unieruchomione przez mrok, otoczone nędznymi budami z kartonu i ogniskami, przy których nędzarze gotowali posiłki.

Smukły postmodernistyczny gmach pozbawiony był poziomych gzymsów za oknami, ale miał ozdoby w postaci betonowych i stalowych wypukłości biegnące pionowo między oknami. Wyszedł na jedną z nich w chwili, gdy pierwsze kule przebiły drzwi jego pokoju. Napastnicy pokonywali jego wiernych żołnierzy.

Woń Bangalory – klarowane masło, smażone dosy, betel i ludzkie odchody – unosiła się z głębokiej jamy na wysokość szóstego piętra jak trująca mgła. Arkadin rozpoczął ostrożny zjazd po cementowo-stalowej kolumnie. Zauważył krzyżujące się poniżej promienie silnych lamp. Przeciwnicy już wiedzieli, że nie zginął w budynku, więc zabrali się do dokładnych poszukiwań na ziemi. W pełni świadom tego, jak doskonale widoczny i jak bezradny jest, czepiając się niczym pająk ściany budynku, zatrzymał się na poziomie czwartego piętra. Okna były tu mniejsze i bardziej regularnie rozstawione; to tutaj znajdowały się systemy klimatyzacji, wodny, elektryczny i inne. Kopnął szybę czubkiem buta, ale nic to nie dało, bo szkło było odporne na uderzenia. Opuścił się nieco niżej, spróbował wybić nogą metalową płytę pod oknem i udało mu się ją wgnać, przy czym w jednym z jej rogów pojawiła się szczelina. Płyta jednak nie ustąpiła, więc zsunął się jeszcze kawałek i w bardzo niebezpiecznej pozycji włożył palce między metal i mur. Odrobina wysiłku i udało mu się usunąć blachę przykrywającą wydłużony prostokąt otworu wystarczająco dużego, by zdołał się przez niego precyzyjnie przycisnąć. Trzymając się oburącz kolumny, wsunął do środka stopy, a następnie nogi i pośladki. Dopiero teraz zwolnił uścisk.

Przez chwilę górna część jego ciała wisiała w powietrzu. Choć był odwrócony do góry nogami, widział, jak po ścianie biegają plamy światła rzucane przez reflektory, jak pełzną do góry, w jego kierunku. Ich blask oślepił go w jednej sekundzie, usłyszał głosy krzyczące coś gardłowo po rosyjsku. Zebrał wszystkie siły i wsunął się cały w otwór. Ledwo udało mu się wyprzedzić uderzające w ścianę budynku kule, po czym ogarnęła go nieprzenikniona

ciemność.

Leżał nieruchomo, próbując odzyskać oddech... i zdolność myślenia. Następnie, pracując stopami i kolanami, zaczął się przeciskać przez ciasny korytarz, wysuwając naprzód to jedno, to drugie ramię. Przebył w ten sposób metr, może trochę więcej, po czym trafił na jakąś przeszkodę. Wyciągnął szyję i udało mu się spojrzeć w tamtą stronę. Gdzieś dalej, we wszechobecnej czerni, widział unoszącą się w powietrzu plamę szarości, co znaczyło, że wcale nie ma do czynienia z przeszkodą, lecz z nieoczekiwanym zwężeniem korytarza. Próbował mocniej odepchnąć się nogami, ale w ten sposób tylko jeszcze bardziej zakleszczył ramiona. Znieruchomiał więc i nic nie robił, czekając, aż jego ciało się rozluźni, a jednocześnie analizował sposoby uwolnienia się z pułapki.

Rozpoczął ćwiczenie oddechow: nabierał wolno powietrza i jeszcze wolniej wydychał. Zmusił się, by myśleć o swoim ciele jako o pozbawionym kości, nieskończenie plastycznym, aż wreszcie był tego całkiem pewny. Skulił ramiona, przyciągnął je do piersi w sposób, jaki podpatrzył kiedyś u człowieka gumy w moskiewskim cyrku. Powoli, bardzo powoli, odepchnął się krawędzią podeszew butów. Początkowo nic się nie działo, a potem, gdy skulił się jeszcze bardziej, zaczął się przesuwac centymetr po centymetrze, aż znalazł się po drugiej stronie zwężenia. Chwilę później uderzył głową w wewnętrzną kratownicę. Podciągnął nogi na tyle, na ile pozwalała ograniczona przestrzeń, wyobraził sobie, że ją nimi przebija, po czym wyprostował je gwałtownie z taką siłą, że kratownica odskoczyła, a on wpadł do małego pomieszczenia przypominającego szafkę, cuchnącego rozgrzany metal i smarami.

Rozejrzał się i niemal od razu zorientował się, że jest w maszynowni wind. W przeciwległej ścianie znajdowało się wejście do szybu. Znów usłyszał krzyki rosyjskich morderców. Winda jechała już na czwarte piętro. Ci z zewnątrz musieli przekazać kolegom w budynku informacje o tym, gdzie znikł.

Popatrzył wokół. Dokładnie naprzeciwko miejsca, w którym stał, znajdowała się przymocowana do ściany szybu drabina. Nim zdążył wykonać ruch w jej kierunku, otworzył się właz w dachu kabiny. Pojawiła się w nim głowa i ramiona Rosjanina. Dostrzegł przeciwnika i uniósł lufę pistoletu maszynowego.

Arkadin cofnął się, kule uderzyły w ścianę w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą była jego głowa. Przykucnął, wcisnął spust i posłał serię prosto w twarz Rosjanina. Wierzch kabiny znalazł się na wysokości jego nóg, więc skoczył na niego. Gdy tylko jego stopy dotknęły podłoża, strzelono przez właz, omal nie zwałając go z nóg. A jednak parł przed siebie. Skoczył z krawędzi kabiny wprost na drabinę i zaczął schodzić. Winda pojechała w dół. Zatrzymała się jakieś dwa metry od niego.

Stał pewnie na nogach, obrócił się i gdy tylko właz się otworzył, posłał w niego trzy szybkie serie, po czym rzucił się do ucieczki, przeskakując po dwa, trzy szczeble, by utrudnić przeciwnikom celowanie.

Rosjanie odpowiedzieli ogniem, pociski krzeszały iskry na metalu drabiny. Jednak nagle przestano strzelać. Zaryzykował szybkie spojrzenie nad głowę. Jeden z ocalałych Rosjan właśnie skakał z dachu kabiny na drabinę. Szedł jego śladem.

Arkadin zatrzymał się, podniósł broń, lecz nim zdążył wcisnąć spust, przeciwnik rozluźnił uchwyt na szczeblach, runął w dół i uczeplił się go, spadając, o mało nie wrywając mu ramion z barków. Ciężar ciała i impet upadku sprawiły, że Arkadin też nie zwolnił uchwytu. Rosjanin

zdołał wytrącić mu broń; poleciała w dół, odbijając się z brzękiem od ścian szybu. Winda ruszyła na parter.

Rosjanin jedną ręką złapał Arkadina za gardło, dusząc go, a drugą wyszarpnął z pochwy nóż bojowy KA-BAR. Poderwał głowę przeciwnika, odsłaniając jego gardło. Groźne ciężkie ostrze zatoczyło łuk w powietrzu. Arkadin poderwał kolano. Ciało jego przeciwnika wygięło się i uderzyło w nie krawędź zjeżdżającej kabiny.

Choć Arkadin się tego spodziewał, o mało nie spadł z drabiny, z tak wielką siłą trzymał go Rosjanin. Przez chwilę wisiał głową w dół i tylko to, że nogami oplótł szczebel, uratowało go od śmierci. Pozostał w tej pozycji, odzyskując orientację w przestrzeni, po czym podciągnął się, chwycił drabinę mocnymi rękami i się odwrócił. Poczłł gwałtowny ból ramion, ale tym razem był na niego przygotowany. Nie wahał się, znalazł oparcie dla stóp i znów zaczął się opuszczać.

Winda jechała na parter, ale tym razem nikt nie otworzył wjazdu, nikt nie próbował strzelać. Arkadin zeskoczył na jej dach. Zachowując konieczną ostrożność, zajrzał do środka. Zobaczył dwa trupy. Zeskoczył do kabiny, podniósł broń i wcisnął przycisk „Piwnica”.

• • •

Piwnicę wieżowca zajmował ogromny, oświetlony lampami fluorescencyjnymi parking. Prawie nikt z niego nie korzystał, bowiem większości pracowników budowy nie stać było na samochód i do pracy dojeżdżali taksówkami.

W tej chwili stały tu tylko jego bmw, dwa lśniące mercedesy, toyota qualis i honda city. Arkadin sprawdził je, wszystkie były puste. Nie tykając swojego wozu, włamał się do toyoty i po kilku chwilach zabawy z elektroniką zdołał obejść odciecie zapłonu. Usiadł za kierownicą, wrzucił bieg, przejechał kawałek bo betonie i wyjechał rampą z podziemnego garażu.

Uderzenie podwoziem wzniciło iskry. Toyota wyskoczyła z wyjazdu z tyłu budynku na pełną dziur ulicę prowadzącą wprost do wykopu pod fundamenty nowego biurowca. Pomiędzy gruzem, śmieciami i wielkimi maszynami płonęły ogniska. Było ich tyle, że całe miejsce wydawało się zagrożone pożarem.

Usłyszał basowy ryk silników i po obu jego stronach pojawiły się motocykle. Rosjanie na swoich mechanicznych bestiach flankowali go, podjeżdżając coraz bliżej. Wydawało się oczywiste, że czekali na niego przy obu końcach ulicy, a teraz mogą mu odciąć drogę ucieczki, czy chciałby skręcić w lewo, czy w prawo. Arkadin wcisnął gaz. Jechał prosto, przeskoczył skrzyżowanie z poprzeczną ulicą, uderzył maską i przebił wątłe ogrodzenie placu budowy.

Toyota wjechała do dziury tak, jakby w nią wpadała. Spadek był niemal pionowy. Zawieszenie zamortyzowało siłę uderzenia o dno, ale i tak kierowcę rzuciło po siedzeniu. Opony zapiszczały przeraźliwie. Chwilę później w powietrze wzniosły się oba motory, wylądowały na dnie, podskoczyły i popędyły za Arkadinem.

Jechał wprost w jedno z ognisk, rozpędzając po drodze roje włóczęgów. Przejechał przez płomienie, skręcił ostro w lewo, na gazetę zmieścił się między dwoma maszynami, cudem ominął górę śliskich śmieci, skręcił w prawo i wymierzył maskę w kolejne ognisko i kolejną grupę nieszczęśników. Zerknął w boczne lusterko. Jeden z motocykli pozostał na jego tropie. Czy udało mu się zgubić drugiego Rosjanina? Czekał do ostatniej chwili, a kiedy prawie

najeżdżał na ognisko i gdy płomień rozjarzył się gwałtownie, z całej siły wcisnął hamulec. Ludzie uciekali w popłochu, a motocykl prowadzony przez oślepionego blaskiem Rosjanina uderzył w tył toyoty. Motocyklista niczym szmaciana lalka wyleciał w powietrze, spadł na samochód, odbił się od niego i wylądował na ziemi.

Arkadin zdążył już wyskoczyć zza kierownicy. Rosjanin usiłował podnieść się, jęcząc, więc kopnął go w głowę. Wracał do samochodu, gdy kula trafiła w błotnik. Skoczył w bok. Karabin automatyczny, który odebrał martwemu w windzie, leżał na przednim siedzeniu i był dla niego nieosiągalny. Próbował podczołgać się do drzwi od strony kierowcy, ale musiał się cofać, a kolejne kule dziurawiły karoserię.

Położył się i wpełzł pod toyotę. Gęsty, słodki odór uderzył go z siłą ciosu. Wysunął rękę, próbował otworzyć tylne drzwiczki i o mało nie oberwał w głowę. Cofnął się, zastanawiał przez kilka sekund, ale uznał, że nie ma wyboru. Musi zostawić wóz. Rozumiał, że tego właśnie chce jego przeciwnik. Musi zneutralizować, a przynajmniej zminimalizować rosnącą z chwili na chwilę przewagę Rosjanina.

Zamknął oczy. Wyobraził sobie tor lotu kul, z czego mógł wywnioskować, gdzie kryje się przeciwnik, a następnie obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni i wydostał spod samochodu, łapiąc się przedniego zderzaka.

Kule roztrzaskały szybę, lecz hartowane szkło nie pozwoliło jej się rozpaść, za to cała pokryta była pajęczyną pęknięć uniemożliwiająca zobaczenie czegokolwiek. Przeciwnik nie może śledzić drogi jego ucieczki. Arkadin miał przed sobą gęstą, śmierdzącą masę bezdomnych, poniewieranych nędzarzy. Biegł, zygzakując jak szalony, widząc trupio blade twarze chudych niczym szkielety nieszczęśników, których tłum tworzył istne bagno. Nagle usłyszał basowe kasznięcie motocyklowego silnika przebijające się przez szum wysokich głosów mówiących w hindi i urdu. Ci cholerni ludzie byli jak ocean. Rozstępowali się przed nim i ten ruch był dla Rosjanina jak punkt na ekranie sonaru.

Blisko, przed sobą, Arkadin widział już kratownicę z metalowych prętów wyrastających z betonowych fundamentów wznoszonego gmachu. Biegł w jej kierunku. Motocykl wyrwał się z tłumy, a dźwięk silnika stał się o ton głośniejszy. Arkadin zdołał jednak zniknąć wśród plątaniny prętów przypominających rzędy drabinek w sali gimnastycznej.

Rosjanin się zbliżył. Zwolnił. Po lewej miał prowizoryczne ogrodzenie z blachy falistej, rdzewiejące szybko w lepkim powietrzu Indii, więc skręcił w prawo. Jechał powoli, wpatrując się w ciemną otchłań, z której wyrastały betonowe ławy jak zęby trzonowe. Jego AK-47 był gotów do strzału.

Arkadin skoczył na niego z górnej metalowej belki niczym lampart. Ciało Rosjanina wygięło się w łuk, nadgarstek obrócił manetkę gazu, motocykl skoczył do przodu, a ciężar atakującego sprawił, że przednie koło powędrowało do góry. Maszyna dosłownie się spod nich wyrwała, a oni upadli na twardy metal. Rosjanin uderzył w niego głową, wypuszczając broń. Arkadin chciał na niego skoczyć, okazało się, że kawałek stali przebił mu udo od tyłu, aż do kości. Został unieruchomiony. Gwałtownym ruchem wyrwał go z ciała, niemal tracąc przy tym oddech. Rosjanin zaatakował, nadal na wpełz oślepiony, mając wrażenie, że spłonął mu płuca. Mimo lawiny ciosów spadających na jego głowę, żebra i godzących w dołek, Arkadin zdołał obrócić dłoń i ugodził Rosjanina wprost w serce.

Rosjanin otworzył usta jak człowiek, którego coś zaskoczyło, spojrzał na Arkadina

zdumiony, a potem jego oczy uciekły pod czaszkę i bezwładnie osunął się na moką od krwi ziemię.

Arkadin się odwrócił. Szedł rampą prowadzącą na ulicę, czując się tak, jakby dostał zastrzyk paralizujący. Nogi miał sztywne, ledwo reagujące na rozkazy mózgu, z chwili na chwilę coraz głębiej tonącego w bagnie. Było mu zimno, nie potrafił myśleć. Spróbował odetchnąć głęboko, ale nie zdołał. Upadł.

Wydawało mu się, że ogniska płoną dosłownie wszędzie, że pożar ogarniał całe miasto. Nocne niebo miało barwę krwi pulsującej w rytmie jego udręczonego serca. Widział oczy zabitych, czerwone jak ślepia szczurów, coraz bliższe, coraz groźniejsze. Nie chcę dzielić z wami mojej ciemności, pomyślał, czując, że traci przytomność.

• • •

Być może to właśnie ta samotna, ostatnia myśl kazała mu się zawahać, odetchnąć głęboko kilka razy, a potem, w chwili odrętwienia, a może słabości, dokonać nieprawdopodobnego i przyjąć wodę od tłoczących się wokół niego ludzi będących, co teraz już widział, nie znajomymi trupami, lecz nieznanymi żywymi. Ci ludzie, brudni, obszarpani, nieznający nadziei, umieli jednak rozpoznać ofiarę, a ofiara budziła w nich wrodzony altruizm. Zamiast obdrzeć go, jak sępy obdzierają trupa, przyjęli go do swych serc. Czy to nie poniewierani nędzarze, ci, którym najtrudniej jest oferować coś obcemu, chętniej dzielą się tym, co mają niż milionerzy mieszkający w strzeżonych apartamentowcach po drugiej stronie miasta?

O tym myślał Arkadin, przyjmując dar wody, za który odpłacił wyjętym z kieszeni plikiem rupii. Wkrótce zebrał siły na tyle, że mógł zadzwonić do szpitala. Następnie urwał rękaw koszuli i obwiązał nim nogę, by zatamować krwotok z uda.

Zauważył grupkę chłopców. Niektórzy uciekli z domów, inni stracili rodziców w licznych sekciarskich rozruchach, od czasu do czasu przetaczających się przez tę dzielnicę niczym wir nienawiści i krwi. Obserwowali go, jakby był bohaterem gry komputerowej, jakby nie do końca należał do rzeczywistości. Przerazał ich, ale i przyciągał jak ogień ćmy.

Skinął na nich. Zrobili krok naprzód, jakby byli nogą wielkiego owada. Otaczali motocykl Rosjanina. Arkadin widział, że uważają go za zdobycz, że będą go bronili.

– Nie zabiorę motoru, jest wasz – powiedział w hindi.

– Pomóżcie mi wyjść na ulicę.

Odległy początkowo dźwięk syreny wyraźnie się zbliżył. Zagubieni chłopcy przekazali go, utykającego, ratownikom medycznym, którzy natychmiast położyli go w karetce, gdzie jeden zbadał mu puls i sprawdził pracę serca, a drugi zajął się raną.

Dziesięć minut później wjeżdżał na salę nagłych przypadków szpitala. Ze składanych noszy na kółkach przeniesiono go, leżącego twarzą w dół, na łóżko w gabinecie zabiegowym. Ocuciło go zimne, wręcz arktyczne powietrze, jakby miał wysoką gorączkę. Dostał zastrzyk znieczulający, obserwował ruch w sali, a chirurg tymczasem oczyścił ręce żelem dezynfekującym z pojemnika przyczepionego do kolumny, założył rękawiczki, zdezynfekował i oczyścił ranę, i zaczął ją zszywać.

Arkadin miał wreszcie czas, by zastanowić się nad atakiem. Wiedział, że był on dziełem Dimitrija Iljanowicza Masłowa, głowy Kazachów, moskiewskiej mafii znanej pod potoczną

nazwą *gruppierowka*. Masłow kiedyś go zatrudniał, a potem Arkadin przejął jego biznes nielegalnego handlu bronią. A miał on dla Masłowa wyjątkowe znaczenie, ponieważ Kreml przycisnął *gruppierowki*, powoli, lecz systematycznie odbierając rodzinom władzę, którą zdobyły w okresie głośności. W ciągu ostatnich lat okazał się on kimś różnym od głów tych rodzin, ludzi niezdolnych już rządzić lub nawet siedzących w więzieniach. Prosperował mimo trudnych czasów dzięki politycznym wpływom pozwalającym mu zwyciężać w starciu z władzami lub przynajmniej trzymać je na dystans. Był niebezpiecznym człowiekiem i bardzo groźnym wrogiem.

Tak, myślał Arkadin, kiedy chirurg przecinał nić, którą zszył ranę uda. Masłow wydał rozkaz ataku, ale go nie zaplanował.

Polityczni wrogowie naciskali na niego ze wszystkich stron, a poza tym po raz ostatni walczył na ulicy wiele lat temu i stracił drapieżność, której nauczyć mógł się wyłącznie tam. Tylko... komu zlecił to zadanie?

W tym momencie los zrobił mu niespodziankę i udzielił odpowiedzi na to pytanie. Arkadin dostrzegł kryjącego się w mroku, niezauważonego lub ignorowanego przez zapracowany personel medyczny uwijający się wokół jęczących pacjentów Wiaczesława Germanowicza Osierowa, nową prawą rękę Masłowa. Zнали się od dawna, zostali zatwardziałymi wrogami w Niżnym Tagile, rodzinnym mieście Arkadina. Od tamtej pory dzielił ich ocean jadowitej nienawiści. Arkadin doskonale pamiętał ich ostatnie, wyjątkowo nieprzyjemne spotkanie na wyżynie północnego Azerbejdżanu, gdzie ćwiczył dla Masłowa oddział uderzeniowy, a jednocześnie spiskował przeciwko niemu. Rzucił wówczas Osierowowi wyzwanie, pobił go niemal na śmierć. Była to ostatnia z łańcucha gwałtownych, rozciągniętych na lata reakcji na okrucieństwa popełnione przez tego człowieka w Niżnym Tagile. Oczywiście Osierow był stworzony do zaplanowania tego rodzaju ataku. I przeprowadzenia go w taki sposób, by jego wróg zginął... niezależnie od rozkazów Masłowa.

Osierow, stojący nieruchomo w cieniu ze skrzyżowanymi na piersi rękami, z pozoru nie przyglądał się niczemu szczególnemu, ale w rzeczywistości nie spuszczał oka ze swojego śmiertelnego wroga. Wpatrywał się w niego z koncentracją jastrzębia czekającego na właściwą chwilę, by rzucić się na zdobycz. Twarz miał pokrytą krostami i bliznami, szpetnymi pozostałościami po morderstwach, ulicznych bójkach i walkach na śmierć i życie, kąciki ust unosił mu znajomy, pełen nienawiści uśmiech, jednocześnie protekcyjny i obleśny.

Arkadin był w tej chwili skrępowany przez własne spodnie, zsunięte do kostek, ale w pośpiechu niezdjęte do końca. Oczywiście nie czuł bólu uda, nie wiedział jednak, jak zastrzyk wpłynie na jego zdolność poruszania się, a przede wszystkim szybkiego biegu.

– Załatwione – powiedział chirurg. – Przez co najmniej tydzień rana musi pozostać sucha. Zapiszę antybiotyki i środek przeciwbólowy. Dostanie je pan w szpitalnej aptece. Ma pan szczęście, to była czysta rana, no i trafił pan w nasze ręce, nim zdążyła wdać się infekcja. – Lekarz się roześmiał. – Ale przez jakiś czas nie będzie pan biegał w maratonach.

Pielęgniarka opatrzyła ranę, przykładając gazę i plaster.

– Jeszcze przez godzinę, może dwie, nie będzie pan nic czuł – poinformowała. – Proszę zacząć brać przepisane leki w tym czasie.

Osierow opuścił ramiona. Wyszedł z cienia. Nadal nie patrzył wprost na Arkadina, ale prawą rękę trzymał w kieszeni spodni. Trudno było powiedzieć, jaką ukrył w niej broń.

Arkadin nie miał zamiaru sprawdzać.

Poprosił pielęgniarkę, by pomogła mu włożyć spodnie. Usiadł, zaczął je zapinać, a tymczasem kobieta odwróciła się, by wyjść. Osierow znieruchomiał, widać było, że jest gotowy do ataku. Arkadin ześlizgnął się z łóżka i szepnął jej do ucha:

– Jestem policjantem, tajniakiem. – Wskazał Osierowa.

– Przestępcy przysłali tego człowieka, żeby mnie zabił.

– Pielęgniarka otworzyła szeroko zdumione oczy. – Proszę robić, co mówię, a wszystko będzie w porządku.

Zasłaniając się nią, Arkadin przesunął się w prawo. Wróg naśladował każdy jego krok.

– Oddała się pan od wyjścia – szepnęła pielęgniarka. Arkadin przesunął się nieco bliżej kolumny, tej, na której wisiał pojemnik ze środkiem dezynfekującym, którego chirurg użył do mycia rąk. Zdawał sobie sprawę, że pielęgniarka z trudem nad sobą panuje.

– Proszę... – szepnęła. – Proszę mi pozwolić wezwać ochronę.

Stali już za kolumną.

– Doskonale – mruknął Arkadin i pchnął pielęgniarkę na wózek narzędziowy tak mocno, że zwała z nóg koleżankę i lekarza. Zrobiło się zamieszanie. W drzwiach holu pojawił się ochroniarz, a jednocześnie Osierow zaatakował Arkadina, trzymając groźnie wyglądający sztylet.

Arkadin zerwał z uchwytu dozownik z żelazem dezynfekującym. Uderzył nim w głowę ochroniarza, który poślizgnął się na linoleum i upadł. Przeskoczył przez niego, trzymając dozownik pod pachą.

Pobiegł korytarzem.

Osierow był tuż za nim, zbliżał się do niego z każdym krokiem. Arkadin zdał sobie sprawę, że podświadomie oszczędza nogę w obawie, że szwy na udzie się rozejdą. Czując obrzydzenie do samego siebie, odepchnął dwóch zdumionych stażystów. Przyspieszył kroku. Korytarz był pusty. Sięgnął do kieszeni po zapalniczkę, pstryknął nią, a jednocześnie wcisnął główkę dozownika. Słyszał już kroki Osierowa, wyobrażał sobie jego przyspieszony oddech.

Nagle odwrócił się, jednocześnie przykładając płomień do wyjątkowo łatwopalnego środka dezynfekującego, po czym rzucił dozownikiem w prześladowcę. Odwrócił się, pobiegł najszybciej jak potrafił, ale siła wybuchu i tak rzuciła nim wzdłuż korytarza.

Zawył alarm przeciwpożarowy. Rozległy się krzyki, rozpaczliwe wrzaski, tupot nóg. Ciało padały bezwładnie, trzaskały płomienie. Mimo to skręcając za rogiem, zwolnił. Minęli go ochroniarze i dwóch starszych lekarzy, spiesząc się tak, że omal go nie przewrócili. Czuł, że po nodze ścieka mu drogocenna gorąca krew. Otaczający go świat widział z niezwykłą, krystaliczną jasnością, ostry, opalizujący, pulsujący życiem. Przytrzymał drzwi kobiecie wjeżdżającej na wózku z dzieckiem w ramionach. Podziękowała mu, a on roześmiał się tak zaraźliwie, że musiała odpowiedzieć śmiechem.

Przez drzwi, które nadal trzymał otwarte, wpadli do szpitala ponurzy policjanci. Przemknęli obok, nie zwracając na niego uwagi.

Księga pierwsza

Rozdział 1

– Tak – powiedział Suparwita – to pierścień, który Holly Marie Moreau dostała od ojca.
– Pierścień. – Jason Bourne podniósł przedmiot, o którym mówili, prosty złoty, z wygrawerowanym wewnątrz napisem.

– Nie pamiętam go.

– Nie pamiętasz wielu rzeczy ze swojej przeszłości. W tym samej Holly Marie Moreau.

Dwaj mężczyźni siedzieli ze skrzyżowanymi nogami na ziemi przed chatą szamana stojącą głęboko w dżungli Karangasem w południowo-wschodniej części Bali. Bourne wrócił na wyspę, by złapać w pułapkę Noaha Perlisa, szpiega, który przed wielu laty zabił Holly. Wyrwał pierścień z zaciśniętej dłoni szpiega, nim go zabił, niewiele ponad pięć kilometrów stąd.

– Ojciec i matka Holly Marie przybyli tu z Maroka, kiedy miała pięć lat – mówił Suparwita.

– Wyglądali na takich, którzy uciekają.

– Przed czym?

– Trudno to powiedzieć z całą pewnością. Jeśli opowiadane o nich historie są prawdziwe, znaleźli sobie idealne schronienie przed prześladowaniami religijnymi. Potrzebowali ochrony.

Suparwita znany był pod formalnym określeniem *mangku* oznaczającym jednocześnie wysokiego kapłana i szamana, lecz także coś więcej, coś niemożliwego do nazwania w językach Zachodu.

– Ochrony? – zdziwił się Bourne. – Dlaczego? – spytał przystojnego mężczyznę o nieokreślonym wieku, smagłego, o skórze koloru kasztanów i szczerym olśniewającym uśmiechu odsłaniającym równe, białe zęby. Suparwita był wysoki jak na Balińczyka, dobrze zbudowany, a przy tym promieniował jakąś niesamowitą siłą, niezmiennie fascynującą Bourne'a. Jego dom, prawdziwe święte miejsce, otaczał bujny, kąpiący się w słonecznych promieniach ogród oraz wysokie stiukowe ściany, a ponieważ zbudowano go w głębokim cieniu, dawał chłód nawet w południe. Zwykłe klepisko pokrywały sizalowe maty. Tu i tam widać było dziwne rzeczy: misy ziół, kępy korzeni czy bukiety zasuszonych kwiatów ułożonych w wachlarz. Cienie wypełniające rogi pomieszczenia wydawały się z nich wylewać, falować, jakby były płynne, a nie stworzone z powietrza.

– Bali się wuja Holly. To jemu zabrali pierścień.

– Wiedział, że go ukradli?

– Uznał pierścień za zaginiony. – Suparwita przechylił głowę na bok. – W pobliżu są jacyś ludzie.

Bourne pokiwał głową.

– Zajmiemy się nim za chwilę – powiedział.

– Nie martwi cię, że mogą tu wpaść z bronią w rękach?

– Poczekają, aż wyjdę. Chcą mnie, nie ciebie.

– Amerykanin dotknął pierścienia. – Mów dalej.

Suparwita skinął głową na znak zgody.

– Ukrywali się przed wujem Holly. Przysiągł, że sprowadzi ją do siedziby rodu, w góry Atlasu.

– Są Berberami. Moreau to oczywiście Maur – rzekł Bourne z namysłem. – Dlaczego wuj Holly chciał ściągnąć ją z powrotem do Maroka?

Suparwita przyglądał mu się przez długą chwilę.

– Mam wrażenie, że kiedyś to wiedziałeś.

– Noah Perlis był ostatnim posiadaczem pierścienia, więc musiał zamordować Holly, by go zdobyć. – Bourne wziął pierścień. – Dlaczego tak pożądał tego drobiazgu? Co sprawia, że coś przypominającego zwykłą ślubną obrączkę staje się tak ważne?

– I to jest właśnie część historii, którą próbowałeś odkryć.

– Kiedyś. Dawno. Dziś nie wiedziałbym nawet, od czego zacząć.

– Perlis miał mieszkania w wielu krajach, ale działał z Londynu. Holly pojechała tam podczas osiemnastu miesięcy, które spędziła, podróżując, przed powrotem na Bali. Musiał przybyć tu jej śladem. Zabił ją dla pierścienia.

– Skąd to wszystko wiesz? – spytał Bourne.

Suparwita uśmiechnął się charakterystycznym, olśniewającym uśmiechem. Wyglądał jak dżin, którego Aladyn wyczarował z butelki.

– Tego wszystkiego dowiedziałem się od ciebie.

• • •

Natychmiast po przekroczeniu progu jej siedziby w Waszyngtonie Soraya Moore dostrzegła różnicę między dawną Centralą Wywiadu pod rządami nieodżałowanej Veroniki Hart a nową Centralą Wywiadu pod rządami M. Errola Danzigersa. Po pierwsze, ochronę rozdęto do stopnia sprawiającego, że przebycie kolejnych punktów kontrolnych przypominało zdobywanie średniowiecznej twierdzy. Po drugie, nie rozpoznała ani jednego funkcjonariusza na służbie. Wszyscy mieli nieruchome twarze i przeszywające na wylot spojrzenia. Tylko amerykańskie wojsko jest w stanie nadać taki wygląd zwykłemu człowiekowi. Nie była zaskoczona, w końcu mianowany przez prezydenta nowy dyrektor CI, były zastępca dyrektora Agencji Bezpieczeństwa Narodowego do spraw Wywiadu Komunikacyjnego, miał za sobą długą, chlubną służbę w armii i Departamencie Obrony. Równie długą i chlubną jak opinia twardego sukinsyna. Nie zaskoczyła jej tylko błyskawiczna szybkość, z jaką nowy dyrektor zdołał zainstalować swoich ludzi w świętych do niedawna murach Centrali.

Od czasów drugiej wojny światowej znana wówczas pod nazwą Biura Służb Strategicznych agencja była osobnym królestwem, całkowicie niezależnym od Pentagonu i jego komórki wywiadowczej, Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Teraz, gdy wzrosło znaczenie i władza sekretarza obrony Buda Hallidaya, rozpoczął się proces włączania Centrali w struktury Agencji. Jej oryginalne geny traciły na znaczeniu i stopniowo ginęły. M. Errol Danziger był dyrektorem CI, ale przede wszystkim był człowiekiem Hallidaya.

Soraya, dyrektorka Typhona, agencji antyterrorystycznej stworzonej wyłącznie z muzułmanów, rozważała znaczenie zmian wprowadzonych przez niego podczas tych kilku tygodni, które spędziła w Kairze. Uznała, że względna niezależność Typhona jest szczęściem w nieszczęściu. Odpowiadała bezpośrednio przed dyrektorem z pominięciem szefów

poszczególnych dyrektoriatów. Była półkwi Arabką, znała wszystkich swoich ludzi, większość z nich wybrała osobiście i wiedziała, że jeśli o to poprosi, pójda za nią do piekła. Ale... co z kolegami z wewnętrznych struktur agencji? Zostaną? A może odejdą?

Wysiadła z windy na dyrektorskim piętrze. Zalało ją niesamowite zielone światło, przenikające przez kuloodporne szkło, zdolne wytrzymać nawet wybuch bomby. Zatrzymała się przed biurkiem, za którym siedział młody, chudy jak szczapa mężczyzna o stalowych oczach i regulaminowym języku piechoty morskiej, grzebiący w stosie papierów. Plakietka na blacie identyfikowała go jako porucznika R. Simmons Reade'a.

– Dzień dobry, jestem Soraya Moore – przedstawiła się.

– Mam wyznaczone spotkanie z dyrektorem.

Porucznik R. Simmons Reade obrzucił ją obojętnym spojrzeniem, w którym, mimo całej obojętności, było także szyderstwo. Miał na sobie granatowy garnitur, wykrochmaloną białą koszulę i pułkowy krawat w czerwone i niebieskie paski. Nie patrząc na monitor komputera, powiedział:

– Miała pani wyznaczone spotkanie z dyrektorem Danzigerem. Przed piętnastoma dniami.

– Tak, wiem, ale byłam w terenie, porządkując sprawy po misji w północnym Iranie. Nikt inny nie mógł tego zrobić i...

Zielonkawe światło sprawiało, że twarz Reade'a wydawała się dłuższa i ostrzejsza niż w rzeczywistości, i groźna jak broń.

– Nie wykonała pani bezpośrednio rozkazu dyrektora Danzigersa.

– Zajmował to stanowisko od niedawna i nie mógł wiedzieć...

– A jednak dyrektor Danziger wie o pani wszystko, co powinien wiedzieć, pani Moore.

Tego było za wiele.

– Co to ma znaczyć, do diabła! I nie „pani”, tylko dyrektor Moore!

– Trudno uznać za zaskakujący fakt, że nie jest pani na bieżąco, pani Moore – powiedział Reade głosem bez wyrazu.

– Pani służba dobiegła końca.

– Co? Mam to uznać za dowcip? Nie mogę przecież...

– Soraya miała wrażenie, że pod jej stopami pojawił się nagle wsysający ją z nieubłaganą siłą otwór ściekowy.

Kamienna twarz żołnierza stała się jeszcze bardziej kamienna, jak u bohatera armijnej reklamy: „Możesz być, kim chcesz”.

– Z tą chwilą traci pani wszystkie przywileje związane z piastowanym stanowiskiem. Proszę o zwrot identyfikatora firmy, firmowych kart kredytowych oraz telefonu komórkowego.

Soraya oparła się pięściami o lśniący blat biurka.

– A kim ty jesteś, chłopcze, że ośmielasz się wydawać mi polecenia?

– Mówię w imieniu dyrektora Danzigersa.

– Nie wierzę w ani jedno twoje słowo.

– Karty już zostały unieważnione. Może pani tylko odwrócić się i wyjść.

Soraya wyprostowała się i cofnęła o krok.

– Proszę powiedzieć dyrektorowi, że kiedy zechce wysłuchać sprawozdania, znajdzie mnie w moim biurze.

R. Simmons Reade sięgnął za siebie, podniósł z podłogi małe tekturowe pudełko bez

zamknięcia, postawił je na biurku i niedbale pchnął w jej kierunku. Na jego widok Soraya omal nie zadławiła się językiem. Patrzyła na porządnie poukładane nieliczne przedmioty osobiste, które przechowywała w biurku.

• • •

– Mogę tylko powtarzać ci to, czego dowiedziałem się od ciebie. – Suparwita wstał, Bourne także.

– A więc już wtedy interesowałem się Noahem Perlisem.

– Nie było to pytanie i Balińczyk nie potraktował tych słów jak pytania. – Ale dlaczego? I co go łączyło z Holly Marie Moreau?

– Cokolwiek jest prawdą, wydaje się niemal pewne, że spotkali się w Londynie.

– A te dziwne litery wygrawerowane po wewnętrznej stronie?

– Pokazałeś mi je kiedyś. Miałeś nadzieję, że ci pomogę. Nie mam pojęcia, co oznaczają.

– Nie jest to żaden ze współczesnych języków – stwierdził Bourne, szukając odpowiedzi w głębiach swojej uszkodzonej pamięci. Suparwita zrobił krok w jego stronę. Przemówił głosem o ton wyższym od szeptu, lecz mimo to przenikającym w głąb mózgu Amerykanina niczym uządlenie osy.

– Jak powiedziałem, urodziłeś się w grudniu, miesiącu Śiwy. – Wymówił imię boga Sziwy tak, jak to robią Balińczycy.

– Co więcej, urodziłeś się w dniu boga, ostatnim w miesiącu, będącym zarówno końcem, jak i początkiem. Nie rozumiesz? Twoim przeznaczeniem jest umrzeć i urodzić się na nowo.

– To już się stało sześć miesięcy temu, kiedy Arkadin mnie postrzelił.

Suparwita skinął z powagą głową.

– Gdybym nie podał ci wcześniej lilii zmartwychwstania, bardzo prawdopodobne, że umarłbyś od tej rany.

– Ocaliłeś mnie. Dlaczego?

Szaman znów uśmiechnął się swoim charakterystycznym, promiennym, tysiącwatowym uśmiechem.

– Jesteśmy ze sobą związani, ty i ja. – Wzruszył ramionami. – Któż może wiedzieć jak i dlaczego?

Bourne odczuwał potrzebę powrotu do kwestii praktycznych.

– Na zewnątrz jest ich dwóch – powiedział.

– Sprawdziłem przed wejściem.

– A jednak to ty ich tu przyprowadziłeś.

Tym razem to Amerykanin się uśmiechnął.

– To część planu, przyjacielu – wyjaśnił szeptem.

Suparwita powstrzymał go, unosząc ostrzegawczo dłonie.

– Nim wprowadzisz w życie swój plan, dowiesz się czegoś, czego musisz się dowiedzieć. Czego muszę cię nauczyć.

Przerwał, dając Bourne'owi aż za dużo czasu na zastanawianie się, co właściwie miał na myśli. Bourne znał szamana na tyle dobrze, by wiedzieć, kiedy zanoszi się na poważną rozmowę. Widział podobny wyraz na jego twarzy tuż przedtem, nim podał mu on do picia

miksturę z lilii zmartwychwstania przed kilkoma miesiącami, w tym samym pomieszczeniu.

– Posłuchaj mnie. – Szaman już się nie uśmiechał.

– Umrzesz w ciągu roku, musisz umrzeć w ciągu roku po to, by ocalić bliskich ci ludzi, tych wszystkich, których kochasz i którzy nie są ci obojętni.

Mimo morderczego treningu, mimo żelaznej umysłowej dyscypliny Bourne poczuł, że krew zastęga mu w żyłach. Jedną rzeczą jest podejmowanie nieustannego ryzyka, oszukiwanie śmierci, mijanie się z nią, czasami o włos, ale zupełnie inną usłyszeć, że ma się mniej niż rok życia. Z drugiej strony może się przecież wesoło roześmiać, przecież jest człowiekiem z Zachodu, a na świecie istnieje tyle wiar i religii, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent łatwo zlekceważyć. A jednak, patrząc w oczy Suparwity, widział w nich prawdę. Jak zdarzało się już wcześniej, niezwykle moce szamana pozwalały mu poznać przyszłość, a przynajmniej jego przyszłość. „Jesteśmy ze sobą związani, ty i ja”. Suparwita udowodnił, że potrafi ocalić mu życie, więc głupotą byłoby mu nie uwierzyć.

– Czy wiesz kiedy? I jak?

Szaman pokręcił głową.

– To nie działa w ten sposób. Fragmenty przyszłości są jak sen na jawie, mają barwę, są znakami, ale brak w nich obrazów, szczegółów, klarowności i jednoznaczności.

– Powiedziałeś mi kiedyś, że Sziwa będzie się mną opiekował.

– Powiedziałem. – Balińczyk znów się uśmiechnął. Poprowadził Bourne’a do innego pokoju wypełnionego cieniami i zapachem kadzidła z plumerii. – Kolejnych kilka godzin będzie doskonałym przykładem jego opieki.

• • •

Valerie Zapolsky, osobista sekretarka Rory’ego Dolla, osobiście doręczyła meldunek dyrektorowi Centrali Wywiadu M. Errolowi Danzigerowi, oznajmiając, że jej szef nie chciał powierzyć go systemowi komputerowemu, nawet tak doskonale zabezpieczonemu jak system Agencji.

– To dlaczego sam się z nim nie pojawił? – Danziger zmarszczył czoło, ale nie podniósł wzroku na sekretarkę.

– Dyrektor operacyjny jest zajęty – odpowiedziała Valerie.

– Chwilowo.

Była to drobna ciemnoskóra kobieta o oczach przysłoniętych ciężkimi powiekami. Danzigerowi nie podobało się, że Doll przysłał właśnie ją.

– Jason Bourne żyje? Kurwa mać... – Poderwał się z krzesła, jakby przepuszczono przez nie prąd. Przebiegł oczami meldunek, krótki, niepodający żadnych szczegółów.

Twarz miał czerwoną, a jego głowa wyraźnie drżała.

W tym momencie Valerie popełniła fatalny błąd: okazała współczucie.

– Dyrektorze, czy mogę coś dla pana zrobić?

– Zrobić? Coś dla mnie zrobić? – Danziger spojrział na nią jak człowiek broniący się przed całkowitym ogłupieniem.

– Jasne, oczywiście. Powiedz mi, że to żart, głupi, chory żart Rory’ego Dolla. Bo jeśli tego nie powiesz, wylecisz z roboty na zbity pysk.

– To wszystko, Val – powiedział Rory Doll, pojawiając się w drzwiach. – Możesz wrócić do biura.

Widoczna na twarzy sekretarki ulga tylko częściowo złagodziła jego poczucie winy. W końcu to on wysłał ją na pierwszą linię.

– Cholera – zaklął dyrektor. – Przysięgam, że ją wyleję.

Doll wszedł do gabinetu i stanął przed biurkiem szefa.

– Jeśli to zrobisz, Stu Gold spadnie ci na kark jak muchy na kupę gówna.

– Gold? A kim jest, kurwa, ten facet i dlaczego mam się nim przejmować?

– Prawnikiem Centrali.

– To jego też wywalę w cholere.

– Niemożliwe, proszę pana. Jego firma ma żelazny kontrakt, a on jeden dojścia od dołu do samej góry...

Danziger zamaszycie machnął ręką.

– I myślisz, że nie znajdę na nią jakiegoś haka? – Pstryknął palcami. – Jak się nazywa?

– Zapolsky. Valerie A. Zapolsky.

– Jasne. Co to za nazwisko? Rosyjskie? Macie ją prześwietlić, ale dokładnie. Chcę wiedzieć, jakim lakierem maluje paznokcie u nóg! Zrozumiano?

Doll dyplomatycznie skinął głową. Był to mężczyzna szczupły, o bardzo jasnych włosach, co sprawiało, że jego intensywnie niebieskie oczy wydawały się płonąć żywym ogniem.

– Jasne, oczywiście.

– I niech ci Bóg dopomoże, jeśli w tym raporcie znajdzie się jakaś nieścisłość, choćby najdrobniejsza. Jeśli jakieś pytanie pozostanie bez odpowiedzi.

Od dnia, w którym Peter Marks przeszedł na drugą stronę, dyrektora nie opuszczał zły humor. Wydział operacyjny pozostawał bez szefa. Marks był zwierzchnikiem Dolla niemającego najmniejszych wątpliwości, że jeśli uda mu się udowodnić, że jest lojalny, to najprawdopodobniej awansuje. Zacisnął zęby i nie pokazał po sobie, że jest wściekły. Zmienił temat.

– Powinniśmy porozmawiać o tej wiadomości.

– Więc to nie zdjęcie z akt? I to nie żart?

– Niestety, nie. I bardzo tego żałuję. Jason Bourne został sfotografowany, gdy ubiegał się o wizę na pobyt czasowy na lotnisku Denpasar. To na Bali, w Indonezji...

– Do diabła, przecież wiem, co to takiego Bali.

– Ja tylko nie chciałem niczego pominąć. W zgodzie z pańskimi instrukcjami z pierwszego spotkania informacyjnego.

Dyrektor, choć gotował się ze złości, zacisnął zęby i zdołał zachować milczenie. Raport i dołączone do niego ziarniste czarno-białe zdjęcie Jasona Bourne'a ścisnął w pięści. Lubił nazywać ją „zbrojną pięścią”.

– Pozwolę sobie kontynuować – podjął grzecznie Doll.

– A więc, co wynika z elektronicznego opisu zamieszczonego w prawym dolnym rogu, zdjęcie to zostało zrobione trzy dni temu, o czternastej dwadzieścia dziewięć miejscowego czasu. Naszemu działowi komunikacji elektronicznej zajęło sporo czasu zabezpieczenie transmisji przed możliwymi błędami i prawdopodobieństwem przechwycenia sygnału.

Danziger odetchnął głęboko.

– Bourne nie żył... Bourne miał nie żyć. A byłem pewny, że rozprawiliśmy się z nim na zawsze. – Zgniół zdjęcie i wrzucił je do pojemnika niszczarki. – Nadal jest na Bali?

Zakładam, że to przynajmniej wiesz.

Doll skinął głową.

– Tak jest, proszę pana, w tej chwili Bourne przebywa na Bali.

– Pod obserwacją, mam nadzieję?

– Pilnujemy go dwadzieścia cztery godziny na dobę. Znamy każdy jego ruch.

Danziger zastanawiał się przez chwilę, a potem spytał:

– Kto jest naszym człowiekiem od mokrej roboty w Indonezji?

Doll był przygotowany na to pytanie.

– Coven. Ale, dyrektorze, jeśli wolno mi coś zasugerować: w swoim ostatnim pisemnym raporcie z Kairu Soraya Moore z naciskiem wspomniała, że Bourne miał znaczący udział w opanowaniu kryzysu w północnym Iranie. Tego, który pogrzył Black River.

– Niemal tak, jak jego status awanturnika, niebezpieczna jest zdolność Bourne'a do... jak by to powiedzieć... wywierania przesadnego wpływu na kobiety. Moore niewątpliwie zalicza się do tych kobiet i dlatego straciła pracę. Proszę aktywować Covenę, panie Doll.

– To oczywiście możliwe, ale dotarcie do Bourne'a zajmie mu trochę czasu...

– Kto jest bliżej? – przerwał mu szef zirytowany.

Doll zajrzał do notatek.

– W Dżakarcie mamy zespół ewakuacyjny. Mogę załatwić im wojskowy helikopter. Za godzinę będą w powietrzu.

– Więc zrób to, a Covenę trzymaj w odwodzie. Mają sprowadzić Bourne'a tutaj. Chcę poddać go intensywnemu... ach... przesłuchaniu. Wydobyć z niego wszystko. Poznać jego sekrety, dowiedzieć się, jak udało mu się tak skutecznie nas unikać i jakim cudem przeżył. – Oczy Danziguera płonęły nienawiścią. – A kiedy skończymy, wpakujemy mu kulę w łeb i ogłosimy, że zabili go Rosjanie.

Rozdział 2

Długa noc w Bangalore już się kończyła. Przesycony smrodem odchodów, chorób i ludzkiego potu, gęsty od strachu, bezsilnej wściekłości, niespełnionego pożądania i rozpaczny świt koloru popiołu nie był w stanie przywrócić miastu barw.

Arkadin znalazł zamknięty gabinet lekarski, włamał się do niego i wziął, co mu było potrzebne: nici chirurgiczne, jodynę, sterylne opatrunki, bandaże i antybiotyki zastępujące te, których nie dostał w szpitalu. Szedł ulicami szybko i ciężko dysząc, świadom, że musi przede wszystkim zatamować krwawienie z rany na udzie. Nie zagrażała życiu, ale była głęboka, a jemu nie wolno stracić więcej krwi. Jeszcze bardziej potrzebował jednak jakiejś kryjówki, w której mógłby zatrzymać zegar włączony przez Osierowa, złapać oddech, ocenić sytuację. Przeklął się za to, że dał się zaskoczyć przeciwnikowi. Doskonale przy tym wiedział, że następny krok będzie miał decydujące znaczenie, a zwykłe nieszczęście może błyskawicznie zmienić się w katastrofę.

Ponieważ przeciwnik złamał jego zabezpieczenia, wszystkie miejscowe kontakty musiał uznać za spalone, co pozostawiało mu tylko jedno wyjście. Istnieje miejsce, którym rządził w sposób absolutny. Wybrał szyfrowany numer dający mu dostęp do szeregu komputerów trasujących. Wydzwonił Stiepana, Lukę, Pawła, Alika oraz Ismaila Beya, figuranta grającego rolę przywódcy Braterstwa Wschodu, nad którym Arkadin miał pełną kontrolę.

– Zaatakowali nas Masłow, Osierow i w ogóle Kazachowie jako całość – poinformował każdego z nich rzeczowo, bez wstępów. – Od tej chwili jesteśmy w stanie wojny.

Odpowiednio ich wytrenował. Nikt nie zadał żadnego zbędnego pytania, wszyscy po prostu potwierdzali otrzymanie rozkazu, a potem kończyli rozmowę i przystępowali do przygotowań, kierując się instrukcjami, których Arkadin udzielił im wiele miesięcy temu. Każdy z kapitanów miał rolę do odegrania, każdy wprowadzał w życie część planu ogarniającą dosłownie cały świat. Masłow chciał wojny, więc czeka go wojna, i to na niejednym froncie.

Arkadin pokręcił głową. Roześmiał się, ale w jego śmiechu nie było wesołości. Wiedział, że ta chwila nadejdzie, nieunikniona jak kolejny oddech. Teraz, gdy już przyszła, odczuł wielką ulgę. Nie musi już uśmiechać się przez zaciśnięte zęby, nie musi udawać przyjaźni tam, gdzie istnieje tylko gorzka wrogość.

Już nie żyjesz, Dimitriju Iljanowiczu, pomyślał. Tylko jeszcze o tym nie wiesz.

Niebo przybrało barwę rozwodnionego różu. Był już prawie na Chaaya. Pora na trudną rozmowę. Wybrał jedenastocyfrowy numer. Głos robota odpowiedział po rosyjsku: „Federalna Agencja Antynarkotykowa”, szeroko znana, a niesławna FSB-2, która pod wodzą Wiktora Czerkiesowa stała się najpotężniejszą i najbardziej przerażającą agencją rosyjskiego rządu, przewyższając pod tym względem nawet FSB, następczynię KGB.

– Z pułkownikiem Karpowem proszę.

– Jest czwarta rano. Pułkownik Karpow jest niedostępny – oznajmił robot głosem bardzo przypominającym ten, jakim mówiły zombie z filmu George’a Romera.

– Ja też – oznajmił Arkadin, ćwicząc swój sardoniczny humor. – Ale jednak postanowiłem z

nim porozmawiać.

– Wolno wiedzieć, z kim mam do czynienia? – Rosjanin nie zdradzał cienia emocji.

– Nazywam się Arkadin. Leonid Danielewicz Arkadin. A teraz znajdź mi swojego szefa.

Robot odetchnął gwałtownie.

– Proszę czekać.

– Sześćdziesiąt sekund. – Arkadin spojrzął na zegarek i rozpoczął odliczanie. – Nie więcej.

Po pięćdziesięciu ośmiu sekundach usłyszał kilka trzasków, a potem niski, szorstki głos powiedział:

– Pułkownik Karpow.

– Borisie Iljiczu, minęło tyle lat. Ileż razy o mało się nie spotkaliśmy!

– Żałuję, że nie da się wykreślić tego „o mało”. Skąd mam wiedzieć, że rozmawiam z Leonidem Danielewiczem Arkadinem?

– Dimitrij Masłow nadal doprowadza pana do furii, co, pułkowniku? – Karpow nie odpowiedział, więc Arkadin mówił dalej: – A w ogóle, to kto inny mógłby podać panu głowę Kazachów na srebrnej tacy?

Pułkownik roześmiał się ochryple.

– Prawdziwy Arkadin nigdy nie wydałby mi swojego mistrza. Kimkolwiek jesteś, tracę czas. Żegnam.

Arkadin podał mu adres na przemysłowych przedmieściach Moskwy. Karpow milczał przez chwilę, lecz jeśli się człowiek skupił, mógł usłyszeć jego ciężki oddech. Od tej rozmowy zależy wszystko, Karpow po prostu musi uwierzyć, że ma do czynienia z prawdziwym Leonidem Danielewiczem Arkadinem i że mówi on szczerą prawdę.

– I co mam zrobić z tym adresem? – spytał pułkownik po chwili milczenia.

– To magazyn. Na oko wygląda dokładnie tak jak jakaś setka innych, stojących po obu jego stronach.

– Nudzicie mnie, panie Jak Mu Tam.

– Trzecie drzwi od lewej, blisko tylnej ściany, prowadzą do męskiej toalety. Za pisuarami są kabiny. W ostatniej po prawej nie ma muszli, za to w jej tylnej ścianie są drzwi.

Karpow znów wahał się przez chwilę, a potem spytał:

– I co z tego?

– Niech pan się przygotuje – powiedział Arkadin. – Ma pan być uzbrojony po zęby.

– Chcesz powiedzieć, że powinienem wziąć zespół z...

– Nie! Pójdzie pan sam. Co więcej, nie wpisze się pan do książki wyjść, żywa dusza nie ma prawa wiedzieć, dokąd pan idzie. Swoim towarzyszom proszę powiedzieć, że ma pan umówioną wizytę u dentysty albo panienkę na popołudniowe pieprzonko, w cokolwiek chętniej uwierzą.

Tym razem cisza brzemienne była śmiertelną groźbą.

– Kto jest wtyczką w moim biurze?

– Och, Borisie Iljiczu, niech pan nie będzie taki niewdzięczny. Chyba nie chce pan popsuć mi zabawy. Nie teraz, kiedy daję panu taki wspaniały prezent! – Arkadin odetchnął głęboko. Pułkownik połknął przynętę, pora zaciąć rybę, nim urwie się z haczyka. – Ale na pana miejscu użyłbym raczej liczby mnogiej. Nie wtyczka. Wtyczki.

– Co? Posłuchaj, człowieku...

– Pora brać się do roboty, panie pułkowniku, bo pańskie ofiary spokojnie skończą dzień owocnej pracy. – Arkadin zachichotał. – Podaję mój numer, wiem, że wam się nie wyświetla. Niech pan zadzwoni do mnie po powrocie, Borisie Iljiczu, to pogadamy. O nazwiskach i całkiem możliwe, że także o wielu innych ważnych sprawach.

Przerwał połączenie, nie czekając na to, co Karpow ma jeszcze do powiedzenia.

• • •

Delia Trane także powoli kończyła dzień pracy. Siedziała za biurkiem, przyglądając się trójwymiarowemu obrazowi diabelsko wręcz pomysłowej bomby widniejącej na monitorze.

Próbowała rozbroić ją, nim mechanizm zegarowy spowoduje wybuch. Jeśli jej się nie uda, jeśli wirtualnymi nożycami przetnie nie ten kabelek albo poruszy nimi nieostrożnie, z wnętrza urządzenia wydobędzie się brzęczenie. To ona stworzyła program wirtualnej bomby, co nie oznacza, że nie bawi się doskonale, próbując znaleźć sposób jej rozbrojenia.

Delia była raczej pospolitą, trzydziestoparoletnią kobietą. Miała jasne oczy, krótko obcięte włosy i ciemną skórę odziedziczoną po pochodzącej z Kolumbii matce. Mimo iż względnie młoda i obdarzona raczej wybuchowym temperamentem, była jednym z najbardziej cenionych pirotechników Biura do spraw Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów Wybuchowych. A także najlepszą przyjaciółką Sorai Moore, więc kiedy ochrona poinformowała ją, że Soraya czeka na nią w holu budynku, kazała bez zwłoki przysłać ją na górę.

Poznały się służbowo, stwierdziły, że są tak samo przebojowe i niezależne, słowem są pokrewnymi duszami, tak trudnymi do znalezienia w ograniczonej Obwodnicą, hermetycznym sektorze publicznym. Spotkały się podczas jednej z tajnych misji Sorai, nie musiały ukrywać przed sobą, co robią i co oznacza dla nich ta praca, a konieczność zachowania tajemnic najczęściej niszczy przyjaźnie zawierane w DC. Co więcej, obie zdawały sobie także sprawę z tego, że na dobre i złe całe ich życie to praca, że stworzone zostały do wypełniania obowiązków wyznaczonych przez zwierzchników wymagających dochowania tajemnicy, co w pewien sposób uwiarygodniało ich istnienie, ich wolność jako kobiet, ich znaczenie, niezależne od wszechobecnej w Waszyngtonie dyskryminacji. Co dzień wypowiadały prywatną wojnę establishmentowi niczym prawdziwe współczesne Amazonki.

Delia wróciła do kontemplacji swego komputerowego modelu rzeczywistości będącego dla niej światem w miniaturze.

Wystarczyło kilka sekund, by zapomniała o wszystkim oprócz rozwiązywanego właśnie problemu, ani chwili nie poświęciła na zastanawianie się, co przyjaciółka robi tu o tej porze. Dopiero gdy na monitor padł cień, podniosła głowę i spojrzała w oczy Sorai, pojęła, że stało się coś złego.

– Na litość boską, usiądź, bo się przewrócisz – powiedziała, podsuwając koleżance wolne krzesło. – Co się stało? Ktoś umarł?

– Ktoś właśnie stracił pracę.

Delia przyglądała się Sorai zdziwiona.

– Nie rozumiem.

– Zostałam wywalona, wykopana, posłano mnie na zieloną trawkę – wyjaśniła Soraya. –

Bez naruszenia dóbr osobistych... które z pewnością naruszono – dodała z sarkazmem.

– Co się właściwie stało, do cholery?

– Jestem Egipcjanką, muzułmanką i kobietą. Nasz nowy dyrektor nie potrzebuje innych powodów.

– Nie masz się czym martwić. Znam doskonałego prawnika...

– Zapomnij o prawnikach.

Delia spojrzała na nią zdziwiona.

– Chyba nie pozwolisz, żeby uszło im to na sucho? Raya, przecież mówimy o dyskryminacji!

Soraya tylko machnęła ręką.

– Nie mam zamiaru spędzić następnych dwóch lat życia na walce z CI i sekretarzem Hallidayem.

Jej przyjaciółka poprawiła się na krześle.

– Więc aż tak wysoko to sięga?

– Jak mogą mi to robić? – jęknęła Soraya.

Delia wstała, obeszła biurko i przytuliła przyjaciółkę.

– Wiem, że to tak, jakby rzucił cię kochanek, ktoś, o kim myślałaś, że go znasz, a tymczasem okazało się, że cię wykorzystywał. Nie, gorzej, że cały czas cię zdradzał.

– Teraz przynajmniej mogę sobie wyobrazić, co czuł Jason – powiedziała Soraya pośpiesznie.
– Tyle razy wyciągał rękę Centrali z ognia, nim zdążyła poparzyć sobie palce, i jak mu się za to odwdzięczono? Polowali na niego jak na psa.

– No to krzyżyk jej na drogę. – Delia pocałowała ją w czubek głowy. – Pora na nowy początek.

Soraya spojrzała na nią zamyślona.

– Naprawdę? A co właściwie miałabym robić? Ten świat cieni to wszystko, co znam, i tylko w nim potrafię żyć. A Danziger był taki wściekły, że nie wróciłam do Centrali na rozkaz, że umieścił mnie na czarnej liście tajnych służb. Nigdy nie dostanę żadnej pracy w żadnej rządowej agencji wywiadowczej.

Delia zastanawiała się przez chwilę, po czym powiedziała:

– Mam pomysł. Muszę jeszcze załatwić jedną sprawę w pokoju na końcu korytarza, zadzwonić, a potem pojedziemy napić się i coś zjeść. A potem zabiorę cię w takie jedno specjalne miejsce. Jak ci się podoba ten plan?

– Bardziej, niż gdybym miała wrócić do domu, najeść się lodów i oglądać telewizję.

– Taką cię lubię! – Delia roześmiała się i pomachała palcem. – Nie ma strachu, zabawimy się tak dobrze, że do głowy ci nie przyjdzie się martwić.

Soraya też się uśmiechnęła, choć nieco żałośnie.

– A co z moją goryczą?

– Nią też się zajmiemy.

• • •

Bourne wybiegł z domu Suparwity, nie oglądając się ani w lewo, ani w prawo. Dla obserwatorów mógł być człowiekiem, który ma coś pilnego do załatwienia. Zakładał, że

zechcą pójść za nim tam, dokąd się teraz wybierał.

Słyszał, jak idą za nim przez las, przyciągani jego zdecydowanym zachowaniem. Przedzierał się szybko przez krzaki, chciał, by się do niego zbliżyli i by jego wzburzenie stało się ich wzburzeniem. Wiedział, że nie ryzykuje życia, że najpierw go przesłuchają. Chcą wiedzieć, co wie o pierścieniu. Niewątpliwie uważają się za bardzo dyskretnych, ale na Bali nie istnieje coś takiego jak dyskrecja. Bourne słyszał, że pytali o niego w Manggis, sąsiedniej wiosce, a kiedy dowiedział się, że to Rosjanie, ani przez chwilę nie wątpił, że pracują dla Leonida Arkadina. Po raz ostatni widział swojego wroga, pierwszego człowieka, który ukończył program żołnierza doskonałego Treadstone w czasie bitwy w północnym Iranie.

Teraz, pośrodku szmaragdowej i brunatnoczerwonej balijskiej dżungli, Bourne nagle skręcił w prawo, kierując się do wielkiego berigin, przez ludzi Zachodu nazywanym banyan, balijskiego symbolu nieśmiertelności. Skoczył na jedną z jej wielu gałęzi, wspinał się przez prawdziwy labirynt, aż znalazł się wystarczająco wysoko, by zyskać wspaniałą widok na okolicę. Ptaki nawoływały się wesoło, bzyczały owady. Tu i tam promienie słońca przebijały gęsty baldachim liści, nadając miękkiej ziemi barwę czekolady.

Chwilę później zauważył pierwszego Rosjanina, ostrożnie przedzierającego się przez gęste krzaki, okrążającego właśnie gęsty zagajnik. Oparł lufę AK-47 w zgięciu lewego ramienia, palec wskazujący jego prawej ręki spoczywał na spuście; był gotów pociągnąć go i wypluć serię przy najbliższym odgłosie lub zwiastującym niebezpieczeństwo poruszeniu. Powoli podchodził do berigin, w którym znalazł schronienie Bourne. Od czasu do czasu podnosił głowę, przyglądając się czubkom drzew ciemnymi bystrymi oczami.

Bourne przesunął się bezszelestnie wśród gałęzi, zajmując właściwą pozycję. Odczekał, aż Rosjanin znajdzie się bezpośrednio pod nim, po czym spadł na niego niczym jeden ze słonecznych promieni. Uderzył go obcasami w ramiona, powodując wywichnięcie jednego z nich i przewracając ofiarę. Zwinął się w kulę, przyjął ciężar upadku na łopatkę i wykonał przewrót, unikając w ten sposób kontuzji. Zaatakował, nim Rosjanin odzyskał oddech. Lecz, choć oszołomiony, Rosjanin zareagował instynktownie tak, jak go nauczono. Stopą trafił Bourne'a w mostek.

Stęknął. Jego przeciwnik próbował wstać, zaciskając zęby z bólu. Czas stanął w miejscu, jakby otaczający walczących pierwotny las wstrzymał oddech. Cios zadany kantem prawej dłoni połamał kości w zwichniętym ramieniu. Rosjanin jęknął, lecz jednocześnie kolbą karabinu szturmowego zadał przeciwnikowi potężny cios w bok.

Rosjanin wstał, opierając się na swym AK-47. Z trudem zachowując równowagę, podszedł do zaplątanego w pnącze Bourne'a. Wycelował, ale w tym samym momencie Amerykanin zadał mu krzyżowy cios nogami, mierząc w kolano, znów obalając go na ziemię. Krótka seria poszła w górę, obsypując przeciwników liśćmi, kawałkami kory i odłamkami gałęzi. Próba użycia AK-47 jako tarana także zakończyła się niepowodzeniem, Bourne bowiem zanurkował pod zataczającą wysoki łuk bronią. Kolejny zadany kantem dłoni cios strzaskał Rosjaninowi obojczyk, trzeci, identyczny, zadany drugą ręką, zmiażdżył mu nos, wbijając w mózg chrząstki i odłamki kości. Bourne wyrwał broń upadającemu, martwemu przeciwnikowi, notując w pamięci jego prymitywny więzienny tatuaż: węża owiniętego wokół rękojęści sztyletu, ostateczny dowód, że miał do czynienia z członkiem *gruppirowki*.

Niemal udało mu się wyplątać spomiędzy pnączy, kiedy za jego plecami rozległ się

gardłowy głos.

– Rzuć broń – powiedział mężczyzna po rosyjsku z wyraźnym moskiewskim akcentem.

Bourne odwrócił się powoli. To zapewne odgłos strzałów naprowadził drugiego Rosjanina na właściwy trop.

– Kazałem ci rzucić broń.

On też uzbrojony był w AK-47 wymierzony w tej chwili w pierś Bourne'a.

– Czego chcesz? – warknął Bourne.

– Doskonale wiesz, czego chcę. A teraz rzuć broń i oddaj mi to.

– Co mam ci oddać? Powiedz mi, co mam zrobić, a zrobię to bez gadania.

– Odbiorę ci pierścień, gdy tylko rzucisz broń mojego przyjaciela. – Rosjanin pokazał Bourne'owi gestem, że ma się do niego zbliżyć. – Podejdz, sukinsynu. Bo jeśli nie, postrzelę cię najpierw w jedną nogę, a potem w drugą. Jeśli to nie pomoże... sam wiesz, jak bolesne bywają rany brzucha. I wiesz, jak długo cierpi ranny, nim wreszcie wykrwawi się na śmierć.

– Twój partner? Szkoda go – powiedział Bourne, wypuszczając AK.

Zadziałał instynkt. Rosjanin nie mógł nie zerknąć na przyjaciela, a jednocześnie jego wzrok przyciągnął upadający karabinek. Bourne wykorzystał tę chwilę, strzelił z pnącza jak z bata, owinał nim szyję mężczyzny i mocno szarpnął ją do siebie, wprost na swoją pięść. Uderzenie sprawiło, że szyja złożyła się jak scyzoryk. Bourne puścił pnącze i uderzył ofiarę w kark splecionymi dłońmi.

Rosjanin upadł. Bourne przyklęknął przy nim, przewrócił go na wznak, półprzytomnego, rzucającego się jak ryba wyciągnięta na pokład łodzi. Kilka uderzeń otwartą ręką w twarz sprawiło, że facet oprzytomniał. Bourne unieruchomił go, klękając mu na brzuchu i przyciskając go do ziemi całym ciężarem ciała.

Rosjanin patrzył na niego niebieskimi oczami. Twarz miał nienaturalnie czerwoną, z kącika ust ściekała strużka krwi.

– Po co Leonid cię przysłał? – spytał Bourne po rosyjsku.

Mężczyzna nieprzytomnie zamrugał oczami.

– Kto?

– Nawet nie próbuj. – Bourne mocniej przycisnął go kolanem. Rosjanin jęknął. – Doskonale wiesz, o kogo mi chodzi. O Leonida Arkadina.

Przez chwilę przeciwnik tylko się mu przyglądał, oniemiały, a potem, mimo iż był w niebezpieczeństwie, zdołał się roześmiać.

– Naprawdę tak myślisz? – Z kącików jego oczu popłynęły łzy. – Że pracuję dla tej kupy gówna?

Rosjanin odpowiedział zbyt szybko i zbyt spontanicznie, musiał mówić szczerze. A poza tym dlaczego miałby kłamać? Bourne milczał przez chwilę, oceniając sytuację.

– Jeśli nie dla niego – powiedział, ostrożnie dobierając słowa – to dla kogo?

– Jestem człowiekiem Kazachów. – Nie sposób było nie rozpoznać brzmiącej w jego głosie dumy. Po raz drugi powiedział prawdę.

– A więc wysłał cię Dimitrij Masłow?

Całkiem niedawno Bourne miał okazję spotkać w Moskwie szefa Kazachów. Okoliczności tego spotkania nie były bynajmniej przyjemne.

– Można tak powiedzieć. Ja przyjmuję rozkazy od Wiaczesława Germanowicza Osierowa.

– Osierowa? – Bourne nigdy dotąd nie słyszał tego nazwiska. – Kto to taki, ten Osierow?
– Szef operacji. Wiaczesław Germanowicz planuje działania Kazachów na każdym poziomie, a Masłow zajmuje się coraz bardziej denerwującym rządem.

Nad tym trzeba się przez chwilę zastanowić.

– Niech będzie. Więc składasz meldunki temu Osierowowi. Dlaczego uznałeś za zabawne podejrzenie, że mógł cię przysłać Arkadin?

Oczy Rosjanina rozbliły.

– Ty kapuściany łbie! Osierow i Arkadin się nienawidzą. Śmiertelnie.

– Dlaczego?

– Chodzi o coś, co zdarzyło się bardzo dawno temu.

– Rosjanin splunął krwią. – Przesłuchanie skończone?

– Skąd się ta wrogość wzięła?

Rosjanin roześmiał się, pokazując zakrwawione zęby.

– Zabierz to pieprzone kolano z mojej piersi.

– Jasne, oczywiście. – Bourne mocno uderzył go kolbą AK w skroń.

Rozdział 3

– Powinnam się wcześniej zorientować – powiedziała Soraya.

W oczach przyglądającej się jej Delii błyszczały iskierki rozbawienia.

– W czym zorientować? – spytała.

– Że taka niepoprawna hazardzistka jak ty zabierze mnie na najlepszego prywatnego pokera w mieście.

Delia roześmiała się głośno. Reese Williams prowadziła przyjaciółki korytarzem, którego wytapetowane ściany zdobiły zdjęcia oraz obrazy przedstawiające afrykańską faunę i florę, a przede wszystkim słonie.

Soraya zwróciła się do Williams:

– Znam to miejsce ze słyszenia, ale Delia uznała za stosowne zaprosić mnie tu dopiero teraz.

– Nie pożałujesz – powiedziała przez ramię Williams.

– Przynajmniej tyle mogę ci obiecać.

Znajdowały się w jej kamienicy z ciemnego piaskowca. Reese Williams była mocnym prawym ramieniem komisarza policji Lestera Burrowsa, niezastąpionym z wielu różnych powodów, z których nie najmniej ważnym był ten, że miała doskonałe kontakty w wyższych sferach waszyngtońskiej polityki.

Otworzyła podwójne drzwi prowadzące do biblioteki zamienionej na pokój do gry. Był tu stół pokryty zielonym sukniem, sześć wygodnych krzeseł oraz obowiązkowa chmura aromatycznego dymu cygar. Po przekroczeniu progu słychać było wyłącznie stuk żetonów oraz ledwie słyszalny szmer kart, tasowanych ze znanstwem, a następnie rozdawanych czterem siedzącym przy stole mężczyznom. Soraya rozpoznała samego Burrowsa, dwóch senatorów, jednego początkującego, drugiego starszego i doświadczonego, potężnego lobbystę i... Szeroko otworzyła zdumione oczy. Czy to jest...

– Peter? – spytała z niedowierzaniem.

Peter Marks przerwał liczenie żetonów.

– Dobry Boże, Soraya! – Zerwał się z krzesła. – Na razie nie gram – rzucił, obszedł stół, podszedł do dziewczyny i mocno ją przytulił. – Delio, nie zachciałabyś zająć mojego miejsca?

– Z przyjemnością. – Delia zwróciła się do przyjaciółki:

– Peter gra tu regularnie. Zadzwoiłam do niego z biura. Pomyślałam, że przyjemnie by ci było spotkać się ze starym przyjacielem i współpracownikiem.

Soraya pocałowała ją w policzek.

– Dzięki.

Przyjaciółka skinęła głową i zajęła miejsce przy stole. Z banku wzięła zwykłą sumę w żetonach, kwitując jej odbiór.

– Co u ciebie? – spytał Sorayę Marks, przyglądając jej się uważnie. Spojrzała na niego smutno.

– Jak myślisz, co u mnie?

– Przyjaciele z Centrali powiedzieli mi, jak potraktował cię Danziger. – Marks pokręcił głową. – Nie powiem, żebym był zaskoczony.

– Nie rozumiem.

Marks poprowadził ją przez hol do pustego salonu, gdzie w odległym kącie znaleźli miejsce gwarantujące im prywatność. Drzwi balkonowe wychodziły na cienistą alejkę oranżerii. Ściany wytapetowane były ciepłą, ciemną tapetą i obwieszone afrykańskimi zdjęciami gospodyni otoczonej tłumami tubylców. Na niektórych towarzyszył jej starszy dżentelmen, prawdopodobnie ojciec. Przed marmurowym kominkiem stała pluszowa kanapa i kilka wyściełanych, obitych tkaniną w paski foteli. Ten sielski obrazek wieńczył niski stół z polerowanego drewna oraz kredens z dwiema tacami zastawionymi butelkami i kryształowymi szklaneczkami. Żadne stanowisko we władzach miasta, nawet po doliczeniu haraczy, nie oferowało zarobków wystarczających do prowadzenia domu na takim poziomie i Soraya pomyślała, że Reese musi pochodzić z bardzo bogatej rodziny.

Usiedli w dwóch rogach kanapy, zwracając się lekko ku sobie.

– Danziger szuka okazji, by pozbyć się osób z najwyższego kierownictwa Centrali – powiedział Marks. – We władzach chce mieć swoich ludzi, to znaczy ludzi sekretarza Hallidaya. Jednak wie, że musi postępować ostrożnie, by nie stworzyć wrażenia, że urządza rzeź starej gwardii, choć właśnie taka rzeź została z góry zaplanowana. Dlatego odszedłem, kiedy tylko dowiedziałem się, że przychodzi.

– Byłam w Kairze. Nawet nie wiedziałam, że odszedłeś z Centrali. Gdzie wylądowałaś?

– W sektorze prywatnym. – Marks milczał przez chwilę, po czym powiedział: – Posłuchaj, Sorayo, wiem, że umiesz dochować tajemnicy, więc zaryzykuję i powiem ci, że... – zerknął na drzwi. Zamknął je, gdy tu wchodzili.

– Że co?

Pochylił się, zbliżając twarz do jej twarzy.

– Przyłączyłem się do Treadstone.

Zapadła cisza przerywana tylko tykaniem mosiężnego zegara okrętowego stojącego na półce nad kominkiem. Soraya roześmiała się, a w każdym razie próbowała.

– Daj spokój. Treadstone? Było, minęło...

– Stare owszem, tak. Ale powstało nowe. Frederick Willard wskrzesił program.

Słyszac to nazwisko, Soraya natychmiast przestała się uśmiechać. Znała reputację tego człowieka: był to śpioch, którego Stary wkręcił do Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Odpowiadał za ujawnienie bezprawnych metod przesłuchań stosowanych przez jej poprzedniego szefa. Ale od tamtego czasu Willard znikł z ekranów radaru. Co tylko potwierdzało słowa Petera.

Niepewnie pokręciła głową.

– Czegoś tu nie rozumiem. Treadstone było operacją nielegalną, nawet według standardów Centrali. Istniały aż za dobre powody, by ją zakończyć. Dlaczego miałbyś do niej dołączyć? Akurat teraz?

– To proste. Willard nienawidzi Hallidaya co najmniej tak, jak ja... i jak ty. Obiecał, że użyje środków Treadstone do zniszczenia jego wiarygodności wraz z zapleczem politycznym.

I dlatego chcę, żebyś się do nas przyłączyła.

Udało mu się ją zaskoczyć.

– Co? Mam wstąpić do Treadstone? – Marks skinął głową. Soraya spojrzała na niego podejrzliwie. – Zaraz, chwileczkę. Wiedziałeś, że mnie wywalą, kiedy tylko przekroczę próg Centrali?

– Wszyscy o tym wiedzieli, Sorayo. Wszyscy oprócz ciebie.

– Dobry Boże! – Soraya zerwała się z kanapy. Chodziła po pokoju, wodząc czubkami palców po grzbietach stojących na regałach książek, po słoniach z brązu i ciężkich zasłonach, nie czując ani ich kształtu, ani faktury. Peter rozsądnie milczał. Wreszcie odwróciła się i przez szerokość pokoju powiedziała:

– Podaj mi jeden dobry powód, dla którego miałabym zgodzić się na tę propozycję. I proszę, daj spokój temu, co oczywiste.

– W porządku. Nie wspomnę więc, że potrzebujesz pracy, za to poproszę, żebyś się przez chwilę zastanowiła. Kiedy Willard przeprowadzi, co obiecał, i Halliday odejdzie, to jak sądzisz, jaką przyszłość będzie miał przed sobą Danziger? Jak długo pozostanie na stanowisku szefa Centrali? – Peter Marks także wstał. – Nie wiem, jak ty, ale ja chciałbym widzieć ją taką, jaka była. Taką, jaką przez dziesięciolecia rządził Stary.

Taką, z której mógłbym być dumny.

– Masz na myśli tę Agencję, która wykorzystywała Jasona raz za razem, gdy tylko służyło to jej celom?

Peter roześmiał się, wytrącając Sorai z ręki broń, którą był cynizm.

– Czy nie jest to jedna z tych rzeczy, które organizacje wywiadowcze robią najlepiej? – Podszedł do niej. – Daj spokój i powiedz mi, że nie chcesz, żeby wróciła stara, dobra Centrala Wywiadu.

– Chcę znowu prowadzić Typhona.

– No tak, owszem. Więc tym samym nie chcesz patrzeć, jak Danziger rozpieprza siatkę, którą stworzyłeś od podstaw.

– Jeśli chcesz znać prawdę, to od kiedy wyszłam z biura, potrafię myśleć tylko o Typhonie.

– Więc się do mnie przyłącz.

– A jeśli Willard pójdzie na dno?

– Nie pójdzie – zapewnił ją Marks.

– W życiu nie istnieje coś takiego jak pewność, Peterze.

I ty powinienesz wiedzieć o tym najlepiej.

– Co racja, to racja. Jeśli Willard pójdzie na dno, pociągnie nas za sobą, ale przynajmniej będziemy mieli poczucie, że zrobiliśmy, co w naszej mocy, by ożywić Centralę. Że nie ugięliśmy się przed Hallidayem i przed panoszącą się w niej jak u siebie Agencją Bezpieczeństwa Narodowego.

Soraya westchnęła. Podeszła do przyjaciela po grubym dywanie.

– Skąd, do cholery, Willard ma fundusze na Treadstone? – spytała i natychmiast uświadomiła sobie, że zadając to pytanie, przyjęła propozycję Marksa. Połknęła przynętę. Zastanawiając się nad tym, omal nie uszedł jej uwagi ból malujący się na twarzy przyjaciela. – Nie spodoba mi się twoja odpowiedź, prawda?

– Mnie też się to nie podoba, ale... – wzruszył ramionami.

– Czy mówi ci coś nazwisko Oliver Liss?

Spojrzała na niego, wytrzeszczając oczy ze zdumienia.

– Chodzi ci o jednego z szefów Black River? – Nagle wybuchnęła śmiechem. – Powiedz mi, że żartujesz. Przecież to my, Jason i ja, zdyskredytowaliśmy Black River. Wydawało mi się, że wszystkich trzech postawiono w stan oskarżenia?

– Partnerów Lissa tak, ale on sam zerwał wszystkie kontakty z firmą wiele miesięcy przed tym, nim dzięki wam dwojgu szydło wyszło z worka. Nikt nie znalazł śladu jego udziału w nielegalnych operacjach.

– Wiedział?

Marks wzruszył ramionami.

– Być może po prostu miał szczęście.

Soraya zmierzyła go przenikliwym spojrzeniem – Nie wierzę w to i ty też nie wierzysz.

Peter pokiwał głową.

– Masz cholerną rację. Nie podoba mi się to. Co nam to mówi o etyce Willarda?

Odetchnął głęboko i powoli wypuścił powietrze z płuc.

– Halliday gra nieczysto. Jak nikt, kogo zdarzyło mi się do tej pory poznać. Uważam, że każdy sposób powstrzymania go jest wart wykorzystania.

– Nawet układ z diabłem?

– Być może trzeba diabła, by zniszczyć diabła.

– Może masz rację, może jej nie masz, w każdym razie będziemy stąpali po cienkim lodzie, Peterze.

Marks się uśmiechnął.

– A jak myślisz, dlaczego chcę mieć cię przy boku? W którymś momencie będę pewnie potrzebował kogoś, kto wyciągnie mnie z gówna, nim zaleje mnie z głową. Jeśli o to chodzi, jesteś najlepsza.

• • •

Moira Trevor z pistoletem Lady Hawke w kaburze na udzie przyglądała się pustym biurom swojej nowej, a już skompromitowanej firmy, Heartland Risk Management, Spółka z o.o. To miejsce stało się toksyczne tak szybko, że nawet nie żałowała, że je opuszcza. Czuła tylko rozczarowanie, bo utrzymała się w biznesie niespełna rok. Po którym pozostał tylko kurz. Nie miała nawet żadnych wspomnień, które mogłaby ze sobą zabrać.

Odwróciła się, by wyjść... i zobaczyła wypełniającą drzwi do holu sylwetkę mężczyzny, ubranego w drogi trzyczęściowy garnitur. Na nogach miał wypolerowane do połysku półbuty z dziurkami, a w ręku, mimo dobrej pogody, trzymał porządnie zwinięty parasol z drewnianą rączką.

– Pani Trevor, jak sądzę?

Gapiała się na niego zdumiona. Miał włosy jak stalowa szczecina, czarne oczy, mówił z akcentem, którego nie umiała zlokalizować. W ręku trzymał papierową torbę. Przyjrzała jej się podejrzliwie.

– A pan nazywa się...

– Binns. – Mężczyzna wyciągnął do niej rękę. – Lionel Binns.

– Wolne żarty. W naszych czasach nikt nie ma na imię Lionel.

Binns patrzył na nią nieruchomym wzrokiem, nie mrugając.

- Czy mogę wejść, pani Trevor?
- Niby dlaczego chce pan wejść?
- Pragnę złożyć pani pewną propozycję.

Moira wahała się przez chwilę, po czym skinęła głową. Gość przekroczył próg, choć wydawało się, że ani drgnął. Rozejrzał się.

- O mój Boże, co my tu mamy.
- Obraz nędzy i rozpacz.

Binns uśmiechnął się, lecz natychmiast spoważniał.

- Co mogę dla pana zrobić, panie Binns?

Gość otworzył torbę, Moira zeszywniała. Ale wyjął z niej tylko papierowe kubki.

- Przyniosłem herbatę z kardamonem.

Pierwsza wskazówka.

- Jakie to miłe – powiedziała Moira, przyjmując kubek.

Zdjęła pokrywkę i zajrzała do środka. Herbata była jasna od mleka. Po pierwszym łyku okazała się także bardzo słodka.

- Dziękuję.
- Pani Trevor, jestem prawnikiem. Mój klient chciałby panią zatrudnić.
- Wspaniale. – Rozejrzała się. – Przydałaby mi się jakaś praca.
- Klient chce, by odnalazła pani notebook, którego mu ukradziono.

Moira znieruchomiała z kubkiem w uniesionej ręce. Oczami koloru kawy patrzyła przenikliwie na Binnsa. Jej twarz świadczyła o silnej osobowości.

– Chyba pomylił mnie pan z prywatnym detektywem. W tej dzielnicy jest ich wielu i każdy byłby szczęśliwy...

- Mój klient chce zlecić to zadanie pani. Tylko pani.

Wzruszyła ramionami.

- Obszczekuje nie to drzewo. Przykro mi, ale nie zajmuję się takimi sprawami.
- Ależ wręcz przeciwnie. – Wyraz twarzy Binnsa nie przerażał, nie był nawet niepokojący.
- Sprawdźmy, na ile prawdziwe jest to, co o pani wiem. Odnosiła pani wielkie sukcesy jako agent terenowy Black River. Osiem miesięcy temu rzuciła pani tę firmę i założyła Heartland, ściągając do siebie najlepszych ludzi poprzedniego pracodawcy. Nie ugięła się pani przed groźbami, wręcz przeciwnie, podjęła pani walkę i osiągnęła sukces, przyczyniając się do ujawnienia jego bezprawnych praktyk. No i teraz pani dawny szef Noah Perlis w nagrodę za swoje trudy jest trupem, Black River rozpadł się, a dwóch z trzech jej założycieli postawiono w stan oskarżenia. Jeśli coś z tego, co powiedziałem, nie jest prawdą, proszę mnie poprawić.
- Zdumiona Moira milczała. – Z punktu widzenia mojego klienta jest pani idealną osobą do wykonania zadania, które chce zlecić, i odzyskania skradzionego laptopa.

- A jaki jest dokładnie punkt widzenia pańskiego klienta?

Prawnik uśmiechnął się szeroko.

- Zainteresowana. Przewidywane wynagrodzenie jest znaczne.
- Pieniądze mnie nie interesują.
- Mimo że została pani bez pracy? – Binns lekko pochylił głowę. – Zresztą nie to jest istotne. Nie wspominałem o pieniądzach, choć całą pobieraną zwyczajowo stawkę dostanie pani z góry. Nie, pani Trevor, mówię o czymś, co jest dla pani znacznie ważniejsze. – Prawnik

rozejrzał się po pustym wnętrzu. – O powodzie, dla którego pani się stąd wynosi.

Moira zamarła. Jej serce przyspieszyło.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– W pani firmie jest zdrajca – oznajmił prawnik. – Ktoś, kto jest na liście płac NSA.

Moira ściągnęła brwi.

– Kim jest pański klient, panie Binns?

– Nie jestem upoważniony do wyjawienia jego tożsamości.

– Nie jest pan także upoważniony do wyjawienia, skąd tyle o mnie wie, prawda?

Gość tylko rozłożył ręce. Moira skinęła głową.

– Doskonale. Sama znajdę tego cholernego zdrajcę.

Dziwne, ale te słowa przywołały na usta Binnsa koci uśmiech.

– Mój klient był pewny, że taka właśnie będzie pani odpowiedź. Nie wierzyłem mu i właśnie stałem się uboższy o tysiąc dolarów.

– Niewątpliwie odbije pan to sobie w wynagrodzeniu.

– Kiedy pozna mnie pani lepiej, przekona się pani, że nie jestem tego rodzaju człowiekiem.

– Powiedziałałabym, że to przesadny optymizm.

Binns pokiwał głową.

– Prawdopodobnie. – Cofnął się do drzwi i podniósł rękę.

– Gdyby zechciała się pani pofatygować... – Moira ani drgnęła. – Tylko ten jeden raz poproszę, by zechciała pani się do mnie dostosować. Zajmie nam to nie więcej niż kwadrans. Co ma pani do stracenia?

Moira Trevor nie potrafiła nic wymyślić na poczekaniu, więc pozwoliła wyprowadzić się z biura.

• • •

Chaaya mieszkała w apartamencie, w jednym ze wspaniałych bangalorskich wieżowców, prawdziwych minimiast, obronnych, strzeżonych dniem i nocą przed tłumami biedaków. Ale czy ochrona trzyma miasto na wyciągnięcie ręki, czy raczej jest strażą mieszkańców cytadeli zmienionych w jej więźniów, to, pomyślał Arkadin, wyłącznie kwestia perspektywy.

Otworzyła drzwi, gdy tylko zapukał, jak zawsze, niezależnie od pory, o jakiej się zjawiał. Właściwie nie miała wyboru. Pochodziła z bogatej rodziny, wychowała się w luksusie, ale luksus znikłby jak sen, gdyby rodzina poznała jej sekret. Wyznawała hinduizm, a kochała muzułmanina, co ojciec i trzej braci uznaliby za grzech śmiertelny. Na szczęście nie wiedzieli o tej miłości. Sam Arkadin nigdy nie poznał jej kochanka, załatwił jednak sprawę tak, że jej sekret był bezpieczny. Chaaya zawdzięczała mu wszystko i odpowiednio dziękowała.

O atrakcyjnych kształtach, ubrana w przezroczysty szlafroczek, z oczami jeszcze zamglonymi snem, poruszała się po apartamencie ze zmysłowym wdziękiem bollywoodzkiej aktorki. Nie była szczególnie wysoka, ale sposób zachowania i poruszania dodawały jej wzrostu. Kiedy przechodziła przez pokój, odwracały się głowy zarówno pań, jak i panów. Czy lubiła go i czy w ogóle o nim myślała, to Arkadina nie obchodziło. Ważne, że się bała. Strach wystarczał.

Tu, ponad dachami miasta, było jaśniej, co sprawiało mylne wrażenie początku nowego dnia. Ale to mieszkanie, odbijające życie ich dwojga, pełne było mylnych wrażeń.

Dziewczyna natychmiast zauważyła krew na jego nodze. Zabrała go do łazienki, dużej, wyłożonej żyłkowanym różowym marmurem. Arkadin zdjął spodnie, a Chaaya puściła do wanny gorącą wodę. Zszyła ranę tak sprawnie, że zapytał ją, czy kiedyś już to robiła.

– Raz, dawno temu – odpowiedziała tajemniczo.

Właśnie dlatego przyszedł tu w sytuacji, w której najważniejsze było zaufanie. On i Chaaya coś w sobie rozpoznawali, każde z nich widziało w tym drugim część siebie, mroczną i kaleką. Oboje byli outsiderami, źle czującymi się w świecie większości ludzi, na pół ukrytymi w cieniach, których ludzie się bali. Żyli z boku, obcy być może samym sobie, i właśnie dlatego dobrze czuli się w swoim towarzystwie.

Podczas gdy ona umyła go i zszyła ranę, on zastanawiał się nad kolejnym ruchem. Musi wynosić się z Indii, co do tego nie ma wątpliwości. A dokąd zdaniem tego dupka Osierowa mógłby się przenieść? Campidone d'Italia w Szwajcarii, gdzie Braterstwo Wschodu utrzymuje willę, a może jego kwatera główna w Monachium? Wybór z konieczności będzie niewielki, nawet sam Masłow nie może rozsyłać swoich ludzi po całym świecie, żeby szukali Bóg wie czego, prawdopodobnie wiatru w polu. Facet nie należy do tych, którzy chętnie szafują ludźmi i środkami, i dlatego ciągle rządził najpotężniejszą *gruppięrowką*, rodziną, która tak długo utrzymuje się na powierzchni, że Kreml podjął działania przeciw mafii.

Arkadin wiedział, że musi usunąć się tam, gdzie będzie bezpieczny. Wybrać miejsce, które nie przyjdzie do głowy ani Masłowowi, ani Osierowowi. I nie powie o tym nikomu w organizacji, przynajmniej do chwili, gdy uda mu się dowiedzieć, kto zdradził Osierowowi lokalizację jego tymczasowej siedziby w Bangalore.

Powinien jak najszybciej załatwić wyjazd z miasta i z kraju. Ale najpierw musi wydobyć z ukrycia laptop Gustava Morena.

Chaaya skończyła. Przenieśli się do salonu.

– Proszę, przynieś prezent, który ci dałem.

Dziewczyna przechyliła głowę. Na jej ustach zaigrał uśmiech.

– Mówisz, że mogę go wreszcie otworzyć? Umierałam z ciekawości.

– Przynieś go tu.

Niemal wybiegła z pokoju i chwilę później wróciła z dość dużym pudłem w srebrnym kolorze przewiązany fioletową wstążką. Usiadła naprzeciwko nieoczekiwanego gościa, sztywna, przepełniona oczekiwaniem, z pudłem na kolanach.

– Mogę je teraz otworzyć?

Arkadin przyglądał się pudełku.

– Przecież już je otworzyłaś.

Strach przemknął cieniem przez jej twarz tak szybko, jak stado mew przelatujących nad portem, zastąpiony przez wymuszony uśmiech.

– Och, Leonidzie, nie mogłam się powstrzymać. Taki cudowny szlafroczek, nie wiedziałam, że jedwab może być tak miękki, musiał kosztować fortunę...

Arkadin wyciągnął rękę.

– Pudełko.

– Leonidzie... – zaprotestowała słabo, ale wykonała polecenie. – Nawet go nie wyjmowałam, tylko dotknęłam.

Rozwiązał wstążkę zawiązaną starannie przez Chaayę, zdjął wieko, odłożył je na bok.

– Tak mi się spodobał, że zabiłabym każdego, kto choćby ośmielił się do niego zbliżyć – dodała dziewczyna.

Prawdę mówiąc, Arkadin właśnie na to liczył. Kiedy wręczył jej pudełko, jednocześnie zabraniając je otwierać, dostrzegł pożądlivość w jej oczach i wiedział już, że nie wystarczy jej siły woli, by dostosować się do jego życzeń, a jednak będzie go broniła jak własnego życia. Taka już była.

Szlafrok, rzeczywiście wyjątkowo drogi, złożony był starannie na trzy. Wyjął ukryty w nim laptop, po czym oddał Chaayi co jej. Odkręcając płytę od spodu, zakrywającą gniazdo twardego dysku, nie zwracał uwagi na piski radości i podziękowania, którymi go obsypywała. Właściwie ich nie słyszał.

• • •

Dyrektor Centrali Wywiadu M. Errol Danziger często jadał lunch przy biurku, studiując raporty szefów zarządów i porównując je z odpowiednimi raportami z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Jednak dwa razy w tygodniu wychodził z budynku i szedł zawsze do tej samej restauracji Occidental przy Pennsylvania Avenue, gdzie spotykał się zawsze z tą samą osobą, sekretarzem obrony Budem Hallidayem. Danziger, aż nazbyt świadomy okoliczności śmierci poprzednika, przemierzał szesnaście dzielących go od celu przecznic opancerzonym GMC yukon denali w towarzystwie porucznika R. Simmonsa Reade'a, dwóch ochroniarzy i sekretarki. Nigdy nie był sam, samotność wyprowadzała go z równowagi. Pozostało mu to z dzieciństwa wypełnionego awanturami rodziców w ogóle nieinteresujących się synem.

Soraya Moore czekała na jego przyjazd. Dyrektorski rozkład dnia otrzymała od swojego byłego dyrektora operacyjnego, tymczasowo kierującego Typhonem. Siedząc w Cafe du Parc w hotelu Willard, przylegającej do zewnętrznej części Occidentalu, dostrzegła denali podjeżdżającego pod restaurację dokładnie o trzynastej. W momencie, gdy otworzyły się tylne drzwi, wstała i nim towarzyszący dyrektorowi ludzie zbili się w grupkę na chodniku, znajdowała się już tak blisko niego, jak tylko pozwalali na to ochroniarze. Jeden z nich, szeroki w barach niczym stolik, przy którym jeszcze przed chwilą siedziała, zastąpił jej drogę i zmierzył ją groźnym spojrzeniem.

– Dyrektorze Danziger – powiedziała głośno ponad jego ramieniem – jestem Soraya Moore.

Drugi ochroniarz położył dłoń na rękojeści pistoletu, ale Danziger kazał im obu się odsunąć. Był to niski, barczysty mężczyzna o opadających ramionach. Czuł się w obowiązku studiować kulturę islamu, co tylko zwiększyło jego niezłomną antypatię do tej religii, a nawet więcej, sposobu życia, który uważał za przestarzały, wręcz średniowieczny. Głęboko wierzył, że islamiści, jak ich nazywał, nie są w stanie pogodzić swojej wiary z pokojem i postępem współczesnego świata, choćby nie wiadomo co na ten temat mówili. Za plecami, i nie bez pewnego podziwu, nazywany był Arabem z powodu często deklarowanego zamiaru uwolnienia świata od każdego islamskiego terrorysty i w ogóle każdego muzułmanina wystarczająco głupiego, by wejść mu w drogę.

Stanął między ochroniarzami.

– Jest pani Egipcjanką, która uznała za stosowne pozostać w Kairze, mimo iż została

odwołana – powiedział.

– Miałam zadanie do wykonania. W konkretnym miejscu, w terenie, gdzie kule i bomby są czymś realnym, a nie komputerowymi symulacjami. A tak dla porządku, jestem Amerykanką. Jak pan Amerykaninem.

– W niczym nie jesteście do siebie podobni, pani Moore. Ja wydaję rozkazy. Tym, którzy ich nie wykonują, nie mogę ufać. Nie pracują dla mnie.

– Nie zechciał pan zapoznać się z moim raportem. Gdyby pan wiedział...

– Proszę przyjąć wreszcie do wiadomości, że nie pracuje już pani dla Centrali Wywiadu. – Danziger pochylił się lekko i przyjął wojowniczą postawę boksera na ringu. – Nie interesuje mnie żaden raport. Egipcjanka? Jeden Bóg wie, wobec kogo ktoś taki jest lojalny. – Uśmiechnął się kpiąco.

– A może ja to wiem? Może wobec Amuna Chaltuma?

Amun Chaltum był szefem Mokhabaratu, egipskiej tajnej służby, z którym Soraya ostatnio blisko współpracowała i z którym przebywała w Kairze, kiedy Danziger odwołał ją z misji przed czasem, łamiąc opracowane przez Centralę wytyczne. Tak się złożyło, że zakochała się w Amunie. Z wzajemnością. Wstrząsnął nią, a może nawet więcej, oszołomił ją fakt, że Danziger ma tak osobiste informacje. Skąd, do diabła, się o tym dowiedział?

– Ciągnie swój do swego. Jakże to dalekie od profesjonalnego zachowania, którego spodziewam się po moich ludziach. Tak się bratać, choć to chyba nieodpowiednie określenie, z wrogiem.

– Amun Chaltum nie jest naszym wrogiem!

– Pani z pewnością nie. – Dyrektor cofnął się, dając w ten sposób ochroniarzom polecenie zwarcia szyku, odcięcia jej od i tak ograniczonego dostępu, który do niego miała. – Życzę szczęścia w szukaniu pracy dla rządu, pani Moore.

Stojący z tyłu R. Simmons Reade uśmiechnął się pogardliwie, odwrócił i poszedł na końcu dyrektorskiego orszaku wchodzącego już do Occidental. Stojący najbliżej przypadkowi świadkowie tej wymiany zdań gapili się na Sorayę ciekawie. Przyłożyła dłoń do twarzy i stwierdziła, że jej policzki płoną. Chciała mieć swój dzień na boisku, a okazało się, że to nie jej boisko, a w dodatku popełniła wielki błąd, nie doceniając inteligencji przeciwnika i zakresu jego wiedzy. Założyła, jak się okazało niesłusznie, że sekretarz Halliday podstępem skłonił prezydenta do zainstalowania w Centrali ślepego narzędzia, półgłówka, którym pan sekretarz mógłby bezkarnie manipulować. Zrobiła z siebie idiotkę.

Opuszczając pole przegranej bitwy, ośmieszona, przysięgła sobie, że tego błędu już nigdy nie popełni.

• • •

Człowiek, z którym rozmawiał przez telefon, kimkolwiek był, nie pomylił się w jednym: magazyn na przedmieściach Moskwy niczym nie różnił się od innych magazynów maszerujących w prostych rzędach jak okiem sięgnąć. Boris Karpow, ukryty w cieniu naprzeciwko wejścia, sprawdził adres zapisany w trakcie rozmowy z mężczyzną nazywającym siebie Leonidem Arkadinem. Tak, trafił na miejsce jak po sznurku. Odwrócił się, zasygnalizował swoim ludziom, wszystkim doskonale uzbrojonym, wszystkim w kamizelkach

kuloodpornych i hełmach z osłonami. Karpow miał nosa do pułapek, a to miejsce aż nimi śmierdziało. Miał tu przyjść sam? Nie ma mowy. Choćby najlepiej uzbrojony nie wsadzi głowy w pętlę przygotowaną dla niego przez Dimitrija Masłowa.

Więc dlaczego w ogóle tu jestem? – spytał sam siebie po raz setny. Ano dlatego, że jeśli istnieje szansa, iż zadzwonił do niego prawdziwy Leonid Danielewicz Arkadin i w dodatku mówił prawdę, nie pójść tym tropem byłoby strasznym błędem.

FSB-2, a Karpow w szczególności, próbowali przywoździć Masłowa i Kazachów od lat, i od lat im się to nie udawało.

Miał wolną rękę. Dał mu ją jego bezpośredni zwierzchnik Melor Bukin, człowiek, który wyciągnął go z FSB, płacąc za to awansem na pułkownika i przydzieleniem dowództwa. Karpow na własne oczy widział, jak z szybkością błyskawicy do władzy dochodzi Wiktor Czerkiesow, i był gotów zrobić wszystko, by też się załapać. Czerkiesow przekształcił FSB-2 z formacji antynarkotykowej w tajną służbę bezpieczeństwa narodowego, zdolną rywalizować z powszechnie wychwalaną FSB. Bukin przyjaźnił się z Czerkiesowem, kiedy byli dziećmi. Takie rzeczy bardzo liczyły się w Rosji i miał teraz do niego bezpośredni dostęp. Jako mentor Karpowa doprowadził go bardzo blisko szczytu piramidy władzy i wpływów w służbie. To jemu Karpow zameldował, dokąd się udaje i po co. Bukin, rozmawiający właśnie przez telefon, niedbałym machnięciem ręki udzielił mu błogosławieństwa.

Teraz, rozstawwszy swoich ludzi w absolutnej ciszy, Karpow wydał rozkaz frontalnego ataku na magazyn. Jeden z żołnierzy przestrzelił zamek w drzwiach wejściowych i wszyscy znaleźli się w środku. Członkowie oddziału rozbiegli się, badając przejścia między rzędami wielkich pak i pudeł. Godziny pracy skończyły się jakiś czas temu, nie spodziewali się więc spotkać tu ludzi i pod tym względem się nie pomylili.

Następnie członkowie oddziału zebrali się w wyznaczonym miejscu i odmeldowali. Karpow poprowadził ich do toalety znajdującej się tam, gdzie powinna, dokładnie według opisu mężczyzny, z którym rozmawiał. Po lewej był rząd pisuarów, po prawej kabiny. Po drodze otwierali kopniakiem każdą z nich. Wszystkie były puste.

Karpow zatrzymał się na chwilę przy ostatniej, a potem kopnął w drzwi i wpadł do środka. Rzeczywiście nie było tu sedesu, tylko drugie drzwi, dokładnie naprzeciwko pierwszych. Czując, jak żołądek zaciska mu się ze strachu, Karpow rozwalił zamek serią z karabinka szturmowego AK-47 i wybił drzwi barkiem. Wpadł do wnętrza, w którym na wyniesionym nad poziom podłogi i dostępnym za pomocą drabiny rusztowaniu znajdowało się coś w rodzaju biura.

Nie było tu nikogo. Sznury telefonów wyciągnięto ze ściennych gniazdek. Odwrócone do góry nogami szafki na akta i biurka kpiły sobie z niego otwartymi, pustymi szufladami, opróżnionymi w wielkim pośpiechu. Obrócił się powoli o trzysta sześćdziesiąt stopni, badając salę wprawnym okiem. Nic. Nic nie zostało.

Skontaktował się ze swoimi ludźmi rozstawionymi przed magazynem. Potwierdzili to, co ciężka, zimna kula w żołądku powiedziała mu wcześniej: od czasu, kiedy się tu pojawili, nikt nie opuścił magazynu.

– Kurwa! – Karpow przysiadł pokaźnym pośladkiem na jednym z biurek. Facet, który do niego zadzwonił, mówił świętą prawdę. Ostrzegł, by nic nikomu nie mówić. Ostrzegł, że ludzie Masłowa mogą się dowiedzieć. Tym facetem musiał być Leonid Danielewicz Arkadin.

Rolls-royce był wręcz monstrualnie wielki, jak coś przeniesionego do współczesnego świata wprost z Parku Jurajskiego samochodów. Stojąc pod biurem, przy krawężniku, przypominał srebrny pociąg. Lionel Binns wyprzedził Moirę o krok i elegancko otworzył tylne drzwiczki od strony krawężnika. Moira pochyliła się i poczuła mocny zapach kadzidła. Zajęła miejsce na skórzanym siedzeniu, a prawnik zatrzasnął drzwi.

Rozsiadła się wygodnie. Dopiero gdy jej oczy przyzwyczyły się do ciemności, zauważyła, że siedzi obok dość wysokiego, mocno zbudowanego mężczyzny o wysmaganej wiatrem skórze koloru orzecha i oczach ciemnych jak głębia studni. Do tego doliczyć należało szopę gęstych czarnych włosów, układających się w pierścionki, i długą, gęstą, godną Nabuchodonozora brodę. Herbata z kardamonem nagle nabrała sensu. Jej pracodawca to jakiś Arab. Dalsza obserwacja ujawniła, że choć ubrany był w garnitur w stylu zachodnim, marynarka na jego ramionach i piersi układała się jak berberyjska szata.

– Dziękuję, że zechciała się pani ze mną spotkać – powiedział mężczyzna niskim, dudniącym głosem, odbijającym się echem od wyłożonych orzechem gładkich powierzchni przestronnego wnętrza wozu. – Ze zechciała pani uwierzyć. – Mówił chrapliwie, niemal gardłowo, ale poza tym jego angielski był doskonały.

Po chwili kierowca, niewidoczny za orzechową płytą, ruszył i włączył się w strumień jadących na południe samochodów.

– Jest pan klientem pana Binnsa, prawda?

– Jestem. Nazywam się Jalal Essai, pochodzę z Maroka.

No tak, oczywiście Berber.

– I to pański laptop został skradziony?

– Tak.

Moira siedziała z prawym ramieniem opartym o drzwi. Nagle zrobiło się jej zimno, wewnątrz stało się dusząco małe, jakby mężczyzna wylał się z ciała i wypełnił mroczną obecnością tylne siedzenie, otoczył ją podstępnie i zaczął się w nią wdzierać. Powietrze drżało, wydawało się, że musuje, jakby Moira miała przed sobą fatamorganę.

– Dlaczego ja? Nadal nie potrafię tego zrozumieć.

– Pani Trevor, dysponuje pani pewnymi, ujmijmy to w ten sposób, unikalnymi zdolnościami, które w mojej opinii mogą okazać się nieocenione przy próbie odnalezienia mojego laptopa.

– A te unikalne zdolności to...

– Stawiła pani czoło zarówno Black River, jak i NSA. Odnosząc sukces. Sądzi pani, że znajdę prywatnego detektywa o podobnych dokonaniach? – Mężczyzna odwrócił głowę i uśmiechnął się. Jego duże zęby błysnęły nieskalaną bielą w śniadej twarzy koloru kardamonu, wydającej się składać z płaszczyzn, wysokich kości policzkowych i głęboko osadzonych oczu na pół przysłoniętych powiekami, jak u jastrzębia. – Proszę nie odpowiadać, to nie było pytanie.

– W porządku. Aleja mam pytanie: czy sądzi pan, że tajne agencje miały jakiś udział w tej kradzieży?

Wydawało się, że Essai zastanawia nad tym pytaniem, choć Moira odniosła wrażenie, że

doskonale zna odpowiedź i że jest to odpowiedź twierdząca.

– Możliwe – powiedział w końcu. – Nawet prawdopodobne.

Moira skrzyżowała ramiona na piersi, jakby chciała osłonić się przed jego logiką, nieubłaganie podważającą jej determinację, przed emanującymi z niego falami ciemnej energii, nieprzypominającymi nic, co kiedykolwiek czuła. Miała wrażenie, że siedzi zbyt blisko zderzacza cząstek. Energicznie pokręciła głową.

– Bardzo mi przykro.

Essai skinął głową. Wydawało się, że nie zaskoczy go nic, co Moira może powiedzieć lub zrobić.

– W każdym razie, to dla pani.

Podał jej tekturową teczkę, której Moira przyjrzała się podejrzliwie, dziwnie przestraszona. Dlaczego czuje się jak Ewa przyjmująca jabłko wiedzy? Ale wzięła teczkę, jakby ręce słuchały woli kogoś obcego.

– Proszę. Daję słowo, że do niczego to pani nie zobowiązuje.

Moira wahała się jeszcze przez chwilę, ale w końcu otworzyła teczkę. W środku znajdowało się zdjęcie z obserwacji, przedstawiające jednego w głównych agentów, wyciągniętego przez nią z Black River podczas spotkania z dyrektorem operacyjnym Agencji Bezpieczeństwa Narodowego.

– Tim Upton? To on jest kretem NSA? Zdjęcie nie było retuszowane komputerowo, prawda?

Marokańczyk milczał. Moira przeczytała dołączony do zdjęcia raport, w którym podane były daty i godziny tajnych spotkań Uptona z różnymi agentami NSA. Westchnęła głęboko, poprawiła się na siedzeniu i zamknęła teczkę.

– Jest pan wyjątkowo hojnym człowiekiem.

Essai wzruszył ramionami, jakby uważał swój dar za niewiele znaczący. Mogło się wydawać, że kierowca odebrał ten gest jako polecenie, bo rolls-royce natychmiast podjechał do krawężnika.

– Do widzenia, pani Trevor.

Moira sięgnęła do klamki, ale odwróciła się jeszcze i spojrzała na brodatego Marokańczyka.

– Proszę mi powiedzieć, co czyni ten pański laptop tak cennym?

Uśmiech mężczyzny rozjaśnił wnętrze samochodu jak promień latarni morskiej.

Rozdział 4

Bourne przyleciał do Londynu w przygnębiająco ponury, wietrzny poranek. Nad Tamizą wirowała gęsta mgła, zasłaniająca Big Bena, osiadająca drobnymi kroplami, a niskie, ciężkie jak z ołowiu niebo wydawało się opierać na dachach nowoczesnych wieżowców miasta. Powietrze śmierdziało benzyną i pyłem węglowym, choć może były to tylko odpady przemysłowe przeganiane przez wiatr.

Suparwita podał mu adres mieszkania Noaha Perlisa. Była to jedyna konkretna wskazówka, jaka pozostała mu z przeszłego, zapomnianego życia. Siedząc na tylnym siedzeniu jadącej z Heathrow taksówki, wyglądał przez okno, ale tak naprawdę niczego nie widział. W ostatnich tygodniach nie pamiętał, że przed amnezją miał jakieś życie. Nagle, niczym uderzenie otwartą dłonią w twarz, pojawiał mu się przed oczami jakiś jego odprysk przypominający o tym, co stracił i czego już nigdy nie odzyska. W tej jednej, początkowej chwili czuł się zawsze ograniczony, żyjący połową życia, w cieniach, których nie mógł widzieć, a tylko czasami czuć. A jednak zawsze wyczuwał, że ma część siebie. Czasami jej dotykał, na krótko, we frustrująco ograniczony sposób, była jak błysk światła na najdalszej granicy peryferyjnego widzenia.

To właśnie zdarzyło się na Bali, kiedy przed wieloma tygodniami, próbując odszukać Suparwitę, wspinał się do pierwszej świątyni kompleksu Pura Lempuyang. Stał w miejscu, które mu się śniło, i zorientował się, że to jest właśnie to miejsce, w którym przed amnezją miał spotkać się z Holly Marie Moreau. Pojawiło się wówczas wspomnienie: stał za daleko, by pomóc jej, gdy spadła ze stromych kamiennych schodów wprost w objęcia śmierci. Później odkrył, że popchnął ją ukryty w cieniu wysokiej, rzeźbionej, kamiennej bramy Noah Perlis.

Mieszkanie Perlisa znajdowało się w Belgravii, dzielnicy w zachodnim Londynie, leżącej między Mayfair i Knightsbridge, i mieściło w georgiańskiej kamienicy, niegdyś domu bogatego handlarza, współcześnie podzielonej na osobne apartamenty. Biały budynek wyposażony był w duży taras wychodzący na wysadzany drzewami skwer. Belgravia, pełna szeregowych georgiańskich domów, ambasad i eleganckich hoteli, była pięknym terenem spacerowym.

Drzwi wejściowe nie stanowiły problemu, podobnie jak drzwi do mieszkania Perlisa na piętrze. Bourne wszedł do obszernego salonu, modnie i elegancko umeblowanego, prawdopodobnie nie przez właściciela, który z pewnością nie miał głowy do tak przyziemnych rzeczy. Mimo iż oświetlone blaskiem słońca wewnątrz było chłodne, ponure, wypełnione ciężkim nieruchomym powietrzem, opuszczone, przepełnione smutkiem po zapomnianych lub zaginionych. Bourne miał wrażenie, że odczuwa coś ledwie uchwytnego, zaledwie obecnego na granicy rozpoznania, coś będącego pozostałością po ostatniej wizycie Perlisa w tym miejscu. Ale dziś nie było tu już nic, tylko szum wiatru w starych ramach pionowo otwieranych okien i sennego tańca drobin kurzu w skośnych pasmach światła.

Choć mieszkanie promieniowało męskością, z sofą obitą skórą w kolorze whisky, masywnym drewnem, głębokimi odcieniami farby na ścianach, Bourne był pewny, że to kobieta zatroszczyła się o drobiazgi: cynowe świeczniki z wypalonymi do połowy świecami

koloru kości słoniowej, delikatne marokańskie lampy sprawiające wrażenie, jakby miały odlecieć, meksykańskie kafelki w kuchni, jaskrawe niczym upierzenie tropikalnego ptaka. Ale kobiecą rękę zdradzała przede wszystkim dziewczęca czysta łazienka, urządzona w stylu retro, wyłożona różowo-czarną glazurą. Skoro już do niej wszedł, Bourne sprawdził przestrzeń za spłuczką, a także wnętrze toalety po uniesieniu kłapy, dwie ulubione kryjówki cywilizowanych ludzi, z których Perlis mógł przecież skorzystać.

Niczego nie znalazł, więc przeszedł do sypialni, najbardziej go interesującej. To w sypialniach ludzie, nawet zawodowcy przyzwyczajeni do zabezpieczania się na wszystkie sposoby, najchętniej ukrywają to, co uważają za ważne i osobiste. To, co odkryte, może obnażyć ich, otworzyć drogę do ich wnętrza.

Zaczął od szafy wypełnionej spodniami i marynarkami. Nie było tu ani jednego garnituru, a wszystko zgodne z tegoroczną modą. No tak, ktoś robił mu zakupy. Opukał tylną ściankę, szukając wolnego miejsca między nią a ścianą, ale go nie znalazł. Nie znalazł niczego także przy bocznych ściankach. Podnosił buty, para po parze – nic. Następnie wysunął po kolei szuflady komody. Macał spód każdej z nich, ale Perlis niczego tam nie przykleił, tylko z tyłu najniższej znalazł glocka, wyczyszczonego, naoliwionego i załadowanego. Schował go do kieszeni.

Na końcu podszedł do łóżka i zdjął materac. Pomiędzy sprężynami szukał papierów, zdjęć, pendrive'ów lub mogących je zawierać skrytek. Próby ukrycia czegoś pod materacem mogły wydawać się dziecinne, niemniej ludzie ciągle wykorzystywali ten sposób. Siła przyzwyczajenia. Odczepił sprężyny od metalowej ramy, by móc ją odwrócić, ale tu też nie dostrzegł niczego niezwykłego. Złożył łóżko, przysiadł na jego brzegu i spojrzał na siedem ustawionych na szafce zdjęć. Były prawdopodobnie ostatnią rzeczą, którą Perlis widział przed snem, i pierwszą, na którą patrzył, kiedy budził się rano.

On sam był na wszystkich... oprócz jednego. Spacerował po Hyde Parku z Holly Marie Moreau. Stali przy jednym z mówców. Noah najwyraźniej poprosił kogoś, by zrobił im to zdjęcie. Na innym, wykonanym przy użyciu samowyzwalacza, siedzieli w wiosłowej łodzi, zapewne płynęli w górę Tamizy. Holly śmiała się, być może z tego, co właśnie powiedział. Sprawiała wrażenie swobodnej, doskonale się bawiła, co głęboko zaniepokoiło Bourne'a, bo przecież znał Perlisa i tragiczny koniec tej historii.

Na trzecim zdjęciu Noah stał ramię w ramię z przystojnym młodym mężczyzną o ciemnej skórze i egzotycznych rysach twarzy, ubranym w modny trzyczęściowy garnitur. Coś w jego rysach przemówiło do Bourne'a, jakby widział chłopaka w zapomnianym życiu albo przynajmniej kogoś bardzo podobnego. Czwarte przedstawiało ich ze ślicznotkami w jakimś bajeranckim londyńskim klubie. W tle widać było stół do gry i zgromadzonych wokół niego niespokojnych graczy, pochylonych niczym starcy. Przyjrzał się bliżej dziewczynom, częściowo zasłoniętym przez mężczyzn; ich twarze były nieco zamazane, udało mu się jednak rozpoznać Holly... i Tracy! Był wstrząśnięty. Spotkał Tracy miesiąc temu w samolocie do Sewilli, jako sojusznicy udali się oboje do Chartumu i tam Tracy umarła w jego ramionach. Dopiero później dowiedział się, że wykonywała rozkazy Arkadina.

A więc Tracy, Perlis, Holly i nieznany mu młody mężczyzna byli zespołem. Jakież dziwne zrządzenie losu sprawiło, że się spotkali? Że się zaprzyjaźnili?

Kolejna fotografia portretowa przedstawiała młodego mężczyznę spoglądającego w aparat z

mieszanią podejrzliwości i ironicznego rozbawienia; kpiący uśmiech, którego tylko potomkowie bardzo bogatych rodzin potrafią użyć jako broni... lub przynęty. Na trzecim i ostatnim zdjęciu byli we trójkę: Perlis, młody człowiek i Holly Marie. A co z Tracy? Z pewnością zrobiła to zdjęcie, choć być może odbywała jedną ze swoich niezliczonych podróży. Twarze sfotografowanej trójki podświetlone były od dołu świeczkami na torcie. Był dzień urodzin Holly. Stała między mężczyznami, lekko pochylona, odgarniając z twarzy długie włosy. Policzki miała wydęte, była gotowa zdmuchnąć świeczki. Patrzyła w przestrzeń, jakby zastanawiała się, czego sobie zażyczyć. Wyglądała bardzo młodo i bardzo niewinnie.

Bourne jeszcze raz przyjrzał się temu, jak ustawione są zdjęcia, po czym wstał i biorąc każde po kolei, wyjmował je z ramek. Z tyłu tego z urodzin znalazł paszport na nazwisko Perlisa, zapasowy. Schował go do kieszeni, a zdjęcie włożył w ramkę, postawił na miejscu i zaczął się zastanawiać nad tym, jaka właściwie była Holly Marie Moreau? W jakich okolicznościach poznał ją Perlis? Byli kochankami, przyjaciółmi czy tylko pozwoliła się wykorzystać? A może to ona wykorzystała jego? Przeciągnął ręką po włosach. Drapał się po głowie, jakby w ten sposób mógł zmusić mózg, by przypomniawsobie coś, czego on nie mógł sobie przypomnieć. Doświadczył ataku paniki, jakby znalazł się na oceanie w łódeczce unieruchomionej przez mgłę, nie widząc nic, gdziekolwiek się obrócił. Choćby nie wiadomo jak próbował, nie potrafił przypomnieć sobie czasu spędzonego z Holly. Prawdę mówiąc, gdyby nie uporczywie powtarzający się sen ojej śmierci, w ogóle by tej dziewczyny nie pamiętał. Czy nie ma końca koszmar zapomnienia, szeregi ludzi wyłaniających się z gęstej mgły przeszłości na podobieństwo upiórów egzystujących wyłącznie na krańcach widzenia? Zazwyczaj udawało mu się kontrolować tego rodzaju emocje, ale tym razem było inaczej i nawet wiedział dlaczego: nadal czuł, jak trzyma w objęciach bezwładne ciało Tracy Atherton i jak powoli wypływa z niej życie. Czy u stóp stromych schodów prowadzących do balijskiej świątyni podobnie tulił do piersi bezwładne, strzaskane ciało Holly?

Bourne siedział na łóżku, skulony, wpatrzony w studnię wspomnień o ludziach, którzy byli mu bliscy, a teraz nie żyli... Czy przez niego? Bo go kochali? On kochał Marie, co do tego nie mogło być żadnych wątpliwości. A co z Tracy? Czy można pokochać kogoś w kilka dni? W tydzień? Nawet miesiąc wydaje się czasem zbyt krótkim, by wiedzieć. Ale Tracy pozostała w jego pamięci, pełna życia i rozpaczliwie smutna. Była kimś, kogo pragnął dotknąć, z kim chciał porozmawiać, lecz nie mógł. Przetarł oczy wierzchem dłoni. Było jeszcze nieznośne cierpienie spowodowane świadomością, że Holly coś dla niego znaczyła, że miał ją koło siebie, że zapewne uśmiechała się do niego podczas wspólnych spacerów, tak jak śmiała się do Noaha Perlisa, ale tego nigdy nie będzie wiedział na pewno. Jedyne wspomnienie o niej było wspomnieniem upadku ze schodów, śmiertelnego, niekończącego się upadku. A teraz znów był sam, bo nie chciał, by Moirę spotkał los tych wszystkich ludzi, którzy znaleźli się za blisko niego.

Czuł drżenie Tracy wydającej ostatnie tchnienie.

– Jasonie, nie chcę być sama.

– Nie jesteś sama. – Pamiętał, że całował ją w czoło.

– Jestem przy tobie.

– Tak. Wiem. To dobrze. Czuję cię obok siebie. – Tuż przed śmiercią Tracy westchnęła, a jej westchnienie bardzo przypominało mruczenie zadowolonego kota.

Zasłony w oknach mieszkania Noaha Perlisa drgnęły, zafalowały. Spomiędzy ściągniętych warg Bourne'a wymknął się krótki bezdźwięczny śmiech. Czy Holly wyszeptała do niego tak jak Tracy: „W najczarniejszej godzinie nasze sekrety pożerają nas żywcem”. Tracy nie mogła wiedzieć o tym, że każda godzina życia ofiary amnezji jest najczarniejsza, że pożerających go żywcem sekretów nie zna nawet on sam. Tęsknił za nią, a tęsknota była jak wąskie ostrze tkwiącego między żebrami sztyletu. Syknął głośno. Zasłony drżały w podmuchach przenikającego przez okna wiatru i było tak, jakby Tracy znów znalazła się blisko niego, jakby znów przyglądała mu się wielkimi niebieskimi oczami, uśmiechała się jasnym olśniewającym uśmiechem, niczym Suparwita. Wiatr rozbrzmiewał jej śmiechem, owiewając Bourne'a, był jak jej dłoń dotykająca policzka, chłodząca rozpalone ciało.

Znali się bardzo krótko, ale tamte kilka dni były jak czas spędzony w bitwie, skondensowany, w którym liczyło się samo pozostanie przy życiu, którego każda, najdrobniejsza nawet cząstka splamiona była krwią. W takich chwilach towarzysze broni zostawali przyjaciółmi na wieki.

Tracy dotknęła szczególnie chronionego miejsca, a jednocześnie dziwnie wrażliwego. Udało jej się znaleźć miejsce w jego sercu i pozostała w nim, zwinięta w kłębek, oddychająca nawet po śmierci.

I nagle, tak blisko niej, że słyszał słowa, którymi się do niego zwróciła, Bourne przypomniał sobie coś, co powiedziała wieczorem, dzień przed śmiercią: „Gdybyś zobaczył mieszkanie... takie maleńkie, ale moje własne. Kocham je. Z tyłu jest alejka, przy której kiedyś były stajnie, przebudowane potem na mieszkania. Rośnie tam grusza. Pięknie kwitnie, a wiosną gnieźdzą się na niej jaskółki oknówki. Przez większość wieczorów lelek śpiewa mi serenady”.

Bourne aż westchnął ze zdumienia. Czy to przypadek, zbieg okoliczności, że oboje, Tracy i Perlis, mieszkali właśnie w Belgravii? Nie wierzył w przypadki i zbiegi okoliczności, zwłaszcza mając do czynienia z takimi ludźmi jak: Tracy, Holly, Perlis, Hererrowie, Nikołaj Jewsen, Leonid Arkadin. Perlis i Jewsen nie żyją, nie żyją Tracy i Holly, a Arkadin jest Bóg wie gdzie. Hererrowie wydawali się żywymi mackami spajającymi tę przedziwną konstelację.

Tajemnicą pozostawało tylko zdjęcie młodego przystojnego mężczyzny. Gdzie widział tę twarz? Wydawała mu się do szaleństwa znajoma, a jednocześnie nieco zmieniona, jakby widział chłopaka młodszego... lub starszego! Nagle ożywiony, wręcz rozgorączkowany, Bourne wysunął kartonową podkładkę ramki. Z tyłu zdjęcia przyklejony był kluczyk. Oderwał go. Rozmiar sugerował, że jest to klucz do powszechnie dostępnego schowka bagażowego na lotnisku lub dworcu kolejowym albo... Do kółka kawałkiem cienkiego drutu przyczepiona była papierowa przywieszka z wypisanym na niej szeregiem cyfr. Skrytka bankowa! Przyjrzał się dokładniej kluczykowi. Po drugiej stronie przywieszki widniało logo w postaci dwóch małych, splecionych liter „AB”.

Nagle wszystkie elementy układanki znalazły się na właściwym miejscu. Chłopak to Diego Herrera, syn i spadkobierca don Fernanda Hererry robiącego interesy w nielegalnym handlu bronią z nieżyjącym już, wielkim Nikołajem Jewsenem, legendarnym handlarzem zabitym przez Bourne'a w zeszłym miesiącu. Przykrywką i legalnym biznesem don Hererry był Aguardiente Bancorp: AB. Z polecenia ojca Diego zarządzał jego londyńskim biurem.

Noah Perlis i Diego Herrera przyjaźnili się. Obaj znali Holly. Bourne podniósł do oczu

zdjęcie z jej urodzin i przyjrzał się uważnie trzem twarzom. W oczach całej trójki dostrzegł ten sam wyraz współwiny. Perlis przyjaźnił się z Holly... i ją zabił. Przyjaźń, współwina... a potem morderstwo.

I nagle, z siłą pociągu pospiesznego, uderzyła go myśl, że on też jest częścią tej konstelacji. Suparwita twierdził, że Holly dostała pierścień od ojca. Perlis zabił ją dla niego, a teraz to Bourne jest jego właścicielem. Wyjął pierścień z kieszeni i powoli obrócił go w palcach. Co oznacza grawerunek?

Zdjęcie tej trójki – Perlisa, Diega i Holly – wydawało się z niego kpić. Co stanowiło podstawę ich przyjaźni? Byli trójkątem? Decydował fizyczny pociąg, który w ostatecznym rozrachunku okazał się nieistotny, czy też Perlis zaprzyjaźnił się z Holly w jakimś konkretnym celu? Co łączy członków tej grupy z Tracy? Działo się coś, czego Bourne nie pojmował, coś jednocześnie intymnego i odpychającego. Ale jedno uznał za pewnik: bez zrozumienia sieci tych powiązań nie odkryje tajemnicy pierścienia.

• • •

Mężczyzna, znany Zarządowi Operacyjnemu Centrali Wywiadu jako Coven, przyleciał na Bali tylko po to, by obrócić się na pięcie i polecieć za Bourne'em do Londynu. Siedział teraz w wynajętym samochodzie z lornetką przy oczach, obserwując okno na pierwszym piętrze mieszkania w Belgravii należącego do świętej pamięci Noaha Perlisa. Zastony znowu się poruszyły. Próbował domyślić się, kto jest tam w tym momencie. Na kolanach trzymał PDF akt właściciela, których przysyłania zażądał od Centrali. Nie ma co ukrywać, akta te nie olśniewały bogactwem informacji, ale było ich wystarczająco dużo, by skłonić go do zadania sobie pytania, dlaczego właściwie Jason Bourne zainteresował się tym facetem. Oryginalny cel jego misji – ubezwłasnowolnić Bourne'a i odtransportować go do Centrali w kajdankach – został zmieniony, gdy zażądał akt Perlisa. Natychmiast po tym, jak wyraził swoje życzenie, do rozmowy włączył się dyrektor Danziger i tonem nieznoszącym sprzeciwu kazał wytłumaczyć, po co mu te informacje. Coven zazwyczaj nie wtykał nosa w sprawy kierownictwa, wolał infiltrować, wykonywać mokrą robotę tak szybko, czysto i skutecznie, jak tylko się da, i zniknąć bez zadawania pytań. Ale teraz czuł, że sytuacja wygląda inaczej, choć nie potrafił zwerbalizować różnicy. Na wieść o tym, że Danziger przejął osobiste kierownictwo operacji, zjeżyły mu się włosy na karku. Dyrektor prawie natychmiast potwierdził jego podejrzenia, zmieniając misję w trakcie jej realizacji. Jego rozkaz brzmiał: najpierw zbadać związki Bourne'a z Perlisem, a dopiero potem doprowadzić zbuntowanego agenta na przesłuchanie.

Ciemność w południe. Zniżające się nad miastem chmury najpierw splunęły deszczem, a potem uwolniły lejącą się z nieba rzekę. Grube krople uderzyły w chodnik, bombardowały dachy samochodów, atakowały szyby, widziany przez nie świat stał się zamazany i bezbarwny. Kanałami ściekowymi popłynęła woda.

Jeśli chodzi o zmianę warty na poziomie dyrektorskim, Coven zajmował pozycję agnostyka. Mokra robota to mokra robota, cały wszechświat dzieli ją od realiów Waszyngtonu, nie sądził więc, by jego robocie mógł zaszkodzić ktokolwiek prowadzący sklepik. Ale to było przedtem, nim Danziger wydał nowe rozkazy. Coven uznał je w najlepszym razie za nieprofesjonalne, a w najgorszym za mogące prowadzić do całkowitej klęski.

Teraz, przebijając zmrużonymi oczami zasłone deszczu i patrząc na wychodzącego z budynku Bourne'a, Coven ku własnemu zdumieniu zastanawiał się nad tym, jaki też tajny plan gry realizuje Danziger. Nie byłby to pierwszy przypadek szefa realizującego własne, tajne plany, ale facet był nowy, nie awansował w firmie i nie miał szans zyskać sobie lojalności ludzi takich jak on, o każdej godzinie dnia i nocy ryzykujących życie w terenie. Sama myśl, że intruz taki jak on może wydawać mu rozkazy i użyć go jako elementu do własnej układanki, cholernie Coveną wkurzała. Tak więc w chwili, gdy dostrzegł wychodzącego Bourne'a, podjął decyzję, że wykona zadanie na swój sposób, a Danziger razem ze wszystkimi swoimi sekretami może się zwyczajnie pieprzyć. Jeśli Bourne ma coś, czego Danziger tak bardzo chce, to on, Coven, może tylko dobrze wyjść na tym, że zdobędzie to dla siebie.

• • •

- W tym laptopie jest historia całej mojej rodziny – powiedział Jalal Essai.
- Chyba trudno uznać to za powód, dla którego tak pożądamy go Black River do spółki z NSA – zauważyła Moira.
- Nie, oczywiście, że to nie jest powód.

Essai westchnął i poprawił się na krześle. Siedzieli przy stoliku w rogu tarasu restauracji w Caravanserai, w małym, wyjątkowo ekskluzywnym hotelu w Wirginii, którego Essai był właścicielem. Z trzech stron taras otaczały ceglane, porośnięte bluszczem ściany, czwartą stanowiły ogromne przeszklone drzwi prowadzące do wewnętrznej części restauracji.

Przed nimi stała miętowa herbata wraz z eleganckim menu zawierającym serwowane dzisiaj dania, Moirę jednak bardziej interesował gospodarz. Wydawał się znacznie bardziej odprężony niż przy pierwszym spotkaniu, być może dlatego, że Moira za chwilę miała przyjąć zlecenie, a być może dlatego, że znajdował się w otoczeniu, które mógł kontrolować. Mimo że restauracja była pełna w nieco ponad połowie, tylko oni zajmowali miejsce na wyłożonym kamieniem tarasie. Istny tłum obsługi czekał na jeden gest pana i władcy. Było w tym coś wyraźnie wschodniego, sprawiającego, że łatwo było wyobrazić sobie, iż jest się poza granicami Stanów Zjednoczonych. Gdzieś bardzo daleko.

- Mógłbym skłamać, ale za bardzo cię szanuję. – Essai zwilżył wargi herbatą. – Są powody, dla których historia mojej rodziny może interesować, i to nawet bardzo, pewne osoby z waszego rządu. A także osoby i organizacje sektora prywatnego.

- Dlaczego? – spytała Moira. – I bardzo proszę o konkretną odpowiedź.
- Marokańczyk uśmiechnął się.
- Już w chwili naszego spotkania byłem pewny, że cię polubię. Miałem rację.
- Założyłeś się z Binnssem?

Tym razem Arab roześmiał się głębokim, dźwięcznym śmiechem przypominającym dźwięk wielkiego gongu.

- Powiedział ci o naszym zakładzie? – Pokręcił głową.
- Nasz pan Binns należy do ludzi konserwatywnych. Jeden zakład to wszystko, na co jest skłonny się zgodzić.

Moira zwróciła uwagę na słowo „nasz”, ale postanowiła je zignorować. Na razie.

Essai wypił kolejny łyk herbaty. Jak większość Arabów niechętnie mówił wprost,

preferując aluzje i niedopowiedzenia pozwalające rozmówcom zdobyć cenną wiedzę przed zawarciem ostatecznego układu. Moira oczywiście o tym wiedziała, ale on i jego prawnik zaskoczyli ją, co jej się bardzo nie podobało. Musi odzyskać utracony grunt pod nogami, bo jak na razie wpadała we wszystkie pułapki zastawione przez Araba z rollsa. Uznała, że najlepszym sposobem będzie podyktowanie treści i tempa rozmowy.

– Ma to coś wspólnego z Noahem, prawda? – spytała niespodziewanie. – Pracowałam dla niego w Black River, był wplątany w sprawę pewnego laptopa i dlatego wybrałeś mnie. A może się mylę?

Essai spojrzał jej w oczy.

– Miałem już przyjemność powiedzieć ci, że jesteś właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Z wielu powodów. Znajomość z Noahem Perlisem jest jednym z tych powodów, owszem.

– Co takiego zrobił Noah? Czy to on ukradł laptop?

Arab przejrzał menu.

– Ach, dzisiejszą specjalnością jest sola z Dover. Mogę polecić ją z czystym sumieniem. – Jego utkwione w rozmówczyni oczy były ciemne i poważne. – Podajemy ją z prawdziwym marokańskim kuskusem.

– W takim razie jak mogłabym odmówić?

– Doskonale! – Essai sprawiał wrażenie szczerze uradowanego. Odwrócił się, a kelner już pojawił się przy ich stoliku. Essai złożył zamówienie, oddał mu menu, a kiedy znów byli sami, złożył dłonie, tak że stykały się czubkami palców, i powiedział, nie zmieniając tonu: – Twój nieodżałowanej, jak mniemam, pamięci szef, pan Perlis, z całą pewnością był wplątany w tę sprawę.

Moira aż pochyliła się w jego stronę zaciekawiona.

– I?

Arab skwitował to pytanie wzruszeniem ramion.

– Nie posuniemy się dalej, póki nie potwierdzimy, że zawarliśmy umowę. Zgodzisz się znaleźć mój laptop czy nie?

Moira wiedziała, że oddycha, ale miała też wrażenie, iż znalazła się poza ciałem i przygląda się całej scenie z dużej wysokości. A więc nadeszła ta chwila. Może powiedzieć „nie” nawet teraz, ale okazało się, że wcale nie chce rezygnować z tego zlecenia. Potrzebuje pracy, a ponieważ ten człowiek udzielił jej informacji, dzięki której może ocalić firmę, uznała, że nic nie stoi na przeszkodzie, by przyjąć jego propozycję.

– W porządku. – Usłyszała siebie jakby z bardzo daleka.

– Ale podwójna stawka.

– Załatwione. – Essai skinął głową, jakby od początku był pewny, że Moira podejmie właśnie taką decyzję. – Aż trudno wyrazić, jak cieszą mnie te słowa. Dziękuję ci z głębi serca.

– Podziękujesz mi, kiedy zwrócę ci laptop. A teraz chciałabym usłyszeć coś więcej o Noahu.

– Twój pan Perlis był kimś w rodzaju ryby-pilota. Co oznacza, że prosperował, przejmując inicjatywy innych. – Arab rozłożył szeroko ręce. – Ale nie mówię ci przecież niczego, czego byś sama nie wiedziała.

Moira potwierdziła skinieniem głowy.

– Ta sprawa też nie była wyjątkiem. Wkroczył do gry z pewnym opóźnieniem.

W głowie Moiry odezwał się dzwonek alarmowy.

– Jakim opóźnieniem?

– Misja znalezienia i nielegalnego przejęcia mojego notebooka była pomysłem Centrali Wywiadu. A dokładniej małej jednostki SN...

– SN?

– Środek Nocy. Nie znasz tej nazwy? – Essai machnął ręką, jakby nie miało to znaczenia. – Małej jednostki SN znanej jako Treadstone.

Moira osłupiała.

– Alex Conklin chciał mieć twój laptop?

– Właśnie. – Marokańczyk poprawił się na krześle. Podano im przystawkę, sałatkę z krewetek serwowanych z głowami. Kelner pojawił się i znikł bez słowa.

– I to on zorganizował napad?

– Och, nie. Nie Conklin.

Essai wziął widelec do prawej ręki, umilkł i zaczął zrećznie oddzielać głowy od ciał krewetek. Nagle spojrzał Moirze w oczy z tak szokującą intensywnością, że instynktownie cofnęła się, jakby uciekała z linii ognia.

– To twój przyjaciel Jason Bourne wtargnął do domu, w którym moja rodzina je, śpi i śmieje się wesoło.

W tej jednej, wydającej się ciągnąć w nieskończoność chwili, kiedy to serce Moiry przestało bić, poznała, jakie uczucie opanowuje kierowcę, gdy zawodzą hamulce: samochód rozpędza się, wymyka spod kontroli, a z przeciwka jedzie inny i czołowe zderzenie jest już tylko kwestią sekund.

– W którym żona szyje mi ubrania, córka odpoczywa z głową na moich kolanach, a syn dzień po dniu uczy się, jak być mężczyzną. – Niski, groźny, przepełniony pragnieniem zemsty głos podkreślał każde kolejne słowo. – Kradnąc laptop, Jason Bourne pogwałcił najświętsze zasady mojego życia. – Essai podniósł widelec z nadzianą głową krewetki, jakby był to bojowy sztandar. – A teraz, pani Trevor, na wszystko, co w życiu święte, ty go dla mnie odzyskasz.

Rozdział 5

City o powierzchni niewiele większej niż dwa i pół kilometra kwadratowego jest historycznym centrum miasta zwanego dziś Londynem. W średniowieczu obejmowało Londyn, Westminster i Southwark, otoczone murem obronnym, wzniesionym przez Rzymian w II wieku. Współczesna metropolia wypuściła z niego macki jak pajak rozciągający sieć. Dziś nieco powiększone City jest finansowym pępkiem miasta. Aguardiente Bancorp, będący raczej bankiem handlowym niż detalicznym, miał swój jedyny oddział przy Chancery Lane, nieco na północ od Fleet Street. Patrzący przez jego wysokie, dostojne okna Bourne wyobrażał sobie majestatyczną Temple Bar, historyczną bramę wjazdową, która znikła przed stuleciem, wzniesioną niegdyś na drodze łączącej City, centrum handlowe, z Westminsterem, centrum politycznym. Swą nazwę zawdzięczała kościołowi Temple przed wiekami należącemu do templariuszy. Teraz znajdował się w tym miejscu posąg heraldycznego gryfa i dwa smoki. Bourne nie wyglądał oczywiście jak Bourne, lecz raczej jak Noah Perlis, a to dzięki zakupom poczynionym w sklepie z kosmetykami teatralnymi w Covent Garden.

Szary kamień wnętrza oraz czarny marmur podłogi banku były tak poważne, jak przystało na instytucję mającą wśród klientów większość międzynarodowych firm robiących interesy w City. Kościelny sklepiony sufit był tak wysoko, że wydawał się zamglony jak niebo za ścianami, które, pozbywszy się deszczu, wisały teraz nad miastem jak kruki nad Tower. Bourne przeszedł, budząc ciche echo, do działu skrytek bankowych, którym rządził dżentelmen żywcem wyjęty z powieści Karola Dickensa, chudy w ramionach niczym wieszak na ubrania, o ziemistej cerze i oczach jak paciorki, sprawiających wrażenie, jakby widziały już wszystko, co życie miało im do pokazania.

Bourne przedstawił się, używając paszportu Perlisa. Facet z Dickensa zacisnął wargi, przestudiował drobny druczek, mrużąc przy tym krótkowzroczne oczy, i rękami, na których widać było plamy wątrobowe, podnosząc paszport do światła. Nagle zamknął go i niewyraźnie powiedział: „Pan będzie uprzejmy zaczekać”, i znikł w tajemniczym wnętrzu banku.

Na taflach szkła, ściankach stanowiska urzędnika, z którym rozmawiał, Bourne widział słabe odbicia ludzi, zarówno klientów, jak i pracowników, poruszających się za jego plecami, załatwiających interesy. Dojrzał wśród nich twarz, którą już widział. Mignęła mu dziś nieco wcześniej w sklepie przy Tavistock Street. Nie było w niej nic niezwykłego, wręcz przeciwnie, wydawała się przeciętna pod każdym względem. Tylko Bourne oraz być może garstka ludzi o podobnym doświadczeniu i umiejętnościach potrafiliby rozpoznać przenikliwość spojrzenia, sposób, w jaki nakładano na wielki hol matematyczną siatkę. Obserwował oczy poruszające się w tak dobrze znany mu sposób. Tak, ten mężczyzna wytycza dostępne ścieżki, drogi ucieczki, odległości do wyjść, notuje w pamięci ustawienie strażników i tak dalej.

Po chwili facet z Dickensa wrócił. Twarz miał, jak poprzednio, nieruchomą, obojętną, zamkniętą jak bankowy skarbiec.

– Proszę za mną, szanowny panie – powiedział tak bełkotliwie, jakby płukał gardło. Otworzył drzwi w niskiej marmurowej ścianie, a potem zamknął je za Bourne’em z cichym kliknięciem elektronicznego zamka. Poprowadził go między biurkami z polerowanego drewna, przy których siedzieli urzędnicy, kobiety i mężczyźni, w ciemnych, konserwatywnie skrojonych garsonkach i garniturach. Niektórzy rozmawiali przez telefon, inni z klientami siedzącymi po drugiej stronie biurek. Żadne z nich nie podniosło nawet głowy na odgłos kroków ludzi mijających ich stanowiska pracy.

Przy końcu pułku biurek znajdowały się drzwi z szybką z matowego szkła, przez którą widać było tylko, że w środku pali się światło, nic więcej. Facet z Dickensa przycisnął guzik brzęczyka na framudze. Wywołało to właściwą reakcję: drzwi otworzyły się i chudy urzędnik zrobił krok do tyłu.

– Pójdzie pan prosto, a potem w lewo. Narożne biuro – powiedział i z nieoczekiwanym, kpiącym uśmiechem dodał:

– Pan Herrera wysłucha pańskiej prośby.

Nawet mówił jak postać z Dickensa.

Bourne niemal niedostrzegalnie skinął głową, skręcił w lewo, przeszedł do narożnego biura, zapukał do drzwi i słysząc: „Proszę”, wszedł.

Znalazł się w dużym, umeblowanym drogo wnętrzu ze wspaniałym widokiem na ruchliwe City, zarówno jego historyczne wieże, jak i dziwne postmodernistyczne wieżowce. Przeszłość i przyszłość mieszały się tu, zdaniem Bourne’a, bez szczególnego sukcesu.

Oprócz praktycznych, choć drogich mebli biurowych – biurka, foteli, komód, szafek i tak dalej – w gabinecie, po prawej od wejścia, znajdował się także kącik klubowy zdominowany przez skórzaną kanapę, stolik do kawy ze stali i szkła, fotele do kompletu, lampy i niski kredens służący za barek. Na widok gościa Diego Herrera, bardziej podobny do ojca, niż mogło to wynikać ze zdjęć, wstał zza biurka i ruszył w jego kierunku szeroko uśmiechnięty, z ręką wyciągniętą do powitania.

– Noah! – powiedział serdecznie, głębokim głosem.

– Witaj w domu.

Ściskając mu dłoń, Bourne poczuł czubek ostrza noża sprężynowego przyciśnięty do jego marynarki tuż nad prawą nerką.

– Kim ty, do diabła, jesteś? – spytał Herrera.

Twarz gościa nie zmieniła wyrazu.

– Czy tak zachowuje się godny szacunku bankier?

– Pieprz się.

– Jestem Noah Perlis, widziałeś mój paszport...

– Gówno prawda – powiedział młody Herrera głosem bez wyrazu. – Niespełna tydzień temu Noah zginął na Bali, zabity przez nieznaną osobę lub osoby. Miałeś w tym jakiś udział?

– Przycisnął ostrze noża do marynarki Bourne’a. – Powiedz mi, kim jesteś, albo wykrwawisz się jak świnia w rzeźni.

– Miła perspektywa. – Bourne unieruchomił ramię bankiera w uścisku, a czując, jak naprężają się jego mięśnie, powiedział: – Jeden ruch i tak ci połamię rękę, że już nigdy do niczego ci się nie przyda.

Oczy Diega Hererra płonęły z trudem powstrzymaną furią.

– Ty pierdolcu!

– Proszę się uspokoić, panie Herrera. Jestem przyjacielem pańskiego ojca.

– Nie wierzę.

Bourne wzruszył ramionami.

– Więc proszę do niego zadzwonić. Niech pan mu powie, że odwiedził pana w biurze Adam Stone.

Nie wątpił, że Herrera senior rozpozna pseudonim użyty przez niego kilka tygodni temu, kiedy spotkali się w Sewilli. Diego niczym nie zdradził, że ma zamiar zrobić, co mu kazano, więc Bourne zmienił ton na łagodniejszy i pojednawczy.

– Przyjaźniłem się z Noahem. Jakiś czas temu przekazał mi instrukcję. Gdyby zginął, miałem pójść do jego mieszkania w Belgravii, z określonego miejsca wziąć duplikat paszportu i klucz do skrytki bankowej, a następnie zabrać, cokolwiek w niej znajdzie. Tylko tyle wiem.

Młodego Hererra to nie przekonało.

– Jeśli rzeczywiście był pan jego przyjacielem, to dlaczego nigdy o panu nie mówił?

– Potrafię sobie wyobrazić, że to dla pana bezpieczeństwa, panie Herrera. Wie pan równie dobrze jak ja, w jak głębokiej tajemnicy Noah trzymał niektóre szczegóły swojego życia. Wszystko miał zaszufladkowane, wliczając w to współpracowników i przyjaciół.

– A znajomi?

– Nie miał znajomych. – Bourne wyczuł to podczas ich krótkich, lecz pełnych napięcia spotkań w Monachium i na Bali. – Wie pan o tym równie dobrze jak ja.

Diego Herrera chrząknął. Bourne już miał mu powiedzieć, że był przyjacielem Holly, ale szósty zmysł, zrodzony z lat doświadczeń, ostrzegł go, że to nie najlepszy pomysł. I podsunął inne słowa.

– Poza tym byłem dobrym przyjacielem Tracy Atherton.

To wreszcie wywarło jakieś wrażenie.

– Doprawdy?

Skinął głową.

– Byłem przy niej, kiedy umierała.

Oczy bankiera wyraźnie się zwężyły.

– A gdzie to było?

– W siedzibie Air Afrika. – Bourne nie zawahał się przez chwilę. – Siedem siedem dziewięć Al-Gamhuria Avenue, Chartum. Tak dla dokładności.

– Chryste. – Młody Herrera wreszcie się rozluźnił. – To była tragedia. Prawdziwa tragedia.

Bourne puścił jego ramię, bankier złożył nóż, po czym gestem zaprosił go do kącika klubowego. Bourne usiadł, a Herrera podszedł do stolika grającego rolę baru.

– Chyba powinniśmy się napić, choć jeszcze wcześniej – powiedział. Nalał tequilę ariejo, Herradura Seleccion Suprema, do staroświeckich szklaneczek, na trzy palce, jedną wręczył gościowi i usiadł. Po pierwszym łyku poprosił, przechodząc na „ty”:

– Mógłbyś mi powiedzieć, co się stało?

– Dostarczała obraz – wyjaśnił Bourne, ostrożnie dobierając słowa. – Trafiała pod ogień podczas ataku sił bezpieczeństwa Rosjan, którym chodziło o Nikołaja Jewsenę.

Diego gwałtownie podniósł głowę.

– Tego przemytnika broni?

Bourne przytaknął.

– Używał swojej firmy Air Afrika do odbierania broni od dostawców i transportowania jej do klientów.

Twarz bankiera się zachmurzyła.

– Dla kogo pracował?

Bourne uniósł szklaneczkę do ust. Wpatrywał się w twarz Hererry.

– Dla człowieka imieniem Leonid Danielewicz Arkadin.

– Wypił kolejny łyk starej tequili. – Znasz go?

Diego Herrera spojrział na niego podejrzliwie.

– Dlaczego pytasz?

– Ponieważ zamierzam go zabić – odrzekł Bourne powoli i dobitnie.

• • •

Żyje, pomyślał Leonid Arkadin. Wiaczesław Germanowicz Osierow nie spłonął w korytarzu szpitala w Bangalore. Kurwa, on ciągle żyje!

Patrzył na zdjęcie z obserwacji przedstawiające mężczyznę o straszliwie zniekształconej prawej części twarzy. Ale przynajmniej poważnie go uszkodziłem. Pomacał się po nodze. Rana goiła się bez problemów. To na pewno.

Zainstalował się w starym klasztorze, suchym i pokrytym kurzem niczym przestarzały traktat filozoficzny, wzniesionym na przedmieściu Puerto Penasco, nadmorskiego miasteczka leżącego w północno-zachodniej części meksykańskiego stanu Sonora. No, ale w Puerto Penasco wszystko było przestarzałe. Brzydotę przemysłowego miasta łagodziły tylko białe plaże i ciepła woda. Trudno je było znaleźć na mapie przeciętnego turysty, ale był to powód, dla którego Arkadin wybrał właśnie je. Drugim był ten, że o tej porze roku studenci z Arizony przekraczali granicę, zmierzając właśnie tu, gdzie jest dobra fala, wielkie hotele i policja skłonna przemykać oczy, pod warunkiem że z rąk do rąk przejdzie wystarczająca ilość amerykańskich dolarów. Tłum młodych ludzi zapewniał względne bezpieczeństwo, bo nawet gdyby Osierow z oddziałem morderców jakimś cudem go tu znalazł, rzucaliby się w oczy niczym mnisi wśród studentów podczas wiosennej przerwy semestralnej.

Jak Osierow zdołał wytropić go w Indiach, pozostawało irytującą tajemnicą. Owszem, laptop Gustava Morena był bezpieczny, udało mu się także ponownie połączyć ze zdalnym serwerem, w którym zapisane były kontrakty z potrzebującymi broni klientami, ale paru jego ludzi zginęło i, co gorsza, w jego osławionych systemach bezpieczeństwa ziała dziura. Ktoś z jego organizacji przekazywał informacje Masłowowi.

Arkadin wybierał się na plażę, gdy zadzwoniła jego komórka. Zasięg nie był najlepszy w tej starej dziurze, więc nie ruszył się z miejsca, wpatrzony w chmury na zachodzie podświetlone jak neony.

– Arkadin...

Dzwonił Boris Karpow. Arkadin poczuł satysfakcję.

– Zachowałeś dla siebie wiedzę o tym, dokąd się wybierasz? – zapytał. Znacząca cisza powiedziała mu wszystko. – No tak, może pan nie odpowiadać. Nikogo pan nie znalazł, a samo miejsce zostało dokładnie wyczyszczone.

– Kim oni są? Kto jest kretem Masłowa w mojej organizacji?

Arkadin zastanawiał się przez chwilę, pozwalając pułkownikowi poczuć, jak ostry jest haczyk.

– Obawiam się, że to nie takie proste, Borisie Iljiczu.

– O co ci chodzi?

– Powinien pan pójść tam sam. Powinien uwierzyć w to, co panu powiedziałem. Przez pana nasz układ stał się znacznie bardziej skomplikowany.

– Jaki układ? – spytał Karpow.

– Proszę złapać najbliższy lot międzynarodowy. – Arkadin obserwował zachód słońca nasycający chmury kolorem coraz jaskrawszym, aż nasycił je nim tak bardzo, że aż bolały oczy. Mimo to nie odwrócił wzroku, bo był to bardzo piękny widok.

– Kiedy wylądujesz na LAX... zakładam, że wie pan, co to takiego?

– Oczywiście. Lotnisko międzynarodowe w Los Angeles.

– Więc kiedy pan wylądzuje, zadzwoni pan pod numer, który panu podam.

– Ale...

– Chcesz się dowiedzieć, kto jest kretem, Borisie Iljiczu, więc może nie będziemy przedłużali tej rozmowy. Niech pan zrobi, co mówię.

Arkadin się rozłączył. Przeszedł po piasku, pochylił się i podwinął nogawki spodni. Czuł, jak drobne fale obmywają jego stopy.

• • •

– Być może to nie Arkadin zabił Tracy – powiedział Bourne – ale z pewnością odpowiada za jej śmierć.

Diego Hererra siedział nieruchomo ze szklanką opartą o kolano.

– Zakochałeś się w niej, prawda? – Podniósł rękę, nie dopuszczając gościa do słowa. – Nie musisz odpowiadać, wszyscy kochali się w Tracy, czy tego chciała, czy nie. Takie już wywierała wrażenie. – Skinął głową, jakby sam sobie przyznawał rację. – Jeśli mogę mówić za siebie, właśnie stąd ten efekt. Bo wiesz, niektóre kobiety tak bardzo próbują, że aż czujesz ich desperację, a co to za przyjemność? Z Tracy było zupełnie inaczej. Promieniowała... – pstryknął palcami raz, potem drugi... – jak wy to nazywacie?

– Pewność siebie.

– To też, ale chodzi o coś więcej.

– Opanowanie.

Bankier milczał przez chwilę, a potem energicznie skinął głową.

– No właśnie. Była niemal nadnaturalnie opanowana.

– Prawie zawsze, chyba że dostawała morskiej choroby – powiedział Bourne, pamiętając, jak dziewczyna wymiotowała podczas strasznego lotu z Madrytu do Sewilli.

Diego odrzucił głowę do tyłu i się roześmiał.

– Rzeczywiście, nienawidziła samolotów. Szkoda, że tak często musiała latać. – Wypił łyk ze szklaneczki, ciesząc się smakiem starej tequili. – Wyobrażam sobie, że chcesz wykonać jakieś zadanie, do czego pośmiertnie zobowiązał cię nasz wspólny przyjaciel?

– Im szybciej, tym lepiej.

Wstali i wyszli z gabinetu. Przeszli labiryntem korytarzy, ciemnych i cichych, a potem rampą w dół, do czegoś w rodzaju otwartego skarbcza. Bourne wyjął kluczyk, ale okazało się, że nie musi podawać numeru skrytki, bankier bowiem podszedł wprost do niej. Bourne włożył klucz do odpowiedniej szczeliny, Herrera swój, uniwersalny, do drugiej.

– Razem na trzy.

Jednocześnie obrócili klucze. Małe drzwiczki otworzyły się. Diego wyjął długą metalową skrzynkę. Przeszedł z nią do jednej z zasłoniętych kotarą wnęk zajmujących całą boczną ścianę. Ale postawił ją na parapecie, a nie w jednej z nich.

– Oto pańska własność, señor Stone – powiedział.

– Kiedy pan skończy, proszę zadzwonić. Przyjdę po pana osobiście.

– Dziękuję, señor Herrera.

Bourne wszedł do wnęki, zasunął zasłonę i usiadł na krześle. Przez chwilę, w bezruchu, słuchał oddalających się kroków Diega, po czym pochylił się i otworzył skrzynkę. W środku znalazł książkę, nic więcej. Spojrzał na pierwszą stronę. Było to coś w rodzaju dziennika czy też, stwierdził po chwili lektury, raczej historia relacjonowana zdarzenie po zdarzeniu. Fakty zaczerpnięto z różnych źródeł. Bourne natrafił na pierwsze nazwisko i poczuł, że jeżą mu się włosy na rękach. Rozejrzał się, choć we wnęce nie było nikogo oprócz niego. A jednak powietrze wydawało się drżeć, pojawiła się w nim wyczuwalna energia, jakby duchy, a raczej potwory, wypełzły z zapisków Perlisa i zgromadziły się u jego stóp niczym głodne psy.

Leonid Arkadin, Wiaczesław Germanowicz Osierow czy też, jak go nazywał Perlis, Sława i... Tracy Atherton.

Bourne czytał, a na jego czoło wystąpiły krople potu.

• • •

Niosąca wilgotny piasek woda przelewała się między palcami stóp Arkadina. Dziewczyny w skąpych kostiumach kąpielowych i chudzi chłopcy w szortach surferów, sięgających ich kościstych kolan, grali w siatkówkę lub biegali po plaży, tuż za linią fal, z puszkami piwa w rękach.

Arkadin był wściekły. Masłow, a przede wszystkim Osierow, zapędził go do narożnika. Nie wątpił, że ten drugi przekonał tego pierwszego, by go zaatakował. Frontalny atak nie był w stylu Masłowa, zbyt ostrożnego, zwłaszcza teraz, w czasach bardzo niebezpiecznych dla niego i Kazachów. Rząd trzymał go na muszce, czekając na jakiś błąd. Na razie, dzięki pomocy przyjaciół winnych mu przysługi i własnej, śliskiej przemyślności, udawało mu się wyprzedzać Kreml o krok. Ani jego inkwizytorzy, ani prokuratorzy nie byli w stanie wyprodukować oskarżenia, które ostałoby się w sądzie. Miał wystarczająco dużo dowodów na brudne sprawy sędziów federalnych, by takie próby zduszone zostały w zarodku.

Nie myśląc o tym, co robi, Arkadin wszedł głębiej do oceanu. Woda sięgnęła mu kolan, zmoczyła nogawki spodni. Nic go to nie obchodziło. W Meksyku odczuwał powiew wolności, którego do tej pory nie znał. Może przez powolne tempo życia, a może jego styl pozwalający na docenianie takich prostych przyjemności jak łowienie ryb, przyglądanie się zachodom słońca, picie tequili do późnej nocy i tańczenie z ciemnooką dziewczyną, której kolorowa sukienka unosi się przy każdym okrążeniu partnera. Pieniądze, przynajmniej takie pieniądze,

do których był przyzwyczajony, nie miały tu znaczenia. Ludzie żyli skromnie, i to im wystarczało.

Właśnie w tej chwili ją dostrzegł, a przynajmniej pomyślał, że ją dostrzegł, wynurzającą się z morskiej piany jak Wenus ze lśniącej, różowej muszli. Czerwone słońce świeciło mu prosto w oczy, musiał je zmrużyć, przysłonić dłonią, ale to była przecież Tracy Atherton, smukła, zgrabna, niebieskooka i jasnowłosa, z uśmiechem na ustach tak pogodnym, jakiego jeszcze u niej nie widział. Choć przecież to nie mogła być ona, bo Tracy Atherton nie żyje.

Obserwował ją, kiedy do niego podchodziła. W pewnym momencie dziewczyna odwróciła się, spojrzała na niego i jej podobieństwo do Tracy znikło jak sen. Arkadin odwrócił się twarzą do ostatnich promieni znikającego słońca.

• • •

Tracy Atherton spotkał w Petersburgu, w Ermitażu. Mieszkał wówczas w Moskwie od dwóch lat, pracując dla Masłowa. Ona przyszła podziwiać skarby carów, on miał wyznaczone nieprzyjemne spotkanie z Osierowem. Wszystkie spotkania z Osierowem były nieprzyjemne, a niektóre kończyły się awanturą. Główny morderca Masłowa jakiś czas temu zabił dziecko, chłopca mającego nie więcej niż sześć lat, i za tę potworność Arkadin zamienił mu twarz w krwawą miazgę oraz wybił bark. Gdyby nie interwencja przyjaciela Tarkaniana, doszłoby do zabójstwa. Od tamtej pory dzieląca ich nienawiść rosła, aż osiągnęła masę krytyczną w Bangalore. Jednak Osierow był jak wampir, trudny do zabicia. Śmiejąc się ironicznie, Arkadin postanowił, że następnym razem przebije mu serce osikowym kołkiem. Konieczność nieustannej współpracy z tym człowiekiem uważał za akt sadyzmu ze strony Masłowa, za który pewnego dnia przyjdzie mu zapłacić.

Tego mroźnego petersburskiego ranka przyszedł wcześniej, nie dając Osierowowi szansy zastawienia jakiejś skomplikowanej pułapki. I zamiast niego spotkał wysoką, smukłą blondynkę o wielkich chabrowoniebieskich oczach i szerokim uśmiechu, podziwiającą portret cesarzowej Elżbiety Piotrownej. Ubrana była w sięgający do kostek płaszcz z jeleniej skóry z wysokim kołnierzem ufarbowanym na nieprawdopodobny błękitny kolor, a pod nim, co udało mu się podejrzeć, krwistoczerwoną jedwabną bluzkę. Bez wstępów zapytała go, co sądzi o portrecie.

Arkadin, który do tej pory nie zwracał uwagi na obrazy i w ogóle cokolwiek związanego ze sztuką, co znajdowało się w wielkich salach Ermitażu, spojrzał na obraz i powiedział:

– Namalowano go w tysiąc siedemset pięćdziesiątym ósmym roku. Jakie znaczenie może mieć dla mnie?

Jasnowłosa dziewczyna odwróciła się i spojrzała na niego z taką samą rozbrajającą powagą, z jaką patrzyła przed chwilą na portret.

– To historia twojego kraju. – Wskazała dzieło smukłym palcem o długim paznokciu. – Louis Tocque, który namalował ten portret, był jednym z najpopularniejszych artystów swoich czasów. Przebył drogę z Paryża do Rosji na życzenie Elżbiety, żeby stworzyć jej portret.

Arkadin, stuprocentowy ignorant, tylko wzruszył ramionami.

– I co z tego?

Blondynka uśmiechnęła się jeszcze promienniej.

– Jego przyjazd był dowodem potęgi i statusu Rosji w świecie. W tamtych czasach Francja zachwycała się Rosją. I odwrotnie. Ten obraz powinien wbijać w dumę wszystkich Rosjan.

Arkadin, który miał już gotową cierpką odpowiedź, ugryzł się w język i poświęcił uwagę majestatycznej kobiecie z portretu.

– Piękna, prawda? – spytała dziewczyna.

– No... nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ona.

– Spojrzał na dziewczynę. – Nie wydaje mi się rzeczywista.

– A jednak istniała. – Blondynka gestem skierowała jego uwagę na portret. – Wyobraź sobie, że żyjesz w przeszłości i że stoisz na tym portrecie obok niej.

Jakby zobaczył cesarzową po raz pierwszy albo spojrzał na nią oczami tej dziwnej kobiety, Arkadin ze zdziwieniem usłyszał, że się z nią zgadza.

– Tak – powiedział. – Tak, rzeczywiście, chyba jest bardzo piękna.

– A więc nie przyszedł tu na darmo! – Blondynka nadal uśmiechała się promiennie. Wyciągnęła rękę. – A przy okazji, jestem Tracy Atherton.

Przez chwilę Arkadin rozważał możliwość podania fałszywego nazwiska, co robił niemal automatycznie. Ale tym razem było inaczej.

– Leonid Danielewicz Arkadin.

Powiało zapachem historii, korzenną, tajemniczą wonią róży i cedru. Minęło sporo czasu, nim zorientował się, co go przyciągnęło do Tracy i jednocześnie zawstydziło. Czuł się jak uczeń, zbyt głupi lub zbyt leniwy, by opanować lekcję. Przy niej zawsze boleśnie odczuwał brak formalnego wykształcenia, jak nagość. A jednocześnie już podczas pierwszego spotkania wyczuł, że może ją wykorzystać, wchłonąć to, czego się nauczyła. Dzięki Tracy poznał wartość wiedzy, ale w głębi serca nigdy nie wybaczył jej tego, jak się przez nią poczuł. Wykorzystywał dziewczynę bezlitośnie, traktował okrutnie, a jednocześnie coraz bardziej do siebie przywiązywał.

Zrozumienie przyszło oczywiście później. W tej chwili czuł tylko gniew. Odwrócił się i odszedł bez słowa. Postanowił znaleźć Osierowa, którego towarzystwo nagle wydało mu się miłsze od towarzystwa dziwnej blondynki.

Ale znalezienie go w żaden sposób nie poprawiło mu samopoczucia i nie wpłynęło na odczuwane przez niego zakłopotanie. Nalegał na zmianę zwyczaju, opuszczenie Ermitażu. Wyszli na ulicę Millionnaja. Udało im się znaleźć kawiarnię, nim ich policzki i wargi popękały od lodowatego wiatru.

Zaczął padać śnieg, wydając przy tym dziwny szeleszczący odgłos, jak drapieżniki przemykające po leśnym poszyciu. Arkadin miał nigdy nie zapomnieć, jak zza białej zasłony zmaterializowała się przy nich Tracy. Jej skórzany płaszcz kołysał się przy kostkach niczym zamarzająca fala.

W tamtym czasie, niedługo po tym, gdy Dimitrij Masłow wysłał Osierowa i Miszę Tarkaniana, by uwolnili go z więzienia w jego rodzinnym mieście, Niżnym Tagile, Arkadin był podwładnym Osierowa, który traktował go protekcyjnie, co było nieznośne. W tej chwili uczył go, jak się zabija polityka, co było powodem ich przyjazdu do Petersburga. Ich cel popełnił błąd, obracając się przeciw szefowi ich obu, należało więc pozbyć się go tak szybko i sprawnie, jak to możliwe. Arkadin o tym wiedział, a Osierow wiedział, że Arkadin wie. A jednak kretyn radośnie wbijał mu w głowę to, co oczywiste, powtarzał swoje raz za

razem, doprowadzając go do obłądu, jakby miał do czynienia z tępym, ale bezczelnym pięciolatkiem.

Niewielu ludzi ośmieliłoby się przerwać Osierowowi, ale Tracy owszem. Weszła do kawiarni, zobaczyła Arkadina, pewnie podeszła do ich stolika i powiedziała z brytyjskim akcentem: „Cześć, fajnie znów cię zobaczyć”.

Osierow przerwał monolog i spojrzał na nią wzrokiem, który większość ludzi zmieniłby w kamień, ale Tracy tylko uśmiechnęła się szerzej i przyciągnęła sobie krzesło od sąsiedniego stolika.

– Mogę dołączyć, prawda? Nie przeszkadzam?

Usiadła i zamówiła kawę, nim któryś z nich zdołał zaprotestować. Gdy tylko kelner odszedł, twarz Osierowa złowróźnie pociemniała.

– Słuchaj, nie wiem, kim jesteś i co tu robisz, ale wiedz, że my tu załatwiamy ważne sprawy.

– Zauważyłam. – Dziewczyna tylko machnęła ręką.

– Mną się nie przejmujcie, możecie spokojnie rozmawiać.

Osierow odepchnął krzesło od stolika z przeraźliwym zgrzytem, od którego mogły rozboleć zęby.

– Hej, odpierdol się, damulko.

– Spokojnie – powiedział cicho Arkadin.

– A ty zamknij pieprzoną gębę. – Osierow wstał i oparł się o stolik. – Jeśli nie wyjdiesz już, zaraz, w tej, kurwa, sekundzie, to za chwilę wyjedziesz stąd na tyłku.

Tracy patrzyła na niego, nie mrugając.

– I po co ten język? – zdziwiła się.

– Ona ma rację, Osierow. Odprowadzę ją...

Ale w tym momencie dziewczyna złapała koniec krawata Osierowa, który już prawie wpadł do jej kawy, i Osierow się na nią rzucił. Chwycił kołnierz jej płaszcza i poderwał ją z miejsca. Jedwabna bluzka pękła, a obsługa i goście kawiarni zaczęli obserwować ich z zaciekawieniem. Mieli przeprowadzić tajną misję, a nie zwracać na siebie uwagę, a ten dureń Osierow właśnie to robił.

Akradin też już zdążył wstać.

– Puść ją – syknął, a kiedy Osierow nie zwolnił uścisku, dodał jeszcze ciszej: – Puść ją albo cię zakłuję.

Osierow spojrzał na ostrze noża, mierzące wprost w jego wątrobę. Twarz pociemniała mu jeszcze bardziej, a w nieruchomych oczach pojawił się złowrogi błysk.

– Tego nie zapomnę – powiedział dziwnym głosem i puścił dziewczynę.

Ponieważ nadal patrzył jej oczy, nie było pewne, do kogo kierował te słowa. Arkadin podejrzewał, że do obojga. Nim mogło się zdarzyć coś groźniejszego, obszedł stół, wziął blondynkę pod ramię i wyprowadził ją z kawiarni.

Padający gęsto śnieg niemal natychmiast pokrył ich włosy i ramiona.

– To było bardzo interesujące – odezwała się Tracy.

Arkadin przyjrzał się dziewczynie uważnie, ale nie dostrzegł na jej twarzy strachu.

– Obawiam się, że właśnie zyskałaś bardzo groźnego wroga.

– Wracaj – powiedziała, jakby nie usłyszała jego słów.

– Bez płaszcza lada chwila zamarzniesz na śmierć.

– Chyba nie rozumiesz...

– Znasz Domeę? – zapytała.

Arkadin zamrugał zaskoczony. Czy ona w ogóle słucha, co się do niej mówi? Fala, na której płynęła, zabierała i jego coraz dalej od znanego lądu.

– Restaurację na bulwarze Ermitażu? Wszyscy ją znają.

– Dzisiaj o dwudziestej.

Tracy Atherton obdarzyła go jednym ze swoich patentowanych uśmiechów i zostawiła na śniegu, pod okiem wściekłego Osierowa.

• • •

Dziewczyna, którą Arkadin wziął za Tracy, dawno odeszła, ale pozostawiła po sobie ciągle wilgotne ślady wąskich stóp na piasku, powyżej granicy fal. W wodzie pojawiły się meduzy, opalizujące, jakby świecące własnym światłem. Z oddali dobiegał głos radia; meksykańska dziewczyna śpiewała rancherę. Meduzy wydawały się kołysać do taktu. Nadchodziła noc, niebo rozbłyskiwało gwiazdami. Arkadin wrócił do klasztoru. Zapalił świece, zamiast włączać światło elektryczne, i słuchał smutnej ranchery, zamiast oglądać telewizję. Niewiele trzeba było czasu, by Meksyk wsączył mu się do krwi.

• • •

Zaczynam rozumieć, dlaczego Arkadin i Osierow są śmiertelnymi wrogami, pomyślał Bourne, odrywając wzrok od dziennika Perlisa. Nienawiść to potężne uczucie. Sprawia, że inteligentni ludzie stają się głupcami, a przynajmniej tracą czujność. Być może udało mi się wreszcie znaleźć jego piętę achillesową.

Na razie dość miał lektury. Zamknął skrzynkę depozytową, schował książkę i wcisnął guzik dzwonka oznajmiającego, że skończył. Pozornie mogło się wydawać dziwne, że Perlis użył tak staroświeckiej metody utrwalenia danych, które najwyraźniej uważał za wyjątkowo istotne, ale jeśli się nad tym głębiej zastanowić, miało to sens. Środki elektroniczne łatwo zhakować na wiele różnych sposobów, a ręczne zapiski nie. W skarbcu są całkowicie bezpieczne, a jeśli zajdzie konieczność, do ich zniszczenia wystarczy jedna zapałka. W naszych czasach tylko rezygnacja ze środków technicznych bywa skuteczną ochroną przed hakerami potrafiącymi zinfiltrować najbardziej skomplikowane sieci komputerowe i odzyskać pozornie skasowane pliki.

Diego Herrera odsunął zasłonę, wziął kasetkę, odstawił ją do numerowanej niszy i zamknął drzwiczki, które obaj zabezpieczyli swoimi kluczami.

– Poproszę cię o przysługę – powiedział Bourne, kiedy wychodzili ze skarbcza.

Diego spojrzał na niego zaciekawiony.

– Śledzi mnie pewien człowiek. Jest teraz w banku, czeka, aż pojawię się w holu.

Tym razem młody człowiek się uśmiechnął.

– Odprowadzę cię do wejścia dla klientów, którzy, jeśli można tak powiedzieć, wymagają dyskrecji w większym stopniu niż inni. – Zbliżali się już do biura bankiera, gdy nagle na jego twarzy pojawiła się troska. – Czy mogę spytać, dlaczego ten człowiek cię śledzi?

– Nie wiem, choć najwyraźniej tego rodzaju ludzie obsiedli mnie jak psa pchły.

Diego roześmiał się cicho.

– Noah często powtarzał coś podobnego.

Bourne zdał sobie sprawę, że młody człowiek pyta go, czy pracował dla Perlisa, że nigdy nie zada tego pytania bezpośrednio. Polubił go, tak jak wcześniej polubił jego ojca, ale to przecież nie powód, by mówić mu prawdę. Więc tylko skinął głową, jakby milcząco potwierdzał jego przypuszczenia.

– No więc nie wiem, kim jest, a powinienem się dowiedzieć.

To ważne.

Diego rozłożył ręce.

– Do usług, señor Stone – powiedział w prawdziwie katalońskim stylu.

Chłopak może sobie mieszkać w Londynie, pomyślał Bourne, ale jego serce pozostało w Sewilli.

– Powinno się go wywabić z banku na ulicę, nim wyjdę. Alarm przeciwpożarowy załatwiłby sprawę.

– Zrobione. – Herrera energicznie pokiwał głową. – Ale pod warunkiem, że odwiedzisz mnie jutro wieczorem. – Podał swój adres w Belgravii. – Mamy wspólnych przyjaciół, okazałbym się nieuprzejmy, gdyby nie ofiarował ci gościny.

– Uśmiechnął się, ukazując równe białe zęby. – Zjemy coś, a potem, jeśli nie masz nic przeciwko hazardowi, pojedziemy do Vesper Club przy Fulham Road.

Diego Herrera przejął kontrolę nad sytuacją, ale był raczej rzeczowy niż egoistyczny, w czym bardzo przypominał ojca. Zgadzało się to z informacjami, które Bourne parę tygodni temu znalazł w sieci, ale Vesper Club, kasyno tylko dla osób lubiących grać o wysokie stawki, już nie. Bourne postanowił zapamiętać tę anomalię, po czym przygotował się do działania.

• • •

W Aguardiente Bancorp zawyły syreny. Bourne i Diego Herrera obserwowali strażników, szybko i sprawnie kierujących do wyjść klientów, wśród których był także zauważony wcześniej przez Bourne'a mężczyzna.

On sam wyszedł bocznym wejściem. Na chodniku kłębił się tłum ludzi niewiedzących, co robić. Bourne, bezpiecznie ukryty, zlokalizował swój ogon bez problemu. Mężczyzna szukał go wzrokiem, obserwując front banku, stał jednak tak, by mieć oko i na boczne wyjście. Przeciskając się przez tłum, już niemal dwukrotnie większy, dołączyli bowiem do niego zaciekawieni przechodnie i kierowcy gapiący się z samochodów, Bourne dotarł do niego i stojąc za jego plecami, powiedział:

– Idź prosto w stronę Fleet Street. – Wbił mu w plecy kostki palców. – Każdy pomyśli, że strzał z pistoletu z tłumikiem to wystrzał z rury wydechowej przejeżdżającej ciężarówki. – Uderzył faceta nasadą dłoni w potylicę.

– Kazałem ci się oglądać? No, ruszaj.

Mężczyzna wykonał polecenie. Omijając ludzi, wyszli z tłumy i ruszyli, przyspieszając kroku, Middle Temple Lane. Facet był szeroki w ramionach, miał obcięte najeża brudnoblond włosy i twarz pustą jak pusty parking, o szorstkiej skórze mogącej świadczyć o alergii lub po

prostu o tym, że przez wiele lat wystawiał ją na słońce i wiatr. Bourne wiedział, że czegoś spróbuje, i to raczej prędzej niż później. W ich kierunku szedł jakiś biznesmen rozmawiający przez komórkę. Bourne poczuł, że Jeżyk pochyła się w jego stronę. Facet specjalnie wpadł na biznesmena i pozwolił odrzucić się na bok sile zderzenia. Odwracał się właśnie, zginając prawą rękę w łokciu i zaciskając pięść jak blok cementu, kiedy od tyłu dostał kopniaka w kolano, a jednocześnie silne ręce złapały jego prawe ramię i korzystając z dźwigni z łokcia i przedramienia, połamały mu kości.

Gość skulił się z jękiem. Bourne pochylił się, by postawić go na nogi, i dostałby kolanem w podbrzusze, gdyby nie zrobił uniku, tak że oberwał tylko w udo, boleśnie, lecz niegroźnie.

W tej chwili Bourne zobaczył samochód pędzący jednokierunkową ulicą pod prąd, za szybko, by zwolnić, a z pewnością za szybko, by zatrzymać się, nim w nich uderzy. Zasłonił się przed nim ciałem swojego przeciwnika i używając jego ramion jak trampoliny, wskoczył na dach. Zgrzytnęły hamulce, kierowca dzielnie próbował zatrzymać wóz. Bourne dotknął stopami dachu, a w tym momencie przebiły go wystrzelone z wnętrza kule. Za późno, już ześlizgiwał się po bagażniku.

Usłyszał obrzydliwy lepki stuk zderzaków uderzających w ciało, spod kół poszedł zapach palącej się gumy. Bourne zaryzykował i spojrział przez ramię. Dwaj mężczyźni uzbrojeni w glocki, kierowca i pasażer, odwracali się właśnie w jego stronę. Jednocześnie tłum klientów i pracowników, do tej pory kłębiący się przed wejściem do Aguardiente Bancorp, ruszył ulicą. Ludzie rozmawiali podniesionymi głosami, klikały aparaty telefonów komórkowych. Pojawili się u wylotu Fleet Street, praktycznie unieruchamiając mężczyzn z samochodu. Chwilę później rozległo się znajome wycie policyjnych syren. Bourne wmieszał się w tłum. Przedzierał się przez niego powoli, aż dotarł do Fleet Street i zagubił się w mieście.

Rozdział 6

– Straciłem z nim kontakt – powiedział Frederick Willard.
– Przecież to ci się już zdarzało – zauważył Peter Marks z nadzieją, że okaże się pomocny.
– Teraz jest inaczej – warknął Willard. Ubrany był w konserwatywny garnitur w szerokie dyskretne prążki, wykrochmaloną niebieską koszulę z białym kołnierzykiem i granatowy krawat w białe kropki. – Jeśli obaj nie wykażemy się ostrożnością i sprytem, tym razem ten stan może stać się permanentny.

Gdy tylko zameldował się na pokładzie odrodzonego Treadstone, Mark zaczął rozumieć, że osądzanie energii Willarda po jego wieku jest poważnym błędem. Choć po sześćdziesiątce, wytrzymałością fizyczną górował nad połową agentów terenowych Centrali Wywiadu, a jeśli chodzi o takie funkcje mózgu jak zdolność analizy problemu i znalezienia najlepszego rozwiązania, to Marks uważał go za równie dobrego jak założyciel Treadstone Alex Conklin. A w dodatku posiadał zadziwiającą zdolność odkrywania słabych punktów przeciwnika i znajdowania wciąż nowych sposobów ich wykorzystania. Bez wątplenia miał w sobie coś z sadysty, ale nie było to niczym niezwykłym, bo tajna robota przyciąga sadystów, masochistów i ludzi z innymi defektami psychicznymi, jak gnijący trup przyciąga muchy. Marks dawno odkrył, że sztuką jest wykrycie defektu każdego spotkanego agenta, nim z jego powodu zostaniesz pogrzebany.

W tej chwili siedzieli na kanapie w foyer części dostępnej tylko dla członków organizacji, do której należał Oliver Liss.

– Monition Club. – Peter Marks rozejrzał się chyba po raz setny. – Co to za miejsce, do cholery?

– Nie mam pojęcia – odparł starszy pan z irytacją.
– Cały dzień próbowałem się tego dowiedzieć. I nie znalazłem ani strzępka informacji.
– Coś musi gdzieś być. Na przykład: kto jest właścicielem budynku?
– Spółka holdingowa z Grenady – prychnął Willard.
– Typowa podstawiona spółka, a potem trop tylko się komplikuje. Kimkolwiek są właściciele, niewątpliwie pragną pozostać nieznanymi.
– Wszystko zgodnie z prawem – zauważył Peter.
– Być może, ale mnie wydaje się to równie dziwne jak podejrzane.
– Może powinienem głębiej w tym pogrzebać?

We wnętrzu klubu głos odbijał się echem jak w katedrze, a czarne kamienne ściany, gotyckie łuki i złożone krzyże przywodziły na myśl kościoł. Grube dywany wraz z przesadnie wielkimi meblami tylko potęgowały przytłaczającą ciszę. Od czasu do czasu ktoś wchodził, zamieniał kilka słów z umundurowaną kobietą, ukrytą za wysoką ladą recepcji, po czym znikał w mroku.

Atmosfera do złudzenia przypominała Marksowi tę panującą w nowej Agencji Wywiadu. Z tego, czego zdołał dowiedzieć się od dawnych kolegów, wynikało, że widuje się tam tylko poważne twarze nowych pracowników, a oddycha atmosferą beznadziei. Brzmiało to

zniechęcająco do tego stopnia, że łagodziło poczucie winy, jakie opanowywało go czasem, gdy myślał o tym, że porzucił CI, a zwłaszcza że nie było go na miejscu, gdy Soraya wróciła z Paryża. Chociaż, z drugiej strony, Willard zapewniał go przecież, że dopiero teraz będzie mógł naprawdę jej pomóc. „W ten sposób twoja wiedza i rady będą postrzegane jako bardziej obiektywne, a tym samym wzrośnie ich znaczenie”, powiedział. Okazało się, że ma rację. Peter był pewny, że tylko jemu może udać się wciągnąć ją do Treadstone.

– O czym myślisz? – spytał nieoczekiwanie Willard.

– O niczym.

– Zła odpowiedź. Naszym priorytetem jest teraz znalezienie sposobu na ponowne nawiązanie tajnego kontaktu z Leonidem Arkadinem.

– Dlaczego jest aż tak ważny? Poza tym oczywiście, że to pierwszy absolwent Treadstone i jedyny, który zwiął.

Willard spojrział na niego gniewnie. Nie podobało mu się, że ktoś ośmiela się rzucić mu w twarz jego własne słowa, zwłaszcza ktoś gorszy od niego. To właśnie było jego problemem, jednym z licznych dziwactw, co Marks, bystrzejszy i uczący się szybciej niż większość kolegów z CI, bezbłędnie rozpoznał: starszy pan żyje w poczuciu własnej wyższości i wcale tego nie ukrywa. W tym jego przekonaniu mogło tkwić ziarno prawdy, a może nawet więcej niż ziarno, pomagające mu przejmować kontrolę nad wszystkimi i wszystkim. Peter Marks był nawet przekonany, że to właśnie dzięki arogancji Willardowi udało się zinfiltrować NSA i tak długo utrzymać tam pozycję kamerdynera. O wiele łatwiej jest przyjmować rozkazy swoich panów, gdy wie się, że służy to ich skuteczniejszemu wypieprzeniu.

– Boli mnie, że muszę ci to tłumaczyć jak dziecku, Marks, ale w umyśle Arkadina ukryte są ostatnie sekrety Treadstone. Conklin wypróbował na nim serię technik psychologicznych, o których nic nam dziś nie wiadomo.

– A co z Jasonem Bourne’em?

– Ponieważ Arkadin okazał się tym, kim się okazał, w przypadku Bourne’a już z nich nie skorzystał. W tym sensie możemy mówić, że istnieje między nimi różnica.

– Jak to?

Willard, znany z pedantyzmu, potrząsnął rękami tak, by wystające spod marynarki mankiety obu rękawów koszuli były dokładnie tej samej długości.

– Arkadin nie ma duszy.

– Co? – Marks pokręcił głową, jakby sądził, że nie dosłyszał. – Może się mylę, ale żyłem w przekonaniu, że nie ma techniki, naukowej czy jakiegokolwiek innej, pozwalającej pozbawić człowieka duszy.

Starszy pan tylko przewrócił oczami.

– Na litość boską, Peterze, nie mówię przecież o jakiejś maszynie rodem z powieści science fiction. – Wstał z kanapy.

– Ale pogadaj ze swoim proboszczem, kiedy znów się spotkacie. Zdziwi cię jego odpowiedź. – Skinął na Petera, pokazując mu, że też ma wstać. – Oto nasz nowy pan i władca Oliver Liss.

Peter spojrział na zegarek.

– Czterdzieści minut spóźnienia. Niech żyje punktualność!

Oliver Liss mieszkał na nie tym Wybrzeżu. Wyglądał, zachowywał się i prawdopodobnie nawet myślał o sobie jako o gwiazdzie filmowej. Był przystojny na sposób kultywowany przez elitę Hollywood, tylko że wcale nie wyglądał, jakby nad tym pracował. Może była to wyłącznie zasługa wspaniałych genów? W każdym razie gdziekolwiek wchodził, nie potrzebował entourage'u innego niż jego osobiste słońce, zawsze oświetlające go z nad ramienia. Był wysoki, szczupły, atletycznie zbudowany, u mężczyzn budził gorzką zazdrość. Jego drinki zawsze miały być mocne, steki krwiste, a kobiety jasnowłose z dużym biustem. Najkrócej mówiąc, Hugh Hefner stworzył „Playboya” dla takich mężczyzn jak on.

Na widok gości uśmiechnął się sztucznie i nie zwalniając, gestem zaprosił ich, by przekroczyli strzeżone przez cerbera wrota i weszli wreszcie na pokoje Monition Club. Była akurat pora śniadania. Najwyraźniej, zgodnie z tradycją, jedzono je na ogrodzonym ścianami z cegły tarasie, z którego rozciągał się widok na zamknięty klasztornym krużgankiem ogród, w którym królowały starannie dobrane zioła, choć o tej porze pozostały z niego tylko płaty nagiej ziemi i geometrycznie rozmieszczone niskie żeliwne płotki, których zadaniem było prawdopodobnie oddzielać miętę od szaławii.

Liss poprowadził ich do dużego stolika z inkrustowanym kamiennym blatem. Pachniał pszczelim woskiem i drogą wodą kolońską. Tego dnia przyszedł ubrany jak dżentelmen lubiący wieś: flanelowe spodnie, tweedowa marynarka, krawat w wyglądające na głodne lisy. Drogie brunatnoczerwone mokasyny lśniły własnym światłem.

Kiedy już złożyli zamówienie, wypili świeżo wyciśnięty sok pomarańczowy i po łyku orzeźwiającej kawy z kafetery, Liss przeszedł do rzeczy.

– Wiem, że zajmowała was przeprowadzka do nowego biura, osvajanie się z elektroniką i tak dalej, ale chcę, żebyście odłożyli to na bok. Od tego będzie kierownik administracyjny, wy jesteście zbyt cenni. – Głos miał niski, melodyjny, tak efektowny i męski jak jego buty. – Zatarł ręce niczym ukochany wujek, szczęśliwy, że oto przy stole spotkała się rodzina. – Chcę, żebyście skoncentrowali się na jednej jedynej sprawie. Wygląda na to, że przedwczesna śmierć Noaha Perlisa sprawiła, że pewne sprawy pozostały niedokończone.

Willard sprawiał wrażenie lekko zaskoczonego.

– Nie prosisz nas chyba, żebyśmy znów zanurzyli się w trujących wodach Black River?

– Ależ skąd. Pół roku zajęło mi wyplątanie się z układów w organizacji, którą pomagałem założyć, bo widziałem zbliżającą się szybkimi krokami katastrofę. Wyobraźcie sobie, co wtedy czułem, panowie. – Uniósł palec. – Och, oczywiście, Fredericku, ty potrafiłeś to sobie wyobrazić, przynajmniej częściowo. – Liss pokręcił głową. – Nie, tę sprawę Noah załatwiał dla mnie osobiście i nikt w Black River nie miał z nią nic wspólnego. – Usiadł wygodniej, bo właśnie podano im śniadanie. Znad idealnie przygotowanych jajek po benedyktyńsku mówił dalej: – Noah miał pierścień. Zdołał go wielkim kosztem, także, jak sądzę, kosztem osobistej tragedii. Jest on, mówiąc najprościej, niezwykły. Choć na pierwszy rzut oka przypomina zwykłą obrączkę ślubną, jest to wrażenie całkowicie mylne. Przyjrzyjcie się. – Podał im kilka kolorowych zdjęć. – Jak widzicie, po wewnętrznej stronie wygrawerowano serię symboli czy też, jeśli chcemy użyć technicznego określenia, grafemów.

– Co to takiego te grafemy? – spytał Marks.

– Podstawowa jednostka języka. W zasadzie każdego języka.

Willard przyglądał się zdjęciom, mrużąc oczy.

– Owszem, ale co to za jakiś diabelski język?

– Stworzony ze starożytnego sumeryjskiego, łaciny i Bóg wie, z czego jeszcze. Być może z języka, który nie dotrwał do naszych czasów.

– Chcesz, żebyśmy rzucili wszystko dla takiego czegoś?

– Peter Marks sprawiał wrażenie niebotycznie zdumionego.

– Za kogo nas masz, jakichś Indiana Jonesów?

Liss, jedzący ze smakiem, uśmiechnął się tylko z wyższością.

– Pierścień nie jest aż tak stary, mój przemądrzały przyjacielu. Prawdopodobnie ma nie więcej niż dziesięć, dwadzieścia lat.

– A po co ci on? – Willard pokręcił głową.

– Tajne przez poufne. – Liss znacząco postukał się palcem w bok nosa. – W każdym razie Noah miał pierścień, kiedy zginął z ręki Jasona Bourne’a. Wydaje się jasne, że to właśnie pierścień przyczynił się do jego śmierci.

Teraz Marks pokręcił głową. Wiadomo było, że nie żywi niechęci do Bourne’a.

– Dlaczego to zrobił? Musiał mieć dobry powód.

– Zapamiętajcie sobie jedno: Bourne zamordował znowu, niesprovokowany. – Liss zmierzył Marksa groźnym spojrzeniem. – Znajdźcie Bourne’a, a znajdziecie pierścień.

– Ostrożnie przekłuł żółtko i umoczył w nim trójkątny tost.

– Mam informację, że widziano go w terminalu przylotów na Heathrow, można więc z dużym prawdopodobieństwem założyć, że chce przeszukać mieszkanie Noaha w Belgravii. Od tego zaczniecie. Wysłałem wam szczegóły planu na komórki i zarezerwowałem bilety na nocny lot do Londynu, więc kiedy wasz samolot wyląduje tam rano, będziecie rześcy i gotowi do działania.

Willard odłożył zdjęcia. Wyraz jego twarzy sprawił, że w głowie Marksa rozdzwoniły się dzwonki alarmowe.

– Kiedy zgodziłeś się finansować Treadstone – powiedział cichym i groźnym głosem – zgodziłeś się też, że bym to ja dowodził operacjami.

– Doprawdy? – Oliver Liss spojrzał w niebo, jakby starał się coś sobie przypomnieć. Pokręcił głową. – Nie, nie zgodziłem się.

– Mam szczegółowy plan działania. – Willard wyraźnie akcentował słowa, tak by brzmiały bardziej dobitnie.

– I szczególny powód, by reaktywować Treadstone.

– Doskonale wiem o twojej obsesji na punkcie tego Rosjanina, Leonida Arkadina, ale pozostaje faktem, Fredericku, że nie ty reaktywowałeś Treadstone, lecz ja. Treadstone to moja własność. Z całym dobrodziejstwem inwentarza, w tym oczywiście amunicją. Pracujesz dla mnie, a jeśli wydaje ci się, że jest odwrotnie, popełniasz poważny błąd w ocenie warunków, na jakich cię zatrudniono.

Marks podejrzewał, że Willardowi zaświtała w głowie pewna myśl: przechodząc z CI pod dowództwo Olivera Lissa, wymienił tylko jednego zniechęconego przełożonego na innego. A zatrudniając go, sam przecież powiedział, że jeśli podpisze się cyrograf, nie ma odwrotu. Teraz obaj tkwią w tym po uszy i po gorzki koniec, niezależnie od tego, do którego kręgu

piekła trafiają.

Liss przyglądał się Willardowi. Uśmiechnął się dobrodusznie i machnął ubrudzonym żółtkiem widelcem.

– Jedz, przyjacielu. Śniadanie ci wystygnie.

• • •

Bourne zjadł byle co, przy okazji czytając dalsze fragmenty pamiętnika Noaha Perlisa i zapoznając się ze szczegółami krwawej waśni między Arkadinem i Osierowem. Następnie wrócił do Belgravii, tym razem na ulicę, przy której mieszkała Tracy Atherton. Była zielona i chłodna dzięki mgłę unoszącej się z rynien i wspinającej się po kominach szeregowych domów. Ten, w którym mieszkała, był czysty, zadbane, identyczny jak sąsiednie. Wąskie schody prowadziły stromo do drzwi wejściowych, przy których, co zauważył z dołu, znajdowała się mosiężna tabliczka z nazwiskami właścicieli sześciu mieszkań.

Wcisnął przycisk przy nazwisku Atherton, jakby Tracy nadal żyła, jakby przyszedł tu tylko po to, by spędzić miłe popołudnie w jej przytulnym gniazdku, pijąc, jedząc, kochając się, rozmawiając o sztuce i jej długiej skomplikowanej historii. Zaskoczyło go, gdy odezwał się brzęczyk, a drzwi wejściowe stanęły przed nim otworem. Wszedł i znalazł się w wąskim holu. Mrocznym, wilgotnym i zimnym, jak wilgotne i zimne potrafią być wyłącznie londyńskie wnętrza zimą i wczesną wiosną.

Mieszkanie Tracy znajdowało się na drugim piętrze. Prowadziły do niego bardzo strome schody. Stopnie od czasu do czasu trzeszczały pod jego ciężarem. Dotarł wreszcie na sam tył budynku i wówczas przypomniał sobie jej słowa: „Z tyłu jest alejka, przy której kiedyś były stajnie, przebudowane potem na mieszkania. Rośnie tam grusza. Pięknie kwitnie, a wiosną gnieźdzą się na niej jaskółki oknówki”. Być może właśnie teraz wprowadzają się do gniazda? Ta myśl była jednocześnie i gorzka, i słodka.

Gdy podchodził do nich ostrożnie, drzwi lekko się uchyliły.

Postać, która się w nich pojawiła, oświetlona od tyłu, przez chwilę pozostawała nieruchoma. Bourne zamarł. Serce biło mu jak oszalałe. Był pewny, że patrzy na Tracy, wysoką, smukłą, z długimi blond włosami.

– Tak? W czym mogę panu pomóc?

To oczy przerwały chwilę oczarowania. Były piwne, nie niebieskie i nie tak wielkie. Bourne odkrył, że znowu oddycha.

– Nazywam się Adam Stone. Byłem przyjacielem Tracy.

– Och, oczywiście. Dużo mi o panu mówiła. – Dziewczyna wyciągnęła rękę na powitanie. Wyraz twarzy miała ostrożnie neutralny. – Jestem Chrissie Lincoln, jej siostra. – Cały czas stała w drzwiach. – Poznaliście się w samolocie do Madrytu.

– Właściwie to był lot z Madrytu do Sewilli.

– Słusznie. – Chrissie przyglądała mu się nieufnie.

– Tracy dużo podróżowała. To dobrze, że lubiła latać. Bourne wiedział już, że przechodzi próbę.

– Nienawidziła latania. Pochorowała się w samolocie pięć minut po tym, jak mi się przedstawiła. – Czekał, aż jej siostra coś powie, a ponieważ milczała, dodał: – Czy mogę

wejść? Chciałbym z panią o niej porozmawiać.

– Chyba tak. – Dziewczyna cofnęła się niechętnie. Wszedł do środka. Zamknęła za nim drzwi. Tracy miała rację, mieszkanie było małe, ale tak piękne jak ona sama, umeblowane w kolorach łagodnie żółtym i głębokim pomarańczowym, z kremowymi zasłonami w każdym oknie. Tu i tam leżały małe poduszeczki w kropki, pluszowe zwierzątka uzupełniające wnętrze żywymi kolorami.

Bourne przeszedł przez salon do sypialni.

– Szuka pan czegoś konkretnego, panie Stone?

– Proszę mi mówić Adam. – Skądś wiedział, że w sypialni będą drzwi balkonowe, a za nimi grusza, alejka i stajnie.

– Szukam jaskółek.

– Nie rozumiem. – Ton głosu Chrissie był odrobinę wyższy, cieńszy, mówiła też szybciej niż siostra.

– Tracy mówiła, że wiosną jaskółki wiją gniazda na gruszy.

Chrissie stała tuż za nim. Jej włosy pachniały cytryną. Ubrana była w niezbyt drogą męską koszulę z podwiniętymi rękawami, ukazującymi opalone ręce, dżinsy, ale nie modne, wąskie, tylko solidne levisy podwinięte w kostkach, tanie pantofle na niskich wytartych obcasach, i była lekko spocona, jakby właśnie sprzątała albo czegoś szukała. Nie nosiła biżuterii, nawet obrączki ślubnej, a jednak jej nazwisko brzmiało Lincoln, nie Atherton.

– I co, zauważyłeś coś? – spytała łamiącym się głosem.

– Nie – odparł Bourne, odwracając się do niej.

Dziewczyna ściągnęła brwi. Chwila milczenia się przedłużała.

– Chrissie?

Nie odpowiedziała. Bourne poszedł do kuchni i przyniósł jej szklanek wody. Przyjęła ją w milczeniu, wypić powoli, łyk za łykiem, jakby to było lekarstwo, a kiedy odstawiła szklanek, powiedziała:

– Obawiam się, że popełniłam błąd, wpuszczając cię. Wolałabym, żebyś już sobie poszedł.

Bourne skinął głową. Obejrzał mieszkanie. Nie miał pojęcia, co spodziewał się znaleźć, być może nic, być może chodziło mu tylko o jej zapach pozostały długo po tym, jak odeszła. Noc spędzona w Chartumie była przeżyciem znacznie bardziej intymnym, niż gdyby się kochali. Ten akt, mimo nazwy, może wydawać się bezosobowy, pozbawiony śladu uczucia. Szokująca wiadomość, która dotarła do niego później, że Tracy pracuje dla Leonida Arkadina, była jak policzek. A potem, całe tygodnie po jej śmierci, prześladowało go podejrzenie, że coś się w tym równaniu nie zgadza. Nie wątpił, że rzeczywiście zatrudniał ją Arkadin, ale w głębi duszy był przekonany, że to nie może być takie proste. Całkiem możliwe, że przyszedł tu po coś w rodzaju dowodu, potwierdzenia swych podejrzeń.

Znów stali przy frontowych drzwiach. Chrissie otworzyła je przed nim. Już wychodził, kiedy powiedziała:

– Panie Stone...

– Adam – poprawił ją Bourne.

Próbowała się uśmiechnąć, ale nie potrafiła. Na jej ściągniętej twarzy zastygł wyraz bólu.

– Wiesz, co się zdarzyło w Chartumie?

Milczał. Patrzył na przedpokój, ale widział zakrwawioną twarz Tracy. Trzymał ją na

kolanach.

– Proszę. Wiem, że nie byłam gościnną. Ja... nie potrafię się skupić. – Cofnęła się o krok, zapraszając go, by wszedł.

Bourne odwrócił się z jedną ręką na klamce.

– Jej śmierć... to był przypadek.

Chrissie spojrzała na niego ze strachem, lecz także oczekiwaniem.

– Ty wiesz?

– Byłem przy niej.

Dostrzegł, jak krew odpływa jej z twarzy. Patrzyła na niego nieruchomym spojrzeniem, jakby nie była w stanie odwrócić wzroku, jakby z przerażającą jasnością widziała nieoczekiwany wypadek.

– Powiesz mi, jak umarła?

– Nie sądzę, byś chciała poznać szczegóły.

– Chcę. Tak... muszę wiedzieć. Nie mam innego rodzeństwa.

Zamknęła drzwi na zamek, podeszła do fotela, ale nie usiadła. Stała zapatrzona w przestrzeń.

– Od kiedy się dowiedziałam, żyję w piekle. Śmierć siostry... śmierć siostry nie jest taka jak inne. Nie... nie potrafię tego wyjaśnić.

Bourne przyglądał się jej palcom wbitym w wysokie, gięte oparcie fotela.

– Trafiły w nią odłamki szkła. Jeden przebił ją na wylot. Wykrwawiła się w kilka minut. Nikt nie mógł nic na to poradzić.

– Biedna Tracy. – Chrissie ścisnęła oparcie fotela tak mocno, że aż pobieleły jej kostki palców. – Błagałam ją, żeby została w domu. I błagałam ją, żeby nie przyjmowała tego przeklętego zlecenia.

– Jakiego zlecenia?

– Cholerny Goya.

– Dłaczego opowiedziała ci o Goi?

– Nie chodziło o obraz, tylko o zlecenie. Twierdziła, że to jej ostatnie. Chciała, żebym to wiedziała. Chyba zdawała sobie sprawę, że nie podoba mi się to, co robi. – Zadrzała. – Ten Czarny Obraz... jest zły.

– Powiedziałaś to, jakby był żywą istotą.

Odwróciła się do niego plecami.

– W pewnym sensie żył, bo był związany z tym człowiekiem.

– Z Arkadinem?

– Nie powiedziała mi, jak się nazywa. Ale wyglądało na to, że dawał jej bardzo niebezpieczne zlecenia. Ale płacił tak dobrze, że przyjmowała wszystkie. Przynajmniej tyle się od niej dowiedziałam.

– Nie wierzyłaś jej?

– Och, oczywiście, że wierzyłam. Byłyśmy bardzo młode, kiedy przyrzekłyśmy sobie, że nigdy nie będziemy się okłamywały. – Chrissie miała włosy odrobinę ciemniejsze niż jej siostra i gęstsze, wspaniałe, twarz odrobinę regularniejszą, miększą, bardziej otwartą. A także bardziej zatroskaną. Poruszała się też szybciej niż Tracy, a może tak się tylko wydawało, bo jej ruchy były nerwowe, nieskoordynowane, jakby napędzały je niewidzialne, wewnętrzne

wybuchy.

– Problem pojawił dopiero, kiedy dorosłyśmy. Jestem pewna, że miała mnóstwo sekretów, którymi nigdy się ze mną nie podzieliła.

– A ty jej nie przyciskałaś?

– To ona decydowała, co ma pozostać tajemnicą, a co nie. Uznałam, że ma do tego prawo.

Razem wrócili do sypialni. Chrissie stała, rozglądając się. Wydawała się oszołomiona, jakby gdzieś zgubiła siostrę i teraz nie mogła jej odnaleźć. Padające skośnie przez okno, rozszczepione przez gałęzie gruszy światło rysowało na ścianie romby i prostokąty. Było łagodne, stonowane, jak zdjęcie zrobione w sepii. Dziewczyna wkroczyła w jeden z tych geometrycznych kształtów. Otoczyła się ramionami, jakby w ten sposób mogła powstrzymać emocje.

– Ale jednego jestem pewna: ten człowiek to potwór. Nie pracowałaby dla niego, gdyby nie musiała. Chyba coś na nią miał.

Podejrzenia Bourne'a odezwały się jak echo. Może jednak Chrissie ma mu coś do powiedzenia.

– Potrafisz sobie wyobrazić, co by to mogło być?

– Już ci mówiłam, że Tracy była najbardziej tajemniczą istotą na ziemi.

– Więc nie zauważyłaś niczego, żadnych dziwnych odpowiedzi na twoje pytania, nic?

– Nie. – To jedno słowo dziewczyna przeciągnęła tak, jakby składało się z dwóch sylab. – To znaczy... była jedna rzecz, ale teraz wydaje mi się śmieszna.

– Śmieszna? Jak to?

– Pamiętam, że spotkałyśmy się kiedyś i nie miałyśmy już o czym mówić, po tym jak powiedziałam jej wszystko o sobie. Nudziłam się, bo przecież dla mnie nie było w tym nic nowego.

1 chyba trochę się zdenerwowałam, bo powiedziałam, rozumiesz, tak żartem, że chyba chowa coś w rękawie.

Bourne przechylił głowę.

– Tak?

– No, rozumiesz, ona nie uznała moich słów za zabawne. Wcale nie. W każdym razie z pewnością się nie śmiała. Chodziło mi o chłopaka, może męża, ale zapewniła mnie, bardzo stanowczo, że jestem jej jedyną rodziną.

– Nie myślisz chyba...

– Nie, nie myślę – powiedziała Chrissie z naciskiem.

– To było do niej niepodobne. Nie układało jej się z rodzicami. Nie lubiła wszystkiego, co było z nimi związane, a oni nie akceptowali jej buntowniczej natury. Ja byłam tą dobrą córeczką. Poszłam w ślady ojca, zostałam profesorem w Oksfordzie. A Tracy... Bóg wie, o co ją podejrzewali. W każdym razie miała trzynaście lat, kiedy zaczęli się kłócić. Walczyli jak pies z kotem. Aż pewnego dnia moja siostra wybiegła z domu i już nigdy do niego nie wróciła. Nie, z całą pewnością mogę ci powiedzieć, że nie chciała zakładać rodziny.

– Uznałaś, że to smutne?

– Nie – powiedziała Chrissie nieco wyzywająco.

– Uznałam to za godne podziwu.

– No, w każdym razie mamy zapolować na Bourne’a – powiedział Marks. – To na swój sposób pocieszające. Jest połową równania Treadstone, prawda?

– Nie udawaj głupka – warknął Willard. – Liss nawet nie wspomniał o tym jako o gałęzi pokoju, bo wiedział, że roześmieję mu się w twarz. Wie, że jestem jedynym człowiekiem na ziemi, a w każdym razie jedynym, którego kontroluje, zdolnym dotrzeć do Bourne’a i ujść z życiem. Nie, on zaplanował to od samego początku. To dlatego zgodził się wspierać Treadstone. Tańczyłem, jak mi zagrał.

– To cholernie wysoka cena za pierścień – zauważył Marks. – Musi być rzadkim okazem, cennym lub ważnym.

– Chętnie przyjrzałbym się jeszcze raz tym grawerunkom – przyznał Willard pogrążony w myślach. – To nasz najlepszy sposób, żeby się czegoś dowiedzieć, bo Liss z pewnością nic nam nie powie.

Szli Mall od pomnika Waszyngtona w stronę pomnika Lincolna, trzymając ręce w kieszeniach płaszczy, pochyleni dla obrony przed wiatrem. W ostatniej chwili zdecydowali się skręcić pod pomnik Weteranów Wojny w Wietnamie. Po drodze, każdy na swój sposób, upewnili się, że nikt ich nie śledzi. Nie ufali nikomu, a najmniej Oliverowi Lissowi.

Zatrzymali się. Willard spojrzał na mur, ponury w wiecznym cieniu, westchnął głęboko i zamknął oczy. Na jego ustach pojawił się tajemniczy uśmiech.

– Myśli, że dał mi mata, ale ja mam królową, której nie jest w stanie kontrolować.

Peter pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Willard otworzył oczy.

– O Sorai Moore.

Marks spojrzał na niego zaniepokojony.

– Nie. Tylko nie to.

– Powiedziałem ci, że masz spróbować ją zatrudnić i ty to zrobiłeś.

Dwóch weteranów, jeden popychający wózek inwalidzki drugiego, zeszło po długiej rampie i zatrzymało się przed majestatycznym murem, naprzeciwko ściany nazwisk. Weteran na wózku nie miał nóg. Podał przyjacielowi bukiet i małą amerykańską flagę na drewnianej podstawie. Przyjaciel postawił je przy ścianie, na której wyryto nazwiska ich rodaków, mające przetrwać wiecznie.

Willard, który obserwował tę scenę, odwrócił się. W jego oczach błyszczały łzy.

– Mam dla niej pierwsze zadanie. Musi odnaleźć Leonida Arkadina.

– Sam mówiłeś, że straciłeś jego trop – przypomniał Marks – więc gdzie ma go szukać?

– To jej problem. Cwana z niej dziewczynka. Śledziłem jej karierę, od kiedy Typhon stał się znany. – Uśmiechnął się.

– Powinieneś w nią wierzyć, Peterze. Jest materiałem pierwszej klasy. A poza tym ma naturalną przewagę nad nami, tobą i mną. To bardzo ładna kobieta, niewątpliwie wzbudzająca pożądanie, co oznacza, że Arkadin wyczuje ją z odległości przecznic, albo i dalszej. – Umysł Willarda poruszał się z dużą prędkością po własnej, szczególnej orbicie. – Chcę, żeby była przy nim, Peterze. Chcę, żeby związała się z Arkadinem. Będzie mnie informowała o tym, co

on robi i dlaczego to robi.

Dwaj weterani opuścili głowy pogrążeni we wspomnieniach.

Trwali wśród turystów i krewnych poległych. Niektórzy dotykali palcami wyrytych w ścianie nazwisk. Japońska przewodniczka powiewająca żółtą chorągiewką zgromadziła wokół siebie pstrykającą zdjęcie za zdjęciem wycieczkę.

Marks przeczesał ręką włosy.

– Chyba nie oczekujesz... Jezu! Chcesz, żebym robił za jej alfonsa?

Willard wyglądał tak, jakby właśnie jadł cytrynę.

– A kiedy to wstąpiłeś do harcerstwa? Bo nie w Centrali Wywiadu, to wiem na pewno. Stary zjadłby twoje wrażliwe serduszko na lunch.

– Jest moją przyjaciółką, Fred. Od wielu lat.

– W tym biznesie nie ma przyjaciół, tylko zgorzkniali i ciemiężeni. Tak to już jest.

Marks był tak ponury jak Willard pod koniec śniadania z Lissem.

– Przydzielisz jej zadanie przed naszym odlotem do Londynu. – Willard zerknął na zegarek.
– Co oznacza, że masz niecałe sześć godzin na przygotowanie się do wyjazdu i załatwienie sprawy. – Uśmiechnął się drapieżnie. – Taki sprytny chłopak jak ty powinien sobie poradzić, prawda?

Rozdział 7

– Na mnie już czas – powiedział Bourne. – Sen przyda się nam obojgu.

– Nie chcę spać – zaprotestowała Chrissie, uśmiechnęła się lekko i zaśpiewała *Nocne koszmary*, po czym pytająco przechyliła głowę. – Kate Bush. Znasz ją?

– To z *Wichrowych wzgórz*, prawda?

– Tak. Moja córka, Scarlett, jest jej wielbicielką. W Oksfordzie tego nie słuchają, możesz mi wierzyć.

Minęła północ. Bourne poszedł do hinduskiej restauracji, kupił coś na kolację i wrócił do mieszkania Tracy, gdzie Chrissie zjadła kilka kęsów, a potem patrzyła, jak on je. Biorąc pod uwagę gwałtowną naturę tego, co zdarzyło się wcześniej, przed bankiem, nie powinien teraz ryzykować spacerów po ulicach, a nawet wrócić do hotelu.

Obserwując dziewczynę siedzącą naprzeciwko niego, na kanapie, przypomniał sobie jeszcze jedną rozmowę z Tracy. Było to w Chartumie, wieczorem w przeddzień jej śmierci.

„W wyobraźni każdy może być, kim chce, robić, co chce. Wszystko jest płynne. A tymczasem w rzeczywistości doprowadzić do zmiany, jakiegokolwiek zmiany, jest tak cholernie trudno, wysiłek męczy i w dodatku przegrywasz z siłami z zewnątrz, pozostającymi całkowicie poza twoją kontrolą”.

„Możesz przyjąć całkiem nową tożsamość”, powiedział wtedy. „Przeprowadzanie zmian jest łatwiejsze, ponieważ swoją historię tworzysz od nowa”.

Tracy skinęła głową.

„Owszem, ale w czymś takim też są pułapki. Nie masz rodziców, nie masz przyjaciół. No, chyba że samotność ci odpowiada”.

Teraz zwrócił się do Chrissie.

– Wieczorem w przeddzień śmierci powiedziała mi coś, co sprawiło, że sądzę, iż w innym czasie, w innym miejscu cieszyłaby ją perspektywa założenia rodziny.

Przez chwilę mogło się wydawać, że uszło z niej powietrze.

– No to już wiesz, co to przekłeta ironia. – Odzyskała panowanie nad sobą, przynajmniej trochę, i mówiła dalej:

– Wiesz, może to zabawne, chociaż teraz, kiedy o tym myślę, wydaje się raczej cholernie tragiczne, ale czasami zwyczajnie jej zazdrościłam. Żadnych stałych związków. Nigdy nie wyszła za mąż, mogła robić, co chciała, kiedy chciała... i robiła. Pod tym względem była jak rakietka, choćby i przez to, że nie lubiła spokoju, a uwielbiała ryzyko. Zupełnie jakby niebezpieczeństwo było dla niej, nie wiem... afrodyzjakiem? A może raczej jak to uczucie, które niektórzy mają na kolejce górskiej, że jadą za szybko i już prawie wszystko jest poza ich kontrolą.

– Chrissie roześmiała się cicho, gorzko. – Kiedy ostatni raz jechałam kolejką górską, pochorowałam się.

Jakaś część Bourne'a współczuła tej kobiecie, ale inna część, ta zawodowa, inaczej mówiąc, tożsamość Bourne'a, kazała mu szukać drogi, którą mógłby wniknąć w nią głębiej,

sposobu na sprawdzenie, czy Chrissie ma mu jeszcze coś do powiedzenia o siostrze i jej tajemniczym związku z Leonidem Arkadinem. Widział w tej kobiecie tylko drogę prowadzącą do celu, kolejny etap, a nie ludzką istotę. Nienawidził się za to, a jednak to między innymi ta obojętność sprawiła, że tak dobrze robił to, co robił. Taki już był, a w każdym razie takim uczyniło go Treadstone. W każdym razie, na dobre czy złe, został przerobiony, wytrenowany, wyspecjalizowany. Dokładnie tak jak Arkadin. A jednak dzieliła ich przepaść, tak wielka i głęboka, że Bourne nie widział jej dna i nawet nie domyślał się głębokości. On i Arkadin stali po jej przeciwnych stronach. Szukali sposobów na zniszczenie przeciwnika, ale takich, by nie zniszczyć jednocześnie samych siebie. Były chwile, gdy wątpił, czy to w ogóle możliwe i czy uwolnienie tego świata od jednego z nich nie oznacza uwolnienie go od ich obu.

– Wiesz, czego bym chciała? – Chrissie spojrzała mu w oczy. – Pamiętasz ten film, *Superman*? To nie arcydzieło, przyznaję... ale w każdym razie Lois Lane umiera i pogrążony w nieopanowanym żalu Superman wznosi się w powietrze. Lata naokoło Ziemi coraz szybciej i szybciej, szybciej od dźwięku, szybciej od światła, tak szybko, że cofa czas, wraca do chwili, kiedy Lois miała zginąć, i ratuje ją. – Nie spuszczała wzroku z jego twarzy, ale to nie ją widziała.

– Szkoda, że nie jestem Supermanem.

– I nie możesz uratować Tracy?

– Bardzo bym chciała. Ale w odróżnieniu od tego, co scenarzyści kazali zrobić w filmie *Supermanowi*, gdybym nie mogła, to przynajmniej... przynajmniej wiedziałabym, co, do diabła, zrobić z moim smutkiem. – Próbowwała odetchnąć głęboko, ale tylko zadławiła się łzami. – Czuję się taka ciężka, jakby do ciała przywiązano mi kotwicę albo ciało Tracy, zimne i sztywne i... niemające się już nigdy poruszyć.

– To minie – zapewnił ją Bourne.

– Owszem, przypuszczam, że minie, ale jeśli ja nie chcę, żeby minęło?

– Chcesz zstąpić za nią w ciemność? A co ze Scarlett? Co będzie z nią?

Chrissie zaczerwieniła się i zerwała na równe nogi. Bourne poszedł za nią do sypialni. Stała przy drzwiach balkonowych, wpatrzona w gruszę, oświetloną teraz srebrnym blaskiem księżyca.

– Do diabła, Tracy, dlaczego odeszłaś? Gdyby tu teraz była, przysięgam, skrzyłabym jej kark.

– A co najmniej kazałabyś jej przysiąc, że już nigdy nie skontaktuje się z Arkadinem.

Bourne miał nadzieję, że wprowadzając to nazwisko do rozmowy, przywoła wspomnienia, które umknęły jej wcześniej. Wyczuwał, że mogą doprowadzić do decydującego zwrotu w sprawie. Nie zamierzał wyjść, póki Chrissie go nie wyrzuci. Sądził, że do tego nie dojdzie, jest teraz jej ostatnim łącznikiem z siostrą, towarzyszącym jej w ostatnich chwilach. Dla Chrissie znaczyło to bardzo wiele, wyczuwał też, że ich do siebie zbliża, czyni śmierć Tracy łatwiejszą do zniesienia.

– Słuchaj – powiedział łagodnie – czy wspominała ci kiedykolwiek, jak się poznali?

Pokręciła głową, a potem powiedziała:

– Może w Rosji? W Sankt Petersburgu? Pojechała tam, żeby zwiedzić Ermitaż. Pamiętam, bo miałam jechać z nią, wszystko było przygotowane, ale Scarlett dostała nagle infekcji ucha. Wysoka gorączka, dezorientacja, wszystkie klasyczne objawy. Boże, jakże moje życie różniło

się od jej życia! A teraz... teraz to. Scarlett będzie zrozpaczona. – Nagle ściągnęła brwi. – A właściwie po co tu przyszedłeś, Adamie?

– Ponieważ chciałem mieć coś, co by mi o niej przypominało. Ponieważ nie miałem dokąd pójść. – Bourne zorientował się ponieważ, że mówi prawdę, a przynajmniej w jego słowach jest cała prawda, którą zamierzał podzielić się z tą kobietą.

– Ja także – westchnęła Chrissie. – Kiedy przyszła wiadomość, Scarlett była u rodziny. Doskonale się bawiła i chyba nadal się bawi, sądząc z jej ostatnich SMS-ów.

– Wpatrywała się w Bourne'a, ale myślała o czymś zupełnie innym. – Oczywiście możesz się rozejrzeć. Weź na pamiętkę, cokolwiek ci się spodoba.

– Dziękuję. Doceniam, co dla mnie robisz.

Skinęła głową w zamyśleniu i wróciła do kontemplacji stajni i drzewa gruszy. Chwilę później westchnęła cicho.

– Są!

Bourne wstał i podszedł do okna.

– Wróciły – powiedział. – Jaskółki wróciły.

• • •

Arkadin obudził się o świcie, włożył slipki i rozpoczął poranny bieg po plaży przy granicy fal. Niebo zapełniały kormorany i pelikany, łakome mewy skakały po piasku, uczując na resztkach z nocnych pijackich zabaw. Pobiegł na wschód, aż do jednego z wielkich, zamkniętych ośrodków wypoczynkowych. Tam zawrócił, a potem wskoczył do wody. Pływał przez czterdzieści minut. Kiedy wrócił do klasztoru, na telefonie komórkowym miał ponad dwadzieścia wiadomości, wśród nich także od Borisa Karpowa. Wziął prysznic, ubrał się, a potem pokroił świeże owoce: ananasy, papaje, banany, pomarańcze. Zjadł je z jogurtem. Ironia polegała na tym, że zdrowego odżywiania nauczył się właśnie w Meksyku.

Wytarł usta grzbietem dłoni, wziął telefon i wybrał pierwszy numer. Dowiedział się, że najnowszy transport idący kanałem Gustava Morena nie dotarł do klienta. Czy jest opóźniony, czy zaginął, w tej chwili nie sposób powiedzieć. Poleciał, by informować go na bieżąco, i przerwał rozmowę świadomy, że tą sprawą będzie musiał zająć się osobiście i, jeśli do tego dojdzie, osobiście wymierzyć surową karę. Zadzwonił do Karpowa.

– Jestem na LAX – usłyszał. – Co teraz?

– Teraz się spotkamy. Niech pan złapie przedpołudniowy lot do Tucson, a wcześniej zadzwoni i zarezerwuje samochód, dwuosobowy kabriolet, im starszy i bardziej poobijany, tym lepiej. – Arkadin udzielił rozmówcy instrukcji, także tych, dokąd ma pojechać i jaką drogą. – Proszę jechać z opuszczonym dachem i czekać w podanym miejscu godzinę lub nawet dłużej, póki nie przekonam się, że zrobił pan wszystko jak należy. Czy to jasne?

– Będę przed zachodem słońca – powiedział Karpow.

• • •

Bourne czuwał. Słuchał dźwięków mieszkania, budynku, sąsiedztwa, słuchał Londynu oddychającego powoli jak gigantyczna bestia. Odwrócił głowę. Chrissie weszła do salonu. Godzinę wcześniej, tuż przed czwartą, poszła do sypialni, ale paląca się przy łóżku lampa i

suchy szelest przewracanych kartek powiedziały mu, że nie zasnęła. Być może nawet nie próbowała.

– Jeszcze się nie płożyłeś? – spytała miękkim głosem przypominającym cichy pomruk, jakby naprawdę właśnie się obudziła.

– Nie.

Bourne siedział na kanapie. Myśli miał czarne jak dno oceanu. Sen nie nadchodził. W pewnej chwili pomyślał, że słyszy westchnienie Chrissie, ale był to tylko oddech miasta.

Podeszła i przysiadła na drugim końcu kanapy, podwijając nogi.

– Chciałabym tu zostać, jeśli ci to nie przeszkadza.

Skinął głową.

– Nie powiedziałaś mi nic o sobie.

Bourne milczał. Nie chciał jej okłamywać.

Ulicą przejechał samochód, potem drugi. Zapadła cisza. Przerwało ją szczekanie psa. Miasto wydawało się nieruchome, jakby zamknięte w kostce lodu. Bourne nie słyszał nawet bicia własnego serca.

Na wargach dziewczyny pojawił się cień uśmiechu.

– Zupełnie jak Tracy.

Czas mijał. Ciężkie powieki opadły jej na oczy. Zwinęła się jak kot, z głową w ramionach. Usłyszał westchnienie, a już po chwili Chrissie spała. Wkrótce potem zasnął i Bourne.

• • •

– Chyba zwariowałeś – prychnęła Soraya Moore. – Nie uwiodę Arkadina ani dla ciebie, ani dla Willarda, ani dla nikogo.

– Rozumiem, że masz wątpliwości, ale...

– Nie, Peterze. Nie sądzę, żebyś rozumiał. Prawdę mówiąc, jestem pewna, że nie rozumiesz. Gdybyś rozumiał, nie byłoby żadnego „ale”.

Soraya wstała i podeszła do barierki. Siedzieli na ławce przy brzegu kanału, w Georgetown. Błyszczały światła, łodzie drzemały, nieruchome na swoich miejscach na przystani. Za ich plecami spacerowali młodzi ludzie, popijający i całujący się. Grupka stojących nieco dalej, potracających się i przepychających nastolatków od czasu do czasu wybuchała głośnym śmiechem. Wyglądało na to, że dzieciaki przesyłają sobie nawzajem SMS-y. Pogoda była dla nich łaskawa, ciepła, a po niebie tylko od czasu do czasu przemykała jakaś chmurka.

Marks wstał i podszedł do Sorai. Westchnął, jakby to jego irytowała ta rozmowa, co tylko jeszcze bardziej ją rozzłościło.

– Dlaczego musi być tak, że kobiety się poniża, że mężczyźni chętnie używają wyłącznie ich ciał!

Nie było to pytanie i Marks doskonale o tym wiedział. Podejrzewał, że źródłem jej gniewu jest przede wszystkim to, że z taką propozycją zwrócił się do niej właśnie on. Dobry, zaufany przyjaciel. Willard oczywiście od samego początku tak to zaplanował. Wiedział, że Soraya uzna zadanie za obraźliwe, zareaguje gwałtowniej niż inne kobiety, mniej pewne siebie i swoich zdolności, i wiedział, że Peter Marks jest jedynym człowiekiem na świecie zdolnym

sprzedać jej ten pomysł. Prawdę mówiąc, był pewny, że gdyby zwrócił się do niej osobiście, kazałaby mu się odpieprzyć i odeszła, nie oglądając się za siebie. Przewidział też – i się nie pomylił – że dla jego podwładnego zostanie. Gotowała się z wściekłości, oczywiście, ale nie kazała mu spadać.

– Kobiety, przez stulecia lekceważone przez mężczyzn, wypracowały sobie własne, wyjątkowe sposoby osiągania stawianych sobie celów – pieniędzy, władzy, możliwości podejmowania decyzji – sprawdzające się doskonale w zdominowanym przez mężczyznę społeczeństwie.

– Nie mam zamiaru słuchać teraz wykładu o roli kobiety w historii – prychnęła Soraya.

Marks zignorował te słowa.

– Cokolwiek sobie myślisz, pozostaje bezdyskusyjny fakt, że kobiety mają wyjątkowe zdolności.

– Czy mógłbyś przestać używać słowa „wyjątkowe”?

– Zdolności do przyciągania mężczyzn, uwodzenia ich, znajdowania szczelin w ich zbrojach i wykorzystywania tej wiedzy przeciwko nim. Lepiej ode mnie wiesz, jak potężną bronią jest umiejętnie użyty seks. Przede wszystkim w tajnych służbach. – Spojrzał jej w oczy. – W naszym świecie.

– Jezu Chryste, co za nędzny skurwiol z ciebie. – Soraya oparła się o barierkę. Mocno zacisnęła na niej palce, z charakterystyczną dla niej męską pewnością siebie.

Marks wyjął z kieszeni komórkę i wyświetlił portretowe zdjęcie Arkadina.

– Przystojny sukinsyn, nie? I cholernie pociągający, przynajmniej tak mi mówiono.

– Jesteś obrzydliwy.

– To oburzenie do ciebie nie pasuje.

– Ale pieprzenie się z Arkadinem tak? – Soraya oddała mu telefon. Marks go nie przyjął.

– Możesz protestować, ile chcesz, ale pozostanie faktem, że zajmujesz się szpiegowaniem i że jesteś szpiegiem. A dokładniej, że sama wybrałaś taki sposób na życie. Nikt cię do tego nie zmuszał.

– Nie? A co ty teraz robisz?

Marks zaryzykował, ale było to skalkulowane ryzyko.

– Nie postawiłem ci ultimatum. W każdej chwili możesz odejść.

– I co wtedy? Nie mam nic. Będę nikim.

– Możesz wrócić do Kairu, wyjść za Amuna Chaltuma, urodzić mu dzieci.

Starł się, by nie zabrzmiało to nieprzyjemnie, ale sam pomysł był ze swej natury nieprzyjemny, a raczej nikczemny. W każdym razie Soraya tak go właśnie odebrała. I w tej chwili, jak ostatni i najcięższy cios, spadła na nią świadomość, jak spieprzył jej życie niejaki M. Errol Danziger. Zamknął przed nią drogę kariery w Centrali Wywiadu i już samo to wydawało się wystarczająco złe, ale nie, było jeszcze gorzej: uniemożliwił jej pracę w którejkolwiek konkurencyjnej agencji rządowej. Prywatne agencje zarządzania ryzykiem też nie wchodziły w rachubę, bo nie miała zamiaru dołączyć do bandy najemników w rodzaju Black River. Odwróciła głowę i przygryzła wargi, by powstrzymać łzy gniewu. Wyobraziła sobie, że czuje teraz dokładnie to, co przez wieki czuły kobiety wkraczające w męski świat, przyjmujące rozkazy, zaciskające usta, by nie ujawnić swoich opinii, gromadzące sekrety wyszeptane im do ucha po wypełnionej seksem nocy, czekające na właściwy moment...

– To nie jest tak, jakbyś nie znała faceta. – Marks starał się, by w jego głosie nie słychać było zniecierpliwienia.

– Wiesz, że należy do najgorszych, Rayo. Jeśli zdobędziesz jego względy, to ze świadomością, że zrobiłaś coś dobrego.

– Każdy z was tak mówi.

– Nie. Każdy z nas robi to, co musi zrobić. Od tego wszystko się zaczyna i na tym kończy.

– Łatwo ci mówić. Nikt ci nie kazał...

– Nie możesz wiedzieć, kto mi kazał i co.

Soraya znów odwróciła się do niego plecami. Peter przyglądał jej się, stojącej nieruchomo, wpatrzony w wody kanału, odbijające kolorowe plamy światła. Po lewej stronie dzieciaki znów wybuchnęły głośnym śmiechem.

– Co ja bym dała, żeby być jedną z nich – westchnęła Soraya. – Nie przejmować się całym tym pieprzonym światem.

Peter Marks odetchnął głęboko. Teraz już wiedział, że Soraya Moore przełknie gorzką pigułkę i zaakceptuje przydzielone jej zadanie.

• • •

– Ciekawe. Naprawdę bardzo ciekawe. – W ciepłym świetle porannego słońca Chrissie studiowała grawerunek po wewnętrznej stronie pierścienia, który Bourne odebrał Noahowi Perlisowi.

– Znam języki – powiedział Bourne – ale to nie jest żaden istniejący język, prawda?

– No cóż, trudno powiedzieć. Ma niektóre cechy sumeryjskiego i zapewne także łaciny, choć naprawdę nie jest żadnym z nich. – Dziewczyna spojrzała na Bourne'a. – Skąd go masz?

– Nie ma w tym sensu, prawda? – spytał.

– Najmniejszego.

Chrissie zaparzyła kawę, a Bourne w tym czasie grzebał w lodówce. Znalazł w niej dwa racuszki; sądząc po kryształkach lodu na torebce, długo w niej leżały. Zjedli je z odrobiną dżemu, na stojąco. Oboje przepełniała nerwowa energia. Żadne z nich nie wspomniało o wydarzeniach ostatniej nocy. Potem Bourne pokazał Chrissie swoją zdobycz.

– Ale to tylko moja opinia, a przecież nie jestem ekspertem.

– Chrissie oddała mu pierścień. – Moglibyśmy dowiedzieć się czegoś, tylko gdybym zabrała ją do Oksfordu. Mam tam przyjaciela, profesora Centrum Studiów nad Dokumentami Starożytnymi. Jeśli w ogóle można odcyfrować te znaki, on z pewnością to zrobi.

• • •

Dopiero po północy porucznik R. Simmons Reade wytropił swojego szefa na całonocnym korcie do squasha w Wirginii. Trzy razy w tygodniu przez dwie trudne godziny dyrektor CI grał tu z miejscowym instruktorem. Reade był jedynym człowiekiem w Centrali mogącym przekazywać Danzigerowi złe wieści bez obawy i bez poczucia winy. Był jego ulubionym uczniem, gdy Danziger przez krótki czas wykładał w tajnej Akademii Operacji Specjalnych NSA. Stary, pogardzający wszystkim, co reprezentowała Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, nazywał ją Dużą Uważną Poważną Akademią i chętnie posługiwał się skrótem

tej nazwy.

Reade doczekał końca ostatniej partii, a potem zwrócił na siebie uwagę, wychodząc na kort, duszny i śmierzdzący potem, mimo działającej przez cały czas klimatyzacji.

Danziger oddał raketę instruktorowi, zarzucił na ramiona ręcznik i podszedł do swojego adiutanta.

– Jak źle? – spytał. Wyjaśnienia nie były potrzebne. Fakt, że Reade odnalazł go o tej godzinie i że pofatygował się osobiście, zamiast skorzystać z telefonu, mówił sam za siebie.

– Zespół mający złapać i wywieźć Bourne'a z Londynu został przez niego zneutralizowany. Część jego członków nie żyje, resztę zatrzymała brytyjska policja.

– Jezu Chryste, jak ten facet to robi? Nic dziwnego, że Bud potrzebował mnie na stanowisku dyrektora.

Usiedli na trybunie. Korty opustoszały, w panującej ciszy słychać było tylko szum klimatyzacji.

– Czy Bourne nadal jest w Londynie?

Reade skinął głową.

– W chwili obecnej tak, szefie.

– Coven też, poruczniku?

Dyrektor zwracał się do niego w ten sposób, tylko kiedy był naprawdę wściekły.

– Tak jest.

– Dlaczego nie interweniował?

– Zdarzyło się to w miejscu publicznym. Obecność potencjalnych świadków uniemożliwiła mu zgarnięcie go z ulicy.

– Inne opcje?

– Można to uznać za żałosne, ale innych opcji brak – wyznał Reade. – Czy mam zrobić coś w tej sprawie? Mogę skontaktować się z naszymi ludźmi w NSA...

– We właściwym czasie, Randy. Na razie nie mogę potrząsnąć drzewem i ściągnąć naszych agentów hurtowo. Żadnej polityki, o czym Bud przypomniał mi dość dobitnie.

Nie, musimy rozegrać to jak najlepiej tymi kartami, które mamy.

– Sądząc po ofiarach, Coven jest cholernie dobry.

– Doskonale. – Dyrektor Centrali Wywiadu klepnął się po udach i wstał. – Więc napuść go na Bourne'a. Powiedz mu, że ma wolną rękę. Niech go ściągnie, obojętne jak.

Rozdział 8

Po przyjęciu zleconego jej przez Petera Marksa zadania, odnalezienia Arkadina i nawiązania z nim znajomości, Soraya Moore wróciła do mieszkania Delii Trane będącego jej tymczasową kryjówką. Ostatnie dwie godziny spędziła przy podłączonej do komputera komórce, kontaktując się z wieloma agentami terenowymi Typhona. Bo choć Typhon już do niej nie należał, nie można było tego powiedzieć o ludziach, których zatrudniła i których uczyła wysoce wyspecjalizowanych technik monitorowania i infiltracji kadr sunnitów i szyitów, grup rebelianckich, zwolenników dżihadu i ekstremistycznych polityków w dosłownie każdym kraju Środkowego i Dalekiego Wschodu. Niezależnie od tego, jakie otrzymali rozkazy i kto teraz rządził Typhonem, pozostali wobec niej lojalni.

W tej chwili rozmawiała z Jusufem, kontaktem w Chartumie. Arkadin był dobrze znany w tej części świata zwłaszcza teraz, gdy dostarczał większość szmuglowanej tam broni.

– Na Środkowym Wschodzie go nie ma – mówił Jusuf.

– Może skrył się w górach Azerbejdżanu?

– W Europie, w Rosji i na Ukrainie też nie. Zdążyłam sprawdzić i wiem to na pewno – oznajmiła Soraya. – Masz jakieś pojęcie, dlaczego się ukrywa?

– Jego mentor z dawnych lat, Dimitrij Masłow, wydał na niego fatwę, czy jak tam Rosjanie to nazywają.

– Potrafię nawet zrozumieć dlaczego. Masłow najął go, żeby przejął w jego imieniu biznes handlu bronią od Nikołaja Jewsena, i to właśnie robił przed paroma tygodniami w Chartumie. Ale potem prysnął z kompletną listą klientów Jewsena przechowywaną na jego serwerze.

– No więc plotka głosi, że Masłow dopadł faceta w Bangalore, ale nie zdołał ani go złapać, ani zabić. A potem Arkadin znikł.

– W naszych czasach nikomu nie uda się zniknąć, a przynajmniej nie na długo – zauważyła Soraya.

– No, to chociaż wiesz już, gdzie go nie ma.

– Nie da się ukryć. – Soraya zamyśliła się na chwilę.

– Znajdę kogoś, kto przejrzy taśmy systemów bezpieczeństwa na stanowiskach imigracyjnych obu Ameryk, a może i Australii? Zobaczymy, co z tego wyniknie.

• • •

David Webb dwukrotnie związany był z Oksfordem, najstarszą instytucją edukacyjną anglosaskiego świata. O tym Bourne wiedział, choć oczywiście mógł bywać tu częściej. W tamtym czasie Centrum Studiów nad Dokumentami Starożytnymi związane było z uniwersyteckim Centrum Klasyki w Old Boy's School przy George Street, potem otrzymało nową siedzibę, supernowoczesną Stelios Ioannou School Wydziału Badań i Studiów Klasycznych i Bizantyjskich przy 66 St. Gilles, tak niepasującą do studiów nad starymi językami, jak jej architektura nie pasowała do statecznych, osiemnasto- i

dziewiętnastowiecznych uniwersyteckich budynków. Ta część St. Gilles znajdowała się w centrum Oksfordu, starego miasta, które otrzymało prawa w 1191 roku. Centrum to znane było pod nazwą Carfax pochodzącą od francuskiego *carrefour* oznaczającego skrzyżowanie dróg. I rzeczywiście, zbiegały się tu cztery wielkie, przecinające Oksford arterie, w tym High Street. Miejsce to było na swój sposób równie słynne jak Hollywood czy Vine, za to miało znacznie dłuższą historię.

Jeszcze przed wyjazdem z Londynu Chrissie zadzwoniła do przyjaciela, profesora o nazwisku Liam Giles. Oba miasta dzieliło niespełna dziewięćdziesiąt kilometrów, więc jazda jej starym land roverem zabrała im tylko nieco ponad godzinę. Land rovera dostała w prezencie od siostry, nieużywającej go tak często, od kiedy zaczęła podróżować.

Miasto było dokładnie takie, jakim zapamiętał je Bourne. Każdy przyjezdny natychmiast przenosił się w czasie do epoki cylindrów, długich płaszczy, konnych powozów i komunikacji pocztowej. Zupełnie jakby tamte czasy i mieszkańców ktoś zatopił w bursztynie. Tu wszystko należało do innej epoki, w której życie było prostsze.

Nim Chrissie znalazła miejsce parkingowe, zza chmur wyjrzało słońce. Zrobiło się cieplej, niemal można było uwierzyć, że jest wiosna. Profesora Liama Gilesa znaleźli w jego gabinecie, dużym pomieszczeniu urządzonym jak skrzyżowanie warsztatu z laboratorium. Półki wypełnione były manuskryptami i ciężkimi, ręcznie oprawionymi księgami. Pochylony nad jedną z nich uważnie oglądał kopię papirusu przez szkło powiększające.

Według informacji, które przekazała Bourne'owi Chrissie, był dziekanem wydziału college'u Richardsa-Bancrofta, ale gdy podniósł głowę i spojrzał na gości, Bourne ze zdziwieniem zauważył, że zapewne ledwie przekroczył czterdziestkę. Miał sterczący nos i brodę, łysiał, małe okrągłe okulary zsuwał z oczu na powiększające się ciągle czoło. Jego owłosione ramiona były krótkie, jak u kangura.

Bourne'a niepokoiła perspektywa powrotu do Oksfordu, mógł bowiem zostać tu rozpoznany jako David Webb. Chociaż pracownicy naukowcy pozostawali na etatach przez dziesięciolecia, uniwersytet był wielki, obejmował wiele college'ów, a w tej chwili byli daleko od All Souls, gdzie Bourne gościnnie wygłosił kilka wykładów.

W każdym razie Giles nie zdziwił się, słysząc nazwisko Adam Stone. Sprawiał wrażenie szczerze uradowanego wizytą Chrissie, interesował się, co u niej słychać, i nawet wypytał ją dokładnie o Scarlett, którą najwyraźniej znał.

– Powiedz jej, żeby kiedyś do mnie wpadła – zakończył.

– Mam dla niej niespodziankę, która z pewnością jej się spodoba. Wiem, że skończyła dopiero jedenaście lat, ale ma umysł piętnastolatki, więc powinna być wniebowzięta.

Chrissie podziękowała, po czym opowiedziała profesorowi o tajemnicy pierścienia i widocznych na nim grawerunków. Bourne podał mu go i Giles, zapaliwszy specjalną lampę, przyjrzał im się najpierw gołym okiem, a potem przez jubilerską lupę. Następnie podszedł do półki, zdjął z niej jakieś książki i kartkował je, przesuwając palcem po gęstych rządках drobnego druku, między którymi znajdowały się ręcznie wykonane ilustracje. Wreszcie spojrzał na Bourne'a.

– Sądzę, że pomogłoby mi zrobienie kilku zdjęć interesującego nas obiektu. Ma pan coś przeciwko temu?

Bourne powiedział, że nie, i proszę bardzo, niech robi.

Giles umieścił pierścień w dziwnym mechanizmie przypominającym koniec światłowodu. Unieruchomił go tak, by włókno znalazło się dokładnie w jego środku, po czym podał gościom ochronne okulary i sam też takie założył. Upewniwszy się, że zostali odpowiednio zabezpieczeni, na klawiaturze komputera wystukał dwie komendy. Kilkakrotnie błysnęło silne światło. Bourne wiedział, że ich gospodarz użył niebieskiego lasera.

Trwało to bardzo krótko, operacja właściwie skończyła się, nim się zaczęła. Wszyscy troje zdjęli okulary.

– Wspaniale – powiedział Giles, wciskając klawisze komputera w oszłamiającym tempie.
– A teraz przyjrzyjmy się, co tu mamy.

Włączył wpuszczony w ścianę ekran plazmowy, na którym natychmiast pojawiła się seria zdjęć o dużej rozdzielczości, zbliżenia grawerunków.

– Tak wyglądają, gdy patrzy się na nie gołym okiem, po wewnętrznej stronie obrączki – wyjaśnił. – Powstaje jednak pytanie: a jeśli miały być odczytywane na płaskiej powierzchni, jak większość napisów? – Giles manipulował cyfrowym obrazem, układając go na wirtualnej płaszczyźnie. – Pozornie mieliśmy jedno długie słowo, co wydaje się raczej nieprawdopodobne. – Dokonał zbliżenia. – Takim wydawało się na wygiętej powierzchni. Teraz, kiedy widzimy znaki na powierzchni płaskiej, możemy dostrzec dwie przerwy. Mamy więc do czynienia z trzema grupami znaków.

– Słowami – wtrącił Bourne.

– Tak mogłoby się wydawać – stwierdził Giles, nadając swojemu głosowi tajemnicze brzmienie.

– Widzę pismo klinowe – wtrąciła Chrissie. – Wydaje mi się, że to pismo sumeryjskie.

– Cóż, z pewnością przypomina pismo sumeryjskie, ale... – Giles pokiwał głową – ...w istocie jest to pismo staroperskie.

– Podsunął Chrissie jedną z otwartych książek. – Sama zobacz. – Chrissie pochyliła się nad tekstem, on zaś zwrócił się do Bourne'a: – Pismo staroperskie wywodzi się z sumero-akkadyjskiego, błąd tej damy może więc zostać jej wybaczony. – Brzmiąca w głosie profesora czułość więcej niż zrównoważyła pompatyczność słów. – Istnieje jednak między nimi zasadnicza różnica, bez której zrozumienia nie odczytamy napisu. Akkadyjskie kliny reprezentują całe sylaby, podczas gdy staroperski jest językiem półalfabetycznym, co oznacza, że pojedynczy symbol reprezentuje znak. Literę.

– A co robią rozrzucone między nimi litery łacińskie? – zainteresowała się Chrissie. – A te nieznanne symbole? Czy to też język?

Giles się uśmiechnął.

– Panie Stone, sprezentował mi pan najdziwniejszą i, muszę przyznać, najbardziej podniecającą cholerną tajemnicę w całym moim życiu. – Wskazał ekran. – To, co pan tu widzi, jest mieszkanką staroperskiego, łaciny i... z braku lepszego określenia... czegoś innego. Mogę bez fałszywej skromności powiedzieć, że znam wszystkie starożytne języki, które poznaliśmy i skatalogowaliśmy, ten jednak jest niewątpliwym wyjątkiem. – Machnął ręką. – Zaraz wyjaśnię dlaczego.

Ustawił wskaźnik tuż pod napisem.

– Przede wszystkim mogę wam zaręczyć, czym chcecie, że coś takiego jak język kompozytowy nie ma prawa istnieć. Kliny i litery po prostu do siebie nie pasują. Więc jeśli

nie mamy do czynienia z językiem jako takim, to z czym mamy do czynienia?

Bourne, uważnie przyglądający się grawerunkom, znał odpowiedź na to pytanie.

– Z szyfrem.

– Doskonale, panie Stone. – Za grubymi szklami oczy profesora wyraźnie rozszerzyły się z zaskoczenia. – Wyrazy szacunku. – Skinął głową. – Rzeczywiście, wydaje się, że to rodzaj szyfru, ale jak wszystko, co tu widzimy, wyjątkowo nietypowego. – Po raz kolejny manipulował obrazem, dzieląc znaki na trzy odrębne grupy: staroperskie kliny, łacińskie litery i „litery” nieznanego języka. Bourne ułożył pierwsze łacińskie słowo.

– *Severus*.

– Co może oznaczać wszystko – zauważyła Chrissie.

– Albo nic.

– Prawda – przyznał profesor. – A teraz przejdźmy do staroperskiego. – Zamienił kolejność klinów. – No tak, w ten sposób otrzymujemy drugie słowo: *domna*.

– Chwileczkę! – Chrissie milczała przez chwilę. Zbierała myśli. – *Severus*. Septymiusz Sewer. Marek Aureliusz mianował go senatorem około sto osiemdziesiątego siódmego roku naszej ery. Urosł w siłę, w sto dziewięćdziesiątym trzecim został cesarzem i rządził aż do śmierci osiemnaście lat później. Wprowadził klasyczną dyktaturę wojskową jako odpowiedź na straszną korupcję swego poprzednika Kommodusa. Na łożu śmierci wypowiedział do syna słynne słowa: „Wzbogacaj żołnierzy, pogardzaj innymi”.

– Cudowna rada – westchnął Giles.

– Jedna rzecz jest interesująca – ciągnęła Chrissie.

– Urodził się na terenie dzisiejszej Libii, a kiedy zwiększał liczebność rzymskiej armii, włączył do niej także oddziały pomocnicze składające się z żołnierzy z najdalszych wschodnich ziem imperium. Musiało być wśród nich wielu pochodzących z Afryki Północnej... i dalej.

– Jakie to ma znaczenie? – spytał profesor.

Teraz to głos Chrissie nabrał tajemniczego brzmienia.

– Septymiusz Sewer miał żonę. Nazywała się Julia Domna.

– *Severus Domna*. – Bourne poczuł coś jak wybuch gdzieś głęboko w mózgu, za zasłoną będącą dla jego pamięci granicą nie do pokonania. Może było to tylko krótkie jak błyskawica *déjà vu*, a może ostrzeżenie? Czymkolwiek było, jak wszystkie dryfujące szczątki jego życia nagle, tajemniczo wpływające w pole widzenia, miało stać się równie dokuczliwe jak swędzenie, którego nie sposób podrapać. Nie miał innego wyjścia, niż badać i ten fragment, badać go, badać tak długo, aż znajdzie związek między nim a sobą.

– Adamie, nic ci nie jest? – Chrissie przyglądała mu się zaskoczona, niemal przestraszona.

– Wszystko w porządku. – Wiedział już, że będzie musiał bardzo pilnować się w jej obecności, bo jest tak bystra jak siostra. – Coś jeszcze?

Skinęła głową.

– Robi się coraz ciekawiej. Julia Domna była Syryjką. Jej rodzina pochodziła ze starożytnego miasta Emesa, a wśród jej przodków znajdziemy królów i jednocześnie kapłanów świątyni potężnego boga Baala. Przez to samo mieli oni ogromne wpływy w całej Syrii.

– A więc – powiedział Bourne – mamy grawerunek, szyfr i jednocześnie anagram

stworzony z połączonych ze sobą starożytnych języków wschodnich i zachodnich.

– Podobnie jak Julia Domna i Septymiusz Sewer połączyli Wschód z Zachodem.

– Co to może znaczyć? – zastanawiał się Bourne.

– Wydaje się oczywiste, że ciągle brakuje nam klucza. Spojrzał pytająco na Gilesa, który odpowiedział mu skinieniem głowy.

– Trzeci język. Sądzę, że ma pan rację, panie Stone. Kluczem do zrozumienia, co oznacza *Severus Domna*, jest trzecie słowo. – Powiedziawszy to, oddał pierścień Bourne'owi.

– A więc ten trzeci język ciągle pozostaje tajemnicą? – bardziej stwierdziła, niż zapytała Chrissie.

– Skądże znowu. Doskonale wiem, co to za język. Ugarycki, martwy od wieków pisany protojęzyk, powstały w niewielkiej, lecz ważnej części Syrii. – Spojrzał na Chrissie.

– Co oczywiście kojarzy się z twoją Julią Domną. – Wskazał palcem ekran. – Tu... i tu, i tu... możesz zobaczyć, jak ważnym był łącznikiem między najwcześniejszymi protojęzykami i słowem pisany, jakie znamy dziś. To pierwsze poznane przez nas świadectwo istnienia alfabetów lewentyńskich i południowosemickich. Innymi słowy, alfabety grecki, hebrajski i łaciński wywodzą się z alfabetu ugaryckiego.

– Więc przez cały czas wiedział pan, że to słowo ugaryckie, ale do tej pory nie wie pan jakie? – zdziwił się Bourne.

– I znów, tak i nie. – Giles podszedł do ekranu. Wskazywał kolejne symbole, wypowiadając jednocześnie właściwą głoskę.

– Więc, jak widzicie, litery znam, ale jak dwa poprzednie, to słowo także jest anagramem. Choć ugarycki pojawia się na krótko podczas nauki języków Środkowego Wschodu, jako samodzielny przedmiot należy do bardzo wyspecjalizowanych. Niewielu ludzi się nim interesuje za względu na powszechne przekonanie, że to ślepa uliczka, język będący raczej odniesieniem dla innych języków, a nie służący do porozumiewania się. Na świecie jest może dwóch, może trzech specjalistów, do których ja się nie zaliczam. Mógłbym odczytać anagram, ale zajęłoby mi to mnóstwo czasu, którego, szczerze mówiąc, nie mam.

– Mnie dziwi, że w ogóle ktoś go bada – mruknęła Chrissie.

– Jest jeden jedyny powód. – Giles usiadł przy komputerze. – Mianowicie niewielka grupa ludzi uważa, że ugarycki ma... jak by to powiedzieć... pewne właściwości magiczne.

– Co? – zdumiał się Bourne. – Czarna magia?

Profesor się roześmiał.

– Ależ skąd, panie Stone, nic aż tak fantastycznego. Nie, zdaniem tych ludzi ugarycki jest konieczny przy przemianach alchemicznych, uważają, że stworzono go dla kapłanów, by rytualnymi śpiewami mogli przywołać bóstwo. Co więcej, wierzą oni, że sama alchemia jest mieszanką języka, wypowiedania właściwych głosek we właściwym czasie i działań bardziej naukowej natury.

– Ołów w złoto – podpowiedziała Chrissie.

Gospodarz skinął głową.

– Słusznie. Między innymi.

– I znów mamy do czynienia z połączeniem Wschodu i Zachodu zauważył Bourne. – *Severus i Donna*, staroperski i łacina, a teraz jeszcze to.

– Rzeczywiście, intrygujące. Nie pomyślałem o tym w ten sposób, ale w zasadzie ma pan

rację. Wyjaśnienie sprawia wrażenie naciąganego, wiem, ale teraz, skoro już wspomnieliście Julię Domnę i jej pochodzenie, popatrzcie...

– Palce Gilesa przebiegły po klawiaturze. Na ekranie pojawiła się mapa Środkowego Wschodu, a zaraz potem zbliżenie współczesnej Syrii, a następnie jej fragmentu. – Ugarycki rozwijał się przede wszystkim w tym regionie, tutaj też znajdowała się Wielka Świątynia Baala, uważanego za najpotężniejszego ze starych pogańskich bogów.

– Zna pan któregoś ze znawców tego języka, profesorze? – chciał wiedzieć Bourne.

– Jednego. To człowiek, jak by to ująć... ekscentryczny, jak oni wszyscy, uprawiający to jakże tajemnicze i leżące raczej na uboczu poletko. Gramy w szachy przez Internet. A dokładniej protoszachy. Jak w czasach starożytnych Egipcjan.

– Lingwista zachichotał. – Za pozwoleniem, panie Stone, prześlę mu tę inskrypcję jako załącznik. Od razu.

– Ma pan moje błogosławieństwo.

Giles napisał e-mail, dołączył do niego zdjęcia, po czym wysłał całość.

– Kocha zagadki – dodał. – Im trudniejsze, tym lepiej, co chyba wydaje wam się zrozumiałe. Jeśli jemu się nie uda, tego słowa nie przetłumaczy nikt.

• • •

Soraya, oparta o poduszki, leżała na łóżku w pokoju gościnnym mieszkania Delii i marzyła o Amunie Chaltumie, kochanku, którego zostawiła w Kairze. Nagle odezwała się leżąca na jej kolanach komórka. Już dawno przestawiła ją na wibracje w obawie, że sygnał może przeszkadzać przyjaciółce śpiącej jak dziecko w swojej sypialni.

Kurtyna marzeń się rozdarła. Soraya otworzyła oczy i przyłożyła telefon do ucha.

– Tak? – powiedziała cicho.

– Trafiliśmy w dziesiątkę – oznajmił kobiecy głos. Dzwoniła Safa, jedna z agentek Typhona. Jej rodzinę zabili terroryści w Libanie. – A przynajmniej tak nam się wydaje. Wysłałam ci zdjęcia do laptopa.

– Chwileczkę.

Soraya włożyła w gniazdo kartę modemową firmy telefonicznej, po czym uruchomiła komputer. Chwilę później była podłączona do sieci. Plik już się załadował. Otworzyła go. Zawierał trzy zdjęcia. Pierwsze zrobione zostało do akt: głowa i ramiona. Arkadin, oczywiście. Tę samą fotografię pokazał jej Peter, więc pewnie nie mają nic więcej odpowiedniej jakości. Tyle że ta była większa i czystsza. Marks miał rację, przystojny okaz: zmrużone oczy, agresywne rysy twarzy.

Blondyn. Pociągający czy odpychający? Tego nie była jeszcze pewna. Dwa pozostałe zdjęcia skopiowane zostały bez wątplenia z kamer bezpieczeństwa, ponieważ były płaskie, zamazane, o kiepskim odwzorowaniu kolorów. Widoczny na pierwszej z nich mężczyzna był dobrze zbudowany, muskularny. Na głowie miał jeden z tych tanich kapeluszy z logo Dallas Cowboys, który zapewne kupił na lotnisku. Nie widziała dokładnie jego twarzy, więc nie mogła dokonać pozytywnej identyfikacji, jednak na drugiej odchyłał kapelusz, żeby podrapać się w głowę. Włosy miał bardzo ciemne, lśniące, jakby niedawno je ufarbował. Musiał być przekonany, że znajduje się poza zasięgiem kamery, pomyślała Soraya, studiując jego twarz.

Porównała je z pierwszym zdjęciem.

– Owszem, sądzę, że to on.

– Ja także. Zdjęcia pochodzą z kamer sali imigracyjnej lotniska Dallas/Fort Worth.

Zrobione zostały osiem dni temu.

Dlaczego poleciał do Tekasasu, a nie do Nowego Jorku albo Kalifornii? – zastanawiała się.

– Przyleciał z lotniska de Gaulle’a w Paryżu. Pod nazwiskiem Stanley Kowalski.

– Żartujesz!

– Nie oszukiwałabym cię.

Facet z pewnością ma duże poczucie humoru, pomyślała Soraya.

Rozdział 9

Zmrużonymi oczami Leonid Arkadin przyglądał się poobijanemu, brudnobrazowemu kabrioletowi jadącemu powoli wyboistą, prowadzącą na nabrzeże drogą. Słońce wisiało nad horyzontem jak czerwona flaga. Mijał kolejny upalny dzień.

Podniósł lornetkę do oczu. Widział, jak samochód się zatrzymuje i Boris Karpow wysiada, żeby rozprostować nogi. Opuszczony dach, mały bagażnik... pułkownik był sam, nie miał wyboru. Rozejrzał się, przez chwilę wydawało się, że patrzy wprost na ukrytego Arkadina, ale zaraz odwrócił głowę, nie dostrzegając go. Arkadin był doskonale zamaskowany. Leżał na blaszanym dachu szopy na ryby, patrząc przez szczelinę pod ręcznie wypisanym szyldem z napisem: BODEGA – PESCADO FRESCO A DIARIO.

Muchy brzęczały pracowicie, smród ryb owionął Arkadina jak chmura trującego gazu, rozgrzana podczas upalnego dnia blacha oddawała ciepło, paląc mu brzuch, kolana i łokcie, ale te niewygodności w niczym nie zmniejszały jego czujności. Widział, jak Karpow staje w kolejce na wieczorny rejs, płaci za bilet i wchodzi na pokład szkunera, który codziennie wypływał na wody Morza Corteza. Jeśli nie liczyć grupki siwych Meksykanów i żeglarzy, był najstarszym uczestnikiem rejsu. Od reszty pasażerów był starszy o jakieś trzydzieści lat.

Określenie „ryba wyjęta z wody” pasowało do niego doskonale, kiedy tak stał przy relingu w towarzystwie rozbawionych dziewczyn w bikini i ich pijanych, buzujących hormonami towarzyszy. Im bardziej niezręcznie się czuł, tym bardziej się to Arkadinowi podobało.

Dziesięć minut po tym, jak na szkunerze rzucono cumy i postawiono żagle, zszedł z dachu szopy i skierował się na nabrzeże, gdzie czekało na niego „cygaro”: długa, smukła łódź z włókna szklanego będąca w zasadzie dodatkiem do silników. El-Heraldo, Bóg wie, skąd Sonoryjczycy biorą swoje przyzwiska, czekał, by Arkadin pomógł mu odcumować.

– Wszystko gotowe, szefie. Tak jak sobie życzyłeś.

Arkadin uśmiechnął się do Meksykanina i położył mu na ramieniu ciężką dłoń.

– Co bym bez ciebie zrobił, przyjacielu? – spytał retorycznie, wciskając mu do ręki dwadzieścia dolarów.

El-Heraldo, niski, szeroki w barach mężczyzna o charakterystycznym dla morskich żeglarzy szerokim, rozkołysanym kroku, uśmiechnął się szeroko. Arkadin wszedł do łodzi. Znalazł załadowaną wcześniej skrzynię z lodem, otworzył ją i głęboko pomiędzy jego kostkami schował coś w wodoodpornej, zapinanej na zamek błyskawiczny torbie. Następnie zajął miejsce przy kole sterowym. Nad wodą poniósł się niski, basowy warkot, rufę otoczył kłęb dymu spalanego w potężnych silnikach paliwa. El-Heraldo rzucił cumy dziobowe i rufowe, po czym machnął ręką, sygnalizując, że można odbijać. Odeszli od nabrzeża, łódź skierowała się na krótki, wyznaczony bojami kanał żeglugowy. Nieco dalej była już głębia, ciepłe kolory zachodzącego słońca malowały kobaltową toń w barwne plamki.

Fale były tak niskie, że równie dobrze mogłoby płynąć po rzece. Choćby Newie, pomyślał Arkadin. Myślami cofnął się w przeszłość, do Petersburga o zachodzie słońca, do aksamitnego nieba nad głową, do lodu na rzece. On i Tracy siedzieli naprzeciwko siebie przy stoliku pod

oknem w Domie, mając piękny widok na nabrzeże. Oprócz Ermitażu biegnący wzdłuż Newy bulwar zdominowały budynki z ozdobnymi fasadami, przypominające weneckie palazza, nietknięte przez Stalina i jego komunistycznych następców. Nawet Ministerstwo Marynarki Wojennej było piękne. W niczym nie przypominało brutalnej, militarystycznej architektury gmachów wyrosłych w całej Rosji jak grzyby po deszczu.

Przy blinach i kawiorze Tracy opowiadała mu o zabytkach Ermitażu, a on chłonał ich historię. Wydawało mu się zabawne, że niedaleko stąd, na dnie rzeki, leży trup polityka zapakowany i obwiązany jak worek kartofli, obciążony ołowianymi ciężarami. Newa była spokojna jak zwykle, a jej powierzchnia iskrząca się światłem pomników skrywała mroczną tajemnicę. Przez chwilę zastanawiał się, czy w tej wodzie są ryby, a jeśli tak, to co sobie myślał o obrzydliwym darze, które dostały tego dnia.

– Mam do ciebie prośbę – powiedziała Tracy przy deserze.

Spojrzał na nią wyczekująco.

Dziewczyna zawahała się, jakby nie była pewna, od czego zacząć i czy w ogóle powinna mówić dalej. Podniosła do ust szklankę, wypila łyk wody i podjęła decyzję.

– Nie jest mi łatwo prosić. Dziwne, ale to, że ledwo się znamy, sprawia, że czuję się mniej skrępowana.

– Często łatwiej rozmawia się z ludźmi, których poznaliśmy przed chwilą.

Skinęła głową. Była bardzo blada, mówiła tak, jakby jej własne słowa ją dławily.

– Właściwie... to prośba o przysługę.

Arkadin tylko na to czekał.

– Jeśli będę mógł ci pomóc, pomogę. O jakiej przysłudze mówisz?

Wody Newy powoli, statecznie, przeorywał długi statek wycieczkowy oświetlający wody rzeki i budynki na obu jej brzegach. Mogli być w Paryżu, mieście, w którym Arkadinowi udawało się zagubić. Nieraz, choć zawsze na krótko.

– Potrzebuję pomocy – powiedziała Tracy cichym, niepewnym głosem, sprawiając, że Arkadin oparł się łokciami o blat stołu i pochylił w jej stronę. – Pomocy, której może mi udzielić twój przyjaciel... mówiłeś, że jak się nazywa?

– Osierow.

– Aha. Wiesz, zawsze dobrze wychodziło mi ocenianie ludzi na pierwszy rzut oka. Ten – Osierow – od razu wpadł mi w oko. Potrzebuję kogoś takiego jak on, prawda?

– A kogo właściwie potrzebujesz? – zainteresował się Arkadin, nie mając pojęcia, do czego zmierza Tracy, i bardzo zdziwiony tym, że dziewczyna, niemająca do tej pory żadnych problemów z wyrażaniem myśli, nagle nie potrafi znaleźć słów.

– Kogoś jednorazowego użytku.

Arkadin się roześmiał. Co za zdeterminowana osobka.

– A do czego właściwie go potrzebujesz?

– Wolałabym załatwić to z nim w cztery oczy.

– Nienawidzi cię jak zarazy. Lepiej dla ciebie, żebyś najpierw porozmawiała ze mną.

Tracy spojrzała na rzekę i na przeciwległy brzeg, a potem skupiła wzrok na twarzy rozmówcy.

– W porządku. – Westchnęła głęboko. – Mój brat ma kłopoty. Poważne kłopoty. Muszę znaleźć jakiś sposób, żeby go z nich wyciągnąć. Raz a dobrze.

Kim jest ten jej brat, kryminalistą?

– I przypuszczam, że policja nie może się o niczym dowiedzieć?

Tracy się roześmiała, ale w jej śmiechu nie było wesołości.

– Bardzo chciałabym móc poprosić o pomoc policję. Niestety, nie mogę.

– W co się wplątała? – spytał Arkadin, garbiąc się i pochylając jeszcze bliżej niej.

– Siedzi w kieszeni u lichwiarza... jest nałogowym graczem. Dałam mu trochę pieniędzy na leczenie, ale je też przegrał, a że nie miał z czego zwrócić, ukradł dzieło sztuki, które dostarczałam jednemu z moich klientów. Bogu dzięki, że udało mi się jakoś spacyfikować klienta, ale jeśli ta sprawa kiedykolwiek wyjdzie na jaw, będę skończona.

– Mam wrażenie, że teraz może być tylko gorzej.

Tracy żałośnie pokiwała głową.

– Trafił do nie tego pasera, do którego powinien trafić, dostał jedną trzecią tego, co powinien dostać, czyli o wiele za mało, żeby spłacić długi. No i teraz, jeśli nie zrobię czegoś... drastycznego, lichwiarz z pewnością go zabije.

– Jest na to wystarczająco silny?

– O, tak.

– Tym lepiej. – Arkadin uśmiechnął się szeroko. Uznał, że pomaganie jej będzie samą przyjemnością, lecz jednocześnie, niczym szachista, już przewidywał ruchy, którymi da jej mata.

– Ja się tym zajmę.

– Chcę tylko, żebyś polecił mnie Osierowowi.

– Przecież właśnie powiedziałem ci, że go nie potrzebujesz. Chętnie wyświadczę ci tę grzeczność.

– Nie – zaprotestowała Tracy stanowczo. – Nie chcę cię w to wplątywać.

– Przecież już jestem wplątany.

– Więc nie chcę cię w to wplątywać bardziej, niż już jesteś wplątany. – Jej sylwetkę oświetliło słabe światło lampki i było tak, jakby odgrywali scenę na deskach teatru i jakby Tracy miała wypowiedzieć za chwilę słowa, po których długo wstrzymująca oddech widownia wreszcie będzie mogła głęboko odetchnąć. – A jeśli chodzi o Osierowa, to raczej nie myślę się, przypuszczając, że kocha pieniądze o wiele bardziej niż nienawidzi mnie, prawda?

Wbrew najszczęśliwszym chęciom Arkadin po prostu musiał się roześmiać. Miał zamiar zakazać jej rozmowy z Osierowem, ale powstrzymała go spojrzeniem. Nabrał przekonania, że jeśli to powie, Tracy wstanie, odejdzie od stolika i już nigdy jej nie zobaczy. A tego nie chciał. Nie chciał stracić okazji. Może mieć na nią haka, może ją kontrolować, a takiej okazji nie wolno przegapić.

• • •

Wspomnienia przerwało nagłe gwałtowniejsze huśtanie łodzi. Arkadin wrócił do rzeczywistości. Przecięli kilwater szkunera i zbliżali się do niego od bakburty. Przez radio połączył się z jego kapitanem, z którym wcześniej się umówił. Pięć minut później stali już burta w burtę ze szkunerem. Z jego pokładu opuszczono sznurową drabinkę, po której schodził

właśnie korpulentny Boris Karpow.

– Miłe miejsce na spotkanie dwóch Rosjan, prawda, pułkowniku? – powitał go z uśmiechem Arkadin, puszczać do niego oko.

– Muszę przyznać, że nie mogłem się go doczekać, choć spodziewałem się zupełnie innych okoliczności.

– Ja w kajdanach albo nawet martwy, w kałuży krwi, prawda? Dobrze to sobie wyobrażam? Wydawało się, że Karpow ma kłopoty z oddychaniem.

– Jako szalony morderca cieszy się pan zasłużoną reputacją.

– Nie ma człowieka, który zdołałby dorosnąć do tych plotek. – Arkadin z rozbawieniem stwierdził, że Karpow, zielonkawy na twarzy, nie ma ochoty na towarzyskie pogawędki. – Niech się pan nie boi, choroba morska dokucza człowiekowi tylko na morzu.

Zachichotał. Drabinę wciągnięto z powrotem na pokład szkunera. Oddalili się od niego, pozostawiając za rufą spieniony kilwater, po czym dziób uniósł się w górę, „cygaro” wyraźnie przyspieszyło, a pułkownik opadł na ławkę i opuścił głowę między kolana.

– Lepiej niech pan wstanie – poradził mu Arkadin – i patrzy w jakiś stały punkt na horyzoncie, choćby ten frachtowiec. To pomoże opanować mdłości.

Karpow odczekał chwilę i zastosował się do dobrej rady.

– Tylko proszę nie zapomnieć oddychać.

Arkadin sterował na południe do południowego wschodu. Kiedy ocenił, że wystarczająco oddalili się od szkunera, zmniejszył obroty silników do niemal jałowych, odwrócił się i uważnie przyjrzał pasażerowi.

– Jedno dobre można powiedzieć o naszym rządzie: uczy swych funkcjonariuszy dokładnie wypełniać rozkazy. – Skłonił się przed Karpowem. – Gratulacje.

– Pieprz się. – Karpow zsiniał, obrócił się i obficie zwymiotował za burtę.

Arkadin wyniósł na pokład przygotowaną wcześniej przez El-Heralda skrzynię z lodem i wyjął z niej butelkę zmrożonej wódki.

– Na morzu nie ma miejsca na ceremonie – powiedział poufale. – Masz tu kawałek domu. To uspokoi zbuntowany żołądek. – Podał butelkę Karpowowi. – Tylko wyświadczyć mi przysługę i najpierw przepłucz usta.

Karpow sięgnął za burtę, zaczerpnął garść morskiej wody i spełnił życzenie gospodarza. Odkręcił butelkę i wypił wielki łyk wódki. Przeliykając, zamknął oczy.

– Teraz lepiej – westchnął, oddając butelkę Arkadinowi.

– Pora załatwić interesy. Im szybciej wrócę na stały ląd, tym lepiej.

Nim Arkadin zdążył odpowiedzieć, pułkownik znowu zwymiotował. Wisiał na burcie łodzi, bezwładny i spocony. Jęknął raz, potem drugi, gdy Arkadin obmacał go szybko, szukając broni lub elektronicznej aparatury nagrywającej. Niczego nie znalazł. Odsunął się, odczekał, aż Karpow znów wypłucze usta, i powiedział:

– Rzeczywiście, im szybciej zejdziesz z pokładu, tym dla mnie lepiej.

Schował butelkę do skrzynki, dał pułkownikowi kilka kostek lodu i zwiększył obroty silników. Popłynął wprost na wschód, tropem białoszarych pelikanów lecących w idealnym szyku tuż nad ciemną, niemal czarną wodą. Wreszcie, gdy nadeszła właściwa chwila, skręcił w ujście Estero Morua i dobił do brzegu. Niebo na wschodzie zdążyło już pociemnieć. Na zachodzie wyglądało jak dopalający się pożar, usiane żarzącymi się węglami na próżno

usiłującymi powstrzymać nadejście nocy.

Przebrnęli przez płyciznę. Arkadin dźwigał skrzynkę z lodem na jednym muskularnym ramieniu. Gdy tylko wyszli na plażę, Karpow usiadł ciężko, choć być może słowo „padł” lepiej opisywało rzeczywistość. Przemoczony do suchej nitki i chyba nadal nie czując się najlepiej, niezdarnie zdjął buty, a potem skarpetki.

Arkadin w gumowych sandałach nie miał tego problemu. Zebrał trochę wyrzuconego na brzeg drewna i rozpałił ognisko. Skończył jedno dos equits i zdążył otworzyć nową puszkę, nim pułkownik słabym głosem poprosił o butelkę.

– Powinieneś przedtem coś zjeść.

Arkadin podał mu małą, owiniętą w papier paczkę, ale Karpow pokręcił głową.

– Jak sobie życzysz.

Powąchał burrito z carne asada owinięte świeżo upieczoną tortillą. Z upodobaniem wdychał smakowity zapach.

– Boże drogi! – Karpow odwrócił się od niego z obrzydzeniem.

– Ach, ten Meksyk. – Arkadin jadł ze smakiem burrito.

– Szkoda, że mnie nie posłuchałeś i wzięłeś się za Masłowa po swojemu – powiedział, przeżuwając wielkie kęsy.

– Z tym daj sobie lepiej spokój. – Karpow wypluwał słowa, jakby każde z nich było odgryzioną głową Arkadina.

– Musiałem przyjąć, że na polecenie Masłowa zastawiłeś na mnie pułapkę. To był najprawdopodobniejszy scenariusz, więc czego się po mnie spodziewałeś?

– Mimo wszystko, co za zmarnowana okazja. – Arkadin wzruszył ramionami.

– Nie słyszałeś, co właśnie powiedziałem?

– Chodzi mi o to, że z człowiekiem kalibru Masłowa nie ma mowy o trzeciej okazji. Dwie to maksimum.

Pułkownik stracił cierpliwość.

– Wiem, o co ci, kurwa, chodzi.

Arkadin przyjął te słowa zadziwiająco spokojnie.

– Było, minęło – mruknął, otworzył puszkę i podał ją Karpowowi siedzącemu nieruchomo z zamkniętymi oczami. Wyglądał, jakby w myślach liczył do dziesięciu. Kiedy się odezwał, mówił najspokojniej, jak potrafił.

– Przebyłem taki kawał świata, żeby słuchać, więc lepiej dla ciebie, żebyś miał coś interesującego do powiedzenia.

Arkadin dokończył burrito, wytarł ręce i przepłukał gardło kolejnym piwem.

– Chcesz poznać nazwiska kretów, za co trudno mi cię winić, bo tego samego chciałbym na twoim miejscu. Dostaniesz je, ale najpierw gwarancje.

– No to zaczynamy. – Karpow pokręcił z rezygnacją głową i przyłożył butelkę do spoconego czoła. – Dobra, wymień cenę.

– Po pierwsze, staję się nietykalny. Na zawsze.

– Załatwione.

– Po drugie, dostanę głowę Masłowa na półmisku.

Karpow spojrzał na niego dziwnie.

– Co właściwie między wami zaszło?

– Czekam na odpowiedź.
– Załatwione.
– Potrzebuję gwarancji – powtórzył Arkadin z naciskiem.
– Będziesz się starał, w porządku, ale on nadal ma do dyspozycji kupę ludzi. Najwyższe szarże FSB siedzą u niego w kieszeni, regionalni politycy, sędziowie. Nie chcę, żeby w ostatniej chwili uciekł katu.

- Cóż... to zależy od jakości, szczegółowości i ilości informacji, które od ciebie otrzymam.
- O to możesz się nie martwić, pułkowniku. To, co mam, jest pewne. Wykończy go.
- Więc, jak powiedziałem, sprawa jest załatwiona.
- Karpow wypił wreszcie trochę piwa. – Coś jeszcze?
- Tak.

Pułkownik trzymał w rękach mokry but. Skinął głową ze smutkiem.

- Zawsze jest coś jeszcze – powiedział filozoficznie.
- Osierowem zajmę się osobiście.

Karpow, zajęty wygrzebywaniem z buta kawałków wodorostów, ściągnął brwi.

– Osierow jest pierwszym zastępcą Masłowa. W tej sytuacji odpuszczenie mu może być dość trudne – ostrzegł.

- O mało się na tę myśl nie zesrałem.

– Zaskocz mnie, niech zobaczę, jak srasz na tę myśl – prychnął Karpow. Zastanawiał się przez chwilę, podjął decyzję i zdecydowanie skinął głową. – W porządku.

– Wyciągnął palec. – Ale ostrzegam: po tym, jak wejdziesz do gry, masz dla siebie maksimum dwanaście godzin. Potem jest mój, wraz z całą resztą.

Arkadin wyciągnął rękę. Karpow uściśnął ją mocno, zdecydowanie. Dłoń miał twardą, pokrytą odciskami, jak zwykły człowiek pracy. Być może był pracownikiem rządowym, ale z pewnością nie mięczakiem. Arkadin nabrał pewności, że ten człowiek go nie wypieprzy.

I dokładnie w tej chwili pułkownik go zaatakował: jedną ręką złapał za szyję, a drugą przyłożył żyletkę do nagiego gardła.

– Miałeś ją w bucie. – Arkadin znieruchomiał jak wykuty w kamieniu. – Zero techniki, zero elektroniki. Bardzo sprytne.

– Posłuchaj, pieprzony bandziorze, nie lubię, jak się ze mną pogrywa. Wystawiłeś mnie tam, w magazynie, Masłow będzie teraz cholernie ostrożny, a moja robota o wiele trudniejsza, niż powinna być. Przez cały czas traktujesz mnie lekceważąco. Jesteś popapranym mordercą, najniższą formą czegoś, co uchodzi za życie na kupie gówna nazywanej światem. Zastraszasz ludzi, torturujesz ich, katujesz i zabijasz, jakby ich istnienie nie miało żadnego znaczenia. Czuję się brudny tylko dlatego, że w ogóle się do ciebie zbliżyłem, ale na załatwieniu Dimitrija Masłowa zależy mi bardziej niż na załatwieniu ciebie, więc muszę żyć z konsekwencjami raz podjętej decyzji. Życie składa się przede wszystkim z kompromisów, a za każdym kolejnym zanurzasz ręce głębiej w kałuży krwi. Nauczyłem się z tym żyć. Ale jeśli mamy współpracować, ty i ja, będziesz mi okazywał należny szacunek albo, przysięgam na grób ojca, poderżnę ci gardło tu i teraz, odejdę i zapomnę, że w ogóle cię spotkałem. – Przyłożył policzek do policzka Arkadina. – Czy to jasne, Leonidzie Danielewiczu?

– Nie zaatakujesz Masłowa, nie wiedząc, kto jest jego kretem. – Arkadin patrzył przed siebie, czyli na nocne niebo, na którym gwiazdy błyszczały jak dalekie oczy, przyglądające się

ludzkiej głupocie z pogardą, a co najmniej z obojętnością.

Karpow szarpnął jego głowę.

– Czy to jasne?

– Jak słońce. – Arkadin odprężył się, bo nacisk ostrza żyłki na skórze wyraźnie zelżał. Miał rację, oceniając tego człowieka: nikt go nie zastraszy, nawet przerażająca rosyjska biurokracja. Zasalutował mu. W myślach.

– Twoim problemem jest teraz wytruć krety, które zagnieździły się w kuchni FSB-dwa – powiedział.

– Chodzi ci chyba o kopanie nor w piwnicy?

Arkadin pokręcił głową.

– Gdyby tak było, mój drogi pułkowniku, miałbyś tylko niewielkie problemy. Wspomniałem kuchnię, bo Masłow kupił sobie pewnego szefa.

Przez chwilę panowała cisza, przerywana tylko cichym pluskiem małych fal i cichymi pokrzykiwaniami mew układających się do snu. Zza niskiej ściany chmur wychylił się księżyc, otaczając je niebieskawym nimbem i rozświetlając ciemną morską toń srebrzystymi iskrami tańczącymi na ruchomej powierzchni.

– Który? – spytał Karpow po bardzo długiej chwili.

– Nie jestem pewny, czy naprawdę chcesz to wiedzieć.

– Ja też nie jestem pewny, ale jak się powiedziało „a”, trzeba, kurwa, powiedzieć „b”.

– Ano, niestety. – Arkadin wyjął paczkę tureckich papierosów i poczęstował pułkownika.

– Dziękuję. Próbuję ograniczyć szkodliwe nałogi.

– Co za głupie zajęcie!

– Powtórz to, kiedy złapiesz nadciśnienie.

Arkadin zapalił, zaciągnął się głęboko i wydmuchując dym, powiedział:

– Masłowowi donosi twój szef Melor Bukin.

Oczy pułkownika rozbłysły.

– Znowu ze mną pogrywasz?

Arkadin w milczeniu sięgnął do skrzyni z lodem i wyjął z niej plastikową torbę. Otworzył ją i przekazał zawartość rozmówcy. Dołożył drewna do gasnącego ogniska.

Karpow przysunął się do ognia, potrzebował więcej światła. W ręku trzymał tani telefon komórkowy na kartę, jaki można kupić w pierwszym lepszym całodobowym sklepie wielobranżowym.

Włączył go.

– Obraz i dźwięk. – Arkadin poprawił ognisko patykiem. Z myślą o takim dniu, lub podobnym, w tajemnicy nagrał niektóre spotkania Masłowa z Bukinem, w których uczestniczył. Wiedział, że zapoznawszy się z dowodami, jego chwilowy sojusznik pozbędzie się wszelkich wątpliwości. I rzeczywiście, oczy Karpowa, gdy oderwał je od ekranu komórki, miały ponury wyraz.

– Będę go musiał zatrzymać.

Arkadin machnął lekceważąco ręką.

– Wliczony w koszta usługi.

– Ilu jeszcze? – spytał Karpow.

– Wiem o dwóch, ich nazwiska wpisane są w książkę telefoniczną. Być może są inni, ale o

to będziesz musiał zapytać szefa.

– To może się okazać trudne.

– Nawet z tymi dowodami?

Karpow ściągnął brwi.

– Będę musiał go zaskoczyć, odciąć, bo inaczej może wykorzystać szansę i z kimś się skontaktować.

– Ryzykowne – zauważył Arkadin. – Z drugiej strony, jeśli z tym co masz pójdziesz do prezydenta Imowa, to go ruszy i z pewnością dostaniesz pozwolenie na zrobienie z Bukinem, co ci się podoba.

Wyglądało na to, że pułkownik rozważa taką możliwość. Doskonale. Arkadin uśmiechnął się w myślach. Melor Bukin awansował w szeregach aparatu głównie dzięki poparciu prezydenta, dopiero później upatrzył go sobie Czerkiesow, szef FSB-2. Na Kremlu wrzała walka między nim a FSB Nikołaja Patruszewa, doskonale znanego ucznia Imowa. Czerkiesow zdobył godną podziwu władzę i wpływy bez prezydenckiej pomocy. Arkadin miał powody, by pragnąć kompromitacji Bukina. Jeśli za sprawą Karpowa trafi on prosto do więzienia, Czerkiesow zajmie miejsce w kolejce tuż za nim, a to właśnie on jest jak cierń wbity w skórę tam, skąd nie można go wyciągnąć. W każdym razie Arkadin nie może. Ale Karpow owszem.

Ale nie nadszedł jeszcze czas rozkoszowania się zwycięstwem. Niezmordowany umysł Arkadina już rozważał kwestie nieco bardziej osobiste. Przede wszystkim sposoby zemsty na Karpowie za to, że ośmielił się przyłożyć mu żyletkę do gardła. Oczami wyobraźni widział, jak podrzyna mu gardło własną żyletką.

Rozdział 10

Moira i Jalal Essai siedzieli w tymczasowym punkcie dowodzenia misją, czyli w waszyngtońskim apartamencie hotelowym Essaia. Pomiędzy nimi stały dwa netbooki, jeden należący do Essaia, drugi kupiony przez Moirę zaledwie wczoraj, co dawało jej całkowitą pewność, że jest czysty. Podkreśliła go już daleko poza jego oryginalne osiągi.

Zamierzała spytać zleceniodawcę, od czego właściwie ma zacząć. Po prostu musiała założyć, że wszystkie jej systemy zostały ujawnione. Niepotrzebnie się martwiła. Okazało się, że Essai dużo wie o laptopie i nie ukrywa informacji. Ostatnio dostał się w łapy Gustava Morena, kolumbijskiego króla narkotykowego, mieszkającego na przedmieściach Mexico City. Moreno zginął kilka miesięcy temu podczas ataku na jego siedzibę przeprowadzonego przez oddział wojskowy. Żołnierze przebrani byli za rosyjskich nacierzy.

– Dowodził nim pułkownik Boris Karpow – zakończył opowieść Jalal.

Dziwne, pomyślała Moira. No, ale wiedziała przecież, jak mały jest ten świat. O pułkowniku opowiadał jej Bourne; byli przyjaciółmi, o ile ludzie tego pokroju w ogóle mają przyjaciół.

– A więc to Karpow ma laptop?

– Niestety, nie. Laptop wyniósł z posiadłości któryś z ludzi Morena, w nieokreślonym czasie przed atakiem.

– Któryś z jego ludzi pracujący oczywiście dla... no właściwie, dla kogo? Rywala?

– Być może. Tego nie wiem.

– Nazwisko złodzieja?

– Mam nazwisko, zdjęcie, dosłownie wszystko. – Essai odwrócił laptop ekranem do niej i otworzył plik z obrazem.

– Ale to i tak ślepa uliczka. Dosłownie. Ciało tego człowieka znaleziono tydzień po akcji.

– Gdzie?

– W okolicach Amatitan. – Marokańczyk wywołał Google Earth i wpisał koordynaty. Ziemi glob wirował na ekranie, póki nie pojawiło się na nim północno-zachodnie wybrzeże Meksyku. Palcem wskazał Jalisco, serce krainy tequili. – O tu. Tak się złożyło, że na terenie wiejskiej posiadłości siostry Morena, Berengarii, po małżeństwie z Narsikiem Skydelem, wielkim producentem tequili, używającej nazwiska męża.

– Pamiętam memo krążące po Black River. Narsico ma coś wspólnego z Robertem Corellosem, aresztowanym wielkim handlarzem narkotyków, prawda?

Essai skinął głową.

– Od dłuższego czasu wyraźnie dystansuje się od swojego kuzyna o złej sławie. Po raz ostatni był w Kolumbii przeszło dziesięć lat temu. Najwyraźniej uznając, że nie ma innego sposobu na oderwanie się od rodziny, legalnie zmienił nazwisko i wkupił się w jedną z największych destylarni w Meksyku. W tej chwili jest jej jedynym właścicielem. Od dwóch lat rozszerza działalność.

– Ślub z Berengarią raczej mu nie pomógł – zauważyła Moira.

– No nie wiem. Jego żona okazała się twardą bizneswoman. Większość znających się na tych sprawach ludzi uważa, że ekspansja jest jej dziełem. Sądzę, że chętniej od męża podejmuje skalkulowane ryzyko. Do tej pory ani razu nie powinęła się jej noga.

– Jak wyglądają jej stosunki z Gustavem?

– Pod tym względem raporty są zgodne: rodzeństwo zawsze było sobie bliskie. Więzy zacieśniły się wcześniej, po śmierci matki.

– Jak sądzisz, współpracuje z bratem w jego interesach?

Essai skrzyżował ręce na piersiach.

– Trudno powiedzieć. Jeśli tak, to nie było to nigdy wyraźnie widoczne. Nie ma dowodów na jej współudział w przemyśle narkotyków.

– Sam powiedziałeś, że jest sprytna i zna się na biznesie.

Ściągnął brwi.

– Uważasz, że miała wtyczkę u własnego brata?

Moira wzruszyła ramionami.

– Któż to może wiedzieć? – odpowiedziała pytaniem.

– Ani ona, ani on nie wyglądają na takich głupców.

– Zgadzam się, choć jeśli ktoś chce, byśmy wierzyli, że to któreś z nich zabiło kreta, rozmowa z nimi mogłaby być dla nas bardzo użyteczna. Ale najpierw chciałabym złożyć wizytę Robertowi Corellosowi.

Uśmiech Beduina był tak złowieszczy, że serce Moiry zamarło.

– Pani Trevor, mogę chyba powiedzieć, że właśnie zaczęła pani pracować na swoje honorarium.

• • •

Bourne i Chrissie wracali do domu w potokach deszczu, który lunął niespodziewanie, kiedy zadzwoniła jego komórka.

– Pan Stone?

– Tak, profesorze?

– Właśnie się czegoś dowiedziałem. Mój szachowy partner przysłał e-mail. Najwyraźniej udało mu się rozwiązać zagadkę trzeciego słowa.

– I?

– *Dominion*.

– *Dominion* – powtórzył Bourne. – A więc trzy wygrawerowane na pierścieniu słowa brzmią: *Severus Domna Dominion*. Co to znaczy?

– Cóż, jest to, być może, inkantacja. Lub przydomek. Lub ostrzeżenie. Lub, choć proszę to potraktować jako rozmyślną przesadę, instrukcja przekształcenia ołowiu w złoto. Czyli: bez dodatkowych informacji nie sposób na to pytanie odpowiedzieć.

Drogę przed nimi pokrywała cienka warstwa wody. Wycieraczki zataczały monotony łuk, w jedną i w drugą stronę. Bourne spoglądał we wsteczne lusterko, jak zwykle co pół minuty.

– Przyjaciel przekazał mi jeszcze pewną ciekawostkę związaną z ugaryckim, choć doprawdy nie wiem, jakie może mieć dla pana znaczenie. Podstawą zainteresowania jego oraz jego kolegów są dokumenty czy raczej fragmenty dokumentów, które ich zdaniem powstały na

dworze króla Salomona. Wydaje się, że astrologowie Salomona między sobą posługiwali się ugaryckim i że wierzyli, iż posiada on alchemiczną moc.

Bourne się roześmiał.

– Tyle jest legend o bogactwach króla Salomona, że doprawdy łatwo zrozumieć, dlaczego naukowcy w dawnych wiekach wierzyli w jego umiejętności zamieniania ołowiu w złoto.

– Wie pan, panie Stone... ja powiedziałem mu dokładnie to samo.

– Dziękuję, panie profesorze. Bardzo mi pan pomógł.

– Nie ma za co. Przyjaciel Chrissie jest moim przyjacielem.

Bourne schował komórkę do kieszeni i znów spojrzął we wsteczne lusterko. Czarno-złota półciężarówka, która przed kilkoma minutami jechała ich pasem trzy samochody za nimi, teraz siedziała im na tylnym zderzaku.

– Chrissie, zjedź z autostrady – powiedział cicho.

– A kiedy zjedziesz, zatrzymaj się.

– Źle się czujesz?

Nie odpowiedział. Cały czas wpatrywał się w lusterko. Nagle wyciągnął rękę, w ostatniej chwili powstrzymał ją przed włączeniem kierunkowskazu.

– Nie włączaj.

Dziewczyna spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. Westchnęła głośno.

– Co się dzieje?

– Po prostu rób, co ci mówię, a wszystko będzie dobrze.

– Trudno uznać to za pocieszające. – Dostrzegła ledwie widoczny przez ścianę deszczu znak zwiastujący zbliżanie się rozjazdu. – Adamie, przez ciebie zaczynam się bać.

– Nie chciałem cię przestraszyć.

Zjechali rampą skręcającą ostro w lewo, na pobocze.

– A jaki miałeś zamiar?

– Poprowadzić. Przesiadźmy się.

Chrissie wysiadła, osłoniła wtuloną w zgarbione ramiona głowę, obeszła samochód i wskoczyła na miejsce pasażera. Nie zdążyła zamknąć drzwi, a już Bourne wrzucił bieg i mocno dodał gazu. Na zjeździe pojawiła się półciężarówka.

Jechała za nimi, jakby trzymali ją na krótkim holu. Bourne wdepnął gaz, przemknął przez skrzyżowanie na czerwonym świetle i skręcił we wjazd na autostradę. Nie była szczególnie zatłoczona, więc mógł dowolnie zmieniać pasy. Pomyślał nawet, że śledzący go wybrali samochód nie za bardzo nadający się do tego zadania, gdy nagle zrównało się z nimi szare bmw. Boczna szyba natychmiast zjechała w dół.

Bourne krzykiem ostrzegł Chrissie, każąc jej się pochylić. Pchnął ją nawet i sam prawie położył się na kierownicy. Padły strzały, kule strzaskały okno po jego stronie, zasypując go szkłem, za którym natychmiast wpadły do środka wielkie krople deszczu. Jednocześnie za range roverem pojawiła się czarno-złota półciężarówka i szybko się zbliżała. Zamierza ich staranować!

Samochody zakołysały się w przód i w tył, otarły o siebie ze zgrzytem. Bourne zaryzykował zerknięcie we wsteczne lusterko. Półciężarówka wciąż siedziała im na ogonie.

– Uważaj! – krzyknął do Chrissie pochylonej na tyle, na ile pozwalał jej pas bezpieczeństwa.

Szarpnął kierownicą, wciskając jednocześnie hamulec. Przez ułamek sekundy range rover ślizgał się po mokrym asfalcie, po czym Bourne odzyskał kontrolę nad poślizgiem. Tylne zderzak od strony osi jezdni zmiażdżyło uderzenie w półciężarówkę, range roverem szarpnęło i, jak Bourne przewidział, tylne zderzak po jego stronie uderzył w bmw z wielką siłą, niczym wystrzelony z armaty, odrzucając wóz w prawo. Kierowca stracił kontrolę nad pojazdem i bmw wpadło na barierę z impetem powodującym wgniecenie całej prawej strony. Trysnęły iskry, rozległ się przeraźliwy zgrzyt gniecionej metalu, samochód odbił się i zaczął obracać. Był coraz bliżej, celując maską w range rovera, Bourne musiał gwałtownie skrócić w prawo, zajeżdżając drogę żółtemu mini. Opony zapiszczały i zadymiły, rozległ się przeraźliwy ryk kilku klaksonów, samochody wpadały jeden na drugi. Bourne znalazł kawałek wolnego miejsca, przeskoczył z pasa na pas, wydostał się z korka, wjechał na pas szybkiego ruchu i dodał gazu.

– Jezu – szepnęła Chrissie. – Jezu Chryste.

Range rover nadal kołysał się na resorach. Roztrzaskanego bmw i czarno-żółtej półciężarówki nie było już widać we wstecznym lusterku.

• • •

Po kraksie lub wypadku, a nawet gdy pojawiła się choćby tylko ich groźba, zapada cisza, a może tylko ludzkie ucho, podatne na szok jak cały organizm, na pewien czas traci zdolność słyszenia. W każdym razie, gdy Bourne zjeżdżał z autostrady, a potem, przy pierwszej nadarzającej się okazji, także z drogi dojazdowej na autostradę w krzyżujące się uliczki dzielnicy hurtowni i magazynów, w range roverze panowała cisza. Nikt nie krzyczał ze strachu, nie słyhać było gniewnych klaksonów i pisku trących o asfalt opon. Tu nadal rządził ład i porządek, chaos autostrady wydawał się należeć do innego świata. Zatrzymali się dopiero po pewnym czasie, w pustej alejce.

Chrissie nie odzywała się przez bardzo długą chwilę. Była blada jak papier. Splecione, drżące dłonie trzymała na kolanach. Lada chwila mogła się rozplakać, z przerażenia i ulgi jednocześnie.

– Kim jesteś? – spytała wreszcie. – Dlaczego ktoś usiłuje cię zabić?

– Chcą pierścienia – powiedział Bourne po prostu. Po tym, co się właśnie wydarzyło, dziewczyna zasługiwała na choćby minimum prawdy. – Jeszcze nie wiem dlaczego. Próbuję się tego dowiedzieć.

Spojrzała na niego. Jej oczy też wydawały się bledsze, choć może tylko z powodu oświetlenia.

– Czy Tracy miała coś wspólnego z pierścieniem?

– Może. Nie wiem. – Włączył silnik. Wyjechali na ulicę.

– Ale jej przyjaciele z pewnością tak.

Chrissie pokręciła głową.

– To wszystko dzieje się za szybko. Nie nadążam. Świat stanął na głowie. Nic nie rozumiem.

Przyglądała włosy.

– Dlaczego wracamy do Oksfordu? – zapytała nagle.

Bourne zerknął na nią kątem oka. Wjeżdżali na autostradę.

– Wcale się tak bardzo nie różnimy. Ja też nie lubię, kiedy do mnie strzelają, więc chcę się przyjrzeć temu bmw i naszemu przyjacielowi, które je prowadził. – Dostrzegł przerażenie na jej twarzy i dodał uspokajająco: – Nie martw się. Wsiądę w sporej odległości od miejsca wypadku. Możesz prowadzić?

– Oczywiście.

Skręcił w lewo, na autostradę w stronę Oksfordu. Ulewa powoli się uspokajała, wkrótce zmieniła się w niegroźny, rzadki kapuśniaczek. Bourne zmniejszył prędkość wycieraczek.

– Przykro mi, że uszkodziłem ci samochód – powiedział.

Chrissie zadrżała, a potem uśmiechnęła się smutno.

– Nic nie mogłeś na to poradzić, prawda?

– Kiedy Scarlett ma wrócić od twoich rodziców?

– Dopiero w przyszłym tygodniu, ale mogę odebrać ją w każdej chwili.

Bourne skinął głową.

– Doskonale. Nie chcę, żebyś wracała do siebie, do Oksfordu. Jest jakieś miejsce, w którym mogłabyś się zatrzymać?

– Choćby u Tracy, w Londynie.

– To też wykluczone. Ci ludzie musieli mnie namierzyć właśnie tam.

– Dom moich rodziców?

– Nie. Chcę, żebyś zabrała Scarlett i pojechała z nią gdzieś, gdzie nigdy przedtem nie byłaś.

– Nie sądzisz chyba...

Bourne demonstracyjnie wyjął znalezionego w mieszkaniu Noaha glocka. Schował go w skrytce na desce rozdzielczej.

– Co robisz?

– Śledzono nas, najprawdopodobniej od samego początku, od mieszkania Tracy. Lepiej dla bezpieczeństwa założyć, że wiedzą o Scarlett... a także, gdzie mieszkają twoi rodzice.

– Ale kim oni są?

Tylko pokręcił głową.

– Adamie, przecież to koszmar – powiedziała dziewczyna łamiącym się głosem, jakby słowa zrobione były ze szkła.

– Na Boga, w co ta Tracy się wmieszała.

– Bardzo chciałbym znać odpowiedź na to pytanie.

Ruch w przeciwną stronę zmniejszył się do zera, co powiedziało Bourne'owi, że zbliżają się do miejsca wypadku. Po ich stronie samochody poruszały się w żółtym tempie, dzięki temu łatwiej mu było wyskoczyć z range rovera i oddać kierownicę Chrissie.

– Co z tobą będzie? – spytała, widząc, że wrzuca luz.

– O mnie nie musisz się martwić. Jakoś dostanę się do Londynu. – Dziewczyna jednak się o niego martwiła, więc podał jej numer swej komórki, ale widząc, że sięga do torebki po długopis, dodał szybko: – Zapamiętaj go. Nie chcę, żebyś cokolwiek zapisywała.

Wysiedli z samochodu. Chrissie zajęła miejsce za kierownicą. Chwyciła Bourne'a za ramię.

– Adamie, na litość boską, uważaj na siebie!

– Nic mi nie będzie – zapewnił ją z uśmiechem.

Nie chciała go puścić.

– Dlaczego zajmujesz się tą sprawą?

Bourne pomyślał o Tracy umierającej w jego ramionach. Miał jej krew na rękach. Zajrzał do range rovera przez okno od strony kierowcy.

– Mam wobec niej dług, którego nigdy nie spłacę.

• • •

Bourne przeskoczył przez barierkę odgradzającą śliskie po ulewnym deszczu pasy ruchu. Podchodził do miejsca wypadku czujny, skupiony, ogarniając wzrokiem i umysłem karetki, samochody pomocy drogowej, radiowozy policji. Wypadek ściągnął na autostradę odpowiednie służby z całej okolicy, co, biorąc pod uwagę jego plan, należało uznać za szczęście. Samego miejsca zdarzenia jeszcze nie odgrodzono. Dostrzegł ciało leżące na ziemi, przykryte plandeką. Ekipa dochodzeniowa przeszukiwała okolicę, robiła notatki i zdjęcia, oznaczała znalezione strzępy dowodów plastikowymi stożkami z wypisanym numerem, a jej członkowie już wymieniali między sobą pierwsze spostrzeżenia. Z każdej możliwej strony fotografowano wszystko, co mogło być dowodem: krople krwi, odłamki stłuczonych tylnych świateł, włókna podartego płótna, drobiny szkła samochodowej szyby, kałuże oleju.

Jason, niezauważony, podszedł do jednego z samochodów pomocy drogowej, wślizgnął się do szoferki i przejrzał skrytkę w poszukiwaniu jakiegoś dowodu tożsamości. Nic nie znalazłszy, zajrzał za osłony przeciwsłoneczne. Jedna z nich obwiązana była gumką, a kiedy ją opuścił, okazało się, że przytrzymuje kilka różnych kart, w tym nieaktualną już plaketkę z nazwiskiem. Zawsze zdumiewało go, jak bardzo ludzie przyzwyczajeni są do swojej historii i nie chcą się pozbywać jej materialnych dowodów, choćby tak nieważnych. Usłyszał czyjeś kroki, chwycił więc jeszcze gumowe rękawiczki i wyslizgnął się z kabiny po stronie pasażera, jednocześnie przypinając identyfikator do kurtki. Wmieszał się w tłum ludzi próbujących uporządkować jakoś następstwo zdarzeń, które pozostawiło tyle śladów na asfalcie.

Najpierw obejrzał bmw. Przy którymś obrocie nadziało się na barierę jak na harpun i było już tylko wrakiem. Bourne dostrzegł miejsce, w które uderzył range roverem Chrissie, wygiętą końcówkę tylnego zderzaka. Przykucnął, pewnymi ruchami zdjął z karoserii odrobinę lakieru, jednocześnie starając się zapamiętać numer rejestracyjny.

Przykucnął przy nim miejscowy funkcjonariusz policji.

– Jak ci się widzi? – spytał. Miał ziemistą twarz, popsute zęby i doskonale pasujący do nich oddech. Można pomyśleć, że wychował się na odgazowanym piwie, kiełbaskach z ziemniakami puree i syropie z melasy.

– Te zniszczenia dowodzą, że w momencie wypadku prędkość samochodu musiała być nieprawdopodobna – powiedział Bourne ochryple, doskonale naśladowując akcent z południowego Londynu.

– Przeziębienie czy alergia? – zainteresował się policjant.

– Tak czy inaczej, lepiej uważaj na siebie, zwłaszcza w taką cholerną pogodę.

– Muszę zobaczyć ofiary.

– Jasne. – Gliniarz wstał przy akompaniamencie trzasku kolan. Grzbiety dłoni miał szorstkie, zaczerwienione od godzin spędzonych w niedogrzanym komisariacie w długie ciężkie zimy. – To tam.

Przeprowadził Bourne'a przez tłumek ludzi do czekającego na transport ciała. Podniósł płachtę. Dziwne, ale kierowca bmw wyglądał na czterdzieści parę, może nawet ponad pięćdziesiąt lat. Bardzo dziwne, jak na płatnego mordercę.

Policjant oparł ręce na kościstych kolanach.

– Nie mamy żadnego dowodu tożsamości. Cholernie się napracujemy, nim będziemy mogli zawiadomić jego żonę.

Na środkowym palcu lewej ręki martwego mężczyzny widać było coś przypominającego ślubną obrączkę. Bourne uznał to za interesujące, ale nie zamierzał podzielić się tą opinią ani z angielskim policjantem, ani z nikim innym. Za to musiał obejrzeć ją od środka.

– Zaczynam – powiedział. Gliniarz obrzydliwie zarechotał.

Bourne zdjął pierścień. Był znacznie starszy od tego, który już miał. Podniósł go, by móc dokładniej mu się przyjrzeć: był pociemniały, porysowany, wytarty przez lata ocierania się o skórę. Złoto potrzebuje ze stu lat, żeby tak się wytrzeć. W środku rzeczywiście znajdował się wygrawerowany napis. Bourne rozpoznał staroperski i łacinę. Obrócił pierścień w palcach, mrużąc oczy. Tylko dwa słowa: *Severus Domna*. Trzeciego, *Dominion*, brakowało.

– Znalazłeś coś?

Bourne pokręcił głową.

– Spodziewałem się czegoś w rodzaju *Bertiemu*, *Matylda*, no, wiesz...

– Kolejna ślepa uliczka – stwierdził kwaśno inspektor.

– Chryste Przenajświętszy, te kolana mnie zabijają.

– Wyprostował się z cichym jękiem.

Bourne wiedział już, co oznacza *Severus Domna*: grupę ludzi, może nawet jakieś stowarzyszenie. Jakkolwiek ich nazwać, jedno jest jasne: są gotowi na wiele, by utrzymać w tajemnicy przed światem sam fakt swego istnienia. Ale z jakiegoś powodu zaczęli działać, ryzykując, że się ujawnią, a to dlatego, że ktoś zdobył pierścień z wygrawerowaną na nim ich nazwą z dodatkiem słowa: *Dominion*.

Rozdział 11

Oliver Liss szedł szybkim krokiem North Union Street w Alexandrii, na starym mieście. Spojrzał na zegarek, po czym chwilę później wszedł do drogerii, jednej z tych należących do sieci, dużych, w których dostać można prawie wszystko. Przeszedł przez dział higieny jamy ustnej, następnie dział higieny stóp i znalazł tanie telefony komórkowe. Wybrał jeden z kartą na trzydzieści minut i poszedł do kasy. Hindusce w kasie zapłacił za niego i za „Washington Post”. Gotówką.

Wyszedł na ulicę. Wyjął telefon z plastikowego opakowania i spacerem, pod niskim, ciemnym niebem wrócił do zaparkowanego samochodu. Podłączył telefon do ładowarki, której na naładowanie go wystarczyło niespełna pięć minut. Liss czekał z głową opartą o zagłówek. Przymknął oczy. Niewiele spał ostatniej nocy, w istocie niewiele spał od czasu, gdy zgodził się finansować odrodzony Treadstone.

Nie po raz pierwszy zastanawiał się, czy postąpił właściwie. Próbował przypomnieć sobie, kiedy podjął jakąś zawodową decyzję z własnej, nieprzymuszonej woli. Pewnego dnia, przeszło dziesięć lat temu, skontaktował się z nim mężczyzna każący nazywać się Jonathan, choć Liss szybko się domyślił, że to nie jest jego prawdziwe imię. Twierdził, że reprezentuje wielką międzynarodową firmę. Jeśli on, Liss, właściwie rozegra swe karty, jeśli zadowoli Jonathana, a tym samym jego wspólników, będzie miał w nich stałego klienta. Następnie zasugerowano mu, że powinien znaleźć prywatną firmę zarządzania ryzykiem, za której pośrednictwem jego klienci staną się prywatnymi dostawcami sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych w zapalnych punktach świata. W ten sposób powstała Black River. Grupa Jonathana dostarczyła fundusze na rozwój, spełniając złożone obietnice, oraz wprowadziła dwóch wspólników. Ci sami ludzie, jak zwykle przez Jonathana, ostrzegli go także, że dzieją się rzeczy, które zmiotą Black River z powierzchni ziemi, i to raczej wcześniej niż później. I wyciągnęli go z kłopotów, nie narażając na żadne dochodzenia, zeznania przed komisją kongresową, oskarżenia o przestępstwa kryminalne i nieuchronne aresztowanie.

Następnie, zaledwie kilka tygodni po bezpiecznym lądowaniu, Jonathan wystąpił z kolejną propozycją, która tak naprawdę nie była propozycją, lecz poleceniem sfinansowania pierwszego etapu działalności Treadstone. Przedtem Liss nawet nie znał tej nazwy, ale dostał zaszyfrowane akta opisujące ze szczegółami powstanie i rozwój programu. Dowiedział się z nich, że żyje tylko jeden członek grupy: Frederick Willard. Skontaktował się z nim i sprawy potoczyły się zgodnie z przewidywaniami.

Od czasu do czasu pozwalał sobie na luksus rozważania, skąd ci ludzie mają tyle cennych, tajnych informacji. Kto jest ich źródłem? Wydawało się obojętne, czy chodzi o amerykańskie, o rosyjskie, chińskie czy egipskie tajne służby, by wymienić tylko kilka. A były to zawsze informacje najważniejsze i zawsze wiarygodne.

Najbardziej niezwykłym elementem tego rozdziału jego życia było to, że nigdy nie spotkał się z żadnym z tych tajemniczych ludzi twarzą w twarz. Jonathan udzielał mu instrukcji przez telefon, a on bez słowa protestu się do nich stosował. Nie należał do ludzi rozkoszujących się

swoją niewolą, ale rozkoszował się każdą sekundą życia, a bez nich już dawno byłby martwy. Wszystko, co miał, zawdzięczał grupie Jonathana.

Ci ludzie byli twardzi, poważni i skupieni wyłącznie na postawionych sobie celach, ale za dobrą pracę płacili bardzo dobrze. Przez wszystkie te lata Liss zarobił więcej niż w najśmielszych marzeniach i był to kolejny niezwykle tajemniczy aspekt jego życia, bo skąd grupa Jonathana miała pieniądze? Wydawało się, że dysponuje nieograniczonymi środkami. Równie ważne było to, że chroniła go zgodnie z obietnicą Jonathana, czego dowodem był fakt, że uniknął kłopotów, przez które dwaj byli wspólnicy Black River wylądowali w więzieniu federalnym na resztę życia.

Cichy pisk zasygnalizował, że komórka jest naładowana. Wyjął ją z ładowarki, włączył i wybrał lokalny numer. Odebrano po dwóch sygnałach. Powiedział: „Dostawa”. Po krótkiej chwili ciszy kobiecy głos wyrecytował jak automat: „Księga Koheleta trzy sześćdziesiąt dwa”.

Zawsze była to Biblia, nie miał pojęcia dlaczego. Rozłączył się i wziął gazetę. „Księga Koheleta” oznaczała dział sportowy, „trzy sześćdziesiąt dwa” trzecią kolumnę, szósty akapit, drugie słowo. Przesunął palcem po tekście. Dzisiejsze słowo kodowe brzmiało „przechwycenie”.

Wybrał dziesięciocyfrowy numer. „Przechwycenie”, powiedział, gdy odebrano po pierwszym sygnale. Tym razem usłyszał nie głos, lecz serię elektronicznych stuków i trzasków. To skomplikowana sieć serwerów i centrali przekierowywała jego rozmowę raz za razem gdzieś daleko, do miejsca, o którego lokalizacji nie miał najmniejszego pojęcia. Następnie włączyły się mechanizmy szyfrujące, aż wreszcie męski głos powiedział:

– Witaj, Oliverze.

– Dzień dobry, Jonathanie.

Szyfrowanie zwalniało tok rozmowy, odbierało głosowi indywidualne brzmienie i emocje, uniemożliwiało ich odczytanie, interpretację, przez co podobny był raczej do głosu automatu.

– Wysłałeś ich w drogę?

– Wystartowali przed godziną. Będą w Londynie jutro wczesnym rankiem. – Przecież to człowiek kryjący się za tym głosem wysłał mu dossier na telefon. – Dostali rozkazy, ale...

– Tak?

– Willard mówi tylko o Arkadynie, o Bournie i programie Treadstone, który ich stworzył. Twierdzi, że zna sposób uczynienia ich jeszcze bardziej... użytecznymi. Zdaje się, że właśnie tego określenia użył.

Jonathan zachichotał, a przynajmniej Liss uznał, że to chichot, choć do jego ucha dotarł suchy szelest, jakby stado owadów opadało na zieloną łąkę.

– Masz zejść mu z drogi, Oliverze. Czy to jasne?

– Tak, oczywiście. – Liss potarł czoło kostkami palców.

O co temu facetowi chodzi? Co chce osiągnąć?

– Powiedziałem mu już, że ma odłożyć swoje plany na bok, póki nie znajdzie pierścienia.

– Postąpiłeś jak należy.

– Willard nie był uszczęśliwiony.

– Nie mów.

– Mam wrażenie, że już myśli o tym, jak dać nogę.

- Kiedy spróbuje, masz mu nie przeszkadzać.
- Co? – zdumiał się Liss. – Nic z tego nie rozumiem.
- Wszystko jest tak, jak być powinno – zapewnił Jonathan i się rozłączył.

• • •

Soraya odwiedziła po kolei wszystkie agencje wynajmu samochodów na lotnisku Dallas/Fort Worth, pokazując ich pracownikom zdjęcie Arkadina. Żaden z nich go nie rozpoznał. Zjadła coś, kupiła coś do czytania i snickersa. Jedząc go powoli, podeszła do biura linii lotniczych, którymi przyleciał Arkadin, i poprosiła o rozmowę z kierownikiem zmiany.

Okazał się nim potężnie zbudowany mężczyzna o imieniu Ted, być może były atakujący w drużynie futbolowej, który po zakończeniu kariery przytył, jak oni wszyscy, prędzej czy później. Ted przyjrzał się Sorai przez przybrudzone okulary, poprosił ją o nazwisko, po czym zaproponował, by porozmawiali w jego biurze.

– Pracuję dla Continental Insurance – powiedziała Soraya, odgryzając kawałek snickersa. – Próbuje zlokalizować mężczyznę o nazwisku Stanley Kowalski.

Ted wyprostował się w fotelu i splótł potężne dłonie na brzuchu.

– Żartujesz sobie ze mnie, prawda? – spytał.

– Nie. Nie żartuję. – Podała mu dane lotu Kowalskiego.

Mężczyzna westchnął i wzruszył ramionami. Odwrócił się, sprawdził coś na komputerze.

– Proszę, proszę – mruknął zdziwiony. – Jest dokładnie tak, jak mówiłaś. – Spojrzał na Sorayę z zainteresowaniem.

– W takim razie... jak mogę pomóc?

– Ciekawi mnie, jak się stąd wydostał.

Ted się roześmiał.

– Teraz już wiem, że się ze mnie nabijasz. To lotnisko jest jednym z największych na świecie. Także pod względem ruchu. Twój pan Kowalski mógł polecieć gdziekolwiek. Albo w ogóle nie odlecieć, to też możliwe.

– Nie wypożyczył samochodu – powiedziała Soraya.

– I nie przesiadł się na lot krajowy, bo przeszedł kontrolę paszportową właśnie tu, w Dallas. Ale i tak upewniłam się, że mam rację. Sprawdziłam nagrania telewizji ochrony z tego dnia.

Mężczyzna ściągnął brwi.

– Dokładna jesteś, to ci muszę przyznać. – Zastanawiał się przez chwilę. – A teraz powiem ci coś i założę się, że tego nie wiedziałaś. Startuje od nas trochę lotów regionalnych.

– Sprawdziłam także ich nagrania.

Uśmiechnął się.

– Ale nie sprawdziłaś nagrań z wejść do czarterów, ponieważ tam nie ma kamer. – Wydarł z notesu kartkę i pisał coś na niej przez chwilę. – Tu masz ich nazwy. – Puścił oko. – No to szczęścia na polowaniu!

• • •

Trafiła za piątym razem. Pilot rozpoznał twarz Arkadina, ale nie nazwisko „Kowalski”.

– Powiedział, że nazywa się Slim Pickens. – Skrzywił się niemiłosiernie. – Był chyba taki aktor, prawda?

– Przypadek. I dokąd pan zabrał pana Pickensa?

– Lotnisko międzynarodowe w Tucson.

– Tucson, co?

Nie potrafiła wyobrazić sobie, czego Arkadin mógłby tam szukać, lecz nagle coś jakby przełączyło się jej w głowie i już wiedziała.

Meksyk.

• • •

Bourne zameldował się w małym hotelu w Chelsea. Przede wszystkim wziął długi, gorący prysznic, splukując brud i pot wydarzeń dzisiejszego dnia. Mięśnie karku, ramion i grzbietu pulsowały tęnym bólem będącym skutkiem wypadku i długiej ucieczki z autostrady.

Wspomnienie słów *Severus Domna* odbijało się echem w jego umyśle. Niemożność ożywienia pamięci pogrążonej w wiecznej mgłę doprowadzała do szaleństwa. Był pewny, że kiedyś wiedział, co znaczą. Dlaczego? Czy grupa ta stała się celem misji Treadstone, którą kazał mu wypełnić Conklin? Czy udało mu się jakoś zdobyć pierścień, dostał go od kogoś w określonym celu? Poza tymi trzema raczej ogólnikowymi faktami wszystko okrywał mrok. Dlaczego ojciec Holly ukradł go bratu? Dlaczego dał córce? Kim był jej wuj? Co pierścień dla niego oznaczał? O to nie mógł już jej spytać. Tylko wuja, kimkolwiek jest. Gdy go odnajdzie.

Zakręcił wodę i wyszedł spod prysznica. Energicznie wytarł się ręcznikiem. Być może powinien wrócić na Bali? Czy któreś z rodziców Holly nadal żyje? Nadal tam mieszka? Suparwita może to wiedzieć, ale nie ma telefonu, więc nie ma innego sposobu na skontaktowanie się z nim niż powrót na wyspę i zadanie mu pytania. I nagle Bourne doznał olśnienia. Jest lepszy sposób uzyskania potrzebnych informacji, a plan, który właśnie zaświtał mu w głowie, posłużyłby także osiągnięciu drugiego celu: zapędzeniu w pułapkę Leonida Arkadina.

Nadal pogrążony w myślach, z umysłem pracującym na wysokich obrotach, Bourne włożył ubranie kupione po drodze do hotelu, u Marksa i Spencera: ciemny garnitur i czarny golf. Następnie wyczyścił buty zestawem należącym do wyposażenia pokoju i pojechał taksówką do domu Diega Hererry przy Sloane Square.

Jak się okazało, bankier mieszkał w wiktoriańskiej rezydencji z czerwonej cegły, ze stromym, krytym łupkiem dachem i dwoma stożkowatymi wieżyczkami bodącymi nocne niebo niczym rogi. Mosiężna kołatka w kształcie jeleniego łba witała gości stoicko spokojnym spojrzeniem. Bourne zapukał. Otworzył mu sam gospodarz i na jego widok lekko się uśmiechnął.

– Widzę, że wczorajsze przygody ci nie zaszkodziły?

– Wykonał zapraszający gest. – Wejdz, proszę.

Diego ubrany był w ciemne spodnie i elegancką wieczorową marynarkę, prawdopodobnie lepiej pasujące do Vesper Club, jednak Bourne, przynajmniej jeśli chodzi o modę, instynktownie pozostał wierny stylowi akademickiemu i w strojach wieczorowych czuł się tak

źle, jakby miał na sobie średniowieczną zbroję.

Hererra poprowadził Bourne'a przez staroświecki salon, oświetlony antycznymi lampami przykrytymi kloszami z matowego szkła, do jadalni, w której w oczy rzucał się przede wszystkim polerowany mahoniowy stół, nad którym wisiał kryształowy żyrandol świecący w tej chwili stłumionym blaskiem, od którego na tapecie w kolorze drogich kamieni i dębowej boazerii zapalały się gwiazdy. Na stole stały dwa nakrycia. Bourne usiadł, a gospodarz natychmiast poczęstował go doskonałą sherry. Na talerzykach leżały grillowane sardynki, papas fritas, cienkie jak papier plasterki szynki Serrano, maleńkie kręgi chorizo pokryte kroplami tłuszczu, stał też półmisek hiszpańskich serów trzech rodzajów.

– Częstuj się, proszę – powiedział gospodarz, zajmując miejsce. – To taki hiszpański zwyczaj.

Jedząc, Bourne był świadom, że Diego uważnie go obserwuje. Po długiej chwili milczenia powiedział:

– Ojciec z przyjemnością przyjął informację, że mnie odwiedziłeś.

Przyjemnością czy zainteresowaniem? – pomyślał Bourne.

– Jak się miewa don Fernando? – spytał.

– Jak zwykle. – Diego jadł jak ptaszek, głównie bawił się widelcem. Albo nie miał apetytu, albo zastanawiał się nad czymś wyjątkowo dla niego ważnym. – On bardzo cię lubi, wiesz?

– Kiedy pytał, kim jestem, skłamałem.

Bankier się roześmiał.

– Nie znasz mojego ojca. Jestem pewny, że obchodziło go tylko jedno: czy jesteś przyjacielem, czy wrogiem.

– Jestem wrogiem Leonida Arkadina, o czym doskonale wie.

– Dokładnie. – Diego szeroko rozłożył ręce. – Cóż, wszyscy nimi jesteśmy. I to nas łączy.

Bourne odsunął talerz.

– Wiesz, właśnie się nad tym zastanawiałem.

– A nad czym dokładnie, jeśli wolno spytać?

– Nas wszystkich łączy także to, że znaliśmy Noaha Perlisa. Bo twój ojciec go znał, prawda?

Diego nie zastanawiał się nawet przez sekundę.

– No więc właśnie nie, nie znał. Noah był moim przyjacielem. Pójdziemy do kasyna, do Vesper Club, i będziemy tam grać przez całą noc. Tak właśnie Noah spędzał czas, kiedy był w Londynie. To lubił najbardziej. Kiedy tylko przychodziła wiadomość, że przyjeżdża, załatwiałem co trzeba. Linię kredytową, żetony.

– No i, oczywiście, dziewczyny.

Diego uśmiechnął się szeroko.

– Oczywiście. Dziewczyny.

– Pewnie chciał się zobaczyć z Tracy... i z Holly?

– Kiedy były w mieście. Ale na ogół ich nie było.

– Nierozłączna czwórka.

Bankier ściągnął brwi.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Widziałem zdjęcia w mieszkaniu Noaha.

– Czyżbyś coś sugerował?

Zachowanie młodego Hererry zmieniło się. Pojawiło się napięcie, jak delikatne kręgi rozchodzącego się ze środka jego istoty. Bourne był zadowolony, że udało mu się poruszyć faceta.

– Nie, właściwie nie – odrzekł. – Tyle że na tych zdjęciach wyglądaliście tak, jakbyście byli sobie bardzo bliscy.

– Powiedziałem już, że byliśmy przyjaciółmi.

– Potrafię sobie wyobrazić, że więcej niż przyjaciółmi.

Diego spojrział na zegarek.

– Jeśli interesuje cię gra, to najwyższy czas, żebyśmy przenieśli się do Knightsbridge.

• • •

Vesper Club był bardzo wykwintnym londyńskim kasynem mieszczącym się na bardzo wykwintnym londyńskim West Endzie. Jak wszystkie tego rodzaju lokale był też miejscem szalenie dyskretnym, praktycznie niedostrzegalnym z ulicy, stanowiącym przeciwieństwo odgradzonych od zwykłych ludzi jedwabnymi sznurami wykwintnych nocnych klubów Nowego Jorku czy Miami Beach, chlubiących się swym prostactwem.

W środku znajdowała się restauracja z miękkimi jak łabędzi puch skórzanymi ławami, długi, wijący się bar z mosiądzu i szkła oraz szereg pokoi do gry: marmury, lustra i kamienne kolumny z doryckimi kapitelami. Minęli szereg jednoręcznych bandytów. Po jednej stronie znajdowała się sala gier elektronicznych, rozbrzmiewająca głośną rockową muzyką, wypełniona błyskającymi światłami zdającymi się krzyczeć: „Grajcie!”. Bourne zajrzał tam i zobaczył, że pilnuje jej ochrona. Właściciele klubu najwyraźniej uznali, że młodzi klienci chętniej manifestują ognisty temperament niż ci starsi, spokojniejsi, o ustalonej pozycji.

Po kilku stopniach zeszli do zdecydowanie spokojniejszej, choć nie mniej bogato urządzonej części poświęconej bardziej klasycznym grom, gromadzącej typowych głównych podejrzanych: bakarat, ruletka, poker, blackjack. Owaloną salę wypełniały ciche głosy obstawiających graczy, obracających się kół ruletki, podających wyniki krupierów, powtarzający się brzęk szkła. Przeszli do obitych zielonym sukniem drzwi pilnowanych przez potężnego mężczyznę w smokingu. Gdy tylko zobaczył Diega, uśmiechnął się i ukłonił z szacunkiem.

– Jak się pan miewa w ten piękny wieczór, panie Hererra?

– Całkiem dobrze, Donaldzie. A to mój przyjaciel, Adam Stone.

– Dobry wieczór panu. – Donald otworzył przed nimi drzwi. Otwierały się do środka. – Witamy w Empire Suite naszego klubu.

– Noah lubił tu grać w pokera – rzucił Diego przez ramię.

– Tylko najwyższe stawki, tylko doświadczeni gracze.

Bourne się rozejrzał. Ciemne ściany, podłoga z dużych marmurowych płyt, stoły w kształcie nerki, zgarbione plecy i skupione twarze kobiet i mężczyzn siedzących wokół płaszczyzn zielonego sukna, wpatrzonych w karty, oceniających przeciwników, podejmujących decyzję i obstawiających.

– Nie wiedziałem, że Noah miał pieniądze umożliwiające mu grę o takie stawki –

powiedział.

– Nie miał. Ja finansowałem jego grę.

– Nie było to przypadkiem ryzykowne?

– Nie z Noahem. – Herrera się uśmiechnął. – Jeśli chodzi o pokera, był ekspertem wśród ekspertów. Po niespełna godzinie oddawał pożyczkę, a potem jeszcze trochę. Za te trochę sam grałem. To był dobry układ. Dla nas obu.

– Dziewczyny też tu przychodziły?

– Jakie dziewczyny?

– Tracy i Holly – przypomniał Bourne cierpliwie.

Diego zamyślił się na chwilę.

– Raz i drugi... tak, chyba tak.

– Nie pamiętasz?

– Tracy lubiła grać. Holly nie. – Wzruszenie ramion było nieudolną próbą zamaskowania rosnącej niepewności. – Ale o tym z pewnością wiesz.

– Tracy nie lubiła grać. – Bourne postarał się, by jego głos brzmiał obojętnie, nie oskarżycielsko. – Nienawidziła swojej pracy, a przez nią musiała grać niemal każdego dnia.

Diego odwrócił się do niego. Bourne zobaczył na jego twarzy konsternację... a może nawet lęk?

– Pracowała dla Leonida Arkadina – mówił dalej Bourne.

– Ale o tym z pewnością wiesz.

Diego oblizwał wargi. Wyglądał, jakby marzył o tym, by usiąść.

– Szczerze mówiąc, nie miałem pojęcia – wyznał. – Ale jak... jak to możliwe?

– Arkadin ją szantażował. Miał coś na nią. Co?

– Nie wiem – odrzekł bankier drżącym głosem.

– Musisz mi powiedzieć. To dla mnie bardzo, bardzo ważne.

– Dlaczego? Dlaczego to ważne? Tracy nie żyje... Holly... obie nie żyją... Noah też. Czy nie można zostawić tego wszystkiego w spokoju?

Bourne zrobił krok w jego kierunku. Choć ściszył głos, brzmiała w nim wyraźnie słyszalna groźba.

– Nie można. Arkadin wciąż żyje. Jest odpowiedzialny za śmierć Holly. A zabił ją twój przyjaciel Noah.

– Nie. – Diego zeszywniał. – Mylisz się, przecież nie mógł...

– Byłem tam, kiedy to się stało. Noah zepchnął ją ze schodów, ze szczytu świątyni na wschodzie wyspy. To, przyjacielu, jest fakt, w odróżnieniu od kitu, który mi wciskałeś.

– Muszę się napić – powiedział Herrera głosem piskliwym i ochryplym z konsternacji.

Bourne wziął go za łokieć i poprowadził do małego baru z tyłu Empire Suite. Młody człowiek szedł chwiejnie na sztywnych nogach, jakby już był pijany. Klapnął na stołek i natychmiast zamówił podwójną whisky, nie dla niego była wytworna sherry. Whisky wystarczyło mu na trzy wielkie łyki. Poprosił o następną. Ją także wypiłby duszkiem, gdyby Bourne nie wyjął mu szklanki z drżącej ręki i nie odstawił na czarny marmurowy blat.

– Noah zabił Holly. – Diego siedział zgarbiony, gapiąc się w głębię swej whisky jak w przeszłość, która nagle okazała się nieznana. – Co za pieprzony koszmar.

Nie wyglądał na człowieka, używającego ordynarnego języka. Najwyraźniej był jak ryba

wyjęta z wody, a to oznaczało, że nie wie nic o prowadzonym przez ojca handlu bronią. Najwyraźniej nie ma też pojęcia, jak Noah Perlis zarabiał na życie.

Nagle podniósł głowę i spojrzał na Bourne'a.

– Dlaczego? Dlaczego miałby to zrobić?

– Chciał czegoś, co miała. Chyba nie zamierzała oddać mu tego dobrowolnie.

– Więc ją zabił? – Diego spojrzał z niedowierzaniem na Bourne'a. – Kim jest człowiek zdolny do czegoś takiego?

– Pokręcił głową powoli, ze smutkiem. – Nie potrafię wyobrazić sobie, że ktoś chciałby ją skrzywdzić!

Bourne zanotował w pamięci, że Hererra nie powiedział: „Nie potrafię wyobrazić sobie, że Noah Perlis chciałby ją skrzywdzić”.

– Więc wydaje się jasne – powiedział – że Noah nie był kimś, za kogo go brałeś. – Powstrzymał się przed dodaniem: „Tak jak Tracy”.

Diego wziął szklanekę i dopił drugą whisky.

– Dobry Boże – szepnął.

– Opowiedz mi o waszej czwórce, Diego – poprosił Bourne łagodnie.

– Muszę się jeszcze napić.

Bourne zamówił mu whisky, tym razem małą. Diego złapał szklanekę, jakby była kołem ratunkowym rzuconym tonącemu. Od jednego ze stołów wstała kobieta w błyszczącej sukni, wymieniła żetony na gotówkę i odeszła. Jej miejsce zajął mężczyzna z barami futbolisty. Tęga starsza dama o siwiejących włosach, która najwyraźniej dopiero zaczynała grać, usiadła przy środkowym stole. Przy trzech stołach nie było wolnego miejsca.

Diego wypił szybko dwa łyki whisky, po czym powiedział głosem bez wyrazu:

– Tracy i ja chodziliśmy ze sobą. Nic poważnego, spotykaliśmy się z innymi... a przynajmniej ona się spotykała. To było coś zwykłego, bez konsekwencji. Gadaliśmy, śmialiśmy się, nic więcej. Nie chcieliśmy narazić na szwank naszej przyjaźni.

Coś w jego głosie zwróciło uwagę Bourne'a.

– Ale to nie wszystko, prawda?

Diego posmutniał jeszcze bardziej. Odwrócił wzrok.

– Nie – przyznał. – Zakochałem się w niej. Nie tak miało być. Nawet tego nie chciałem. – Mówił o tym tak, jakby wierzył, że ma w tej sprawie wybór. – Tracy była bardzo miła, chociaż... – Umilkł, przytłoczony smutnymi wspomnieniami.

Bourne uznał, że już może pchnąć go na właściwy tor.

– A Holly? – spytał.

Diego Hererra natychmiast oprzytomniał.

– Noah ją uwiódł. Na moich oczach. Uważałem, że to nawet zabawne... w pewien sposób. Byłem pewny, że to nic złego. Proszę, nie pytaj mnie dlaczego.

– Co się stało?

Hererra westchnął.

– Okazało się, że Noah ma słabość do Tracy i że jest to bardzo złe uczucie. Jeśli o nią chodzi, to nie chciała mieć z nim nic wspólnego i wcale tego przed nim nie ukrywała. – Wypił kolejną porcję whisky, jakby pił wodę. – Za to ukryła, nawet przede mną, że tak naprawdę wcale nie lubi Noaha, a co najmniej mu nie ufa.

– To znaczy?

– Czula się odpowiedzialna za Holly, traktowała to bardzo poważnie, a widziała, że Noah zaczyna uwodzić dziewczynę tylko dlatego, że nie może mieć jej. Uważała, że jest typem cynicznym, autodestrukcyjnym, a Holly popełnia wielki błąd, traktując ich związek zbyt poważnie. Nie wątpiła, że skończy się łzami.

– Dlaczego wkroczyła pomiędzy nich, a nie kazała Noahowi się wycofać?

– Wkroczyła i kazała. Powiedział jej, bardzo brutalnie, moim zdaniem, że to nie jej sprawa.

– Rozmawiałaś z nim?

Diego wyglądał jeszcze żałośniej niż przed chwilą.

– Teraz wiem, że powinienem, ale wtedy nie wierzyłem Tracy, a może nie chciałem wierzyć, bo gdybym uwierzył, sytuacja zrobiłaby się jeszcze bardziej skomplikowana, a nie chciałem...

– Nie chciałeś brudzić sobie rączek?

Diego skinął głową, ale nie patrzył Bourne'owi w oczy.

– Ale na pewno podejrzewałeś Noaha, prawda?

– No nie wiem... może... Jednak prawda wygląda tak, że w nas wierzyłem, chciałem wierzyć, że wszystko dobrze się skończy, że ze wszystkim sobie poradzimy, bo przecież jesteśmy prawdziwymi przyjaciółmi i dbamy o siebie nawzajem.

– Dbaliście o siebie nawzajem, racja, ale w niewłaściwy sposób.

– Kiedy teraz na to patrzę, wszystko wydaje się takie popaprane. Nikt nie był tym, kim mówił, że jest, nie lubił tego, o czym mówił, że lubi. Już nawet nie rozumiem, co nas tak do siebie przyciągało.

– I o to chodzi, prawda? – powiedział Bourne. – Każde z was chciało czegoś od kogoś, w taki i inny sposób każdy wykorzystywał przyjaźń, bo mógł coś dzięki niej ugrać.

– To, co robiliśmy, o czym rozmawialiśmy, z czego się sobie zwierzailiśmy... to wszystko okazało się kłamstwem.

– Niekoniecznie. Bo przecież wiedziałeś, że Tracy pracuje dla Arkadina, prawda?

– Powiedziałem ci już, że nie. Nie wiedziałem.

– Pamiętasz, co powiedziałaś, kiedy spytałem cię, co na nią ma?

Hererra przygryzł wargi. Milczał.

– Powiedziałaś, że Tracy nie żyje, że obie nie żyją, ona i Holly, i że dlaczego nie zostawić ich w spokoju? – Bourne patrzył mu w oczy. – To są słowa człowieka, który doskonale zna odpowiedź na zadane mu pytanie.

Diego uderzył otwartą dłonią w bar.

– Obiecałem jej, że to zostanie naszą tajemnicą.

– Rozumiem – powiedział Bourne spokojnie. – Ale utrzymywanie tajemnicy nie ma już sensu, prawda?

Diego przesunął dłonią po twarzy, jakby próbował zmazać wspomnienia. Siedzący przy drugim stole mężczyzna powiedział „kończę”, odsunął krzesło, wstał i się przeciągnął.

– W porządku. – Tym razem Diego spojrzał Bourne'owi w oczy. – Powiedziała, że Arkadin pomógł jej bratu wygrzebać się z bardzo poważnych kłopotów i teraz używa tego przeciwko niej.

Bourne o mało nie powiedział: „Przecież Tracy nie miała brata”, ale zdołał w ostatniej

chwili się powstrzymać.

– Co jeszcze?

– Nic więcej. To się zdarzyło po... no... jeszcze ze sobą nie spaliśmy. Zrobiło się już bardzo późno, za dużo wypła, przez cały wieczór była strasznie przygnębiona, a kiedy skończyliśmy, zaczęła płakać i nie mogła przestać. Spytałem oczywiście, czy zrobiłem coś złego, ale tylko zaniosła się płaczem. Przytuliłem ją, a kiedy już się wypłakała, wszystko mi opowiedziała.

Coś tu się nie zgadzało. Chrissie twierdziła, że nie mają brata, Tracy opowiedziała Hererze o bracie. Któraś z sióstr kłamała, tylko która? Z jakiego powodu Tracy miałyby kłamać Hererze? Z jakiego powodu Chrissie miałyby okłamywać jego?

W tym momencie Bourne kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Mężczyzna wymieniający przed chwilą żetony na gotówkę szedł w stronę baru. Wystarczył krok, dwa, by Bourne zorientował się, że zmierza w ich stronę.

Choć tego człowieka trudno byłoby zaliczyć do wielkich, sprawiał niezwykle wrażenie. Czarne oczy wydawały się żarzyć w twarzy koloru wyprawionej skóry. Gęste włosy i krótko przycięta broda powtarzały barwę oczu. Miał orli nos, szerokie usta o mięsistych wargach i policzki jak bloki betonu. Jedną z gęstych brwi przecinała niewielka pionowa blizna. Poruszał się ze swobodnie opuszczonymi ramionami, które mimo to nie drgnęły ani o milimetr. Cała jego postawa, sposób poruszania mówiły o zawodowstwie: oto człowiek od zmierzchu do świtu chodzący ze śmiercią pod ramię. I ta właśnie cecha ożywiła pamięć Bourne'a, rozdarła doprowadzającą go do szaleństwa zasłonę jego amnezji.

Rozpoznał go i zadrżał. Ten człowiek pomógł mu w zdobyciu pierścienia Dominion.

Bourne odsunął się od Diega. Kimkolwiek był, zawodowiec nie znał go przecież pod nazwiskiem Adama Stone'a. Zrobił krok do przodu, a on na jego widok uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

– Jasonie, wreszcie cię dopadłem.

– Kim jesteś? Skąd mnie znasz?

Uśmiech mężczyzny stracił promiennosc.

– To ja, Ottavio. Jasonie, czy mnie nie pamiętasz?

– Nie pamiętam.

Ottavio pokręcił głową.

– Nie rozumiem. Pracowaliśmy razem w Maroku, na zlecenie Alexa Conclina...

– Nie teraz. Jestem tu z...

– Z Diegiem Hererrą. Poznaję go.

– Hererra zna mnie jako Adama Stone'a.

Ottavio skinął głową. Był teraz poważny i skupiony.

– Rozumiem. – Spojrzał nad ramieniem Bourne'a.

– Może nas sobie przedstawiś?

– To chyba nie jest najlepszy pomysł.

– Sądząc z tego, jak na nas patrzy, on tego właśnie oczekuje. Bourne zrozumiał, że nie ma szansy. Odwrócił się na pięcie i poprowadził Ottavia do baru.

– Diego Hererra – powiedział – a to jest Ottavio...

– Moreno – dokończył mężczyzna, podając Hererze rękę. Hererra uścisnął wyciągniętą

uprzejmie dłoń i nagle jego oczy rozszerzyło przerażenie, a on sam osunął się na stołek. Jednocześnie Bourne dostrzegł ceramiczne ostrze noża, który zawodowiec wyciągnął skądś z precyzją kuglarza, pograżające się w piersi młodego bankiera. Czubek ostrza był lekko podwinięty w górę, jakby naśladowało uśmiech właściciela, w tej chwili wyglądający wręcz upiornie.

Bourne złapał go za koszulę na piersiach, uniósł, ale niesamowicie silny mężczyzna z blizną nie puścił ręki ofiary, a jego uścisk miał siłę imadła. Spojrzał na Diega. Życie już opuszczało jego ciało, cios nożem prawdopodobnie sięgnął serca.

– Za to cię zabiję – szepnął Bourne.

– Nie zabijesz, Jasonie. Jestem w tym dobry, pamiętasz?

– Nic nie pamiętam. Nawet twojego nazwiska.

– Więc musisz mi po prostu zaufać. Lepiej stąd przyskajmy...

– Nigdzie cię nie puszczę.

– Słuchaj, co do ciebie mówię. Nie masz wyboru.

– Tajemniczy Ottavio spojrział w stronę otwierających się właśnie drzwi. – Choć, jeśli chcesz wybierać...

Bourne dostrzegł wchodzącego do Empire Suite bramkarza Donalda. Towarzyszyło mu dwóch równie jak on potężnych kolegów po fachu w smokingach. Niczym prąd przeszył Bourne'a widok złotych pierścieni na palcach wskazujących ich prawych rąk.

– Należą do Severus Domna – powiedział mężczyzna z blizną.

Księga druga

Rozdział 12

Zamarli w ciszy przerywanej tylko stłumionym dźwiękiem traconych przez graczy pieniędzy. Ottavio podał Bourne'owi specjalne zatyczki do uszu, szepcząc jednocześnie „teraz”.

Bourne posłusznie umieścił zatyczki w uszach. Jego towarzysz zręcznym ruchem wyciągnął z kieszeni coś bardzo przypominającego kulkę z łożyska kulkowego. Trzymał ją między wskazującym i środkowym palcem lewej ręki. Jej szorstka powierzchnia i zatyczki zdradzały, co to jest: USW¹, czyli broń ultradźwiękowa.

Ottavio rzucił kulkę na podłogę. Potoczyła się po śliskiej marmurowej posadzce w stronę trzech agentów Severus Domna stojących między nimi i obitymi zielonym suknem drzwiami. Broń aktywowała się w momencie uderzenia, wysyłając lokalne pole dźwiękowe, działające na ucho wewnętrzne i powodujące między innymi utratę równowagi i zawroty głowy.

Obecni w Empire Suite leżeli na podłodze prawie nieprzytomni. Bourne poszedł za Ottaviem, mijając stoły do gry i przeskakując przez bezwładne ciała. Trzech bramkarzy spotkał ten sam los co graczy i krupierów, jednak gdy mężczyzna z blizną przekraczał ciało jednego z nich, facet wyciągnął rękę, szarpnął go gwałtownie za poję marynarki i padającego na wznak uderzył mocno w głowę nad prawym uchem. Bourne uchylił się przed padającym ciałem. Bramkarz wstawał powoli. Był to ten, który wcześniej patrolował salę z gramami elektronicznymi i używał zatyczek do uszu, chroniąc je w ten sposób przed hałasem muzyki rockowej. Innych niż on i Moreno, ale stłumiły pole w wystarczającym stopniu, by nie stracił orientacji, co się dzieje.

Bourne uderzył go pięścią w bok. Ochroniarz stęknął, a kiedy się odwrócił, trzymał w rękę walthera PP9. Cios zadany kantem dłoni trafił w nadgarstek. Bourne wyrwał przeciwnikowi pistolet i próbował uderzyć go kolbą w twarz, ale zamiar ten zniweczył szybki unik głową. Udało mu się jednak pchnąć go na ścianę, przy czym dostał cios w prawy biceps wystarczająco mocny, by ręka natychmiast mu zdrętwiała. Jego przeciwnik, pragnąc wykorzystać przewagę, próbował trafić Bourne'a w splot słoneczny, lecz ten odbił cios, kupując sobie czas konieczny do odzyskania czucia w prawym ramieniu.

Walczyli zaciekle, lecz w ciszy, między ludźmi opartymi bezwładnie o stoły do gry lub skulonymi na podłodze niczym kałuże galarety, co tworzyło niesamowity widok. Poruszali się błyskawicznie w sali, w której oprócz nich nie poruszał się nikt, co sprawiało, że każdy cios i każdy unik tej okrutnej walki nabierał niezwyklej wyrazistości, jakby wszystko to działo się głęboko pod wodą.

Natleniona krew ożywiła rękę Bourne'a, lecz niemal w tej samej chwili jego obrona została przełamana. Uderzenie trafiło w to samo miejsce. Pozbawione czucia ramię opadło bezwładnie. Twarz ochroniarza wykrzywił tryumfujący uśmiezek. Bourne uchylił się w prawo, co nie wprowadziło przeciwnika w błąd i sprawiło tylko, że uśmiechnął się szerzej. W tym momencie lewy łokieć trafił go w gardło, miażdżąc kość gnykową. Towarzyszył temu dziwny odgłos, jakby kliknięcie. Ochroniarz upadł na podłogę, by więcej z niej nie wstać.

Ottavio stał już na własnych nogach, niemal w pełni przytomny po potężnym ciosie w głowę. Bourne otworzył drzwi. Weszli do głównej sali kasyna. Szli szybkim krokiem, ale nie aż tak prędko, by zwracać na siebie uwagę. Pole dźwiękowe tu nie dotarło, wszystko toczyło się własnym rytmem, nikt nie podejrzewał nawet, co się stało w Empire Suite. Na razie, ale była to tylko kwestia czasu. Już wkrótce szef ochrony lub jeden z menedżerów miał zacząć szukać Donalda lub któregoś z jego dwóch kolegów.

Bourne próbował poganiać towarzysza, ale mężczyzna z blizną ociągał się z wyjściem.

– Czekaj – powiedział. – Czekaj.

Wyjęli z uszu zatyczki. Szmery i szepty eleganckiego świata uderzyły ich niczym ryk sztormowej fali.

– Nie możemy pozwolić sobie na czekanie! Musimy się stąd wynieść, nim.

Ale było już za późno. Sztywny jakby kij połknął mężczyzna, roztaczający wokół atmosferę stanowczości i niekwestionowanej władzy, szedł przez salę w ich kierunku. Wokół było za dużo ludzi, by mogło dojść do jakiejś poważniejszej konfrontacji, mimo to Ottavio natychmiast ruszył mu naprzeciw. Bourne zastąpił mu drogę.

– Czy pan jest kierownikiem sali? – spytał, uśmiechając się szeroko.

– Tak. Andrew Steptoe – przedstawił się, wzrokiem szukając nad ramieniem gościa Donalda, który powinien tkwić przed obitymi zielonym sukniem drzwiami. – Obawiam się, że jestem w tej chwili trochę zajęty...

– No właśnie. Donald obiecał mi, że ktoś pana poprosi.

– Ujął Steptoe'a za łokieć, pochylił się ku niemu i powiedział poufałym szeptem: – Akurat jestem w środku gry o bardzo wysoką stawkę. W życiu człowieka takie chwile zdarzają się niezwykle rzadko. Mam nadzieję, że mnie pan rozumie...

– Obawiam się, że jednak nie...

Bourne poprowadził go jak najdalej od drzwi do Empire Suite.

– Ależ oczywiście, że pan rozumie, taka męska gra przy pokerowym stole. Oczywiście, że pan rozumie. Chodzi o pieniądze.

Okazało się, że słowo „pieniądze” ma magiczne właściwości i menedżer poświęci mu całą swą uwagę. Bourne prowadził go coraz bliżej i bliżej kasy, znajdującej się po prawej stronie sali jednoręki bandytów, ulokowanej wygodnie przy wejściu, tak by klienci mogli wykupić żetony, wchodząc, a nieliczni wygrani wymienić je na gotówkę, wychodząc... jeśli udało się im nie wpaść w urzekające wspaniałością pułapki, które i tu, jak wszędzie, zastawiał na nich hazardowy biznes.

– O jakich pieniądzach mówimy? – Mimo wysiłków w głosie Steptoe'a zabrzmiała chciwość.

– Pół miliona – odparł bez wahania Bourne.

Mężczyzna nie wiedział, czy ma się skrzywić, czy łakomie oblizać.

– Obawiam się, że nie znam pana...

– James. Jestem Robert James. – Byli już blisko kasy, a tym samym także drzwi wejściowych. – Przyszedłem tu w towarzystwie mego wspólnika, Diega Hererry.

– Och, rozumiem. – Menedżer obliznął wargi. – Mimo wszystko, panie James, w naszym klubie nie jest pan człowiekiem znanym. Pan rozumie, nie możemy oddać panu do dyspozycji takiej sumy...

– Och nie, nie, nie zamierzałem tego sugerować. – Bourne doskonale udawał wstrząśniętego. – Potrzebuję tylko pańskiego pozwolenia na opuszczenie kasyna w trakcie gry. Muszę zdobyć potrzebną sumę, by pozostać w grze.

Tym razem Steptoe mógł już tylko ściągnąć brwi.

– O tej porze? W nocy?

Bourne wręcz promieniował pewnością siebie.

– Transfer elektroniczny nie jest przecież żadnym problemem. Zabierze może dwadzieścia minut. Najwyżej pół godziny.

– No cóż, jest to skrajnie sprzeczne z naszymi zwyczajami, o czym pan doskonale wie.

– Pół miliona funtów, proszę pana. To duża suma, sam pan był uprzejmy o tym wspomnieć.

Steptoe skinął głową.

– Trudno zaprzeczyć. – Westchnął ciężko. – W tych warunkach, jak sędzę, powinienem się zgodzić. – Pokiwał palcem przed nosem rozmówcy. – Ale proszę się pospieszyć. Nie mogę dać panu więcej niż pół godziny.

– To zrozumiałe. – Bourne energicznie potrząsnął jego ręką, po czym obaj, Bourne i mężczyzna z blizną, odwrócili się, weszli po schodach, przez hol wejściowy dotarli do szklanych drzwi i zniknęli w wietrznej londyńskiej nocy. Oddalili się o kilka przecznic od klubu, gdy nagle Bourne rzucił swojego towarzysza na zaparkowany samochód.

– A teraz powiedz mi, kim jesteś i dlaczego zabiłeś Diega?

– Mężczyzna z blizną sięgnął po nóż, więc Bourne unieruchomił mu nadgarstek. – Nic z tego. Chcę odpowiedzi.

– Nigdy nie zwróciłbym się przeciw tobie, Jasonie, i o tym doskonale wiesz.

– Dlaczego zabiłeś Diega?

– Kazano mu przyprowadzić cię do klubu dziś wieczorem, o określonej godzinie.

Bourne przypomniał sobie, jak Hererra spojrział na zegarek i powiedział: „Najwyższy czas, żebyśmy przenieśli się do Knightsbridge”. Dziwny dobór słów, dający się wytłumaczyć tylko tym, że mężczyzna, z którym rozmawia, mówi prawdę.

– Kto kazał mu mnie przyprowadzić? – spytał, choć znał już odpowiedź.

– Severus Domna dopadli go, nie wiem jak. Ale udzielili mu szczegółowych instrukcji, jak ma cię zdradzić.

Bourne pamiętał też, jak u siebie w domu gospodarz tylko przesuwiał jedzenie widelcem po talerzu, jakby jego myśli zaprzętało coś bardzo ważnego. Czyżby czekał na skutki swojej zdrady? Czyżby Ottavio miał rację?

On tymczasem patrzył mu prosto w oczy.

– Naprawdę mnie nie pamiętasz?

– Powiedziałem ci już, że nie.

– Nazywam się Ottavio Moreno. Jestem bratem Gustava Morena – dodał po krótkiej pauzie.

Bourne zadrzał. Przypominał sobie... coś... jakby kurtyna jego amnezji drgnęła, pragnąc się rozsunąć.

– Spotkaliśmy się w Maroku – powiedział prawie szeptem.

– Tak! – Na twarzy Ottavia pojawił się uśmiech.

– W Marrakeszu. I razem udaliśmy się w góry Atlasu...

– Tego nie wiem.

– Dobry Boże! – Uśmiech znikł, zastąpiony wyrazem zaskoczenia, a może nawet szoku. – A laptop? Co z laptopem?

– Jakim laptopem?

– Nie pamiętasz laptopa? – Moreno złapał Bourne'a za ramię. – Jasonie, daj spokój, przecież spotkaliśmy się w Marrakeszu właśnie po to, by dopaść ten laptop.

– Dlaczego?

Moreno ściągnął brwi.

– Powiedziałeś mi, że jest kluczem.

– Kluczem do czego?

– Do Severus Domna.

W tym momencie usłyszeli znajomy dźwięk: niskie wycie policyjnych syren.

– Wezwali ich do bałaganu, który zostawiliśmy w Empire Suite – stwierdził rzeczowo Moreno. – No dobra, idziemy.

– Nigdzie z tobą nie idę – zaprotestował Bourne.

– Nie masz wyboru, jesteś mi coś winien. Zabiłeś Noaha Perlisa.

• • •

– Innymi słowy – powiedział sekretarz obrony Bud Halliday, przeglądając leżący przed nim raport – z powodu odejścia w stan spoczynku, zużycia materiału i próśb o przeniesienie, do których, jak widzę, nie tylko odniesiono się pozytywnie, a wręcz uznano je za korzystne, jedna czwarta ludzi Starego wyniosła się z Centrali Wywiadu.

– Zastąpili ich nasi ludzie. – Danziger nie pofatygował się, by ukryć zadowolenie. Sekretarz doceniał pewność siebie, tak jak nie znosił niezdecydowania. Przyjął od niego raport i porządnie go złożył. – Moim zdaniem jest kwestią miesięcy, gdy ich liczba wzrośnie do jednej trzeciej stanu osobowego agencji.

– Doskonale, doskonale.

Halliday zatarł wielkie łapska nad talerzem z resztkami spartańskiego lunchu. W Occidentalulu brzęczało jak w ulu od gadania politykierów, dziennikarzy, rzeczników prasowych, zakulisowychmacherów politycznych i handlarzy wpływami w biznesie. Wszyscy oni składali mu wyrazy szacunku w ten czy inny dyskretny sposób: jedni uśmiechali się z wyraźną obawą, inni uniżenie skłaniali głowy, natomiast starszy, wpływowy senator Daughtry zamanifestował swoją przychylność krótkim uściśnięciem dłoni i swobodnym, zatrącającym prowincją „jak leci, stary?”. Senatorowie stanów o niezdecydowanej większości dysponowali nie lada potęgą nawet w latach, gdy nie było żadnych wyborów; obie partie nieustannie zabiegały o ich względy. Taka była standardowa procedura operacyjna Obwodnicy.

Przez pewien czas obaj mężczyźni siedzieli w milczeniu. Restauracja powoli pustoszała, najemcy cel w lochach waszyngtońskiej polityki brali się do roboty, bo musieli. Wkrótce mieli ich zastąpić turyści w pasiastych koszulkach i baseballowych czapkach, kupionych od handlarzy z kramów przy Mall, z nieśmiertelnymi napisami CIA albo FBI. Danziger wrócił dojedzenia lunchu, który, jak zwykle, był konkretniejszy od prostego steku z polędwicy wołowej szefa. Na jego talerzu zostały tylko krople krwi i stężały tłuszcz.

Tymczasem siedzący naprzeciwko niego sekretarz myślał o śnie, którego nie pamiętał.

Czytał artykuły o tym, że sny są konieczną częścią spania, jajogłowi nazywali to fazą REM i człowiek, który nie śni, musi prędzej czy później zwariować.

Z drugiej strony jemu nigdy nie udało się zapamiętać ani jednego sennego marzenia. Spał jak kamień i jeśli śnił, pamiętał z tego tylko ścianę, na której nikt niczego nie napisał.

Otrząsnął się jak mokry pies. Co go to właściwie obchodzi? Cóż, wiedział, co to go obchodzi. Stary zwierzył mu się kiedyś, że cierpi na tę samą dziwną chorobę. Tak to właśnie nazywał: choroba. Dziwnie pomyśleć, że kiedyś byli przyjaciółmi, a jeśli się zastanowić, nawet więcej niż przyjaciółmi. Jak to wtedy nazywali? Braterstwo krwi? Jako młodzi ludzie dzielili wszystkie najdrobniejsze tiki i przyzwyczajenia, zwierzali się sobie z sekretów zrodzonych w najczarniejszych zakamarkach duszy. Kiedy to się popsuło? Jak stali się najzagorzalszymi przeciwnikami? Może chodziło o powolne zmiany, narastające różnice w poglądach politycznych? Ale przecież przyjaciele na ogół łatwo radzą sobie z takimi sprawami. Nie, rozdzieliło ich poczucie, że dopuścili się zdrady. Dla mężczyzn takich jak oni lojalność jest ostatecznym – i jedynym – testem przyjaźni.

Prawda wyglądała tak, że zdradzili to, co tworzyli jako młodzi ludzie. Ich idealizm wypalił się w tyglu stolicy narodu – Waszyngtonie – w której odsiadali dobrowolne dożywocie. Stary został nowicjuszem zakonu Johna Fostera Dullesa, a Danziger zaczął się przy Richardzie Helmsie, a tych dwóch dzieliły i pochodzenie, i metodologia, i co najważniejsze, ideologia. A ponieważ pracowali w biznesie ideologii i był on całym ich życiem, droga ucieczki była zamknięta. Musieli rozpocząć bratobójczą wojnę, każdym włókmem istnienia udowodnić, że przeciwnik się myli, pokonać go i zniszczyć.

Przez dziesiątki lat Stary przechytrzał go przy każdej okazji, lecz teraz los się odmienił: Stary nie żyje, a on ma w garści klejnot, który upatrzył sobie wiele lat temu: kontrolę Centrali Wywiadu.

Danziger odchrząknął, co kazało Hallidayowi wrócić z otchłani przeszłości do spraw dnia dzisiejszego.

– Czy jest coś, przed czym się nie zabezpieczyliśmy?

Sekretarz spojrział na niego wzrokiem, którym dziecko może przyglądać się mrówce lub żuczkwowi, z zainteresowaniem należnym gatunkowi stojącemu na drabinie ewolucyjnej tak nisko, że wydaje się wręcz nieprawdopodobnie daleki. Danziger nie był głupcem, to dlatego został wybrany na skoczka, przesuwanego tu i tam na szachownicy amerykańskich tajnych służb. W tym był użyteczny, owszem, ale poza tym łatwo byłoby go zastąpić.

Gdy tylko uznał się za zdradzonego przez Starego, Halliday zamknął się w sobie. Miał żonę i dwoje dzieci, oczywiście, ale prawie o nich nie myślał. Syn był poetą, mój Boże... jakby nie mógł być kimkolwiek innym. A córka? Im mniej będzie mówić się o niej i jej... towarzysze życia, tym lepiej. Żona też go zdradziła, wydając na świat parę nieudaczników. W tej chwili wykorzystywał ją tylko wtedy, gdy nieubłagany waszyngtoński kodeks wartości rodzinnych wymagał jej obecności przy boku męża, poza tym każde miało własne życie. Minęły lata od czasu, gdy spali w jednym pokoju, nie wspominając o tym samym łóżku. Od czasu do czasu zdarzało się im wprawdzie usiąść do wspólnego śniadania, ale tę pomniejszą torturę Halliday skracał, jak to tylko możliwe.

Danziger przechylał się przez stół, demonstrując dużą pewność siebie.

– Jeśli mogę w czymś panu pomóc, proszę powiedzieć, a...

– Zdaje się, że popełniłeś poważny błąd, uważając mnie za przyjaciela – warknął Halliday.
– Jeśli któregoś dnia będę zmuszony poprosić cię o pomoc, wsadzę lufę w usta i pociągnę za spust.

Wstał i wyszedł z łóżka, nie oglądając się za siebie. Danzigera zostawił w towarzystwie niezapłaconego rachunku.

• • •

Boris Karpow spał w klasztorze, dzięki czemu Arkadin zyskał chwilę dla siebie. Nalał sobie mezcalu i zabrał drinka w parną noc Sonory. Wkrótce świt miał ścinać świecące na niebie gwiazdy jak kosa, gasić je jedną po drugiej. Nadbrzeżne ptaki budziły się już, opuszczały gniazda, wylatywały ponad granicę między plażą i morzem.

Oddychając głęboko powietrzem przesyconym solą i fosforem, wybrał numer na komórce. Długo czekał na połączenie. Wiedząc, że nie ma co liczyć na pocztę głosową, już miał schować aparat, gdy nagle usłyszał chrypliwy głos:

– Kim jesteś i czego chcesz, do wszystkich diabłów?

– To ja, Iwanie – przedstawił się i roześmiał.

– Och, dzień dobry, Leonidzie Danielewiczu – powiedział Iwan Wołkin.

Wołkin był kiedyś najpotężniejszym członkiem *gruppierowki*. Niezwiązany z żadną z rodzin przez lata służył jako negocjator nie tylko w rozmowach między rodzinami, lecz także w kontaktach głów rodzin z co bardziej skorumpowanymi ludźmi interesu i policjantami. Czyli, najkrócej mówiąc, temu człowiekowi każdy winien był przysługę. I choć wycofał się przed wieloma laty, zaprzeczył konwencji karzącej ludziom odsuniętym na boczny tor tracić władzę. Wręcz przeciwnie, starzejąc się, jeszcze ją zyskiwał. A przy tym darzył Arkadina szczególną sympatią, a jego przedziwnemu awansowi w bandyckim półświatku kibicował od samego początku, czyli od dnia, w którym Masłow ściągnął go do Moskwy z rodzinnego Niżnego Tagiłu.

– Myślałem, że dzwoni do mnie prezydent – mówił Wołkin. – Musiałbym mu oznajmić, że tym razem nie otrzyma pomocy.

Myśl o prezydencie Federacji Rosyjskiej, dzwoniącym do Iwana Wołkina z prośbą o przysługę, jeszcze bardziej rozbawiła Arkadina.

– Bardzo mi żal pana prezydenta – powiedział, śmiejąc się.

– Przeprowadziłem pewne badania w związku z problemem, który mi przedstawiłeś. Rzeczywiście masz kreta, przyjacielu. Udało mi się zredukować liczbę podejrzanych do dwóch. Dalej nie jestem w stanie się posunąć.

– Ten rezultat jest więcej niż satysfakcjonujący, Iwanie Iwanowiczu. Jestem ci winien wdzięczność do grobowej deski.

Tym razem to Wołkin się roześmiał.

– Wiesz, przyjacielu, jesteś prawdopodobnie jedyną osobą na świecie, od której nie chcę absolutnie niczego.

– Mogę ci dać wszystko, co chcesz.

– O czym doskonale wiem. Ale powiem ci szczerze: to dla mnie wielka ulga znaleźć pod koniec życia kogoś, kto nie jest mi nic winien, a ja jemu, owszem. Nic się między nami nie

zmienia, Leonidzie Danielewiczu, prawda?

– Nie, Iwanie Iwanowiczu, nic się nie zmienia.

Wołkin podał mu nazwiska podejrzanych o zdradę.

– Mam dla ciebie jeszcze jedną informację, potencjalnie bardzo interesującą – oznajmił. – Wydaje mi się bardzo dziwne, że nie mogę tych ludzi powiązać ani z FSB, ani, szczerze mówiąc, z żadną rosyjską tajną służbą.

– A więc kto kieruje szpiegami w mojej organizacji?

– Kret bardzo się stara, by pozostać anonimowym. Nosi ciemne okulary i bluzę z kapturem, więc nie mamy jego dobrego zdjęcia. Wiemy jednak, że człowiek, z którym się spotykał, został zidentyfikowany jako Marlon Etana.

– Dziwne nazwisko. – Arkadinowi z czymś się kojarzyło, ale nie potrafił powiedzieć z czym.

– Jeszcze dziwniejsze jest to, że nie mogłem dowiedzieć się czegokolwiek o tym Etanie. Nic. Zero.

– Ach, więc z pewnością to pseudonim.

– Tego należało się spodziewać – przytaknął Wołkin.

– Pseudonim nie spełni jednak swego zadania bez legendy. A ja nie znalazłem niczego z drobnym wyjątkiem tego, że Marlon Etana jest członkiem założycielem Monition Club mającego wiele oddziałów na całym świecie. Jego siedzibą jest najprawdopodobniej Waszyngton.

– A więc to głęboko zakonspirowana komórka CIA albo jedna z głów Hydry: amerykańskiego Departamentu Obrony.

Z gardła Iwana Wołkina wydobył się zwierzęcy dźwięk.

– Jeśli się czegoś dowiesz, Leonidzie Danielewiczu, nie zapomnij mi o tym powiedzieć.

• • •

– Nie zapomnij mi o tym powiedzieć – tymi słowami Arkadin zwrócił się do Tracy. Od tamtej chwili minęło ładnych kilka miesięcy. – O Hererze muszę wiedzieć wszystko, dosłownie wszystko. Przyda się każda, nawet drobna i pozornie nieważna informacja.

– Nawet taka, jak często chodzi do kibelka?

Obserwował ją uważnie dzikimi, płonącymi oczami, nieporuszającymi się i niemrugającymi. Siedzieli w kawiarni w Campione d'Italia, malowniczym włoskim rajku podatkowym, ukrytym głęboko w szwajcarskich Alpach. Małeńki okręg samorządowy wyrastał stromo nad lśniącą ultramaryną powierzchnią czystego górskiego jeziora, po którym żeglowały łodzie wszystkich rodzajów i rozmiarów, od kajaków po jachty multimilionerów wyposażone w lądowiska dla helikopterów, helikoptery i, przynajmniej te największe, pasujące do nich dziewczyny.

Czekając na Tracy, Arkadin przez dobre pięć minut przyglądał się obscenicznie wielkiej łąjbie, na której dwie długonogie, smukłe blondynki pozowały paparazzim. Obie opalone były na ten kolor brązu, który potrafią osiągnąć wyłącznie damy do towarzystwa. Popijając espresso z małeńkiej filiżanki, niemal całkiem ginącej w jego wielkiej dłoni, myślał o tym, jak dobrze jest być królem, a potem, gdy zobaczył owłosione plecy prawdziwego króla, odwrócił

się z obrzydzeniem. Można wyciągnąć człowieka z piekła, ale nie można wyciągnąć piekła z człowieka. Przez całe życie postępował zgodnie z tą zasadą.

Wreszcie pojawiła się Tracy, a on rzucił w diabły wspomnienia z Niżnego Tagiłu prześladowające go jak powracający co noc koszmar. Urodził się w Niżnym Tagile, tam dorastał, tam matka zamknęła go w szafie i szczury obgryzły mu trzy palce u stóp, tam zabijał i w ostatniej chwili uciekał przed śmiercią, sam nie wiedział ile razy. W Niżnym Tagile stracił wszystko. Tam, można powiedzieć, umarł.

Zamówił dziewczynie espresso z sambucą, bo to właśnie lubiła. Patrzył na jej piękną twarz, nie potrafiąc poradzić sobie z konfliktem uczuć. Pociągała go, bardzo pociągała, lecz jednocześnie jej nienawidził. Nienawidził jej erudycji, jej ogromnej wiedzy. Otwierając usta, za każdym razem przypominała mu niedostatki jego wykształcenia. Co jeszcze gorsze, ilekroć z nią był, czegoś się uczył. Jakże często nienawidzimy demonstrujących swoją wyższość nauczycieli, używających niedostępnych nam wiedzy i doświadczenia, by nas poniżyć. Gdy tylko Arkadin czegoś się uczył, przypominało mu to, że jest z Tracy związany, że bardzo jej potrzebuje. To dlatego traktował ją tak, jakby w jej obecności zapadał na depresję maniackalną. Kochał ją, za każde wykonane zadanie płacił coraz więcej i więcej, a między zadaniami obsypywał ją drogimi prezentami.

Ale nigdy z nią nie spał. Nie próbował uwieść dziewczyny w obawie, że w porywie namiętności jego żelazna samokontrola osłabnie, że chwyci ją za gardło i będzie dusił, póki nie wysunie języka, a jej oczy nie uciekną w głąb czaszki.

Żałowałby jej śmierci. W ciągu kilku lat współpracy udowodniła bez najmniejszych wątpliwości, że jest niezastąpiona. Gdyby nie zakulisowa wiedza, którą chętnie się z nim dzieliła, nie mógłby szantażować bogatych kolekcjonerów, a tych, których sobie nie podporządkowywał, wykorzystywał bezlitośnie, rozprowadzając po całym świecie narkotyki, przemycone bez ich wiedzy w skrzyniach z bezcennymi dziełami sztuki.

Tracy przesunęła półkolisty plasterek cytryny wzdłuż brzegu filiżanki.

– Co jest takiego specjalnego w Hererze?

– Wypij espresso.

Dziewczyna patrzyła w głąb filiżanki, ale nawet jej nie dotknęła.

– O co chodzi? – zirytował się Arkadin.

– Jego sobie odpuśćmy, dobrze?

Arkadin przez chwilę siedział spokojnie, aż nagle pochylił się, chwycił jej kolano pod stołem i ścisnął je bardzo mocno i bardzo boleśnie. Tracy poderwała głowę i spojrzała mu w oczy.

– Znasz zasady – powiedział złowieszczo. – Nie oceniasz zleceń, tylko je wykonujesz.

– Nie to.

– Wszystkie.

– Lubię tego człowieka.

– WSZYSTKIE. Więcej nie będę powtarzał.

Patrzyła na niego nieruchomym wzrokiem, nawet nie mrugając.

Najbardziej pogardzał nią właśnie wtedy, gdy wyglądała i zachowywała się jak w tej chwili, gdy jej twarz stawała się nieodgadnioną, nieruchomą maską, przez co czuł się jak opóźnione w rozwoju dziecko, które jeszcze nie potrafi czytać.

– Zapomniałaś, że mam dowody, które mogą cię zniszczyć? Chcesz, żebym skontaktował się z twoim klientem i powiedział mu, jakiej to pomocy udzieliłaś bratu, kiedy ukradł jego obraz, by pokryć długi z hazardu? Naprawdę chcesz spędzić następne dwadzieścia pięć lat w więzieniu? Uwierz mi, jest straszniejsze, niż potrafisz sobie wyobrazić.

– Chcę odzyskać wolność – powiedziała Tracy zdławionym głosem.

Roześmiał się.

– Boże, jaka z ciebie głupia suka. – Teraz, w tej chwili, ten jeden jedyny raz, chciał doprowadzić ją do łez. – Coś takiego jak wolność nie istnieje. Podpisałaś cyrograf. Własną krwią, jeśli wolno mi wyrazić się tak metaforycznie.

– Chcę odzyskać wolność.

Arkadin uwolnił jej kolano. Wyprostował się.

– Poza tym Hererra jest celem pobocznym. Przynajmniej na razie.

Tracy trzęsa się, choć nieznacznie, a skóra pod jej lewym okiem zadrżała w nerwowym tiku. Wypiła espresso jednym łykiem. Odstawiana filiżanka zadzwoniła o talerzyk.

– Kogo chcesz dopaść tym razem?

Blisko, pomyślał Arkadin. Bardzo, bardzo blisko.

– Kogoś niezwykłego. Faceta przedstawiającego się jako Adam Stone. I to zlecenie jest wyjątkowe. – Rozłożył ręce. Szeroko. – Oczywiście „Adam Stone” to nie jest jego prawdziwe nazwisko.

– A jakie jest prawdziwe?

Arkadin uśmiechnął się naprawdę złośliwie. Przywołał kelnera i zamówił jeszcze dwie kawy.

Wspomnienie błysnęło i zanurzyło się w mroku w chwili, gdy nad Puerto Peñasco rozpostarł skrzydła świt. Wiejący od morza wiatr przyniósł zapach nowego dnia. W życiu Arkadina były oczywiście kobiety, Jelena, Marlene, Devra i inne, których imion nie pamiętał, ale żadna z nich nie przypominała Tracy. Te trzy: Jelena, Marlene i Devra, coś dla niego znaczyły, choć trudno byłoby określić co. Każda na swój sposób zmieniała koleje jego życia, ale żadna go nie wzbogaciła. Tego dokonała tylko Tracy. Jego Tracy. Zacisnął pięści. Bo przecież Tracy nigdy nie była jego, prawda? Nie, nie, nie, o Chryste, nie.

• • •

O dach domku uderzały wielkie krople deszczu, wielkie krople deszczu ściekały po szybach. Huknął grom, początkowo daleki, potem coraz bliższy. Poruszyły się koronkowe firanki. Chrissie leżała w nocnych ciemnościach, ubrana, na szerokim łóżku, wpatrzona w okna piegowate niczym jajo drozda. Scarlett spała na drugim, identycznym, oddychając równo. Chrissie wiedziała, że powinna spać, że potrzebuje odpoczynku, ale po zdarzeniach na autostradzie nerwy nadal napięte miała jak struny. Przed kilkoma godzinami rozważała możliwość łyknięcia połówki relanium, by uspokoić się i zasnąć, ale na samą myśl o tym, że może odpłynąć, jeszcze bardziej się denerwowała.

Nerwy dały o sobie znać szczególnie dobitnie, gdy tylko odebrała Scarlett od rodziców. Ojciec, rozumiejący ją jak nikt i szczególnie wyczulony na jej nastroje, zorientował się, że coś jest nie tak, gdy tylko stanęła w progu, i nie uwierzył jej zapewnieniom, jakoby wszystko jest

w porządku. Pod powiekami nadal miała obraz jego chudej, pociągłej twarzy i wpatrzonych w siebie oczu, podczas gdy wkładała córkę do range rovera. Tak samo z bezbrzeżnym żalem wpatrywał się w opuszczaną do grobu trumnę Tracy. Siadając za kierownicą, Chrissie westchnęła z ulgą. Przydał jej się dar przewidywania. Tak zaparkowała SUV-a, że od strony domu nie widać było rys na karoserii. Pomachała wesoło i odjechała. Kiedy zniknęła za zakrętem drogi, ojciec ciągle stał na progu, odprowadzając ją wzrokiem.

Teraz, pozostawiwszy rodzinny dom wiele godzin i mil za sobą, leżała na łóżku w domu przyjaciółki, która wyjechała do Brukseli w interesach. Miała szczęście, klucze dostała od jej brata. Leżała w ciemności, słuchając cichych zgrzytów i trzasków, szeptów i syków tak różnych od tych, które znała. Wiatr chwytał się okiennych ram, próbując znaleźć drogę do wnętrza. Zadrżała i mocniej otuliła się kocem, ale koc jej nie rozgrzewał. Centralne ogrzewanie także. Chłód czuła w kościach wywołany wibrowaniem napiętych nerwów i strachem przenikającym wszystkie jej myśli.

„Śledzono nas, najprawdopodobniej od samego początku, od mieszkania Tracy”, powiedział Adam. „Lepiej dla bezpieczeństwa założyć, że wiedzą o Scarlett... a także gdzie mieszkają twoi rodzice”.

Myśl o tym, że ludzie chcący zastrzelić Adama mogą wiedzieć o jej córce, sprawiała, że żołądek Chrissie skręcał się boleśnie. Bardzo chciała czuć się tu bezpiecznie, wierzyć, że zagrożenie znikło wraz z ich rozstaniem, ale jej sercem nadal szarpały wątpliwości. Znów huknął grzmot, teraz już bardzo bliski, deszcz silniej uderzył w szyby. Usiadła, tłumiąc krzyk.

Serce biło jej mocno. Sięgnęła po glocka, którego dał jej Adam. Miała pewne doświadczenie z bronią, choć głównie ze strzelbami i śrutówkami. Wbrew protestom matki ojciec zabierał ją na polowania w zimowe niedzielne poranki, gdy zamarznięta ziemia trzeszczała pod nogami, a blade słońce słabo świeciło na niebie. Pamiętała drżącą skórę na boku jelenia i wstrząs przeżyty, gdy ojciec strzelił mu prosto w serce. Pamiętała wyraz jego oczu, gdy ojciec rozpruwał mu żołądek myśliwskim nożem. Pamiętała na wpół otwarty pysk, jakby tuż przed śmiertelnym strzałem zwierzę zamierzało błagać o łaskę.

Scarlett jęknęła przez sen. Chrissie wstała, pochyliła się i pogłaskała jej włosy, jak zawsze, gdy córka miała zły sen. Dlaczego nawet dzieci muszą śnić koszmary? – zastanawiała się. Czy nie dość ich czeka w dorosłym życiu? A co z beztróskim dzieciństwem? Czyżby było tylko złudą? Czy ona także musiała znosić koszmary, bała się ciemności i miała irracjonalne lęki? Nie pamiętała i mogła uznać to za błogosławieństwo.

Jedno wiedziała jednak na pewno: za takie myśli Tracy bezlitośnie by ją wyśmiała. Usłyszała głos siostry: „Życie nie jest beztróskie. Co ty sobie wyobrażasz? W najlepszym przypadku jest trudne, a w najgorszym to po prostu cholerny koszmar”.

Co jej się przydarzyło, że formułowała aż tak drastyczne sądy? Jakie nieszczęścia ją spotkały, kiedy ja siedziałam sobie w Oksfordzie, z nosem w książkach? Nagle Chrissie opanowało przekonanie, że zawiodła siostrę, że powinna rozpoznać oznaki nieznośnego napięcia wywołanego przez wyjątkowo trudne życie. Tylko... jak mogłaby jej pomóc? Tracy zagubiła się w świecie tak dalekim, tak obcym, że Chrissie z góry założyła, iż dla niej byłyby całkowicie niezrozumiałe. Tak jak całkowicie niezrozumiałe było dla niej to, co się zdarzyło dzisiaj. Kim jest Adam Stone? Nie wątpiła, że przyjaźnił się z Tracy, ale teraz zaczęła podejrzywać, że łączyło ich coś więcej niż przyjaźń. Współpraca, partnerstwo w interesach, a

może Stone był nawet jej szefem? Coś, o czym jej nie powiedział, o czym nie chciał jej powiedzieć. Jedno wiedziała na pewno: życie jej siostry było tajemnicą... i jego życie także. Oboje należeli do tego samego obcego świata, a teraz, nieświadomie i wbrew swojej woli, ona też została do niego wciągnięta. Znowu zadrżała, po czym widząc, że Scarlett śpi spokojnie, położyła się obok córeczki, odwrócona do niej plecami. Jej ciepło przenikało do niej powoli, powieki Chrissie stawały się coraz cięższe, wreszcie zapadła w drzemkę, przechodzącą powoli, lecz nieodwracalnie w mięką, rozkoszną poduszkę snu.

Obudził ją ostry trzask. Przez chwilę leżała nieruchomo, słuchając deszczu, wiatru i Scarlett, oddychającej tym samym rytmem co dom. Nasłuchiwała, czekając, aż dźwięk się powtórzy. Przyśnił się jej? Czy w ogóle spała? Wstała z łóżka po chwili, która wydawała jej się bardzo długa. Sięgnęła pod poduszkę i wyjęła ukrytego pod nią glocka. Cicho podeszła do uchylonych drzwi sypialni. Wyjrzała na korytarz, oświetlony słabym światłem zapalanej w sypialni naprzeciwko lampy, mającym ułatwić im obu dotarcie do toalety bez obijania sobie łydek.

Zmieniła się w słuch. Wyszła na korytarz. Czuła, że poci się pod pachami, że powietrze, którym oddychała, wydawało się parzyć ją w gardło. Z każdą mijającą sekundą bała się coraz bardziej, ale też rosła w niej nadzieja, że trzask tylko jej się przyśnił.

Przeszła korytarzem do schodów, spojrzała w dół na pogrążony w ciemności salon. Stojąc tak nieruchomo, nie mając pojęcia co teraz, już niemal przekonała samą siebie, że to był tylko sen, gdy usłyszała ten dźwięk po raz drugi.

Powoli, krok za krokiem, schodziła bosą z mroku w nieprzenikniętą ciemność. Dopiero na samym dole miała szansę namacać włącznik światła w salonie. Schody wydawały jej się bardziej strome i bardziej niebezpieczne niż za dnia. Przez głowę przemknęła jej myśl, że mogłaby wrócić, poszukać latarki, ale pomyślała, że jeśli nie zejdzie na parter teraz, w tej chwili, to już nie zdobędzie się na odwagę. Parła więc przed siebie, powoli, lecz się nie zatrzymując. Stopnie schodów były drewniane, wypolerowane na wysoki połysk i nieprzykryte chodnikiem. W pewnej chwili poślizgnęła się, ale natychmiast wychyliła mocno do przodu, dzięki czemu odzyskała równowagę. Zacisnęła dłoń na poręczy. Stała nieruchomo, słysząc szaleńcze bicie swojego serca.

Uspokój się, poleciła sobie w myśli. Przestań się trząść, Chrissie, tam nikogo nie ma.

Dźwięk rozległ się znowu, tym razem głośniejszy, bo przecież była bliżej jego źródła. Nie miała już żadnych wątpliwości: w domu ktoś jest.

...

Tuż po zachodzie słońca w dniu, gdy Karpow rozpoczął długą drogę powrotną do Moskwy, Arkadin i El-Heraldo znów uruchomili „cygaro”. Arkadin odbił smukłą łodzią od nabrzeża, nie zapalając światła. Złamał przepisy nawigacyjne, ale nie miał wyboru. Poza tym bardzo szybko nauczył się, że w Meksyku granica między tym, co legalne, a tym, co nielegalne, przesuwana się szybciej niż linia frontu na wojnie, nie wspominając, że nielegalne nie oznacza bynajmniej karalne.

System GPS łodzi został osłonięty, tak że nawet najlżejszy blask nie przenikał z pokładu w granatowy mrok zmierzchu. Na niebie od wschodu gromadziły się już gwiazdy chętne do

zaprezentowania swej urody w jej pełnej krasie.

– Czas? – spytał Arkadin.

– Osiem minut – zameldował El-Heraldo, zerkając na zegarek.

Arkadin zmienił kurs o kilka stopni. Znaleźli się już poza zasięgiem patroli policyjnych, lecz nadal nie włączał świateł. Ekran systemu nawigacji satelitarnej mówił mu wszystko, co powinien wiedzieć. Przerobione przez El-Heralda tłumiki na rurze wydechowej działały doskonale i nawet przy dużej prędkości „cygaro” poruszało się niemal bezgłośnie.

– Pięć minut.

– Lada chwila nawiążemy kontakt wizualny.

Przyszła kolej na Meksykanina. Przejął ster, Arkadin zaś przyłożył do oczu potężną wojskową lornetkę wyposażoną w przystawkę noktowizyjną.

– Mam ich – zameldował po chwili.

El-Heraldo natychmiast zredukował prędkość o połowę.

Arkadin przyglądał się jednostce, jachtowi na oko wartemu dobrze ponad pięćdziesiąt milionów dolarów. Dostrzegł błyski w podczerwieni: dwa długie i dwa krótkie. Tylko on mógł je zobaczyć.

– Wszystko w porządku – powiedział. – Silniki stop.

I ten rozkaz wypełniony został natychmiast. „Cygaro” cięło fale, poruszając się wyłącznie siłą rozpędu. Z ciemności przed jego dziobem wyłonił się jacht, także ciemny. Arkadin przygotowywał się, a tymczasem El-Heraldo założył noktowizor i zajął się podczerwonym sygnałem namiaru nawigacyjnego. Jacht wysyłał identyczny sygnał, dzięki czemu obie jednostki mogły zbliżyć się do siebie, nie stosując widzialnych świateł i nie doprowadzając do kolizji.

Z bakburty jachtu spuszczone sznurową drabinę. Meksykanin przymocował ją do burty łodzi. Ubrany na czarno mężczyzna wręczył mu małe kartonowe pudełko. Meksykanin oparł je na ramieniu, a następnie położył na pokładzie.

Arkadin przeciął karton nożem. W środku znajdowały się puszki organicznej kukurydzianej tortilli. Otworzył jedną z nich i wyjął placki owinięte na czterech plastikowych opakowaniach białego proszku. Sprawdził zawartość jednego z nich, nabierając proszek na czubek noża i rozsmarowując go na języku. Usatysfakcjonowany jakością towaru uzgodnionym gestem zasygnalizował to człowiekowi na jachcie. Kokainę schował do puszki, a puszkę do kartonu. El-Heraldo przekazał ją marynarzowi.

Marynarz wspiął się po drabince i znikł im z oczu. Na jachcie rozległ się krótki gwizd. Arkadin czekał cierpliwie. Po chwili przenośnym kołowrotem opuszczono dwie paczki.

Leżące poziomo miały niespełna dwa metry długości. Na podtrzymującej je sieci wyglądały jak dwa tuńczyki. El-Heraldo wyjął oba pakunki z sieci, którą natychmiast wciągnięto na jacht, a potem odczepił drabinę, która również została wciągnięta.

Na jachcie rozległ się kolejny, tym razem dłuższy gwizd. Stojący za sterem Meksykanin włączył silniki, dał małą wstecz i zaczął się od niego oddalać. Wycofali się na bezpieczną odległość, a wtedy włączono także silnik jachtu, który majestatycznie ruszył w wycieczkę na północ, wzdłuż wybrzeży Sonory.

„Cygaro” obróciło się bez pośpiechu. Popłynęło na wschód, z powrotem w kierunku wybrzeża. Arkadin wziął latarkę. Nożem rozciął z jednego końca płótno obu pakunków i

zaświecił do środka.

Twarze dwóch mężczyzn wydawały się w tym świetle upiornie blade. Od bladości ich skóry wyraźnie odbijała czerń pokrywającego policzki kilkudniowego zarostu. Obaj nadal byli oszołomieni po środkach nasennych, które wstrzyknięto im zaraz po porwaniu w Moskwie. Mrużyli odzwyczajone od światła, łzawiące oczy.

– Dzień dobry – przywitał ich Arkadin, niewidoczny za snopem oślepiającego blasku. – Dotarliście wreszcie do kresu waszej podróży, a przynajmniej dotarł do niego jeden z was. Stiepan, Paweł, byliście moimi kapitanami. Ludźmi, którym ufałem bardziej niż innym. A jednak jeden z was mnie zdradził.

– Pokazał im, jak światło latarki zmienia ostrze noża w srebrzystą, lśniącą, wydłużoną płamę. – W ciągu mniej więcej godziny jeden z was wyzna mi winę i poda wszystkie okoliczności zdrady. Nagrodą będzie szybka, bezbolesna śmierć. A jeśli nie... czy któryś z was widział, jak wygląda śmierć z pragnienia? Nie? Na Boga, przyjaciele, żaden człowiek nie powinien umierać taką śmiercią.

• • •

Chrissie zamarła. Przez chwilę nie wiedziała, co robić. Górę brał to jeden, to drugi ze sprzecznych instynktów: walki i ucieczki. Następnie odetchnęła głęboko i spróbowała rozważyć sytuację racjonalnie. Wycofać się nie może, oznaczałoby to uwięzienie w pułapce piętra, a ktokolwiek dostał się do środka, będzie zbyt blisko Scarlett. W tej chwili potrafiła myśleć tylko o córce. Cokolwiek ma się zdarzyć, ona musi pozostać bezpieczna.

Chrissie zrobiła ostrożny krok w dół, jeden, potem drugi. Jeszcze pięć stopni i będzie mogła zapalić światło. Schodziła powoli, z plecami przyciśniętymi do ściany. Zamarła, po raz kolejny słysząc ten dźwięk. Domyślała się, że intruz przeszedł z kuchni do salonu. Podniosła glocka, powoli zatoczyła lufą łuk, próbując przebić wzrokiem ciemność, widziała jednak tylko zarys fragmentu kanapy oraz jedno oparcie fotela przed kominkiem, poza tym nic, a już z pewnością nie dostrzegła ruchu, choćby tajemniczego.

Kolejne dwa kroki. Była coraz bliżej włącznika, bardzo blisko. Pochyliła się do przodu, wyciągnęła rękę i nagle westchnęła głośno i cofnęła się. Ktoś stał tuż przy niej, u podstawy schodów. Bardziej wyczuła, niż zobaczyła jakiś ruch po drugiej stronie balustrady, uniosła glocka, wymierzyła...

– Kim jesteś? – Własny głos zaskoczył ją, jakby rozległ się we śnie lub należał do kogoś innego. – Stój! Nie ruszaj się! Mam broń.

– Skąd, do diabła, wzięłaś ten pistolet? – przemówił do niej z ciemności ojciec. – Od razu zorientowałem się, że coś jest nie tak, Cookie. Co się dzieje?

Zapaliła światło. Stał przed nią, twarz miał bladą, ściągniętą troską.

– Tata? – Chrissie zamrugała nieprzytomnie, niezdolna uwierzyć świadectwu swych oczu. – Co ty tu robisz?

– Gdzie jest Scarlett, córeczko?

– Na górze. Śpi.

Skinął głową.

– Doskonale. I niech tak zostanie.

Ojciec chwycił lufę glocka i zmusił córkę do opuszczenia broni.

– Chodź, Cookie. Napalimy w kominku. Opowiesz mi, w jakie kłopoty wpadłaś.

– Nie wpadłam w żadne kłopoty, tato. Mama wie, że tu jesteś?

– Matka martwi się o ciebie tak samo jak ja. A ze zmartwieniami radzi sobie w ten sposób, że gotuje. I to właśnie robi w tej chwili. Zamierzam zabrać cię ze Scarlett do domu.

Chrissie zeszła z ostatnich stopni i podeszła do niego jak lunatyczka. Ojciec właśnie zapalał lampy.

– Nie mogę, tato.

– Dlaczego? – Ojciec tylko machnął ręką. – No dobrze, nic nie mów, podejrzewałem, że się nie zgodzisz. – Pochylił się, wrzucił kilka polan do kominka, wyprostował się i rozejrzał po pokoju. – Gdzie są zapalki?

Poszedł do kuchni. Słyszała, jak otwiera szuflady, grzebie w nich.

– To nie to, że nie jestem ci wdzięczna, tato. Ale naprawdę, przyjeżdżając tu w środku nocy, zachowałeś się jak idiota. Śledziłeś mnie całą drogę? I jak wszedłeś do środka?

Poszła za ojcem do kuchni. Twarda, wielka, pokryta odciskami dłoń opadła jej na usta, a druga wyrwała glocka. Poczła silny męski zapach. Zobaczyła ojca leżącego na podłodze, nieprzytomnego, i dopiero wtedy zaczęła się szarpać.

– Nie ruszaj się – szepnął jej do ucha głos. – I nie próbuj żadnych sztuczek, bo zabiorę cię na górę i strzelę twojej córce prosto w twarz, a ty będziesz musiała się temu przyglądać.

Rozdział 13

Natychmiast po wylądowaniu w Tucson Soraya obeszła stanowiska agencji wynajmu samochodów, pokazując pracownikom zdjęcie „Stanleya Kowalskiego”. Nikt go nie rozpoznał. Nazwisko nie występowało w ich dokumentach, ale tego można się było spodziewać. Zawodowiec kalibru Arkadina nie zachowałby się tak bez troski, by do wynajęcia samochodu użyć tych samych dokumentów, z którymi przeszedł przez kontrolę paszportową. Niezrażona niepowodzeniem postarała się o kontakt z kierownikami firm. Ponieważ wiedziała, kiedy i o której mniej więcej godzinie Arkadin przebywał na lotnisku, postarała się przybyć na nie w tym samym czasie. Zadawała jedno pytanie: kto pełnił dyżur dziewięć dni temu. Okazało się, że ci sami ludzie, z którymi rozmawiała... z jednym wyjątkiem: kobiety o nieprawdopodobnym nazwisku Biffy Flisser, która zmieniła pracę i została recepcjonistką w lotniskowym hotelu Best Western.

Nikt z pełniących dyżur przy stoiskach pracowników nie rozpoznał Arkadina.

Kierownik okazał się uprzejmym człowiekiem. Zadzwoił do Best Western i Biffy Flisser już na nią czekała, kiedy Soraya weszła do chłodnego, przestronnego holu. Usiadły w barze i zamówiły coś do picia. Biffy chętnie zgodziła się pomóc w poszukiwaniach.

– Tak, znam go – powiedziała, stukając w zdjęcie z obserwacji, które Soraya pokazała jej wyświetlone na ekranie komórki. – To znaczy nie, nie tak, oczywiście, że go nie znam, ale owszem, tamtego dnia wypożyczyłam mu samochód.

– Jesteś pewna?

– Absolutnie. – Biffy skinęła głową. – Chciał coś na dłużej, miesiąc, może nawet sześć tygodni. Powiedziałam mu, że w takim razie damy mu specjalną zniżkę. Wyglądał na zadowolonego.

Soraya odczekała chwilę i spytała obojętnym tonem:

– Pamiętasz może, jakie nazwisko podał?

– To ważne, prawda?

– Z pewnością bardzo by mi pomogło.

– Chwileczkę, może sobie przypomnę. – Postukała lakierowanymi paznokciami w blat stołu.

– Chyba Frank... tak, Frank i coś tam... – Skupiła się jeszcze bardziej i nagle rozpromieniła. – Mam! Frank Stein! Frank Norman Stein!

Frank N. Stein. Soraya nie wytrzymała i wybuchnęła śmiechem.

– Co się stało? – Biffy spojrzała na nią niepewnie. – Co w tym śmiesznego?

Niezły numer z tego Arkadina. No, no, to mu trzeba przyznać, myślała Soraya, wracając na lotnisko. I nagle coś ją uderzyło. Czy rzeczywiście taki niezły? Dlaczego umyślnie użył nazwiska wyróżniającego się spośród innych nazwisk? Być może zamierzał pozbyć się samochodu zaraz po przekroczeniu granicy.

Poczuła się nagle tak, jakby uszło z niej powietrze. Mimo to nadal prowadziła śledztwo. Odszukała kierownika właściwej firmy i spytała, jaki samochód otrzymał klient o takim to a takim nazwisku.

– Chwileczkę. – Mężczyzna odwrócił się do komputera i wprowadził odpowiednie dane. – Czarny chevrolet, dość stary, z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku.

Praktycznie to kupa złomu, ale jemu wystarczyła.

– Trzymacie wozy tak długo?

Skinął głową.

– Po pierwsze, w naszym pustynnym klimacie nie rdzewieją. Po drugie, kradną nam tyle samochodów, że opłaca się wynajmować stare. A poza tym klienci lubią nas za niskie ceny.

Soraya zapisała istotne informacje, włączając w to numer rejestracyjny, ale szczerze mówiąc, nie spodziewała się, by jeśli nawet odnajdzie wóz, dotarła przez niego do Arkadina. Następnie wypożyczyła samochód, podziękowała kierownikowi, poszła do kawiarni i zamówiła mrożoną kawę. Bolesne doświadczenie nauczyło ją nie zamawiać mrożonej herbaty nigdzie poza Nowym Jorkiem, Waszyngtonem lub Los Angeles. Amerykanie pijają ją nieznośnie słodką.

Czekając na zamówienie, przeglądała szczegółową mapę Arizony i północnego Meksyku. Meksyk sam w sobie jest sporym krajem, założyła jednak, że Arkadin ma jakieś lokum w promieniu około stu pięćdziesięciu kilometrów od lotniska, w przeciwnym wypadku nie wybierałby Tucson, tylko poleciał prosto do Mexico City lub Acapulco. Nie, zdecydowała, dla niego miejscem przeznaczenia musi być północno-zachodnia część kraju, jakieś miejsce leżące, być może, tuż za granicą.

Przyniesiono jej kawę. Piła czarną, gorzką, rozkoszując się kwaskowym posmakiem ożywiającym usta, a także gardło i żołądek. Zaznaczyła na mapie krąg o promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów i środka w punkcie, w którym znajdowało się lotnisko. To jej tereny łowieckie.

• • •

Gdy tylko Soraya opuściła jego biuro, kierownik wyjął z kieszeni spodni mały kluczyk. Otworzył nim najniższą szufladę po prawej stronie biurka. Znajdowały się w niej teczki, broń krótka zarejestrowana na jego nazwisko oraz zdjęcie portretowe. Podniósł je do oczu, przyglądał mu się przez kilka chwil, a potem zacisnął usta, odwrócił je, odczytał w myśli wypisany na nim numer telefonu i wybrał go na służbowym telefonie. Począł, aż odezwie się męski głos i powiedział:

– Ktoś szuka waszego człowieka, tego ze zdjęcia, które mi daliście... Przedstawiła się jako Soraya Moore, nie mam powodu, żeby jej nie wierzyć... Nie, nie pokazała żadnego oficjalnego dowodu tożsamości... Tak, zrobiłem, o co prosiła. Nie, jaja nie muszą się nikomu pocić... Tak, oczywiście nie zrozumiałeś, chodzi o to, że nie ma strachu, osobiście wypożyczyłem jej samochód...

• • •

Toyota corolla, srebrnoniebieska, numer rejestracyjny D jak David, V jak Victoria, N jak Nancy trzy... trzy... siedem... osiem.

Rozmowa toczyła się dalej, ale nie było w niej już nic, co mogło zainteresować Sorayę. Mała elektroniczna pluskwa, przyczepiona od spodu do blatu biurka kierownika, doskonale

spełniła swoje zadanie, głos mężczyzny słychać było z krystaliczną czystością. Szkoda tylko, że słowa jego rozmówcy pozostawały dla niej tajemnicą. W każdym razie wiedziała, że ktoś obstawił lotnisko w Tucson, a zapewne także inne wzdłuż meksykańskiej granicy, i że kimkolwiek są ci ludzie, pojedą za nią do Meksyku. Było też jasne, że rozmówca kierownika nie chwycił potocznego amerykańskiego. Wykluczało to Meksykanów z terenów przygranicznych, dla których punktem honoru było doskonałe opanowanie ulicznego żargonu, a wskazywało na cudzoziemca, być może nawet Rosjanina. A jeśli, jak podejrzewała, to jeden z ludzi Arkadina, mających za zadanie wypatrywać oddziału specjalnego wysłanego z misją przez Dimitrija Masłowa... cóż, być może to jednak jest jej szczęśliwy dzień.

• • •

Po wylądowaniu na londyńskim lotnisku Heathrow Peter Marks przede wszystkim zadzwonił do Willarda.

– Gdzie jesteś? – spytał.

– Im mniej wiesz, tym dla ciebie lepiej.

To go rozgniewało.

– Ostatnią rzeczą, o jakiej marzy agent terenowy, jest latanie na przyrządach – warknął.

– Próbuję ochronić cię przed Lissem. Kiedy zadzwoni – a możesz być pewny, że zadzwoni – powiesz mu zgodnie z prawdą, że nie masz pojęcia, gdzie jestem, i dla ciebie będzie to koniec sprawy.

Na stanowisku kontroli paszportowej Peter pokazał rządową legitymację. Postawiono stempelek w jego paszporcie i machnięciem ręki kazano mu iść dalej.

– Dla ciebie nie.

– Peterze, pozwól, że sam będę się o siebie troszczył. Bardzo się napracujesz, nim Bourne do ciebie zadzwoni.

Marks podszedł do taśmy bagażowej.

– Najpierw muszę go znaleźć.

– Miałeś z nim już do czynienia. Ufam, że go znajdziesz. Peter Marks zdążył już wyjść z terminalu na typowy, ponury londyński dzień. Spojrzał na zegarek. Było przeraźliwie wcześnie, a niebo już obficie pluło deszczem.

– Tak naprawdę nikt nie zna Bourne’a – powiedział do telefonu. – Nawet Soraya.

– To dlatego, że nie ma w nim odrobiny sensu. Jest doskonale nieprzewidywalny.

– Cóż, nie tobie się skarżyć. No, bo przecież to Treadstone uczyniło go właśnie takim.

– Absolutnie nie – zaprotestował żarliwie Willard.

– Cokolwiek zaszło, nieodwracalnie zmieniła go tylko amnezja w tej formie, w jakiej jej doświadczył. A skoro już przy tym jesteśmy, chcę, żebyś spotkał się z nadinspektorem Lloydem-Philipsem. Bourne może być wplątany w morderstwo w Vesper Club, lokalu na West Endzie. Tam zacznij poszukiwania.

Marks zanotował coś szybko na grzbiecie dłoni.

– To już raczej ciebie nie sposób zrozumieć. – Stał w kolejce do taksówek przesuwał się krok po kroku. Mówił cicho, zasłaniając usta dłonią. – Na Bali zrobiłeś więcej, niż mogłeś, żeby mu pomóc, a teraz zachowujesz się, jakbyś chciał zbadać go niczym jakiegoś

cyrkowego dziwołaga.

– Bo on jest dziwołagiem. Bardzo niebezpiecznym. Zamordował Noaha Perlisa, a teraz jest być może wplątany w kolejne morderstwo. Potrzebujesz jeszcze jakichś dowodów, że wyrwał się spod kontroli? Nie chcę, żebyś o tym zapomniał albo stracił z oczu nasz cel. Trening Treadstone uczynił go wojownikiem doskonałym, lecz potem Bourne uległ dalszym nieprzewidzianym zmianom spowodowanym kaprysem losu, natury czy jak tam zechcesz to nazwać. Stał się czymś nieznanym, czymś więcej. To dlatego wystawiłem go przeciwko Arkadinowi. Przecież już kiedyś ci tłumaczyłem, że Arkadin, jako pierwszy wychowanek Treadstone, podlegał treningowi ekstremalnemu. Po jego ucieczce i zniknięciu Conklin postanowił cofnąć się o krok, zmodyfikować go, uczynić mniej... ekstremalnym.

Marks doczekał się wreszcie na taksówkę. Usiadł na tylnym siedzeniu i podał adres hoteliku na West Endzie, swojego ulubionego.

– Jeśli Treadstone ma się rozwijać, odnieść sukces, spełnić obietnice, musimy dowiedzieć się, kto zyska przewagę. – Głos Willarda brzęczał mu w uszach jak pszczoła objająca się o szybę. – Tylko wiedząc, który z nich pozostał przy życiu, będziemy mogli podjąć decyzje dotyczące dalszego postępowania.

Marks patrzył przez okno, ale tak naprawdę niczego nie widział.

– Chcę, żeby ta sprawa była jasna. Jeśli zwycięży Arkadin, wrócisz do pierwotnej metody treningu.

– Z pewnymi drobnymi udoskonaleniami, które mam na myśli, owszem, właśnie tak.

– A jeśli Bourne zabije Arkadina? Nie wiesz przecież...

– Owszem, Peterze. Staniemy twarzą w twarz z czynnikiem X. W takim przypadku proces będzie oczywiście trwał dłużej. Będziemy zmuszeni badać Bourne'a w kontrolowanym środowisku. Będziemy...

– Hej, chwileczkę. Czy to znaczy, że chcesz go uwięzić?

– Poddać powtarzalnym seriom różnych testów psychologicznych, tak, oczywiście. – W głosie Willarda pojawił się ton zniecierpliwienia, jakby powiedział wszystko, co miał do powiedzenia, tylko jego rozmówca okazał się zbyt głupi, by go zrozumieć. – Taka jest sama esencja Treadstone, Peterze. Alex Conklin poświęcił temu całe życie.

– Ale dlaczego? Nie potrafię tego pojąć.

– Stary też nie pojmował, a przynajmniej nie do końca.

– Willard westchnął. – Czasami myślę, że Alex był jedynym Amerykaninem, który wyciągnął naukę z tragicznych pomyłek wojny w Wietnamie. Jego wyjątkowy geniusz pozwolił mu przewidzieć Irak i Afganistan. Alex doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że na naszych oczach rodzi się nowy świat. Wiedział, że dotychczasowe metody prowadzenia wojny są przestarzałe, że muszą zawieść jak Kodeks Napoleona. Podczas gdy Pentagon wydawał miliardy na coraz to nowe inteligentne bomby, niewidzialne bombowce i naddźwiękowe myśliwce, Alex skoncentrował się na stworzeniu jedynej jego zdaniem skutecznej broni: człowieka. Misją Treadstone, realizowaną od pierwszych minut istnienia, było zbudowanie doskonałej broni w ludzkiej postaci, wojownika nieznanego strachu ani litości, człowieka, który w stopniu doskonałym opanował sztukę infiltracji, podstęp, pozostawiania tylko fałszywych tropów, wtapiania się w otoczenie. Broni o tysiącu twarzy, zdolnej objawić się wszędzie i wszędzie udać, zabić każdy cel bez chwili wahania i bez miłosierdzia, i powrócić,

by poznać szczegóły kolejnej misji. Teraz chyba już rozumiesz, jakim wizjonerem był Alex. Jego wizje zostały zrealizowane. To, co stworzymy w ramach programu Treadstone, stanie się najpotężniejszą bronią Ameryki, zdolną ochronić ją przed każdym wrogiem, niezależnie od tego, jaki jest sprytny i jak daleko się znajduje. Czy sądzisz, że pogrzebię coś bezcennego? Zawarłem pakt z diabłem tylko po to, by Treadstone zyskało nowe życie.

– A jeśli diabeł ma inne plany? – spytał Marks.

– Wówczas trzeba będzie załatwić problem diabła w ten sam sposób – odrzekł spokojnie Willard i zamilkł na chwilę.

– Arkadin czy Bourne, dla mnie to bez różnicy. Interesuje mnie tylko wynik ich walki o przetrwanie. Tak czy inaczej, dostanę albo jednego, albo drugiego, i to on stanie się prototypem przyszłych absolwentów Treadstone.

• • •

– Zaczynj od początku – powiedział Bourne. – To jakiś koszmar.

Ottavio Moreno westchnął ciężko.

– Prawda jest taka, że nie miałeś prawa zabić Noaha Perlisa.

Prowadzili tę rozmowę w bezpiecznym domu w Thamesmead, niewielkim osiedlu wybudowanym naprzeciwko London City Airport, tyle że na drugim brzegu Tamizy. Składały się nań architektonicznie ekstrawaganckie kanciaste budynki sprawiające wrażenie tak kruchych, jakimi naprawdę były. Dojechali tam szarym oplem Morena, chyba najbardziej anonimowym samochodem ze wszystkich jeżdżących po ulicach Londynu. W lodówce znaleźli zimnego kurczaka i makaron, popili go całkiem przyzwoitym południowoafrykańskim winem, po czym padli na kanapy w salonie.

– Perlis zabił Holly Moreau.

– Z nim robiło się biznesy – powiedział znacząco Moreno.

– Z Holly, jak mi się wydaje, też.

Moreno skinął głową.

– Ale potem zamieniło się to w sprawę osobistą, nie?

Bourne nie uznał za stosowne odpowiedzieć na to pytanie.

Sprawa była jasna dla nich obu.

– Było, minęło. – Ottavio uznał milczenie za oznakę zgody. – Zdarzyło ci się po prostu zapomnieć, że wynająłem Perlisa, by znalazł laptop.

– Nie miał laptopa. Miał pierścień.

Ottavio pokręcił głową.

– Zapomnij o pierścieniu, spróbuj przypomnieć sobie laptop.

Bourne miał wrażenie, że coraz szybciej i szybciej zapada się w ruchome piaski.

– Wspomniałeś o nim już wcześniej, ale ja niczego nie pamiętam.

– W takim razie mogę chyba uznać, że nie pamiętasz, jak ukradłeś go z domu Jalala Essaia.

Bourne bezradnie pokręcił głową. Moreno przez chwilę tarł oczy.

– Teraz rozumiem – powiedział w końcu – co miałeś na myśli, proponując, żebyśmy zaczęli od początku.

Bourne milczał, przyglądając mu się uważnie. Wynurzający się z jego zapomnianej

przeszłości ludzie byli problemem, zawsze takim samym. Samą swoją obecnością zmuszali do odpowiedzi na pytanie, kim naprawdę są i czy mówią prawdę. Człowieka pozbawionego pamięci bardzo łatwo jest okłamać. Pomyślał, że może to być nawet na swój sposób zabawne: łąć ofierze amnezji, obserwując jej reakcje.

– Dostałeś zadanie zdobycia laptopa.

– Od kogo?

Moreno wzruszył ramionami.

– Od Alexa Conklina. Chyba. Tak to sobie wyobrażam. W każdym razie nawiązaliśmy kontakt w Marrakeszu.

Znów Maroko! Bourne się wyprostował.

– Dlaczego miałbym skontaktować się z tobą?

– Bo byłem tam kontaktem Alexa Conklina. – Sceptyczne spojrzenie Bourne’a sprawiło, że Ottavio dodał szybko:

– Jestem przyrodnim bratem Gustava. Mam matkę Berberkę, z Atlasu Wysokiego.

– Ojciec dużo podróżował?

– Żartuj sobie, nie ma sprawy, nie wypruję ci flaków.

– Ottavio roześmiał się głośno. – Chryste, co za popieprzony świat! – Pokręcił z niedowierzaniem głową. – W porządku, przyjacielu. Ojciec maczał palce w kupach gówna, owszem, szczególnie chętnie, jeśli było to nielegalne. Tak, przyznaję z własnej, nieprzymuszonej woli. I co z tego? Jeździł w interesach po całym świecie, nie wyłączając różnych bardzo dziwnych miejsc.

– Miał apetyt nie tylko na biznesy?

Moreno skinął głową.

– To twierdzenie jest aż nazbyt prawdziwe. Lubił egzotyczne kobiety.

– I pewnie po tym naszym świecie biegają jeszcze jacyś mali Morenowie?

Ottavio znów się roześmiał.

– O ile znam ojca, bardzo prawdopodobne, ale ja nic o nich nie wiem.

Bourne uznał, że nie wygra, drążąc dalej temat życia miłosnego Morena seniora.

– W porządku, więc twierdzisz, że byłeś kontaktem Conklina w Marrakeszu.

– Nic nie twierdzę. – Ottavio lekko ściągnął brwi. – Ja po prostu nim byłem.

– Podejrzewam, że nie możesz pokazać mi żadnych zrealizowanych czeków z konta Treadstone?

– Ha, ha! – Ten wybuch śmiechu w niczym nie przypominał śmiechu. Moreno junior wytrząsnął z paczki gauloisa i zapalił. Przyglądając się rozmówcy, wydmuchnął dym w sufit. Po długiej chwili milczenia spytał:

– Czy myłę się, sądząc, że gramy w tej samej drużynie?

– Nie wiem. A gramy?

Bourne wstał. Poszedł do kuchni napić się wody. Był wściekły nie na Ottavia, ale na siebie. Wiedział, że jest najsłabszy właśnie w tym punkcie. Nie lubił być słaby, a co ważniejsze, w zawodzie, który uprawiał, nie mógł sobie na to pozwolić.

Wrócił do salonu. Usiadł na fotelu, naprzeciwko siedzącego na kanapie Morena, palącego papierosa powoli, jakby z namysłem. Włączony przez niego w międzyczasie telewizor nastawiony był na wiadomości BBC. Bez dźwięku, lecz obraz Vesper Club był mu aż za

dobrze znany. Na dachach samochodów policyjnych i karetok pobłyskiwały migające światła. W drzwiach wejściowych pojawili się ludzie niosący nosze. Ciało było przykryte całe, łącznie z twarzą. Następnie pojawił się komentator BBC, czytający coś, co napisano dla niego przed chwilą. Moreno pokazał gestem, że chce wysłuchać wiadomości, i włączył głos, ale dla nich dwóch w wiadomościach nie było niczego ciekawego, więc po chwili go wyłączył.

– Teraz będzie jeszcze trudniej opuścić Londyn – stwierdził krótko Bourne.

– Znam więcej dróg prowadzących z miasta niż oni.

– Ottavio wskazał udzielającego wywiadu gliniarza.

– Ja też. Nie o to chodzi.

Moreno się pochylił. Zdusił niedopałek w ohydnej, ręcznie wykonanej nowoczesnej popielniczce i natychmiast znów zapalił.

– Jeśli czekasz na przeprosiny, bardzo się rozczarujesz – powiedział.

– Już za późno na przeprosiny. Co czyni ten laptop takim ważnym?

Odpowiedzią było wzruszenie ramion.

– Perlis miał pierścień. Żeby go dostać, zabił Holly.

– Pierścień jest symbolem Severus Domna. Takie pierścienie noszą wszyscy członkowie stowarzyszenia. Na palcu albo przynajmniej przy sobie.

– Tylko tyle? Jeśli są takie nieważne, dlaczego Perlis zamordował Holly dla jednego z nich? – chciał wiedzieć Bourne.

– Nie wiem. Może sądził, że to zaprowadzi go do laptopa?

– Moreno zgasił w popielniczce kolejnego papierosa.

– Słuchaj, przestałeś mi ufać, kiedy dowiedziałeś się, że Gustavo był moim przyrodnim bratem?

– Nie wykluczałbym tej możliwości.

– No więc od kiedy pamiętam, mój pieprzony starszy braciszek był mi pieprzoną solą w oku.

– Więc masz szczęście, że nie żyje – stwierdził sucho Bourne.

Moreno przyglądał mu się przez długą chwilę.

– Jezu Chryste, ty naprawdę wierzysz, że przejąłem po nim interes z narkotykami.

– Byłbym głupcem, gdyby ta myśl nie zaświtała mi w głowie.

Ottavio skinął posępnie głową.

– To przynajmniej rozumiem. – Wyprostował się i rozłożył szeroko ręce. – W porządku, jak mam ci udowodnić, że jestem tym dobrym facetem?

– To już zależy od ciebie.

Wyzwany skrzyżował ramiona na piersi. Przez chwilę się nad czymś zastanawiał.

– Pamiętasz coś dotyczącego tej czwórki: Perlisa, Holly, Tracy i Diega Hererry?

– Praktycznie nic – przyznał Bourne.

– Wyobrażam sobie, że spytałeś o nich Diega. Co ci powiedział?

– Wiem, że się przyjaźnili. I że łączyły ich związki natury uczuciowej.

Moreno ściągnął brwi.

– Jakie związki i kogo?

Bourne powiedział, wywołując wybuch śmiechu.

– *Mano*, twój chłopiec Diego naprawdę nasrał ci na wycieraczkę. W tej czwórce nie było

żadnych romansów. Tylko przyjaźń... aż do chwili, gdy Holly zaczęła nosić pierścień. Wtedy któreś z nich, może Tracy, nie wiem, zainteresowało się wygrawerowanym na nim napisem, a w miarę jak rosła ciekawość, coraz bardziej cierpiała duma Perlisa. Zrobił zdjęcie grawerunku i zabrał je do Olivera Lissa, który był wówczas jego szefem. Śmierć Holly była bezpośrednim skutkiem tego kroku.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Pracowałem dla Black River, póki Conklin nie zwerbował mnie na stacjonarnego agenta Treadstone. Sprawilo mu to duzą frajdę. Gardził Lissem, bo to facet skorumpowany do szpiku kości i manipulant w stopniu rzadko spotykanym nawet w tym biznesie. Nędza innych to był dla niego szczyt szczęścia, jak nikt inny umiał cyckać rząd, a agentom rozkazywał popełniać przestępstwa i zbrodnie, do których władze nie śmiały się bezpośrednio mieszać. Póki nie przyłożyłeś ręki do załatwienia Black River, Liss był prawdopodobnie najskuteczniejszym agentem chaosu, a wierz mi, że kiedy ja tak mówię, to nie są żarty.

– A jednak to nie wyjaśnia, jak...

– W tych starych dobrych czasach Perlis składał raporty mnie. Potem przejął go Liss i zaczął zlecać mu prywatne misje.

Bourne skinął głową.

– I to właśnie była jedna z tych prywatnych misji?

– Taką się stała. Perlis potrzebował pomocy, więc przyszedł do mnie. Tylko mnie ufał. Powiedział, że kiedy Liss zobaczył pierścień, o mało nie oszalał. Właśnie wtedy kazał mu odnaleźć laptop.

– Ten, który z twoją pomocą zabrałem Jalalowi Essaiowi?

– Tak.

Bourne ściągnął brwi.

– Ale... co się z nim stało?

– Miałeś dostarczyć go Conklinowi, ale nie dostarczyłeś.

– Dlaczego nie?

– Odkryłeś coś... powiedziałeś mi, że jest w tym laptopie coś takiego, czego pewnie, zdaniem Conklina, nie powinieneś wiedzieć. Uznałeś za stosowne osobiście zmienić parametry misji. W locie.

– Co odkryłem?

Ottavio wzruszył ramionami.

– Nie powiedziałeś mi, a ja jestem wystarczająco dobrze wytrenowany, żeby nie pytać.

Bourne zamyślił się głęboko. Z każdą mijającą chwilą pierścień stawał się coraz bardziej tajemniczy. Reakcja Lissa wskazywała, że jest on w jakiś sposób związany z laptopem. Pod warunkiem że jego rozmówca mówił prawdę. Czuł się tak, jakby trafił do gabinetu luster, z których każde zniekształca obraz w inny pomysłowy sposób, aż w końcu nie można odróżnić tego, co rzeczywiste, od skomplikowanego tworu fantazji, prawdy od sprytnie skonstruowanej fikcji.

Telewizyjny prezenter przeszedł już do kolejnych spraw, dziejących się w innych częściach świata, ale Bourne nadal widział we wspomnieniach wynoszone z Vesper Club ciało Diega Hererry. Czy jego śmierć była konieczna? Moreno twierdził, że tak, ale mógł mieć własne, mroczne, nieujawnione motywy. Jedyнным sposobem dotarcia do prawdy było przebywanie

blisko niego, wypytywanie tak delikatnie, jak to tylko możliwe, czekanie, aż w pancerzu pojawi się szczelina... albo dowód na to, że można mu zaufać.

– Co wiesz o tym Essaiu? – spytał.

– Poza tym, że należy do grona rady rządzącej Severus Domna, niewiele. Pochodzi ze znamienitej rodziny. Jej historia, o ile się nie mylę, sięga dwunastego wieku. Jego przodkowie brali udział w najeździe Maurów na Andaluzję, a jeden z nich rządził tam przez ładnych parę lat.

– A współcześnie?

– Współcześnie nikt nie interesuje się Berberami lub Amazigh, jak siebie nazywamy.

– A co możesz powiedzieć o samym Severus Domna?

– Och, jeśli o to chodzi, to rzeczywiście, mogę ci pomóc. Musisz wiedzieć, że o tej grupie wiadomo bardzo niewiele.

Latają poniżej zasięgu radaru, tak nisko, że pozostawione przez nich na ziemi ślady są niemal niewidzialne, a w każdym razie łatwe do zatarcia. Nikt nie wie, jak są liczni, ale mają ludzi dosłownie w każdym zakątku świata. Zajmują ważne pozycje dające realną władzę: w rządzie, w biznesie, w mediach, w przestępczym podziemiu. Nie ma biznesu, w którym ich nie znajdziesz.

– O co im chodzi? – Bourne miał w pamięci słowo *Dominion* wygrawerowane wewnątrz pierścienia. – Czego chcą?

– Władzy, pieniędzy, może nawet chcą rządzić światem? Kto wie, ale to lepsza odpowiedź niż inne. Wszyscy tego chcą, prawda?

– Jeśli pilnie studiowali historię – przyznał Bourne.

Moreno się roześmiał.

– A tak wielu jej nie studiowało.

Bourne nabrał powietrza, po czym powoli je wypuścił. Zastanawiał się nad tym, czego dowiedział się o laptopie, że zmienił cel misji. Nie pamiętał, by zdarzyło się to kiedykolwiek, w którejkolwiek misji zleconej mu przez Treadstone. Nie mogło się tak zdarzyć choćby dlatego, że aż do dnia, gdy Conklin został zamordowany, żył w przyjaźni z szefem. Bardzo bliskiej przyjaźni.

Wreszcie opowiedział o tym, a Moreno odrzekł:

– Kazałeś mi zawiadomić Conklina, że Essai nie miał laptopa i że nie wiesz, co się z nim stało.

– Zrobiłeś to?

– Tak.

– Dlaczego? Treadstone ci płaciło, Conklin był twoim szefem.

– Nie jestem pewny – wyznał Ottavio. – Ale przecież istnieje ogromna różnica między agentami pracującymi w terenie a urzędnikami siedzącymi za biurkiem. Ci pierwsi niekoniecznie rozumieją motywy, którymi kierują się ci drudzy, i vice versa. A my? Jeśli ktoś nie pilnuje nam pleców, to już nie żyjemy. – Odłożył paczkę gauloisesów. – Skoro powiedziałaś, że odkryłaś coś wystarczająco ważnego, by zmienić parametry misji, to mogłem ci tylko uwierzyć.

– A więc przyjechałaś zobaczyć słynnego Corellosa?

Roberto Corellos, kuzyn Narsica Skydela, uśmiechnął się pogardliwie. Siedział w wygodnym fotelu, w pokoju dużym, jasnym, o podłodze pokrytej grubym dywanem. Na ścianach wisiały obrazy oświetlone lampami o porcelanowych kloszach. Przypominał pokój dzienny zamożnego domu, ale czego Moira właśnie się dowiadywała, więzienia w Bogocie nie przypominają więzień reszty świata.

– Amerykańska prasa chce rozmawiać ze słynnym Corellosem teraz, kiedy jest w La Modelo. Kiedy to niczym nie grozi. – Wyciągnął cygaro z kieszeni na piersi guayabery, uroczyście odgryzł koniec i zapalił je starą zapalniczką Zippo. Znow uśmiechnął się z pogardą. – Prezent od jednego z wielbicieli. – Nie wiadomo, co miał na myśli. Cygaro czy zapalniczkę.

Wydmuchnął w górę kłęb aromatycznego dymu i założył nogę na nogę. Nosił lniane spodnie.

– Proszę powtórzyć, jaką gazetę pani reprezentuje.

– Jestem niezależną dziennikarką związaną z „Washington Post” – powiedziała Moira. Tę tożsamość załatwił dla niej Jalal Essai. Nie wiedziała, skąd miał dokumenty i wszystko, co potrzebne do stworzenia legendy, i nic ją to nie obchodziło. Istotne było to, czy wytrzyma dokładne sprawdzenie. Upewnił ją, że tak, i do tej pory nic nie zaprzeczyło jego słowom.

Przyleciała do Bogoty przed niespełna dwudziestoma czterema godzinami. Zgodę na spotkanie z Corellosem uzyskała niemal natychmiast. Trochę ją zaskoczyło, że nikt się niczym nie przejmuje i nikomu na niczym nie zależy.

– Ma pani szczęście, że przyjechała pani teraz. Za tydzień czy coś koło tego już mnie tu nie będzie. – Corellos skupił wzrok na żarzącym się czubku cygara. – Zrobiłem sobie coś w rodzaju wakacji. – Machnął ręką. – Mam wszystko, czego chcę. Jedzenie, cygara, dziwki do pieprzenia... dosłownie wszystko. I nie muszę nawet kiwać palcem, żeby mi to dostarczano.

– Urocze – stwierdziła Moira sucho.

Corellos przyjrzał się jej uważniej. Był mężczyzną przystojnym w tym specyficznym stylu muskularnego twardziela, przy czym czarne płonące oczy i aura męskości tylko dodawały mu charyzmy.

– Powinna pani zrozumieć Bogotę, señorita Trevor. Tym krajem wcale nie rządzi rząd, o nie. W Kolumbii władzą dzielą się FARC, nasze Rewolucyjne Siły Zbrojne Kolumbii, i wielcy baronowie narkotykowi. Lewicowa partyzantka i prawicowi kapitaliści. W każdym razie coś takiego. – Zaśmiał się skrzekliwie, radośnie, jego śmiech brzmiał jak krzyk papugi ary. Wydawał się całkowicie rozluźniony, jakby siedział w domu, a nie w cieszącym się najgorszą sławą więzieniu w Bogocie. – FARC kontroluje czterdzieści procent kraju, my resztę.

To twierdzenie Moira przyjęła z powątpiewaniem.

– Señor Corellos, wydaje mi się, że w pańskich słowach jest sporo przesady. Czy wszystko, co pan powie, mam traktować z rezerwą?

Corellos sięgnął za siebie. Na stoliku, przy którym siedzieli, położył półautomatycznego taurusa PT92. Moira odczuła to jak cios poniżej pasa.

– Naładowany. Możesz sprawdzić, jeśli chcesz. – Reakcja Amerykanki wyraźnie go rozbawiła. – Albo zabrać ze sobą. Taki prezent. Nie martw się, tam, skąd go dostałem, jest ich mnóstwo. – Znow się roześmiał, po czym odepchnął taurusa na bok. – Señorita, podobnie jak

większość *gringo*, jest pani tu trochę nie na miejscu. W zeszłym miesiącu mieliśmy wojnę, partyzanci FARC przeciwko... biznesmenom, powiedzmy. Prawdziwa wojnę: AH-47, granaty odłamkowe, materiały wybuchowe, co tylko chcesz. Strażnicy, żałosna banda, od razu się wycofali. Więzienie otoczyła armia, ale nie weszła na teren, bo my byliśmy lepiej uzbrojeni od nich. – Puścił oko.

– Założę się, że minister sprawiedliwości ci o tym nie opowiadał.

– Nie.

– Dlaczego mnie to nie dziwi? No, mieliśmy tu prawdziwy pieprzony burdel, możesz mi wierzyć.

Moirę ten temat wyraźnie zafascynował.

– I jak to się skończyło?

– Postanowiłem wkroczyć. FARC mnie słucha. *Escúchame*, ale nie jestem przeciwko nim i z pewnością nie przeciwko temu, co głoszą. Rząd jest jak nieprzyzwoity żart, przynajmniej pod tym względem mają całkowitą rację. Wiem, że ich poprę, że polecę moim ludziom walczyć po ich stronie, pod warunkiem że zostawią nas w spokoju. Jeśli o mnie chodzi, to pieprzę politykę, prawicę, lewicę, faszystów, socjalistów. Te słowne gierki pozostawiam ludziom, którzy nie mają nic lepszego do roboty w swoim nędznym życiu. Ja mam. Jestem bardzo zajęty robieniem pieniędzy. To moje życie. A wszystko inne niech idzie do diabła.

Strząsnął popiół z cygara do mosiężnej popielniczki.

– Szanuję FARC. Nie mam wyboru, jestem pragmatyczny. Rządzą niemal cała Bogotą, my nie. I mają własny program więziennictwa. Podam przykład: przed dwoma tygodniami, w Pucota, to drugie więzienie w Bogocie, rozwalili całą ścianę i uwolnili dziewięćdziesięciu ośmiu towarzyszy. *Gringo* z góry uzna coś takiego za niedorzeczne, niemożliwe, prawda? Ale takie właśnie jest życie w Kolumbii. – Zachichotał. – Można mówić o FARC różne rzeczy, ale jaja to oni mają, bez dwóch zdań. I za to ich szanuję.

– Powiedziałałabym, señor Corellos, że o ile źle pana nie zrozumiałam, jaja to jedyna rzecz, którą pan szanuje. – Z tymi słowami, patrząc w oczy narkotykowego króla, Moira rozłożyła i złożyła taurusa. Kiedy skończyła, spytał:

– Skąd to zainteresowanie moją osobą, señorita? Po co tu przyszedłaś? Bo przecież nie po to, żeby napisać artykuł do gazety, prawda?

– Potrzebuję twojej pomocy – przyznała Moira.

– Poszukuję pewnego laptopa, który był własnością Gustava Morena. Znikł tuż przed jego śmiercią.

Corellos rozłożył ręce w bezradnym geście.

– Dlaczego przyszedłaś z tym do mnie?

– Byłeś jego dostawcą.

– I co z tego?

– Człowieka, który ukradł laptop, jednego z ludzi Morena, ale pracującego dla kogoś, nie wiemy kogo, znaleziono martwego na przedmieściach Amatitan, na terenie posiadłości twojego kuzyna Narsica.

– Co za cipa, przyjąć nazwisko *gringo*! Nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Dla mnie jest martwy.

Moira zastanawiała się przez chwilę, po czym powiedziała:

– Wplątanie go w śmierć tego człowieka wydaje mi się całkiem niezłym sposobem zemsty. Corellos tylko prychnął.

– I co, czekać, aż meksykańska policja zorientuje się, co jest grane, i aresztuje faceta? No, nie! Jeśli chodzi o łapanie bandytów, to z nich kompletni idioci. Oni tylko wiedzą, jak brać łapówki i urządzać sobie sjesty. A poza tym Berengaria też byłaby podejrzana. Nie, gdybym chciał widzieć Narsica martwego, to jego znalazłabyś w Amatitan.

– Więc kto teraz prowadzi biznes, Moreno? Komu sprzedajesz?

Corellos przymknął oczy i dmuchnął dymem z cygara.

– Nie zamierzam pakować ludzi do więzienia – powiedziała Moira z naciskiem. – Przecież byłoby to bezsensowne, prawda? Interesuje mnie wyłącznie laptop. Chcę go znaleźć, a tam zaczyna się trop, którym powinnam pójść.

Kolumbijczyk zgasił cygaro. Na jego gest ktoś, ciekawe, ale nie był to strażnik, wszedł do pokoju, niosąc butelkę i dwie małe szklaneczki. Postawił je na stoliku.

– Zamawiam coś do jedzenia. Dla ciebie?

– To samo co dla ciebie.

Corellos powiedział kilka słów do młodego człowieka, który skinął głową i bezszelestnie odszedł. Następnie pochylił się, nalał tequila do szklaneczek, a kiedy wypili, powiedział:

– Musisz zrozumieć, jak bardzo nienawidzę Narsica.

Moira wzruszyła ramionami.

– Jestem *gringa*. My nie bierzemy takich rzeczy zbyt poważnie. Wiem tyle, że go nie zabiłeś.

Corellos machnął ręką, jakby opędzał się od jej słów.

– Właśnie to miałem na myśli, mówiąc o rozumieniu. Śmierć byłaby za dobra dla takiego dupka jak on.

Powoli zaczęła rozumieć, dokąd zmierza rozmowa.

– A więc zaplanowałaś sobie coś innego?

Znów rozległ się skrzekliwy śmiech.

– To już załatwione. Ktokolwiek powiedział, że zemsta najlepiej smakuje na zimno, nie miał w żyłach kropli kolumbijskiej krwi. Po co czekać, skoro nadarza się okazja?

Młody człowiek wrócił z tacą zastawioną jedzeniem: mnóstwem przekąsek, od ryżu z fasolą zaczynając, przez smażone chili, po wędzone owoce morza. Postawił tacę na stoliku. Corellos gestem nakazał mu wyjść, po czym natychmiast wziął talerz krewetek w ostrym czerwonym sosie. Jadł je całe, razem z głowami. Zlizując sos z palców, mówił:

– Señorita, wiesz, jak najlepiej dokopać facetowi? Przez jego kobietę, oczywiście.

Wreszcie wszystko stało się jasne.

– Uwiodłeś Berengarię!

– Jasne. Przyprawiłem mu rogi. Przeze mnie najadł się wstydu, ale to jeszcze nie koniec. Narsico rozpaczliwie próbuje zdystansować się od rodziny, więc zrobiłem wszystko, by mu się to nie udało. – W czach Corellosa błyskały iskierki wesołości. – Berengaria Moreno została następczynią brata.

Cholernie dobrze ci to wyszło, pomyślała Moira. Essai twierdził, że nie ma śladu jej związków z biznesem narkotykowym.

– Sądzisz, że miała kreta wśród ludzi swojego brata?

– Gdyby chciała znać listę klientów Gustava, zawsze mogła go o nią poprosić. Nie chciała, przynajmniej póki żył.

– A kto chciał? – zapytała Moira.

Corellos spojrział na nią z powątpiewaniem.

– Nie wiem. Ktoś z tysiąca chętnych. Mam ci zrobić listę?

Zignorowała jego sarkazm.

– A ty?

Corellos wybuchnął śmiechem.

– Co? Żartujesz, prawda? Gustavo zarabiał dla mnie fortunę. On odwał całą ciężką robotę. Dlaczego miałbym chcieć to spieprzyć?

Czy Corellos rzeczywiście wiedział, że lista klientów Morena była w laptopie, czy tylko przypuszczał? – zastanawiała się Moira. Essai nie sprawiał wrażenia człowieka pragnącego przejąć biznes kolumbijskiego barona narkotykowego, raczej wyglądał na człowieka, którego okradziono i który chce tylko odzyskać swoją własność. Pochyliła się i oparła łokcie na stole.

– *Escúchame, hombre*. Ktoś gwizdnął laptop. Jeśli nie Berengaria, to z pewnością ktoś, kto chciał przejąć biznes Gustava. Lada chwila zrobi pierwszy krok.

Corellos przysunął sobie talerz smażonych chili. Wrzucał je do ust jedną po drugiej. Jego wyraziste wargi lśniły od tłuszczu. Nie wyglądało na to, żeby miał zamiar je wytrzeć.

– Nic o tym nie wiem – powiedział zimno.

Moira mu uwierzyła. Gdyby wiedział, już by coś z tą wiedzą zrobił. Wstała.

– Może Berengaria coś wie?

Mężczyzna spojrział na nią, mrużąc oczy.

– Gównu prawda. Jeśli ona coś wie, to ja też.

– Jesteś daleko od Jalisco.

Roześmiał się nieprzyjemnie.

– Nie znasz mnie zbyt dobrze, co, *chica*?

– Chcę ten laptop, *hombre*.

– Co za serce do walki! – Z głębi gardła Corellosa wydobył się dźwięk zdumiewająco podobny do pomruku tygrysa. – Robi się późno, *chica*. Dlaczego nie miałabyś zostać na noc? Daję słowo, że u mnie będzie ci wygodniej niż gdziekolwiek w tym mieście.

Moira się uśmiechnęła.

– Nie sądzę. Dziękuję za gościnność... i za szczerść.

Corellos uśmiechnął się szeroko.

– Dla pięknych kobiet wszystko. – Podniósł palec w geście ostrzeżenia. – *Cuidad, chica*. Nie zazdroszczę ci. Berengaria jest jak pieprzona pirania. Dać jej najmniejszą szansę, a pożre człowieka całego, z kośćmi.

• • •

Kiedy Peter Marks dotarł do mieszkania Noaha Perlisa, trafił na tłum agentów Centrali, z których dwóch znał, a jednego, Jessego McDowella, nawet bardzo dobrze. Dwa razy pracowali razem w terenie, a potem Marks dostał awans i trafił do zarządu.

Kiedy przyjaciel go zobaczył, skinął na niego, odwołał na bok i spytał, zniżając głos do

szeptu:

– Co ty tu, do diabła, robisz, człowieku?

– Mam zadanie do wykonania.

– To tak jak my wszyscy. Lepiej wynoś się stąd, bo lada chwila któryś z napalonych nowych Danzigers zacznie się zastanawiać, czego tu, do cholery, szukasz.

– Tego akurat nie mogę zrobić, Jesse. – Peter wyciągnął szyję i spojrzał ponad ramieniem agenta. – Szukam Jasona Bourne’a.

– No to niech ci ślepe szczęście sprzyja. – McDowell spojrzał na niego kpiąco. – Ile róż mam przysłać na pogrzeb?

– Słuchaj, Jesse, właśnie przyleciałem z DC, jestem głodny, zmęczony, rozdrażniony i nie w nastroju na jakieś pieprzone gierki ani z tobą, ani z ołowianymi żołnierzami Danzigers.

– Zrobił krok i minął agenta McDowella. – Myślisz, że się boję któregoś z nich albo i ich szefa?

Agent rozłożył szeroko ręce.

– W porządku, w porządku, doskonale cię rozumiem, chłopcze. – Wziął Petera za łokieć. – Powiem ci wszystko, ale nie tutaj. Ty jesteś wolny, ale mnie Danziger ciągle trzyma za dupę. – Wyprowadził przyjaciela na korytarz. – Chodźmy do pubu, wypijemy parę kufli. Po dwóch lub trzech pewnie zbiorę się na odwagę.

Slaughtered Lamb był londyńskim pubem z rodzaju tych, o których pisano od stuleci: niskim, mrocznym, przesiąkniętym zapachem sfermentowanego piwa i wypalonych dawno temu papierosów. Dym z nich nadal wydawał się wisieć w przesiąkniętym alkoholem powietrzu.

McDowell wybrał stolik przy wyłożonej boazerią ścianie, zamówił dwie pinty podawanego w pokojowej temperaturze piwa i, dla Marksa, talerz kielbasek z ziemniakami puree. Peterowi wystarczył ich zapach, by żołądek natychmiast wywrócił mu się na drugą stronę. Kazał kelnerowi zabrać kielbaski i zadowolili się kilkoma bułkami z serem.

– To dochodzenie jest częścią sprawy, którą Departament Sprawiedliwości prowadzi przeciwko Black River – zaczął rozmowę McDowell.

– Myślałem, że już dawno je zakończono.

– Wszyscy tak myśleli. – McDowell dopił piwo i natychmiast zamówił następne. – Ale wygląda na to, że ktoś postawiony bardzo wysoko poluje na Olivera Lissa.

– Liss opuścił firmę, nim zaczęło się całe to gównno.

Jesse napił się piwa.

– Ale zostały podejrzenia. Chodzi o to, że może i odszedł w odpowiednim momencie, ale to nie oznacza, że nie był architektem nielegalnych praktyk firmy. Naszym zadaniem jest potwierdzić, że był, i poprzeć to twardymi dowodami, a że Noah był jego tresowanym pieskiem, przeszukujemy jego rzeczy.

– Igła w stogu siana.

– Może i tak. – Agent dopił piwo. – Ale coś znaleźliśmy. Zdjęcie tego palanta, Diega Hererry. Słyszałeś, że zakłuto go nożem wczoraj w nocy, na West Endzie, w luksusowym kasynie znanym pod nazwą Vesper Club?

– Nie słyszałem – odparł Marks. – Co mi do tego?

– Wszystko, mój chłopcze. Człowiek, który go dziabnął, widziany był w towarzystwie Jasona Bourne’a. Wyszli z klubu razem, kilka chwil po morderstwie.

Soraya pojechała na południe, w kierunku, który jak podpowiadała jej intuicja, wybrał Arkadin posługujący się nazwiskiem Frank N. Stein. Zmierzch, zapadający z delikatnością sfruwającego na ziemię liścia, zastał ją wjeżdżającą do Nogales. Nadal była w stanie Arizona. Po drugiej stronie granicy znajdowało się siostrzane miasto Nogales leżące w meksykańskim stanie Sonora.

Zaparkowała. Przeszła przez pokryty pyłem skwer w centrum. Znalazła kawiarnię na powietrzu i zamówiła talerz tamales i coronę. Po hiszpańsku mówiła o wiele lepiej niż po francusku lub niemiecku, co znaczyło, że tym językiem posługiwała się naprawdę dobrze. Ciemna skóra, egipska krew i duży nos sprawiały, że łatwo było wziąć ją za potomkinię Azteków. Siedziała wygodnie, głęboko oddychając. Przyglądała się ludziom załatwiających swoje sprawy, robiącym zakupy, chodzącym, trzymając się za rękę. Było tu dużo starszych ludzi; siedzieli na ławkach, grali w karty albo po prostu rozmawiali. Ulicą jeździły samochody, stare, poobijane osobówki i brudne, rdzewiejące półciężarówki, załadowane płodami ziemi. Biznesem Nogales było rolnictwo, granicę dzielącą bliźniacze miasta bezustannie przekraczały towary, które po amerykańskiej stronie przepakowywano i rozsyłano na całe Stany Zjednoczone.

Soraya dokończyła tamale. Piła drugą coronę, kiedy zobaczyła starego czarnego chevroleta pokrytego pyłem, ogromnego i ociążałego. Numery rejestracyjne się nie zgadzały, więc wróciła do picia piwa. Zrezygnowała z deseru, ale zamówiła kawę.

Kelner stawiał właśnie przed nią maleńką filiżankę, kiedy nad jego ramieniem zobaczyła kolejnego czarnego chevroleta. Kelner odszedł, a Soraya wstała. Numery się zgadzały, to ten wóz wypożyczył Arkadin, ale prowadził go jakiś nastoletni śmieć. Zaparkował koło kawiarni i wysiadł. Na głowie miał irokeza, jego ramiona pokrywały tatuaże węży i pierzastych ptaków. Rozpoznała kwezala, świętego ptaka Azteków i Majów. Wypiła espresso jednym łykiem, zostawiła na stole kilka banknotów i podeszła do chłopaka.

– Skąd masz ten wóz, *compadre*? – spytała.

Chłopak obejrzał ją dokładnie, z góry na dół i z dołu do góry. Uśmiechał się przy tym z wyraźną kpina. Wreszcie, zatrzymując wzrok na jej piersiach, powiedział:

– A ty czego chcesz?

– Nie jestem gliną, jeśli tego się boisz.

– Czego miałbym się bać?

– Ten chevy pochodzi z wypożyczalni samochodów w Tucson i oboje dobrze o tym wiemy. Gówniarz nadal tylko się uśmiechał. Ten uśmiech pewnie codziennie ćwiczył przed lustrem.

– Podobają ci się?

– Co? – spytał, cały czas się na nią gapiąc.

– Moje cycki.

Roześmiał się niepewnie i wreszcie odwrócił wzrok.

– Posłuchaj – powiedziała Soraya. – Nie interesujesz mnie ani ty, ani samochód. Powiedz mi o facecie, który go wynajął.

Chłopak tylko splunął. Milczał.

– Nie bądź głupi. Już masz poważne kłopoty. Mogę sprawić, że znikną.

Wytatuowany śmieć tym razem tylko westchnął.

– Tak naprawdę nic nie wiem. Znalazłem wóz. Na pustyni.

Nikogo przy nim nie było.

– Jak go uruchomiłeś? Spiąłeś kable?

– Nie. Nie musiałem. W stacyjce był kluczyk. Interesująca informacja. Prawdopodobnie oznacza to, że Arkadin nie miał zamiaru wrócić po wóz, co z kolei wskazywało na możliwość, że w Nogales już go nie ma. Soraya zastanawiała się przez chwilę.

– Gdybym chciała przekroczyć granicę, jak mogłabym to zrobić?

– Przejście graniczne jest kilka kilometrów na południe...

– Przejście graniczne mnie nie interesuje.

Chłopak po raz pierwszy spojrzął jej w oczy. Z ukosa.

– Moglibyśmy coś zjeść. Jestem głodny.

– W porządku. Dostaniesz coś do jedzenia, ale nie spodziewaj się niczego więcej.

Roześmiał się. Śmiech skruszył fałszywą maskę twardziela. Ukrywała twarz zwykłego gówniarza, przyglądającego się światu smutnymi oczami.

Zabrała go do kawiarni. Zamówiła burritos de machaca i duży talerz fasoli z mieloną wołowiną w ostrym sosie z chiles pasados. Chłopak nazywał się Alvaro Obregón. Pochodził z Chihuahua. Rodzina przeniosła się na północ w poszukiwaniu pracy i tak dotarła do Nogales. Dzięki poparciu brata matki rodzice dostali pracę w pakowalni owoców i warzyw na eksport. O siostrze powiedział, że jest dziwką, a bracia obijają się tylko cały dzień, zamiast pracować. Jego zatrudnił ranczer. Przyjechał do miasta po towary, które pracodawca zamówił przez telefon.

– Najpierw bardzo się cieszyłem, że osiedliliśmy się właśnie tutaj – opowiadał Alvaro. – Przeczytałem to i owo o amerykańskim Nogales. Urodziło się tu trochę interesujących ludzi. Charlie Mingus na przykład. Dla mnie osobiście jego muzyka jest gównem warta, ale wiesz, facet zyskał sławę i w ogóle. No i Roger Smith. Robić to z Ann-Margret, tylko to sobie wyobraź. Ale najlepsza jest Movita Castaneda. Założę się, że nigdy o niej nie słyszałaś.

Soraya przytaknęła. Zareagował na to uśmiechem.

– Grała w *Karioce* i *Buncie na „Bounty”*, ale ja widziałem ją tylko w *Wieży strachu*. – Dokończył fasolę. – W każdym razie była żoną Marlona Brando. Z niego to był fajny aktor, dopóki nie rozrył się jak balon.

Wytarł usta dłonią. Mlasnął.

– Trochę to trwało, ale człowiek w końcu przejrzał na oczy. No, bo tylko się rozejrzyj. Co to za pieprzona dziura!

– Zdaje się, że masz bardzo dobrą pracę – zauważyła Soraya.

– Jasne. Sama spróbuj. Cuchnie pod niebiosa.

– Przynajmniej to stała robota.

– Szczur zarabia więcej ode mnie. – Chłopak uśmiechnął się krzywym, drwiącym uśmiechem. – Co nie znaczy, że umieram z głodu.

– No właśnie. Czekam na odpowiedź na moje podstawowe pytanie. Jak mogę się dostać do Meksyku?

– Po co? Przecież to śmierdząca dziura.

Tym razem to Soraya się uśmiechnęła.

– Z kim powinnam rozmawiać?

Alvaro Obregón udał, że głęboko się nad tym zastanawia, ale Soraya podejrzewała, że nie musi, bo dobrze wie, kto może jej pomóc. Chłopak skierował wzrok na skwer. Zapaliły się światła, ludzie kończyli w pośpiechu zakupy, wracali do domów na kolację. W powietrzu unosiła się woń puree z fasoli oraz inne ostre zapachy charakterystyczne dla kuchni norteano.

– No... mamy kilku miejscowych *polleros* – powiedział w końcu. *Polleros* to ludzie, którzy za opłatą przeprowadzają przez granicę, nie zajmując pracą celników i funkcjonariuszy straży granicznej. – Ale tylko jednego można zatrudnić bez ryzyka, no i masz szczęście, bo właśnie dziś przeprowadził rodzinę meksykańskich włóczęgów. Jest tu, mogę was sobie przedstawić. Nazywają go Contreras, ale ja akurat wiem, że to nie jest jego prawdziwe nazwisko. Załatwiałem z nim sprawy osobiście.

Co do tego Soraya nie miała wątpliwości.

– Chcę, żebyś mnie umówił z twoim *compadre* Contrerasem.

– To cię będzie kosztować. Sto amerykańskich dolarów.

– Rozbój na prostej drodze. Pięćdziesiąt.

– Siedemdziesiąt pięć.

– Sześćdziesiąt. To moje ostatnie słowo.

Chłopak położył rękę na stole, wnętrzem dłoni do góry. Soraya umieściła na niej dwudziestkę i dziesiątkę. Banknoty znikły tak szybko, jakby w ogóle nie istniały.

– Reszta po załatwieniu sprawy – powiedziała.

– Zaczekaj tu.

– Oszczędź czas i zadzwoń do niego.

...Alvaro Obregón pokręcił głową.

– Żadnych kontaktów przez komórkę. To żelazna zasada w tej grze.

Wstał i wyszedł powoli, noga za nogą, jakby nie miał nic do roboty. Typowe dla Nogales.

Przez ponad godzinę Soraya siedziała w kawiarni, rozkoszując się rozgwieżdżoną nocą i melodią piosenek w wykonaniu miejscowego zespołu grającego muzykę z Sinaloa z akcentem na trąbkę. Kilku mężczyzn prosiło ją do tańca, odmawiała im stanowczo, lecz uprzejmie.

W chwili gdy zespół niemal niezauważalnie przeszedł do drugiej *cumbii*, dostrzegła wyłaniającego się z mroku Alvara Obregóna. Towarzyszył mu mężczyzna, prawdopodobnie *pollero* Contreras. Twarz miał jak mapa, którą rozwijano i zwijano aż nazbyt często. Był wysoki, żylasty, a krzywe nogi wydawały się wskazywać, że od najwcześniejszej młodości był kowbojem. I jak kowboj nosił kapelusz z szerokim rondem, dżinsy rurki i westernową koszulę z lamówkami i zatraskami ze sztucznych pereł.

Obaj bez słowa usiedli przy stoliku. Soraya widziała oczy Contrerasa, wypłowiałe od słońca, najwyraźniej przyzwyczajone do widoku pustynnych bylic, pustynnego pyłu i palących pustynnych upałów. I skórę tak spaloną słońcem, jakby przesadzono z jej garbowaniem.

– Chłopiec mówi, że wybierasz się na południe – powiedział po angielsku.

– Dokładnie. – Soraya widziała już takie oczy u zawodowych graczy. Wydawało się, że sięgają w głąb jej czaszki.

– Kiedy?

Facet nie należał do gadatliwych, i to bardzo jej odpowiadało.

– Im szybciej, tym lepiej.

Contreras podniósł oczy na księżyc. Wyglądał jak kojot gotów w każdej chwili zawyc.

– Tyle go co nic – stwierdził. – Ta noc jest lepsza od jutrzejszej, jutrzejsza jest lepsza od następnej. Potem...

– Wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że drzwi zamykają się i już nie otworzą.

– Ile bierzesz?

Pollero spojrział na nią wzrokiem bez wyrazu.

– Nie będziesz się ze mną targowała jak z chłopcem.

– W porządku.

– Tysiąc pięćset, połowa zaraz.

– Ćwierć. Reszta, kiedy już mnie przeprowadzisz. Bezpiecznie.

Usta Contrerasa drgnęły niedostrzegalnie.

– Miałaś rację, chłopcze. Niezła z niej suka.

Soraya nie poczuła się obrażona. Wiedziała, że właśnie usłyszała komplement. Ci ludzie po prostu tak mówią; nie może tego zmienić i wcale nie zamierza.

Contreras wzruszył ramionami. Zrobił gest, jakby zamierzał wstać.

– Ostrzegałem.

– Wiesz co? – powiedziała Soraya szybko – przyjmę twoje warunki, jeśli zerkniesz na pewną fotografię.

Pollero przyjrzał jej się uważnie i opadł na krzesło.

Wyciągnął rękę dokładnie tak jak wcześniej. Alvaro. Chłopak szybko się uczył.

Soraya przejrzała zdjęcia w komórce. Znalazła te zrobione podczas obserwacji Arkadina. Położyła telefon na dłoni Meksykanina.

– Widziałeś go? Być może zabrałeś go na południe, dziewięć lub dziesięć dni temu.

Założyła to na podstawie tego, co wywnioskowała z opowieści o porzuconym chevrolecie. Arkadin dostał się do Meksyku, omijając oficjalną drogę.

Contreras nie pofatygował się, by spojrzeć na zdjęcie. Cały czas wpatrywał się w Sorayę bezbarwnymi oczami.

– Nie będziesz się ze mną targowała – powtórzył.

– Prosisz mnie o przysługę?

Soraya wahała się przez chwilę, po czym odrzekła:

– Chyba tak.

– Nie wyświadczam przysług. – Mężczyzna spojrział na zdjęcie w komórce. – Moja stawka wynosi dwa tysiące.

Soraya usiadła wygodniej i skrzyżowała ręce na piersiach.

– Teraz mnie wykorzystujesz.

– Decyduj. Jeszcze minuta i będziemy rozmawiali o równych trzech tysiącach.

– Dobrze już, dobrze – poddała się, wzdychając.

– Pokaż kolory.

Zrozumiała, że mężczyzna chce zobaczyć pieniądze. Całą sumę, by się upewnić, że klientka ma czym zapłacić. Rozwinęła plik studolarówek. Skinął głową usatysfakcjonowany.

– Przeprowadziłem go dziesięć dni temu.

– Mówił, dokąd się wybiera?

Contreras prychnął z rozbawieniem.

– Nie powiedział jednego pieprzonego słowa, nawet kiedy dawał mi pieniądze. Mnie się to podoba.

Soraya wyciągnęła ostatnią kartę.

– A co ty o tym sądzisz?

Pollero podniósł głowę, jakby spodziewał się wyczuć w powietrzu jakiś zapach.

– Człowiek taki jak on nie szedł na pustynię, tego jestem pewny. Na własne oczy widziałem, że nienawidzi upału.

I jestem pewny jak cholera, że nie wybierał się do pracy w którejś z pakowalni w Sonorze. On był szefem, sam o sobie decydował. – Opuścił wzrok i spojrzał na Sorayę zmrużonymi oczami. – Jak ty.

– Co nam zostaje?

– Wybrzeże, szefowo. To pewne, jak tu siedzimy. Jechał na wybrzeże.

• • •

Bourne'a obudził telefon Chrissie. Sygnał komórki poderwał go na równe nogi. Odebrał, pocierając kciukiem oko.

– Adamie.

Zaalarmowało go napięcie słyszalne nawet w tym jednym słowie.

– Co się stało?

– Jest... jest tu ktoś, kto chce z tobą porozmawiać. Och, Adamie!

– Chrissie, Chrissie...

Nieznany mu męski głos powiedział:

– Stone, Bourne, czy jak tam siebie dziś nazywasz, lepiej przyjedź tu jak najszybciej. Kobieta i jej córka wpadły w gówno po szyję.

Bourne zacisnął dłoń na telefonie.

– Kim jesteś?

– Nazywam się Coven. Muszę cię zobaczyć. Teraz.

– Gdzie jesteś?

– Powiem ci, jak dojechać. Słuchaj uważnie, bo nie będę powtarzał. – Coven wyrecytował niełatwą do zapamiętania listę szos, dróg, zakrętów i odległości. – Oczekuję cię za dziewięćdziesiąt minut.

Bourne spojrzał na gwałtownie gestykulującego Morena.

– Nie wiem, czy zdążę...

– Zdążysz. Bo jeśli nie, dziewczynce może stać się krzywda. Wyraziłem się wystarczająco jasno?

– Więcej niż wystarczająco.

– No to doskonale. Zegar zaczyna bić.

Rozdział 14

Frederick Willard spędził pełne osiem godzin, grzebiąc w Internecie. Próbował – bez powodzenia – dojść, kto jest właścicielem Monition Club, czym zajmuje się organizacja, skąd bierze fundusze na działalność, kim są jej członkowie. Zrobił sobie tylko trzy przerwy: dwie na pójście do toalety i jedną na zjedzenie bardzo kiepskiej chińszczyzny zamówionej przez sieć i dostarczonej na miejsce. Wokół niego kręcili się ludzie urządzający nową siedzibę Treadstone, instalujący aparaturę elektroniczną, specjalnie zamówione dźwiękoszczelne drzwi, malujący ściany, z których dzień wcześniej zdarto tapety.

Willard miał cierpliwość żółwia, ale i on w końcu dał za wygraną. Kolejne czterdzieści minut spędził na ulicy. Obchodził budynek wkoło, oczyszczał głowę z oparów farby i z sypiącego się z tynków pyłu. Analizował sytuację. Potem wrócił do biura, wydrukował swoje CV i poszedł do domu. Wziął prysznic, ogolił się i przebrał w garnitur z krawatem. Upewnił się, czy jego buty są starannie wyczyszczone. Następnie z CV porządnie złożonym i spoczywającym bezpiecznie w kieszeni pojechał do Monition Club. Postawił samochód na pobliskim ogólnodostępnym parkingu podziemnym.

Swobodnym, energicznym krokiem niemal wbiegł po kamiennych schodach. Wszedł do imponującego holu. Za wysoką ladą recepcji stała ta sama kobieta. Podszedł do niej i poprosił o rozmowę z dyrektorem PR klubu.

– Nie zatrudniamy dyrektora public relations – powiedziała kobieta. Nie uśmiechała się. – W czym mogę panu pomóc?

– W takim razie chciałbym zobaczyć się z kimś odpowiedzialnym za zatrudnianie personelu. Kobieta przyglądała mu się z wyraźnie widocznym powątpiewaniem.

– Nie angażujemy nowych pracowników – oznajmiła po chwili.

Willard osłodził swój głos miodem i uśmiechem.

– Mimo wszystko byłbym bardzo wdzięczny, gdyby poinformowała pani odpowiednią osobę, że chciałbym się z nią spotkać.

– Musi pan mieć CV.

Willard wyjął je z kieszeni. Recepcjonistka rzuciła na nie okiem i uśmiechnęła się.

– Pańskie nazwisko?

– Frederick Willard.

– Chwileczkę, panie Willard.

Wybrała numer wewnętrzny, powiedziała coś do mikrofoniku bezprzewodowego zestawu słuchawkowego, rozłączyła się, podniosła wzrok i powiedziała:

– Proszę, niech pan usiądzie, panie Willard. Ktoś wkrótce po pana przyjdzie.

Willard podziękował. Usiadł na tej samej ławce, na której siedzieli z Marksem, czekając na Olivera Lissa. Recepcjonistka nadal odbierała telefony i łączyła rozmówców. Willard uznał ten system za dziwnie staroświecki. Wyglądało na to, że pracownicy Monition Club nie mają bezpośrednich wyjść na miasto.

Zainteresowało go to, więc zaczął dokładniej przyglądać się kobiecie. Choć była młoda i na

pierwszy rzut oka wydawała się jedną z tych klasycznych recepcjonistek, wyczuwał, że w rzeczywistości bardzo się od nich różni. Po pierwsze, najwyraźniej od niej zależała decyzja, czy on przejdzie dalej, czy zostanie w poczekalni. Po drugie, musiała weryfikować każdą rozmowę.

Minęło pół godziny i przez drzwi ukryte w jednej ze ścian wszedł do holu szczupły, młody mężczyzna w ciemnoszarym garniturze o konserwatywnym kroju. Na krawacie, w samym środku, wyszyte miał coś przypominającego sztabę złota. Podszedł do recepcjonistki. Pochylił się do niej lekko i powiedział kilka słów głosem tak cichym, że nawet w doskonale wytłumionym holu Willard nie miał szans usłyszeć, co mówi on i co odpowiada kobieta. Następnie odwrócił się i podszedł do gościa, uśmiechając się niezobowiązująco.

– Panie Willard, proszę za mną.

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się na pięcie. Willard szedł za nim. Minęli stanowisko recepcjonistki. Dostrzegł, że dziewczyna uważnie go obserwuje.

Młody człowiek poprowadził go przez drzwi i dalej mrocznym, słabo oświetlonym korytarzem. Na podłodze leżał dywan, na ścianach wisiały obrazy. Mijali drzwi znajdujące się po obu stronach. Wszystkie były zamknięte, nie dobiegał zza nich żaden, najcichszy nawet dźwięk. Albo biura były puste, w co należało wątpić, albo doskonale uszczelnione akustycznie, kolejna anomalia w miejscu pracy. A przynajmniej w miejscu pracy niezwiązanym z tajnymi służbami.

W końcu zatrzymali się przed jednymi z nich, po lewej. Młody człowiek zapukał raz, a potem je pchnął. Otwierały się do środka.

– Pan Frederick Willard – zaanonsował gościa w dziwnie formalny sposób, przekraczając próg.

Willard wszedł za nim do sali niebędącej bynajmniej biurem, lecz biblioteką, i to zdumiewająco dużą. Trzy ściany zajmowały regały na książki sięgające do sufitu, czwarta była ogromnym jednotaflowym oknem, wychodzącym na niewielki, lecz doskonale utrzymany zamknięty ogród, urządzony wokół fontanny w stylu arabskim. Wyglądał, jakby przeniesiono go tu z XVI wieku.

Naprzeciwko okna stał długi stół jak z klasztornej refektarza, wykonany z ciemnego twardego drewna, wypolerowany na wysoki połysk, a przy nim siedem ustawionych w równych odstępach krzeseł z wysokimi oparciami. Jedno z nich zajmował mężczyzna o zaokrąglonych ramionach. Miał gęste włosy, szczesane z wysokiego czoła na dwie strony niczym srebrne skrzydła, i skórę koloru miodu. Przed nim leżała otwarta duża i bardzo gruba księga, którą studiował, skoncentrowany wyłącznie na niej.

Oderwał się od lektury. Na gościu spoczęło spojrzenie przenikliwych niebieskich oczu, patrzących znad jastrzębiego nosa. Na wargach mężczyzny pojawił się zimny uśmiech.

– Niech pan wejdzie, panie Willard – powiedział.

– Czekaliśmy na pana.

• • •

– Używają jednostek wycieczkowych, bardzo drogich jachtów – powiedział Contreras.

– Pływają wzdłuż wybrzeża w jedną i w drugą stronę? – domyśliła się Soraya.

– To najbezpieczniejszy sposób transportowania towarów ze środkowego Meksyku. Tam odbiera się go od kolumbijskich karteli.

Niebo nad pustynią było ogromne i tak nabite gwiazdami, że tu i tam noc wydawała się zanurzona w lodowato błękitnej mgłę. Cieniutki sierp księżyca wisiał nisko nad horyzontem, prawie wcale nie dając światła. Contreras spojrzął na tarczę zegarka; mogło się wydawać, że godziny przejścia patroli granicznych ma rozpracowane wręcz naukowo.

Ukryli się, skuleni za kłębem bylicy i wielkim kaktusem saguaro. Kiedy się do siebie odzywali, mówili najcichszym szeptem. Soraya we wszystkim naśladowała *pollero*, więc, jak jego, jej głos też brzmiał niczym szelest suchego pustynnego wiatru.

– Twój człowiek siedzi w narkotykach, możesz mi wierzyć na słowo – powiedział Meksykanin. – Po co innego ktoś taki jak on zakradałby się w ten sposób do Meksyku?

Było zimniej, niż się spodziewała. Soraya zadrżała.

– Gdyby nie zamierzał z kimś się spotkać, udałby się wprost do Nogales, ukradł samochód i pojechał na zachód, na wybrzeże – dodał Contreras.

Już miała mu odpowiedzieć, kiedy przyłożył palec do ust. Nastawiła uszu, ale dopiero po chwili usłyszała, co go ostrzegło: dobiegający z bliskiej odległości cichy chrzęst podeszew butów na wyschniętej ziemi. Na promień światła z latarki nie zareagował, ani drgnął, a więc musiał się go spodziewać. Światło zatoczyło łuk, ale nie zbliżyło się do ich kryjówki. Padało dalej, tam, gdzie była niewidzialna granica, na jałową, przewiewaną wiatrem ziemię. Usłyszała ciche chrząknięcie, po czym latarka zgasła, a kroki się oddaliły.

Soraya już miała się poruszyć, zmienić pozycję, kiedy Contreras mocno przycisnął ją do ziemi. Nawet w rozświetlonej wyłącznie światłem gwiazd ciemności nocy czuła na sobie jego przenikliwe spojrzenie. Po chwili znów pojawił się snop oślepiającego światła, oświetlając jeszcze większy fragment pustyni. Ciszę przerwały trzy głośnie strzały. Z miejsc, w które trafiły pociski, uniosły się w powietrze małe kłębki pyłu.

Soraya usłyszała cichy bulgot, który mógł być wybuchem śmiechu, po czym znów zapadła cisza. Władzę nad nią objął cichy, smutny szelest samotnego wiatru.

– Teraz idziemy – powiedział Contreras bezgłośnie.

Skinęła głową. Ruszyła za przewodnikiem na zeszywniałych nogach. Okrążyli kłęb bylicy po prawej i biegiem przemierzyli fragment płaskiego, niezarośniętego terenu, ze Stanów Zjednoczonych przenosząc się do Meksyku. Nic nie świadczyło o tym, że znaleźli się na terytorium innego państwa. Z daleka dobiegło wycie kojota, ale nie sposób było powiedzieć, czy jest to kojot amerykański, czy meksykański. Sorayę zaskoczył wyskakujący spod nóg zając, jej serce biło mocno, w uszach czuła dziwny szum, jakby krew zbyt szybko płynęła żyłami i tętnicami.

Contreras prowadził. Szedł równym krokiem, nie zatrzymując się i ani razu nie tracąc poczucia kierunku. Był bezgranicznie pewny siebie. Otoczona aurą tej pewności Soraya czuła się bezpieczna. Było to dziwne, lekko niepokojące wrażenie, przywołujące wspomnienie Amuna, Kairu i ich pierwszego spotkania na egipskiej pustyni. Czy naprawdę zdarzyło się to przed zaledwie paroma tygodniami? A wydawało się jej, że nie widziała go już tak długo. Rządziej wymieniali SMS-y, za każdym razem krótsze. Czas mijał.

Noc stała się bezgwiezdna, ciemna jak dno oceanu, jakby już nigdy nie miał nastać świt, jakby słońce nie miało wyłonić się zza dalekiego horyzontu na wschodzie. Nagle rozległ się

huk grzmotu, odległy, jakby narodził się na niebie innej krainy.

Maszerowali długo przez płaską monotonną krainę, która wydawała się martwa. Ale w końcu Soraya dostrzegła łunę światła, a wkrótce potem Contreras wprowadził ją do Nogales w Sonorze.

– Dalej nie idę – oznajmił. Nie patrzył w stronę światła, lecz w mrok, w którym pogrążone były wschodnie peryferie miasta.

Soraya wręczyła mu resztę umówionego honorarium. Schował pieniądze do kieszeni, nawet ich nie licząc.

– W Ochoi pokoje są czyste, a kierownictwo nie zadaje zbędnych pytań. – Splunął pomiędzy zakurzone kowbojskie buty. – Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz.

Skinęła głową. Odprowadziła wzrokiem oddalającego się na wschód *pollero*, zmierzającego do nieznanego celu, a gdy znikł w nocnych ciemnościach, poszła w swoją stronę. Wkrótce pył pustyni zmienił się w twardą, ubitą ziemię, a ziemia w ulice i chodniki.

Hotel Ochoa znalazła bez problemu. W mieście odbywał się właśnie jakiś całonocny festyn. Główny plac był oświetlony.

Na jednym jego końcu orkiestra mariachi grała coś szybkiego i zgrzytliwego, na drugim ustawiono budki, w których sprzedawano świeże tacos i quesadillas. Pomiędzy nimi kłębiły się tłumy, ludzie spacerowali, tańczyli albo zataczali się, pijani, pogodnie przeklinając muzyków i w ogóle każdego, kto chciał ich słuchać. Od czasu do czasu dochodziło do bójek, podczas których wymyślano sobie najgorszymi słowami. Jakiś koń zarżał, prychnął, zatupał kopytami.

Hol hoteliku był prawie pusty. Nocny recepcjonista, mały, żyłasty człowieczek z twarzą pieska preriowego, oglądał meksykańską telenowelę na przenośnym telewizorku. Jakość obrazu była fatalna, ale siedział w swojej dusznej klatce, nieruchomy, jakby rzucono na niego zaklęcie, nie zwracając uwagi na otaczający go świat. Nawet nie spojrzął na nowego gościa. Wręczył Sorai klucz i odebrał należność za jedną noc według cennika wiszącego nad jego głową, nie zażądawszy paszportu ani innego dowodu tożsamości. Mogła sobie być nawet seryjną morderczynią, jego to nie obchodziło.

Soraya dostała pokój na piętrze. Od tyłu, bo podkreśliła, że zależy jej na spokoju, ale za to nie było w nim klimatyzacji. Otworzyła szeroko okno i wyjrzała. Wychodziło na zapuszczoną alejkę i ślepy ceglany mur, tylną ścianę sąsiedniego budynku. Prawdopodobnie restauracji, sądząc po długim rzędzie pojemników na śmieci stojących po jednej stronie tylnego wejścia zamkniętego tylko drzwiami z siatki. Samotna, słaba lampa rzucała na nie chore niebieskie światło. Właśnie się otworzyły i w alejce stanął mężczyzna w poplamionym fartuchu. Przysiadł na pokrywie pojemnika, skręcił jointa, włożył go do ust i zapalił. Zaciągnął się, przymykając oczy.

Docierały do niej także dźwięki. Przy końcu alejki, przy murze, kochała się jakaś para. Kucharz ją zignorował. Oszołomiony trawką, pogrążony w rozkosznych marzeniach, może nawet ich nie słyszał.

Soraya się odwróciła. Oceniała pokój. Contreras się nie mylił, był schludny, czysty, dzięki Bogu dotyczyło to także łazienki.

Rozebrała się, odkręciła kran przy prysznicu. Odczekała, aż woda stanie się odpowiednio ciepła, a potem weszła pod nią, rozkoszując się gorącym strumieniem, zmywającym z ciała

brud i pot. Mięśnie powoli się rozluźniały, Soraya zaczęła się odprężać. Nagle poczuła, że ogarnia ją wielkie zmęczenie, i zdała sobie sprawę, że jest wyczerpana. Wyszła spod prysznic, wytarła ciało energicznymi ruchami ręcznika. Cienkie, szorstkie frotte widocznie zaczerwieniło jej ciemną skórę.

W pokoju zrobiło się duszno, wilgotno od uciekającej z łazienki pary. Otulona ręcznikiem Soraya podeszła do okna, mając nadzieję na ochłodę przy odrobinie wiatru, jeśli w ogóle wiał wiatr. I zobaczyła dwóch mężczyzn opartych o ścianę restauracji. W świetle lampy dostrzegła też, że jeden z nich sprawdza coś na palmtopie. Ukryła się za spłowiałą zasłoną niemal dokładnie w chwili, gdy ten drugi spojrzął w jej okno. Dostrzegła jego twarz, ciemną i skupioną jak zaciśnięta pięść. Powiedział coś do towarzysza, który oderwał wzrok od palmtopa i też podniósł głowę.

Hotel Ochoa przestał być bezpiecznym miejscem. Soraya wycofała się, włożyła brudne ubranie i podeszła do drzwi. Mężczyźni zaatakowali, gdy tylko je otworzyła. Jeden złapał ją oburącz za kark, drugi przycisnął szmatę do jej ust i nosa. Próbowwała wstrzymać oddech, uwolnić się od uścisku stalowych dłoni. Żaden sposób nie skutkował. Ta cicha beznadziejna walka trwała kilka minut, ale wysiłki Sorai doprowadziły tylko do tego, że płucom szybciej zaczęło brakować tlenu. Mimo żelaznej woli autonomiczny układ nerwowy przejął nad nią kontrolę i Soraya odetchnęła raz, a potem drugi. Poczula straszny smród, próbowała krzyczeć, łzy napłynęły jej do oczu i pociekły po policzkach. Walczyła o łyk czystego powietrza. Potem ogarnęła ją ciemność i jej bezwładne ciało osunęło się na ręce porywaczy.

• • •

Arkadin dostrzegł płetwę grzbietową tnącą fale. Sądząc po jej rozmiarze, rekin był duży, trzy-, może nawet trzyipółmetrowy. Płynął wprost na „cygaro”. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę, ile krwi wyciekło za burzę.

Pracował nad Stiepanem trzy godziny i był on teraz tylko krwawym wrakiem człowieka, skulonym na boku w pozycji płodu, niemogącym przestać płakać. Krew z tysiąca małych rozcięć na skórze spływała różowymi strumykami, mieszając się na pokładzie z morską wodą.

Paweł był świadkiem tego przesłuchania, rozlewu krwi i rozpaczliwych zapewnień o niewinności, a potem przyszła jego kolej. Spodziewał się, że oprawca użyje noża do czyszczenia ryb, jak w przypadku Stiepana, ale kluczowym elementem przesłuchania jest zaskoczenie, strach przed nieznanym.

Arkadin związał mu nogi i zawiesił go za nie na wyciągarce, a potem opuścił przez rufę do morza, głową w dół. Powtarzał ten manewr, za każdym razem dłużej przytrzymując głowę ofiary pod wodą, tak że za szóstym czy siódmym razem torturowany był pewny, że utonie. Następnie został odwiązany, a nóż przeciął mu skórę płytko pod oczami. Po czym znów znalazł się głową w oceanie. Trwało to mniej więcej czterdzieści minut. Potem pojawił się rekin. Paweł musiał go zobaczyć, bo kiedy El-Heraldo wyciągnął go na pokład, wyglądał na śmiertelnie przerażonego.

Wykorzystując jego słabość, Arkadin uderzył go trzy razy, szybko, raz za razem, łamiąc mu kilka żeber. Ofiara dyszała teraz ciężko, oddychanie stało się procesem bolesnym i sprawiało ogromne kłopoty. Na sygnał szefa El-Heraldo znów opuścił Pawła do wody. Rekin trącił go,

równie zdziwiony jak zainteresowany.

Paweł spanikował, zaczął się rzucać, co tylko zwiększyło zainteresowanie rekina. Drapieżniki te mają słaby wzrok, ale doskonale rozwinięty zmysł węchu, potrafią też wyczuwać ruch. Zapach krwi Pawła i jego gwałtowne ruchy przekonały tego osobnika, że ma do czynienia z łatwą, bo ranną ofiarą.

Zaatakował, błyskawicznie nabierając prędkości.

Obserwujący płetwę grzbietową Arkadin dał sygnał. El-Heraldo uruchomił wyciągarkę. Pojawiły się ramiona, a po nich głowa, ciało torturowanego mężczyzny zadrżało i zakołysało się szaleńczo. Rekin zdołał je musnąć. El-Heraldo zablokował wyciągarkę, by nie wpadło do wody, krzyknął zduszonym głosem, wyciągnął pistolet, wychylił się za rufę i opróżnił magazynek, mierząc w widoczny fragment cielska wielkiej ryby.

Woda się zagotowała, a krew Pawła mieszała z krwią rekina. Arkadin przeszedł na rufę, uruchomił wyciągarkę i opuścił na pokład wrzeszczącą, zalewającą się łzami ofiarę. El-Heraldo już się zabawił. Od kiedy młodszy brat, zaatakowany przez żarłacza tygrysięgo, stracił nogę, na widok płetwy grzbietowej w jego oczach zapalały się mordercze błyski. Opowiedział szefowi tę smutną rodzinną historię pewnego wieczoru, gdy był bardzo pijany i bardzo smutny.

A teraz Arkadin całą uwagę poświęcił ofierze. Rekin dokończył dzieła rozpoczętego przez powtarzające się topienie. Paweł był w bardzo złym stanie. Rekin zdążył odgryźć mu kawałki ciała z lewego ramienia i policzka. Krwawił obficie, ale był to najmniejszy z jego problemów. Atak wywołał u niego głęboki szok. Rozglądał się nieprzytomnie rozszerzonymi oczami, niezdolny skupić wzrok. Szczekał zębami, otaczał go silny zapach fekaliiów.

Na Arkadinie nie robiło to żadnego wrażenie. Ukucnął obok kapitana.

– Pawle Michajłowiczu, mój bardzo dobry przyjacielu – powiedział, kładąc mu rękę na głowie – mamy do rozwiązania bardzo poważny problem. Tylko ty możesz go rozstrzygnąć. Któryś z was, Stiepan albo ty, przekazywał informacje komuś spoza organizacji. Stiepan przysięga, że to nie on. Obawiam się, że oznacza to twoją winę.

Paweł płakał i wył z przerażenia. Nic do niego nie docierało. Arkadin uderzył tyłem jego głowy o deski pokładu.

– Oprzytomniej, Pawle Michajłowiczu! Pozbieraj się, skup! Tu chodzi o twoje życie! – Widząc, że nieszczęśnik patrzy na niego i nie ucieka spojrzeniem w bok, uśmiechnął się i pogładził go po włosach. – Wiem, że cierpisz, przyjacielu i – dobry Boże! – krwawisz niczym zarzynana świnia! Ale uwierz, to wszystko szybko się skończy. El-Heraldo poskłada cię do kupy, sprawnie i szybko. Jest w tym mistrzem, możesz mi wierzyć. Posłuchaj mnie, Pawle Michajłowiczu. Oto moja propozycja: powiesz mi, dla kogo pracujesz i co przekazałeś, słowem, powiesz mi wszystko, a pomożemy ci, damy słowo. Będziesz jak nowy. Co więcej, rozgłoszę, że Stiepan był kretem. Twój pracodawca straci czujność, a ty będziesz robił to, co robiłeś. Przekazywał informacje, chociaż tylko te, które każę ci przekazać. Jak ci się to podoba? Zgadzasz się?

Paweł jęknął i skinął głową. Najwyraźniej nie ufał sobie i nie był pewny, czy stać go na wypowiedzenie choćby jednego słowa.

– Doskonale. – Arkadin spojrzał na El-Heralda.

– Skończyłeś się bawić?

– Sukinsyn nie żyje. – El-Heraldo splunął do wody, nie ukrywając satysfakcji. – Teraz przyjaciele się nim pożywiają.

Arkadin przeniósł spojrzenie na Pawła. Tak samo jest i z tym sukinsynem, pomyślał.

• • •

Mężczyzna o przenikliwych niebieskich oczach uprzejmie wskazał gestem miejsce.

– Proszę, niech pan usiądzie, panie Willard – powiedział.

– Zechce pan czegoś się napić?

– Bardzo chętnie. Whisky.

Młody mężczyzna, który go przyprowadził, znikł i pojawił się chwilę później z tacą, na której stała staroświecka szklaneczka z whisky, szklanka z wodą i trzecia, z lodem. Willard miał wrażenie, że to nie on, lecz ktoś inny, władający jego ciałem, podchodzi do krzesła, odsuwa je i siada przy długim klasztorным stole. Młody człowiek postawił przed nim tacę, po czym wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

– Nie rozumiem, jak mogliście się mnie spodziewać.

– Nagle przypomniał sobie osiem spędzonych przy komputerze godzin i internetowe poszukiwania informacji o tym właśnie klubie. – ISP mojego komputera jest chronione.

– Nic nie jest chronione. – Mężczyzna odwrócił książkę i podsunął mu ją uprzejmie. – Jestem ciekaw, co może mi pan o tym powiedzieć.

Willard przyjrzał się ilustracji przedstawiającej litery i dziwne symbole. Litery rozpoznał jako łacińskie, symbole były mu nieznane. Nagle wzdłuż kręgosłupa przemknął mu deszcz podniecenia. Mógł się mylić, ale bardzo przypominały te z grawerunku, którego zdjęcia Oliver Liss pokazywał jemu i Peterowi Marksowi.

Spojrzał w niepokojące, błyszczące, niebieskie oczy gospodarza.

– Nie wiem, co to takiego.

– Panie Willard, czy zna pan historię?

– Chcę wierzyć, że tak.

– Więc wie pan, kim był król Salomon.

Willard wzruszył ramionami.

– Mam wrażenie, że lepiej niż przeciętny człowiek.

Siedzący naprzeciwko niego mężczyzna wyprostował się na krześle i splótł palce na płaskim brzuchu.

– Życie oraz czasy Salomona toną w powodzi mitów i legend. Jak to się dzieje w przypadku Biblii, najczęściej trudno jest oddzielić fakty od fikcji, a czasami to po prostu niemożliwe. Dlaczego? Dlatego, że uczniowie mieli interes w ukrywaniu prawdy. Z pewnością najfantastyczniejsze są opowieści o złocie Salomona. Jego ilość miała przekraczać wszelkie wyobrażenia. W naszych czasach historycy i archeolodzy rutynowo ignorują tego rodzaju opowieści jako przesadzone lub najzwyczajniej w świecie fałszywe. Bo przede wszystkim: skąd miałyby się wziąć? Z legendarnych kopalni króla Salomona? Nawet gdyby zapędził do pracy dziesięć tysięcy niewolników, nie zgromadziłby go aż tyle, nie podczas tak krótkiego życia. Więc teraz wierzy się jak w Ewangelię, że nie istnieje coś znanego pod nazwą „złota króla Salomona”.

Mężczyzna pochylił się i postukał w ilustrację w księdze zakrzywionym palcem.

– Ten łańcuch liter i symboli opowiada nam inną historię. Jest wskazówką... o nie, znacznie więcej niż wskazówką... jest kluczem. Tym, którzy umieją słuchać, mówi on, że złoto króla Salomona istnieje naprawdę.

Willard nie zdołał się opanować. Zachichotał.

– Czy coś, co pan właśnie usłyszał, wydało się panu zabawne?

– Proszę o wybaczenie, ale tak melodramatyczne przemowy trudno jest brać na poważnie.

– Cóż, może pan wyjść, kiedy tylko pan zechce. Nawet teraz, w tej chwili.

Gospodarz wyciągnął rękę po księgę. Obracał ją ku sobie, gdy Willard powstrzymał go gestem.

– Wolałbym raczej zostać. – Odchrząknął.

– Przeciwwstawił pan prawdę i fikcję. – Przerwał na krótką, ledwie uchwytną chwilę. – Być może lepiej by się nam rozmawiało, gdybym poznał pańskie imię.

– Benjamin El-Arian. Należę do grupki naukowców zatrudnianych przez Monition Club do zbadania, jaki wpływ na teraźniejszość może mieć historia starożytna.

– Jeszcze raz zmuszony jestem prosić o wybaczenie, ale nie potrafię nawet przez moment uwierzyć, że oto zupełnie nieoczekiwanie dostępuję zaszczytu rozmowy z prostym naukowcem, przypadkowo zaraz po tym, jak osiem godzin spędziłem w Internecie, bezskutecznie próbując znaleźć materiały źródłowe dotyczące zatrudniającej go instytucji. Nie, panie El-Arian, nie wątpię, że jest pan uczonym, wątpię jednak, czy tylko uczonym.

Mężczyzna przez chwilę przyglądał mu się z namysłem.

– Mam nieodparte wrażenie, że jest pan zbyt inteligentnym i przenikliwym człowiekiem, by rzeczywiście rozbawiło pana cokolwiek z tego, co powiedziałem. – Przewrócił stronę książki.

– Nie zapominajmy także, że to pan przyszedł do nas, prawdopodobnie w poszukiwaniu wiedzy. – W jego oczach błysnęła iskierka rozbawienia. – Czy może chciał się pan u nas zatrudnić w celu infiltracji, jak to pan uczynił z NSA?

– Dziwię się, że pan o tym wie. Nie jest to wiedza powszechnie dostępna.

– Panie Willard, całe pańskie życie jest nam doskonale znane. Także rola, jaką odgrywał pan w Treadstone.

Ach, więc nareszcie przechodzimy do rzeczy, pomyślał Willard. Czekał na dalsze słowa gospodarza z twarzą niewyrażającą niczego, ale obserwował El-Ariana, jakby był pajakiem tkwiącym nieruchomo w środku rozpiętej sieci.

– Wiem, że Treadstone to w tej chwili gorący temat, przynajmniej dla pana, więc pozwolę sobie powiedzieć wszystko, co o nim wiem. Proszę się nie krępować i poprawiać mnie, jeśli się pomylę. A więc Treadstone stworzył Alexander Conklin w ramach Centrali Wywiadu. Jego ukochane dziecko wydało tylko dwóch absolwentów, Leonida Danielewicza Arkadina i Jasona Bourne'a. Pan wskrzesił je teraz, pod egidą Olivera Lissa, lecz Liss niemal od samego początku zaczął wywierać na pana nacisk znacznie mocniejszy niż CI wywierała na pańskiego poprzednika.

El-Arian przerwał, dając Willardowi czas na zgłoszenie poprawek lub sprzeciw. Milczenie gościa skwitował skinieniem głowy.

– Oczywiście to tylko prolog. – Znów postukał palcem w leżącą przed nim księgę. – Ponieważ Liss polecił panu znaleźć złoty pierścień z takim oto grawerunkiem, być może

zainteresuje pana, że nie działa on jako czynnik niezależny.

Willard zeszywniał.

– Więc dla kogo ja właściwie pracuję?

Uśmiech El-Ariana sprawiał wrażenie nieco sardonicznego.

– No cóż, jak wszystko w tej niezwyklej sprawie, i to jest dość skomplikowane. Człowiekiem, który dostarcza mu funduszy i informacji, jest Jalal Essai.

– Nigdy o nim nie słyszałem.

– I nie ma powodu, dla którego powinien pan słyszeć. Jalal Essai nie obraca się w pańskich kręgach. Szczerze mówiąc, podobnie jak ja bardzo dba o to, by pozostać nieznanym ludziom takim jak pan. Jest członkiem Monition Club... czy też raczej był. Proszę zrozumieć, przez wiele lat ten szczególny pierścień uważano za zaginiony. Jest jedyny w swoim rodzaju, z powodów, które zaraz panu wyjaśnię.

El-Arian wstał, podszedł do jednego z regałów i przycisnął ukrytą dźwignię. Część półek obróciła się, ukazując zestaw do serwowania herbaty, na który składały się: żłobiony mosiężny czajnik, talerz wypełniony obsypanymi cukrem pudrem ciasteczkami i sześć szklanek, wąskich jak miarki do alkoholu, lecz mniej więcej trzy razy od nich wyższych. Postawił tacę na stoliku. Uroczyście napełnił szklaneczki, po czym gestem wskazał gościowi ciasteczka. Usiadł, rozkoszując się herbatą, słodką i miętową, pochodzącą niewątpliwie z Maroka.

– Wracając do spraw bieżących... – Gospodarz włożył do ust ciasteczko. – Grawerunek na pierścieniu powiedział nam jedno: złoto króla Salomona jest prawdą, nie fikcją. Zawiera on pewne ugaryckie symbole. Salomon zatrudniał wielu jasnowidzów. Niektórzy z nich byli sprawnymi alchemikami. Odkryli, że wypowiedzenie pewnych ugaryckich słów i zdań w połączeniu z praktykami o charakterze naukowym, które sami opracowali, może spowodować, że ołów zamieni się w złoto.

Willard siedział sztywno, był zdumiony. Nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać.

– Ołów w złoto? – spytał, gdy tylko odzyskał głos. – Tak dosłownie?

– Dosłownie. – El-Arian wziął kolejne ciasteczko. – Oto odpowiedź na zadane przeze mnie wcześniej pytanie pozornie bez odpowiedzi: Jak król Salomon zdołał zdobyć tyle złota w tak krótkim życiu?

Willard poruszył się na krześle.

– I tym się właśnie zajmujecie? Bajeczkami?

El-Arian znów się uśmiechnął swoim charakterystycznym, tajemniczym uśmiechem.

– Powiedziałem, że może pan wyjść w każdej chwili. A nie chce pan tego zrobić.

Tylko po to, by pokazać temu człowiekowi, że może się mylić, Willard poderwał się na równe nogi.

– A skąd pan wie, że nie chcę?

– Proste. Nawet jeśli jeszcze nie jest pan przekonany, sam pomysł uznał pan za fascynujący.

Willard odpowiedział na tajemniczy uśmiech gospodarza własnym tajemniczym uśmiechem.

– Nawet jeśli to tylko bajka.

Mężczyzna wstał, podszedł do regału i z ciemnego kąta, w którym przedtem stał serwis do herbaty, wyjął coś, co położył na stole przed gościem. Willard przez chwilę patrzył mu w oczy, a potem opuścił wzrok. Z blatu stołu wziął złotą monetę. Na pierwszy rzut oka

wydawała się stara. Na rewersie wygrawerowana była pentagramiczna gwiazda oraz, między jej ramionami, inskrypcja: GRAM, MA, TUM, TL, TRA. Pośrodku znajdował się trudny do odczytania symbol.

– Pentagramiczna gwiazda jest symbolem króla Salomona, choć różne źródła opisują ją jako gwiazdę sześcioramienną, krzyż z wygrawerowanymi hebrajskimi literami, a nawet celtycki splot. Lecz na pierścieniu, który nosił, wygrawerowana była pentagramiczna gwiazda, mająca, jak twierdzono, właściwości magiczne. Między innymi umożliwiała mu więzienie demonów i posługiwanie się językami zwierząt.

Willard roześmiał się głośno.

– Przecież pan sam nie wierzy w te bzdury!

– Oczywiście, że nie wierzę – przyznał El-Arian. – Ale z drugiej strony ta złota moneta była bez wątpienia częścią skarbu Salomona.

– Nie wiem, skąd ta pewność. Nie istnieje ekspert zdolny zweryfikować to twierdzenie.

Gospodarz znów dziwnie się uśmiechnął.

– Po pierwsze, zweryfikowaliśmy jej wiek. Ale odkryliśmy też coś znacznie ważniejszego. Proszę obrócić monetę.

Ku wielkiemu zdumieniu Willarda jej awers wyglądał zupełnie inaczej.

– Jak pan widzi – powiedział El-Arian – nie został on zrobiony ze złota, lecz z ołowiu. Nim uległ przemianie w złoto.

Rozdział 15

Moira wyjechała z Guadalajary wczesnym rankiem, zmierzając do serca krainy agawy niebieskiej w meksykańskim stanie Jalisco. Niebo nad jej głową było bezkresne, z zaledwie kilkoma strzępami chmur żeglującymi na oceanie jaskrawego błękitu. Słońce paliło, temperatura rosła błyskawicznie i jeszcze przed południem Moira zmuszona była zamknąć okna samochodu i włączyć klimatyzację. Kilkakrotnie traciła zasięg komórki, a bez GPS-u miała spore kłopoty z odnalezieniem Amatitan.

Wykorzystała ten czas, by ustawić rozmowę z Robertem Corellosem w odpowiedniej perspektywie. Dlaczego Corellos wyznał jej, że następcą brata uczynił Berengarię? Na litość boską, dlaczego powierzył kobiecie zarządzanie swoimi środkami utrzymania? Moira spotkała w życiu wielu podobnych do niego mężczyzn i żadnego z nich nie dało się nazwać „oświeconym”, przynajmniej jeśli chodzi o ich stosunek do kobiet. Pieprzyć się, gotować, rodzić dzieci, tego się po nich spodziewali. I niczego więcej.

Obracała w głowie te pytania całymi godzinami, aż wreszcie zobaczyła przed sobą Amatitan. Corellos żył myślą o szybkiej zemście. Dla pełnego temperamentu człowieka tej krwi zemsta jest sprawą honoru. Przyprawienie rogów kuzynowi nie wystarcza. Zmuszenie Narsica do prowadzenia życia takiego, jakiego najbardziej w świecie pragnął uniknąć... to dopiero zemsta!

Jeśli to rzeczywiście Berengaria odziedziczyła narkotykowy biznes, należy sądzić, że szarą eminencją jest jakiś mężczyzna. Kto? Tego Corellos nie zamierzał jej powiedzieć, a nie miała czym zahandlować, chyba że własnym ciałem, a tego nie zamierzała robić. Ale Berengaria to zupełnie inna historia. Być może jest piranią, ale Moira miała już do czynienia z piraniami. Jej podejrzenia wzbudziło przede wszystkim to, że Corellos nie przejmował się nie tylko ukradzionym laptopem, lecz także tym, że jego obecny użytkownik ma dostęp do listy klientów Gustava. Wyjaśnienie jest jedno: już robił interesy z tym człowiekiem.

Po obu stronach drogi aż po horyzont ciągnęły się pola agawy niebieskiej, na których harowali robotnicy, pocący się i stękający w wysiłku. Estancję Skydela miała tuż przed sobą.

Jeśli, czego była prawie pewna, laptop Essaia, ukradziony Gustawowi Morenowi, zawierał listę klientów barona narkotykowego, musiało być w nim coś więcej. Coś mającego ogromne znaczenie dla jej pracodawcy. Była skłonna założyć się, że nie chodzi mu wyłącznie o historię rodzinną, jak twierdził. Więc dlaczego Essai ją okłamał? Co ukrywa?

• • •

– Oliver Liss okłamywał pana od waszego pierwszego spotkania – powiedział Benjamin El-Arian.

– Wszyscy kłamią – odrzekł Willard. – To konieczne zło w życiu, jakie prowadzę.

Spacerowali po klasztorным ogrodzie w stylu arabskim, widocznym z okien biblioteki. Mury chroniły ich od wiatru. Słońce, świecące z wysoka, przyjemnie grzało im plecy.

– Więc godzi się pan z tym?

– Oczywiście, że nie. – Willard odetchnął głęboko. W ogrodzie rosła jakaś roślina, zioło, może przyprawa, której przyjemny zapach wydawał mu się znajomy. – Moje życie to wojna. Przesiewam kłamstwa, nauczyłem się też szukać ukrytej za nimi prawdy. A potem działałem.

– A więc wiedział pan z góry, że Liss nie ma zamiaru pozwolić panu prowadzić Treadstone, jak się panu podoba?

– Oczywiście. Ale jednocześnie potrzebowałem kogoś, kto obudziłby Treadstone ze śpiączki. Jego cele i moje zawsze miały się różnić, jednak nie miałem wyboru. Albo on, albo nikt.

– A teraz jest ktoś inny. Liss jest własnością Jalala Essaia. Jak wspominałem, Essai był członkiem Monition Club. Teraz działa samodzielnie.

– Co go do tego skłoniło?

– To samo, co skłoniło pana do pozostania w bibliotece.

– Złoto króla Salomona?

El-Arian skinął głową.

– Gdy dowiedział się, że pierścień króla Salomona nie zaginął, postanowił zdobyć cały jego skarb dla siebie.

Willard zatrzymał się, odwrócił, spojrzał na młodszego mężczyznę.

– A właściwie o jakiej ilości złota rozmawiamy?

– Trudno odpowiedzieć na to pytanie z rozsądnym prawdopodobieństwem, ale gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że jego wartość waha się między pięćdziesięcioma a stoma miliardami dolarów.

Willard gwizdnął cicho.

– Takiej pokusie nie oparłaby się armia. – Podrapał się po głowie. – Jedno pozostaje dla mnie zagadką, a mianowicie, dlaczego pan mi to wszystko powiedział?

– Bourne ma pierścień Salomona. A drugi z absolwentów Treadstone Leonid Arkadin wszedł w posiadanie pewnego laptopa. Kilka lat temu Alex Conklin wysłał Bourne'a, by ukraść ten laptop Essaiowi. Zrobił to, lecz z nieznanym nam powodów nie dostarczył szefowi. Szukaliśmy go przez wiele lat, jednak bezskutecznie, laptop jakby zapadł się pod ziemię. I nagle jeden z naszych kretów wysłał informację przez naszego agenta Marlona Etanę, że jest on w posiadaniu Arkadina. Jak go zdobył? Kolumbijski handlarz narkotyków o nazwisku Gustavo Moreno zginął w ataku na jego posiadłość mniej więcej miesiąc temu, ale nie znaleziono przy nim laptopa z zapisaną na dysku listą klientów. Arkadinowi w jakiś sposób udało się go przejąć i teraz używa go, by wcisnąć się w interesy Morena.

– To ten sam komputer, który ukradziono Jalalowi Essaiowi?

– Ten sam.

– Jakim cudem trafił do tego Morena?

El-Arian wzruszył ramionami.

– To tajemnica, którą dopiero musimy rozwiązać.

Willard zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– W każdym razie – powiedział w końcu – nie wyobrażam sobie, żeby interesowała pana lista handlarzy narkotyków. Co jest takiego niezwykłego w tym laptopie?

– Na twardym dysku jest zapisany ukryty plik, który stanowi klucz do zlokalizowania złota

króla Salomona.

Willard sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Chce mi pan powiedzieć, że Arkadin wie, gdzie szukać złota?

El-Arian pokręcił głową.

– Wątpię, czy w ogóle wie o istnieniu ukrytego pliku. Jak mówiłem, ukradł laptop dla listy klientów Morena. Lecz nawet gdyby o nim wiedział, nie mógłby go odczytać. Plik jest chroniony.

– Nic nie jest chronione. To pana słowa.

– Więc ten plik jest wyjątkiem. Nie zwalczy go żaden program rozszyfrowujący, żaden komputer na świecie. Istnieje tylko jeden sposób jego odczytania. Laptop został wyposażony w nietypowe gniazdo. Trzeba włożyć w nie pierścień Salomona. Wewnętrzny czytnik skanuje grawerunek, który otwiera plik.

– A więc Essai dysponował laptopem. A co z pierścieniem?

– Essai dysponował i jednym, i drugim.

– Nie widzę w tym ani odrobiny sensu. Dlaczego nie zdobył złota Salomona dla siebie?

– Ponieważ nawet otwarcie pliku nie pozwala na działanie według zawartych w nim informacji. – Przesuwając się ze słońca w cień, El-Arian nie tylko się oddalił, ale jakby zmałał. Sprawiało to takie wrażenie, jakby było ich dwóch, poruszających się niezależnie, niesynchronizowanych.

– Brakuje w nim części instrukcji.

– I Essai nie dysponuje tą częścią?

– Nie, nie dysponuje.

– A kto dysponuje?

– Można je znaleźć w specjalnym pokoju domu w Tineghir. To miasteczko w górach Atlasu, w Maroku.

Willard pokręcił głową.

– Wiem, że łatwo być mądrym po fakcie, ale dlaczego Essaiowi zaufano, dano mu na przechowanie pierścień i laptop?

– Jego rodzina jest najstarsza i najbardziej rygorystyczna religijnie. Panowało przekonanie, że to najlepszy wybór.

Zapadła cisza. Obaj rozmówcy zastanawiali się zapewne nad błędem popełnionym w ocenie Essaia.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego to wszystko zdarza się właśnie teraz. W którymś momencie musieliście dysponować zarówno laptopem, jak i pierścieniem. Dlaczego wtedy nie przejęliście złota?

– Zrobilibyśmy to – zapewnił Willarda El-Arian – gdybyśmy mogli. Ale nie mogliśmy. Brakowało nam właśnie tego fragmentu instrukcji. Po dziesiątkach lat poszukiwań jej kompletny zestaw odkryty został przypadkiem, po tym jak trzęsienie ziemi w Iranie odsłoniło archeologiczną wyspę skarbów o skali odpowiadającej być może Bibliotece Aleksandryjskiej przed pierwszym pożarem. Jeden ze zwojów zawierał informacje o dworze króla Salomona.

– A odkrycie nastąpiło po zaginięciu pierścienia i kradzieży laptopa?

– No właśnie. – El-Arian rozłożył ręce. – Jak pan widzi, nasze plany i pańskie są zbieżne. Pan chce skonfrontować Arkadina i Bourne'a, by raz na zawsze rozstrzygnąć, który z nich jest

wojownikiem idealnym. My chcemy pierścienia Salomona i laptop.

– Proszę mi wybaczyć, ale nie widzę związku.

– Próbowaliśmy odebrać laptop Arkadinowi. Nie udało nam się. Wysłani przeze mnie ludzie, których misją było zabicie go, zginęli. Zmęczyło mnie już wysyłanie na pewną śmierć tych, których dobrze znam. Podobnie jest z Centralą Wywiadu, która od lat usiłuje dopaść Bourne'a... i nie może pochwalić się sukcesem. Nie, jedynym sposobem zdobycia tego, czego chcemy, jest skonfrontowanie tych dwóch.

– Owszem, Bourne najprawdopodobniej będzie miał pierścień przy sobie, ale czy Arkadin będzie miał przy sobie laptop?

– Ostatnio nie spuszcza z niego oka.

Spacerowali wokół fontanny, z której pił wodę drozd, przyglądając im się nerwowo. Willard doskonale rozumiał jego zdenerwowanie.

– Nie wierzyłem Oliverowi Lissowi – powiedział – więc dlaczego mam uwierzyć panu?

– Nie spodziewam się, że mi pan uwierzy. Żeby dowieść szczerości intencji, mam następującą propozycję. Pan pomoże mi doprowadzić do spotkania Bourne'a i Arkadina oko w oko, czego w końcu i tak pan chce, a ja uwolnię pana od Olivera Lissa.

– Jak ma pan zamiar tego dokonać? Mówimy przecież o człowieku mającym całkiem sporą władzę.

– Proszę mi uwierzyć, że Oliver Liss nie ma pojęcia, co to jest władza. – Benjamin El-Arian odwrócił się i w jego oczach promienie słońca odbiły się iskrami, jak budzący się do życia silnik. – Może mi pan wierzyć, że zniknie z pana życia.

Willard pokręcił głową.

– Obawiam się, że obietnice nie wystarczą. Połowa z góry, reszta, gdy zorganizuję spotkanie Bourne'a i Arkadina.

El-Arian rozłożył ręce.

– Mówimy o ludziach, nie o pieniądzach.

– A to już pana problem. Puszczę piłkę w grę wtedy – i tylko wtedy – kiedy poprze pan słowa czynami.

El-Arian się uśmiechnął.

– A więc dobrze. Panu Lissowi należy się zmiana scenerii. Muszę tego dopilnować.

• • •

Hacjenda Skydelów stała pośrodku ogromnej estancii. Zbudowano ją w hiszpańskim stylu kolonialnym: tynkowane na biało ściany, rzeźbione drewniane okiennice, kraty z kutego żelaza, dach kryty zaokrąglonymi płytkami z terakoty. Moira zapukała do drzwi. Otworzyła je kobieta w stroju pokojówki i usłyszawszy nazwisko, poprowadziła ją przez wyłożony płytkami hol i duży, chłodny salon na kamienne patio, z którego rozciągał się widok na ziemny kort tenisowy, ogrody i basen. W basenie pływała kobieta, prawdopodobnie Berengaria Moreno. Dalej, jak okiem sięgnąć, widać było tylko wszechobecne niebieskie agawy.

Wdychając oszałamiający zapach starych, klasycznych odmian róż, prowadzona przez pokojówkę Moira podeszła do mężczyzny siedzącego za stołem z kutego żelaza i szkła, zastawionym pełnymi jedzenia meksykańskimi półmiskami z wypalanej gliny i dzbankami

czerwonej i białej sangrii, w której pływały kawałki świeżych owoców. Mężczyzna wstał na powitanie, uśmiechając się szeroko. Miał na sobie koszulę frotte z krótkimi rękawami i bermudy. Ciało miał szczupłe i owłosione.

– Barbaro! – krzyknął przez ramię. – Nasz gość przyjechał!

Uścisnął dłoń Moiry.

– Witam, señorita Trevor. Jestem Narsico Skydel. Miło mi panią spotkać.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odrzekła Moira.

– Proszę. – Narsico gestem wskazał jej krzesło. – Proszę, siadaj.

– Dziękuję. – Moira wybrała miejsce obok niego.

– Biała czy czerwona?

– Biała, proszę.

Mężczyzna napełnił dwie szklanki sangrią, wręczył jej jedną i też usiadł.

– Musisz być głodna po długiej podróży – powiedział, wskazując talerze. – Częstuj się.

Zdażyła napełnić talerz, nim Berengaria Moreno, znana tu jako Barbara Skydel, skończyła pływać. Wycierając się, szła w ich kierunku wyłożoną kamieniami ścieżką. Była kobietą wysoką i szczupłą. Mokre włosy miała związane w koński ogon. Moira wyobraziła ją sobie z Robertem Corellosem, zdradzającą męża. Barbara podeszła do nich na bosaka. Uścisk jej chłodnej dłoni był krótki, mocny, formalny.

– Rzecznik prasowy Narsica powiedział, że pracuje pani nad artykułem o tequili. – Głos miała niski jak na kobietę i dźwięczny, jakby we wczesnej młodości uczyła się śpiewu.

– To prawda. – Moira wypła łyk sangrii.

Narsico wykorzystał chwilę milczenia, by poinformować, że tequilę robi się z *pini* będącej sercem agawy. Barbara przerwała mu bezceremonialnie i spytała:

– Co to będzie za artykuł? – Usiadła przy stole naprzeciwko nich, co Moira uznała za znaczący wybór. Naturalne byłoby, gdyby usiadła obok męża.

– Przede wszystkim socjologiczny. Pochodzenie tequili, czym stała się dla Meksykanów, tego rodzaju rzeczy.

– Tego rodzaju rzeczy – powtórzyła kobieta. – Cóż, zacznijmy od tego, że tequila wcale nie jest meksykańskim napojem.

– Ale Meksykanie musieli znać cechy agawy.

– Oczywiście. – Barbara Skydel wzięła talerz i nałożyła na niego jedzenie z różnych półmisków. – Przez wieki *pinę* gotowano i sprzedawano jak zwykle słodczy. A potem Meksyk najechali Hiszpanie. Hiszpańscy franciszkanie osiedlili się w tej żyznej dolinie i w tysiąc pięćset trzydziestym roku założyli miasto Santiago de Tequila. To oni wpadli na pomysł fermentowania cukrów *pini*, tworząc mocny napój alkoholowy.

– A więc – podsumowała Moira – agawa to kolejny przykład kulturowych zmian narzuconych przez konkwistadorów?

– No cóż, w rzeczywistości było jeszcze gorzej. – Barbara oblizała palce, co natychmiast przypomniało Moirze Roberta Corellosa. – Konkwistadorzy tylko zabijali Meksykanów. Franciszkanie, którzy im towarzyszyli, systematycznie niszczyli meksykański sposób życia, zastępując go szczególnie okrutną hiszpańską odmianą katolicyzmu. Jeśli spojrzeć na to z etnicznego punktu widzenia, to hiszpański Kościół zniszczył kulturę Meksyku. – Uśmiechnęła się, pokazując zęby.

– Konkwistadorzy byli tylko żołnierzami, zależało im na złocie. Franciszkanie byli żołnierzami Chrystusa. Zależało im na meksykańskiej duszy.

Naląła sobie czerwonej jak krew sangrii. Jej mąż odchrząknął.

– Jak widzisz, moja żona stała się wielką obrończynią meksykańskiego stylu życia.

Mogło się wydawać, że ta dyskusja go żenuje, jakby Berengaria okazała złe maniery. Moira zastanawiała się, od kiedy jej przekonania stały się kością niezgody w małżeństwie. Czy mąż się z nią nie zgadzał, czy może sądził, że otwartość, z jaką wyraża opinię, może sprawić, że jego firma, zależąca przecież od humorów klienta, będzie miała złą prasę?

– Czy zawsze żywiłaś te przekonania, señora Skydel?

– Dorastając w Kolumbii, znałam tylko walkę mojego ludu przeciwko naszym dyktatorom, generałom i faszystowskiej armii.

Narsico westchnął teatralnie.

– Meksyk tak ją odmienił.

Uwagi Moiry nie umknęła wyraźnie słyszalna w jego głosie gorycz. Przyglądała się jedzącej Barbarze. Ten prosty fizyczny akt mówi o ludziach więcej, niż skłonni są przypuszczać. Jadła szybko, agresywnie, jakby odczuwała potrzebę, obrony pożywienia. Moira zastanawiała się nad jej wychowaniem. Jako jedyna dziewczynka przy stole była zapewne ostatnia, ona i jej matka. Była też bardzo skoncentrowana. Łatwo sobie wyobrazić, że dla niej jest to doświadczenie zmysłowe. To się mogło podobać, Moirze wydało się wręcz ujmujące. Jeszcze raz wróciła myślą do rozmowy z Corellosem, który nazwał Barbarę piranią.

W tym momencie odezwał się telefon komórkowy. Narsico wstał, przeprosił i odszedł na bok. Moira zauważyła, że Barbara nie patrzy, jak znika w wejściu do domu.

– Jak się już pewnie zdążyłaś zorientować – powiedziała – istnieje wiele sposobów opowiedzenia tej historii. – Mówiła swobodnie, pewnie i zawsze patrzyła na osobę, do której się zwracała. – Chcę mieć wpływ na to, jak ty ją opowiesz.

– Masz.

Barbara skinęła głową. Należała do szczęśliwych, doskonale zbudowanych kobiet o drobnych kościach, pięknej skórze i smukłym atletycznym ciele, doskonale znoszących upływ czasu. Sądząc z zachowania, można było wziąć ją za czterdziestolatkę, choć wyglądała na dobre pięć lat młodszą.

– Skąd jesteś? – zapytała Berengaria.

– Szczerze mówiąc, przyjechałam wprost z Bogoty.

– Moira wiedziała, że kusi los, ale brakowało jej czasu, nie mogła ciągnąć rozmowy w nieskończoność, poza tym chciała wykorzystać nieobecność Narsica. – Widziałam się z Robertem Corellosem, kuzynem twojego męża. – Nie spuszczała wzroku z Berengarii. – I, zapewne przypadkiem, twojego starego przyjaciela.

Twarz Berengarii Moreno spochmurniała.

– Nie wiem, o co ci chodzi. Nigdy nie spotkałam się z Corellosem twarzą w twarz.

– A usta w usta?

Przez długą niezręczną chwilę Barbara siedziała nieruchomo, a kiedy wreszcie otworzyła usta, nie była już piękna, i Moira pojęła, o czym mówił Corellos. Oto pirania, pomyślała.

Cichym, groźnym głosem gospodyni powiedziała:

– Mogłabym rzucić cię teraz na tyłek, pobić do nieprzytomności albo... – Ugryzła się w

język.

– Albo co? – prowokowała ją Moira. – Zabić? Cóż, obie wiemy, że twój mąż nie miałby odwagi tego zrobić.

Niespodziewanie Barbara Skydel wybuchnęła śmiechem.

– *Jesus mio*, potrafisz to sobie wyobrazić? – Równie nagle spoważniała. – Roberto nie powinien był opowiadać ci o tym, co zaszło między nami.

– To już musisz załatwić z nim sama.

Moira dostrzegła, że jej rozmówczyni patrzy na dom. Narsico, widoczny przez wychodzące na patio przeszkłone drzwi, chodził tam i z powrotem, cały czas rozmawiając przez telefon.

– Może pójdziemy na spacer? – zaproponowała Barbara, wstając.

Moira zawahała się, po czym dopiła sangrię i ruszyła za gospodynią. Skierowały się do ogrodu, po drodze mijając kort tenisowy. Oddaliły się od hacjendy i kiedy znalazły się w zagajniku zakurzonych karłowatych sosen, Barbara odwróciła się i powiedziała:

– Interesujesz mnie. Kim, do diabła, jesteś, bo z całą pewnością nie dziennikarką.

Moira w myślach przygotowała się na najgorsze.

– Dlaczego tak twierdzisz?

Barbara pochyliła się ku niej groźnie, tak jak robią to niektórzy mężczyźni.

– Roberto nigdy nie powiedziałby o nas dziennikarce. Nie powiedziałby ci ani jednego cholernego słowa.

– Cóż mogę powiedzieć? – Moira wzruszyła ramionami.

– Polubił mnie, to wszystko.

Barbara prychnęła.

– Roberto nie lubi nikogo, kocha tylko siebie. – Przechyliła głowę i nagle jej zachowanie zmieniło się z groźnego na uwodzicielskie. Zmusiła Moirę do cofnięcia się, oparcia plecami o drzewo i nawinęła na palec pasmo jej włosów.

– Pieprzyłaś się z nim? A przynajmniej zrobiłaś mu loda?

– Nawet mnie nie dotknął.

Grzbiet dłoni Berengarii delikatnie dotknął jej policzka. Czy próbuje ją uwieść, czy tylko namieszać jej w głowie?

– Jakoś do niego dotarłaś. Jak to zrobiłaś?

Moira się uśmiechnęła.

– Ukończyłam szkołę wdzięku z najlepszymi ocenami.

Długie palce muskały jej policzek i ucho lekko jak piórko.

– Co ten Roberto w tobie widział? Może sobie być brutalem i świnią, ale jego niewątpliwą siłą jest umiejętność oceny ludzi na pierwszy rzut oka. W pierwszej sekundzie spotkania. No więc nadal interesuje mnie, dlaczego tu przyjechałaś. – Barbara przycisnęła usta do policzka gościa.

– Nie po wywiad z moim mężem, to już ustaliliśmy.

Moira postanowiła wstrząsnąć tą kobietą, zdobyć przewagę w rozmowie.

– Przyjechałam zbadać przypadek zamordowania mężczyzny, którego ciało znaleziono na terenie waszej posiadłości kilka tygodni temu.

Barbara cofnęła się o krok.

– Jesteś z policji? Amerykańska policja interesuje się tym morderstwem?

– Nie policja. Reprezentuję instytucję federalną.

Wydawało się, że Berengaria Moreno kurczy się w oczach, jakby ktoś wypuścił z niej powietrze.

– Chryste – westchnęła. – To tak dotarłaś do Roberta.

– Berengario, chcę, żebyś pokazała mi, gdzie znaleziono ciało. Teraz. Natychmiast.

• • •

Bourne prowadził szarego opla Ottavia Morena dokładnie według wskazówek, które dał mu Coven. Siedzący obok niego Ottavio przygotowywał do użytku to, co od niego dostał. Obaj milczeli, słyhać było tylko szum opon na drodze i syk przemykających przeciwnym pasem samochodów, cichy, ledwie słyszalny w środku przy zamkniętych oknach.

– Dwadzieścia minut – przerwał milczenie Bourne.

– Będziemy gotowi – zapewnił go Ottavio, tak zajęty, że nawet nie podniósł głowy. – Nie obawiaj się.

Bourne się nie obawiał. Nie leżało to w jego naturze, a jeśli nawet kiedyś leżało, tę cechę wypalił trening w Treadstone. Myślał o Covenie, mężczyźnie będącym niewątpliwie agentem terenowym Centrali Wywiadu i noszącym przybrane nazwisko kodowe. Wiedział, że CI rutynowo ćwiczy i prowadzi kadrę agentów wyspecjalizowanych w mokrej robocie. Musiał wiedzieć wszystko o Covenie jeszcze przed spotkaniem, a była tylko jedna osoba, która mogła mu w tym pomóc. Wyjął komórkę. Wybrał numer, którego nie używał od bardzo dawna, a kiedy usłyszał znajomy głos, powiedział:

– Peter, mówi Jason Bourne.

• • •

Kiedy odezwał się telefon, Peter jechał właśnie na spotkanie z nadinspektorem Lloydem-Philipsem czekającym na niego w Vesper Club. Usłyszał głos Bourne'a i zadrzał.

– Gdzie ty, do diabła, jesteś?! – spytał. Siedział na tylnym siedzeniu jednej z wielkich londyńskich taksówek. Ze zdziwieniem stwierdził, że krzyczy.

– Potrzebuję twojej pomocy. Co wiesz o Covenie?

– Agencie terenowym Centrali Wywiadu?

– Nie powiedziałaś „naszym agencie terenowym”. Odszedłeś z Centrali, Peterze?

– Rzeczywiście, odszedłem. Niedawno. – Marks próbował wysiłkiem woli obniżyć szybkość bicia serca do mniej więcej znośnej. Musi się dowiedzieć, gdzie jest Bourne, i jak najszybciej do niego dotrzeć. – Przez Danzigera atmosfera zrobiła się tak toksyczna, że nie byłem już w stanie jej znieść. Powoli pozbywa się tych wszystkich, którzy są lojalni wobec Starego. – Zakaszał. Nagle zrobiło mu się zimno. Drżał.

– Wiesz, że wywalił Sorayę?

– Nie wiedziałem.

– Jasonie... chcę, żebyś wiedział... cholernie cieszę się, że żyjesz.

– Peterze, pytałem o Covenę.

– A tak. Coven. Jest niebezpieczny i ma sukcesy. Należy do najlepszych. – Marks zastanawiał się przez chwilę.

– Twardy, bezlitosny, prawdziwy sukinyś.
– Skrzywdziłby dziecko?
– Co?
– Słyszałeś, co powiedziałem.
– Jezu! Nie. Nie sądzę. Ma rodzinę i bardzo ją kocha. Trudno uwierzyć, nie? – Marks odetchnął głęboko. – Jasonie, co się, do cholery, dzieje?

– Nie mam teraz czasu...
– Posłuchaj. Wysłano mnie do Londynu, żebym sprawdził, co wydarzyło się w Vesper Club.
– Coś stało się tam wczoraj w nocy. Jeśli naprawdę jesteś w Londynie...
– Jestem. W tej chwili właśnie jadę do tego klubu.
– Więc siedziałeś w samolocie, kiedy ja byłem w klubie, i przestań pieprzyć. Dla kogo teraz pracujesz?

– Dla Willarda.
– Treadstone, co?
– Tak. Pracujemy dla tego samego...
– Nie pracuję ani dla Treadstone, ani dla Willarda. Prawdę mówiąc, kiedy znów go zobaczę, skręcę mu kark. Sprzedał mnie. Dlaczego to zrobił, Peterze?

– Nie wiem.
– Do widzenia.
– Czeka! Nie przerywaj połączenia! Muszę się z tobą zobaczyć!

Marks nie usłyszał odpowiedzi. Nagle uświadomił sobie, że strasznie pocą mu się ręce. O mało nie upuścił telefonu.

– Jasonie, proszę, to ważne.
– Nie zamierzasz spytać mnie, co robiłem w towarzystwie człowieka, który zadźgał Diega Hererę?

– Możesz mi powiedzieć, jeśli chcesz. Ale, szczerze mówiąc, nic mnie to nie obchodzi. Wiem, że musiałeś mieć dobry powód.

– Grzeczny chłopiec. Widać, że Willard dobrze cię szkoli.
– Oczywiście, masz rację. Willard to prawdziwa kupa gówna. Zrobi wszystko, żeby wskrzesić Treadstone.

– Dlaczego?
Marks się zawahał. Nigdy mu się nie podobało, że związał swój los z marzeniem Willarda, ale gdy to robił, nie miał innego wyjścia. No i oczywiście Stary rozegrał to perfekcyjnie. Wykorzystał jego chęć zemsty na Danzigerze i sterującym każdym jego ruchem lalkarzu Budzie Hallidayu. Wystarczyła obietnica, że znajdzie sposób na pociągnięcie Hallidaya w przepaść, a Danzigera wraz z nim, i był w domu. Ale popełnił błąd, każąc Marksowi zdradzić Bourne'a. Ponieważ sam lojalny był tylko wobec swojego ukochanego Treadstone, nie rozumiał lojalności wobec drugiego człowieka, a przede wszystkim nie rozumiał jej siły.

Peter odetchnął głęboko.
– Willard chce postawić cię twarzą w twarz z Arkadinem, żeby raz na zawsze przekonać się, który z programów szkolenia Treadstone był lepszy. Jeśli Arkadin cię zabije, wróci do pierwotnego programu, dokona drobnych zmian i zacznie szkolić rekrutów.

– A jeśli ja zabiję Arkadina?

– Powiedział, że wtedy będzie musiał cię przebadać, dowiedzieć się, jak zmieniła cię amnezja, by odpowiednio zmodyfikować programy szkolenia.

– Małpa w klatce?

– Obawiam się, że tak.

– Miałeś odstawić mnie do Waszyngtonu?

– Nie. To nie jest takie proste. Wyjaśnię ci wszystko, kiedy tylko się spotkamy.

– To możliwe, Peterze. Jeśli uznam, że mogę ci zaufać.

– Możesz. Możesz mi zaufać we wszystkim. – Marks wierzył w to, wierzył całym sercem. –

Kiedy możemy...

– Nie teraz. Teraz muszę dowiedzieć się wszystkiego, co wiesz o Covenie: szczegóły jego techniki, skłonności i do czego jest zdolny. W ostateczności.

• • •

Bourne słuchał Petera Marksa, zapamiętując wszystko, co mówił, a potem kazał mu się rozłączyć, ale pozostawać w gotowości. Musiał skoncentrować się na prowadzeniu, bo na drodze zrobiło się gęsto. Jego podświadomość ciągle jednak pracowała nad problemem: jak zneutralizować Covenę bez narażania Chrissie i Scarlett.

Zauważył tabliczkę z nazwą ulicy, George Street, i natychmiast przypomniało mu się popołudnie w Oksfordzie. A jednak nie myślał o Chrissie i profesorze Gilesie. Jakby to było wczoraj, przed oczami stanęło mu Centrum Studiów nad Dokumentami Starożytnymi przy oksfordzkiej George Street. Był wówczas Davidem Webbem, wizytującym profesorem językoznawstwa, ale gdzieś w głębi profesorskiej duszy Jason Bourne już domagał się swoich praw. Był przekonany, choć nie pojmował skąd to wie, że w tamtym czasie wciąż miał laptop ukradziony Jalalowi Essaiowi. Odwołał zajęcia na uniwersytecie, by rozpocząć studia w Centrum Studiów nad Dokumentami Starożytnymi. Czym się interesował, co badał? Tego już nie pamiętał, ale to, czego się dowiedział, skłoniło go do zatrzymania laptopa. Co z nim zrobił? Wiedza o tym tkwiła gdzieś, na granicy jego pamięci, jaskrawa jak krawędź słońca podczas zaćmienia. Prawie pamiętał.

Prawie.

Zbliżali się do zjazdu, który opisał Coven. Bourne musiał zapomnieć o astronomicznych skojarzeniach, bo oto przyszała pora konfrontacji z Covenem.

Rozdział 16

– Stąd musimy iść pieszo.

Barbara wysiadła z jeepa. Mimo nieustępliwego upału przebrała się w dzinsy, kowbojskie buty i kraciatą koszulę, której rękawy podwinęła do łokci.

Moira ruszyła za nią. Przejechały może półtora kilometra z hacjendy wprost na północ, ale nadal znajdowały się w granicach ogromnej estancii. W dali wznosiły się rudobłękitne góry, powietrze przesycił słodki, niemal alkoholowy zapach niebieskiej agawy. Słońce powoli zachodziło. Ziemia wydawała się piec od zmagazynowanego w ciągu dnia ciepła. Niebo na zachodzie jarzyło się białym światłem.

– Ai, Narsico twierdził, że to wszystko rozejdzie się po kościach, ale ja wiedziałam lepiej.

– Skąd wiedziałaś? – zainteresowała się Moira.

– Bo tak jest zawsze.

– Jak? – przycisnęła.

– Wszystko spieprzą drobiazgi.

– Morderstwo to dla ciebie drobiazg?

Barbara uniosła głowę w geście pogardy.

– Myślisz, że ktoś, kogo nawet nie znam, ma dla mnie jakieś znaczenie?

– Jak przebiegło śledztwo policyjne? – Przedzierały się właśnie przez niskie suche krzaki.

– Jak zwykle. – Barbara spojrzała w słońce, mrużąc oczy.

– Inspektor z Tequili zadał kilka pytań, ale nie udało się zidentyfikować zwłok i nikt nie zgłosił się po ciało. Przez kilka tygodni wypytywał nas i wszystkich naszych pracowników. Był nachalny i strasznie dokuczliwy. Powtarzał, że trup nie mógł znaleźć się na naszym terenie przypadkiem. Awansowaliśmy na pierwszych podejrzanych, ale on i jemu podobni są tak strasznie niekompetentni, że w końcu musiał dać sobie spokój z oszczerstwami i spekulacjami. No i potem był już spokój. O ile wiem, sprawa została zamknięta.

– Z meksykańskiej perspektywy może, ale dla nas to morderstwo ma szersze implikacje.

W głosie Barbary znów pojawiła się nuta troski, którą Moira już raz wychwyciła.

– Jakie na przykład?

– Po pierwsze, wiemy, że ofiara pracowała dla twojego nieżyjącego brata w jego siedzibie pod Mexico City, co oznacza, że istnieje związek między nią a tobą.

– On pracował dla Gustava? Nie miałam pojęcia. I nie mam nic wspólnego z prowadzonymi przez niego interesami.

– Naprawdę? Spałaś z jego dostawcą, samo to czyni twoje zapewnienie mało przekonującym.

– To i co innego?

Moira z rozmysłem zachowała milczenie. Wydawało się, że są już prawie na miejscu zbrodni, a przynajmniej w miejscu, gdzie znaleziono ciało. Barbara zwolniła i rozglądała się uważnie.

– To tutaj – powiedziała, zatrzymując się. Wskazała palcem miejsce może metr, może

trochę więcej przed nimi.

– To tutaj znaleziono ciało.

W tak suchym klimacie na ziemi pozostały ślady stóp, ale większość z nich policjanci zadeptali ciężkimi buciorami. Moira ostrożnie obeszła miejsce zbrodni, uważnie patrząc pod nogi.

– Nikt tu nie kopał, nikt nawet niczego nie ruszył. Nie wygląda to na przyzwoite badanie miejsca przestępstwa – zauważyła.

– Nie było żadnego badania. Przyprawdzili nas tu od razu, wszystko widzieliśmy – zapewniła ją Barbara.

Moira rozpoczęła oględziny. Założyła gumowe rękawiczki i zaczęła grzebać w ziemi, w pustynnym pyle, wśród krzaków. Jakimś tajemniczym sposobem Jalal Essai zdobył zdjęcia ofiary w momencie jej odnalezienia. Ciało spoczywało na lewym boku, z rękami skrępowanymi na plecach, podkurczonymi kolanami i pochyloną do przodu głową, co sugerowało, że ofiara w chwili śmierci klęczała. Szukał także dostępu do raportu z sekcji zwłok, ale zgubiono go gdzieś, w biurze koronera lub na policji. Jedni i drudzy wydawali się zresztą równie niekompetentni.

– Po drugie – powiedziała, nie dając Barbarze czasu na uspokojenie się – wiemy, że ofiara opuściła posiadłość twojego brata niespełna pół godziny przed śmiercią.

– Podniosła wzrok, spojrzała jej wprost w oczy. – Co oznacza, że wiedziała o ataku i znała jego szczegóły.

– Dlaczego tak na mnie parzysz? Przecież już ci powiedziałam, że nie mam nic wspólnego z interesami brata.

– Masz zamiar powtarzać to, póki ci nie uwierzę?

Barbara skrzyżowała ręce na piersiach.

– Niech cię diabli! Nie mam nic wspólnego ze śmiercią tego człowieka!

Moira szukała łuski. W zdjęciach uderzyło ją coś dziwnego. Było jasne, że tego człowieka zastrzelono z broni ręcznej małego kalibru. Kula w podstawę czaszki. Brak śladów prochu i oparzeń na skórze oraz na ubraniu dowodził, że strzał padł z pewnej odległości, choć przy tym kalibrze, jeśli chciało się zabić jednym strzałem, należało strzelać praktycznie z przyłożenia.

Czterdzieści minut przesiewania ziemi palcami nie przyniosło żadnych rezultatów, choć Moira zatoczyła już wokół miejsca znalezienia ciała pełny krąg o skalkulowanej średnicy. Oczywiście zawsze istniała możliwość, że ofiarę zabito gdzie indziej, a ciało przewieziono tutaj, ale bardzo w to wątpiła. Jeśli jej podejrzenia są słuszne, jeśli motywem była nie tylko chęć uciszenia zamordowanego, lecz także wplątania w morderstwo Skydelów, powinno do niego dojść na ich terenie.

Poza zbadanym kręgiem krzaki rosły gęściej. Moira przyklękała. Szukała wokół pni i korzeni. Słońce było coraz niżej, na chwilę zasłoniły je zagubione, cienkie, koronkowe chmurki. Krajobraz przesyciła niebieskoszara barwa fałszywego zmierzchu. Moira przykucnęła, czekała, aż znów zrobi się jaśniej. Słońce wyrzało wreszcie zza chmur, przeszło miejsce zbrodni jaskrawymi, złotoczerwonymi promieniami, padającymi na ziemię pod ostrym kątem. Długie cienie parodiowały to, co je rzucało, jak wychudzeni giganci.

Kątem oka dostrzegła jaskrawy błysk, momentalny niczym błysk diamentu, pojawiający się i znikający w jednej najkrótszej chwili. Wstała i szybkim krokiem podeszła do miejsca, w

którym się pojawił. Niczego nie znalazła. Mimo to zanurzyła palce w sypkiej ziemi i zaczęła ją przesiewać.

I nagle poczuła kształt wyłaniający się spod ziaren piasku. Ostrożnie wzięła przedmiot między kciuk i palec wskazujący i uniosła go do światła. Wywołała tym kolejny błysk, a jednocześnie dostrzegła na łusce czerwone znaki i jej serce zaczęło bić szybciej.

Barbara zrobiła krok w jej stronę.

– Znalazłaś coś? – spytała załamującym się głosem.

Moira wstała z klęczek.

– Nie przyszło ci do głowy, że ofiarę nie przypadkiem zabito właśnie na twojej estancii? – odpowiedziała pytaniem.

– Ale dlaczego?

– Mówiłam już, ten człowiek pracował dla twojego brata. Dla Gustava. Ale jego prawdziwym pracodawcą był ktoś inny. Prawdziwy pracodawca ostrzegł go o ataku, umożliwiając mu ucieczkę. Tylko po co było to ostrzeżenie, skoro parę godzin później i tak zginął?

Barbara tylko pokręciła głową.

– Uciekając z posiadłości Gustava, mężczyzna ten miał ze sobą należący do twojego brata laptop, w którym znajdowała się pełna lista jego narkotykowych kontaktów.

– Pracodawca go zabił? – spytała Berengaria, oblizując wargi.

– Tak.

– Zastrzelił go na terenie mojej estancii?

– Tak. Żeby wplątać w to morderstwo ciebie. Ocaliła cię niekompetencja miejscowej policji.

– Ale dlaczego morderca chciał wplątać mnie w morderstwo?

– Mogę się tylko domyślać – powiedziała Moira – ale moim zdaniem chciał się ciebie po prostu pozbyć.

Berengaria Moreno znów w milczeniu pokręciła głową.

– Zastanów się: człowiek mający w rękach laptop Gustava praktycznie kontroluje jego interesy – tłumaczyła Moira.

– Jego celem było wciśnięcie się w ten biznes przez likwidację tych wszystkich ludzi, którzy mogli stanąć mu na drodze.

– Nie wierzę ci – powiedziała Berengaria, patrząc na nią szeroko otwartymi, nieruchomymi oczami.

– I w tym momencie w naszych rozważaniach pojawia się ta oto łuska. – Moira pokazała trzymany w palcach przedmiot.

– Zdjęcia zrobione na miejscu zbrodni dowodzą, że ofiara zginęła od pojedynczego strzału w tył głowy. Dziwne jest to, że zabójca użył broni ręcznej małego kalibru, choć nie stał bezpośrednio za nią. Założyłam, że zastosował specjalną amunicję i jak się okazało, miałam rację.

Położyła łuskę na dłoni Barbary. Kobieta podniosła ją do światła i w blasku ostatnich słonecznych promieni dostrzegła dziwne znaki.

– Nie mogę ich odczytać.

– Bo to jest rosyjska cyrylica. Pocisk wyprodukowano w Tule. Bardzo specjalny,

wydrażony i wypełniony cyjankiem. Nic dziwnego, że jest nielegalny i można go dostać tylko w Rosji. Nie do znalezienia nawet w Internecie.

– To znaczy, że zabójca jest Rosjaninem?

– To człowiek, który wcisnął się siłą w interes Gustava.

– Moira skinęła głową. – Jasne, wiem, że ty tylko reprezentujesz biznes brata. Wiem też, że macie z Robertem nowego partnera.

To załatwiło sprawę. Twarz Barbary stężała.

– Niech to diabli, mówiłam Robertowi, że Leonid chce go dopaść, ale on tylko się śmiał.

– Leonid? – Serce Moiry zatrzepotało. – Leonid Arkadin jest twoim parterem?

– Roberto powiedział: „A co ty wiesz, jesteś kobietą, kobiety wiedzą tyle, ile im się powie, nic więcej”.

Moira złapała ją za ramię. Potrzebowała całej jej uwagi.

– Czy twoim partnerem jest Leonid Arkadin?

Barbara odwróciła głowę i przygryzła wargi.

– Milczysz? Czy to objaw lojalności, czy strachu?

Tym razem wargi Berengarii Moreno wykrzywiły się w lekkim uśmiechu.

– Nie jestem lojalna wobec nikogo. W tym biznesie to się nie opłaca. Kolejna prawda, której mój mąż nie chce przyjąć do wiadomości.

– A więc boisz się Arkadina?

Barbara odwróciła głowę. W jej oczach płonął ogień.

– Ten dupek wpięprzył się do interesu. Naciskał Roberta, na litość boską. Oświadczył mu, że ma listę klientów Gustava. Roberto powiedział, że teraz to są jego ludzie, a on na to, że to już przeszłość, że Gustavo nie żyje, on ma listę i ci klienci należą także do niego. Że najlepiej podzielić się zyskami po połowie, a jeśli Roberto się nie zgodzi, to on skontaktuje się z tymi ludźmi bez jego pozwolenia i dostarczy im towar z innych źródeł.

Roberto trzy razy próbował zabić Arkadina. Nie udało mu się. A potem Arkadin powiedział: „Pieprz się, klienci Gustava należą teraz do mnie, a ty znajdź sobie inne gołąbki do karmienia”. Byłam pewna, że Roberto dostanie zawału! Jakoś go uspokoiłam.

– Twojemu mężowi musiało się to strasznie spodobać.

– Mój mąż to mięczak. Nie muszę ci tego mówić, sama widziałaś. Ale jest mi oddany i dobrze służy moim celom.

– Wykonała ręką szeroki gest obejmujący całą estancję.

– Poza tym gdyby nie ja, jego biznes spłynąłby z wodą w kiblu. Słońce zniżało się nad górami na zachodzie. Ciemność zapadała bardzo szybko, jakby ktoś narzucił na niebo wielki koc.

– Wracajmy do samochodu – powiedziała Moira, biorąc od Barbary łuskę.

Po drodze do hacjendy Barbara powiedziała:

– Rozumiem, że znasz Arkadina?

Moira wiedziała o nim tyle, ile powiedział jej Bourne.

– Znam go wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że następnym krokiem będzie przejęcie wszystkich interesów Corellosów. To jego sposób działania.

Tak właśnie przejął handel bronią Nikołaja Jewsena w Chartumie. Znajdzie jakiś sposób, by podporządkować sobie strażnika z Modelo, uwięzionego żołnierza Rewolucyjnych Sił

Zbrojnych Kolumbii, lub może jedną z wielu kobiet Corellosa, mającą do niego dostęp, zapłaci wystarczająco dobrze, by chciwość okazała się silniejsza od strachu przed narkotykowym baronem. Moira pomyślała, że pewnego dnia, już wkrótce, Corellosa znajda martwego w jego luksusowej celi.

– Arkadin już jest wkurzony na Roberta i na mnie – przyznała Barbara, prowadząc jeepa po gruntowej drodze.

– Ostatni transport się opóźni. Trzeba naprawiać łódź, silnik się przegrzewa. Jeśli choć odrobinę znasz Meksyk, to wiesz, że tu napraw nie dokonuje się w kilka godzin czy nawet z dnia na dzień. Łódź będzie gotowa na jutro wieczorem, ale to go nie usatysfakcjonuje. – Ścisnęła kierownicę tak mocno, że pobieleły jej kostki palców.

– Rozumiem, Berengario, naprawdę doskonale cię rozumiem.

– Dlaczego traktujesz mnie bez szacunku? Jestem Barbarą od wielu lat.

– Szanuję twoje prawdziwe imię. Powinnaś z dumą przyjąć swoje prawdziwe imię, a nie je odrzucać.

Kobieta nie odpowiedziała, więc Moira mówiła dalej:

– Arkadin ma zasady. Żelazne zasady. Oboje z Robertem zapłacicie za to spóźnienie.

– Wiem – szepnęła Berengaria, patrząc przed siebie.

– Posłuchaj mnie, *mami*. Jeśli ten ładunek przypadkiem nie dotrze na miejsce, ktoś inny złoży wam wizytę. Ktoś nie tak miły jak ja i o wiele mniej tolerancyjny. Możesz być pewna, że Arkadin właśnie tak załatwia interesy i będzie je załatwiał.

Berengaria zastanawiała się nad jej słowami przez bardzo długą chwilę. Słońce zaszło za fioletowymi górami. Ciemne niebo wydawało się oczyszczone z chmur. Na wschodzie gromadziła się ciemność. Wydawało się, że jadą bardzo długo, jakby Berengaria zataczała samochodem koła, jakby z jakiegoś powodu nie chciała wrócić do domu. W końcu zahamowała, wrzuciła luz i spojrzała na Moirę.

– A jeśli ja chcę, żeby tak właśnie było? – powiedziała z naciskiem.

Moira odczuła wielką radość. Oto sytuacja się odwróciła i wreszcie ma tę kobietę na celowniku. Na jej gniew odpowiedziała uśmiechem.

– I w tym, jak sądzę, mogę ci pomóc.

Barbara wpatrywała się w nią z napięciem, które inną kobietę mogłoby wyprowadzić z równowagi. Ale Moira doskonale wiedziała, czego pragnie Berengaria, jakie będzie jej coś za coś. Podziwiała ją i współczuła jednocześnie. Silnej kobiecie trudno żyć w świecie mężczyzn, ale bycie silną w świecie Latynosów to zadanie godne Amazonki. A jednak daleko poza uczucia Moiry wykraczała świadomość, że ta kobieta jest jej ofiarą i że dostanie wszystko, czego od niej potrzebuje. Teraz wiedziała już, jak to dostać. Pochyliła się powoli, ujęła w dłonie jej głowę i pocałowała ją w usta.

Na jedną krótką chwilę Berengaria szeroko otworzyła oczy, a potem powoli je przymknęła. Jej wargi, nagle miękkie, rozchyliły się. Przyjęła pocałunek.

Moira odebrała tę chwilę poddania z triumfem i współczuciem jednocześnie. Czuła dotyk dłoni na karku, czuła, jak ta dłoń się zaciska, jak rośnie pożądanie. Odetchnęła w słodkie usta kobiety.

– Nazywam się Lloyd-Philips. Nadinspektor Lloyd-Philips.

Peter Marks przedstawił się, potrząsnął wyciągniętą na powitanie dłonią, bladą, bezwładną, o palcach pokrytych plamami nikotyny. Nadinspektor ubrany był w tani garnitur o postrzępionych rękawach marynarki, miał rude wąsy i przerzedzone włosy, które niegdyś były zapewne koloru wąsów, ale teraz wyglądały jak posypane popiołem. Próbował się uśmiechnąć, ale nie do końca mu się to udało. Zapewne atrofia nieużywanych mięśni, pomyślał Peter z ironią. Pokazał Lloydowi-Philipsowi fałszywe dokumenty zaświadczające, że pracuje dla prywatnej firmy pod auspicjami Departamentu Obrony, a więc ma za sobą potęgę Pentagonu.

Stali w pustym holu Vesper Club odgrodzonym przez policję jako miejsce zbrodni.

– Jeden z domniemych sprawców może być kimś, na kim szczególnie zależy moim przełożonym – powiedział Marks. – W związku z tym byłbym wdzięczny za możliwość przejrzania taśm z kamer ochrony z zeszłej nocy.

Lloyd-Philips wzruszył wątlymi ramionami.

– Czemu nie? Już drukujemy ulotki ze zdjęciami portretowymi tych dwóch mężczyzn, by rozdać je policji miejskiej i pracownikom stacji kolejowych, lotnisk i terminali portowych.

Poprowadził gościa przez puste kasyno, a następnie korytarzem do pokoi na zapleczu. W jednym z nich było wyraźnie cieplej niż w innych, czuło się też charakterystyczny zapach rozgrzanego sprzętu elektronicznego. Przed panelem wypełnionym dźwigienkami, przyciskami i zegarami, na którym stała też klawiatura komputera, siedział technik, a nad jego głową widać było dwa rzędy monitorów pokazujących różne części kasyna. Z tego co było na nich widać, wynikało, że w zasięgu kamer znajduje się dosłownie całe wnętrze, nawet toalety.

Lloyd-Philips nachylił się do ucha technika i powiedział coś cicho. Mężczyzna skinął głową i przebiegł palcami po klawiaturze komputera. Nadinspektor przypominał Marksowi bohatera typowego dla brytyjskiej literatury szpiegowskiej. Wyglądał, jakby cierpiał na lekką niestrawność i ciężki przypadek nudy, a świat oglądał tylko jednym okiem wpatrzonym w zbliżającą się emeryturę.

Obraz na jednym z monitorów nagle znikł, a potem pojawił się inny: bar w pokoju dla graczy o wysokie stawki. W kadr weszli Bourne oraz mężczyzna, w którym Marks rozpoznał nieżyjącego Diega Hererrę. Zatrzymali się, pozostając w zasięgu kamery. Rozmawiali, lecz stali częściowo odwróceny, więc nie sposób było rozpoznać, o czym mówią.

– Diego Herrera wszedł do Vesper Club wczoraj wieczorem, około dwudziestej pierwszej trzydziści pięć – powiedział Lloyd-Philips monotonnym, lekko znudzonym głosem. Wskazał palcem Bourne'a. – Towarzyszył mu ten człowiek. Adam Stone.

Nagranie trwało. Pojawił się kolejny mężczyzna, prawdopodobnie morderca. Podeszedł do Hererry i Bourne'a, i wtedy zrobiło się ciekawie.

Marks pochylił się w napięciu. Bourne wysunął się przed Hererrę, jakby zamierzał go bronić. A potem stało się coś dziwnego. Bourne zamienił kilka słów z trzecim mężczyzną i wyraźnie się rozluźnił. Zachowywał się tak, jakby go znał, a przecież jego pierwsza reakcja temu zaprzeczała. A jednak pozwolił mu podejść do baru i stanąć koło Hererry. Diego skulił się nagle i przewrócił. Bourne złapał mordercę za kłapy marynarki, co powinien był zrobić od razu. To, co nastąpiło potem, także wydawało się zaskakujące. Nie zatrzymał go. Nie pobił. Marks ze zdumieniem patrzył, jak obaj zgodnie masakrują trzech goryli, którzy wpadli z

główniej sali kasyna.

– I tak to wygląda – powiedział nadinspektor. – Sprawca użył jakiegoś rodzaju broni dźwiękowej wysokiej częstotliwości, pozbawiającej przytomności.

– Zidentyfikowaliście go?

– Jeszcze nie. Nie pojawił się w żadnej z naszych sieci elektronicznych.

– Vesper jest dostępny tylko dla członków klubu. Dyrektor musi wiedzieć, kim jest.

Lloyd-Philips spojrział na niego, nie kryjąc urazy.

– W aktach klubu podejrzany figuruje jako Vincenzo Mancuso. W Anglii mieszkają trzy osoby o tym nazwisku. Żadna z nich nie jest podobna do osobnika na taśmie. Mimo to wysłałem inspektorów, by przeprowadzili rozmowy z każdym z nich, choć tylko jeden mieszka w okolicy Londynu. Wszyscy przedstawili wiarygodne alibi.

– Badanie miejsca przestępstwa? – spytał Peter.

Nadinspektor wyglądał tak, jakby miał ochotę odgryźć mu głowę.

– Nie znaleźliśmy podejrzanych odcisków palców ani broni zabójcy. Na mój rozkaz w promieniu mili policjanci przeszukali pojemniki na śmieci, sprawdzili kanały ściekowe i tak dalej. Przeszukaliśmy nawet dno rzeki, choć po prawdzie nie mieliśmy żadnej nadziei na znalezienie narzędzia zbrodni.

– A ten drugi człowiek... Adam Stone?

– Znikł z powierzchni ziemi.

Co znaczy, że śledztwo zabrnęło w ślepy zaułek, pomyślał Marks. A tymczasem to poważna sprawa, przyciągająca uwagę mediów. Nic dziwnego, że facet jest nerwowo.

– Moich przełożonych interesuje właśnie Adam Stone – powiedział, odciągając Lloyda-Philipsa jak najdalej od siedzącego przy konsolce technika. – I oni, i ja uznalibyśmy za osobistą przysługę, gdyby jego twarz nie pojawiła się w biuletynie.

Lloyd-Philips się uśmiechnął. Nie był to miły widok. Zęby miał żółte od nikotyny, jak palce.

– Moją żelazną zasadą jest niewyświadczenie osobistych przysług. Dzięki temu ręce mam czyste i emeryturę nienaruszoną.

– Mimo to moi przełożeni z Departamentu Obrony z pewnością doceniliby, gdyby w tym wypadku uczynił pan wyjątek.

– Posłuchaj mnie, chłopcze. Zapraszając cię tu, wyświadczyłem wam przysługę. – Głos nadinspektora stał się nagle tak twardy jak jego wzrok. – Nic mnie nie obchodzą twoi przełożeni, nawet jeśli to pięciogwiazdkowi generałowie. Londyn to moje podwórko. Moi przełożeni – rząd Jej Królewskiej Mości – nie kochają was, kiedy tu do nas przyjeżdżacie i zachowujecie się, jakbyśmy byli bandą jakichś kolonialnych dzikusów. I mnie też ni cholery się to nie podoba.

– Uniósł palec w ostrzegawczym geście. – Słowo na uszko, chłopcze: spieprzaj, nim się naprawdę wkurzę i zdecyduję, że warto cię zatrzymać jako ważnego świadka.

– Dziękuję za uprzejmość, panie nadinspektorze – powiedział Marks sucho. – Nim odejdę, czy mogę prosić o zdjęcia Stone'a i tego niezidentyfikowanego mężczyzny?

– Jestem skłonny zrobić dużo, żebyś przestał mi deptać po odciskach. – Lloyd-Philips trącił w ramię technika, który poprosił o numer telefonu Amerykanina, po czym wcisnął guzik na konsolce. Po chwili na wyświetlaczu komórki pojawił się kadr przedstawiający stojących obok siebie mężczyzn.

– W porządku. – Nadinspektor spojrział na Marksa z obrzydzeniem. – Byłoby lepiej dla ciebie, gdybym nie musiał żałować tego, co zrobiłem. Trzymaj się z daleka ode mnie i od mojej sprawy, a nic ci się nie stanie.

Marks wyszedł na ulicę. Słońce dzielnie próbowało przedrzeć się przez ciężkie zwały chmur, miasto wypełniał ciągły, nieprzerwany, ogłuszający hałas. Sprawdził zdjęcie na palmtopie, a potem wybrał numer Willarda. Odezwała się poczta głosowa. Willard wyłączył telefon, co, biorąc pod uwagę godzinę w Waszyngtonie, wydawało się niezwykle. Nagrał szczegółowy raport, a także poprosił o sprawdzenie mężczyzny na zdjęciu, zabójcy Hererry, w banku danych Treadstone, opartym na bałaganiarskich, jak to zwykle w agencjach rządowych, bazach Agencji Wywiadu, Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, FBI, Departamentu Obrony i kilku innych, do których Willard miał dostęp.

Od detektywa inspektora, dyżurującego przed wejściem do klubu, po wylegitymowaniu się spreparowanym dowodem tożsamości, Marks dostał domowy adres Hererry. Był na miejscu czterdzieści minut później, dokładnie w chwili, gdy srebrny bentley, limuzyna, wyjechał z za rogu i zatrzymał się przed domem, w którym mieszkał Diego. Wysiadł z niego kierowca w liberii, rażnym krokiem obszedł lśniąca maskę i otworzył tylne drzwiczki wysokiemu, godnemu mężczyźnie, wyglądającemu jak postarzona kopia denata. Ten poważny człowiek wszedł po schodach ciężkim krokiem i włożył klucz w otwór zamka. Peter Marks podszedł do niego szybko i nim mężczyzna zdołał zamknąć za sobą drzwi, powiedział:

– Panie Herrera, nazywam się Peter Marks. – Starszy pan się odwrócił. – Współczuję panu z powodu śmierci syna.

Herrera milczał. Był przystojnym mężczyzną, z lwią grzywą siwych włosów, długich, opadających na kołnierz, we współczesnym katalońskim stylu. Pod opalenizną charakterystyczną dla kogoś, kto dużo czasu spędza na świeżym powietrzu, był jednak bardzo blady.

– Znał pan mojego syna, señor Marks?

– Obawiam się, że nie miałem przyjemności.

Herrera skinął głową, jakby z roztargnieniem.

– Rzeczywiście, wygląda na to, że Diego miał niewielu przyjaciół wśród mężczyzn. – Skrzywił lekko wargi w parodii uśmiechu. – Za to bardzo dużo przyjaciółek.

Marks podszedł bliżej i pokazał dokumenty.

– Proszę pana, wiem, że te chwile są dla pana ciężkie i z góry przepraszam za zakłócanie spokoju, ale musimy porozmawiać.

Herrera przyglądał się Peterowi, jakby nie usłyszał ani jednego słowa. Po chwili oprzytomniał.

– Wie pan coś o śmierci mojego syna?

– Ta rozmowa nie powinna toczyć się na ulicy, señor.

– Och, oczywiście, oczywiście. – Herrera pokręcił głową.

– Proszę mi wybaczyć brak manier, señor Marks. – Wykonał zapraszający gest. Miał duże, twarde, kwadratowe dłonie wykwalifikowanego robotnika. – Proszę wejść. Porozmawiamy w domu.

Peter Marks wszedł po schodach do domu zajmowanego przez nieżyjącego Diega Hererę. Jego ojciec postępował tuż za nim. Trzasnęły zamykane drzwi i nagle na gardle poczuł dotyk

chłodnego ostrza noża. Ojciec Diega trzymał go w zaskakująco mocnym uścisku.

– A teraz, sukinsynu – syknął – opowiesz mi wszystko, co wiesz o zamordowaniu mojego syna, albo, na łzy Chrystusa, poderżnę ci gardło od ucha do ucha.

Rozdział 17

Bud Halliday siedział na wygodnej półkolistej ławie w White Knights Lounge, leżącym na uboczu Maryland barze, do którego często przyjeżdżał, by choć trochę się zrelaksować. Trzymając w ręku szklaneczkę bourbona z wodą próbował oczyścić umysł ze śmieci, których podczas tego długiego, męczącego dnia nagromadziło się w niej aż za dużo.

Jego rodzice byli filadelfijczykami o uznanej pozycji; ich rodziny za przodków miały jedna Alexandra Hamiltona, druga Johna Adamsa. Zakochali się w sobie w bardzo wczesnej młodości, a potem, zgodnie z duchem długiej tradycji, rozwiedli. Matka, nestorka eleganckiego towarzystwa, mieszkała w Newport, na Rhode Island. Ojciec, nałogowy palacz cierpiący na rozedmę płuc, włączył się po rodzinnej posiadłości w towarzystwie nieodłącznej butli z tlenem i dwóch zatrudnionych na pełny etat haitańskich pielęgniarek. Bud w ogóle się z nimi nie kontaktował. Pokazał plecy hermetycznemu, choć lśniącemu złotym blaskiem światu najwyższych towarzyskich sfer w wieku osiemnastu lat, zaciągając się, ku nieopisanemu przerażeniu rodziców, do piechoty morskiej. Podczas przeszkolenia na obozie dla rekrutów wyobrażał sobie, jak matka mdleje na tę wiadomość. Sprawiało mu to ogromną satysfakcję. Ojciec prawdopodobnie przegryzł na pół cygaro, obwinił żonę za kolejne rozczarowanie, a potem pojechał do swojej firmy ubezpieczeniowej, którą rządził żelazną ręką, odnosząc dzięki temu olśniewający sukces.

Halliday zorientował się nagle, że dopił bourbona. Wezwał kelnera i zamówił kolejnego.

Bliźniaczki pojawiły się wraz z drinkiem. Zamówił dla nich czekoladowe martini. Usiadły po obu jego stronach. Jedna ubrana była na zielono, druga na niebiesko; na zielono ruda, na niebiesko blondynka, przynajmniej dziś. Michelle i Mandy już takie były. Lubiły podkreślać, że są swoim echem, a jednocześnie zaznaczały różnice. Obie były wysokie, miały prawie metr osiemdziesiąt i figury równie zmysłowe jak usta. Sprawdziłyby się doskonale jako modelki, zapewne nawet aktorki, biorąc pod uwagę, jak doskonale odgrywały swoje role, ale by uprawiać te zawody, brakowało im zarówno próżności, jak i beztroskiej lekkomyślności. Michelle specjalizowała się w matematyce teoretycznej, Mandy w mikrobiologii. Mandy pracowała w CDC, Centrum Zwalczenia i Zapobiegania Chorób, Michelle, która mogła przebierać w ofertach najlepszych uniwersytetów, zatrudniła się w DARPA, Agencji Zaawansowanych Obronnych Projektów Badawczych Departamentu Obrony Stanów Zjednoczonych, opracowując nowe algorytmy kryptograficzne zdolne oszukać najszybsze komputery, nawet połączone w sieć. Ostatni z nich używał technik heurystycznych, to znaczy reagował na każdą próbę jego złamania, jakby był jednostką samouczącą, doskonalącą się w locie. Do odczytania go potrzebny był fizyczny klucz.

Jeszcze nigdy tak wspaniałe umysły nie zostały zamknięte w tak doskonałych, emanujących erotyzmem ciałach, pomyślał Halliday, czekając, aż kelner postawi przed nimi martini. Jednocześnie unieśli szklanki, wznosząc milczący toast za kolejną wspólną noc. Dziewczyny kochały seks, czekoladę i seks, w tej kolejności, i z rozkoszą uprawiały go w wolnych chwilach. Ale to nie była jeszcze ich wolna chwila.

– Co z pierścieniem? – spytał Michelle.
– Wiedziałałabym o nim więcej, gdybym mogła go obejrzeć, a nie polegać wyłącznie na zdjęciach.

– Nie mam pierścienia, więc możesz polegać tylko na nich.

I co?

Michelle wypła łyk martini, jakby potrzebowała czasu na uporządkowanie myśli, by ubrać je w słowa zrozumiałe dla kogoś, kto przy niej i jej siostrze jest umysłowym karłem.

– Wydaje się bardzo prawdopodobne, że jest on fizycznym kluczem.

Halliday natychmiast się tym zainteresował. Czekał na coś takiego.

– Co znaczy...

– Dokładnie to, co powiedziałam. Może to przez algorytm, nad którym właśnie pracuję, ale te dziwne znaki po wewnętrznej stronie wydają mi się podobne do ząbków klucza.

Widząc, że Halliday przygląda jej się tępo, zmieniła taktykę. Wyjęła z torebki flamaster i przyciągnęła do siebie serwetkę.

– Tak wygląda zwykły klucz, powiedzmy do drzwi. Każdy ma ząbki i przerwy między ząbkami właściwe tylko dla niego. Najpopularniejsze zamki mają dwanaście bolców, sześć górnych i sześć dolnych. Kiedy wkładasz klucz, ząbki unoszą górne bolce, umożliwiając obrót rygła. Drzwi się otwierają. Teraz wyobraź sobie, że każdy ideogram na pierścieniu jest tak naprawdę wycięciem między ząbkami. Wystarczy wsunąć go we właściwy zamek i... Sezamie, otwórz się.

– Czy to możliwe?

– Wszystko jest możliwe, i ty doskonale o tym wiesz.

Halliday przyglądał się rysunkowi nagle ożywiony. Teoria dziewczyny wymagała wyobraźni, ale jeśli kogoś można nazwać geniuszem, to z pewnością ją. Nie mógł sobie pozwolić na odrzucenie z góry jej teorii, choćby na pierwszy rzut oka wydawała się fantastyczna i pełna dziur.

– Co mamy w programie na dziś? – spytała Mandy, którą temat najwyraźniej nudził.

– Jestem głodna. – Michelle schowała flamaster. – Przez cały dzień nic nie jadłam. Z wyjątkiem snickersa. Znalazłam go w szufladzie. Leżał tak długo, że czekolada zrobiła się biała.

– Dopij drinka – zaproponował Halliday.

Dziewczyna wyduła wargi. Udawała urażoną.

– Wiesz, jaka jestem, kiedy piję na pusty żołądek.

Bud Halliday zachichotał.

– Coś mi o tym mówiono.

– Słyszałeś prawdę, choć może nie całą – powiedziała Mandy i zupełnie innym głosem, głębokim i wibrującym, głosem prawdziwej piosenkarki zaśpiewała: *Ta mała dziewczynka, jak polubi pieprzyć.*

– Podczas gdy ta – dodała Michelle również śpiewnie – już lubi.

Bliźniaczki odrzuciły głowy w tym samym momencie i jednocześnie się zaśmiały. Obserwujący je Halliday odwracał głowę to w lewo, to w prawo, aż rozboleła go jak przy obserwowaniu meczu tenisa ze zbyt bliskiej odległości.

– Och, jesteś już – ucieszyła się Mandy na widok podchodzącego do nich mężczyzny.

– Już myślałyśmy, że nie przyjdiesz – dodała Michelle.

Haliday nieznacznie przykrył dłonią serwetkę i schował ją do kieszeni. Bliźniaczki dostrzegły to, ale nic nie powiedziały, tylko uśmiechały się do nowo przybyłego.

– Na ziemi nie ma siły... – Jalal Essai wślizgnął się za stół. Pocałował Mandy w szyję, w miejsce, w które tak bardzo lubiła być całowana – ...zdolnej mnie powstrzymać od spotkania z wami.

• • •

Peter Marks stał nieruchomo jak posąg. Mężczyzna za nim pachniał tytoniem i gniewem. Nóż, który trzymał tuż przy jego szyi, był ostry jak brzytwa. Peter miał w tych sprawach spore doświadczenie i wiedział, że Herrera jest zdolny poderżnąć mu gardło.

– Señor Herrera – powiedział – nie ma potrzeby stosować tak melodramatycznych środków. Chętnie powiem panu wszystko, co wiem. Tylko spokojnie, nie traćmy głowy.

– Jestem bardzo spokojny – powiedział Herrera poważnie.

– W porządku. – Peter spróbował przełknąć ślinę. Gardło miał suche jak wiór. – Od razu przyznam, że nie jest tego dużo.

– Z pewnością więcej, niż zechciał zdradzić ten Lloyd-Dupek. Powiedział, że mam zająć się załatwianiem formalności związanych z transportem zwłok do Hiszpanii, a i tak nie będzie to możliwe, póki nie skończy z nimi policyjny patolog.

Teraz łatwiej było zrozumieć, dlaczego Herrera dostał ataku wściekłości.

– Zgadza się, pan nadinspektor to fiut. – Marks przełknął ślinę. – Ale on w tej chwili nic nie znaczy. Prawie tak bardzo jak pan chcę się dowiedzieć, dlaczego Diego został zamordowany. I proszę uwierzyć, że jestem zdecydowany poznać tę tajemnicę. – Powiedział prawdę; żeby znaleźć Bourne'a, musiał się dowiedzieć, co właściwie zdarzyło się zeszłej nocy w Vesper Club i dlaczego Bourne wyszedł z mordercą, jakby byli przyjaciółmi. Coś się tu zdecydowanie nie zgadzało.

Czuł, jak stojący za jego plecami Herrera ojciec oddycha spokojnie i głęboko. Nie była to dobra nowina, najwyraźniej ten starszy pan mimo żalu nad sobą panował. Tym samym okazywał, że ma silną osobowość, że każda próba okantowania go to samobójstwo.

– Mogę zrobić jedno: pokazać panu zdjęcie mordercy – dodał.

Nóż drżał przez chwilę w wielkiej garści mężczyzny, a potem się cofnął. Marks odsunął się od niego i odwrócił.

– Señor Herrera, proszę uwierzyć, że rozumiem i podzielam pański smutek.

– Ma pan syna, señor Marks?

– Nie. Nie jestem żonaty.

– Więc nic pan nie rozumie.

– W wieku dwunastu lat straciłem siostrę. O dwa lata młodszą. Byłem tak wściekły, że chciałem zniszczyć cały świat.

Starszy mężczyzna przyglądał mu się przez chwilę, a potem stwierdził:

– Więc jednak pan rozumie.

Zaprosił Marksa do salonu. Peter usiadł na kanapie, ale gospodarz stał, przyglądając się zdjęciom na półce nad kominkiem: syna i zapewne jego licznych przyjaciółek. Przez długą

chwile nic się nie działo, Herrera milczał, a gość nie chciał przeszkadzać mu w tym samotnym przeżywaniu żalu. A potem gospodarz odwrócił się i podszedł do Petera.

– Teraz obejrzę zdjęcie – powiedział.

Marks wyjął z kieszeni palmtop, przewinął menu do multimediiów i wywołał zdjęcie otrzymane przez technika w klubie.

– To ten po lewej – powiedział, wskazując niezidentyfikowanego mężczyznę.

Herrera wziął od niego urządzenie. Przyglądał się fotografii tak długo, jakby obrócił się w kamień.

– A ten drugi? – spytał w końcu.

Marks wzruszył ramionami.

– Przypadkowy człowiek bez znaczenia.

– Niech pan coś o nim powie. Wygląda znajomo.

– Lloyd-Dupek powiedział mi, że nazywa się Adam Smith.

– Doprawdy? – Na ułamek sekundy twarz Hererry przybrała dziwny wyraz.

Marks znowu wskazał ekran niecierpliwym gestem.

– Señor, to ważne. Czy zna pan tego człowieka po lewej?

Herrera oddał mu laptop, podszedł do barku i nalał sobie brandy. Wypił połowę jednym łykiem, z trudem się opanował i odstawił kieliszek.

– Chryste wszechmogący – szepnął.

Peter wstał i podszedł do niego.

– Señor, pomogę, jeśli tylko pan zechce.

– Jak? – Starszy mężczyzna zmierzył go spojrzeniem od stóp do głów. – Jak możesz mi pomóc?

– Jestem dobry w znajdowaniu ludzi.

– Możesz znaleźć mordercę mojego syna?

– Przy odrobinie pomocy, tak. Jestem pewny, że mogę go znaleźć.

Wydawało się, że Herrera rozważyła tę propozycję, a potem najwyraźniej podjął decyzję, bo skinął głową.

– Mężczyzna po lewej nazywa się Ottavio Moreno.

– Pan go zna?

– Och tak, señor, znam go bardzo dobrze. Od małego. W Maroku nosiłem go na rękach. – Herrera wziął kieliszek i wypił brandy do dna. Jego błękitne oczy poszarzały ze smutku, ale Marks wyczuwał też złość.

– Chce pan mi powiedzieć, że Ottavio jest przyrodnim bratem Gustava Morena, zamordowanego niedawno kolumbijskiego barona narkotykowego?

– Chcę powiedzieć, że jest moim chrzestnym synem.

– Gniew pojawiał się stopniowo w całej postaci starszego mężczyzny, w jego zaciśniętych szczękach, drżących dłoniach.

– Stąd wiem, że on nie mógł zabić mojego Diega.

• • •

Moira i Berengaria Moreno leżały, mocno do siebie przytulone, w luksusowej kabinie,

przesyconej zapachem piżma, oleju rybnego i morza. Jacht kołysał się łagodnie, jakby pragnął pomóc im pogрузić się w głębokim śnie. Obie wiedziały, że sen jest wykluczony, choć każda na swój sposób. Za dwadzieścia minut jacht miał wypłynąć z doku. Obie wstały powoli, zmęczone miłością, nasycone aż po granicę, za którą ich zmysły nie były już w stanie odbierać wrażeń; obie czuły się tak, jakby nie należały do tego świata. Ubrały się bez słowa i po chwili wyszły na pokład. Aksamitne niebo otaczało je niczym rozpostartymi opiekuńczymi dłońmi.

Po krótkiej rozmowie z kapitanem Berengaria skinęła głową na przyjaciółkę.

– Zakończyli wszystkie próby – oznajmiła. – Silnik jest w porządku, nie powinno być żadnych dodatkowych opóźnień.

– Miejmy nadzieję, że nie będzie.

Na powierzchni wody tańczyły iskry odbitego światła gwiazd. Berengaria i Moira skorzystały z należącego do Narsica jednosilnikowego lancaira IV-P. Lądowały na lotnisku międzynarodowym Lic. Gustavo Diaz Ordaz, na wybrzeżu Pacyfiku, a stamtąd tylko krótka podróż samochodem dzieliła je od rajy surferów, Sayulity, gdzie czekał jacht. Cała wyprawa trwała półtorej godziny.

Moira stała ramię w ramię z Berengarią. Załoga, zajęta przygotowaniami do rejsu, nie zwracała na nie uwagi.

– Skontaktowałaś się z Arkadinem?

Przyjaciółka skinęła głową.

– Rozmawiałam z nim, kiedy się kąpałaś. Ma wypłynąć na spotkanie z jachtem przed północą. Ponieważ się spóźnimy, będzie oczywiście chciał wejść na pokład i osobiście sprawdzić ładunek. Musisz być na to przygotowana.

– Nie obawiaj się. – Moira delikatnie musnęła jej ramię, wywołując u przyjaciółki dreszcz. – Kto jest odbiorcą?

Berengaria objęła ją w talii i przytuliła.

– Tego naprawdę nie musisz wiedzieć.

Moira milczała, więc oparła się o nią z westchnieniem.

– Mój Boże, ten świat jest pieprzoną jaskinią węży. Do diabła z mężczyznami, do diabła z nimi wszystkimi!

Berengaria pachniała egzotycznymi przyprawami i morską wodą. Moirze podobała się ta mieszanka. Uwiedzenie kobiety okazało się intrygującym doświadczeniem. Nie odpychającym, bynajmniej, po prostu wykonywała swoją pracę, choć w inny sposób, będący wyzwaniem w każdym sensie tego słowa. Seks był ważną częścią jej życia, ale poza miłym, lecz niepozbawionym następstw eksperymentem na studiach zawsze była heteroseksualna. Berengaria okazała się potencjalnie niebezpieczna, co ją w niej pociągało. Seks z nią był bardziej satysfakcjonujący niż z wieloma mężczyznami, którzy przeszli przez łóżko Moiry. W odróżnieniu od nich, i od Bourne'a, ta kobieta wiedziała, kiedy być gwałtowną, a kiedy czułą, nie spieszyła się też, lecz cierpliwie szukała tajemnych miejsc, przez które docierała do punktów rozkoszy kochanki, aż ta drżała raz za razem pod wpływem pieśczoły.

Nie było też nic dziwnego w tym, że Roberto Corellos mylił się, nazywając ją piranią. Ta kobieta była jednocześnie twarda i wrażliwa, była skomplikowana w sposób, na który mężczyźni jego rodzaju pozostają ślepi, głusi i głupi. Szła swoją drogą w świecie mężczyzn, kierowała biznesem męża, rozwinęła go, nie przebijając w środkach, a jednak brata bała się

tak, jak teraz Corellosa. I Leonida Arkadina. Moira przekonała się w najbardziej bezpośredni sposób, że Berengaria nie ma złudzeń: jej siła jest niczym przy ich sile. Oni cieszą się szacunkiem swych żołnierzy, ona nie ma na niego szans, niezależnie od tego, jak bardzo się starała i jak bardzo zasługiwała na szacunek.

Moirę znów ogarnęły sprzeczne uczucia, podziwu i żalu. Gdy tylko odpłynie na spotkanie z Arkadinem, los Berengarii będzie w najlepszym razie niepewny: została złapana w pułapkę niszczącej mocy Corellosa i godnej pogardy słabości Narsica.

To dlatego pocałowała ją w usta i mocno przytuliła. Miał to być ostatni raz, należała jej się pociecha, choćby złudna, choćby ulotna.

Dotknęła jej ucha czubkiem języka.

– Kto jest klientem?

Berengaria zadrżała i mocniej przytuliła Moirę. Dopiero po długiej chwili odchyliła się, by móc spojrzeć kochance w oczy.

– Ten klient Gustava należy do najstarszych i najlepszych. Dlatego opóźnienie wywołało tyle problemów.

Jej oczy błyszczały łzami i Moira zrozumiała, że przyjaciółka wie, iż dzisiejsza noc była dla nich jednocześnie początkiem i końcem. Ta dziwna kobieta rzeczywiście nie miała złudzeń. Moira już czuła, że coś straci, jak wtedy, gdy ocean lub kontynent rozdziela ludzi, którzy kiedyś trzymali się w ramionach.

Berengaria pochyliła się i złożyła ostateczny dowód poddania, mówiąc:

– Tym klientem jest don Fernando Herrera.

• • •

Soraya obudziła się, czując w ustach smak pustyni Sonora. Zesztywniała, obolała, z jękiem przewróciła się na plecy. Nad nią stali czterej mężczyźni, dwaj po jednej stronie, dwaj po drugiej. Jak ona mieli ciemną skórę i jak ona byli mieszanej krwi. Swój rozpozna swego, pomyślała niezbyt przytomnie. Ci mężczyźni to półkrwi Arabowie, podobni do siebie jak bracia.

– Gdzie on jest? – spytał jeden z nich.

– Kto gdzie jest? – odpowiedziała pytaniem, starając się jednocześnie rozpoznać jego akcent.

Inny mężczyzna, stojący po drugiej stronie, przykucnął przy niej, na modłę Arabów z pustyni, z dłońmi opartymi na kolanach.

– Pani Moore... Sorayo, jeśli wolno... oboje szukamy tego samego człowieka. – Powiedział te słowa spokojnie, choć pewnie, zupełnie tak, jakby rozmawiał z przyjacielem, kończąc jakiś nieważny spór. – Niejakiego Leonida Danielewicza Arkadina.

– A kim ty jesteś?

– To my zadajemy pytania – powiedział Arab, który odezwał się pierwszy. – Ty masz tylko udzielać odpowiedzi.

Soraya próbowała wstać, ale okazało się, że została skrępowana, przywiązana do wbitych w ziemię kołków sznurami oplatającymi nadgarstki i kostki stóp. Nadchodzący świt barwił niebo na różowo, pasma koloru pełzły ku niej niczym pająk na długich nogach.

– To, jak się nazywam, nie jest ważne – powiedział kucający przy niej mężczyzna. Jedno oko miał piwne, drugie wodnistoniebieskie, niemal mleczne jak opal, jakby zostało kiedyś uszkodzone, może przez chorobę? – Ważne jest tylko to, czego chcę.

Te dwa zdania wydały się Sorai tak absurdalne, że miała ochotę się roześmiać. Ludzie znani są dzięki swoim nazwiskom. Bez nazwiska nie ma osobistej historii, nie sposób sporządzić profilu osobowości, jest tylko niezapisana karta. Najwyraźniej właśnie na tym mu zależało. Zastanawiała się, jak mogłaby zmienić sytuację na jego niekorzyść.

– Skoro nie chcesz porozmawiać ze mną z własnej woli, będziemy zmuszeni uciec się do innych sposobów – powiedział.

Strzelił palcami. Jeden z jego ludzi natychmiast podał mu małą bambusową klatkę. Człowiek bez imienia ujął ją ostrożnie, machnął nią przed oczami Sorai i ostrożnie postawił między jej piersiami.

W klatce był bardzo duży czarny skorpion.

– Nawet jeśli mnie ukąsi, przeżyję.

– Och, przecież nie zamierzam cię zabić. – Bezimienny otworzył klatkę i zaczął szturchać skorpiona długopisem.

– Ale jeśli nie powiesz nam, gdzie ukrywa się Arkadin, wkrótce rozpoczną się drgawki, puls i ciśnienie krwi wzrosną, utracisz ostrość widzenia... mam mówić dalej?

Skorpion był czarny i lśniący, ogon zawinął wysoko nad pancerz. Gdy padły na niego pierwsze promienie słońca, zaświecił blaskiem, który wyglądał, jakby bił z jego wnętrza. Soraya próbowała na niego nie patrzeć, zdusić strach pokrywający potem jej ciało. Ale nie mogła opanować instynktownych reakcji. Wydawało się, że bicie serca rozsadzi jej uszy, pod mostkiem zrodził się przejmujący ból. Przygryzła wargi.

– Kilka kolejnych ukąszeń... kto wie, jak strasznie będziesz cierpieła, jeśli nikt ci nie pomoże?

Lekko, zwinnie niczym tancerz, skorpion wyszedł z klatki na ośmiu nogach i zatrzymał się między jej piersiami. Soraya zdołała stłumić krzyk.

• • •

Oliver Liss siedział na wąskiej ławce w sali ćwiczeń w siłowni. Jego pierś i ramiona pokrywał pot, przez plecy miał przerzucony ręcznik. Ruda weszła, kiedy wykonywał trzecią serię piętnastu ćwiczeń bicepsów. Była wysoka, miała kwadratowe ramiona, chodziła dumnie wyprostowana, a jej brzuch... po prostu wspaniałe. Widział ją tu kilka razy. Setka dla menedżera wystarczyła, by dowiedzieć się, że nazywa się Abby Sumner, ma trzydzieści cztery lata, jest rozwiedziona i bezdzietna, jedna z nieprzeliczonej floty prawniczek, trudzących się w pocie czoła w Ministerstwie Sprawiedliwości. Założył, że to długie godziny w pracy były przyczyną rozwodu, ale właśnie to uważał za dodatkową zaletę. Kiedy już zawrą znajomość, nie będzie wchodziła w drogę. A nie wątpił, że zawrą. Nie wątpił w to ani przez chwilę. Pozostawało tylko pytanie: kiedy?

Skończył ćwiczenia i odłożył hantle na miejsce. Wycierał się, planując operację. Abby podeszła do ławki do wyciskania, dopasowała ciężar sztangi i zgrabnie się pod nią wcisnęła. Liss tylko na to czekał. Wstał, zbliżył się niedbałym krokiem i spojrzał z góry na dziewczynę,

włączając swój aktorski, megawatowy uśmiech.

– Potrzebujesz asekuracji?

Spojrzała na niego wielkimi niebieskimi oczami i uśmiechnęła się.

– Dzięki. Przyda się. Właśnie podniosłam wagę.

– Trochę to niezwykle, kobieta ćwicząca wyciskanie.

Abby nie przestawała się uśmiechać.

– Można powiedzieć, że wyciskanie uprawiam zawodowo.

Liss roześmiał się cicho. Dziewczyna zdjęła sztangę z podpórek i zaczęła ćwiczenia, podczas gdy on trzymał zagięte dłonie nieco pod nią na wypadek, gdyby zabrakło jej siły.

– Więc chyba lepiej nie wchodzić ci w drogę.

– Rzeczywiście lepiej nie.

Podniesiona waga najwyraźniej nie sprawiała jej większych trudności. Liss miał kłopoty z oderwaniem wzroku od jej piersi.

– Nie wyginaj grzbietu – ostrzegł.

Natychmiast opuściła biodra na ławkę.

– Zawsze robię ten błąd, kiedy podnoszę wagę. Dzięki.

Skończyła pierwszą serię ośmiu wyciśnień. Pomógł jej odstawić sztangę na stojak i wykorzystał tę chwilę odpoczynku. Przedstawił się i dodał:

– Chętnie zaprosiłbym cię kiedyś na kolację.

– Z pewnością byłoby to interesujące – powiedziała Abby, podnosząc na niego wzrok – ale niestety nie łączę pracy z przyjemnością.

Podczas gdy on patrzył na nią zdziwiony, wyślizgnęła się spod sztangi i wstała. Pomyślał, że jest naprawdę imponującą kobietą. Zerknęła na barek. Krótko ostrzyżony młody mężczyzna pił charakterystyczny, jaskrawozielony sok z trawy pszenicy. Akurat odstawiał pustką szklankę. Wstał i podszedł do nich niespiesznie.

Abby postawiła na ławie sportową torbę, wyjęła z niej plik papierów, wręczyła je Lissowi.

– Panie Liss, nazywam się Abigail Sumner. Ten oto nakaz wydany przez prokuratora generalnego Stanów Zjednoczonych uprawnia mnie oraz Jeffrey'ego Kleina – wskazała amatora soku stojącego obok niej – do zatrzymania pana w sprawie zarzutów, jakie postawiono panu w toku śledztwa toczzonego przeciw Black River w okresie, gdy był pan prezesem tej firmy.

Lissowi opadła szczęka.

– Przecież to nonsens. Śledztwo zakończono bez postawienia zarzutów.

– Pojawiły się nowe okoliczności.

– Jakie okoliczności?

Abby gestem głowy wskazała mu papiery.

– Znajdzie pan ich listę w nakazie sądowym.

Oliver Liss otworzył nakaz, ale litery skakały mu przed oczami.

– To musi być jakaś pomyłka. Nigdzie z wami nie pójdę.

Klein wyjął kajdanki.

– Panie Liss, niech pan nie utrudnia sobie życia – powiedziała dziewczyna.

Oliver Liss odwrócił głowę w jedną stronę, a potem w drugą, jakby szukał wzrokiem drogi ucieczki lub spodziewał się interwencji swojego anioła stróża, Jonathana. Gdzie on się podział? Dlaczego nie ostrzegł go o tym nowym śledztwie?

Pułkownik Boris Karpow wrócił do Moskwy z ciężkim sercem. Spotkanie z Leonidem Arkadinem przyniosło mu niespodziewaną wiedzę dotyczącą wielu spraw, a przede wszystkim uświadomiło, w jak nieprzyjemnej znalazł się sytuacji. Masłow przekupił szereg aparatczyków z FSB-2, w tym Melora Bukina, jego bezpośredniego przełożonego. Jak zawsze dostarczonej przez Arkadina informacji towarzyszył dowód, obciążający i nie do podważenia.

Siedząc na tylnej kanapie służbowego ziała FSB-2 jadącego z lotniska Szeremietiewo do miasta, Karpow wyglądał przez okno, ale tak naprawdę niczego nie widział.

Arkadin zasugerował mu, by z dowodami, które teraz ma, poszedł wprost do prezydenta Imowa. Przez sam fakt, że pomysł wyszedł od niego, należało traktować go podejrzliwie, ale nawet jeśli motywy Arkadina były egoistyczne i wizyta pułkownika u prezydenta miała służyć jakimś jego celom, pozostawała ona w sferze rozważań. Jednak gra toczyła się o wysoką stawkę, nie tylko o karierę, lecz o życie.

Miał inne wyjście. Mógł przedstawić dowody winy Bukina Wiktorowi Czerkiesowowi, szefowi FSB. Problem w tym, że Bukin to człowiek Czerkiesowa i jeśli jego wina wyjdzie na jaw, Czerkiesow też stanie się podejrzany. Będzie skończony, zmuszony do rezygnacji w niełasce, niezależnie od tego, czy wiedział o zdradzie podwładnego, czy nie. Łatwo sobie wyobrazić, że nie chcąc do tego dopuścić, w samoobronie zdecyduje się raczej wyeliminować dowody przeciwko Bukinowi, a to oznacza eliminację samego Karpowa.

Pułkownik musiał przyznać, że Arkadin miał rację. Przedstawienie dowodów prezydentowi Imowowi wydawało się najbezpieczniejszym wyjściem z sytuacji, bo Imow z radością wyeliminuje Czerkiesowa, a może być tak wdzięczny za okazję, że szefem agencji mianuje tego z jej agentów, do którego może mieć pełne zaufanie. Choćby jego.

Im więcej Karpow o tym myślał, tym głębiej był przekonany, że zaangażowanie prezydenta jest jedynym sensownym rozwiązaniem. A jednak cichy wewnętrzny głos ostrzegał go, że jeśli to zrobi, Arkadin będzie miał u niego wielki dług wdzięczności. Instynkt podpowiadał mu, że znajdzie się w sytuacji nie do pozazdroszczenia, choć wyłącznie pod warunkiem, że Arkadin pozostanie przy życiu.

Zachichotał cicho, kazał kierowcy zawieźć się na Kreml i wybrał numer biura prezydenta. Pół godziny później został przyjęty w jego rezydencji. Dwóch strażników, żołnierzy Armii Czerwonej, zaprowadziło go do jednego z chłodnych wysokich przedpokoi. Niczym złodowaciała pajęczyna pająka giganta z sufitu zwieszał się żyrandol z kryształu i złożonego brązu, rzucający odpryski światła na meble obite jedwabiem i brokatem.

Usiadł. Strażnicy po dwóch stronach przedpokoju stali nieruchomo, nie spuszczając z niego wzroku. Zegar na gzymsie kominka, kawałku plamistego marmuru, żałośnie wybijał czas. Dzwonił, wybijając pół godziny, a potem godzinę. Karpow pogrążył się w czymś w rodzaju medytacji; nauczył się zabijać w ten sposób czas podczas długich godzin przymusowego samotnego czuwania, spędzonych w tylu różnych krajach, że wolał o tym nie myśleć. Młody służący nieukrywający bynajmniej, że nosi broń, pojawił się dopiero po półtorej godzinie. Pułkownik ocknął się, czujny i gotowy do działania, a także odświeżony. Służący obdarzył go uśmiechem, a następnie poprowadził przez tyle sal i tyle krzyżujących się korytarzy, że pułkownik prawie zgubił się w tym gigantycznym wnętrzu.

Prezydent siedział za biurkiem w stylu Ludwika XIV w wygodnie urządzonej gabinecie. Na kominku pogodnie trzaskał ogień. Przez okna za jego plecami widać było dostojne kopuły placu Czerwonego mierzące w niskie, pokryte chmurami rosyjskie niebo niczym dziwne rakiety.

Imow zapisywał coś w dzienniku staroświeckim wiecznym piórem. Służący wycofał się cicho, zamykając za sobą dwuskrzydłowe drzwi. Po chwili prezydent podniósł głowę, zdjął drucziane okulary i gestem wskazał stojący przed biurkiem fotel. Karpow przeszedł po miękkim dywanie. On też milczał. Cierpliwie czekał, aż prezydent zacznie rozmowę.

Przez pewien czas Imow przyglądał mu się ciemnoszarymi wąskimi i lekko skośnymi oczami. Być może w jego żyłach płynie mongolska krew. W każdym razie jest wojownikiem: najpierw wywalczył sobie prezydenturę, a teraz toczy bój, by ją utrzymać, odpierając wściekłe ataki licznych wrogów wewnętrznych. Nie imponował wzrostem, a mimo to wywierał wielkie wrażenie. Potrafił wypełnić swoją osobowością salę balową, jeśli miało to służyć jakiemuś celowi, zazwyczaj jednak wystarczało wrażenie, jakie wywierał jego gabinet.

– Pułkownik Karpow, pana odwiedziny wydają mi się czymś dziwnym. – Prezydent podniósł wieczne pióro, jakby był to sztylet. – Jest pan człowiekiem Wiktora Czerkiesowa, siłowika, który jawnie sprzeciwił się Nikołajowi Patruszewowi, swojemu odpowiednikowi w FSB, a przez to i mnie. – Zręcznie bawił się piórem. – Niech mi więc pan powie, czy zyskam coś na rozmowie z panem, skoro przysłał pana szef zamiast przyjść samemu?

– Nie przyszedłem tu w imieniu Wiktora Czerkiesowa. Wiktor Czerkiesow nie ma pojęcia, że tu jestem, i szczerze mówiąc, wolałbym, żeby tak zostało. – Karpow położył na biurku telefon komórkowy, w którego pamięci zarejestrowane były dowody obciążające Bukina. Cofnął rękę. – Poza tym nie jestem czymś człowiekiem. A już na pewno nie Czerkiesowa.

Imow nie spuszczał wzroku z jego twarzy.

– Doprawdy? Czerkiesow wyjął pana Nikołajowi, pułkownikowi, więc można to uznać za dobrą nowinę. – Postukał piórem w biurko. – A jednak nie potrafię jakoś przełknąć tej nowiny bez odrobiny przyprawy w postaci dowodów.

Karpow skinął głową.

– Doskonale to rozumiem.

Spojrzał na telefon komórkowy. Wzrok Imowa podążył za jego spojrzeniem.

– I co my tu mamy, Borisie Iljiczu?

– Część SFB-dwa jest przeżarta zgnilizną – powiedział Karpow powoli, z naciskiem. – Należy ją oczyścić, im szybciej, tym lepiej.

Przez chwilę Imow siedział nieruchomo, w milczeniu, a potem odłożył pióro, wziął komórkę i ją włączył. W gabinecie zapadła cisza. Karpow zauważył, że nie słyhać nawet stłumionych kroków sekretarek i pracowników, od których w pobliżu musi się aż roić. Prawdopodobnie gabinet jest nie tylko zabezpieczony przed elektronicznymi środkami podsłuchowymi, lecz także dźwiękoszczelny.

Wysłuchawszy informacji, prezydent ujął komórkę, tak jak przedtem trzymał pióro. Jak broń.

– A pana zdaniem, Borisie Iljiczu, kto najlepiej nadawałby się do oczyszczenia SFB-dwa z przesycającej go zgnilizny?

– Każdy, kogo pan wybierze.

Słyszając tę odpowiedź, prezydent Imow odchylił głowę i roześmiał się serdecznie. A kiedy już przestał się śmiać, otarł oczy, sięgnął do szuflady, wyjął z niej ozdobne pudełko, a z pudełka dwa hawańskie cygara. Jedno wręczył gościowi, koniec drugiego odgryzł i zapalił je złotą zapalniczką, darem od prezydenta Iranu. Karpow wyjął zapałki. Prezydent znów się roześmiał i przesunął do niego zapalniczkę. Pułkownik miał okazję przekonać się, że jest zdumiewająco ciężka. Zapalił cygaro, z rozkoszą wciągnął dym.

– Powinniśmy już się do tego zabrać, panie prezydencie – powiedział.

Imow przyjrzał mu się przez zasłonę dymu.

– Im szybciej, tym lepiej, co, Borisie Iljiczu? – Odwrócił fotel i spojrzał na cebulaste kopuły placu Czerwonego. – Więc niech pan oczyści to pieprzone miejsce. Na zawsze.

• • •

Soraya myślała o ironii tkwiącej w tym, że skorpion, choć ma wiele oczu, w tej chwili nie mogła sobie przypomnieć ile, widzi kiepsko i polega na delikatnych rzęskach na końcach szczypiec, wyczuwając nimi ruch i wibrację. W tym momencie oznaczało to wznoszenie się i opadanie jej piersi.

Bezimienny przyglądał się przyczajonemu, nieruchomemu skorpionowi ze zniecierpliwieniem zmieszonym z pogardą. Najwyraźniej zwierzę nie wiedziało, gdzie jest. Wziął długopis i stuknął go czubkiem w głowę. Ogon zaskoczony nagłym atakiem, rozwścieczonego skorpiona zadrgał i uderzył. Soraya krzyknęła cicho. Bezimienny zagonił go do klatki i zamknął drzwiczki.

– A teraz – powiedział – albo zaczekamy na skutki działania trucizny, albo powiesz nam, gdzie znaleźć Arkadina.

– Nie powiedziałałabym, nawet gdybym wiedziała.

Bezimienny ściągnął brwi.

– Nie zamierzasz zmienić zdania?

– Pieprz się!

Skinął głową, jakby oczekiwał po niej uporu.

– Bardzo pouczające będzie przekonać się, jak długo wytrzymasz po ośmiu lub dziewięciu ukąszeniach.

Płynnym gestem wydał polecenie. Właściciel skorpiona sięgnął do klatki i już miał go wypuścić, gdy nagle rozległ się ogłuszający strzał, a on sam poleciał do tyłu w chmurze krwi i odłamków kości. Soraya odwróciła głowę, zobaczyła go leżącego na wznak i pozbawionego czoła. Rozległy się kolejne strzały, na jej oczach padali kolejni mężczyźni. Bezimienny obejmował zdrową ręką strzaskane prawe ramię, przygryzając z bólu wargi. W jej polu widzenia pojawiły się nogi w zakurzonych butach.

– Kto... – Podniosła wzrok, ale jaskrawe słońce i zaczynająca działać trucizna odebrały jej zdolność widzenia. Czowała mocne uderzenia serca, drżała na całym ciele jak w gorączce. – Kim je...

Mężczyzna przykucnął. Grzbietem spieczoną słońcem dłoni zrzucił klatkę z jej piersi. Po chwili poczuła, jak rozluźniają się krepujące ją więzy. Strząsnęła je i zmrużyła oczy. Ktoś przykrył jej głowę kowbojskim kapeluszem. Szerokie rondo osłoniło oczy.

– Contreras – powiedziała na widok poranej zmarszczkami twarzy.

– Mam na imię Antonio. – Mężczyzna objął ramiona Sorai i pomógł jej wstać. – Mów mi Antonio.

Rozpłakała się.

Antonio podał jej swoją broń, interesującą, przerobioną: Taurusa Trackera.44 Magnum z dorobioną kolbą karabinową. Ujęła go, zachwiała się, ale Contreras pomógł jej utrzymać równowagę. Spojrzała na Bezimiennego. Odpowiedział jej spojrzeniem, szczerząc zęby. Soraya drżała, jej mózg wydawał się płonąć. Spoglądała na niego, patrzącego na nią, a jej palec zaciskał się na spuście. Wymierzyła. Padł strzał. Bezimienny, jak lalka poruszana niewidzialnymi sznurkami, wygiął się nagle, a zaraz potem znieruchomiał zapatrzony we wschodzące słońce ślepymi, odbijającymi światło oczami.

Soraya przestała płakać.

Rozdział 18

Coven wykonywał swoją pracę przerażająco spokojnie i systematycznie. Po związaniu Chrissie i Scarlett spędził kilka godzin, zapoznając się z domem. Ojca Chrissie, związanego i zakneblowanego, zamknął w szafie. Opuścił więźniów na czterdzieści minut, pojechał do sklepu ze sprzętem elektrycznym, kupił generator, największy, jaki mógł przenieść sam. Po powrocie przede wszystkim sprawdził, co z więźniami. Chrissie i jej córka pozostały bezpiecznie przywiązane do podwójnego łóżka na piętrze, starszy pan albo zasnął, albo był nieprzytomny, co nie robiło Covenowi różnicy. Zaniósł generator do piwnicy i bez większych problemów podłączył go do systemu elektrycznego jako rezerwę, na wypadek utraty mocy. Przeprowadził próbę. Generator pracował z wysiłkiem, postukując przy tym jak geriatryczny zegar z wahadłem. Nie dawał wystarczająco dużo prądu i nawet ograniczając maksymalnie liczbę odbiorników, Coven uznał, że popracuje najwyżej dziesięć minut i na tym koniec. Cóż, dziesięć minut musi wystarczyć.

Wrócił na górę. Palił papierosa, obserwując Chrissie i Scarlett. Córka, chociaż jeszcze nawet nie nastolatka, już wydawała się ładniejsza od matki. Gdyby był tego rodzaju człowiekiem, nacieszyłby się młodziutkim świeżym ciałem, ale pogardzał taką degeneracją u mężczyzny. Należał do ludzi kierujących się prostymi zasadami moralnymi. Dzięki nim radził sobie z pracą, dzięki nim pozostawał normalny w nienormalnym świecie. Jego życie osobiste można było uznać za słodkie jak cukierek, mniej więcej tak ekscytujące jak życie, powiedzmy, kierowcy autobusu. Ożenił się z ukochaną ze szkoły, dwójka dzieci i pies o imieniu Ralph. Spłacał kredyt hipoteczny, utrzymywał stukniętą matkę, co dwa tygodnie odwiedzał ją w szpitalu dla wariatów, choć w dzisiejszych czasach unikano tego określenia jak zarazy. Kiedy wracał do domu po długiej nieobecności, po wykonaniu trudnego, najczęściej krwawego zadania, najpierw mocno całował żonę na powitanie i szedł do dzieci. Obojętnie, czy były już w łóżkach, oglądały telewizję, czy się bawiły, pochylał się nad nimi i głęboko wdychał ich mleczny, słodki zapach. Potem zjadał przygotowaną przez żonę kolację, zabierał ją na górę i pieprzył do utraty zmysłów.

Odpalił kolejnego papierosa od poprzedniego. Gapił się na matkę i córkę, leżące na łóżku z rozłożonymi rękami i nogami. Dziecko to dziecko, jest nienaruszalne; sama myśl o tym, że mógłby je skrzywdzić, wywoływała mdłości. Matka nie wywarła na nim wielkiego wrażenia, za chuda, wymizerowana. Zostawi ją komuś innemu, no, chyba że Bourne zmusi go, żeby ją zabił.

Zszedł na dół, przejrzał spiżarnię i otworzył puszkę fasoli Heinza. Zjadł ją na zimno, wygarniając zawartość palcami. Przez cały czas nasłuchiwał, łowiąc uchem nawet najcichsze dźwięki, wdychał i katalogował w myślach zapachy każdego pokoju. Krótko mówiąc, poznawał dom, dopóki nie zdradził mu wszystkich swych sekretów. Póki nie stał się jego terytorium, jego polem walki, miejscem, w którym odniesie kolejne zwycięstwo.

Wrócił do salonu i zapalił wszystkie światła. I wówczas usłyszał strzał. Wstał, wyjął glocka ze skórzanej kabury, odsunął zasłony i wyjrzał przez okno od frontu. Zesztywniał na

widok Bourne'a biegnącego zygżakiem, ile sił w nogach, do drzwi. Z piskiem opon, sypiąc chmurą żwiru, szary opel zatrzymał się odwrócony bokiem do przedniej ściany domu. Otworzyły się drzwi od strony kierowcy i ktoś strzelił do uciekającego Amerykanina. Chybił. Po sekundzie Bourne już stał na schodach. Coven podbiegł do drzwi, trzymając glocka, gotowy zrobić z niego użytek. Usłyszał jeszcze dwa strzały. Przykucnął i otworzył drzwi. Bourne leżał na schodach, twarzą do ziemi. Na jego kurtce widać było rozszerzającą się plamę krwi.

Kolejny strzał. Coven cofnął się, a potem wychylił, raz za razem pociągając spust glocka. Kierowca cofnął się na siedzenie opla. Coven złapał Bourne'a za kurtkę i przeciągnął go przez próg. Strzelił jeszcze raz, usłyszał ryk silnika. Opel uciekł. Coven kopniakiem zatrzaskał za sobą drzwi. Obrócił się, przycisnął lufę do skroni Bourne'a i pochylił nad nim. Odwracał go, kiedy światło zamrugało kilka razy i zgasło. W piwnicy ruszył rzeźący generator. Coven zdążył jeszcze uświadomić sobie, że ktoś odciął zasilanie, a potem Bourne kopniakiem wytrącił mu z ręki glocka i niemal jednocześnie wymierzył potężny cios w splot słoneczny.

• • •

– Mężczyzna, którego szukasz, jest teraz bez wątpienia w Puerto Pefiasco. – Antonio oddał Sorai jej komórkę. – Mój *compadre*, kapitan portu, zna tego *gringo*. Zajął klasztor Świętej Teresy opuszczony przed wielu laty. Ma szybką łódź, „cygario”. Wypływa codziennie wieczorem, tuż po zachodzie słońca.

Siedzieli w słonecznej *cantina* przy Calle de Ana Gabriela Guevara w Nogales. Antonio poświęcił trochę czasu, pomagając Sorai doprowadzić się do porządku, i przyniósł jej lód do przyłożenia na ranę pozostawioną przez skorpiona między jej piersiami. Czerwonawa plamka nie powiększała się, nie puchła, a symptomy, dokuczliwe na pustyni, teraz prawie zniknęły. Soraya poprosiła też Antonia, żeby kupił jej kilka butelek wody, i od razu zaczęła pić. Nie tylko zwalczała w ten sposób skutki odwodnienia, lecz także szybciej pozbywała się trucizny z organizmu.

Po mniej więcej godzinie czuła się zdecydowanie lepiej. Kupiła sobie nowe ubranie w sklepie przy Plaza Kennedy, a potem poszli coś zjeść.

– Odwiozę cię do Puerto Penasco – zaproponował Antonio.

Soraya dokończyła chilaquiles.

– Podejrzewam, że masz ważniejsze rzeczy do zrobienia. Na mnie już nie zarabiasz.

Mężczyzna się skrzywił. Po drodze wyznał, że tak naprawdę nazywa się Antonio Jardines, a nazwiska Contreras używa wyłącznie, gdy prowadzili interesy.

– Próbujesz mnie obrazić? Tak traktujesz człowieka, który uratował ci życie?

– To prawda, jestem ci winna podziękowania – przyznała Soraya, nie spuszczać z Contrerasa wzroku. – Nie rozumiem jednak, dlaczego poświęcasz mi tyle czasu i wysiłku.

– Jak by ci to wytłumaczyć. – Mężczyzna wypił łyk *cafe de olla*. – Moje życie definiuje przestrzeń ograniczona Nogales w Arizonie i tym tu Nogales w Sonorze. Pieprzony, nudny kawałek pustyni, słynący z tego, że podobnych do mnie mężczyzn wpędza w alkoholizm. Moim jedynym zmartwieniem są pieprzeni *migras*, a uwierz mi, to cholernie niewiele.

– Rozłożył ręce. – Jest jeszcze coś. Tu rządzi obojętność. Można powiedzieć, że samo życie

definiuje tu obojętność, od której gnije dusza, obojętność przenikająca cała Amerykę Łacińską. Nic nikogo nie obchodzi, ani ludzie, ani zdarzenia, liczą się tylko pieniądze. – Dopił cafe de olla. – A potem zjawiała się ty.

Soraya zastanowiła się nad jego słowami. Nie spieszyła się, nie chciała popełnić błędu, choć tu akurat nie mogła być pewna niczego.

– Nie chcę po prostu przyjechać do Puerto Penasco – przerwała milczenie. Zastanawiała się nad tym przez cały posiłek. Informacja, że Arkadin dysponuje „cygarem”, przeważała. – Chcę przypłynąć tam łodzią.

Oczy Antonia zabłyśły. Pokiwał palcem wskazującym.

– Właśnie o tym mówię. Nie myślisz jak kobieta, myślisz jak mężczyzna. Sam bym tak zrobił.

– Czy twój *compadre* z przystani może to załatwić?

Antonio zachichotał.

– No i widzisz? Potrzebujesz mojej pomocy.

• • •

Bourne zadał drugi cios. Octavio Moreno strzelał do niego ze ślepaków, krew była świńska, z plastikowych torebek, które przekłuł. Coven, niczym nie zdradzając, że odczuł uderzenia, zrewanżował się ciosem kolbą glocka w czoło. Bourne złapał nadgarstek przeciwnika, wykręcił go brutalnie, a potem złamał Covenowi palec. Glock przeleciał przez pokój i zatrzymał się dopiero przy kratce klimatyzacji.

Bourne odepchnął Cvena i zdołał przykleknąć. Coven kopniakiem pozbawił go równowagi. Bourne przewrócił się na wznak i został natychmiast zaatakowany serią uderzeń wymierzonych w twarz. Znieruchomiał. Coven wyprostował się i dał mu kopniaka w zębra. Choć pozornie ani drgnął, Bourne zdążył chwycić go za kostkę i gwałtownie wykręcić ją w lewo.

Trzasnęły łamane kości. Coven stęknął, upadł ciężko, przetoczył się i, podpierając kolanami i rękami, popęzł w stronę zapomnianego glocka.

Bourne rzucił w Cvena mosiężną rzeźbą stojącą na niskim stoliku obok jednego z foteli. Trafił go w potylicę, wbijając mu twarz w podłogę. Głośno trzasnęły zęby, z nosa pociekła krew, ale Coven mimo to chwycił pistolet. Obrócił się płynnym ruchem i strzelił. Kula roztrzaskała stolik tuż koło głowy Bourne’a, przewracając go oraz stojącą obok lampę.

Próbował wystrzelić po raz drugi, ale Bourne już był przy nim. Coven upadł na wznak. Złapał pogrzebacz; Bourne odcoczył się i uderzenie trafiło w podłogę, ale kolejne pchnięcie przebiło kurtkę i przyszpiliło go do podłogi. Coven wbił go jeszcze mocniej, po czym z wysiłkiem wstał. Masywną rączkę mosiężnej łopaty do wygarniania popiołu przyłożył do szyi przeciwnika i przycisnął ją całym ciężarem ciała.

• • •

Nogales od Las Conchas, gdzie współpracownik *compadre* Antonia przyprowadził przeznaczoną dla nich łódź, dzieliło trzysta osiemnaście kilometrów. Soraya poprosiła o jednostkę dużą i ostentacyjną, coś takiego, co rzucałoby się w oczy, zwróciło uwagę Arkadina

i utrzymało ją, póki jej się nie przyjrzy. Jeszcze przed wyjazdem, w Nogales Mall kupiła najbardziej prowokacyjne bikini. Wypróbowała je na Antoniu i oczy o mało nie wyskoczyły mu z oczodołów.

– ¡Madre de Dios, que linda muchacha! – krzyknął.

Ze względu na skutki ukąszenia skorpiona zaopatrzyła się w przezroczystą tunikę, dokupiła także kilka ręczników kąpielowych i duże okulary przeciwsłoneczne Diora, modny daszek osłaniający oczy i krem z filtrem przeciwsłonecznym, którym natychmiast się wysmarowała.

Przyjaciel Antonia miał na imię Ramos. Dostarczył dokładnie to, czego Soraya potrzebowała, czyli łódź wielką i efektowną, a nawet efekciarską. Oprowadził ich po niej, a potężne diesle dudniły w tle. Był mężczyzną niskim, ciemnym, okrągłym, miał kręcone czarne włosy i potężne ramiona całe pokryte tatuażem. Uśmiechał się często i chętnie.

– Mam broń, ręczną i półautomatyczną, jeśli coś takiego was interesuje – powiedział życzliwie. – Wliczona w koszty, zapłacicie tylko za wystrzelaną amunicję.

Soraya podziękowała mu i wyjaśniła, że broń nie będzie im potrzebna. Oboje wrócili na pokład. Silniki zwiększyły obroty, łódź popłynęła wprost na północ. Od Puerto Pefiasco dzieliło ich trzynaście kilometrów.

– Do zachodu jeszcze parę godzin, a Arkadin nie wypływa wcześniej. Mam sprzęt wędkarski – oznajmił Ramos, przekrzykując ryk diesli, i zaproponował: – Możemy połowić przy rafie. Ma sto trzydzieści dwa kilometry i aż roi się tam od halibutów, czarnych strzępieli i lucjanów czerwonych. Macie ochotę spróbować?

Soraya i Antonio łowili przy rafie mniej więcej przez półtorej godziny, po czym spakowali się i pomknęli ku marinie. Zwolnili, opływając przylądek. W tym momencie Ramos wskazał im „cygaro” Arkadina. Jego samego nie było na pokładzie, Soraya dostrzegła jednak starszego Meksykanina przygotowującego jednostkę do odcumowania. Był to ciemnoskóry mężczyzna o twarzy pooranej zmarszczkami, oznakami ciężkiej pracy i długich godzin spędzonych na słonym morskim wietrze i palącym słońcu.

– Macie szczęście – oznajmił Ramos. – Już idzie.

Soraya spojrzała w kierunku, który wskazał, i dostrzegła idącego pomostem potężnie zbudowanego mężczyznę w baseballowej czapce, czarno-zielonych szortach do kolan, podartym podkoszulku z logo Dos Equits i gumowych sandałach. Szybko zrzuciła tunikę, a jej ciemna skóra zaśniła kusząco.

Pomost był długi, więc mogła dokładnie mu się przyjrzeć. Miał ciemne, bardzo krótko obcięte włosy, surową męską twarz, z której niczego nie można było wyczytać, szerokie ręce pływaka, ramiona i nogi długie, muskularne, jak u zapaśnika. Wyglądał, jakby miał pełne prawo czuć się pewnie. Szedł, nie wkładając w to wysiłku, niemal płynął w powietrzu, jakby zamiast stóp miał łożyska kulkowe. Emanował energią niczym jasny płomień. Soraya nie potrafiła zrozumieć tego zjawiska i poczuła się niepewnie. Pomyślała, że jest w nim coś znajomego, co tylko pogłębiło tę niepewność, uczyniło ją niemal bolesną. I nagle z przeraźliwą jasnością niczym prąd przeszła ją przerażająca do szpiku kości myśl: przecież on porusza się jak Jason.

– No to jesteśmy na miejscu. – Ramos przepłynął przed dziobem „cygara” i wysprzęglił silniki. Do kei podpływali w dryfie.

Arkadin mówił coś do Meksykanina. Roześmiał się i jednocześnie kątem oka uchwycił ruch.

Podniósł głowę, osłonił oczy osłepione skośnymi promieniami słońca. Soraya natychmiast skupiła na sobie jego uwagę. Widziała, jak rozszerzają mu się nozdrza. Pochłaniał wzrokiem jej egzotyczną, wyrazistą twarz i ciało, w bikini niemal nagie, a nawet – pomyślała dziewczyna – lepiej niż nagie, bo jednak pozostawiające coś wyobraźni. Podniosła rękę, jakby chciała przytrzymać na głowie daszek, świadoma, że ten gest czyni jej ciało jeszcze bardziej zmysłowym.

I nagle tak zwyczajnie, po prostu, odwrócił się od niej. Powiedział do Meksykanina coś, co wywołało wybuch śmiechu. Soraya poczuła się zawiedziona, zacisnęła palce na relingu tak mocno, jakby chciała go udusić.

– Ten *gringo* to pieprzony *maricón*, i tyle – powiedział Antonio.

Soraya się roześmiała.

– Nie bądź głupcem – upomniała go, ale jego słowa oddaliły poczucie porażki. – Rzuciłam mu wyzwanie, ale okazało się niewystarczająco poważne. – Nagle coś przyszło jej do głowy. Zarzuciła ramiona na szyję Antonia i patrząc mu w oczy, poleciła: – Pocałuj mnie. Całuj mnie i nie przerywaj.

Wykonał jej rozkaz z wyraźną przyjemnością. Chwycił ją w talii, przytulił mocno i przycisnął usta do jej ust. Wsunął między wargi Sorai język, który wydał jej się rozgrzany i parzący. Odchyliła się, mocno wciskając w niego biodra.

Ramos doprowadził łódź nieco za blisko dziobu „cygara”. El-Heraldo i *gringo* odwrócili się jak na komendę. Miotając przekleństwa, Meksykanin pobiegł na dziób, a *gringo* przyglądał się połączonej w uścisku parze. Ten obraz zdecydowanie go zainteresował.

Głośno przepaszając, Ramos skorygował kurs i już bez problemu dobił do kei. Pracownik przystani czekał, gotów chwycić cumy, dziobową i rufową. Ramos wyłączył silniki, oddał cumy, a następnie zeskoczył z pokładu i poszedł do kapitanatu portu. Arkadin nadal obserwował tulących się do siebie mężczyznę i kobietę. Ani drgnął.

– Wystarczy – szepnęła Soraya wprost w usta Contrerasa.

– ¡Basta, hombre! ¡Basta!

Ale on wcale nie spieszył się z wykonaniem tego polecenia. Próbowwała go odepchnąć, najpierw jedną ręką, potem dwoma. Nim zdołała się uwolnić, Arkadin już szedł pomostem w jej kierunku.

– *Mano*, jesteś jak pieprzony *pulpo* – powiedziała Soraya, tylko częściowo po to, by zainteresować Arkadina.

Antonio, któremu bardzo podobała się odgrywana w tej chwili rola, uśmiechnął się kpiąco i wytarł usta grzbietem dłoni. Arkadin wskoczył na pokład i stanął między nimi.

– A ty co tu robisz, *maricón*. Spieprzaj! – Antonio udał rozgniewanego.

Arkadin nie bawił się w dyskusje, tylko zepchnął go z pokładu. Meksykanin na „cygarze” roześmiał się, aż echo poszło.

– To nie był najlepszy pomysł – powiedziała Soraya zimno.

– Sprawiał ci przykrość. – Zabrzmiało to beznamiętnie, zwykle stwierdzenie faktu.

– Nie masz pojęcia, co mi robił – odrzekła Soraya chłodno.

– Jest mężczyzną. Ty jesteś kobietą. Doskonale wiem, co robił.

– A może mnie się to podobało?

Arkadin się roześmiał.

– Może i tak? Mam wciągnąć sukinsyna na pomost?

Soraya zerknęła na plującego wodą Antonia.

– Sama mogłabym mu pomóc. – Spojrzała na Arkadina.

– Sukinsynowi dobrze jest tam, gdzie jest.

Arkadin znowu wybuchnął śmiechem. Podał jej ramię.

– Być może przyda ci się zmiana scenerii?

– Być może, lecz nawet jeśli ją zmienię, to nie z tobą.

Przeszła obok mężczyzny, z pokładu łodzi na pomost, i odeszła prowokacyjnie powoli, nie oglądając się za siebie.

• • •

Bourne miał wrażenie, że płuca płoną mu żywym ogniem. Przed oczami latały czarne plamki. Jeszcze chwila, a pręt na gardle skruszy mu kość gnykową, a wtedy wszystko się skończy, przynajmniej dla niego. Wyciągnął rękę, chwycił złamaną kostkę Cvena i ścisnął ją najmocniej, jak potrafił. Coven krzyknął z zaskoczenia i bólu, cofnął się i jednocześnie podniósł łopatkę. Ciężar spoczywający na gardle Bourne'a zelżał i Jason zdołał odtoczyć się na bok.

W oczach Cvena płonął morderczy ogień. Chwycił glocka, wymierzył... i w tym momencie rżenie generatora umilkło, a dom pogrzyżył się w ciemności. Kula minęła Bourne'a o włos; potoczył się jeszcze dalej, w najgłębszy cień. Leżał nieruchomo, odmierzając czas oddechami; było ich dziesięć, nim zdecydował się znowu przesunąć o kilka obrotów. Kolejny strzał okazał się tak niecelny, że nie było wątpliwości: Coven nie ma pojęcia, gdzie w tej chwili znajduje się jego przeciwnik.

Bourne słyszał, jak porusza się w ciemnościach. Teraz, przy zgaszonym świetle, nie miał już przewagi, dom przestał być jego terytorium. Musiał znaleźć inny sposób na odzyskanie dominującej pozycji w tej walce.

Na jego miejscu Bourne próbowałby dotrzeć do Chrissie i Scarlett, wykorzystać je, by wywabić go z kryjówki. Znieruchomiał i zachowując się jak najciszej, jednocześnie łowił docierające do niego dźwięki, starając się określić na ich podstawie, w którą stronę przesuwa się przeciwnik. Z lewej do prawej? Czy właśnie przechodzi przed kominkiem? Dokąd zmierza? Gdzie trzyma jeńców?

Bourne odtworzył w pamięci obraz parteru taki, jaki zarejestrował w momencie, gdy Coven wciągał go do domu.

Kominek, dwa wyściełane fotele, niski stolik, lampa, kanapa, schody prowadzące na piętro...

Skrzyp stopnia schodów zdradził pozycję Cvena. Nie tracąc ani ułamka sekundy, Bourne wyskoczył z kryjówki. Chwycił leżącą na podłodze lampę, wyrwał jej sznur z gniazdka, cisnął ją z całej siły na ścianę po lewej, a jednocześnie sam wskoczył na fotel. Coven wystrzelił dwukrotnie, kierując się wyłącznie słuchem, dając mu czas na przeskoczenie przez balustradę schodów.

Uderzył w niego całym ciałem, pchnął na ścianę, przewrócił. Choć zaskoczony, Coven zdołał jeszcze oddać kolejne dwa strzały. Nie trafił, ale osmalił twarz Bourne'a. Spróbował

zadać cios łufą pistoletu. Bourne kopniakiem ułamał jedną z podpór balustrady, po czym uderzył nią przeciwnika w skroń. Coven stęknął z bólu, a jego krew ochlapała ścianę. Odtoczył się, unikając drugiego ciosu. Kopniak odrzucił Bourne'a, trafiając go w twarz. Dzięki temu zyskał chwilę, by, oparty o ścianę, mógł znowu dwukrotnie pociągnąć spust.

Tu, w ciasnej przestrzeni na schodach, Bourne niewątpliwie zostałby co najmniej ranny, gdyby nie to, że zdążył przeskoczyć na drugą stronę barierki. Wisiał w ciemności, a kiedy usłyszał, że jego przeciwnik wspina się po schodach, napiął mięśnie ramion i przewinął się z powrotem. Wbiegł na piętro, przeskakując po trzy schody naraz. Właśnie uzyskał dwie ważne informacje: Coven biegnie po zakładników i magazynek glocka jest pusty. Jego przeciwnik musiał przeładować. W tej chwili jest najsłabszy.

Ale kiedy Bourne dotarł na piętro, nie dostrzegł niczego, ani śladu choćby najmniejszego poruszenia. Przykucnął, słuchał, czekał. Było tu więcej okien, co oznaczało więcej światła, ale było to światło słabe i ulotne. Gałęzie starych, wielkich drzew uderzały w ściany domu. Z miejsca, w którym się znajdował, widział czworo drzwi prowadzących do czterech pokoi, dwóch po każdej stronie korytarza. Zajrzał do pierwszego po lewej. Był pusty. Przyłożył ucho do ściany wspólnej z drugim pokojem. Cisza. Wrócił do drzwi.

Coven strzelił do niego, gdy przeskakiwał przez korytarz, i zniknął w drzwiach pierwszego pokoju po prawej. Miał dość czasu, by przeładować broń.

Nie marnując czasu, Bourne podszedł do okna, otworzył je i wydostał się na zewnątrz. Przeskoczył na gęste gałęzie dębu i przedostał się pod drugi pokój. Przez okno dostrzegł ruch. Zamarł. Choć niewyraźnie, widział dwa łóżka, wydawało mu się także, że ktoś na nich leży. Czyżby to Chrissie i Scarlett?

Sięgnął do prawie poziomej gałęzi nad swoją głową. Rozhuśtał się i wskoczył do środka, przebijając szybę nogami. Odłamki starego szkła prysnęły na wszystkie strony, Coven instynktownie osłonił twarz ramieniem.

Bourne wylądował, wybił się do skoku i uderzył Coveną. Obaj rąbnęli o ścianę, po czym zwalili się na podłogę. Bourne zadał trzy ciosy, jeden po drugim, a potem sięgnął po glocka, lecz Coven był szybszy. Wypatrzył lukę w obronie i z całej siły uderzył w krwawiący, oparzony policzek Bourne'a. Ten upadł, on zaś podniósł pistolet i wymierzył nie w niego, lecz w Scarlett leżącą na bliższym z łóżek. Z miejsca, w którym stał, nie miał czystego strzału do Chrissie, na dalszym łóżku, pod oknem. Oddychał ciężko, lecz mimo to zdołał wykrztusić:

– W porządku. Wstań. Masz pięć sekund na położenie rąk na karku. Zawahaj się, a zabiję dziewczynkę.

– Jasonie, błagam, rób, co mówi. – W piskliwym głosie Chrissie brzmiał strach bliski hysterii. – Nie dopuść, żeby skrzywdził dziecko.

Bourne spojrział na nią... i mocno kopnął rękę trzymającą pistolet. Lufa nie mierzyła już w dziewczynkę, lecz w dół i w bok.

Coven zaklął pod nosem. Próbował odzyskać panowanie nad bronią i popełnił błąd. Unieruchomiwszy mu ramię, Bourne zadał cios głową, trafiając bezbłędnie w złamany wcześniej, krwawiący nos. Jego przeciwnik wrzasnął z bólu, ale nadal próbował oswobodzić ramię. Uderzenie piętą zmiażdżyło mu rzepkę kolanową. Bourne nadepnął na uszkodzoną nogę i w oczach Coveną pojawiły się łzy bólu. Zacisnął zęby, drżał na całym ciele.

Lufa glocka zbliżyła się do jego prawego oka. Próbował jeszcze walczyć i wówczas

usłyszał:

– Jeszcze chwila i nie wyjdiesz z tego pokoju o własnych siłach, a kto się wtedy zajmie twoją żoną i dziećmi?

Coven, wpatrzony w twarz Bourne'a jednym przekrwionym okiem, poddał się, lecz tylko pozornie. Gdy tylko lufa oddaliła się od jego oka, odbił się od podłogi, używając do tego łokcia i biodra. Bourne przyjął ten atak spokojnie, cofnął się tylko, zmuszając Coveną do użycia resztek energii, po czym rękojeścią pistoletu wymierzył potężny cios miażdżący łuk brwiowy. Coven próbował krzyknąć, ale nie zdołał wydobyć głosu. Oczy uciekły mu w głąb czaszki i upadł nieprzytomny u stóp przeciwnika.

Rozdział 19

Boris Karpow szedł przez przewiewany wiatrem plac Czerwony, oddychając głęboko i rozmyślając o tym, jak powinien zabrać się do Bukina, a także, z konieczności, bardzo niebezpiecznego Czerkiesowa. Od prezydenta Imowa dostał wszystko, czego potrzebował, łącznie z obietnicą zachowania całkowitej tajemnicy do chwili, gdy wykurzy już wszystkie krety z FSB-2. W każdym razie musiał zacząć właśnie od Bukina. Wiedział, że jego potrafi złamać, a kiedy już tego dokona, dotarcie do reszty z nich będzie czystą formalnością.

Padał lekki śnieg, drobne, suche płatki wirowały na wietrze. Na złotych i pasiastych cebulastych kopułach migotały światła, turyści robili sobie zdjęcia na tle ozdobnej architektury. Przez długą chwilę Karpow rozkoszował się tym sielskim, spokojnym widokiem, tak rzadkim w dzisiejszej Moskwie, a potem powoli wrócił do czekającej na niego limuzyny. Na jego widok kierowca zapalił silnik, wysiadł i grzecznie otworzył szefowi tylne drzwiczki. Minęła ich wysoka blondynka w rudawym futrze z lisa i kozakach do kolan. Kierowca odprowadził ją wzrokiem, a Karpow tymczasem znikł we wnętrzu ziła, zamykając za sobą drzwiczki.

– Do kwatery głównej – rzucił kierowcy, który z opóźnieniem, ale wreszcie usiadł za kółkiem i teraz skwitował polecenie skinieniem głowy, wrzucił bieg i ruszył, oddalając się od Kremla.

Od kwatery głównej FSB-2, mieszczącej się przy ulicy Znamenka, dzieliło ich jedenaście minut jazdy, pod warunkiem, że nie było korków, a o tej porze dnia ruch raczej był mały. Karpow pogrążył się w rozmyślaniach. Zastanawiał się, jak dopaść Bukina, kiedy będzie sam, odciąć go od jego kontaktów. Uznał, że najlepiej będzie zaprosić go na kolację. Po drodze każe kierowcy zjechać na wielki plac budowy przy ulicy Warwarka. Nie ma tam zasięgu, więc nikt im nie przeszkodzi w „przedyskutowaniu” zdrady Bukina w cztery oczy.

Kierowca zatrzymał się na czerwonym świetle, ale nie ruszył, kiedy zmieniło się na zielone. Przez przyciemnioną szybę Karpow zauważył, że obok nich stoi mercedes limuzyna. Na jego oczach otworzyły się tylne drzwiczki od strony pasażera. Było zbyt ciemno, by rozpoznać wysiadającego mężczyznę, ale zaraz potem otworzył on drzwiczki ziła – dziwne, kierowca zawsze zamykał je i blokował – i usiadł obok niego.

– Borisie Iljiczu, miło pana widzieć. Jak zawsze – powiedział Wiktor Czerkiesow. Uśmiechał się jak hiena... i, co Karpow natychmiast zauważył, identycznie śmierdział. Żółte oczy sprawiały, że zawsze wyglądał na wygłodzonego, można nawet powiedzieć: spragnionego krwi. Pochylił się w stronę kierowcy. – Plac budowy przy Warwarce – rozkazał.

– Tak, to chyba będzie właściwe miejsce. – Rozparł się w siedzeniu, a jego obrzydliwy uśmiech wydawał się jarzyć w mroku panującym wewnątrz limuzyny. – Nie chcemy przecież, by ktoś nam przeszkadzał, prawda, Borisie Iljiczu.

Nie było to bynajmniej pytanie.

Mandy i Michelle spały, obejmując się, mocno do siebie przytulone, jak zawsze po długich erotycznych ćwiczeniach. Bud Halliday i Jalal Essai wręcz przeciwnie. Przeszli do salonu w apartamencie, którego właścicielami byli do spółki, pod pseudonimem tak doskonale udokumentowanym, że do prawdziwych właścicieli nie sposób było dotrzeć.

Z grzeczności raczej niż ochoty Halliday popijał ze szklanki słodką miętową herbatę.

– Powinieneś chyba wiedzieć – zwrócił się pozornie obojętnym głosem do siedzącego naprzeciwko niego Essaia – że Oliver Liss został zatrzymany przez władze federalne.

Essai zeszywniał.

– Co? Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej? – Halliday gestem wskazał sypialnię, w której smacznie spały bliźniaczki.

– Ale... co się stało? Wydawał się bezpieczny.

– Wygląda na to, że w naszych czasach nikt nie jest bezpieczny. – Halliday szukał pudełka z cygarami.

– Departament Sprawiedliwości nieoczekiwanie rozpoczął nowe śledztwo w sprawie jego kontaktów z czasów, kiedy kierował Black River. – Nagle podniósł głowę, dosłownie przesywając rozmówcę spojrzeniem. – Czy może ono doprowadzić do ciebie?

– Zabezpieczyłem się z każdej strony – zapewnił go Essai. – Pilnowałem tego od samego początku.

– W takim razie w porządku. Pieprzyć Lissa. My robimy swoje.

Jalal Essai jednak nie odzyskał jeszcze pewności siebie.

– A ty? – spytał. – Nie jesteś zaskoczony?

– Moim zdaniem Oliver Liss od dłuższego czasu stąpał po bardzo cienkim lodzie.

– Ale jest mi potrzebny!

– Poprawka. Był potrzebny. Jeśli mówię, że będziemy robili swoje, to będziemy robili.

Halliday znalazł wreszcie skórzane pudełko z cygarami, wyjął jedno i podał Essaiowi, który jednak uprzejmie mu odmówił. Odciął czubek, włożył cygaro do ust i przez chwilę obracał jego koniec w płomieniu zapalki. Wreszcie wypuścił kłęb dymu.

– Przypuszczam, że Liss rzeczywiście nie jest już do niczego potrzebny – zgodził się z nim Marokańczyk.

– Powiedziane jak na mężczyznę przystało. – Palenie uspokoiło Hallidaya. Po seksie z Michelle serce zawsze waliło mu w piersi tak mocno, że aż bolało. Z tej dziewczyny jest prawdziwa pieprzona gimnastyczka.

Essai dolał sobie herbaty.

– Z Lissem wykonywałem tylko polecenia organizacji, którą już opuściłem.

– Teraz to nasz wspólny biznes – zauważył Halliday.

Marokańczyk skinął głową.

– Biznes wart sto miliardów w złocie.

Halliday zmarszczył czoło. Patrzył na żarzący się czubek cygara.

– Nie czujesz wyrzutów sumienia? Zdradziłeś Severus Domna, a to przecież ludzie z twojego plemienia.

Jalal Essai zignorował tę rasistowską uwagę. Miał czas przyzwyczaić się do Hallidaya, tak jak człowiek przyzwyczaja się do irytującego swędzenia.

– Moje plemię niczym nie różni się od twojego plemienia. W obu są ci dobrzy, ci źli i ci

brzydcy.

Halliday wybuchnął śmiechem tak serdecznym, że omal nie udusił się dymem z cygara. Pochylił się do przodu, śmiał i krztusił. Do oczu napłynęły mu łzy.

– Muszę przyznać, Essai, że z ciebie fajny facet, jak na Araba.

– Jestem Berberem. Amazigh. – Marokańczyk wypowiedział te słowa rzeczowo, bez urazy.

Sekretarz obrony przyjrzał mu się przez chmurę tytoniowego dymu.

– Mówisz po arabsku, prawda?

– Mówię kilkoma językami, w tym berberyjskim.

Halliday rozłożył ręce, jakby te słowa dowodziły słuszności postawionej przez niego tezy. Jalala Essaia poznał na studiach, na które Marokańczyk uczęszczał, będąc na wymianie studenckiej. To właśnie dzięki niemu zainteresował się czymś, co traktował jako narastające zagrożenie cywilizowanego świata ze strony Arabów. Ten człowiek był muzułmaninem, ale też i outsiderem w podzielonym, także przez religię, świecie. Jego widzenie świata pozwoliło Hallidayowi dostrzec, że jest tylko kwestią czasu, nim sekciarskie spory przekroczą garnice i zmieniają się w niekończące wojny. Właśnie z tego powodu kultywował tę znajomość, czyniąc z Essaia doradcę i przyjaciela. Dopiero później, gdy Berbera przestały interesować cele Severus Domna, zorientował się, że wysłano go do Stanów, do tego właśnie college'u, by uczynił z niego swojego przyjaciela i stronnika.

A kiedy górę wzięła chciwość i kiedy Essai wyznał, co nim początkowo kierowało, Halliday uznał, że jego najskrajniejsze uprzedzenia są najzupełniej racjonalne i głęboko zakorzenione w faktach. Znienawidził Berbera, planował nawet zabicie go. W końcu jednak zrezygnował. Obu uwiodło złoto króla Salomona, bo któż by zdołał oprzeć się pokusie zdobycia tak wspaniałego skarbu? Pewnego dnia, w jednej nieprzyjemnej chwili Halliday zrozumiał, że on i Essai mają ze sobą więcej wspólnego, niż można przypuszczać, biorąc pod uwagę dramatyczną różnicę pochodzenia. Obaj są wojownikami ciemności, zamieszkują świat cieni, na obrzeżu cywilizowanego społeczeństwa. Bronią go przed niszczącymi siłami, tymi zewnętrznymi i tymi wewnętrznymi.

– Severus Domna niczym nie różni się od tyra, faszystowskiego, komunistycznego czy socjalistycznego – powiedział Essai. – Żyje tylko po to, by mieć władzę, ulokować swoich członków tam, gdzie będą mogli sterować wydarzeniami na świecie tylko po to, by zyskać jeszcze większą władzę. W obliczu takiej potęgi polityka prowadzona przez zwykłych ludzi nie ma żadnego znaczenia, podobnie jak religia. – Essai poprawił się w fotelu, założył nogę na nogę.

– Z początku celem Severus Domna było doprowadzenie do zmian, do zetknięcia umysłowości Wschodu z umysłowością Zachodu, islamu, chrześcijaństwa i judaizmu. To był szlachetny cel, przyznaję, i początkowo pojawiły się nawet sukcesy, choć w drobnych sprawach. Ale potem, jak wszystkie ludzkie przedsięwzięcia, Severus Domna też padło ofiarą ludzkiej natury.

Wyprostował się nagle i przesunął na brzeg kanapy.

– I powiem ci jeszcze jedno: prawdziwym, najsilniejszym motywem działania człowieka jest chciwość. Przebija nawet gniew. Chciwość ogłupia jak seks, czyni mężczyznę ślepym na strach i wszystko inne. Chciwość splątała cele Severus Domna tak bardzo, że właściwie przestały być ważne. Członkowie bractwa pozornie jeszcze do nich dążą, pozornie pamiętają o

pierwotnej misji, ale w tej chwili Severus Domna jest przeżarte zgnilizną do szpiku kości.

– A jak my wyglądamy na ich tle? – Halliday pykał cygaro. – Jesteśmy równie zachłanni jak Severus Domna, a może nawet bardziej?

– Ale obaj doskonale wiemy, co nami kieruje. – Oczy Marokańczyka błyszczały. – Widzimy jasno i myślimy jasno.

• • •

Scarlett szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w rozwiązującego ją Bourne'a. Na policzkach zasychały jej łzy. Już nie płakała, ale trzęsła się i dzwoniła zębami.

– Czy z mamą wszystko w porządku?

– Tak, nic jej się nie stało.

– Kim jesteś? – Dziewczynka nie wytrzymała i z jej oczu znowu popłynęły łzy. – I kim był ten człowiek?

– Mam na imię Adam i jestem przyjacielem twojej mamy – odrzekł Bourne. – Poprosiłem ją o pomoc, więc zabrała mnie do Oksfordu na spotkanie z profesorem Gilesem. Pamiętasz go?

Scarlett przytaknęła i pociągnęła nosem.

– Lubię profesora Gilesa.

– On też bardzo cię lubi.

Bourne przemawiał kojącym głosem i dziewczynka wydawała się uspokajać.

– Wleciałeś do tego pokoju jak Batman – stwierdziła.

– Nie jestem Batmanem.

– Przecież wiem – oburzyła się. – Ale cały jesteś pokryty krwią, a przecież nie zostałeś ranny.

Bourne odkleił od ciała mokrą koszulę.

– To nie jest prawdziwa krew. Musiałem oszukać człowieka, który was porwał. Ciebie i mamę.

Dziewczynka przyjrzała mu się dokładnie, z wielkim zainteresowaniem.

– Jesteś tajnym agentem jak ciocia Tracy?

Nie mógł się nie roześmiać.

– Ciocia Tracy nie była tajnym agentem.

– A właśnie tak.

Zabrzmiało to bardzo stanowczo i ostrzegło Bourne'a, że nie wolno traktować Scarlett jak dziecka.

– Dlaczego jesteś tego taka pewna?

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– Bo kiedy się z nią rozmawiało, to nigdy nie mówiła wszystkiego. Moim zdaniem miała tylko sekrety. I zawsze była smutna.

– Tajni agenci zawsze są smutni?

Skinęła głową z przekonaniem.

– Właśnie dlatego zostają tajnymi agentami.

Było w tym stwierdzeniu coś czystego i głębokiego, ale ta zagadka nie domagała się natychmiastowego rozwiązania.

– Profesor Giles i mama pomogli mi w pewnej sprawie. Niestety, ten człowiek chciał mi coś odebrać.

– Musiał bardzo chcieć.

– No tak, owszem. – Bourne musiał się uśmiechnąć.

– Bardzo mi przykro, że ściągnąłem niebezpieczeństwo na ciebie i mamę.

– Chcę ją zobaczyć.

Wzięła dziewczynkę na ręce. Wydała mu się zimna jak lód.

Zaniósł ją na łóżko przy oknie. Chrissie leżała nieprzytomna, cała pokryta odłamkami szkła.

– Mamo! – Scarlett wyrwała się z jego ramion. – Mamo, obudź się!

W jej głosie brzmiała panika. Bourne sprawdził puls Chrissie. Był równy i mocny. Oddychała głęboko.

– Wszystko będzie dobrze, Scarlett.

Uszczypnął nieprzytomną w policzek. Jej powieki zadrżały i rozchyliły się powoli. Spojrzała mu w oczy.

– Scarlett...

– Jest tu, przy tobie.

– Coven?

– Adam wleciał przez okno jak Batman. – Dziewczynka nie omieszkała pochwalić się tym, co widziała.

Dopiero teraz Chrissie zwróciła uwagę na koszulę Bourne'a.

– Tyle krwi...

Scarlett chwyciła ją za rękę i mocno ścisnęła.

– Jest fałszywa, mamo.

– Już wszystko w porządku – powiedział Bourne. – Nie, jeszcze się nie ruszaj. – Oczyszczył ją ze szkła jak mógł najlepiej. – No dobrze, a teraz rozepnij bluzkę.

Chrissie próbowała, ale palce drżały jej tak bardzo, że nie mogła uchwycić guzików.

– Strasznie bołą mnie ręce – szepnęła. Odwróciła głowę i uśmiechnęła się do córki. – Dobrze, że jesteś już bezpieczna, kotku.

Scarlett znowu się rozplakała. Bourne rozpiął guziki bluzki Chrissie i wytrząsnął z niej okruchy szkła, a potem pomógł jej się podnieść i zejść z łóżka. Zadrżała, przechodząc nad nieruchomym ciałem Cvena. Po drodze zatrzymali się w pokoju, który podczas pobytów w tym domu był ich pokojem. Chrissie zabrała z niego bluzy dla siebie i Scarlett: żółtą, w różowe zajączki liżące lody z rożków. Dziewczynka przyklękała, by ją włożyć, i dopiero wówczas szok, który przeżyła, ujawnił się z całą siłą. Zalała się łzami, a w połowie schodów zaczęła jęczeć.

Chrissie przytuliła ją mocno.

– Już wszystko dobrze, kotku. Wszystko dobrze. Mama jest przy tobie.

Na parterze zwróciła się do Bourne'a:

– Coven skrepował ojca. Gdzieś tu jest.

Bourne znalazł go w jednej z kuchennych szafek, związanego i zakneblowanego. Starszy pan był nieprzytomny albo z powodu ciosu, po którym na lewej skroni został mu pokaźny siniak, albo z braku tlenu. Położył go na podłodze i rozwiązał. Dom nadal był ciemny, pozbawiony prądu.

Chrissie i Scarlett wbiegły do kuchni.

– Mój Boże, czy on nie żyje?! – krzyknęła Chrissie.

– Żyje. – Bourne cofnął palce z tętnicy szyjnej jej ojca.

– Serce bije mocno.

Chrissie, której widok skrępowanego, bezradnego ojca odebrał całą odwagę, rozplakała się cicho. Widząc matkę w takim stanie, Scarlett natychmiast się rozszlochała, więc Chrissie przygryzła wargi i postarała się opanować. Zmoczyła ścierkę w zimnej wodzie, po czym przyłożyła ją do policzka Bourne'a, już puchnącego i siniejącego.

– Unieś go, dobrze? – poprosiła. – Będzie mi łatwiej podać mu trochę wody.

Spełnił jej prośbę, zachowując ostrożność.

– Tato? Tato!

– Gdzie ten sukinsyn, który mnie uderzył? – odezwał się starszy pan.

– Nie żyje – powiedział Bourne.

– Tato, proszę, wypij trochę wody. – Chrissie uważnie obserwowała ojca. Bała się, że lada chwila znów straci przytomność. – Od razu lepiej się poczujesz.

Ale on nie zwracał uwagi na córkę. Całą uwagę skupił na towarzyszącym jej mężczyźnie. Oblizwał wargi i przytknął usta do szklanki. Pił, a na jego chudej szyi jabłko Adama podskakiwało rytmicznie w górę i w dół. Nagle się zakrztusił.

– Ostrożnie, tato. Ostrożnie!

Odsunął szklankę i powoli wyprostował palec. Wskazał nim Bourne'a.

– Znam cię – powiedział głosem przypominającym tarcie papierem ściernym po metalu.

– Chyba nie – zdziwił się Amerykanin.

– Znam, znam. Odwiedziłeś Centrum, kiedy jeszcze nim kierowałem. Oczywiście to było dawno, lata temu, kiedy mieliśmy siedzibę w Old Boys' School przy George Street. Ale nie zapomniałem. Musiałem zadzwonić do byłego kolegi, Basila Bayswatera, straszego palanta. Zarobił na giełdzie i przeniósł się do Whitney. Cały czas spędzał, grając w jakieś antyczne szachy czy coś. Skandaliczne marnowanie czasu. Ale ty – czubek palca dotknął piersi Bourne'a – to co innego. Nigdy nie zapominam twarzy. Niech mnie diabli! Jesteś profesor Webb! No oczywiście. David Webb.

Rozdział 20

Peter Marks porozmawiał przez telefon z Jasonem Bourne'em, krótko i treściwie, po czym, choć z mieszanymi uczuciami, zgodził się jednak na spotkanie pod podanym przez rozmówcę adresem. Trochę zaskoczyło go to, że Bourne w ogóle do niego się odezwał, ale z drugiej strony jego głos wydawał się jakiś zmieniony. Musiał zastanowić się, w co znów się pakuje. Ich znajomość była, można powiedzieć, jednokierunkowa: przez Sorayę. Wiedział to i owo o jej związku z Bourne'em i często zastanawiał się, czy przypadkiem nie zabarwiła uczuciem zawodowej opinii o tym człowieku.

Jakiś czas temu Centrala Wywiadu przyjęła oficjalne stanowisko głoszące, że amnezja Jasona Bourne'a uczyniła go nieprzewidywalnym, a przez to niebezpiecznym. Był agentem zbuntowanym, nielojalnym wobec kogokolwiek i czegokolwiek, a przede wszystkim wobec CI. I choć firma zmuszona była w przeszłości korzystać z jego usług, zawsze uciekała się do podstępów i przymusu. Najwyraźniej tylko tak dawało się go kontrolować, choć i te metody nie gwarantowały sukcesu. Marks wiedział o ostatnim osiągnięciu Bourne'a: zdemaskowaniu i zniszczeniu Black River oraz zapobieżeniu wojnie z Iranem, ale nie wiedział o nim nic jako o człowieku. Jako człowiek Bourne był dla niego zagadką. Nikomu nie udało się przewidzieć, jak zareaguje w danej sytuacji. No i pozostawało faktem, że wielu usiłujących się do niego zbliżyć ludzi ginęło nagłą, gwałtowną śmiercią. Na szczęście Soraya do nich nie należała, choć istniała obawa, że może się to zmienić.

– Złe wieści? – spytał don Fernando Herrera.

– Nie, po prostu więcej tego samego. Mam umówione spotkanie.

Siedzieli w salonie domu Diega Hererra otoczeni jego zdjęciami. Marks zastanawiał się, czy miejsce to pogłębia żalobę, czy też może oferuje pociechę ojcu Diega.

– Señor Herrera, nim odejdę, chciałbym się dowiedzieć, czy może mi pan powiedzieć coś więcej o swoim chrześniaku. Czy wie pan, dlaczego wczoraj wieczorem odwiedził Vesper Club lub jaki mógł mieć powód, by zasztyletować Diega? Co ich właściwie łączyło?

– Odpowiedź na ostatnie pytanie brzmi: nic.

Herrera wyciągnął z paczki papierosa. Zapalił go, ale palenie chyba go nie interesowało. Miał rozbiegane oczy, jakby bał się zatrzymać spojrzenie na jakimś konkretnym przedmiocie. Marks widział, że jest zdenerwowany. Ale czym?

Don Fernando przyglądał mu się przez chwilę. Popiół z tłącego się w jego rękę papierosa opadł bezgłośnie na podłogę, między jego stopy.

– Diego nie wiedział o istnieniu Ottavia, przynajmniej jeśli chodzi o jego związki ze mną.

– Więc dlaczego Ottavio zabił Diega?

– Nie miał powodu, a więc nie wierzę, że to zrobił.

Herrera polecił kierowcy zawieźć Marksa do najbliższej agencji wynajmu samochodów. Nalegał, by przedtem wymienili się numerami telefonów. Wygłoszona przez niego deklaracja niewiary rozbrzmiewała echem w uszach Marksa wpisującego podany mu przez Bourne'a adres do programu GPS palmtopa.

– Chcę być informowany na bieżąco o rezultatach pańskiego śledztwa – oznajmił Herrera. – Obiecał mi pan, że znajdzie mordercę mojego syna. Powinien pan wiedzieć, że wszystkie złożone mi obietnice traktuję niezwykle poważnie. Marks nie widział powodu, by wątpić w jego słowa. Wyjechał wynajętym samochodem z parkingu Agencji. Kwadrans później zapiszczał jego palmtop: to Soraya przysłała wiadomość. Po kilku kolejnych minutach odezwał się Willard:

- Raport o postępach.
- Nawiązałem kontakt – powiedział Marks, mając na myśli Bourne’a.
- Wiesz, gdzie jest? – Willard zadał to pytanie bardzo szybko, co było dla niego nietypowe.
- Jeszcze nie, ale wkrótce będę wiedział.
- To dobrze. Bo może zabraknąć mi czasu.
- Czasu na co?
- Misja uległa pewnej modyfikacji. Masz ułatwić spotkanie Bourne’a z Arkadinem.

Marks próbował odczytać z tonu Willarda, o co chodzi. Coś się zmieniło tam, na miejscu. Nienawidził nie wiedzieć, co się dzieje, bo to oznacza, że automatycznie jest w niekorzystnej sytuacji.

- A co z pierścieniem?
- Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – warknął Willard.
- Masz wykonywać rozkazy.

Teraz Marks już wiedział, że odcięto go od informacji o jakiejś istotnej zmianie. Jak rosnącą w gardle gulę poczuł doskonale mu znany gniew na machinacje szefów.

- Soraya Moore nawiązała kontakt? – zapytał Willard.
- Tak. Właśnie otrzymałem jej przetworzony SMS.
- Skontaktuj się z nią – padł rozkaz. – Skoordinujcie wysiłki. Obaj mężczyźni mają znaleźć się w tym miejscu.

– Podał adres. – Twoja sprawa, jak tego dokonasz, ale mam informację, która powinna zainteresować Arkadina.

– Powiedział Peterowi, czego dowiedział się od El-Ariana o pliku na twardym dysku laptopa, bezużytecznym bez dodatkowych informacji. – Masz siedemdziesiąt dwie godziny.

– Siedemdziesiąt dwie... – Nie dokończył pytania, które i tak trafiłoby w przestrzeń. Połączenie zostało przerwane.

Na następnym skrzyżowaniu Marks sprawdził mapę GPS na palmtopie. Chciał się upewnić, czy podczas rozmowy z Willardem nie przegapił jakiegoś rozjazdu. Dzień wstał słoneczny, lecz później nadciągnęły chmury redukujące okolicę do odcieni szarości. Lekka mżawka złągodziła nawet najostrzejsze kanty budynków i znaków drogowych.

Czerwone światło zmieniło się na zielone. Zjeżdżając ze skrzyżowania, Peter zauważył wjeżdżającego tuż za nim na jego pas białego forda. Potrafił rozpoznać ogon, a tego forda widział już wcześniej, trzymającego się na dystans, oddzielonego kilkoma samochodami. Od czasu do czasu tracił go z oczu, gdy widok zasłaniały wielkie ciężarówki wyładowane produktami rolnymi. W fordzie siedziała tylko jedna osoba, kierowca w czarnych okularach. Marks wcisnął gaz do dechy. Wynajęty samochód przyspieszał opornie, a Peter zmieniał biegi z pierwszego na drugi i trzeci nieco za szybko jak na jego możliwości. Była taka chwila między dwójką i trójką, kiedy wyraźnie się zawahał i Peter był prawie pewny, że rozwalił

skrzynię. Ale nie, wóz przyspieszył nagle, omal nie waląc maską w jadącą z przodu ciężarówkę. Marks zjechał na prawy pas, jeszcze przyspieszając. Ford był tuż za nim.

Znajdowali się w tej części Londynu, gdzie na ulicach zawsze panował ruch. Pełno tu było butików i większych sklepów. Znak wskazujący wjazd do podziemnego garażu pojawił się tak szybko, że Peter zdążył skręcić dosłownie w ostatniej chwili. Lewym przednim błotnikiem otarł się o betonową ścianę, skontrolował i opadającą rampą pomknął wprost do oświetlonej martwym, neonowym światłem jaskini.

Wjechał na miejsce parkingowe tak wąskie, że musiał wysiadać przez okno. Ledwie się przez nie przecisnął, gdy usłyszał pisk opon; najwyraźniej ford nie zgubił jego śladu. Po lewej, przy drzwiach do windy, znajdowało się wejście na klatkę schodową. Wbiegł tam w tej samej chwili, w której obok niego przemknął biały samochód.

Klatka schodowa śmierdziała olejem samochodowym i moczem. Wbiegał, przeskakując po dwa, trzy stopnie naraz. Usłyszał trzask zamykanych drzwiczek, a potem szybki stuk obcasów na betonie. Był ścigany.

Tuż przed zakrętem na schodach leżał pijany do nieprzytomności bezdomny. Marks pochylił się i wstrzymując oddech, przeciągnął go kawałek, tuż za róg, i ułożył w poprzek klatki schodowej. Następnie ukrył się w mroku kilka stopni wyżej. Czekał, oddychając głęboko i spokojnie.

Głośnie, szybkie kroki zbliżały się. Przykucnął, napinając mięśnie. Jego ogon wypadł z za rogu i tak jak Peter przewidział, dostrzegł przeszkodę, kiedy było już za późno. Potknął się, poleciał głową naprzód i w tym momencie Marks skoczył, uderzając go kolanem w głowę. Zaatakowany mężczyzna wyprostował się, znów potknął o pijaka i upadł na wznak.

Marks dostrzegł, że spod kurtki wyciąga browninga M1900. Kopnął go w rękę w chwili, gdy pociągał spust. Huk strzału w zamkniętej przestrzeni i wzbudzone przezeń echo były tak ogłuszające, że pijak obudził się i usiadł. Facet z browningiem złapał go za kołnierz i przyłożył mu lufę do skroni.

– Pójdiesz ze mną – powiedział z obcym akcentem, być może ze Środkowego Wschodu. – Albo rozwalę mu łeb.

– Szarpnął pijakiem tak mocno, że spomiędzy jego obwisłych warg trysnęły kropelki śliny.

– Odpieprz się, skurwielu! – wrzasnął bezdomny, nie zdając sobie sprawy, co się dzieje.

Facet, jednocześnie wściekły i pełen pogardy, uderzył go w głowę lufą browninga. Marks go zaatakował. Nasadą dłoni zadał cios w podbródek, po czym jedną ręką wyrwał mu broń, a drugą uderzył w obnażone gardło, miażdżąc chrząstkę. Mężczyzna upadł, bezskutecznie próbując zaczerpnąć powietrza. Przewrócił szeroko otwartymi oczami, jeszcze przez chwilę wydawał zwierzęce odgłosy, ale wkrótce i one ucichły. Pijak obrócił się zdumiewająco zręcznie.

– A to jak ci się podoba, skurwielu! – Kopnął trupa w podbrzusze i odszedł, bełkocąc coś do siebie.

Marks szybko przejrzał kieszenie ofiary. Znalazł kluczyki do forda i plik banknotów, nie znalazł natomiast paszportu ani żadnego innego dowodu tożsamości. Mężczyzna był ciemnoskóry, miał kręcone włosy i gęstą brodę. Jedno jest pewne, pomyślał, nie pracuje w CI. Więc dla kogo pracuje i po jaką cholere mnie śledził? Zastanawiał się też nad tym, kto oprócz Willarda i Olivera Lissa wie, że przebywa tu, w Londynie.

Usłyszał gwizdek policyjnego patrolu i już wiedział, że musi jak najszybciej zmykać. Jeszcze raz obrzucił wzrokiem zwłoki, żałując, że nie mają żadnej cechy umożliwiającej identyfikację, choćby tatuażu albo...

Dopiero teraz na środkowym palcu prawej ręki zauważył pierścień. Pochylił się, zdjął go z pewnym wysiłkiem. Miał nadzieję, że po wewnętrznej stronie znajdzie jakiś pamiątkowy grawerunek...

Ale znalazł coś o wiele bardziej interesującego.

• • •

Po raz drugi Soraya zobaczyła Leonida Arkadina w pustej restauracji na przystani. A raczej to on zobaczył ją, bo pochłonięta jedzeniem krewetek na ostro z żółtym ryżem nie widziała, jak wszedł. Kelner przyniósł jej drinka i oznajmił, że to Tequini od dżentelmena przy barze. Spojrzała na ofiarodawcę i okazało się, że jest nim właśnie Arkadin. Uśmiechnęła się i podniosła kieliszek martini, patrząc mu w oczy. Lepszej zachęty nie potrzebował.

– Uparty jesteś, to ci muszę przyznać – powiedziała, gdy stanął przy jej stoliku.

– Gdybym był twoim kochankiem, nie pozwoliłbym ci jeść kolacji samotnie.

– Chodzi ci o mojego mistrza w pływaniu? Kazałam mu się wynosić.

Roześmiał się. Gestem wskazał boks, który zajmowała.

– Mogę? – spytał.

– Wolałabym nie.

Usiadł jak gdyby nigdy nic i postawił na stole szklanę. Teraz to było jego terytorium.

– Jeśli pozwolisz mi zamówić, zapłacę rachunek.

– Nie podoba mi się ten pomysł – oznajmiła Soraya głosem bez wyrazu.

– Czy ci się podoba, czy nie, nie ma nic do rzeczy.

– Arkadin podniósł rękę. Kelner natychmiast pojawił się przy ich stoliku. – Stek, krwisty, z tomatillos.

Kelner posłusznie skinął głową i odszedł. Arkadin uśmiechnął się. Zaskoczył Sorayę tym uśmiechem, pozornie szczerym i ciepłym. Zaskoczył i przestraszył.

– Mam na imię Leonardo.

– Nie bądź śmieszny – prychnęła. – W Puerto Peñasco nikt nie może mieć na imię Leonardo.

Wydał jej się zawstydzony jak mały chłopiec przyłapany na podkradaniu cukierków. Powoli zaczynała rozumieć jego podejście do kobiet. Dostrzegła wielki magnetyzm tego mężczyzny, doceniła jego umiejętność przykuwania uwagi tym, że choć promieniował pewnością siebie człowieka naprawdę potężnego, nie ukrywał też wrażliwości. Jaka kobieta potrafi się temu oprzeć? Roześmiała się w duchu i natychmiast poczuła się lepiej, jakby wreszcie stanęła twardo na ziemi, a jednocześnie zobaczyła przed sobą drogę prowadzącą do wykonania powierzonego jej zadania.

– Masz rację, oczywiście – przyznał Arkadin. – JESTEM Leonard. Tak zwyczajnie, po prostu Leonard.

– Penny. – Podała mu rękę. Uścisnął ją delikatnie i krótko.

– Co robisz w Puerto Peñasco, Leonardzie?

– Łowię ryby, startuję w wyścigach.

– Tym swoim „cygarem”?

– Tak.

Soraya skończyła jeść w chwili, gdy przyniesiono jego stek, rzeczywiście krwisty, polany najostrzejszym sosem chili. Prawie się na niego rzucił. Musi mieć stalowy żołądek, pomyślała Soraya.

– A ty? – spytał pomiędzy jednym kęsem a drugim.

– Mnie przyciągnęła tu pogoda – odpowiedziała, odsuwając Tequini.

– Nie lubisz tego drinka?

– Nie piję alkoholu.

– Alkoholiczka?

Roześmiała się w odpowiedzi.

– Muzułmanka. Jestem Egipcjanką.

– A więc przepraszam, że przysłałem nieodpowiedni prezent.

– Nie musisz przepraszać. – Soraya machnęła lekceważąco ręką. – Skąd mogłeś wiedzieć?

– Uśmiechnęła się. – Ale jesteś słodki.

– Ha! Wszystko, tylko nie słodki.

– Nie? – Przechyliła lekko głowę. – W takim razie jaki jesteś?

Arkadin otarł krew z ust, wyprostował się i milczał przez chwilę.

– No cóż, żeby nie skłamać... uchodzę za kogoś w rodzaju twardziela. W każdym razie za takiego mają mnie moi wspólnicy. Teraz, kiedy już ich wykupiłem. Żona też, skoro już przy tym jesteśmy.

– Ona też należy do przeszłości?

Mężczyzna skinął głową i wrócił do jedzenia.

– Prawie od roku – powiedział.

– Dzieci?

– Chyba żartujesz.

Soraya pomyślała z uznaniem, że ten mężczyzna ma prawdziwy talent do zmyślania.

– Ze mnie też byłaby kiepska matka – wyznała, niewiele mijając się z prawdą. – Zajmuję się wyłącznie moim biznesem.

Nie odrywając wzroku od talerza, Arkadin zapytał, co to za biznes.

– Eksport – import. Do i z Afryki Północnej.

Podniósł powoli głowę, wystudiowanym ruchem. Soraya czuła, jak mocno bije jej serce. Pomyślała, że właśnie zwabia rekina na hak. Nie wolno jej teraz popełnić najmniejszego błędu. Zadrzała lekko. Idzie po linie i zbliża się do tej nieuchronnej chwili, kiedy jej fikcyjne ja stopi się z ja rzeczywistym. Dla takich chwil zdecydowała się prowadzić takie życie, jakie prowadzi. Dlatego zgodziła się przyjąć zlecenie jej przez Petera zadanie, zgodziła się na łączące się z nim poniżenie. Nie ma to najmniejszego znaczenia. Liczy się tylko przepaść pod stopami. Żyje po to, by chodzić nad przepaścią i Peter wie o tym od niej samej.

Arkadin znów wytarł usta.

– Afryka Północna? Interesujące. Moi byli wspólnicy robili dużo interesów w Afryce Północnej. Nie podobały mi się ich metody czy raczej, by być szczerym, ludzie, z którymi je robili. To jeden z powodów, dla których postanowiłem ich wykupić.

Umiał poruszać się szybko, improwizował jak szalony. Sorai coraz bardziej podobała się ta rozmowa.

– A czym się dokładniej zajmujesz? – spytała.

– Komputery, urządzenia peryferyjne, usługi komputerowe, tego rodzaju rzeczy.

No jasne, pomyślała z rozbawieniem, kryjąc je pod maską zadumy.

– Cóż, mogłabym skontaktować cię z wiarygodnymi ludźmi. Jeśli chcesz.

– To może moglibyśmy wspólnie prowadzić interesy?

Rekin połknął przynętę – uświadomiła sobie z zachwytem.

Pora go zaciąć, ale powoli. I bardzo ostrożnie.

– Nie, nie wiem... i tak już ledwo dyszę – zawahała się.

– Więc musisz rozszerzyć działalność.

– Jasne. A skąd kapitał?

– Ja mam kapitał.

Przyjrzała mu się podejrzliwie.

– To chyba nie najlepszy pomysł. Przecież nic o sobie nie wiemy.

Arkadin odłożył nóż i widelec i się uśmiechnął.

– A więc interesy wymagają, byśmy poznali się lepiej.

– Podniósł palec. – Wiesz, mogę ci pokazać coś, co skusi cię do robienia interesów właśnie ze mną...

– Co takiego, jeśli można wiedzieć?

– Och, niech to będzie niespodzianka.

Arkadin przywołał kelnera. Zamówił dwie espresso, nie pytając, czy Soraya ma ochotę na kawę. Akurat miała. Chciała utrzymać zmysły w stanie najwyższej gotowości. Nie wątpiła, że jeszcze dziś wieczorem, w którymś momencie będzie zmuszona odtrącić jego awanse w sposób, który zachęci go raczej, niż zniechęci.

Przy kawie gawędzili swobodnie, coraz lepiej czując się w swym towarzystwie. Widząc go tak rozluźnionym, Soraya także nieco się odprężyła, na tyle, na ile mogła sobie pozwolić. Czuła jednak wewnętrzne napięcie jak śpiew stalowych lin na wietrze. Arkadin był człowiekiem równie charyzmatycznym co pełnym uroku. Rozumiała już, dlaczego tyle kobiet dało się wciągnąć na jego orbitę. Jednocześnie część jej umysłu obserwująca i analizująca sytuację z dystansu rozpoznawała odgrywane na jej cześć przedstawienie, informując, że ma do czynienia z fałszywym Arkadinem. Po pewnym czasie zaczęła się zastanawiać, czy ktokolwiek widział prawdziwego. Ten mężczyzna tak skutecznie odgrodził się od ludzi wysokim murem, że najprawdopodobniej sam nie potrafi go pokonać. W tej chwili sprawiał na niej wrażenie małego chłopca, który tak dawno zagubił się w lesie, że nie może odnaleźć drogi do domu.

– No i co – powiedział, odstawiając filiżankę – idziemy?

Rzucił na stół kilka banknotów i nie czekając na odpowiedź Sorai, wyslizgnął się z boksu. Wyciągnął do niej rękę. Po skalkulowanej na chłodno chwili wahania podała mu dłoń i pozwoliła pomóc sobie wstać.

Wyszli w noc, łagodną, bez śladu najślabszego choćby wietrzyka, ciężką jak aksamitne zasłony. Księżycyca nie było na niebie, ale gwiazdy płonęły jasno. Oddalili się od morza, po czym skręcili na północ. Szli wzdłuż plaży. Widoczna na horyzoncie po ich prawej ręce luna

Puerto Peñasco wydawała się fragmentem obrazu, innym światem.

Oświetlone latarniami ulice ustąpiły miejsca rozświetlonej gwiazdami ciemności, a potem, nagle, światłom budowli przypominającej kościół lub klasztor. Nad drzwiami z drewna i żelaza widniał wprawiony w kamień krzyż.

– Kiedyś był tu klasztor. – Arkadin otworzył drzwi. Odsunął się na bok, wpuszczając Sorayę do środka. – To mój dom z dala od domu.

Wnętrze było skąpo umeblowane, za to pachniało przyjemnie kadzidłem i woskiem świec. Stało tu biurko i kilka foteli, duży stół, przy nim osiem krzeseł, sofa przypominająca kościelną ławkę, na której leżały źle dobrane poduszki, a wszystko to zrobione było z ciemnego drewna. Nie wydawało się szczególnie wygodne.

Idąc przez salon, Arkadin zapalał grube kremowe świece umieszczone w żelaznych świecznikach różnej wysokości. Ogromne kamienne wnętrze nabierało dzięki nim zdecydowanie średniowiecznego charakteru. Soraya uśmiechnęła się do siebie; podejrzewała, że Arkadin umyślnie tworzy romantyczny nastrój, by ją uwieść.

Otworzył butelkę czerwonego wina, wlał je do wielkiego meksykańskiego kielicha, podobny wypełnił sokiem guara. Podał jej ten drugi.

– Chodź tędy – powiedział.

Poprowadził ją dalej w mrok, zatrzymując się i zapalając świece. Prawie całą przeciwległą ścianę zajmował kominek, ogromny niczym w rezydencji brytyjskiego arystokraty. Soraya czuła zapach starego popiołu oraz gromadzącej się na kamieniach smoły drzewnej, pamiątki po płonącym tu przez lata ogniu i, przynajmniej na oko, po latach zaniedbania.

Arkadin zapalił szczególnie dużą świecę i trzymając ją wysoko niczym pochodnię, podszedł do pogrążonego w cieniu kominka. Nieprzenikniona ciemność ustępowała niechętnie przed chwiejnym płomieniem. Powoli wyłaniał się z niej kształt. Przy kominku stało krzesło. Ktoś na nim siedział. Ktoś przywiązany do nóg krzesła za kostki. Ramiona, najprawdopodobniej spętane w nadgarstkach, miał związane z tyłu.

Arkadin zbliżył świecę do siedzącej na krześle postaci. W plamie światła pojawiły się stopy, całe nogi, tors i wreszcie twarz, posiniaczona i tak opuchnięta, że jedno oko było praktycznie zamknięte.

– Podoba ci się niespodzianka?

Wypuszczony z bezwładnej ręki Sorai kielich roztrzaskał się na podłodze.

Poznała Antonia.

•••

To było jak partia szachów. Bourne patrzył w oczy starszego pana, próbując zlokalizować go w pamięci jako dyrektora Centrum Studiów nad Dokumentami Starożytnymi z czasów, gdy przebywał w Oksfordzie jako David Webb, a starszy pan patrzył mu w oczy z każdą chwilą pewniejszy, że przed nim stoi właśnie David Webb. Chrissie przyglądała się im obu, jakby nie mogła się doczekać, który z nich da przeciwnikowi mata.

– Adamie, czy mój ojciec ma rację? Naprawdę nazywasz się David Webb?

Bourne widział tylko jedno wyjście. Wcale mu się nie podobało.

– Tak – odpowiedział. – I nie.

– Tak czy nie, nie nazywasz się Adam Stone. – W głosie Chrissie dźwięczała metaliczna nuta. – Co oznacza, że okłamałeś Tracy. Znała cię jako Stone’a. Ja też.

Bourne odwrócił się i spojrzał jej w oczy.

– Adam Stone to takie samo nazwisko jak David Webb. W różnych okolicznościach używałem różnych pseudonimów. Ale były to tylko pseudonimy.

– Niech cię diabli. – Chrissie wstała i poszła do kuchni.

– Strasznie się wściekła. – Scarlett przyglądała mu się szeroko otwartymi oczami.

– A ty? Też się wściekłaś?

– Nie jesteś profesorem?

– Szczerze mówiąc, jestem. Profesorem językoznawstwa.

– Więc uważam, że to fajnie. Masz mnóstwo takich tajnych tożsamości?

Bourne się roześmiał. Lubił to dziecko.

– Na każdą okazję.

– Jak lampa na Batmana. – Dziewczynka przekrzywiła głowę i z dziecinną bezpośredniością spytała: – Dlaczego okłamałeś mamę i ciocię Tracy?

Bourne chciał opowiedzieć jej krótko o ciotce, ale ugryzł się w język. Dla Scarlett ciotka żyła.

– Kiedy spotkałem twoją ciocię, używałem właśnie jednej z moich tajnych tożsamości, a potem ona opowiedziała o mnie mamie. To był najlepszy sposób, żeby mnie słuchała i nie zadawała pytań.

– Jeśli nie jesteś profesorem Webbem, to kim, do licha, jesteś? – Widać było, że dziadek Scarlett odzyskał już panowanie nad sobą.

– Kiedy się poznaliśmy, byłem Webbem. Nie przyjechałem do Oksfordu, do pana, pod fałszywym nazwiskiem.

– Co robisz w towarzystwie mojej córki i wnuczki?

– To długa historia.

Na twarzy starszego pana pojawił się chytry wyraz.

– Założę się, że ma to coś wspólnego z moją starszą córką.

– Do pewnego stopnia.

Ojciec Tracy zacisnął pięści.

– Przeklęty grawerunek!

Bourne zadrzał lekko, jakby ktoś przeciągnął mu czymś zimnym wzdłuż kręgosłupa.

– Jaki grawerunek?

Mężczyzna spojrzał na niego dziwnie.

– Nie pamiętasz? Jestem doktor Bishop Atherton. Przyniosłeś mi rysunek grupy składniowej. Powiedziałeś, że to przerysowany grawerunek.

Wspomnienia wróciły. Nagle Bourne pamiętał. Pamiętał wszystko.

Księga trzecia

Rozdział 21

Antonio osunął się w głęboką ciemność otaczającą palenisko, tak czarną i gęstą, że wydawała się negować nie tylko światło, ale i samo życie. Soraya podeszła do niego, starając się przebić ją wzrokiem.

– Żaden z niego seksowny czyściciel basenów – powiedział Arkadin. – Przynajmniej to jest jasne.

Soraya nie odpowiedziała. Zdawała sobie sprawę, że drażni się z nią, by czegoś się w ten sposób dowiedzieć. Sama w sobie była to dobra wiadomość. Antonio niczego nie powiedział, mimo iż został ciężko pobity. Uznała, że najlepszą reakcją będzie oburzenie.

– Coś ty zrobił najlepszego, do diabła?

Arkadin uśmiechnął się i było to jak pojawienie się wilka wśród sosen.

– Lubię wiedzieć, kim są moi przyszli wspólnicy. – Jego uśmiech, coraz szerszy, błyszczał jak wyjmowane z pochwy śmiertelne ostrze. – Szczególnie tak wygodni i pojawiający się tak nagle.

– Wspólnicy? – powiedziała Soraya ze śmiechem, w którym nie było śladu wesołości. – Pieprzone marzenia, mój rosyjski przyjacielu. Za żadne skarby nie zostałam twoją wspólniczką...

Arkadin wziął ją w objęcia, przycisnął usta do jej ust, ale Soraya była na to przygotowana. Przytuliła się do niego i wbiła mu kolano w krocze. Jego dłonie na jej ciele zdrząły, ale nie zwolniły uścisku. Wilczy uśmiech nadal wykrzywiał mu twarz, tylko w kącikach oczu pojawiły się łzy.

– Nie dostaniesz mnie – powiedziała cicho i bardzo zimno. – Ani w ten sposób, ani w żaden inny.

– Wręcz przeciwnie – odparł Rosjanin równie lodowato.

– Bo ty pojawiłaś się tu, żeby dostać mnie.

Na to Soraya nie miała odpowiedzi. Pozostała jej już tylko nadzieja, że Arkadin licytuje w ciemno, bo jeśli zna jej karty, jest skończona.

– Puść Antonia.

– Podaj mi jakiś powód.

– Porozmawiajmy.

Arkadin ostrożnie pomasaował obolałe podbrzusze.

– Już rozmawialiśmy.

– Spróbujemy innej formy komunikacji – zaproponowała Soraya, pokazując zęby w uśmiechu.

Leonid położył dłoń na jej piersi.

– Takiej?

Sorai udało się nie zacisnąć warg.

– Rozwiąż go. Niech idzie.

Arkadin udawał, że rozważa propozycję.

– Nie, raczej nie – powiedział po kilku pełnych napięcia chwilach. – On coś dla ciebie znaczy, to oczywiste, co czyni go cennym. Mogę wywierać na ciebie nacisk przez niego.

– Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej nóż sprężynowy. Rozległo się kliknięcie. Odepchnął Sorayę i podszedł do więźnia. – Co powinniśmy odciąć mu najpierw? Jak sądzisz? Ucho? Palec? A może sięgniemy jeszcze niżej?

– Jeśli cokolwiek mu odetniesz...

Spojrzał na nią.

– Tak?

– Jeśli cokolwiek mu odetniesz, nigdy nie zaśniesz przy moim boku.

W jego oczach pojawiła się pożądlliwość.

– Ja nigdy nie śpiam.

Soraya zdążyła już zwątpić, że Antonio przeżyje, kiedy zadzwonił jej telefon komórkowy. Odebrała, nie czekając na pozwolenie.

– To ty? – Rozpoznała Petera Marksa.

– Tak?

– Coś się stało? – Dzięki intuicji, która zawsze była jego mocną stroną, natychmiast wychwycił napięcie w jej głosie.

Soraya spojrzała Arkadinowi prosto w oczy.

– Wszystko jest w największym porządku.

– On?

– Jasne.

– Wspaniale! Więc nawiązałaś kontakt?

– Aż za dobrze.

– Jest problem. Rozumiem. No cóż, musisz sama sobie z nim poradzić, i to szybko. Czas stał się czynnikiem zasadniczym misji.

– Co się, do diabła, dzieje?

– W ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin masz sprowadzić Arkadina pod ten adres. – Powtórzył z pamięci to, co usłyszał od Willarda.

– Zamówienie nie do realizacji.

– Rzeczywiście. Niemniej musi zostać zrealizowane. On i Bourne muszą się spotkać, a Bourne będzie w tym czasie właśnie tam.

W otaczającej Sorayę ciemności pojawiła się iskierka światła. Tak, pomyślała, to się może udać.

– W porządku – powiedziała głośno. – Postaram się pospieszyć.

– I dopilnuj, żeby zabrał ze sobą laptop.

Soraya wypuściła powietrze z płuc.

– Jak proponujesz to zrobić?

– Hej, przecież właśnie za to płacą ci fortunę.

Peter rozłączył się, nim zdążyła mu powiedzieć, żeby szedł do diabła. Odchrząknęła z niesmakiem i schowała telefon do kieszeni.

– Kłopoty w interesach? – spytał Arkadin kpiąco.

– Nic, czego nie można by załatwić.

– Podoba mi się twoje pozytywne nastawienie. – Machnął trzymanym w dłoni nożem. – Czy

ten problem też da się załatwić bez problemu?

Soraya przywołała na twarz wyraz zamyślenia.

– Prawdopodobnie. – Minęła gospodarza i podeszła do kominka. Antonio patrzył na nią jedynym otwartym okiem. Wstrząsnęło ją, że się do niej uśmiechnął.

– Mną się nie przejmuj – powiedział ochryplym głosem.

– Dobrze się bawię.

Uważając, by Arkadin tego nie zauważył, przyłożyła palec do ust, a potem dotknęła nim jego warg. Kiedy go cofnęła, była na nim krew.

Spojrzała na Rosjanina.

– Wszystko zależy od ciebie – oznajmiła.

– Nie sądzę. Piłka jest po twojej stronie kortu.

– No więc załatwimy to tak – weszła w krąg światła świecy – ty uwolnisz Antonia, a ja powiem ci, gdzie znajdziesz Jasona Bourne’a.

Arkadin się roześmiał.

– Piękny blef.

– Nigdy nie blefuję w grze o ludzkie życie.

– Doskonale, ale co właścicielka firmy eksportowo-importowej może wiedzieć o Jasonie Bournie?

– To proste. – Soraya zdążyła już obmyślić odpowiedź.

– Od czasu do czasu używa mojej firmy jako przykrywki.

– Wyjaśnienie to było wystarczająco prawdopodobne, by Arkadin je kupił.

– A dlaczego pani biznesmenka sądzi, że obchodzi mnie, gdzie jest Jason Bourne?

Soraya lekko przekrzywiła głowę. To nie jest czas na okazywanie słabości.

– A obchodzi? – odpowiedziała pytaniem – A jeśli nie jesteś kimś, za kogo się podajesz?

– A jeśli to ty nie jesteś kimś, za kogo się podajesz?

Arkadin pogroził jej palcem.

– Nie, nie sądzę, żebyś prowadziła firmę eksportowo-importową.

– Więc zaczyna robić się ciekawie.

Arkadin skinął głową.

– Przyznam, że lubię tajemnice... zwłaszcza te zbliżające mnie do Bourne’a.

– Dlaczego tak go nienawidzisz?

– Jest odpowiedzialny za śmierć kogoś, kogo kochałem.

– Daj spokój. Ty nigdy nikogo nie kochałeś. – Arkadin zrobił krok w jej stronę. Nie potrafiła powiedzieć, czy jej grozi, czy po prostu pragnie znaleźć się bliżej niej. – Wykorzystujesz ludzi, a kiedy z nimi kończysz, wyrzucasz ich jak zużytą chusteczkę higieniczną.

– A Bourne? Przecież jest dokładnie taki jak ja.

– Nie. Nie jest taki jak ty.

Arkadin uśmiechnął się jeszcze szerzej. Po raz pierwszy od chwili ich spotkania nie groził jej. Zniknęła też ironia.

– Ach, wreszcie dowiedziałem się o tobie czegoś pożytecznego.

W ostatniej chwili powstrzymała się i nie plunęła mu w twarz. Uświadomiła sobie, że tylko pokazałaby, jak bardzo zbliżył się do prawdy.

I nagle Rosjanin zmienił się nie do poznania. Wyciągnął rękę, przesunął palcem po jej policzku, a potem wskazał Antonia czubkiem noża.

– No już, rozwiąż tego upartego sukinsyna. – A gdy Soraya po raz ostatni podchodziła do kominka, kiedy przyklękła i zaczęła rozwiązywać sznury, dodał: – Już go nie potrzebuję. Mam ciebie.

• • •

– No więc to było tak... – Chrissie wyglądała przez kuchenne okno nad zlewem. Nie było na co patrzeć, oprócz szarości świtu kładącego się na wierzchołkach drzewa jak gaza. Gdy Bourne wszedł, nie powiedziała ani słowa, zaczęła mówić dopiero, kiedy poczuła jego bliskość.

– Co było i jak? – przerwał ciszę, która zapadła po jej słowach.

– Chodzi o to, jak zaczęłam cię okłamywać. – Chrissie puściła gorącą wodę, podstawiła pod nią dłonie i zaczęła myć je, jakby była lady Makbet. – Pewnego dnia, mniej więcej rok po urodzeniu Scarlett, spojrzałam w lustro i powiedziałam sobie: „Twoje ciało wygląda jak porzucone”. Mężczyzna pewnie tego nie zrozumie. Porzuciłam ciało dla macierzyństwa, a to oznaczało, że porzuciłam samą siebie. – Jej dłonie poruszały się pod strumieniem wody, myła je, myła, nie mogła przestać. – Znienawidziłam się wtedy, a w konsekwencji także moje życie i tę jego część, którą była Scarlett. Tego nie mogłam oczywiście tolerować. Walczyłam z tym uczuciem i natychmiast wpadłam w straszną depresję. Ucierpiała praca, to jasne, więc oczywiście dziekan wydziału najpierw zasugerował, a potem zaczął łagodnie, lecz stanowczo naciskać, żebym wzięła urlop naukowy. Zgodziłam się, bo przecież nie miałam wyboru, rozumiesz? Ale kiedy zamykałam za sobą drzwi gabinetu, kiedy wyjeżdżałam z Oksfordu drzemiącego we mgle jak Avalon, wiedziałam już, że muszę wprowadzić poważne zmiany. Uświadomiłam sobie, że nie przez przypadek zamknęłam się tam, gdzie nigdy nic się nie zmienia. W Oksfordzie byłam bezpieczna jak ojciec. Tam wszystko jest zaplanowane, a nawet więcej: z góry wiadome i nie ma mowy o najmniejszej nawet zmianie planu. Dlatego tata właśnie tak zareagował na wybory życiowe Tracy. Przeraziła go, więc ją atakował. Dopiero wtedy, wyjeżdżając z Oksfordu, zrozumiałam tę rodzinną dynamikę i to, jaki miała na mnie wpływ.

Pomyślałam nawet, że może wybrałam bezpieczne życie dla ojca, nie dla siebie. – Zakreśliła wodę i wytarła ręce w ścierkę do naczyń. Grzbiety obu dłoni miała zaczerwienione, jakby je poraniła. – Muszę wynieść się stąd wraz z rodziną.

– Wyjedziemy, gdy tylko pojawi się przyjaciel.

– Scarlett.

– Jest z twoim ojcem.

Chrissie tęsknie spojrzała przez drzwi do pokoju dziennego.

– Przynajmniej Scarlett kocha moich rodziców.

– Westchnęła. – Wyjdźmy na świeże powietrze, tu trudno mi oddychać.

Przez kuchenne drzwi wyszli na świeży, wilgotny od rosy poranek. Było chłodno i kiedy mówili, z ich ust unosiły się obłoczki pary. Nagie drzewa nadal były czarne, jakby ich korzenie mocno trzymały się głębokiej nocy. Chrissie zadrżała i objęła się ramionami.

– Co się stało? – spytał Bourne.

– Nic, co miałyby jakikolwiek sens. Ślepy los sprawił, że spotkałam Holly.

Te słowa zaskoczyły Bourne'a.

– Holly Marie Moreau?

Chrissie skinęła głową.

– Szukała Tracy, znalazła mnie – wyjaśniła.

Wydaje się, że cała ta zagadka obraca się wokół Holly, pomyślał.

– Zaprzyjaźniłyście się?

– To było coś więcej niż przyjaźń. Czy też coś mniej. Wiem, że nie ma w tym za wiele sensu. – Chrissie wzruszyła ramionami. – Zaczęłam dla niej pracować.

Bourne ściągnął brwi. Czuł się jak górnik pełznący mrocznym korytarzem centymetr po centymetrze, a jednocześnie instynktownie wiedzący, w którą stronę się obrócić.

– Co robiła? – spytał.

Chrissie zaśmiała się krótkim, nieco zawstydzonym śmiechem.

– Kogoś takiego jak ona eufemistycznie nazywa się „dostawcą”. Od czasu do czasu jechała do Meksyku na dwa, trzy tygodnie. Na życzenie klienta zaopatrywała „narkorancza”. To posiadłości nieprodukujące niczego, własność meksykańskich baronów narkotykowych. Kawałki pustyni gdzieś na północy, na ogół w Sonorze, ale także nieco bardziej na południe, w stanie Sinaloa na przykład. Nikt nie mieszka tam na stałe oprócz nadzorczy i może kilku strażników.

W każdym razie byłam z nią w Mexico City. Chodziłyśmy do nocnych klubów. Do burdeli. Wybierała z listy, którą uaktualniała co tydzień jak kalendarz albo plan dnia. Zabierałyśmy dziewczyny do tego „narkorancza”, którego właścicielem był nasz aktualny klient. Na miejscu było tylko kilku Meksykanów, paru peonów i dobrze uzbrojeni żołnierze. Do nas uśmiechali się szyderczo, ale na widok dziewczyn aż się ślinili. Do mnie należało uporządkowanie wnętrza i rozdzielenie dziewczyn na sypialnie. Całą ciężką robotę wykonywali peoni.

A potem pojawiały się samochody: lincolny town car, chevy suburbany, mercedesy, wszystkie z przyciemnionymi szybami, aż uginające się pod ciężarem karoserii. Ich żołnierze rozstawiali strażę, czujne jak w obozie wojskowym w czasie wojny. Potem pojawiali się zaopatrzeniowcy ze świeżym mięsem, owocami, skrzynkami piwa i tequili, no i oczywiście z całymi górami kokainy. Zaczynało się grillowanie wołowiny, pieczenie na rożnie całych świń i baranów. Salsa i muzyka disco były coraz głośniejsze i głośniejsze. Faceci piekący mięso śmierzdźli potem i piwem tak strasznie, że aż od nich odrzucało. Na końcu zjawiali się szefowie z gorylami, i to już było jak święto trupów, zabawa, którą trudno sobie wyobrazić.

Bourne myślał tak szybko, że nawet jego to zdziwiło.

– Jednym z klientów Holly był Gustavo Moreno, prawda?

– Gustavo Moreno był jej najlepszym klientem. – Tak, to musi być prawda, uznał Bourne. Kolejny brakujący fragment układanki. – Wydawał więcej niż oni wszyscy. Uwielbiał się bawić, jak najdłużej, a im dłużej trwała zabawa, tym była głośniejsza i bardziej szalona.

– Znalazła się pani bardzo daleko od Oksfordu, pani profesor.

Chrissie skinęła głową.

– Bardzo daleko od cywilizacji. Tak daleko jak Holly. Prowadziła podwójne życie. Powiedziała, że ma w tym praktykę jeszcze z Maroka. Dorastała w rodzinie bardzo religijnej,

wręcz dewocyjnej. Kobieta miała niewiele praw, a dziewczynka jeszcze mniej. Rządził nią brat jej ojca, a ojciec chyba się wyłamał; w każdym razie z tego, co mówiła, wynikało, że doszło do bardzo nieprzyjemnego rozstania. Wyjechali we trójkę na Bali, a tam było zupełnie inaczej niż w ich wiosce w Atlasie. Nikomu nie mówiła o swoim sekretnym życiu w Meksyku.

A to akurat nieprawda, pomyślał Bourne. Mnie powiedziała albo dowiedziałem się o tym w jakiś inny sposób. To właśnie tak laptop znalazł się w rękach Morena, inaczej nie da się tego wytłumaczyć. Ja mu go dałem. Ale dlaczego? W tej zagadce, powiedział sobie, zawsze brakuje jakiegoś fragmentu, zawsze któreś pytanie pozostaje bez odpowiedzi.

– Rozumiem, że znałeś Holly – stwierdziła raczej, niż spytała Chrissie, a kiedy nie odpowiedział, dodała: – Pewnie to, co powiedziałam, było dla ciebie szokiem.

– Żałuję, że mnie okłamywałaś.

– Okłamywaliśmy się nawzajem. – Chrissie nie potrafiła ukryć goryczy.

– Mam aż za duże doświadczenie w kłamaniu.

Jasonowi wydawało się, że kiedyś poprosił Holly, by zabrała go w jedną ze swych podróży do Meksyku. A może ją do tego zmusił?

– Dlaczego zrezygnowałaś?

– Można powiedzieć, że na pustyni Sonora miałam objawienie. Nic dziwnego, że tak się ze sobą związałyśmy. Obie uciekałyśmy od naszego poprzedniego życia, od tego, kim byłyśmy. Czy raczej zagubiłyśmy się w życiu i nie wiedziałyśmy, kim i czym chcemy być. Zależało nam wyłącznie na tym, żeby nie być takimi, jak tego od nas oczekiwano.

– Chrissie spojrzała na swoje zaczerwienione dłonie, jakby ich nie poznawała. – Myślałam, że życie, które porzuciłam, święte sanktuarium Oksfordu, było nierzeczywiste. Ale po jakimś czasie uświadomiłam sobie, że nierzeczywiste było życie Holly.

Niebo pojaśniało. W koronach drzew odezwały się ptaki. Lekki wiatr przyniósł zapach wilgotnej ziemi, zapach życia.

– Pewnej nocy, bardzo późno, weszłam do pustego pokoju. Myślałam, że jest pusty, ale zobaczyłam Holly na Gustavie Morenie. Pieprzyli się. Patrzyłam na nich przez chwilę, jakbym nie znała tych ludzi, jakbym oglądała film porno. Potem pomyślałam: „Cholera, przecież to Holly!”. Można powiedzieć, że się obudziłam. – Pokręciła głową. – Nie sądzę, by z nią było podobnie.

Z tym stwierdzeniem Bourne musiał się zgodzić. Smutne, lecz prawdziwe. Holly różnie przedstawiała się różnym ludziom, nikomu tak samo. Mnogość tożsamości umożliwiła jej ukrycie się przed wszystkimi, choć był pewny, że najbardziej bała się wuja.

W tym momencie w drzwiach stanęła Scarlett.

– Hej – powiedziała – wy dwoje. Mamy gości.

W salonie siedzieli Ottavio Moreno i Peter Marks, przyglądając się sobie podejrzliwie.

– Co tu się, do diabła, dzieje? – spytał Bourne.

– To Ottavio Moreno, człowiek, który zasztyletował Diega Hererrę – zwrócił się do niego Marks. – Chronisz go?

– To długa historia, Peterze. Wyjaśnię ci wszystko w samochodzie, w drodze do...

Marks zwrócił się do Morena:

– A ty jesteś bratem Gustava, kolumbijskiego barona narkotykowego?

– To prawda – przytaknął Ottavio.

– A także chrzestnym synem don Fernanda Hererry, ojca twojej ofiary. – Moreno milczał, więc Marks mówił dalej:

– Przyjeżdżam wprost od don Fernanda. Jest pogrążony w smutku, rozumiecie to chyba, prawda? A może nie? W każdym razie nie wierzy, że to ty zabiłeś jego syna. W odróżnieniu od policji, która jest tego pewna. – Nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do Bourne'a: – Jak mogłeś do tego dopuścić!

W tym momencie Ottavio Moreno popełnił taktyczny błąd.

– A może tak byś się uspokoił? – powiedział. Lepiej by zrobił, trzymając gębę na kłódkę, lecz zapewne zaboląły go słowa Marksa i ton, jakim zostały wypowiedziane.

Bourne miał ochotę dopuścić, by ci dwaj się pobili, jeśli nie z konkretnego powodu, to przynajmniej po to, żeby jakoś rozładować napięcie ostatnich godzin, ale musiał myśleć o Chrissie i jej rodzinie. Wszedł pomiędzy nich, wziął przyjaciela pod rękę i poprowadził do drzwi, gdzie mogliby porozmawiać tak, by nikt ich nie słyszał. Nim zdążył powiedzieć słowo, Moreno zaatakował.

Był w pół drogi, gdy między drzewami rozległ się strzał. Padał na wznak, a druga kula roztrzaskała mu czaszkę. Bourne błyskawicznie rzucił się za opla Morena. Marks znajdował się tuż za nim. Ciszę poranka rozdarł trzeci strzał.

Peter Marks potknął się i upadł.

• • •

Wiktor Czerkiesow i Boris Karpow weszli na plac budowy przy ulicy Warwarka przez dziurę w siatce. Zeszli rampą w martwą strefę. Czerkiesow szedł coraz głębiej w gąszcz zardzewiałych dźwigarów i spękanych bloków betonu. W szczelinach rosły nieprzyjemnie wyglądające chwasty, jak kępy włosów na plecach giganta.

Zatrzymali się przy wgniecionej burcie rozsypującej się ciężarówki pozbawionej kół, okablowania i silnika. Stała mocno pochylona i wyglądała jak statek w drodze na dno oceanu. Kiedyś była zielona, ale ktoś pokrył ją bardzo artystycznymi, obscenicznymi, srebrnymi graffiti. Czerkiesow podziwiał je przez chwilę, uśmiechając się niemal niezauważalnie, a potem spojrział na Karpowa.

– A teraz, Borisie Iljiczu, bądź uprzejmy streścić mi pokrótce przebieg twojego zaimprovizowanego spotkania z prezydentem Imowem.

Nie widząc innego wyjścia, Karpow uznał za stosowne wypełnić jego polecenie. Nie przerywając mu ani razu, Czerkiesow wysłuchał opowieści o Bukinie i jego kretach, a kiedy się skończyła, skinął głową. Wyjął pistolet, Tokariewa TT, ale nie wymierzył go w rozmówcę, a przynajmniej nie dokładnie.

– W tym momencie, Borisie Iljiczu, pojawia się pytanie, co powinienem zrobić? Zastrzelić cię i zostawić ciało, żeby zgniło tu w spokoju? – Wydawało się, że przez chwilę rozważał tę opcję. – Nie. Po prawdzie niewiele by mi to dało. Poszedłeś wprost do Imowa, więc jesteś nietykalny. Gdybyś zginął lub choćby znikł, prezydent rozpocząłby śledztwo na całego i prędzej czy później śledczy stanęliby na moim progu. Potrafisz sobie chyba wyobrazić, jak bardzo byłoby to dla mnie niewygodne.

– Sądzę, że więcej niż niewygodne, Wiktorze Deljagowiczu – powiedział Karpow głosem

bez wyrazu. – Sądzę, że dla ciebie byłby to początek końca, a dla twojego najgorszego wroga, Nikołaja Patruszewa, wielki triumf.

– Ostatnio mam na głowie problem większy niż Nikołaj Patruszew. – Czerkiesow mówił powoli, z namysłem, jakby zapomniał, że ma towarzystwo. Nagle oprzytomniał i skupił spojrzenie na pułkowniku. – A więc zabić ciebie się nie da. Całe szczęście, bo cię lubię, Borisie Iljiczu. A dokładniej: podziwiam zarówno twoją nieustępliwość, jak i inteligencję. Dlatego nie mam zamiaru oferować ci łapówki. – Chrząknął, zabrzmiało to jak nieudana próba śmiechu. – Być może jesteś ostatnim uczciwym człowiekiem w rosyjskich służbach wywiadu. – Machnął tokariewem. – I co z tego wynika?

– Pat – podpowiedział Karpow.

– Nie, nie, nie. Pat nie służy nikomu, szczególnie tobie i mnie, szczególnie w tej chwili. Dałeś Imowowi dowody winy Bukina, Imow dał ci zadanie do wykonania. Nie mamy wyboru. Musisz je wykonać.

– Dla ciebie to samobójstwo.

– Tylko jeśli zostanę szefem FSB-dwa – zauważył Czerkiesow.

Karpow pokręcił głową.

– Nie rozumiem.

Czerkiesow miał w uchu miniaturową słuchawkę aparatu nadawczo-odbiorczego.

– Zejdź do nas – polecił komuś, z kim był połączony. Na twarzy miał kpiący uśmiešek, taki, jakiego pułkownik jeszcze nigdy nie widział. Czerkiesow zrobił krok w jego stronę i wyciągnął rękę. – Patrz, kto nas odwiedził, Borisie Iljiczu.

Karpow odwrócił się i zobaczył zmierzającego w ich kierunku Melora Bukina omijającego co większe kawałki gruzu.

– A teraz – Czerkiesow podał mu tokariewa – wykonaj rozkaz.

Karpow trzymał broń za plecami. Bukin był coraz bliżej. Pułkownik zastanawiał się nad tym, co usłyszał od szefa FSB-2, bo Bukin szedł swobodnym krokiem, wyraźnie odprężony. Na widok lufy wymierzonej w swoją pierś otworzył szeroko oczy.

– Co to ma znaczyć, Wiktorze Deljagowiczu? – spytał. Karpow przestrzelił mu prawe kolano. Bukin padł jak walący się komin fabryczny.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyknął, łapiąc się za nogę.

– Oszalałeś?

Karpow podszedł do niego.

– Wiem o twojej zdradzie i wie o niej prezydent Imow – oświadczył. – Kto jeszcze jest kretem w FSB-dwa? Bukin wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami.

– Co? Co? Krety? Nie wiem, o czym mówisz!

Spokojnie, wręcz beznamiętnie, Karpow rozwalił mu rzepkę kolanową lewej nogi. Bukin krzyczał, wił się na ziemi jak robak.

– Odpowiadaj!

Nieszczęśnik był blady jak płótno. Oczy miał podkrążone. Drżał z szoku i bólu.

– Borisie Iljiczu, czy przeszłość nie ma dla ciebie żadnego znaczenia? Przecież ja cię uczyłem, ja wprowadziłem cię do FSB-dwa. – Karpow pochylił się nad nim groźnie. – To tylko dodatkowy powód, żebym to właśnie ja zrobił z tobą porządek.

– Ale ja... ja przecież... – bełkotał przerażony Bukin.

– Ja tylko wykonywałem rozkazy. – Wskazał Czerkiesowa.
– Jego rozkazy.
– Kłamstwo łatwo mu przychodzi – uśmiechnął się Czerkiesow.
– Nie, nie, Borisie Iljiczu, to święta prawda, przysięgam! Karpow przykucnął.
– Wiem, jak możemy rozwiązać ten problem.
– Zabierz mnie do pieprzonego szpitala. Wykrwawię się na śmierć.
– Podaj nazwiska kretów, a natychmiast się tobą zajmę. Przekrwione oczy Bukina biegały od pułkownika do Czerkiesowa i z powrotem.
– Nawet o nim nie myśl – ostrzegł go Karpow. – Tylko ja stoję między tobą i śmiercią w tej kloace.

Bukin przełknął z wysiłkiem i podał nazwiska trzech funkcjonariuszy FSB-2.
– Dziękuję. – Karpow wstał i strzelił mu między oczy. Spojrzał na Czerkiesowa.
– I co mnie teraz powstrzyma przed zabiciem cię... lub choćby zatrzymaniem?
– Możesz sobie być nieprzekupny, Borisie Iljiczu, ale wiesz, z której strony chleb posmarowany jest masłem... czy też będzie. – Czerkiesow zapalił papierosa. Nie obdarzył swojego martwego porucznika choćby jednym pożegnalnym spojrzeniem. – Mogę ci oczyścić drogę na sam szczyt FSB-dwa.

– Prezydent Imow także.
Czerkiesow pokiwał głową.
– Zgoda – przyznał. – Ale Imow nie zagwarantuje ci bezpieczeństwa. Ktoś z najbliższego otoczenia zawsze może wrzucić ci polon do herbaty albo nocą wbić nóż między żebra.

Mówił prawdę. Był w stanie zidentyfikować i zlikwidować potencjalnych przeciwników nowego szefa służby. Tylko on mógł naprawdę oczyścić Karpowowi drogę na szczyt.

– Wyjaśnijmy to sobie raz na zawsze – powiedział pułkownik. – Proponujesz, żebym zajął twoje miejsce?

– Tak.
– A co z tobą? Imow zażąda twojej głowy.
– Oczywiście. Ale żeby ją dostać, będzie musiał najpierw mnie znaleźć.
– Zejdiesz do podziemia? Będziesz się ukrywał?
– Karpow pokręcił głową. – Jakoś tego nie widzę.
– Ja też nie, Borisie Iljiczu. Nie, ja po prostu awansuję.
– Na wyższe stanowisko niż w FSB?
– Wyższe niż Kreml.

Karpow ściągnął brwi.
– Jakie, jeśli można wiedzieć?
Czerkiesow spojrzał na niego błyszczącymi oczami.
– Powiedz mi, Borisie Iljiczu, czy słyszałeś kiedyś o Severus Domna?

Rozdział 22

Skrzywiony z bólu Marks złapał się za lewe udo. Niewidzialny snajper nadal ostrzeliwał teren. Bourne wybiegł z samochodu, chwycił Marksa i zaciągnął w bezpieczne miejsce.

– Głowa w dół, Peterze – ostrzegł.

– Powiedz to temu swojemu kumpłowi, Morenowi. Ja trzymałem głowę przy ziemi.

– I bardzo dobrze.

Bourne zbadał ranę. Okazało się, że kula nie przerwała tętnicy. Oderwał rękaw koszuli przyjaciela i założył mu opaskę powyżej zranienia.

– Nigdy ci tego nie zapomnę – powiedział Marks.

– Od zapominania ja tu jestem. – W głosie Bourne’a brzmiała kpina. Marks roześmiał się, choć nie był to wesoły śmiech.

Bourne popęzł w stronę maski opła. Oddychając głęboko, przyglądał się linii gęstych drzew. Nie tak dawno wspiał się na jedno z nich i teraz użył swojej ejdetycznej pamięci, wspartej treningiem z Treadstone, do odtworzenia najlepszych miejsc, w których mógł się ukryć snajper. Ottavio Moreno i Peter mieli wrażenie, że Bourne doskonale wie, gdzie jest strzelec. Myślał jak on: skąd on sam miałby dobry widok na frontowe drzwi, a jednocześnie pozostawał niewidoczny?

Usłyszał krzyk Chrissie. Strach w jej głosie powiedział mu, że musiała wołać go od dłuższego czasu. Przeczłogał się przy samochodzie i krzyknął: „Nic mi nie jest! Nie wychodź, póki po ciebie nie przyjdę!”.

Wyskoczył z samochodu i pobiegł w kierunku drzew. W maskę opła uderzyły kule. Od początku tego ataku Bourne liczył strzały i wiedział, że teraz strzelec będzie musiał przeładować. Potrzebował zaledwie kilku sekund, by znaleźć osłonę między drzewami. Właśnie wyruszył na polowanie.

Tu, wśród sosen i dębów, pomiędzy spletanymi gałęziami, czaił się wszechobecny, wieczny mrok. Tu i tam ziemi sięgały odpryski światła jak drobne diamenty, to zapalające się, to gasnące w rytmie narzucanym przez niespokojny wiatr. Bourne szedł przed siebie na ugiętych nogach, uważając, by nie nadepnąć suchej gałązki czy sosnowej szyszki. Był cichy jak duch. Co kilka kroków zatrzymywał się, patrzył i słuchał jak lis lub gronostaj, jednocześnie szukający zdobyczy i wypatrujący wrogów.

Dojrzał momentalny odbłask czerni i brązu, zamazany, znikający, zaledwie umysł go zarejestrował. Skierował się tam. Krótco rozważył możliwość przeskakiwania od drzewa do drzewa, obawiał się jednak, że mógłby narobić hałasu i zdradzić swoją pozycję. W pewnym momencie zmienił kierunek, skręcił i zatoczył łuk, by podejść snajpera z boku. Jednocześnie coraz to oglądał się za siebie i patrzył w górę, szukając go wzrokiem.

Przed nim błysnął metal. Bourne przyspieszył kroku. Zza pnia dębu widział już biodro i ramię strzelca. Pochylił się i podbiegł łukiem za jego plecy. Przez wąską szczelinę między dwiema sosnami miał doskonały widok na wejście do domu i podjazd. Bourne dostrzegł Ottavia, leżącego na ziemi, w kałuży krwi. Marks pozostał w ukryciu, za oplem.

Bourne uznał, że snajper czeka na jakiś ruch. Wyglądało na to, że ma zamiar zabić każdego, kto wyjdzie z domu. Jest z NSA? Z Centrali Wywiadu? A może z Severus Domna?

Istnieje tylko jeden sposób, by się o tym przekonać.

Bourne zbliżał się do niego bardzo powoli i bardzo ostrożnie, ale strzelec musiał wyczuć jego obecność, bo nie oglądając się, pchnął go w brzuch drewnianą kolbą dragunowa SVD i w jednej chwili odwrócił się, zadając cios lufą w ramię. Był drobnym mężczyzną o płaskiej twarzy, miał małe czarne oczka i złamany nos.

Bourne padł na kolana, a po kolejnym uderzeniu karabinem na wznak. Lufa wbiła się w jego pierś na wysokości serca.

– Nie ruszaj się i nic nie mów. Oddaj pierścień.

– Jaki pierścień?

Niski mężczyzna rozorał mu szczękę lufą. Trysnęła krew, ale w tej samej chwili Bourne kopnął go w kolano z siłą tak wielką, że trzasnęły kości, a staw wygiął się w drugą stronę. Strzelec krzyknął cicho z bólu. Bourne odtoczył się błyskawicznie, unikając kuli wbijającej się w ziemię tam, gdzie jeszcze przed chwilą leżał.

Przyklęknąwszy na jedno kolano, snajper machał karabinem jak pałą, trzymając przeciwnika na dystans i próbując odzyskać oddech. W końcu, z ogromnym wysiłkiem, udało się mu wstać. Bourne skoczył i uderzył go ramieniem. Upadli. Niski mężczyzna próbował nabić go na sterzące gałęzie, ale Bourne'owi udało się ich uniknąć. Walczyli o karabin. Cios zadany przez Bourne'a łokciem w grdykę przesądził o wyniku walki. Strzelec zaczął się dławić i uderzenie pięścią w skroń pozbawiło go przytomności.

Bourne przede wszystkim obejrzał jego dłonie. Nie znalazł pierścienia. Przeszukanie kieszeni ujawniło francuski paszport na nazwisko Farid Lever, co o niczym nie świadczyło: mógł być równie dobrze prawdziwy jak fałszywy, a nie było czasu na dokładne sprawdzenie. Poza paszportem Lever, czy jak się tam ten mały mężczyzna nazywał, miał przy sobie pięć tysięcy funtów, dwa tysiące euro i kluczyki do samochodu.

Bourne opróżnił magazynek dragunowa, odrzucił go daleko w krzaki, po czym kilkoma uderzeniami otwartą dłonią w twarz doprowadził jego właściciela do przytomności.

– Kim jesteś? Dla kogo pracujesz?

Czarne oczy nie zmieniły wyrazu, więc Bourne mocno ścisnął strzaskany staw kolanowy. Oczy snajpera rozszerzyły się nagle, a z jego ust wyrwał się cichy jęk, ale nie padło ani jedno słowo. Bourne obiecał sobie, że padnie... i to już wkrótce. Przecież ten człowiek postrzelił dwóch ludzi, jednego z nich śmiertelnie. Siłą otworzył mu usta i wcisnął w nie pięść. Snajper dławił się, wyginając ciało w łuk. Próbował się uwolnić, rzucał głową na boki, ale Bourne mocno go trzymał. Odepchnął unoszące się do góry ręce i wepchnął pięść jeszcze głębiej.

W oczach Levera pojawiły się łzy. Kaszlał, znów zaczął się dławić. Dostał mdłości, próbował zwymiotować, ale nie miał jak. Zaczął się dusić. Na jego twarzy pojawił się strach. Zaczął kiwać głową tak gwałtownie, jak tylko było to w jego sytuacji możliwe.

Gdy tylko cofnęła się dławiąca go pięść, przewrócił się na bok i zwymiotował, płacząc i wycierając ciekący nos. Trząsł się. Bourne złapał go za ramiona i przewrócił na wznak. Jego twarz wyglądała strasznie, jak u chłopaka, który dostał straszne lanie w ulicznej bójce.

– Zaczniemy jeszcze raz. Kim jesteś i dla kogo pracujesz?

– Na... nazywam się Farid Lever. – Drobnym mężczyzną miał kłopoty z mówieniem,

nietrudno zrozumieć dlaczego.

Bourne pokazał mu jego francuski paszport.

– Jeszcze jedno kłamstwo, a wsadzę ci go w gardło i dam ci słowo, że nie wyjmę.

Mężczyzna przełknął ślinę. Skrzywił się, czując w ustach kwaśny posmak.

– Farid Kazmi. Jestem człowiekiem Jalala Essaia.

– Severus Domna? – zaryzykował Jason.

– Kiedyś. – Snajper umilkł. Musiał odzyskać oddech, a może także zwilżyć usta. – Potrzebuję wody. Masz wodę?

– Człowiek, do którego strzelałeś, też potrzebuje wody.

Ten żywy, bo drugiego zabiłeś. Mów dalej. Jalal Essai...

– Był członkiem Severus Domna, ale zerwał z bractwem.

– Musiał mieć cholernie dobry powód, żeby narażać się na tak wielkie niebezpieczeństwo.

– Pierścień...

– Co „pierścień”.

Kazmi próbował oblizać suche usta.

– Należy do niego. Był pewny, że zaginął, ale dowiedział się, że jego brat ukradł mu go wiele lat temu.

A więc to Jalal Essai jest tym budzącym przerażenie wujem Holly, pomyślał Bourne. Układanka zaczęła wreszcie nabierać kształtu. Hedonistka Holly z jednej strony, wuj Jalal, religijny fanatyk z drugiej. A jeśli ojciec dziewczyny wyjechał z Maroka, by chronić ją przed swoim bratem, który z pewnością próbowałby ją ograniczać, a więc w pewien sposób zabić? Kto po jego śmierci stanął między nią a wujem? Momentalny, oślepiający błysk pamięci udzielił mu odpowiedzi na ostatnie pytanie. On sam. Holly udało się jakoś zyskać w nim protektora, obrońcę. Wywiązał się ze swego zadania, ale dziwne związki między nią, Tracy, Perlisem i Diegiem Hererrą, o których nic mu nie powiedziała, okazały się gwoździem do jej trumny. Perlis dowiedział się od niej o pierścieniu i zabił ją, by go zdobyć.

– Miałem odzyskać go za wszelką cenę – powiedział Kazmi, sprawiając, że Bourne wrócił do teraźniejszości.

– Obojętnie, ile osób zginie przy okazji...

Drobny mężczyzna skinął głową, krzywiąc się z bólu.

– Obojętnie. – Jego ciemne oczy ukrywały jakąś tajemnicę.

– Jak możesz być tego taki pewny?

Na twarzy snajpera zagościł niezwykły spokój. Bourne sięgnął do jego ust, ale było już za późno. Zęby trzonowe rozgryzły ukrytą w jednym z nich ampułkę z cyjankiem. Ten człowiek umierał.

Bourne przykucnął. Czekał, aż Kazmi wyda ostatnie tchnienie, po czym wstał i ruszył w kierunku domu.

• • •

Peter Marks leżał na ziemi tak nieruchomo, jak to tylko możliwe. Każde poruszenie mogło zwiększyć wpływ krwi. Choć doskonale wyszkolony, jeszcze nigdy nie został ranny ani w terenie, ani przy jakiegokolwiek innej okazji. Nie zdarzyło mu się nawet być ofiarą wypadku,

nie spadł z drabiny, nie potknął się na schodach. Leżał jak trup, wsłuchując się w swój świszczący oddech, czując pulsowanie krwi w nodze, jakby dorobił się drugiego serca, ale złowrogiego, czarnego jak noc, bliskiego śmierci... lub raczej takiego, w którego komorach śmierć zagnieździła się podstępnie jak złodziej.

Miał wrażenie, że przedwcześnie zostanie okradziony z życia, tak jak przedwcześnie okradziono z życia jego siostrę. W tej chwili czuł się jej bardzo bliski, jakby w ostatniej chwili wyrwał ją ze skazanego na zagładę samolotu i tulił do piersi, gdy razem szybowali wśród chmur. Nagła świadomość kruchości własnego życia nie tyle go przerażyła, ile zmieniła jego perspektywę. Leżał na ziemi, bezradny, krwawiący i obserwował mrówkę walczącą ze świeżo spadłym liściem, jaskrawozielonym i jeszcze przed chwilą tak żywym. Był dla mrówki zbyt wielki, ale nie dawała za wygraną, walczyła z nim, szarpała się, próbowała przeciągnąć krnąbrny liść przez kamyki i korzenie, wielkie przeszkody w jej świecie. I Marks ją za to pokochał. Nie rezygnowała, choć życie okazywało się takie trudne. Trwała. Gotowa była znieść wszystko. Postanowił wziąć z niej przykład. Postanowił troszczyć się o siebie, dla siebie i dla ludzi, na których mu zależy – chociażby dla Sorai – tak bardzo, że nie potrafiłby wyobrazić sobie tego przed postrzałem.

Leżał więc nieruchomo, przez jakiś czas nie słysząc nic, tylko szelest liści na wietrze. I właśnie dlatego, gdy doleciało go wołanie Chrissie, krzyknął: „To ja, Peter Marks! Jestem ranny w nogę. Moreno nie żyje, a Adam poluje na snajpera”.

– Idę cię wyciągnąć!

– Zostań, gdzie jesteś! – odkrzyknął natychmiast. Usiadł z wysiłkiem, oparty plecami o samochód. – Teren nie został zabezpieczony.

Ale Chrissie pojawiła się przy nim chwilę później, jak on osłonięta podziurawioną kulami karoserią samochodu.

– To było głupie – ocenił Peter.

– Dzięki za komplement.

Już po raz drugi tego dnia ktoś powiedział do niego coś podobnego i wcale mu się to nie podobało. Prawdę mówiąc, całe jego życie niezbyt mu się w tej chwili podobało. Przez chwilę był dezorientowany, zastanawiał się, jak mógł upaść tak nisko, dopuścić do tak nieprzyjemnego rozwoju sytuacji. Nikogo nie kochał i, o ile wiedział, nikt nie kochał jego, a w każdym razie nie ostatnio. Być może kochali go rodzice, na swój szorstki, władczy sposób. Z pewnością siostra. Ale... czy był jeszcze ktoś? Znajomość z ostatnią dziewczyną trwała sześć miesięcy, czyli zgodnie z przewidywaniami. Pół roku wystarczyło, by znenawidziła godziny jego pracy i okazywaną jej obojętność, i poszła swoją drogą. Przyjaciele? Miał ich kilku, ale było z nimi jak z Sorayą, albo on wykorzystywał ich, albo oni jego. Nagle poczuł mdłości. Zadrzał.

– Objawy wstrząsu – powiedziała Chrissie, rozumiejąca go lepiej, niż potrafił to sobie wyobrazić. – Musimy wrócić do domu i przede wszystkim jakoś cię rozgrzać.

Pomogła mu wstać i utrzymać równowagę na jednej nodze. Objął ją i pozwolił poprowadzić się do domu. Poruszał się niezdarnie, potknął, oboje o mało nie wylądowali na ziemi.

Chryste przenajświętszy, pomyślał niezbyt przytomnie, ale się nad sobą użalam. Czuł do siebie obrzydzenie większe niż przed chwilą.

Ojciec Chrissie wybiegł z domu i pomógł córce wprowadzić go do środka. Pomyślał nawet o tym, by kopniakiem zamknąć za nimi drzwi.

• • •

Bourne po prostu wpadł na tę kobietę. Niemal cała przykryta była suchymi liśćmi. Twarz miała odwróconą, oczy zamknięte, długie włosy pokryte krwią, ale po tym, jak wyglądało jej ciało, nie sposób było powiedzieć, czy żyje, czy nie. To sąsiadka, która miała pecha wybrać się na spacer i wpaść na Kazmiego? Spod zasłony liści widać było kawałek flanelowej koszuli w czarno-czerwonej kratę, dzinsy i turystyczne buty. Wyglądało na to, że przykrywano ją w pośpiechu.

Musiał wrócić do Petera Marksa, do ludzi czekających na niego w domu, ale nie mógł zostawić tej kobiety. Musiał co najmniej sprawdzić, czy żyje, a jeśli żyje, to jak ciężko jest ranna. Podszedł bliżej, pochylił się i przyłożył palce do jej tętnicy szyjnej.

Kobieta otworzyła oczy i uniosła dłoń, w której ścisnęła myśliwski nóż. Czubek ostrza sięgnął piersi, a ruch Bourne'a sprawił, że rozciął koszulę i skórę na wysokości obojczyka. Usiadła, a liście opadły z niej jak świeżo poruszona ziemia z nagle ożywionego trupa. Bourne złapał ją za nadgarstek, przez co uniknął ciosu, ale w drugiej ręce kobieta też trzymała nóż. W ferworze walki zbyt późno go dostrzegł i dostał pchnięcie w łopatkę.

Napastniczka była doskonale wytrenowana i zdumiewająco silna. Zwarła nogi na jego kostce, pozbawiając go równowagi. Bourne upadł na wznak. Przycisnęła go do ziemi. Jedną rękę miała unieruchomioną, ale nóż trzymany w drugiej lada chwila mógł poderżnąć mu gardło.

Znaleziony wśród liści ciesielski gwóźdź posłużył Bourne'owi do zadania pchnięcia wymierzonego w tętnicę szyjną i trafiającego w cel. Krew trysnęła strugą pulsującą w rytmie bicia słabnącego serca. Kobieta upadła na liście. Spojrzała na niego, uśmiechając się tajemniczo, jak wcześniej Kazmi. Ten właśnie uśmiech kazał mu wierzyć, że Jalal Essai jeszcze z nim nie skończył. Czy tych dwoje pracowało razem?

Czy kobieta była wsparciem Kazmiego? Tak się Bourne'owi wydawało. Diaboliczny plan, czyniący z Jalala Essaia godnego przeciwnika, z którym już miał kłopoty i który bez wątpienia zaprzysiągł mu krwawą zemstę.

• • •

Chrissie i jej ojciec sadzali Marksa w fotelu, gdy rozległo się kilka karabinowych strzałów. Dziewczyna krzyknęła cicho, podbiegła do drzwi i otworzyła je szeroko, ignorując głośne ostrzeżenia ojca. Ukryta za framugą wyjrzała, sięgając spojrzeniem za podjazd i opla, aż do drzew. Lecz choć wyczuwała wzrok, choć gotowa była zapłacić każdą cenę, by przeniknąć wzrokiem gęstwę krzaków i dostrzec jakiś ślad świadczący, że Bourne jeszcze żyje, niczego nie zobaczyła. A jeśli jest rany? Jeśli potrzebuje pomocy?

Postanowiła, że pójdzie go poszukać, bo uznała, że Tracy tak właśnie postąpiłaby w tych okolicznościach. W tym momencie Bourne wyszedł spomiędzy drzew. Nim zrobiła krok w jego kierunku, ktoś minął ją, zbiegając ze schodów.

– Scarlett!

Dziewczynka pędziła podjazdem ile sił w nogach. Ominęła trupa, ominęła opla od strony bagażnika i rzuciła się w ramiona Bourne'a.

– To prawdziwa krew. Twoja krew – powiedziała zdyszana. – Ale ja mogę ci pomóc.

Bourne zamierzał odsunąć ją od siebie delikatnie, lecz stanowczo, ale szczerą troską dziewczynki sprawiła, że zmienił zdanie. Naprawdę chciała udzielić mu pomocy, nie mógł pozbawić jej tej możliwości. Przykląkł, by mogła obejrzeć jego sińce i rozcięcia skóry.

– Przyniosę bandażę z apteczki dziadka – oznajmiła Scarlett, ale nie ruszyła się z miejsca. Bezwiednie przesiewała palcami ziemię, jak to robią dzieci, kiedy się wstydzą albo nie umieją znaleźć właściwych słów. Wreszcie zdobyła się na odwagę. – Nie stało ci się nic złego, prawda?

Bourne nie mógł się nie uśmiechnąć.

– Wyobraź sobie, że potknęłaś się o kamień...

– Tylko sińce i zadrapania, tak?

– Właśnie. Nic groźniejszego.

– To bardzo dobrze. – Wyciągnęła rękę. – Zobacz. Znalazłam to coś przed chwilą. Należy chyba do pana Marksa. Bo on tu leżał.

Bourne wziął od niej przedmiot oblepiony ziemią, wytarł go i zobaczył... pierścień Severus Domna. Skąd on się tu wziął?

Schował go do kieszeni.

– Gdy tylko wrócimy do domu, sam spytam o niego pana Marksa.

Podbiegła do nich Chrissie, zadyszana nie tylko z wysiłku, lecz także ze strachu o córkę, która naraziła się na niebezpieczeństwo.

– Scarlett!

Bourne dostrzegł, że wprawdzie zamierzała zbesztać córkę, ale gdy zobaczyła, w jakim napięciu mała studiuje jego powierzchowne rany, podobnie jak on przełknęła cisnące się jej na usta słowa i pozwoliła temu małemu dramatowi rozegrać się do końca.

– Jeśli pozwolisz mi je zabandażować, wszystko będzie dobrze – powiedziała dziewczynka poważnie.

– A więc... wejdźmy do środka, doktor Lincoln.

Scarlett zachichotała. Bourne wstał i we trójkę, w milczeniu, wrócili do domu. Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, podszedł do siedzącego nieruchomo w fotelu Marksa. Ojciec Chrissie opatrywał go, korzystając ze zdumiewająco dobrze wyposażonej apteczki. Peter miał zamknięte oczy i głowę odrzuconą do tyłu. Zapewne profesor podał mu środek uspokajający.

– Tę apteczkę tata zawsze wozi w samochodzie – wyjaśniła Chrissie, podczas gdy jej córka z zapalem szukała bandażu i merkuriochromu. – Od wczesnej młodości jest zapalonym myśliwym.

Bourne usiadł po turecku na dywanie. Scarlett uwijała się przy nim pracowicie.

– Rana jest czysta – oznajmił profesor Atherton swojemu pacjentowi. – Kula przeszła na wylot, infekcja jest więc mało prawdopodobna, zwłaszcza teraz, po oczyszczeniu. – Wziął merkuriochrom z rąk Scarlett, wylał go na dwa kawałki sterylnej gazy i przykrył nimi oba otwory, wlotowy i wylotowy, po czym wprawdzie owinał nogę bandażem. – W swoim czasie widywałem nie takie rzeczy – powiedział. – Teraz pacjent musi tylko wypoczywać i przyjmować płyny. Stracił dużo krwi, choć nie tyle, ile by stracił, gdyby nie założono mu

opatrunku uciskowego.

Skończył, podniósł głowę i zobaczył Bourne'a.

– Panie Jak-ci-tam, wyglądasz jak kupa gówna.

– Profesorze, chciałbym zadać panu jedno pytanie.

Starszy pan tylko prychnął.

– Tylko to potrafisz, synu? Zadawać pytania? – Oparł się ręką o ramię fotela, na którym siedział Marks, i podniósł się z pewnym trudem. – Możesz pytać, o co chcesz, ale to nie znaczy, że odpowiem na każde pytanie.

Bourne też wstał.

– Czy Tracy miała brata?

– Co?

Chrissie ściągnęła brwi.

– Adamie, przecież mówiłam ci, że Tracy była...

Bourne podniósł rękę.

– Nie pytam twojego ojca o to, czy ty i twoja siostra miałyście brata. Pytam o to, czy Tracy miała brata.

Twarz profesora przybrała złowrogi wyraz.

– Ty cholerny gnoju, gdybym był młodszy, nakładłbym ci po pysku za takie gadanie.

– Nie usłyszałem odpowiedzi na moje pytanie. Czy Tracy miała brata?

Profesor spochmurniał jeszcze bardziej.

– Chodzi ci o przyrodniego brata?

Chrissie podeszła do dwóch mężczyzn stojących teraz naprzeciwko siebie jak dwaj królowie ulicy, gotowi udowodnić sobie nawzajem, kto tu rządzi.

– Adamie, dlaczego...

– Nie masz się czym przejmować. – Profesor machnął ręką, ucinając jej protesty, po czym zwrócił się do Bourne'a:

– Pytasz, czy pozostawałem w seksualnym związku z inną kobietą i czy coś z tego wyszło?

– Można tak to ująć.

– Nigdy. Kochałem matkę dziewczynek i pozostawałem jej wierny dłużej, niż chciałbym pamiętać. – Profesor Atherton pokręcił głową. – Mam wrażenie, synu, że coś ci się pomyliło.

Bourne zlekceważył jego protesty.

– Tracy pracowała dla niebezpiecznego człowieka. Musiałem zadać sobie pytanie: „dlaczego?”, bo nie wydało mi się prawdopodobne, by zgodziła się na to z własnej woli. To Chrissie udzieliła mi na nie odpowiedzi, choć tylko częściowej. Tracy miała powiedzieć temu mężczyźnie, że ma brata, który wpadł w kłopoty.

W jednej chwili zachowanie profesora radykalnie się zmieniło. Pobladł i gdyby nie miał u boku córki, która go przytrzymała, zapewne by upadł. Z pewnym wysiłkiem Chrissie doprowadziła ojca do fotela i skłoniła, by usiadł naprzeciwko Marksa.

– Tato? – Uklękała, ściskając w dłoniach jego wilgotną dłoń. – O ci tu chodzi? Istnieje jakiś brat, o którym nie mam pojęcia?

Stary człowiek nieprzerwanie kręcił głową.

– Nie miałem pojęcia, że wie – wymamrotał jakby do siebie. – Do wszystkich diabłów, jak się o tym dowiedziała?

– A więc to prawda? – Chrissie rzuciła okiem na Bourne’a, po czym znów skupiła uwagę na ojcu. – Dlaczego nic nam nie powiedzieliście, ty albo mama?

Profesor westchnął głęboko i przesunął ręką po spoconym czole. Spojrzał na córkę tępo, jakby jej nie rozpoznawał albo jakby spodziewał się zobaczyć kogoś innego.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Ale musisz! – Chrissie wyprostowała się, a potem pochyliła nad ojcem, jakby chciała w ten sposób dodać wagi swoim słowom. – Nie masz wyboru, tato. Musisz mi o nim opowiedzieć.

Jej ojciec milczał, nagle bardzo spokojny, jakby ustąpiła trawiąca go gorączka.

– Jak ma na imię? – nie rezygnowała Chrissie. – Nawet tego nie chcesz mi powiedzieć?

Ojciec nie patrzył jej w oczy.

– Nie miał imienia.

Chrissie odchyliła się, jakby uderzył ją w twarz.

– Nie rozumiem.

– A dlaczego miałabyś rozumieć? Twój brat urodził się martwy.

Rozdział 23

Jalalowi Essaiovi w każdej chwili groziła śmierć i dobrze o tym wiedział. Siedząc na wygodnym składanym krześle, które postawił w zaciemnionej sypialni, rozmyślał o tym, że decyzja o zerwaniu z Severus Domna nie należała do łatwych czy też raczej, mimo że sama decyzja była łatwa, wprowadzenie jej w życie już nie. Ale, myślał jeszcze, świadomie ustawiać się na zagrożonej pozycji... to zawsze trudne. Zaczął więc działać dopiero wtedy, gdy opracował metody umożliwiające takie działanie. Zapisywał w pamięci wszystkie ścieżki, którymi może pójść, a potem eliminował je po kolei, aż zostawała ta jedna, z najmniejszą liczbą przeszkód, gdzie stopień ryzyka wydawał się akceptowalny, a szanse sukcesu największe. W ten metodyczny sposób Essai podejmował każdą decyzję. Oprócz tego, że był logiczny, proces eliminacji zagrożenia miał dodatkową zaletę: uspokajał umysł, podobnie jak modlitwy wznoszone do Allaha i medytacja nad koanami zen. Pusty umysł wypełnia się możliwościami niedostępnymi innym.

Siedział nieruchomy w mroku sypialni, gdzie wszystkie zasłony zostały zasunięte, broniąc dostępu światła ulicznych latarni i reflektorów przejeżdżających od czasu do czasu samochodów osobowych i ciężarówek. Noc i groza nocy. Noc była dla niego tym, czym dla innych filiżanka espresso: uspokajała, wprowadzała w stan błogiej refleksji. Potrafił poruszać się w ciemnościach, a nawet wśród koszmarów, bo Allah obdarzył go światłem prawdziwej wiary.

Była trzecia po północy. Wiedział, co nadchodzi, i wiedza ta sprawiła, że wybrał pozostanie na miejscu, nie ucieczkę. Uciekinier jest idealnym celem, opuszcza bowiem swoje terytorium. Potyka się... i ginie. Essai nie miał zamiaru się potknąć. Przygotował sypialnię na nieuchronne i teraz czekał w gotowości, a nawet więcej, z chęcią, by przeciwnik pojawił się i ukazał twarz.

Najpierw doleciał dźwięk, cichy jak chrobotanie myszy, dobiegający z salonu, od strony drzwi wejściowych. Ucichł niemal natychmiast, ale Essai wiedział, że wróg otworzył drzwi wytrychem i dostał się do mieszkania. A jednak nadal się nie poruszał. Nie miał powodu. Rzucił okiem na łóżko; przykryta kołdrą wypukłość miała oszukać oczy wroga, sprawiać wrażenie, że na łóżku leży śpiący człowiek.

Ciemność zmieniła się, pogłębiła, stała się jeszcze bardziej ciemna, nasycił ją rytm obecności jeszcze jednej osoby. Uwaga gospodarza skupiła się na niej. Wróg wtargnął w strefę śmierci. Pochylił się nad łóżkiem.

Rozpoznał ruch po fali powietrza, uniósł sztylet i ugodził nim leżącą postać. Przez dziurę w plastikowej skórze trysnął strumień kwasu akumulatorowego, którym Essai nasycił kupioną w sex-shope nadmuchiwą lalkę.

Wróg zareagował w przewidziany sposób: upadł na wznak, machając rękami. Leżał i próbował bez skutku wytrzeć twarz, szyję i pierś, czego skutkiem było wtarcie żrącego płynu głębiej w skórę twarzy, szyi i piersi. Zacharczał, ale kwas przeżerał mu wargi i język, nie był więc w stanie wydać żadnego artykułowanego dźwięku, nawet krzyku. Morderca przeżywa

koszmar, pomyślał Essai, decydując się wreszcie wstać.

Przyklęknął nad napastnikiem, mordercą przysłanym przez Severus Domna, mającym ukarać go za jego nielojalność.

Uśmiechnął się jak sprawiedliwy sędzia, prawy w oczach Allaha. Przyłożył palec do warg. „Ciii...” wyszeptał tak cicho, że tylko on i jego przeciwnik mogli dosłyszeć ten szept.

Następnie odebrał mordercy niepotrzebny mu już sztylet i wyszedł na korytarz. Przywarłszy plecami do ściany, czekał, oczyściwszy umysł, niczego się nie spodziewając. W tej boskiej pustce pojawił się zarys drogi, którą najprawdopodobniej pójdzie drugi z napastników. Wiedział, że zaatakuje go dwóch ludzi, tak samo jak wiedział, że narzędziem mordu nie będzie broń palna. W ten sposób działa Severus Domna: skrycie i zawsze ze wsparciem. On sam stosował ich metodę, polując na Jasona Bourne'a i na pierścień.

Jego przekonanie potwierdził skośny cień przecinający korytarz. Już wiedział, gdzie jest morderca... a raczej gdzie był, poruszał się on bowiem błyskawicznie. Jego wspólnik miał dość czasu, by dokonać dzieła. Szedł teraz, by sprawdzić, czy misja zakończyła się sukcesem.

A jednak nie. Przecucie, że misja nie zakończyła się sukcesem, potwierdził sztylet rzucony przez Jalala Essaia z wielką precyzją; jego ostrze weszło w ciało między żebrami i przebiło serce. Morderca upadł ciężko jak antylopa gnu powalona przez lwa. Essai podszedł do niego, upewnił się, że serce już nie bije, a przeciwnik jest martwy. Następnie wrócił do sypialni. Mężczyzna, który wtargnął do jego mieszkania pierwszy, nadal leżał na podłodze, wijąc się jeszcze rozpaczliwiej niż przed chwilą.

Essai zapalił lampę i przyjrzał się jego twarzy. Nie rozpoznał go, ale też nie spodziewał się, że rozpozna. Severus Domna nie wysłałoby kogoś, kogo mógłby znać. Przykucnął przy leżącym.

– Przyjacielu, żal mi cię – powiedział. – Żal mi cię, ponieważ postanowiłem, że będziesz żył, a więc cierpiać. Pozostawię cię w stanie, w jakim teraz jesteś.

Wyjął z kieszeni telefon komórkowy i wybrał numer krajowy.

– Tak? – spytał Benjamin El-Arian.

– Jest towar do odbioru – oznajmił Essai.

– Nieporozumienie. Niczego nie zamawiałem.

Essai zbliżył telefon do ust mordercy. Morderca zaryczał w słuchawkę jak przerażona krowa.

– Kto to?

Głos El-Ariana zmienił się niemal niezauważalnie, pojawił się w nim ślad gorączkowego niepokoju. Essai przyłożył telefon do ucha wystarczająco szybko, by to usłyszeć.

– Zakładam, że masz trzydzieści minut. Za pół godziny twój bandzior umrze. Jego życie jest w twoich rękach.

Zamknął telefon, wstał, rzucił go na ziemię i rozdeptał. Po czym po raz ostatni zwrócił się do mordercy:

– Opowiesz Benjaminowi El-Arianowi, co się tu stało. Zrobi z tobą, co uzna za stosowne. Powiedz mu, że twój los będzie udziałem ludzi, których postanowi nasłać na mnie w przyszłości. Więcej nie musi wiedzieć. Jego czas się skończył. Twój także.

Stojąca na sterburcie jachtu Moira obserwowała wymianę sygnałów w podczerwieni przez lornetkę z noktowizorem, którą kapitan wręczył jej przed chwilą. Widziała „cygaro” wyrównujące kurs do zbliżającego się do niego jachtu. Lekko przesunęła szkła. Obok sygnalisty stały dwie osoby, mężczyzna i kobieta. Mężczyzną był niemal na pewno Arkadin, ale kobieta? Dlaczego dopuścił, by na pokładzie znalazł się ktoś obcy? Berengaria twierdziła przecież, że Arkadin wypływa na spotkanie z łodziami wyłącznie w towarzystwie załoganta, starego Meksykanina zwanego El-Heraldo.

Kapitan utrzymywał silnik jachtu na jałowym biegu i jednostka cięła czarne fale rozpędem. Moira mogła już rozpoznać twarz Arkadina i kobiety... Sorai Moore!

Omam nie upuściła lornetki. Co do diabła? Każdy plan ma swój klucz, a klucz do tego planu zna ona.

„Cygara” i jacht znalazły się blisko siebie. Słyszała tylko cichy plusk wody. Jeden z załogantów opuścił sznurową drabinkę, inny zajął stanowisko przy wyciągarce. Dwaj kolejni wyciągnęli ładunek spod pokładu. Berengaria wyjaśniła jej szczegóły postępowania. W sieci umieszczono skrzynię. Miano opuścić ją do „cygara”, by Arkadin mógł sprawdzić jej zawartość.

W tym czasie Moira przechyliła się przez reling i przyjrzała załodze łodzi. Soraya dostrzegła ją i aż otworzyła usta ze zdziwienia. Co, do diabła? – spytała ruchem warg i Moira nie zdołała powstrzymać śmiechu. Obie identycznie zareagowały na to spotkanie.

A potem zobaczył ją także Arkadin. Zmarszczył czoło i wspiął się po drabince. Gdy tylko dotknął stopami pokładu jachtu, wyciągnął glocka 9 mm i wymierzył Moirze w brzuch.

– Kim, do cholery, jesteś? – spytał. – I co robisz na pokładzie mojej łodzi?

– To nie jest twoja łódź – powiedziała Moira po hiszpańsku. – Należy do Berengarii.

Oczy Arkadina zwięziły się groźnie.

– A ty? Czy ty też należysz do Berengarii?

– Nie należę do nikogo, ale pilnuję jej interesów.

– Podczas żeglugi wzdłuż wybrzeża Meksyku przemyślała wszystkie możliwe odpowiedzi na tak sformułowane pytanie. W zasadzie liczy się tylko jedna rzecz: Arkadin jest najpierw mężczyzną, a dopiero potem przestępcą i zbrodniarzem.

– No jasne, baba wysłała babę – prychnął pogardliwie. Pod tym względem niczym nie różnił się od Roberta Corellosa.

– Berengaria jest przekonana, że już jej nie ufasz.

– Bo nie ufam.

– A może ona nie ufa tobie?

Arkadin spojrzał na nią groźnie, lecz milczał.

– Kiepsko to wygląda – stwierdziła Moira. – Tak nie prowadzi się interesów.

– I co w związku z tym proponuje kobieta, do której nie należysz?

– Po pierwsze, mógłbyś opuścić tego glocka.

Soraya również wspięła się po drabince. Przełożyła długie nogi przez reling i stanęła na pokładzie. Spojrzała najpierw na Moirę, potem na Arkadina. Natychmiast oceniła sytuację.

– Pieprzę cię – warknął Arkadin. – I pieprzę Berengarię za to, że cię wysłała.

– Gdyby na moim miejscu znalazł się mężczyzna, najpewniej byście się pozabijali.

– Z całą pewnością ja zabiłbym jego.

– A więc wysłanie mężczyzny nie byłoby mądrym posunięciem.

Arkadin prychnął.

– Pierdolę to, nie jesteśmy w kuchni. – Pokręcił z niedowierzaniem głową. – Przecież nawet nie jesteś uzbrojona.

– I dlatego mnie nie zastrzelisz. I dlatego wysłuchasz, co mam ci do powiedzenia: a przedstawię propozycję, jak dalej prowadzić interesy bez wzajemnych podejrzeń.

Arkadin obserwował ją jak jastrząb wróbla. Być może nie uważał jej już za zagrożenie, a może dotarło do niego to, co właśnie powiedziała. W każdym razie opuścił rękę, a glocka schował za pasek spodni na plecach.

Moira spojrzała znacząco na Sorayę.

– Ale nie będę rozmawiała, składała propozycji i negocjowała w towarzystwie kogoś, kogo nie znam. Berengaria powiedziała mi o tobie i człowieku, który wynajmuje ci łódź, zwanym El-Heraldo, a widzę tu także kobietę. Nie lubię niespodzianek.

– No to jest nas dwoje. – Arkadin wskazał głową Sorayę.

– To moja nowa współpracownica, na okresie próbnym. Nie sprawdzi się, dostanie kulę w tył głowy.

– Tak po prostu?

Arkadin podszedł do Sorai, przyłożył jej do potylicy palce złożone jak lufa pistoletu, powiedział: „Bum!”, i uśmiechnął się rozbrajająco.

– No dobrze, mów, co ci chodzi po głowie.

– Za dużo tych współpracowników – stwierdziła Moira, nie owijając w bawełnę.

To dało Arkadinowi do myślenia.

– Jeśli o mnie chodzi – powiedział po dłuższej chwili – to chętnie się bez nich obejdu. – Wzruszył ramionami.

– Niestety, właśnie tak robi się interesy. Ale jeśli Berengaria chce się wycofać...

– Myślałyśmy raczej o Corellosie.

– Jest jej kochankiem.

– Rozmawiamy o interesach – przypomniała Moira.

– Dzięki jej stosunkom z Corellosem panował między nimi pokój. – Teraz ona wzruszyła ramionami. – Miała jakąś inną broń?

Arkadin przyglądał jej się, jakby dopiero teraz ją zobaczył.

– Corellos jest bardzo potężny – zauważył.

– Corellos siedzi w więzieniu.

– Wątpię, czy długo posiedzi.

– I właśnie dlatego załatwimy go teraz.

– Załatwimy?

– Zabijemy go, wykończymy, zamordujemy... nazwij to, jak chcesz.

Mężczyzna milczał przez chwilę, a potem wybuchnął śmiechem.

– Do diabła, gdzie ta Berengaria cię znalazła?

Moira zerknęła na Sorayę. Mniej więcej tam, gdzie ty znalazłeś swoją nową partnerkę, pomyślała niezbyt odkrywczo.

– Co ją do tego skłoniło? – Profesor Atherton oparł głowę na rękach. – Co mogło skłonić Tracy do powiedzenia komuś, że ma brata?

– Zwłaszcza że w ten sposób zaciągnęła u Arkadina dług – dodała Chrissie.

– Zrobiła więcej, niż tylko wspomniała o bracie – przypomniał im Bourne. – Uciekła się do skomplikowanego kłamstwa, jakoby żył pogrążony w długach i zagrożony przez wierzycieli. Jakby chciała, by Arkadin coś na nią miał.

Chrissie pokręciła głową.

– Przecież to nie ma sensu.

Ma, pomyślał Bourne. Ma, jeśli ktoś zlecił jej zbliżenie się do Arkadina. Na przykład po to, by wiedzieć wszystko o tym, co robi. O jego układach. Ale o tej możliwości nie miał zamiaru dyskutować. Nie z tymi ludźmi.

– To pytanie może poczekać – powiedział. – Po strzelaniu w lesie powinniśmy jak najszybciej się stąd wydostać. – Spojrzał na Athertona. – Jeśli poniosę Marksa, poradzi pan sobie?

Starszy pan krótko skinął głową.

– Pomogę ci, tato – obiecała Chrissie.

– Zajmij się córką – upomniął ją ojciec. – Potrafię sam się o siebie zatroszczyć.

Chrissie spakowała apteczkę i wyszła z domu wraz z trzymającą ją za rękę Scarlett. Bourne wziął na plecy Petera Marksa.

– Idziemy – powiedział, przepuszczając profesora.

Chrissie poszła do samochodu ojca zaparkowanego za domem, po czym podjechała po Scarlett. Bourne wsadził Marksa do wynajętego wozu, który cudem uniknął zniszczeń. Podszedł do Chrissie.

– Co teraz? – spytała.

– Wracasz do swojego życia.

– Moje życie. – Roześmiała się niepewnie. – Moje życie... życie rodziny... nigdy już nie będzie takie samo.

– Może to dobrze?

Skinęła głową.

– W każdym razie... przepraszam.

– Nie przepraszaj. – Chrissie znów uśmiechnęła się słabo.

– Przez chwilę byłam Tracy i wiem, że nie chciałabym nią być, tylko tak mi się wydawało.

– Położyła dłoń na ramieniu Bourne'a, ale zaraz ją cofnęła. – Miała szczęście, że cię spotkała. Przy tobie była szczęśliwa.

– Zaledwie przez kilka nocy.

– To więcej, niż większość kobiet dostaje przez całe życie.

– Jej ręka opadła bezwładnie. – Tracy wybrała sposób na życie, a nie odwrotnie.

Bourne skinął głową. Odwrócił się, zajrzał do samochodu i zastukał w szybę. Scarlett otworzyła okno. Włożył jej coś w dłoń i zacisnął na tym czymś jej palce.

– Niech to zostanie między nami – powiedział cicho.

– Zobacz, co ci dałem, ale dopiero w domu, kiedy będziesz sama.

Dziewczynka skinęła poważnie głową.

– Jedziemy – powiedziała Chrissie, odwracając od niego wzrok.

Scarlett zamknęła okno. Powiedziała coś, czego Bourne już nie usłyszał. Przyłożył rękę do szyby, a z drugiej strony Scarlett powtórzyła jego ruch.

• • •

Kluczyki tkwiły w stacyjce. Bourne włączył silnik. Połączenie warkotu i wibracji, wyraźnie wyczuwalnych, gdy samochód wyjechał z podjazdu na drogę, sprawiło, że Peter Marks oprzytomniał.

– Gdzie ja jestem? – wybełkotał.

– Wracasz do Londynu.

Marks skinął głową jak pijak rozpaczliwie próbujący przypomnieć sobie, czym jest i jak działa otaczający go świat.

– Pieprzona noga boli mnie jak cholera.

– Postrzelili cię. Straciłeś trochę krwi, ale nic ci nie będzie.

– Jasne. – Nagle wyraz jego twarzy zmienił się, nieznacznie, lecz dostrzegalnie. Zadrzał, jakby przypomniawszy mu się coś z niedawnej przeszłości. Spojrzał na Bourne'a.

– Słuchaj... przepraszam. Zachowałem się jak ostatni gówniarz. Bourne milczał, skupiony na prowadzeniu samochodu.

– Wysłano mnie, żebym cię znalazł.

– Sam do tego doszedłem.

Marks przetarł oczy kostkami palców, próbując w ten sposób odzyskać pełnię władz umysłowych.

– Pracuję teraz dla Treadsone.

Bourne zjechał na pobocze i zatrzymał samochód.

– A kiedyż to na nowo sformowano Treadstone?

– Kiedy Willard znalazł oparcie finansowe.

– A kto mu go udzielił?

– Oliver Liss.

Bourne nie zdołał powstrzymać śmiechu.

– Biedaczysko. Trafił z deszczu pod rynnę.

– Dokładnie – przytaknął Marks ponuro. – Wszystko razem to jeden wielki pieprznik.

– Którego jesteś częścią.

Marks westchnął.

– Szczerze mówiąc, wolałbym być częścią porządkowania tego pieprznika.

– Jasne. A jak zamierzasz go uporządkować?

– Liss chce czegoś, co masz. Pierścienia.

Wszyscy chcą pierścienia Dominion, pomyślał Bourne, ale zachował tę myśl dla siebie.

– Miałem go od ciebie wyciągnąć.

– Ciekawe, jak zamierzałeś tego dokonać.

– Nie mam zielonego pojęcia – przyznał Marks.

– A zresztą już mnie to nie interesuje.

Bourne pominął to wyznanie milczeniem. Peter Marks skinął głową.

– Masz prawo mi nie wierzyć, co nie zmienia faktu, że mówię ci prawdę. Willard

zadzwoił do mnie, kiedy podjeżdżałem pod dom. Powiedział, że zmienił się cel misji i że teraz mam ściągnąć cię do Tineghiru.

– W południowo-wschodnim Maroku?

– A dokładnie w prowincji Warzazat. Najwyraźniej Arkadin też się tam wybiera. – Bourne milczał tak długo, że Marks nie wytrzymał i spytał: – I co o tym sądzisz?

– Myślę, że Oliver Liss nie rządzi już Treadstone.

– Skąd to przekonanie?

– Liss chętniej poderznąłby sobie żyły, niż ściągnął mnie do Warzazat. Nie, Peterze, nastąpiła tu jakaś radykalna zmiana.

– Sam tak to odbieram. Ale co się zmieniło? – Marks wyjął palmtop, szybko przejrzał wiadomości z rządowych sieciowych centrów informacyjnych. – Departament Sprawiedliwości zatrzymał Lissa do wyjaśnienia w prowadzonym śledztwie w sprawie nielegalnych działań Black River. – Podniósł wzrok znad wyświetlacza. – Przecież oczyszczono go z tych zarzutów ładnych parę tygodni temu!

– Jak powiedziałem: nastąpiła jakaś radykalna zmiana. Willardowi rozkazuje już ktoś inny.

– Musi być wysoko w łańcuchu pokarmowym, żeby nakazać wznowienie śledztwa...

Bourne skinął głową.

– No to teraz już wiesz, że nic nie wiesz. Jak ja. Szef puścił cię z prądem i uwierz mi, ani na chwilę nie spędziło mu to snu z powiek.

– Szczerze mówiąc, to żadna niespodzianka. – Marks pomasaował bolącą nogę. Syknął z bólu i gwizdnął, wypuszczając powietrze z płuc.

– Jest w Londynie lekarz potrafiący zachować dyskrecję w sprawach ran postrzałowych. – Bourne wrzucił bieg, spojrzął w lusterko, upewnił się, że ma wolną drogę, i ruszył.

– A tak dla twojej informacji: Diego wciągnął mnie w pułapkę. Wrogowie już na mnie czekali.

– Moreno naprawdę musiał go zabić?

– Już się tego nie dowiemy. Ale tam, w klubie, Ottavio uratował mi życie. Nie zasłużył na to, żeby zastrzelić go jak psa.

– Co prowadzi prostą drogą do pytania: kto do nas strzelał, do cholery?

Bourne opowiedział mu o Severus Domna i Jalalu Essaiu, nie wdając się w szczegóły dotyczące Holly.

– W Londynie ktoś na mnie napadł. Ściągnąłem pierścień z palca wskazującego prawej ręki napastnika. – Poklepał się po kieszeniach. – O, do diabła, zdaje się, że go zgubiłem.

– A Scarlett znalazła. Dałem go jej na pamiątkę – wyjaśnił Bourne. – Każdy członek Severus Domna nosi taki pierścień.

– A więc wszystko znów obraca się wokół dawnej misji Treadstone. – Marks zamilkł, jakby rozważał implikacje tego faktu. – Wiesz, dlaczego Alexowi Conklinowi tak bardzo zależało na tym laptopie?

– Nie mam pojęcia – powiedział Bourne, choć wydawało mu się, że teraz już wie. Czy oprócz Sorai i Moiry jest ktoś, komu może zaufać? Choć wiedział, że Soraya i Peter są dobrymi przyjaciółmi, to wcale nie był pewny, czy Peter jest człowiekiem godnym zaufania.

Marks poruszył się niespokojnie na siedzeniu pasażera.

– Muszę ci coś powiedzieć – odezwał się. – Obawiam się, że zmusiłem Sorayę do

wstąpienia do Treadstone.

Bourne wiedział, że bez tej kobiety Typhon nie może skutecznie działać, przyjął więc, że Danziger systematycznie rozmontowuje starą Agencję Wywiadu, przebudowuje ją na obraz i podobieństwo ukochanej NSA Buda Hallidaya. Ale ten problem nie był jego problemem. Nienawidził wszystkich organizacji wywiadowczych, nie ufał żadnej. Wiedział jednak, ile dobrego zrobił Typhon kierowany najpierw przez swego twórcę, później przez Sorayę.

- Jakie zadanie zlecił jej Willard? – spytał.
- Nie spodoba ci się.
- Niech cię to nie powstrzymuje.
- Ma zbliżyć się do Arkadina... i do laptopa.
- Tego laptopa, który z polecenia Conklina miałem ukraść Essaiowi?
- Dokładnie.

Bourne miał ochotę się roześmiać, ale wówczas Marks zaczęłyby zadawać pytania, na które wolał nie odpowiadać.

- To był twój pomysł? Pchnąć Sorayę w ramiona Arkadina? – spytał tylko.
- Nie. Willarda.
- Dużo czasu zajęło mu wykoncypowanie czegoś takiego?
- Powiedział mi dzień po tym, jak wciągnąłem ją do roboty.
- Więc można przyjąć, że kazał ci ją zwerbować właśnie po to.

Marks wzruszył ramionami, jakby nie rozumiał, jakie to ma znaczenie. Ale dla Bourne'a była to ważna sprawa. Analizując sposób myślenia Willarda, odkrył w nim pewien wzór. A jeśli Soraya nie była pierwszą kobietą zatrudnioną przez Treadstone do obserwacji jego pierwszego absolwenta? A jeśli Tracy pracowała dla niego? Wszystko pasowało doskonale. Tracy skłamała, świadomie oddała się na łaskę i niełaskę Arkadina właśnie po to, by wynajął ją, trzymał przy sobie, by mogła składać raporty o miejscu jego pobytu i rodzaju działalności. Błyskotliwy plan, doskonale zdający egzamin do momentu jej śmierci w Chartumie. A potem Arkadin znikł. Willard musiał złapać z nim kontakt, więc uciekł się do starej, wypróbowanej taktyki Treadstone. Arkadin używał kobiet jak ścierek do naczyń w kuchni. Nie podejrzewałyby żadnej z nich o to, że go kontroluje.

- Rozumiem, że Soraya go znalazła? – spytał.
- Jest z nim teraz w Sonorze. Wie, co ma robić. Myślisz, że potrafi zwabić go do Tineghiru?
- Ona nie. Ja tak.
- Jak?

Bourne uśmiechnął się na wspomnienie wpisu w notebooku Noaha Perlisa.

- Muszę wysłać jej SMS-a z pewną informacją. Będzie wiedziała, co z nią zrobić.

Byli już na przedmieściach Londynu. Bourne skręcił w najbliższy zjazd z autostrady i zaparkował w bocznej uliczce. Marks wręczył mu palmtop i podał numer. Bourne wpisał go, przeszedł do trybu SMS-a, ułożył wiadomość i ją wysłał. Następnie oddał palmtop właścicielowi i pojechali dalej.

– Nie wiem, jak to się stało – powiedział – ale Severus Domna kieruje teraz Willardem i Treadstone.

- Dlaczego tak sądzisz?
- Jalal Essai jest Amazighiem. Pochodzi z Atlasu Wysokiego.

- Warzazat.
 - Więc jak? Willard wykonuje rozkazy jego czy Severus Domna?
 - W tej chwili nie ma to wielkiego znaczenia – odparł Bourne – ale ja postawiłbym wszystkie pieniądze na Severus Domna. Wątpię, by Essai był wystarczająco mocny, by zmusić Departament Sprawiedliwości do zatrzymania Lissa.
 - Bo odłączył się od Severus Domna, tak?
- Bourne skinął głową.
- Co czyni sytuację o wiele bardziej interesującą. – Skręcił w lewo, potem w prawo. Wjechali w ulicę, przy której stały schludne, białe, georgiańskie domy. Skye terier, węsząc pracownie, prowadził swojego pana chodnikiem. Dom lekarza był trzeci z kolei. – Nieczęsto moi przeciwnicy rzucają się sobie do gardła.
 - Zakładam, że jedziesz do Tineghiru, choć to bardzo niebezpieczne. Takiej decyzji nie powinno się podejmować ot, tak sobie.
 - Jeśli chcesz zostać w tym biznesie, ty też musisz podjąć trudną decyzję, Peterze. Musisz wrócić do Waszyngtonu i zająć się Willardem. Jeśli tego nie zrobisz, zniszczy ciebie i Sorayę. Tak czy inaczej.

Rozdział 24

Frederick Willard wiedział o White Knights Lounge od dawna, czyli od momentu, gdy zaczął tworzyć własne, prywatne dossier sekretarza obrony Buda Hallidaya. Hallidaya cechowała arogancja tego rodzaju, który aż za często pozbawia ludzi ich wysokiej pozycji i sprawia, że spadają wprost na tę ziemię, po której stąpają zwykli obywatele, w pocie czoła zarabiający na życie. Ludzie pokroju Hallidaya tak bardzo zakochują się we władzy, że uważają, iż stoją ponad prawem.

Willard był świadkiem spotkań sekretarza z mężczyzną pochodzącym ze Środkowego Wschodu. Zidentyfikował go jako Jalala Essaia. Zdobył tę informację, idąc na spotkanie z Benjaminem El-Arianem. Nie wiedział, czy El-Arian jest świadomy jego wiedzy, ale w żadnym razie nie miał zamiaru go edukować. Niektórymi informacjami człowiek dzieli się tylko z właściwymi ludźmi.

I taki człowiek właśnie się pojawił, dokładnie o czasie, otoczony przez ochroniarzy jak rzymski cesarz.

M. Errol Danziger podszedł do stolika, przy którym siedział Willard, i wślizgnął się na starą wyściełaną ławę przy ścianie. Poplamiona, podarta sztuczna skóra głośno chwaliła pokoleń pijaków.

– Co za dziura – warknął. Sądząc po wyglądzie, żałował, że na tę okazję nie ubrał się w prezerwatywę. – Odszedłeś od nas, no i oczywiście stoczyłeś się na samo dno.

Siedzieli w anonimowym, rozpadającym się barze z grillem, stojącym na uboczu, przy jednej z dróg szybkiego ruchu prowadzących z Waszyngtonu do Wirginii. Wstępowali tu wyłącznie bywalcy w określonym wieku, z określonym stanem wątroby, wszyscy inni omijali lokal szerokim łukiem, bo widok był nieciekawym. Poza tym w środku śmierdziało skwaśniałym piwem i jęczącym przez długie miesiące tłuszczem. Nie sposób było powiedzieć, na jaki kolor pomalowano kiedyś ściany. W starej szafie grającej na winylowe płyty produkowali się Willie Nelson i John Mellencamp, ale nikt nie tańczył i chyba nawet nie słuchał. Ktoś przy końcu baru jęknął.

Willard zatarł ręce.

– Na co masz ochotę?

– Wyjść stąd jak najszybciej. – Danziger starał się nie oddychać zbyt głęboko. – Im szybciej, tym lepiej.

– Nikt, kogo znam lub kto mógłby nas rozpoznać, nie zbliży się na odległość wzroku do tego szamba. Potrafisz wymyślić lepsze miejsce na spotkanie?

Danziger skrzywił się przeraźliwie.

– Człowieku, mów, co chcesz powiedzieć, i wynośmy się stąd.

– Masz problem – powiedział Willard bez zbędnych wstępów.

– Mam mnóstwo problemów, ale żaden z nich cię nie obchodzi.

– Nie bądź tego taki pewny.

– Słuchaj, wyleciałeś z Agencji, a to znaczy, że jesteś nikim. Zgodziłem się... sam nie

wiem... może w uznaniu twoich przeszłych zasług? Teraz widzę, że to była strata czasu.

Willarda nic nie mogło poruszyć ani zbić z tropu.

– Ten szczególny problem dotyczy twojego szefa.

Danziger odsunął się, jakby chciał znaleźć się jak najdalej od niego, siedząc na tej samej co on ławie. Willard rozłożył ręce.

– Chcesz mnie wysłuchać? Bo jeśli nie, możesz wyjść. Nie zatrzymuję.

– Mów.

– Bud Halliday jest... jak by to najlepiej ująć... w nieskrępowanych stosunkach z mężczyzną nazywającym się Jalal Essai.

Danziger natychmiast się zjeżył.

– Jeśli to próba szantażu...

– Spokojnie. Chodzi wyłącznie o interesy.

– A mnie co do tego?

– Wszystko. Essai jest dla niego jak trucizna. Dla ciebie też. To członek grupy znanej pod nazwą Severus Domna.

– Nigdy o niej nie słyszałem.

– Niewielu słyszało. Ale to ktoś od nich skłonił Departament Sprawiedliwości, żeby bliżej przyjrzał się Oliverowi Lissowi, zatrzymał go i wszczął kolejne śledztwo.

Pijak wył, próbując śpiewać w duecie z Connie Francis. Jeden z goryli Danziguera podszedł do niego i skłonił go do milczenia.

Danziger ściągnął brwi.

– Twierdzisz, że rząd Stanów Zjednoczonych przyjmuje rozkazy od... czy mogę założyć na podstawie nazwy, że ta Severus Domna to organizacja muzułmańska?

– Jej członkowie wywodzą się dosłownie z każdego kraju na świecie.

– Są wśród nich chrześcijanie i muzułmanie?

– Zapewne także żydzi, hinduiści, jainiści, buddyści i jaka jeszcze religia przyjdzie ci do głowy.

Nowy szef CI prychnął z pogardą.

– Śmieszne! Absurdem jest uznać, że wyznawcy różnych wiar, niepotrafiący uzgodnić, w którym dniu tygodnia umówić się na spotkanie, nagle zaczną współpracować ze sobą w jakiejś globalnej organizacji. Co chcą osiągnąć?

– Wiem tylko, że ich cele nie są naszymi celami.

Na te słowa Danziger zareagował jak na obrazę.

– Naszymi celami? Teraz jesteś cywilem! – W jego ustach zabrzmiało to jak obelga.

– Szefa Treadstone trudno nazwać cywilem – zwrócił mu uwagę Willard.

– Treadstone, co? Lepiej pasowałoby chyba Truposzstone?

– Danziger zarechotał głośno. – Ty i twój Truposz nic dla mnie nie znaczą. Nasze spotkanie uważam za zakończone.

Wysuwał się z ławy, kiedy Willard wyciągnął asa.

– Współpraca z zagraniczną grupą to zdrada, a zdrada karana jest śmiercią. Spróbuj wyobrazić sobie to upokorzenie... jeśli pożyczysz wystarczająco długo.

– A co to, do cholery, ma znaczyć?

– Wyobraź sobie świat bez Buda Hallidaya. – Danziger znieruchomiał. Po raz pierwszy od

wkroczenia do tego odpychającego baru wydawał się nie do końca pewny siebie.

– Powiedz mi jedno: dlaczego miałbym marnować twój cenny czas, dyrektorze? Co mam do zyskania?

Dyrektor Agencji Wywiadu usiadł wygodniej.

– Co spodziewasz się wygrać, opowiadając mi tę bajeczkę?

– Gdybyś naprawdę uważał za bajeczkę to, co właśnie usłyszałeś, to teraz rozmawiałbym sam ze sobą.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, co o tym wszystkim myśleć – przyznał Danziger. – Ale dobrze, mów. Daję ci kilka chwil.

– To wszystko, czego od ciebie chcę – powiedział Willard, ale oczywiście mijał się z prawdą. Chciał od Danziguera znacznie więcej i teraz już wiedział, że to dostanie.

• • •

Po drodze do biura Karpow kazał kierowcy zatrzymać się na chwilę, wysiadł i niewidziany przez nikogo zwymiotował w kępę wysokiej trawy. To nie to, że nigdy nikogo nie zabił. Wręcz przeciwnie, osobiście załatwił bardzo wielu szubrawców. Żołądek zbuntował mu się z powodu sytuacji, w jakiej się znalazł, obrzydliwej jak dotknięcie brzucha ryby gnijącej na dnie kanału ściekowego. Musi być jakieś wyjście z trumny, do której go wpakowano. Na swoje nieszczęście znalazł się między młotem a kowadłem, prezydentem Imowem a Wiktorem Czerkiesowem. Imow to problem, z którym muszą poradzić sobie wszyscy rosnący w siłę siłowicy, a teraz jeszcze ma dług wdzięczności wobec Czerkiesowa. Nie ma wątpliwości, że wcześniej czy później ten poprosi go o przysługę, od której dopiero zachce mu się rzygać. Patrząc w przyszłość, widział, jak tych przysług robi się coraz więcej i więcej, jak powoli odbierają mu ochotę na życie, aż wreszcie rozszarpują go na strzępy. Sprytny, oj, sprytny facet z tego Czerkiesowa. Dając mu, czego chciał, znalazł jedyny możliwy sposób obejścia jego, Karpowa, słynnej nieprzekupności. Nie pozostało mu nic innego, niż robić to, co dobry rosyjski żołnierz robił przez wieki: iść krok za krokiem, przepychać się jakoś przez gęstniejące z każdą chwilą błoto.

Tłumaczył sobie, że to wszystko w dobrej sprawie, że pozbycie się Masłowa i Kazachów jest warte wszystkich możliwych niedogodności, ale było to jak powiedzenie: „Ja tylko wykonywałem rozkazy”, i jeszcze bardziej go przygnębiło.

Usiadł na tylnym siedzeniu samochodu, ponury, w iście morderczym nastroju. Pięć minut później minęli ulicę, w którą powinni byli skręcić.

– Zatrzymaj samochód!

– Tutaj?

– Natychmiast!

– Ale... – kierowca spojrział we wsteczne lusterko – ...tu ruch jest...

– To rozkaz!

Kierowca wdepnął hamulec. Karpow wysiadł, otworzył drzwiczki od jego strony i wyciągnął go zza kierownicy. Nie zwracając uwagi na ryk klaksonów i pisk hamulców zmuszonych objeżdżać ich samochodów, walnął jego głową w karoserię. Kierowca osunął się bezwładnie na ziemię i dostał kopniaka kolanem w twarz. Zaczął pluć zębami. Pułkownik

skopał jeszcze leżącemu, a potem usiadł za kierownicą i odjechał.

„Powiniennem być Amerykaninem”, powtarzał sobie raz za razem, wycierając usta grzbietem dłoni. Ale jest patriotą. Kocha Rosję. Szkoda, że Rosja nie odwzajemnia tej miłości. Rosja to kochanka bezlitosna, nieczuła i okrutna. Powiniennem być Amerykaninem. Dopasował do tych słów melodyjkę i zaczął podśpiewywać je pod nosem niczym kołysankę. Poczuł się nieco lepiej. Skupił się na myśleniu o tym, jak pokona Masłowa i jak zreorganizuje FSB-2, kiedy Imow mianuje go dyrektorem.

Najpierw musi jednak pozbyć się trzech kretów. Uzbrojony w wiedzę, czyli wyrzygane przez Bukina nazwiska, zaparkował samochód przed wejściem do dziewiętnastowiecznego budynku, siedziby Agencji. Wbiegł po schodach. Wiedział, w których wydziałach pracują krety. Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi windy, wyjął z kieszeni pistolet.

Wywołał z biura pierwszego kreta. Facet zaprotestował, więc machnął mu bronią przed oczami. Urzędnicy z całego piętra wybiegli z pokoi, a ich sekretarki i asystenci podnieśli otepiąle głowy znad papierów, by śledzić rozgrywający się na ich oczach dramat. Na korytarzu zebrał się tłum, co tylko służyło Karpowowi. Trzymając na muszce pierwszego kreta, poszedł do biura drugiego, który był odwrócony plecami do drzwi i rozmawiał przez telefon. Strzelił mu w głowę, gdy facet się obracał. Pierwszy kret drgnął, widząc ofiarę rzuconą impetem na okno i wymachującą rękami. Ciało upadło na podłogę, pozostawiając na szybie interesujący, abstrakcyjny wzór z krwi, tkanki mózgowej i kości. Otoczony zaszokowanymi urzędnikami Karpow zrobił kilka zdjęć telefonem komórkowym.

Następnie przecisnął się przez tłum i pchając przed sobą trzęsącego się ze strachu zakładnika, poszedł piętro wyżej, gdzie był jego następny przystanek. Wieść o tym, co się dzieje, dotarła tam przed nimi. Tłum urzędników powitał ich w milczącym zdumieniu.

Karpowowi, ciągnącemu zakładnika do biura trzeciego kreta, zastąpił drogę pułkownik Lemtow.

- Pułkowniku Karpow – krzyknął – co oznacza pańskie skandaliczne zachowanie!
- Proszę zejść mi z drogi, pułkowniku. Nie będę powtarzał.
- Kim jesteście, żeby...
- Przysłał mnie prezydent Imow. Jeśli chcecie, możecie zadzwonić do jego biura. Ale lepiej zrobicie, kontaktując się bezpośrednio z Czerkiesowem.

Odepchnął Lemtowa. Dakajewa, trzeciego kreta, nie było w gabinecie. Już miał skontaktować się z ochroną, kiedy przerażona sekretarka poinformowała go, że szef jest na spotkaniu. Wskazała pokój konferencyjny i Karpow poprowadził tam jeńca.

Przy prostokątnym stole siedziało dwunastu mężczyzn. Dakajew, jako szef dyrektoriatu, więcej był wart żywy niż martwy. Karpow pchnął jeńca na stół. Wszyscy odsunęli się od niego jak na komendę, z wyjątkiem samego Dakajewa. Od momentu gdy Karpow pojawił się w drzwiach, Dakajew nawet nie drgnął, siedział nieruchomo ze splecionymi rękami na blacie. W odróżnieniu od pułkownika Lemtowa nie wyraził oburzenia, nie sprawiał też wrażenia poruszonego. Bez wątpienia wiedział, co się dzieje.

I to musiało się zmienić. Karpow pociągnął kreta po stole, rozrzucając papiery, pióra, szklanki z wodą. Zatrzymali się przed Dakajewem. Patrząc mu w oczy, pułkownik przyłożył lufę do głowy zakładnika.

- Błagam – jęknął nieszczęśnik, a po jego nodze popłynął mocz.

Pociągnął spust. Głowa pierwszego kreta uderzyła w blat stołu, podskoczyła i spoczęła w kałuży krwi. Na garniturze, koszuli, krawacie i świeżo ogolonej twarzy Dakajewa rozkwitł pollockowski wzór.

Karpow machnął pistoletem.

– Wstań.

Dakajew posłusznie wstał.

– I co, mnie też zastrzelisz? – spytał.

Karpow złapał go za krawat.

– W końcu pewnie tak. Ale to zależy wyłącznie od ciebie.

– Rozumiem. Chcę nietykalności.

– Nietykalności? Ja ci dam nietykalność!

Po uderzeniu lufą w głowę trzeci kret zatoczył się na przerażonego urzędnika, siedzącego na krześle sztywno, jakby był sparaliżowany. Pułkownik pochylił się nad nim.

– Powiesz mi wszystko, co wiesz o swojej pracy i kontaktach: nazwiska, miejsca, daty, każdy pieprzony szczegół, nawet najdrobniejszy. Wtedy zdecyduję, co z tobą zrobić.

– Poderwał Dakajewa na nogi. – A wy – zwrócił się do ogłupiałych ludzi – wracajcie do roboty, cokolwiek robicie.

Na korytarzu powitała go cisza. Pracownicy Agencji stali jak ołowiane żołnierzyki, bojąc się głębiej odetchnąć. Pułkownik Lemtow unikał jego spojrzenia. Karpow i krwawiący Dakajew podeszli do wind.

Zjechali na sam dół, poniżej poziomu piwnicy. Mieściły się tam wykute w kamieniu cele. Było chłodno i wilgotno. Strażnicy nosili szynele i futrzane czapki uszanki, jak w środku zimy. Każdemu wypowiedzianemu słowu towarzyszył wypływający z ust mówiącego kłęb pary.

Karpow zabrał Dakajewa do ostatniej celi po lewej, wyposażonej w przyśrubowane do nagiej cementowej podłogi metalowe krzesło, duży, przemysłowy, stalowy zlew, taki sam kibel i wystającą ze ściany deskę przykrytą cienkim materacem. Pod krzesłem znajdował się duży otwór odpływowy kanalizacji.

– Narzędzia pracy. – Pułkownik popchnął więźnia na krzesło. – Dawno tego nie robiłem, przyznaję, ale dla ciebie to przecież żadna różnica.

– Czy ten melodramat jest rzeczywiście konieczny? – mruknął Dakajew. – Nie uznaję lojalności, powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć.

– W to nie wątpię. – Karpow napełnił zlew wodą.

– Jednak z drugiej strony człowiek głośno przyznający się do braku lojalności nie zasługuje na zaufanie, nawet gdy obiecuje, że szczerze i chętnie powie wszystko, co wie.

– Ale...

Karpow włożył mu do ust lufę pistoletu.

– Posłuchaj mnie, mój agnostyczny przyjacielu. Człowiek pozbawiony poczucia lojalności wobec kogoś lub czegoś nie zasługuje na bijące w piersi serce. Nim wysłucham twojej spowiedzi nauczę cię znaczenia tego słowa. Wyjdiesz stąd jako lojalny funkcjonariusz FSB-dwa... albo nogami do przodu. Tak czy inaczej, nigdy więcej nie dasz się skusić ludziom pokroju Dimitrija Masłowa. Będziesz nieprzekupny.

Skopał więźnia z krzesła, złapał go za kołnierz i podciągnął do zlewu.

– Zaczynamy – oznajmił i wepchnął mu głowę pod lodowatą wodę.

Soraya obserwowała Arkadina tańczącego z Moirą pewnie po to, by wzbudzić w niej zazdrość. Odwiedzili jedną z całonocnych *cantinas* w Puerto Pefiasco, pełnej robotników zmianowych pracujących w pobliskich *maquiladoras*. Z szafy grającej, jarzącej się równie nieudany jak krzykliwym obrazkiem UFO z *Bliskich spotkań trzeciego stopnia* dobiegała głośna, płaczliwa *ranchera*.

Zaciskając dłonie na filiżance czarnej kawy, przyglądała się biodrom Arkadina wirującym, jakby wypełniała je rtęć. Ten człowiek umie tańczyć. Następnie wyjęła palmtop i przeczytała przysłane jej przez Marksa informacje. Ostatnia zawierała instrukcje, jak zwabić Arkadina do Tineghiru. Skąd Marks bierze takie skarby?

Dobrze ukryła szok spowodowany spotkaniem z Moirą. Była profesjonalistką i potrafiła zapanować nad mimiką i zachowaniem. W chwili gdy pojawiła się na pokładzie, miała wrażenie, że ziemia usuwa jej się spod stóp. W tej jednej chwili zasady gry radykalnie się zmieniły, a ona musi je poznać. Jak najszybciej. Dlatego właśnie tak dokładnie przysłuchiwała się rozmowie Moiry z Arkadinem. Chodziło nie tylko o to, co mówili, ale także, jak drobne niuanse mogły wyjaśnić, co Moira tu robi. Czego chce. Bo z pewnością układ, jaki proponowała Arkadinowi, był pomysłem równie lewym, jak pomysł Sorai.

Noc była ciemna, bezksiężycowa. Zza chmur przedzierało się tylko słaba poświata gwiazd. *Cantina* śmierdziała piwem i potem. Panujący w niej hałas mówił o desperacji, beznadziei, rozpacz. Sorai wydawało się, że otaczają ją ludzie bez przyszłości.

Żałowała, że nie może porozmawiać z Moirą, choćby przez krótką chwilę, ale pod okiem Arkadina było to oczywiście niemożliwe. Nawet wyjście do toalety w tym samym czasie niewątpliwie wzbudziłoby jego podejrzenia. Nie знаła numeru komórki Moiry, nie mogła więc wysłać jej SMS-a. Pozostał tylko jeden sposób: rozmowa nasycona kodowanymi przekazami. Jeśli szły obok siebie w tym samym kierunku, może nawet przypadkiem tą samą ścieżką, najważniejsze było, by nie wchodziły sobie w drogę.

Arkadin i Moira wrócili do stolika, ociekając potem. Arkadin zamówił im piwo i jeszcze jedną kawę dla Sorai. Cokolwiek ma zdarzyć się jutro, dziś z pewnością cieszy się z towarzystwa tych dwóch kobiet.

– Moira – rozpoczęła rozmowę Soraya – wiesz coś o Środkowym Wschodzie, czy też twoje zainteresowania obejmują wyłącznie Ameryki?

– Meksyk, Kolumbia, Boliwia, do pewnego stopnia Brazylia, to jest moje terytorium.

– Pracujesz samodzielnie?

– Mam firmę, ale w tej chwili wykonuję specjalne zlecenie Berengarii Moreno. A ty? – spytała, wskazując rozmówczynię podbródkiem.

– Mam własną firmę, choć pewien konglomerat próbuje dokonać wrogiego przejęcia.

– Międzynarodowy?

– Czysto amerykański.

Moira skinęła głową.

– Mówisz: eksport-import?

Soraya zamieszała kawę.

– Tak.

– Mogłabyś użyć moich... ach, umiejętności... przeciwko ludziom chcącym cię przejąć.
– Dziękuję, nie. – Soraya upiła łyk kawy i odstawiła filiżankę na talerzyk. – Dysponuję własnymi... egzekutorami.

– Jak się nazywa myśl, która przemknęła przez głowę kobiety? – Arkadin pochylił się i spojrział najpierw na jedną z nich, potem na drugą. – Turysta! – Roześmiał się tak serdecznie, że o mało nie zakrztusił się piwem. Nagle zauważył, że tylko on się śmieje. – Ależ, moje panie, mieliśmy się bawić, a nie rozmawiać o interesach.

Moira przyglądała mu się przez dłuższą chwilę.

– Co dostajesz, krzyżując Rosjanina i Meksykanina? Złodzieja samochodów nieumiejącego prowadzić.

Tym razem roześmiała się Soraya.

– Dopiero teraz naprawdę się bawimy!

– Znasz jeszcze jakieś dowcipy? – uśmiechnął się Arkadin.

– Pomyślmy. – Moira zabębniła palcami o stół. – Co powiecie na to: dwóch Rosjan i Meksykanin siedzą w samochodzie. Kto prowadzi? Policja.

Śmiejąc się, Arkadin pogroził jej palcem.

– Skąd znasz takie fajne dowcipy? – spytał.

– Z więzienia. Roberto Corellos uwielbia naśmiewać się z Rosjan.

– Pora zmienić drinki. – Arkadin wezwał młodą kelnerkę.

– Butelka tequili – rzucił. – Coś dobrego. Reposado albo ańejo.

Zamiast kolejnej ranchery z szafy grającej popłynęły dźwięki *Twenty-four Hours from Tulsa*. Nosowy głos Gene'a Pitneya przebił się przez krzyki i śmiech gości. Ale zbliżał się ranek, a wraz z nim zmiana klienteli. Sowy powoli opuszczały lokal, zastępowali je robotnicy z nocnej zmiany, zmordowani, cierpiący na ból głowy. Nie było ich wielu, większość docierała jakoś do domów i w ubraniu padała na łóżka.

Nim na ich stoliku pojawiła się tequila, Arkadin złapał Moirę za rękę i wyciągnął ją na parkiet, pierwszy raz tej nocy większy od znaczka pocztowego. Kołysali się, przytuleni, do melodii Burta Bacharacha.

– Cwaniara z ciebie, wiesz? – powiedział Arkadin, uśmiechając się jak rekin.

– Niełatwo przyszło mi nauczyć się cwaniactwa.

Arkadin się roześmiał.

– To mogę sobie tylko wyobrazić.

– Nie trudź się.

Obrócił ją w tańcu.

– W Ameryce Południowej tylko marnujesz czas. Powinnaś zacząć pracować dla mnie.

– Przyjmiesz mnie, nim ustawię zabójstwo Corellosa?

– Niech to będzie twoje ostatnie zadanie. – Arkadin pochylił się nad jej ramieniem i odetchnął głęboko. – Jak masz zamiar tego dokonać?

– Sam mówiłeś, że dziś się bawimy, a nie rozmawiamy o interesach.

– Tylko to jedno pytanie, obiecuję, i zostanie nam tylko zabawa.

– Corellos jest uzależniony od kobiet. Mam kontakt z jego dostawcą. Mężczyzna nigdy nie jest tak słaby jak po seksie. Znajdę dziewczynę umiejącą posługiwać się nożem.

Arkadin mocniej przycisnął biodra do jej bioder.

- To mi się podoba. Załatw tę sprawę jak najszybciej.
 - Chcę dostać premię.
- Musnął językiem jej szyję i zlizął pot.
- Dam ci wszystko, czego chcesz.
 - Więc jestem twoja.

• • •

Telefon komórkowy Karpowa zadzwonił po raz pierwszy, gdy pułkownik zajęty był przeprogramowywaniem kreta Dimitrija Masłowa. Dakajew topił się, a dokładniej był pewny, że się topi, i o to właśnie chodziło. Drugi raz sygnał telefonu odezwał się dziesięć minut później, kiedy Dakajew siedział na stalowym krześle, a Karpow nalewał sobie herbaty do szklanki. Odebrał i usłyszał znajomy głos.

- Jason! – krzyknął. – Miło cię słyszeć.
- Jesteś zajęty?

Pułkownik spojrział na jeńca, skulonego z opuszczoną głową i podbródkiem opartym na piersi. Prawie nie przypominał człowieka... i o to właśnie chodziło. Nie stworzy się czegoś nowego, nie niszcząc tego, co było wcześniej.

- Zajęty? Owszem, ale nigdy tak, żebym nie miał czasu dla ciebie. W czym mogę ci pomóc?
- Zakładam, że znasz prawą rękę Dimitrija Masłowa, niejakiego Wiaczesława Osierowa?
- Nie mylisz się w swoich założeniach.
- I znajdziesz jakiś sposób, żeby go dokądś wysłać?
- Jeśli chodzi ci o piekło lub coś możliwie najbardziej podobnego do piekła, owszem. Bourne roześmiał mu się prosto do ucha.

– Miałem raczej na myśli coś mniej... ostatecznego. Pewne miejsce w. powiedzmy, Maroku.

Karpow wypił łyk herbaty aż proszącej się o cukier.

- Wolno spytać, po co ci Osierow w Maroku?
- Przynęta, Borisie. Mam zamiar złapać na nią Arkadina.

Karpow pomyślał o swojej wycieczce do Sonory i o zawartej z Arkadinem umowie. Dodał go do listy, na której byli już prezydent Imow i Wiktor Czerkiesow. Obiecał Arkadinowi, że pozwoli mu dorwać Osierowa, ale... pieprzyć obietnice. Jestem za stary i zbyt sprytny, żeby uznawać za wiele długów zaciągniętych u zbyt niebezpiecznych ludzi, pomyślał. Jeden mniej to krok w dobrą stronę. Do zera. Następnie spojrział na Dakajewa, doskonale nadającego się na łącznika z Masłowem, a tym samym i z Osierowem. Po tym, co przeszedł, więzień z radością zrobi wszystko, co rozkaże mu jego kat.

– Powiedz mi dokładnie, czego chcesz. – Słuchał, uśmiechając się z zadowoleniem, a kiedy Bourne skończył, zachichotał radośnie. – Jasonie, przyjacielu, nie masz pojęcia co bym dał, żeby znaleźć się na twoim miejscu.

• • •

O świcie byli już tak spoceni, że marzyli tylko o kąpiel. Arkadin dał Moirze i Sorai długie luźne podkoszulki, a sam włożył szorty sięgające do kolan. Tułów i ramiona miał

wytatuowane; o ile można było je odczytać, tatuaże ilustrowały jego historię w *gruppirowce*.

Weszli we trójkę do morza, popychani przez fale wybiegające na złoty piasek. Niebo, nadal różowe, bladło już jednak na kolor masła. Nad ich głowami polatywały mewy, o stopy i kostki ocierały się drobne rybki. Dotarli tak głęboko, że fale zaczęły ochlapywać im twarze. Jak dzieci śmiali się z nieposkromionej radości, że kąpią się w bezkresnym oceanie.

Tam, za linią załamywania się fal, Moira uznała za dziwne, że Arkadin raz za razem nurkuje po muszle, zamiast gapić się na jej piersi, szczególnie po tym, jak tańczył z nią w *cantine*. Niewiele dowiedziała się o misji Sorai z rozmowy, którą Soraya rozpoczęła. Arkadin za wcześniej uciał ją swoim mizoginicznym żartem.

Podczas gdy on nadal bawił się w nurkowanie, Moira zaczęła powoli zbliżać się do Sorai; być może teraz będą miały szansę porozmawiać krótko w cztery oczy. Skoczyła w nadchodzącą falę i popłynęła w stronę unoszącej się bezwładnie na wznak przyjaciółki, kiedy nagle na jej lewej kostce zacisnęły się palce, szarpnęły ją do tyłu.

Skuliła się i spojrzała przez ramię. Arkadin nie zwalniał uchwytu. Próbowwała odepchnąć się dłońmi od jego piersi, ale zyskała tylko tyle, że przyciągnął ją bliżej. Wyprostowała się i stanęła z nim twarzą w twarz.

– Co ci strzeliło do głowy. – Otarła wodę zalewającą jej twarz. – Nie mogę stanąć.

Natychmiast ją puścił.

– Mam dość i jestem głodny – oznajmił.

Moira się odwróciła i zawołała Sorayę. Soraya przewróciła się na brzuch i popłynęła w ich stronę.

– Idziemy na śniadanie.

Kobiety wychodziły z morza pierwsze, Arkadin tuż za nimi. Były już poza linią najwyższej fali, przed nimi pojawiły się wzgórki suchego piachu, kiedy nagle Arkadin pochylił się i ostrą jak brzytwa krawędzią muszli przeciął ścięgna pod lewym kolaniem Moiry.

Rozdział 25

Wioska Whitney w Oxfordshire leżała niespełna dwadzieścia kilometrów od Oksfordu, nad rzeką Windrush. Brakowało tylko hobbitów i orków. Bourne przyjechał tu z Londynu wynajętym samochodem. Popołudnie było chłodne, suche, słońce od czasu do czasu przedzierało się przez puszyste chmury. Nie okłamał Marksa, miał zamiar udać się do Tineghiru, ale przedtem miał coś do załatwienia.

Basil Bayswater mieszkał w domku krytym strzechą, jakby wyjętym z ksiązek Tolkiena z dziwnymi okrągłymi oknami. Po obu stronach wysypanej białym żwirem ścieżki, prowadzącej do frontowych drzwi, rosące na schludnych rabatkach kwiaty właśnie zaczynały wypuszczać pączki. Drzwi były grube, drewniane, ozdobione pośrodku kołatką przedstawiającą łeb ryczącego lwa. Bourne jej użył.

Chwilę później otworzył je mężczyzna znacznie młodszy, niż Bourne się spodziewał.

– Słucham? W czym mogę panu pomóc? – Miał długie włosy szesane z szerokiego czoła, ciemne bystre oczy i wyraźnie zarysowany podbródek.

– Szukam Basila Bayswatera – powiedział Bourne.

– Właśnie pan na niego patrzy.

– Nie sędzę.

– Ach, w takim razie z pewnością chodzi panu o profesora Basila Bayswatera. Niestety, ojciec zmarł trzy lata temu.

• • •

Moira jęknęła głośno. Na powierzchni wody rozkwitła plama krwi przypominająca wyrzuconą na brzeg meduzę. Arkadin podtrzymał przewracającą się kobietę.

– Mój Boże, coś ty zrobił?! – krzyknęła Soraya.

Moira nadal jęczała i pochyłona trzymała się za lewą nogę. Arkadin zignorował Sorayę i uśmiechnął się do rannej, szczerząc zęby.

– Myślisz, że cię nie poznałem?

– O czym mówisz?

– Widziałem cię na Bali. Byłaś z Bourne'em.

W jej pamięci pojawił się obraz: ucieczka przez wioskę Tenganan, Bourne postrzelony przez ukrytego w lesie snajpera. Moira spojrzała na Arkadina szeroko otwartymi oczami.

– Tak, to byłem ja. – Arkadin podrzucił zakrwawioną muszlę i złapał ją, jakby to była piłka.

– Byłaś z Bourne'em. Jesteś jego kochanką. A teraz los przyprowadził cię do mnie.

Soraya była równie oburzona jak przerażona.

– Co tu się, do diabła, dzieje?

– Zaraz będziemy wiedzieli – zwrócił się do niej Arkadin.

– Oto kochanka Jasona Bourne'a... ale możliwe, że dobrze się znacie.

Dzięki silnej woli Soraya zdołała się opanować.

– Nie wiem, o czym mówicie.

– W porządku, zaraz ci wytłumaczę. Nie kupiłem tej twojej historyjki, ale nie zamierzam cię odsyłać, póki nie dowiem się, czego właściwie chcesz. Podejrzewam, że przysłał cię Willard. Już raz próbował tej sztuczki z Tracy Atherton. Podstawił mi ją, żeby mnie pilnowała, żeby donosiła mu o każdym moim posunięciu. No i udało mu się. Nim doszedłem, w czym rzecz, ona już nie żyła. Ale ciebie rozpoznałem od razu, bo stary lubi się powtarzać, zwłaszcza kiedy za pierwszym razem mu się udało.

– Puść ją. – Z każdą mijającą chwilą Soraya była coraz bardziej wzburzona.

– Całkiem możliwe, że tak właśnie zrobię. Może nawet pozwolę jej żyć, ale to zależy wyłącznie od ciebie.

Soraya podeszła, wzięła Moirę za rękę i delikatnie położyła ją na piasku. Zdjęła mokrą koszulkę, owinęła nią jej lewą nogę i zawiązała ją najmocniej, jak potrafiła. Moira wcześniej straciła przytomność, z szoku lub bólu albo z obu tych powodów naraz.

– Chcę ciebie – mówił Arkadin. – To ty mówiłaś o Chartumie, to ty chciałaś, żebym tam pojechał. Jeśli powiesz mi wszystko, co wiesz, rozważę możliwość złagodzenia kary.

– Musimy zawieźć ją do najbliższego szpitala – przerwała mu Soraya. – Ranę trzeba jak najszybciej oczyścić i zdezynfekować.

– Cóż... – Arkadin szeroko rozłożył ręce – ...to zależy tylko od ciebie.

Soraya przyjrzała się ranie. Dobry Boże, pomyślała, czy ona będzie mogła normalnie chodzić? Doskonale zdawała sobie sprawę, że im później oddadzą ją w ręce kompetentnego lekarza, tym dla niej gorzej. Widziała już ścięgnięta przecięte w ten sposób. Niełatwo było doprowadzić je do porządku, a kto wie, jak bardzo uszkodzone zostały nerwy?

Odetchnęła głęboko.

– Co chcesz wiedzieć?

– Kim jesteś? To na początek.

– Nazywam się Soraya Moore.

– Ta Soraya Moore? Dyrektorka Typhona?

– Już nie. – Soraya pogłaskała wilgotne włosy Moiry.

– Willard wskrzesił Treadstone.

– Nic dziwnego, że chciał mieć na mnie oko. Co jeszcze?

– Mnóstwo. Powiem ci wszystko po drodze do szpitala.

Arkadin pochylił się nad nią groźnie.

– Powiesz mi teraz!

– Możesz od razu zabić nas obie.

Zaklął, ale w końcu przystał na jej żądanie. Wziął Moirę na rękę, zaniósł ją do samochodu i ułożył na tylnym siedzeniu. Soraya poszła po koszulkę. Znalazł ją szperającą w jego biurku.

– Nic z tego, kurwa. – Chwycił ją za rękę, wyciągnął z budynku i prawie rzucił na siedzenie pasażera. – Spróbujesz czegoś, a zabiję bez wahania – zagroził. Usiadł za kierownicą i zapalił silnik.

– Masz rację – powiedziała Soraya, unosząc nogę Moiry ponad jej głowę. Jechali przez przedmieścia Puerto Pefiasco.

– Willard chciał, żebym się do ciebie zbliżyła. Informowała go, gdzie jesteś, co robisz, jakie interesy załatwiasz.

– I? Wyczuwam, że jest w tym coś więcej.

– Jest – przyznała Soraya. Wiedziała, że tę sprawę musi rozegrać bez pudła. Nie wierzyła już swoim zdolnościom aż tak bardzo, nie była pewna, czy zdoła go oszukać, ale musi spróbować. – Willard zainteresował się człowiekiem, którego z całą pewnością znasz, bo pracuje dla Masłowa. Wiaczesławem Osierowem.

Kostki ściskających kierownicę palców Arkadina pobieły, lecz jego głos nie zdradzał tego, co pewnie w tej chwili czuł.

– A dlaczego to zainteresował się właśnie Osierowem?

– Nie mam pojęcia. – Przynajmniej to jest prawdą. – Ale wiem, że wczoraj agent Treadstone zidentyfikował Osierowa w Marrakeszu i śledził aż do wioski Tineghir w Atlasie.

Podjechali pod szpital w Santa Fe mieszczący się przy Morua Avenue. Arkadin nie ruszył się z kierownicy.

– I co Osierow robił w Tineghirze?

– Szukał pierścienia.

Rosjanin pokręcił głową.

– Mów tak, żeby można cię było zrozumieć.

– Ten szczególny pierścień w jakiś sposób umożliwia dostęp do ukrytego pliku znajdującego się na twardym dysku laptopa. – Soraya spojrzała Arkadinowi w oczy. – Tak, wiem, ja też tego nie rozumiem. – Wszystkie te informacje były w ostatnim SMS-ie od Marksa. Otworzyła drzwi samochodu. – Czy możemy już zanieść Moirę do izby przyjęć? Proszę.

Arkadin wysiadł i z całej siły trzasnął drzwiczkami od jej strony.

– Chcę więcej.

– Powiedziałaś mi wszystko, co wiem.

Przeszył ją spojrzeniem – Już wiesz, co spotyka ludzi, którzy próbują się ze mną pieprzyć.

– Ja nie próbuję. Zawiodłam twoje zaufanie... czego jeszcze chcesz?

– Wszystkiego. Chcę wszystkiego.

Zanieśli Moirę do szpitala. Podczas gdy podłączano ją do aparatury i przeprowadzano konieczne badania, Soraya spytała o najlepszego neurochirurga w Sonorze. Posługiwała się idiomatycznym hiszpańskim, a co więcej, wyglądała na Latynoskę, co otwierało przed nią wiele drzwi. Dostała prywatny numer, pod który natychmiast zadzwoniła. Asystentka poinformowała ją przez telefon, że lekarz jest niedostępny, ale kiedy Soraya obiecała, że znajdzie ją i osobiście skręci jej kark, pan doktor szybko się znalazł. Opisała mu ranę, poinformowała, gdzie są, i usłyszała obietnicę, że dla wynagrodzenia w wysokości dwóch tysięcy dolarów gotówką przyjedzie natychmiast.

– Idziemy – rozkazał Arkadin, gdy tylko skończyła rozmowę.

– Nie zostawię Moiry.

– Mamy jeszcze kilka spraw do przedyskutowania.

– Więc możemy przedyskutować je tutaj.

– Wracamy do klasztoru.

– Nie będę się z tobą pieprzyć – obiecała Soraya.

– I dzięki Bogu. Pieprzenie się z tobą byłoby jak pieprzenie skorpiona.

Mimo obaw, mimo przygnębienia Soraya musiała się roześmiać, tak ironicznie zabrzmiały te słowa. Poszła na poszukiwanie kawy. Arkadin ruszył za nią.

•••

Bourne jechał do Oksfordu najszybciej jak to możliwe, bez zwracania na siebie uwagi policji. Miasto wyglądało dokładnie tak jak wtedy, gdy je odwiedzał: te same ciche ulice, te same pełne uroku sklepiki, obywatele zajmujący się tymi samymi swoimi sprawami, herbaciarnie i księgarnie... Wszystko to było jak miniatura stworzona przez obsesyjnie dokładnego osiemnastowiecznego akademika. Zupełnie jakby sam o tym nie wiedząc, wjechał do wnętrza szklanej kuli.

Zaparkował blisko miejsca, gdzie Chrissie zostawiła swojego range rovera, kiedy byli tu razem. Wbiegł do budynku Centrum Studiów nad Dokumentami Starożytnymi. Profesor Liam Giles też tkwił tam, gdzie go zostawili, pochylony nad biurkiem w ogromnym gabinecie. Spojrzał na wchodzącego gościa, mrugając nieprzytomnie, jakby go nie poznawał. Nie od razu Bourne zorientował się, że to jednak nie Giles, lecz mężczyzna podobny do niego z sylwetki i wieku.

– Gdzie jest profesor Giles?

– Tu go nie ma.

– Muszę go znaleźć.

– To już zrozumiałem. Można wiedzieć dlaczego?

– Gdzie on jest?

Mężczyzna znów zamrugął nieprzytomnie.

– Gdzieś jest.

Bourne zdążył przeczytać oficjalny życiorys profesora dostępny na stronie Uniwersytetu Oksfordzkiego.

– Chodzi o jego córkę.

Obcy człowiek znów mrugnął.

– Jego córka zachorowała?

– Niestety, nie mogę powiedzieć. Gdzie znajdę profesora Gilesa?

– Nie sądzę...

– To ważne – przerwał mu Bourne. – Kwestia życia i śmierci.

– Nie jest pan przypadkiem umyślnie melodramatyczny, szanowny panie?

Bourne machnął legitymacją ratownika, którą ukradł na miejscu wypadku.

– Mówię jak najbardziej poważnie.

– Ojejku. – Mężczyzna zamachał rękami. – Profesor jest w toalecie. Nie zdziwiłbym się, gdyby dzielnie walczył z węgorzem w cieście, którego spożył wczoraj na kolację.

•••

Neurochirurg był młody, ciemnoskóry jak Indianin, miał długie delikatne palce pianisty grającego muzykę poważną i pasujące do nich delikatne rysy twarzy, świadczące, że tak naprawdę nie jest Indianinem. Zachował się jak prawdziwy twardy biznesmen, zaczął dopiero, gdy Soraya wcisnęła mu do ręki zwitek banknotów. Zostawił ich i idąc do sali operacyjnej, konsultował się z lekarzami z izby przyjęć badającymi Moirę.

Soraya piła okropną kawę, nie czując jej smaku. Dziesięć minut później, zdenerwowana, chodząc po korytarzu tam i z powrotem, poczuła, że wypala jej ona dziurę w żołądku, więc

kiedy Arkadin zaproponował, żeby coś zjedli, zgodziła się chętnie. Niedaleko szpitala znaleźli restaurację. Przed zajęciem miejsca przy stoliku sprawdziła, czy nie została ona skolonizowana przez robactwo. Złożyli zamówienie i siedzieli naprzeciwko siebie, unikając przyglądania się sobie, a przynajmniej Soraya starała się nie patrzeć na Arkadina.

– Widziałem cię bez stanika. Bardzo mi się podobało to, co zobaczyłem.

Dziewczyna natychmiast oprzytomniała.

– Wal się!

– Moira była wrogiem – wyjaśnił Rosjanin. – Jakie prawo chroni ją przed konsekwencjami?

Soraya przyglądała się ulicy, obcej jak ciemna strona Księżyca.

Przyniesiono ich dania i Arkadin zaczął jeść. Chodnikiem przeszły dwie młode dziewczyny, przesadnie umalowane i zbyt skąpo ubrane. Udawały się do pracy. Latynosi pokazujący swoje ciała bez skrępowania nadal wprawiali ją w zdumienie. Ich kultura była bardzo różna od jej kultury, a jednak dzieliła z nimi wyraźnie odczuwalną tu aurę smutku. Beznadziejność potrafiła zrozumieć. Był to kulturowy motyw znany osobom jej płci od niepamiętnych czasów i jeden z głównych powodów, dla których wybrała tajne służby, gdzie mimo zwyczajowego antyfeminizmu mogła zdobyć pozycję sprawiającą jej satysfakcję. Teraz, po raz pierwszy, zobaczyła te dziewczęta w za małych stanikach i za krótkich spódniczkach w innym świetle. Był to dostępny im, być może jedyny sposób zaznaczenia swojego miejsca w kulturze, która bezustannie dewaluowała ich znaczenie i je poniżała.

– Jeśli Moira umrze lub nie będzie mogła chodzić...

– Oszczędź mi tych pogroźek. – Arkadin zmiótł z talerza resztki huevos rancheros.

To właśnie jego biznes, pomyślała Soraya. Niezależnie od tego, co myśli i jak gorąco by temu zaprzeczał, jego biznesem jest poniżanie kobiet i dewaluowanie ich znaczenia. Taki jest podtekst wszystkiego, co mówi i robi. Nie ma serca, nie ma wyrzutów sumienia, nie ma duszy ani poczucia winy, nie ma nic, co definiuje człowieka i odróżnia go od nie ludzi. Jeśli nie jest człowiekiem, pomyślała i poczuła przyływ irracjonalnego strachu, to kim jest?

• • •

Męską toaletę od gabinetu profesora Gilesa dzieliło pięć drzwi. Profesor, zajmujący jedną z kabin, niewątpliwie nie czuł się dobrze. W toalecie unosił się kwaśny smród. Bourne podszedł do okna i otworzył je najszerzej, jak się dało. Wilgotny wiatr zamieszał w pomieszczeniu jak czarownica w kotle.

Odczekał, aż dobiegające go dźwięki ucichły.

– Profesorze Giles.

Nie od razu doczekał się odpowiedzi, ale w końcu drzwi kabiny otworzyły się i wyszedł z niej zielony na twarzy profesor. Chwiejnym krokiem minął Bourne'a, dopadł umywalki i wsadził głowę pod strumień zimnej wody.

Bourne oparł się o ścianę z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Gdy Giles podniósł głowę, podał mu kilka papierowych ręczników. Profesor przyjął je bez komentarza, wytarł twarz i włosy i wyrzucił do kosza. Najwyraźniej dopiero teraz rozpoznał gościa. Wyprostował się.

– Ach, powrót syna marnotrawnego – powiedział swoim najbardziej profesorskim głosem.

– Spodziewał się mnie pan?

– Szczerze mówiąc, nie. Ale z drugiej strony... – uśmiechnął się słabo – ...fałszywego pensa nie wydasz, zawsze wróci.

– Profesorze, chciałbym, żeby znów skontaktował się pan ze swoim przyjacielem szachistą. Giles ściągnął brwi.

– To może nie być łatwe. Jest samotnikiem, nie lubi odpowiadać na pytania. Potrafię to sobie wyobrazić, pomyślał Bourne.

– Mimo wszystko proszę spróbować.

– Niech będzie.

– A przy okazji... jak on się nazywa?

Profesor Giles się zawahał.

– James.

– James i...

Kolejna chwila wahania.

– James Weatherley.

– A nie Basil Bayswater?

Giles odwrócił się do drzwi.

– O co chciałbyś go zapytać?

– O to, jak wygląda życie po śmierci.

Profesor, idący w stronę drzwi na korytarz, zatrzymał się nagle i powoli odwrócił.

– Przepraszam, nie rozumiem.

– Syn Basila Bayswatera pogrzebał go przed trzema laty, zakładam więc, że jego ojciec doskonale wie, jak to jest być martwym.

Profesor sprawiał wrażenie obrażonego.

– Przecież mówiłem, że nazywa się James Weatherley.

Bourne wziął go pod ramię.

– Profesorze, nikt w to nie wierzy, nawet pan.

– Zaprowadził Gilesa w najdalszy kąt toalety. – A teraz powie mi pan, dlaczego mnie okłamał. – Nie doczekał się odpowiedzi, więc mówił dalej: – Nie musiał pan szukać u Bayswatera pomocy w przekładzie, bo już wcześniej znał pan znaczenie grawerunku na pierścieniu.

– Tak, chyba rzeczywiście tak. Obaj nie mówiliśmy sobie prawdy. – Giles wzruszył ramionami. – Ale czego można oczekiwać od życia? Nic nigdy nie jest takie, jakim się wydaje.

– Należy pan do Severus Domna.

Giles uśmiechnął się nieco szerzej niż poprzednio.

– Nie ma sensu zaprzeczać faktom, skoro i tak masz oddać pierścień.

W tym momencie, jakby podsłuchiwał przed drzwiami, do toalety wszedł mężczyzna, który jeszcze przed chwilą pracował za biurkiem Gilesa. Z SIG sauerem w garści nie wyglądał aż tak nieprzytomnie. Za nim pojawili się jeszcze dwaj osobnicy, wyżsi i bardziej muskularni, obaj uzbrojeni w pistolety z tłumikami. Otoczyli Bourne'a, mierząc do niego w milczeniu.

– Jak widzisz – powiedział Giles – nie dałem ci wyboru.

Rozdział 26

Główną cechą Wiaczesława Osierowa były nie rany twarzy, a w każdym razie nie tylko, lecz uraza wielkości planety. Żywił ją do Arkadina, człowieka torturującego go przez lata, który zadał mu potworne rany w Bangalore. Płomień palących się środków chemicznych przeżarł warstwę skóry aż do mięsa, czyniąc proces powrotu do zdrowia trudnym, a do pełnej normalności niemożliwym.

Po powrocie do Moskwy wiele dni spędził owinięty bandażami, spod których sączyła się nie tylko krew, lecz także gęsta żółta wydzielina, której smrodem się dławził. Odmówił przyjmowania środków znieczulających, a kiedy na rozkaz Masłowa lekarz próbował zrobić mu zastrzyk uspokajający, złamał mu rękę i o mało nie skrzył karku.

Dzień w dzień jego dzikie ryki bólu niosły się po budynku biurowym, docierając aż do toalet, w których pracownicy szukali chwili ulgi i spokoju. Były straszne, niczym ryki żywcem ćwiartowanego zwierzęcia, przerażały i demoralizowały nawet zatwardziały kryminalistów Masłowa. On sam czuł się zmuszony przywiązywać go do kolumny, jak Odyseusza do masztu, i zaklejać mu usta taśmą, by on sam oraz inni jego ludzie doświadczyli chwili wytchnienia. W tym czasie Osierow miał już głębokie rany na skroni, krwawe jak plemienne blizny. Rozdrapywał paznokciami skórę, która nie została całkowicie spalona.

Do pewnego stopnia znowu był dzieckiem. Masłow nie mógł wysłać go do szpitala lub kliniki, gdyż wywołałoby to lawinę niewygodnych pytań, a FSB-2 natychmiast wszczęłoby dochodzenie. Spróbował umieścić go w jego mieszkaniu, będącym w fatalnym stanie, niczym ruina świątyni w dżungli opanowanym przez robactwo i szczury. Nikt nie chciał z nim zostać, a że nie miał żadnej szansy na przeżycie bez niczyjej pomocy, jedynym rozwiązaniem pozostawało biuro.

Osierow nie potrafił znieść widoku swojej twarzy. Wampiry nie unikają luster tak konsekwentnie, jak on ich unikał. Nienawidził także pokazywania się w świetle dnia i w ogóle w silnym świetle, czym zasłużył sobie na nową ksywkę: Die Vampir.

Siedział teraz, zatopiony w myślach, w biurze Masłowa, które z konieczności co tydzień było przenoszone. W pokoju, który przeznaczył mu szef, światło było zgaszone, a zasłony w oknach zasunięte. Jedna słaba lampa, umieszczona w kącie przeciwnym do tego, w którym siedział skulony, rzucała krąg blasku na porysowaną podłogę.

Poniesiona w Bangalore klęska – Arkadin przeżył, a jemu nie udało się nawet zdobyć laptopa dla Masłowa – pozostawiła po sobie niejednego ślad. Nie tylko rany fizyczne, gorzej: stracił zaufanie szefa. Bez Kazachów Osierow jest nikim. Pozbawiony zaufania szefa jest nikim wśród Kazachów. Od wielu dni szukał sposobu na powrót do łask i do godnej szacunku, wysokiej szarży dowódcy polowego.

Do głowy nie przyszedł mu jednak żaden plan. Osierowowi nie przeszkadzało to, że nie potrafi połączyć w całość dwóch logicznych myśli. Myślał tylko o zemście na Arkadinie i odzyskaniu dla Masłowa tego, czego pragnął on najbardziej: przekłętą laptopa. Nie miał pojęcia, po co on Masłowowi, i nic go to nie obchodziło. Jego zadaniem było robić swoje lub

zginąć, jak zawsze od dnia, w którym dołączył do Kazachów, i nie miał zamiaru teraz tego zmieniać.

Ale życie dziwnie się układało. Ocalenie przyszło z niespodziewanej strony. Zadzwoił telefon. Pograżony w czarnych myślach początkowo nie chciał rozmawiać, ale asystent powiedział mu, że to szyfrowana linia komórkowa i już wiedział, kto dzwoni. Mimo to ciągle się opierał pewny, że nie interesuje go, co Dakajew ma do powiedzenia, i brak mu do niego cierpliwości. Ale asystent posunął się tak daleko, że wsadził głowę do pokoju, czego mu zabroniono.

– Czego?

– Twierdzi, że to pilne – powiedział asystent i szybko się wycofał.

– Do diabła z tym – burknął Osierow, odbierając. – Jasza, byłoby lepiej dla ciebie, gdybyś miał coś rzeczywiście ważnego.

– Mam. – Cichy głos Dakajewa brzmiał słabo, płasko, ale to dlatego, że zawsze telefonował z jakiegoś zapomnianego zakątka budynku biurowego FSB-dwa. – Mam dojście do ruchów Arkadina.

– Wreszcie! – Osierow się wyprostował. Serce znów biło mu pewnie i mocno.

– Zgodnie z raportem, który właśnie wylądował na moim biurku, jest w drodze do Maroka. Do Warzazat. Dokładnie: Tineghiru. To wioska w górach Atlasu.

– A co on ma do roboty na jakimś marokańskim zadupiu?

– Tego nie wiem, ale nasze źródło twierdzi, że jest już w drodze.

To moja szansa, pomyślał Osierow, zrywając się na równe nogi. Jeśli z niej nie skorzystam, równie dobrze mogę wsadzić do gęby lufę mojego tokariewa i pociągnąć za spust. Po raz pierwszy od czasu ostatniej spędzonej w Bangalore nocy poczuł, że naprawdę żyje. Klęska go sparaliżowała, pożerała mu duszę. Wstyd i gniew sprawiły, że się zagubił.

Wezwał asystenta i przekazał mu szczegóły.

– Wyciągnij mnie z tej pieprzonej dziury – polecił.

– I zarezerwuj mi miejsce w pierwszym samolocie z Moskwy lecącym we właściwym kierunku.

– Masłow wie, że znowu dokądś się wybierasz?

– A twoja żona wie, że masz kochankę i że nazywa się Iwana Istwańska?

Asystent znikł znacznie szybciej, niż się pojawił. Osierow się odwrócił. Zaczął układać plan. Dostał drugą szansę i przysiągł sobie, że jej nie zmarnuje.

• • •

Bourne podniósł ręce, a jednocześnie kopnął profesora Gilesa w krzyż. Machając rękami, Giles zatoczył się na trzech towarzyszących mu uzbrojonych mężczyzn. Wykorzystał tę okazję. Jeden długi krok i wyskoczył przez otwarte okno.

Wylądował i pobiegł, ile sił w nogach, ale wkrótce, zbliżywszy się do budynków uniwersyteckich, zmuszony był zwolnić i dostosować się do powolnego kroku mieszkańców miasta. Zdjął czarny płaszcz i wyrzucił go do kosza na śmieci. Wkrótce wypatrzył grupkę dorosłych, najprawdopodobniej wykładowców, i wmieszał się w jej środek.

Widział, jak chwilę później dwaj uzbrojeni bandyci Severus Domna wybiegają z Centrum.

Natychmiast się rozdzielili, poruszając z wojskową precyzją. Jeden z nich zbliżył się do grupy, lecz jeszcze nie widział Bourne'a, który przemknął szybko za plecy stojących najdalej. Uczni dyskutowali o poglądach niemieckich prawicowych filozofów, w tym, oczywiście, o wpływie Nietzschego na nazistów, a przede wszystkim na Hitlera.

Bourne nie miał ochoty na kolejne bliskie spotkanie z ludźmi Severus Domna, może z wyjątkiem przydybania profesora Gilesa sam na sam. Ta organizacja jest jak Hydra: obcinasz jedną głowę, wyrastają dwie.

Jeden z mężczyzn, ukrywszy broń pod płaszczem, podszedł do grupy wykładowców, nie zwracając najmniejszej uwagi na to, że zamknęli się oni w swej filozoficznej wieży z kości słoniowej. Bourne odwrócił się do niego plecami, po których trudno by go było zidentyfikować. Facet szukał człowieka w czarnym płaszczu, a bez płaszcza na szczęście pozostawał raczej anonimowy.

Wspięli się po schodach i w bardzo elegancki sposób weszli do jednego z uniwersyteckich budynków. Bourne, pogrążony w uczonej dyskusji z siwowłosym starszym panem, także przekroczył próg.

Ścigający go bandyta dostrzegł w szybie drzwi jego odbicie i błyskawicznie zareagował. Wbiegł, przeskakując po dwa stopnie naraz, próbował przepchnąć się przez grupę, ale profesorowie, choć starsi, nie byli bynajmniej pasywni, zwłaszcza jeśli chodzi o zasady dobrego zachowania. Jak jeden mąż sformowali żywy mur, odepchnęli go niczym rzymska falanga barbarzyńskiego nieprzyjaciela. Zaskoczony facet się cofnął. Bourne zyskał chwilę, by wyrwać się z tłumu, skręcić w korytarz wypełniony cichym tupotem elegancko obutych stóp i cichych rozmów odbijających się echem od lśniących marmurowych posadzek. Szereg umieszczonych wysoko kwadratowych okien wpuszczał promienie słońca opadające na głowy studentów w geście błogosławieństwa. Bourne mijał kolejne drewniane drzwi, jedno po drugim. Zamazywały mu się w oczach, gdy biegł na tył budynku Centrum. Dzwonek oznajmił początek zajęć o szesnastej.

Skręcił za róg, w krótki korytarz prowadzący do tylnych drzwi. Jednocześnie pojawił się w nich członek Severus Domna. Byli sami. Bandyta ukrywał pistolet z tłumikiem pod przerzuconym przez prawą rękę płaszczem. Wymierzył w biegnącego.

Bourne upadł na posadzkę, prześlizgnął się po niej na plecach, a kula przeszła nad jego głową. Wyprostowanymi nogami kopnął i przewrócił przeciwnika, wytrącając mu broń z ręki. Odwrócił się i wymierzył mu cios kolanem w podbródek. Bandyta upadł.

Z korytarza tuż za rogiem dobiegało echo głosów. Bourne wstał, podniósł pistolet, a jego właściciela wyciągnął przez tylne drzwi i wrzucił za gęsty bukszpanowy żywopłot. Broń schował do kieszeni, po czym ruszył uniwersyteckimi ścieżkami zwykłym spacerowym krokiem. Mijał roześmianych, rozgadanych studentów o świeżych, młodych twarzach, minął też ponurego, zdyszanego profesora spóźniającego się na popołudniowy wykład. Wyszedł na St Giles Street. Co typowe w Anglii, już po południu zapadł zmrok. Rynsztoki i fronty domów owiewał zimny wiatr. Pochyleni, przygarbieni ludzie spieszyli ulicami jak łodzie uciekające przed nadchodzącym sztormem. Bourne wtopił się w tłum, jak zawsze. Poszedł do samochodu.

– Idź stąd! – Moira odzyskała przytomność i wywieziono ją już z sali pooperacyjnej.

Soraya pokręciła głową.

– Nie zostawię cię.

– Najgorsze już się stało – zauważyła Moira. Miała rację.

– Teraz nie masz tu nic do roboty.

– Nie powinnaś być sama.

– Ty też. Ciągłe jesteś z Arkadinem.

Soraya uśmiechnęła się smutno, ponieważ Moira mówiła szczerą prawdę.

– A w ogóle...

– W ogóle – przerwała jej Moira – to ktoś przyjeżdża się mną opiekować. Ktoś, kogo kocham.

Sorayę zaskoczyło to wyzwanie.

– Mówisz o Jasonie? Jason do ciebie przyjeżdża?

Moira się uśmiechnęła i natychmiast zasnęła.

• • •

Soraya wróciła do czekającego na nią Arkadina, ale chciała jeszcze porozmawiać z młodym neurochirurgiem. Okazało się, że na swój sposób jest optymistą.

– W przypadkach takich jak ten, gdy zagrożone są nerwy i ścięgna, najważniejsze jest, by pacjent jak najszybciej otrzymał pomoc medyczną. – Mówił bardzo rzeczowo, formalnie, jakby był Katalończykiem, nie Meksykaninem. – Pod tym względem pani przyjaciółka miała ogromne szczęście.

– Odwrócił dłoń grzbietem do góry. – Jednak była to rana szarpana. Poza tym czymkolwiek ją zadano, nie było to narzędzie czyste. Przez to operacja trwała dłużej, a poza tym wymagała precyzji i była bardziej skomplikowana, niż byłaby w innym przypadku. Dobrze pani zrobiła, wzywając mnie. Nie mówię tego, żeby się wywyższać, moje sukcesy świadczą o mnie, to po prostu fakt. Nikt inny nie potrafiłby przeprowadzić zabiegu, nie psując czegoś albo o czymś nie zapominając.

Soraya odetchnęła z ulgą.

– A więc nic jej nie grozi?

– Oczywiście pani przyjaciółka z tego wyjdzie – zapewnił ją lekarz. – Z pomocą odpowiedniego programu rehabilitacji i fizjoterapii.

Groza ścisnęła Sorai serce.

– Ale... będzie chodziła, prawda? To znaczy, nie będzie kulała?

Neurochirurg pokręcił głową.

– U dziecka, kiedy ścięgna są jeszcze elastyczne, byłoby to oczywiście możliwe. Ale u dorosłych elastyczność ta, a raczej większa jej część, zanika. Niestety, pani przyjaciółka będzie kulała. Jak bardzo, to zależy wyłącznie od przebiegu rehabilitacji. Będzie musiała się do tego przyzwyczaić.

Soraya zamyśliła się na chwilę.

– Ona o tym wie?

– Spytała, więc powiedziałem. Tak jest lepiej, może mi pani wierzyć. Umysł adaptuje się

znacznie dłużej niż ciało.

– Możemy już stąd iść? – spytał Arkadin, gdy neurochirurg znikł w głębi korytarza.

Soraya rzuciła mu mordercze spojrzenie. Przecisnęła się obok niego, przedarła przez zaaferowany tłum i wyszła na ulicę. Puerto Peñasco wydawało jej się dziwne, jak ze snu, jakby leżało w jakiejś himalajskiej dolinie. Przyglądała się ludziom przechodzącym obok niej powoli niczym lunatycy. Rozpoznawała rysy ich twarzy: azteckie, misteckie, olmeckie, myślała o bijących sercach wyrywanych żyjącym jeszcze ofiarom składanym bóstwom tych ludów. Wydawało jej się, że cała pokryta jest krzepnącą krwią. Chciała biec, lecz była jak sparaliżowana, przykuta do miejsca, unieruchomiona rękami ofiar pogrzebanych w tej ziemi.

Poczuła za sobą obecność Arkadina. Zadrżała, jakby z jednego koszmaru budziła się do następnego. Nie miała pojęcia, jak zniesie jego towarzystwo, jak po tym, co zrobił Moirze, będzie mogła z nim rozmawiać. Gdyby okazał choć odrobinę żalu, zapewne czułaby się inaczej, ale on powiedział tylko: „Jest wrogiem”. Co oczywiście oznaczało, że ona też jest wrogiem i że może zostać potraktowana tak samo lub nawet gorzej.

W milczeniu zaprowadził ją do samochodu. Wkrótce byli w klasztorze.

– Czego teraz ode mnie chcesz? – spytała stłumionym głosem.

– Tego samego, czego ty chcesz ode mnie – odparł Arkadin. – Zniszczenia.

• • •

Gdy tylko weszli do klasztoru, Arkadin natychmiast zaczął się pakować.

– Kiedy ty załamywałaś ręce, ja zrobiłem dla nas rezerwację – oznajmił.

– Dla nas?

– Oczywiście. Lecimy razem do Tineghiru.

– Dostaję mdłości na samą myśl o tym, że będziemy lecieli dokądś razem.

Arkadin odwrócił się i spojrzał na nią.

– Sądzę, że w Maroku możesz okazać się użyteczna, więc wolałbym cię nie zabijać. Ale jeśli nie będę miał wyboru...

– Arkadin urwał i wrócił do metodycznego pakowania.

– W odróżnieniu od ciebie wiem, jak minimalizować straty.

W tej właśnie chwili Soraya dostrzegła laptop, który w jej oczach nabrał mitycznego wręcz znaczenia. Ma rację, na swój sposób, pomyślała. Moira też miała rację. Pora przewyciężyć obrzydzenie, jakie wzbudzało w niej to, co Arkadin robi. Musi zacząć działać jak profesjonalistka. Zacząć minimalizować straty.

– Zawsze chciałam zobaczyć Atlas Wysoki – powiedziała.

Arkadin spakował komputer.

– Widzisz? To nie było wcale takie trudne, prawda?

• • •

Jalal Essai siedział za kierownicą anonimowego samochodu, który ukradł rano. Obserwował Willarda wychodzącego z Monition Club. Na oko nie sprawiał wrażenia człowieka pokonanego przez recepcjonistkę lub zmęczonego bezskutecznym oczekiwaniem na któregoś z członków klubu, wręcz przeciwnie, zbiegał po schodach jak Fred Astaire, lekko,

niemal tanecznie, jakby grała muzyka. To ożywienie martwiło Essaia. A także jeżyło mu włosy na karku, co było o wiele mniej przyjemne.

Essai, którego życie zagrożone było bez przerwy od czasu, gdy Severus Domna wdarli się do jego domu, nauczył się, że reakcje pasywne, takie jak ucieczka, mogą tylko przyspieszyć jego śmierć. Organizacja będzie go szukała, nie ustąpi, póki go nie zabije; kiedyś, gdzieś, jakoś... W tych ekstremalnych okolicznościach istniał tylko jeden sposób na przeżycie.

Willard doszedł do narożnika. Przystanął, chcąc zatrzymać taksówkę. Essai odjechał od krawężnika i otworzył okno.

– Podrzucić pana? – spytał.

Willard drgnął i cofnął się, jakby ta propozycja mu uwłaczała.

– Nie, dziękuję – mruknął, wpatrując się w sznur samochodów.

– Panie Willard, niech pan wsiądzie do samochodu. Proszę.

Starszy mężczyzna zmierzył go spojrzeniem i zobaczył, że Essai trzyma w ręku groźnie wyglądający pistolet EAA 10 mm Hunter Witness wymierzony wprost w jego twarz.

– No już – popędził go Essai. – Proszę nie robić scen.

Willard bez słowa otworzył drzwi i wślizgnął się na siedzenie pasażera.

– Jak masz zamiar jednocześnie prowadzić i trzymać mnie na muszce?

Odpowiedzią było uderzenie lufą pistoletu w skroń, tuż nad lewym uchem. Willard sapnął i przewrócił oczami. Essai oparł bezwładne ciało o drzwi samochodu i schował pistolet do kabury pod pachą. Wrzucił bieg, poczekał na przerwę w ruchu i wcisnął pedał gazu.

Jechał na południe. Przekroczył niewidzialną linię demarkacyjną, za którą znikły budynki rządowe, a na ich miejsce pojawiły się małe lokalne biznesy, tanie sklepy, fast foody, misje ulokowane w pomieszczeniach handlowych i narożne bary. Przed barami spacerowali tam i z powrotem młodzi ludzie w kurtkach z kapturami, wymieniając porcje narkotyków na pliki banknotów. Starzy mężczyźni obsiedli schody przed domami, podpierając głowy na rękach lub opierając się o stopnie z szarego piaskowca. Oczy mieli przymknięte, od czasu do czasu poruszali głowami. Biali najpierw stali się rzadkością jak białe kruki, a potem w ogóle znikli. To jest inny Waszyngton, turyści go nie odwiedzają. Kongresmeni też. Policjanci w radiowozach pojawiają się rzadko, a kiedy już się pokażą, przejeżdżają ulicą z gazem do dechy, jakby nie mogli się doczekać, by znaleźć się gdziekolwiek indziej, byle gdzie, byle nie tu.

Essai zatrzymał się przed czymś, co mogło uchodzić za hotel. Pokoje wynajmowano tu na godziny i kiedy praktycznie wnosił Willarda do środka, dziwki założyły, że to zwykły pijak niemogący utrzymać się na nogach. Zademonstrowały Essaiowi swoje przechodzone wdzięki, lecz on je zignorował.

Położył czarną lekarską torbę na porysowanym kontuarze śmierzącej dziury recepcjonisty razem z dwudziestką. Recepcjonista miał ziemistą cerę, był przeraźliwie chudy, ani stary, ani młody. Oglądał pornola na przenośnym telewizorku.

– Co, nie ma tu obsługi? – zapytał Essai.

Recepcjonista roześmiał się, nie odwracając szklanego wzroku od telewizorka. Zdjął klucz z tablicy i rzucił go na ladę.

– Nie chcę, żeby mi przeszkadzano.

– Nikt nie chce.

Druga dwudziestka pomogła. Recepcjonista wymienił klucze.

– Na piętrze, od tyłu. Możesz tam zdechnąć i nikt się nie dowie.

Essai zabrał klucz i czarną torbę.

W hotelu nie było windy. Wprowadzenie Willarda na górę okazało się trudne, ale jakoś się udało. Brudne okno na końcu wąskiego korytarza przepuszczało światło wydające się jednocześnie ciężkie jak ołów i bardzo słabe. Naga żarówka pośrodku sufitu oświetlała pstrzące ściany obscenicznych graffiti.

Pokój przypominał celę więzienną. Okno wychodziło na szyb wentylacyjny, gdzie zawsze panowała noc. Spartańskie umeblowanie – łóżko, szafka, w której brakowało szuflady, bujany fotel – było szare lub w ogóle pozbawione koloru. Śmierdziało przeraźliwie karbolem i środkami dezynfekującymi. Essai nie chciał nawet myśleć o tym, co tu się mogło dziać.

Rzucił Willarda na łóżko. Otworzył torbę lekarską i wyjęte z niej narzędzia ułożył równo na brudnej narzucie. Torbę, wraz z jej zawartością, miał zawsze przy sobie. Przyzwyczajenie wszczepione mu w dzieciństwie, gdy przygotowywano go do wyjazdu do Ameryki i wkręcenia się w życie ludzi wybranych przez Severus Domna. Nie miał pojęcia, na jakiej podstawie wybrano Buda Hallidaya i jakim cudem przewidziano, że aż tak szybko zaświeci na firmamencie amerykańskiej polityki, ale był przyzwyczajony do niezwykłych zdolności przewidywania organizacji.

Za pomocą nożyka introligatorskiego pozbawił Willarda ubrania. Następnie założył mu pieluchę dla dorosłych. Poklepał go po policzkach, a kiedy jeniec zaczął powoli odzyskiwać przytomność, lecz nim odzyskał ją całkowicie, podniósł jego głowę i ramiona i wlał mu do ust butelkę oleju rycynowego. Początkowo Willard dławił się i charczał, więc Essai cofnął butelkę, a kiedy znów zaczął go poić, robił to wolniej.

Wreszcie opróżnił butelkę. Odstawił ją, uderzył starego najpierw w jeden policzek, potem w drugi. Krew napłynęła do mózgu i mężczyzna zaczął się budzić. Zamrugnął gwałtownie, otworzył oczy i się rozejrzał.

– Gdzie jestem? – spytał zdławionym, ochrypłym głosem. Obliznął wargi. Essai sięgnął po taśmę samoprzylepną.

– Co to za smak?

Willard znów zaczął się dławić. Essai zakleił mu usta.

– Jeśli zwymiotujesz, udusisz się – ostrzegł. – Radzę jak najszybciej opanować odruch wymiotny.

Usiadł na bujanym fotelu. Kołysał się powoli, patrząc, jak Willard walczy ze swoją słabością, a kiedy stwierdził, że wygrywa, powiedział:

– Nazywam się Jalal Essai. – Na widok reakcji więźnia otworzył szeroko oczy. – Ach, widzę, że już o mnie słyszałeś? Doskonale. To mi ułatwi zadanie. Całkiem niedawno spotkałeś się z Benjaminem El-Arianem. Założę się, że to właśnie on ci o mnie opowiedział. Bez wątplenia odmalował mnie jako złoczyńcę. Cóż, złoczyńca, bohater. to zależy od punktu widzenia. El-Arian by temu zaprzeczył, ale on już pokazał, jaki jest niezdecydowany. Jak kurek na wietrze, raz kręci się w jedną stronę, potem w drugą. W zależności od tego, z której strony powieje.

Wstał. Zerwał taśmę z ust Willarda.

– Wiem, że zastanawiasz się właśnie, co to za smak czujesz w ustach. – Uśmiechnął się. –

Połknąłeś butelkę oleju rycynowego. – Wskazał palcem pieluchę. – I dlatego masz na sobie to. Już wkrótce wydalisz z siebie bardzo nieprzyjemną... zawartość. Pielucha zatrzymają, przynajmniej w części. Obawiam się, że nie zdoła jednak wchłonąć wszystkiego i... – Essai wzruszył ramionami.

– Czegokolwiek ode mnie chcesz, niczego nie dostaniesz.

– Brawo! Cóż za duch walki. Na nieszczęście dla ciebie mam już wszystko, czego mógłbym chcieć. Jak wszyscy ci, z którymi El-Arian załatwiał sprawy i których za mną wysyłał, skończysz na progu jego domu. Będzie się to powtarzać, póki nie przestanie i nie uzna za stosowne o mnie zapomnieć.

– Nigdy o tobie nie zapomni.

– Więc my obaj mamy przed sobą długą drogę. – Essai zgniół taśmę, odrzucił ją na bok, a rolkę schował do swej czarnej torby. – Twoja jest jednak znacznie krótsza.

– Nie czuję się dobrze – powiedział Willard dziwnym płaczącym głosem, jak chore dziecko mówiące samo do siebie.

– Oczywiście. – Essai odszedł od łóżka. – Jestem pewny, że nie czujesz się dobrze.

Rozdział 27

Noc nadal kładła się mrokiem na pokrytych tłuczniem drogach i betonowych chodnikach, kiedy następnego dnia rano Bourne przyjechał na lotnisko Heathrow. Mżyło, było zimno, cieszył się, że opuszcza Londyn. Samolot wystartował o siódmej dwadzieścia, a wylądował w Marrakeszu o pierwszej piętnaście. Po drodze mieli krótki przystanek w Madrycie. Nie było bezpośrednich lotów komercyjnych.

Siedział przy stoliku jedynej otwartej o tej godzinie kawiarni. Plastikowe krzesła i stoliki wydawały się nierzeczywiste w świetle fluorescencyjnych lamp. Popijał właśnie przepaloną kawę, smakującą jak popiół, gdy w kawiarni pojawił się don Fernando Hererra. Podeszedł i usiadł przy jego stoliku, nie czekając na zaproszenie, nawet się nie witając.

– Współczuję ci z powodu twojej straty – odezwał się Bourne.

Don Fernando nie odpowiedział. Jego ciało znikło pod doskonale skrojonym garniturem; wyglądał tak, jakby postarzał się od czasu ich ostatniego spotkania, choć od tamtego dnia minął dopiero tydzień. Patrzył nieprzytomnie na wystawę walizek w oknie sklepu po drugiej stronie hali.

– Jak mnie znalazłeś? – chciał wiedzieć Bourne.

– Podejrzewałem, że polecisz do Marrakeszu. – Nagle pogrążony w żalobie mężczyzna spojrzął na niego ostro.

– Dlaczego zabiłeś mojego syna? On chciał ci tylko pomóc, jak mu kazałem.

– Ja go nie zabiłem. – Bourne poczuł ukłucie noża na wewnętrznej części uda. – Sądziysz, że to rozsądne?

– Już dawno przekroczyłem granice zdrowego rozsądku, młody człowieku. – Oczy starego mężczyzny były zgaszone, wypełnione cierpieniem. – Teraz jestem ojcem rozpaczającym po stracie syna. Tylko nim, tylko tyle moja starość jest w stanie wytrzymać.

– Nigdy nie skrzywdziłbym Diega. Sam o tym doskonale wiesz.

– To mogłeś być tylko ty. – Głos don Hererry, choć cichy, brzmiał jak krzyk przepełniony cierpieniem. – Zdrada! Zdrada!

– Pokręcił głową. – Jeśli nie ty, mógł to zrobić tylko Ottavio Moreno, a on jest moim chrzestnym synem. Nigdy nie skrzywdziłby Diega.

Bourne siedział nieruchomo, czując, jak po nodze ścieka mu strumyk krwi. W każdej chwili mógł skończyć tę rozmowę, czekał jednak na jej naturalny kres, bo gwałtem niczego by nie zdziałał. Bardzo lubił tego człowieka, nie potrafiłby podnieść na niego ręki.

– A jednak to on zasztyletował twojego syna.

– Kłamiesz! – Zrozpaczony ojciec drżał. – Jaki mógł mieć powód...

– Severus Domna.

Don Hererra zamrugnął nieprzytomnie. Jego prawy policzek drgał w nerwowym tiku.

– Co powiedziałeś?

– Rozumiem, że słyszałeś o Severus Domna?

Hererra skinął głową.

– W ciągu długich lat kilkakrotnie krzyżowałem szpadę z członkami tego bractwa. To bardzo Bourne’a zainteresowało. Cieszył się, że nie użył siły.
– Mam coś, co chce mieć Severus Domna – oznajmił.
– Emisariusze organizacji śledzili mnie w Londynie i w Oksfordzie, wszędzie, w całej Anglii. Jeden z nich musiał w jakiś sposób dotrzeć do Diega. Jego zadaniem było zwabienie mnie do Vesper Club. Byłem oczekiwany. Ottavio się o tym dowiedział. Być może zareagował zbyt szybko, ale upewniam, że wystąpił w mojej obronie.

– Więc wy się znacie?
– Znaliśmy. Zginął wczoraj.
Twarz Hererry znieruchomiała.
– Jak?
– Zastrzelił go człowiek wynajęty przez Jalala Essaia. Stary mężczyzna poruszył głowę. Na jego policzkach pojawiły się rumieńce, oznaka, że wraca do życia.

– Essai?
– On i Severus Domna pragną tego samego.
– Nie należy już do bractwa?
– Nie. – Bourne uświadomił sobie, że nóż nie kłuje go już w nogę.
– Proszę przyjąć moje szczerze przeprosiny.
– Wiem, że musiałeś być bardzo dumny z Diega.

Przez długą chwilę Herrera milczał. Bourne wezwał kelnera.
Zamówił dwie kawy. Kiedy pojawiły się na stoliku, Herrera posłodził swoją, zamieszał, wypił łyk i się skrzywił.

– Nie mogę się doczekać, kiedy wrócę do Sewilli.
– Spojrzał Bourne’owi w oczy. – Nim odleczysz, muszę ci coś powiedzieć. Nosilem Ottavia Morena na rękach, kiedy odwiedzałem jego matkę. Ma na imię Tanirt, mieszka w Tineghirze. – Umilkł i przyglądał się rozmówcy uważnie, znów był przede wszystkim człowiekiem sprytnym i przebiegłym. – To tam się udajesz, prawda?

Bourne skinął głową.
– Bądź ostrożny, señor. Tineghir to centrum Severus Domna. Tam się narodziło, tam rozkwitło, głównie dzięki rodzinie Jalala Essaia. Ale rozpadło się po tym, gdy brat Jalala odwrócił się od bractwa, oderwał je od korzeni, przeniósł na Bali.

Mówi o ojcu Holly, pomyślał Bourne.
– Benjamin El-Arian pochodził z rodu, który zawsze zazdrościł Essaiom ich władzy. Wykorzystał schizmę, dzięki niej nabrał znaczenia. O ile wiem, od dłuższego czasu jest przywódcą Severus Domna.

– Więc między rodzinami panuje otwarta wojna?
Don Fernando skinął głową.
– Z tego co udało mi się ustalić, Severus Domna nie kocha członków, którzy opuścili organizację. Więzy krwi. – Dopił kawę. – Wracając do Tanirt... znam ją od bardzo dawna. To kobieta, z którą w pewien sposób przez całe dorosłe życie byłem najbardziej związany... a mówię także o mojej nieodżałowanej pamięci żonie.

– Jeśli jest twoją kochanką, chyba powinienem o tym wiedzieć.
Starszy pan się uśmiechnął.

– Jest niezwykłą osobą, o czym sam się przekonasz, gdy tylko będziesz miał okazję z nią porozmawiać. – Pochylił się nad stolikiem. – *Escúchame*, señor Bourne, ona jest pierwszą osobą, z którą powinienes się zobaczyć, gdy tylko wylądujesz w Maroku. – Szybko zapisał coś na kawałku papieru.

– Zadzwoń pod ten numer. Będzie czekała na twój telefon. Na jej radach możesz polegać, co do tego nie miej żadnych wątpliwości. Ogarnia każdą sytuację, widzi wszystkie strony zagadnienia.

– Czy w ten sposób mówisz mi, że była kochanką Gustava Morena, a teraz jest twoją?

– Zrozumiesz wszystko, kiedy ją poznasz. Ale jedno mogę powiedzieć: Tanirt nie jest niczyją kochanką. Jest, kim jest. Nie jest w mocy mężczyzny osiąść ją w ten sposób. – Jest...

– Don Herrera zapatrzył się w przestrzeń – ...nieokiełznana.

• • •

Dimitrij Masłow z ostrożnym optymizmem odebrał wiadomość, że pułkownik Boris Karpow strzyże się i goli w zakładzie fryzjerskim hotelu Metropol. Jako człowiek dbający o swoje bezpieczeństwo pułkownik nigdy nie strzygł się w tym samym miejscu dwa razy z rzędu.

Masłow wezwał Osierowa. Poinformowano go, że Osierow oddalił się bez pytania o pozwolenie. Wczoraj opuścił Moskwę. Masłow wściekł się, bo miał dość swojego byłego zastępcy. Prawdę mówiąc, trzymał go przy sobie tylko po to, by wkurzyć Arkadina, którego jednocześnie kochał jak syna i – jak odtrącony ojciec – gorąco nienawidził. Klęska w Bangalore była jego gwoździem do trumny. Stał się bezużyteczny, bo na odległość śmierdział porażką.

– Dokąd zwiął? – spytał jego asystenta Masłow. Stali w korytarzu otoczeni grupą oddanych szefowi pracowników.

– Tineghir. – Asystent kaszlnął i oblizał suche usta.

– Maroko.

– Czego szuka akurat w Maroku?

– Nie... nie mam pojęcia.

– Próbowales się dowiedzieć?

– Jak miałbym dowiedzieć się czegoś od niego?

Masłow wyjął z kieszeni zrobionego na zamówienie makarowa i strzelił mu między oczy, a potem przeszył morderczym spojrzeniem swoich ludzi, jednego po drugim. Najbliżej stojący cofnęli się o krok, jakby otrzymali niewidzialny cios.

– Każdy, kto sądzi, że wolno mu się wysikać bez mojego rozkazu, wystąp!

Nikt się nie ruszył.

– Każdy, kto sądzi, że można nie wykonać rozkazu, wystąp!

Nikt nie ośmielił się nawet odetchnąć.

– Jewgieniju – zwrócił się do tęgiego mężczyzny z blizną pod okiem – uzbrój się wraz z dwoma twoimi najlepszymi ludźmi. Będziecie mi towarzyszyli.

Masłow wrócił do biura, by wybrać broń z arsenału zamkniętego w stojącej za biurkiem szafce. Jeśli fiasko w Bangalore czegoś go nauczyło, to tego, że gdy skutecznie chce się załatwić trudną sprawę, trzeba to zrobić samemu. Czasy się zmieniły, wiedział o tym, ale nie

chciał w to wierzyć. Teraz życie jest znacznie trudniejsze niż kiedyś. Rząd stał się agresywnie wrogi, znikli gdzieś co podatniejsi na perswazje oligarchowie, coraz trudniej było znaleźć naprawdę dobrych ludzi. Kiedyś łatwo zarabiano się pieniądze, dziś o każdego dolara trzeba walczyć zębami i pazurami. Pracował dwa razy dłużej po to, żeby zarobić nie więcej niż przed dziesięciu laty. Samo to wystarczy, żeby płakać za utraconą młodością. Faktem jest, myślał, nakręcając tłumik na lufę makarowa, że bycie kryminalistą to już nie jest dobra zabawa, ale ciężka praca. Został zredukowany do aparatczyka, której to funkcji szczerze nienawidził. Nowa rzeczywistość była gorzką pigułką do przełknięcia. Samo utrzymanie się na powierzchni wymagało wielkiego wysiłku, a do tego doszedł jeszcze Boris Karpow, człowiek, którego nienawidził bardziej niż kogokolwiek.

Uzbroiwszy się, Masłow zamknął drzwi szafki. Ciężar makarowa w dłoni sprawił, że się ożywił. Nie czuł się tak od dawna. Po tylu latach spędzonych za biurkiem dobrze będzie wyjść na ulicę, wziąć prawo we własne ręce, potrząsnąć nim, aż zmięknie i ustąpi. Był gotów osobiście odgryźć mu głowę.

• • •

Do zakładu fryzjerskiego Metropolu wchodziło się wprost z ogromnego, marmurowego i mosiężnego holu hotelu, starego, czcigodnego gmachu stojącego pomiędzy teatrem Bolszoi i placem Czerwonym. Był to budynek tak bogato ozdobiony, iż mogło się wydawać, że lada chwila imploduje z powodu nadmiaru zdobnych gzymsów, balustrad, rzeźbionych kamiennych płycin, masywnych nadproży i wielkich gzymsów.

W środku znajdowały się trzy staroświeckie fotele fryzjerskie, a za nimi lustrzana ściana i szafki zawierające przeróżne narzędzia: nożyczki, brzytwy, dozowniki kremu do golenia, wysokie szklane słoje z niebieskim płynem odkażającym, starannie złożone ręczniki, plastikowe pojemniki z talkiem i butle płynu po goleniu.

W tej chwili wszystkie trzy fotele zajęte były przez klientów, przykrytych czarnymi nylonowymi kitlami zapinanymi na szyi. Tych po prawej i po lewej stronie strzygli fryzjerzy w charakterystycznych dla Metropolu, tradycyjnych białych fartuchach, pośrodku niemal leżał z gorącym ręcznikiem zakrywającym twarz Boris Karpow. Fryzjer właśnie ostrzył brzytwę na pasku, a pułkownik pogwizdywał pod nosem zapamiętaną w dzieciństwie, starą, rosyjską, ludową piosenkę. W tle, przebijając się przez trzaski i szum, dobiegający z wielkiego radia, głos opowiadał o nowych wysiłkach walczącego z bezrobociem rządu. Dwaj mężczyźni, stary i młody, siedzieli na krzesłach z boku. Pograżeni w lekturze „Prawdy” czekali na swoją kolej.

Ludzie Masłowa badali hol przez dziesięć minut, sprawdzając bardzo dokładnie, czy nie ukryli się gdzieś agenci FSB-2. Nie znaleźli żadnego, o czym zawiadomili szefa. Jewgienij, ubrany, podobnie jak jego podwładni, w długi zimowy płaszcz, wszedł do hotelu razem z rodziną prowadzoną przez śmiertelnie poważnego przewodnika Intouristu. Rodzina skierowała się do recepcji, on do zakładu fryzjerskiego, by sprawdzić, czy na środkowym fotelu, czekając na golenie, rzeczywiście siedzi Boris Karpow. Gdy tylko fryzjer zdjął ręcznik z jego twarzy, Masłow odwrócił się i gestem przekazał informację mężczyźnie stojącemu przy obrotowych drzwiach. Mężczyzna powtórzył jego gest. Z czarnego bmw zaparkowanego przy wejściu wysiadł sam Masłow. Przeszedł chodnikiem, wspiął się po schodach i gdy tylko wszedł do

środką, Jewgienij i jego ludzie rozpoczęli akcję dokładnie według planu. Dwóch ustawiło się po obu stronach jedyne wejście do zakładu fryzjerskiego.

Jewgienij wszedł do środka, trzymając makarowa. Machnął nim, nakazując, by czekający na strzyżenie klienci wyszli, następnie skierował lufę mniej więcej w stronę dwóch mężczyzn siedzących na skrajnych fotelach, unieruchamiając zarówno ich, jak i zajmujących się nimi pracowników. Skinął głową.

Masłow wszedł do zakładu. Jego makarow był gotów do strzału.

– Karpow, Boris Karpow! – wykrzyknął. – Zdaje się, że mnie szukałeś?!

Pułkownik otworzył oczy i spojrzał na Masłowa krótko, bez zainteresowania.

– Cholera, co za niezręczna sytuacja – mruknął.

Masłow uśmiechnął się złowrogo.

– Tylko dla ciebie.

Karpow wysunął rękę spod kitla. Fryzjer oderwał brzytwę od jego policzka i cofnął się o krok. Pułkownik zerknął z kolei na Jewgienija i jego dwóch uzbrojonych ludzi, którzy właśnie wchodzili do zakładu.

– Nie wygląda to najlepiej dla mnie, ale jeśli zdecydujesz się mnie posłuchać, sądzę, że wypracujemy jakiś kompromis.

Rozległ się śmiech.

– Posłuchajcie tylko, jak nieprzekupny pułkownik Karpow błaga o życie.

– Jestem tylko pragmatyczny. Wkrótce zostanę szefem FSB-dwa, więc po co mnie zabijać? Żywy będę idealnym przyjacielem, nie uważasz?

– Jedynym dobrym przyjacielem... jest martwy przyjaciel – wycedził Masłow, mierząc do wroga, lecz nim zdążył pociągnąć spust, wybuch rzucił go do tyłu. Na kitlu Karpowa pojawiła się dziura od kuli, którą właśnie wystrzelił. Odrzucił kitel, a jednocześnie dwaj strzyżeni klienci, obaj tajni agenci FSB-2, także strzelili przez kitle. Obaj ludzie Masłowa upadli. On sam zastrzelił jednego z agentów. Karpow trzykrotnie postrzelił go w pierś, wstał z fotela i podszedł do Masłowa leżącego na podłodze z czarnych i białych płytek.

– Jak się czujesz? – Wymierzył mu w twarz. – Jak się czujesz u kresu ery?

Nie czekając na odpowiedź, nacisnął spust.

• • •

Moira miała wrażenie, że przespała całe dnie, a może nawet tygodnie. Otworzyła oczy. Pierwszą rzeczą, którą zobaczyła, była twarz Berengarii Moreno.

Berengaria uśmiechnęła się, był to jednak uśmiech pełen troski.

– Jak się czujesz?

– Jakbym wpadła pod pociąg. – Jej lewą nogę w gipsie zawieszono na wyciągu, tak że stopa była nad głową.

– Wyglądasz pięknie, *mami*. – Głos Berengarii brzmiał lekko i pogodnie. Delikatnie pocałowała kochankę w usta.

– Prywatna karetka czeka na dole. Zabierze nas do hacjendy. Pielęgniarka i fizjoterapeuta już wprowadzili się do pokoi gościnnych.

– Nie musisz tego robić. – To były głupie słowa, ale na szczęście Berengaria, pełna dobrej

woli, je zignorowała.

– Będziesz musiała przyzwyczać się do nazywania mnie Barbarą.

– Wiem.

Ton głosu Berengarii zmienił się, stał się bardzo miękki. Pochyliła się nad Moirą.

– Byłam pewna, że już cię nigdy nie zobaczę.

– Co może służyć za dowód, że w życiu nic nie jest pewne.

Berengaria się roześmiała.

– Jasne!

– Barbaro...

– *Mami*, proszę. Rozgniewam się, jeśli pomyślisz, że czegoś od ciebie oczekuję. Zrobię dla ciebie wszystko, także zostawię cię samą, jeśli takie jest twoje życzenie.

Moira położyła dłoń na policzku przyjaciółki.

– W tej chwili chcę tylko dojść do siebie. – Westchnęła ciężko. – Barbaro, chcę znów móc biegać.

Berengaria nakryła jej dłoń swoją.

– A więc z pewnością ci się uda. Z moją pomocą, jeśli sobie tego życzysz. Jeśli nie... – wzruszyła ramionami.

– Dziękuję.

– Zdrowiej, *mami*. W ten sposób najlepiej mi podziękujesz.

Moira spoważniała.

– Wiesz, nie kłamałam Arkadinowi. Sprawę z Corellosem trzeba doprowadzić do końca. Im prędzej, tym lepiej.

– Wiem – przytaknęła Berengaria tak cicho, że niemal niesłyszalnie.

– Trzeba się nad tym zastanowić. Przynajmniej nie będę myślała wyłącznie o nodze.

– Kusi mnie, żeby ci powiedzieć, że powinnaś tylko starać się wyzdrowieć, ale wiem, że roześmiałybyś mi się w twarz.

Moira jeszcze bardziej spoważniała.

– Prowadzisz biznes, który do ciebie nie pasuje, wiesz o tym?

– W ten sposób żył mój brat.

– Kusi mnie również, żeby ci powiedzieć, że to nie musi być twój sposób, ale wiem, że roześmiałybyś mi się w twarz.

Berengaria uśmiechnęła się smutno.

– Bóg wie, że nie można uciec od rodziny. – Zamyślona pogłaskała gips na nodze przyjaciółki. – Brat był dla mnie dobry. Opiekował się mną, dbał, żeby nic złego mi się nie stało, a inni chcieli mnie tylko wykorzystać. – Spojrzała Moirze w oczy. – Nauczył mnie, jak być twardą, jak żyć w świecie mężczyzn z podniesioną głową. Gdyby nie on... nie wiem, gdzie bym teraz była.

Moira zastanawiała się przez chwilę nad tymi słowami. Bardzo poważną okolicznością przemawiającą za zostaniem z Barbarą była ta, że udałoby się zapewne skłonić ją, by wyszła z interesu brata, choć czuła, że ma wobec niego zobowiązania. Moira nie kontaktowała się z członkami swojej rodziny od lat. Nie wiedziała, czy jej rodzice jeszcze żyją, i nie potrafiła powiedzieć, czyją to w ogóle obchodzi. Brat... o, to zupełnie inna sprawa. Doskonale wiedziała, gdzie jest, co robi, z kim utrzymuje kontakty. Była też pewna, że on nie wie o niej

nic.

Mieli po dwadzieścia parę lat, kiedy zerwali kontakty. Do rodziców nie czuła nic, do niego owszem, coś... ale nie były to przyjacielskie uczucia.

Westchnęła, wydychając zatęchłe powietrze przeszłości.

– Dochodzę do siebie szybciej, niż spodziewał się tego chirurg, a nikt nie ma o nim lepszej opinii niż on sam o sobie.

Oczy Berengarii zabłyśły.

– Wiesz, nic nie jest tak, jak się spodziewałyśmy.

Tym razem obie kobiety roześmiały się wesoło.

• • •

Benjamin El-Arian siedział za biurkiem w swoim gabinecie. Rozmawiał przez telefon z Idirem Syphaxem, najwyższym rangą członkiem Severus Domna w Tineghirze. Syphax potwierdził, że zarówno Arkadin, jak i Bourne są już w drodze do Maroka. El-Arian chciał się upewnić, że każdy szczegół opracowanej przez niego strategii został właściwie zrozumiany i wprowadzony w życie. To nie jest najlepszy czas na niespodzianki. El-Arian nie miał złudzeń co do natury tych dwóch mężczyzn.

– W domu wszystko gotowe?

– Tak – potwierdził Idir. – System został wielokrotnie sprawdzony. Ostatnio przeze mnie, zgodnie z twoim poleceniem. Wejdą, ale nie będą mogli wyjść.

– Robimy coraz lepsze pułapki na szczury – odrzekł Benjamin.

Idir roześmiał się krótko.

– Mniej więcej tak to można ująć.

Przyszedł czas na najtrudniejsze pytanie.

– Co z kobietą? – Benjamin nie zdobył się na to, by wymienić imię Tanirt.

– Pozostanie nietknięta. Mężczyźni śmiertelnie się jej boją.

Mają powody, pomyślał El-Arian, a głośno powiedział:

– A więc zostawcie ją w spokoju.

– Będę się modlił do Allaha.

Benjamin El-Arian był bardzo zadowolony. Z siebie, a także z Willarda, który dotrzymał słowa. Zamierzał powiedzieć coś jeszcze, kiedy usłyszał głośny pisk opon samochodu odjeżdżającego spod jego kamienicy z brunatnego piaskowca w Georgetown. Rozmawiał przez słuchawki bezprzewodowe, więc mógł wstać i wyjrzeć przez szczelinę w drewnianych żaluzjach, nie przerywając połączenia.

Na frontowych schodach leżał jakiś najwyraźniej niedbale rzucony tobołek w kształcie walca owinięty starym dywanem. Miał jakieś metr siedemdziesiąt, metr osiemdziesiąt długości.

Nadal mówiąc do mikrofonu, El-Arian szedł po schodach do holu, otworzył drzwi i postępując, wciągnął do środka ciężki pakunek. Dywan przewiązany był w trzech miejscach zwykłym sznurkiem. Poszedł na górę, z szuflady biurka wyjął scyzoryk, wrócił na parter, przykucnął, przeciął sznurek i rozwinął dywan. Odkoczył uderzony falą straszego smrodu.

Kiedy zorientował się, że człowiek zawinięty w dywan żyje, szybko zakończył rozmowę.

Patrząc na Fredericka Willarda, pomyślał: Niech Allah ma mnie w swojej opiece, Jalal Essai wypowiedział mi wojnę. W odróżnieniu od śmierci ludzi, których wcześniej wysyłał z zadaniem zlikwidowania tego człowieka, to była demonstracja natury osobistej.

Opanowując naturalne w tej sytuacji obrzydzenie, pochylił się nad Willardem. Jedno jego oko w ogóle się nie otwierało, drugie było tak przeszkłone, że nie pozostał w nim najmniejszy ślad białka.

– Będę się za ciebie modlił, przyjacielu.

– Nie interesuje mnie Allah ani Bóg. – Suche, spękane wargi Willarda poruszały się niemal niewidocznie. Ktoś musiał okrutnie obejść się z jego krtanią i strunami głosowymi, trudno było zrozumieć, co mówi. Jego głos był jak brzytwa przecinająca żywe ciało. – Reszta jest ciemnością. Nie ma nikogo, komu można zaufać.

El-Arian zadał mu pytanie, na które nie otrzymał odpowiedzi. Pochylił się i przyłożył dłoń do szyi ofiary. Nie wyczuł pulsu.

Pomodlił się krótko, jeśli nie za niewiernego, to przynajmniej za siebie.

Księga czwarta

Rozdział 28

– Wyglądasz na zaskoczonego – powiedziała Tanirt.

Bourne rzeczywiście był zaskoczony. Spodziewał się kobiety w wieku don Frenanda, może dziesięć lat młodszej. Trudno było powiedzieć na pewno, ale Tanirt nie wyglądała nawet na czterdziestkę. Musiało to być złudzenie, bo jeśli Ottavio rzeczywiście był jej synem, musi mieć co najmniej pięćdziesiątkę.

– Przyleciałem do Maroka, niczego się nie spodziewając.

– Kłamca. – Tanirt miała czarne włosy, ciemną skórę i doskonałą figurę, która z wiekiem nie utraciła nic z obfitego uroku. Nosiła się jak księżniczka lub nawet królowa, a jej wielkie oczy wydawały się dostrzegać wszystko.

Przeszyła Bourne'a przenikliwym spojrzeniem.

– Widzę cię. Nie nazywasz się Adam Stone – powiedziała z niezachwianą pewnością.

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Tylko prawda ma znaczenie.

– Nazywam się Bourne.

– Nie urodziłeś się z tym nazwiskiem, lecz teraz jest twoje.

– Tanirt skinęła głową, akceptując odpowiedź. – Podaj mi rękę, Bourne.

Zadzwoił do niej, gdy tylko wylądował w Marrakeszu. Don Fernando nie kłamał, czekała na jego telefon. Powiedziała mu, gdzie się spotkają: w stoisku ze słodyczami pośrodku targu na południowym krańcu miasta. Targ znalazł bez problemu, zaparkował i ruszył przez labirynt alejek, przy których stały stoiska oferujące dosłownie wszystko, od wyrobów z tłoczonej skóry po paszę dla wielbłądów. Stoisko ze słodyczami prowadził pomarszczony Berber. Mogło się wydawać, że od razu rozpoznał Bourne'a. Z uśmiechem zaprosił go gestem do sklepu pachnącego karmelem i palonymi ziarnami sezamu. Było tu mroczno, na podłodze i ścianach królowały czarne cienie, ale wydawało się, że Tanirt świeci własnym światłem.

Bourne podał jej rękę, a ona przyjęła ją, znów uważnie mu się przyglądając. Miała na sobie prostą szatę przewiazaną w pasie. Niczego nie ukazywała, jednak seksualność tej kobiety widać było w całej pełni.

Trzymała jego dłoń delikatnie, przeciągając palcem wskazującym po jej liniach.

– Jesteś Koziorożcem, urodzonym w ostatnim dniu roku.

– Tak.

Nie mogła wiedzieć, kiedy się urodził, a jednak wiedziała. Bourne poczuł mrowienie w palcach stóp, wędrujące w górę ciała, rozgrzewające, przyciągające go do niej, jakby Tanirt ustanowiła między nimi połączenie energetyczne. Poruszony Bourne miał ochotę odejść. Ale nie odszedł.

– Masz... – Tanirt urwała. Przykryła jego dłoń swoją, jakby próbowała zapanować nad pojawiającą się nagle wizją.

– Co się stało?

Spojrzała na niego. Bourne miał wrażenie, że mógłby utonąć w tych oczach. Nadal nie

puszczała jego ręki, wręcz przeciwnie, ścisnęła ją mocniej. Był w niej magnetyzm, niezwykle podniecający i bardzo niepokojący. Bourne czuł w duszy sprzeczne, walczące ze sobą siły.

– Naprawdę chcesz, żebym ci powiedziała? – Mówiła kontraltem, głębokim, bogatym i dźwięcznym. Nawet cichy, docierał do najdalszych zakątków sklepika.

– Ty zaczęłaś.

Tanirt uśmiechnęła się, lecz w jej uśmiechu nie było wesołości.

– Chodź ze mną – rzuciła.

Przeszli na tył sklepu. Przez wąskie drzwi wyszli na bazar, wprost w labirynt będący sercem targu. Otaczało ich oszałamiające bogactwo dóbr i usług: żywe koguty i nietoperze o aksamitnych skrzydłach zamknięte w klatkach, kakadu na bambusowych grzędach, wielkie ryby w akwariach ze słoną wodą, zwisające z haków poćwiartowane jagnięta, zakrwawione, obdarte ze skóry. Minęli brązową kurę, gdaczącą chrapliwie, jakby ją duszono.

– Widzisz tu wiele rzeczy, wiele stworzeń, ale tylko jeden rodzaj ludzi: Amazighów. Berberów. – Tanirt wskazała na południe, w stronę Atlasu. – Miasteczko Tineghir leży w trzydziestokilometrowej oazie na wysokości ponad tysiąc pięćset metrów. Zajmuje wąski pasek żyznego uedy pomiędzy Atlasem na północy i górami Antyatlasu na południu. Jest jednorodny, zamieszkały przez Amazighów, podobnie jak otaczające je tereny. Rzymianie nazywali nas „Mazice”, Grecy „Libijczykami”, ale niezależnie od nadanej nazwy jesteśmy Berberami zamieszkującymi od zawsze dużą część Afryki Północnej i doliny Nilu. Starożytny pisarz rzymski Apulejusz był Berberem, podobnie święty Augustyn z Hippony, no i oczywiście Septimus Severus, rzymski cesarz. To właśnie Berber, Abd ar-Rahman Pierwszy, podbił południową Hiszpanię i założył umajjadzki kalifat w Kordobie, sercu prowincji nazwanej przez niego Al-Andalus, dziś znanej jako Andaluzja.

– Podniosła głowę i spojrzała Bourne’owi w oczy.

– Opowiedziałam ci o tym, żebyś lepiej mógł zrozumieć, co nadejdzie. To miejsce historii, podboju, wielkich czynów i wielkich ludzi. A także miejsce o wielkiej energii, czyli punkt mocy, jeśli chcesz użyć tego określenia. Środek. – Jeszcze raz potrząsnęła jego dłonią. – Bourne, jesteś enigmą – powiedziała cicho. – Twoja linia życia jest długa, bardzo długa, a jednak...

– Co?

– A jednak umrzesz tu dziś lub może jutro, a z pewnością w ciągu tygodnia.

• • •

Cały Marrakesz wydawał się sukkiem, a wszyscy Marokańczycy handlarzami. Wszystko, czym można handlować, sprzedawano i kupowano w sklepikach i na targach zajmujących wszystkie aleje i bulwary miasta.

Arkadina i Sorayę obserwowano na lotnisku, czego się zresztą spodziewali, ale nikt się do nich nie zbliżył i nie śledzono ich na trasie z lotniska do miasta. Arkadina nie podniosło to bynajmniej na duchu, wręcz przeciwnie, uczyniło jeszcze ostrożniejszym. Jeśli agenci Severus Domna nie pojechali za nimi, to dlatego, że nie musieli. Oznacza to, że w mieście, a zapewne i całym regionie Warzazat, aż się od nich roi.

Soraya potwierdziła tę opinię.

– Twój przyjazd tu nie ma żadnego sensu – powiedziała, gdy siedzieli w taksówce pachnącej gotowaną soczewicą, smażoną cebulą i kadzidłem. – Dlaczego dajesz się złapać w tak oczywistą pułapkę?

– Bo mogę. – Arkadin trzymał na kolanach niewielką torbę. Miał w niej laptop.

– Nie wierzę ci.

– Gównu mnie obchodzi, w co wierzysz, a w co nie.

– Kolejne kłamstwo. Gdyby ci nie zależało, nie byłabym teraz z tobą.

Arkadin spojrział na nią i pokręcił głową.

– Wystarczyłoby mi dziesięć minut, żebyś zaczęła krzyczeć, żebyś zapomniała o wszystkich swoich byłych kochankach.

– Jestem pod wrażeniem, naprawdę.

– Matka Teresa zamiast Mata Hari – prychnął z obrzydzeniem, jakby z powodu skromności Soraya straciła jego szacunek.

– Myślisz, że obchodzi mnie, co taka kupa gówna o mnie sądzi – powiedziała i nie było to pytanie.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, rzucając na pokonywanych przez taksówkę wybojach. Potem Arkadin powiedział spokojnie, jakby kontynuował przerwany wątek:

– Jesteś moją polisą ubezpieczeniową. Coś was łączy, ciebie i Bourne'a. We właściwym czasie mam zamiar to wykorzystać.

• • •

W Marrakeszu przeszli labiryntem uliczek. Marokańczycy nie spuszczała oka z Sorai i oblizywali wargi, jakby próbowali sprawdzić, jak delikatne ma ciało. Otaczały ich jazgotliwe hałasy niczym z dżungli. Szli długo, aż wreszcie dotarli do dusznego sklepiku, w którym czuć było zapach oleju maszynowego. Mały, łysy, przypominający kreta mężczyzna pozdrowił Arkadina z uniżonością przedsiębiorcy pogrzebowego, zacierając ręce i kłaniając się raz za razem. Podłogę z tyłu przykrywał mały perski dywan. Właściciel odsunął go i pociągnął za metalowy pierścień, podnosząc klapę zamykającą zejście do piwnicy. Zapalił małą latarkę i zszedł na dół po metalowych spiralnych schodach. Włączył fluorescencyjne lampy umieszczone w suficie tak niskim, że musieli się garbić. Szli niczym kraby po lśniącej drewnianej podłodze. W odróżnieniu od sklepu na górze, brudnego, zawałonego ciśniętymi niedbale kartonami, pudłami, skrzyniami i beczkami, piwnica była niepokalanie czysta. Pod ścianami, ustawione porządnie w szereg, szumiały cicho przenośne urządzenia pochłaniające wilgoć i oczyszczające powietrze. Wnętrze podzielone było na „korytarze” wyznaczone przez długie, sięgające do pasa szafki. Każda z nich miała trzy szuflady wypełnione bronią krótką każdego rodzaju i typu znanego współczesnemu człowiekowi. Pojedyncze sztuki były pieczołowicie oznakowane i opisane.

– Cóż... ponieważ znasz mój towar, zostawię cię teraz, żebyś mógł sam dokonać wyboru – powiedział kret.

– Cokolwiek wybierzesz, zanieś na górę. Dostarczę ci amunicję i załatwimy rachunki.

Arkadin skinął z roztargnieniem głową. Przechodził od szafki do szafki, wyciągał szuflady, oceniał siłę ognia, łatwość użycia, szybkostrzelność oraz wielkość i rozmiar każdej kolejnej

sztuki broni. Z jednej z szuflad wyciągnął coś, co wydało się Sorai latarką z dużym pojemnikiem na baterie pod spodem. Potrząsnął nią, a pojemnik na baterie otworzył się i zablokował. Był to składany karabin maszynowy.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałam. – Soraya była zafascynowana, choć nie chciała tego po sobie pokazać.

– To prototyp, nie ma go jeszcze na rynku. Magpul FMG, standardowa amunicja do glocka, ale strzela cholernie szybko, szybciej niż jakikolwiek pistolet. – Przesunął palcem po krótkiej lufie. – Ładny, nie?

Sorai też się podobał. Chciałaby mieć coś takiego. Arkadin musiał wyczytać to z jej oczu.

– Masz.

Przyjęła broń, obejrzała okiem eksperta, rozłożyła i złożyła.

– Zmyślna panienska – skomentował Arkadin. Nie spieszył się z odebraniem jej FMG. Sprawiał wrażenie, jakby uważnie ją obserwował, ale tak nie było. Widział coś innego, coś z przeszłości.

• • •

Zabrał Tracy do hotelu w St. Petersburgu, w którym mieszkała. Nie poprosiła, żeby wszedł z nią do pokoju, ale też nie protestowała, kiedy wszedł. Odłożyła torebkę i klucz na stół, przeszła po dywanie prosto do łazienki. Zamknęła drzwi, ale nie usłyszał kliknięcia zamka.

Rzeka lśniła w mroku, czarna, gęsta, tajemnicza niczym starożytny wąż, zawsze ni to śpiący, ni to czuwający. W pokoju było duszno, więc otworzył okno. Powiał wiatr, równie gęsty jak rzeka i niosący jej zapach. Arkadin odwrócił się i spojrzał na łóżko. Wyobraził sobie, że leży na nim Tracy, naga, widoczna w świetle księżyca.

Odwrócił się, słysząc cichy dźwięk, jak westchnienie, jak zachłyśnięcie. Drzwi łazienki uchyliły się lekko. Kolejny podmuch wiatru otworzył je szerzej, a na dywan padł promień żółtego światła. Wszedł w nie i zajrzał do środka. Dostrzegł plecy dziewczyny, a raczej ich fragment, niewielki, gładki, blady. I pośladki, i rozdzielającą je szczelinę... Puls rozkoszy bił w jego jądrach tak mocno, że aż bolało. Było w niej coś, co czyniło go słabym, nienawidził jej i był od niej uzależniony. Pogardzał sobą, ale nie potrafił się powstrzymać. Podeszedł do drzwi i otworzył je jeszcze szerzej. Były stare i obdrapane. Skrzypnęły. Tracy obejrzała się przez ramię. Zobaczył jej nagie ciało w całej wspaniałości. Spojrzała na niego z takim współczuciem i taką nienawiścią, że aż krzyknął jak ranne zwierzę i szybko zamknął łazienkę, a kiedy wyszła, nie mógł na nią spojrzeć. Słyszał, jak przechodzi przez pokój i zamyka okno.

– Gdzie ty się wychowałeś? – spytała.

Nie było to pytanie, raczej policzek. Nie mógł jej odpowiedzieć i za to, choć nie tylko za to, niczego nie pragnął bardziej, niż ją zabić, czuć, jak chrząstki gardła pękają pod naciskiem jego palców i jak gorąca krew spływa po dłoniach. A jednak był z nią związany, tak jak ona była związana z nim. Krążyli wokół siebie po orbitach nienawiści, bez szansy na ucieczkę.

• • •

Jednak Tracy uciekła, pomyślał. Uciekła w śmierć. Tęsknił za nią i nienawidził się za to, że za nią tęskni. Była jedyną kobietą, która nim wzgardziła. Jedyną do tej chwili. Skupił wzrok na

Sorai składającej karabin. Przecucie przeszło go jak dreszcz. Przez moment widział jej czaszkę, wyglądała jak śmierć. A potem świat odzyskał właściwe znaczenie i Arkadin mógł już swobodnie oddychać.

W odróżnieniu od Tracy ta dziewczyna była ciemna, złotobrązowa. Podobnie jak Tracy obnażyła się przed nim, zdjęła pożyczony od niego podkoszulek i zrobiła z niego opaskę uciskową dla Moiry. Miała ciężkie piersi z ciemnymi sterczącymi sutkami. Widział je teraz, opięte materiałem bluzki tak wyraźnie, jakby była półnaga.

– To dlatego, że nie możesz mnie mieć – powiedziała Soraya, jakby czytała w jego myślach.

– Wręcz przeciwnie, mógłbym cię mieć tu i teraz.

– Masz na myśli gwałt?

– Tak.

– Gdybyś miał na to ochotę – dziewczyna odwróciła się do niego plecami – już byś to zrobił.

Arkadin podszedł do niej.

– Nie kuś mnie – ostrzegł.

Soraya odwróciła się błyskawicznie.

– Kierujesz swój gniew przeciwko mężczyznom, nie przeciwko kobietom. – Rosjanin przyglądał jej się przenikliwie, nieporuszony. – Rusza cię zabijanie mężczyzn i uwodzenie kobiet, ale gwałt? Gwałt prędzej przyszedłby do głowy mnie niż tobie.

W pamięci Arkadina pojawił się nagle obraz jego rodzinnego Niżnego Tagiłu. Przez krótki czas był tam członkiem gangu Stasa Kuzina. Łapał dziewczyny na ulicach i zapełniał nimi jego obrzydliwe burdele. Noc w noc słyszał krzyki i płacz gwałconych i bitych nieszczęśnic. W końcu zabił i Kuzina, i połowę członków jego bandy.

– Gwałt jest dobry dla zwierząt – powiedział zdławionym głosem. – A ja nie jestem zwierzęciem.

– Takie jest twoje życie: walka, by być człowiekiem, nie zwierzęciem.

Arkadin odwrócił wzrok.

– Czy to przez Treadstone?

Roześmiał się.

– Treadstone miał z tym najmniej wspólnego. Chodzi o wszystko, co było wcześniej, wszystko, o czym próbuję zapomnieć.

– Dziwne. Z Bourne'em jest odwrotnie. Walczy o to, by pamiętać.

– A więc ma szczęście.

– Wielka szkoda, że jesteście wrogami.

– Bóg nas nimi uczynił. – Arkadin wyjął z jej rąk FMG.

– Ten bóg nazywa się Alex Conklin.

• • •

– Wiesz, jak umrzeć, Bourne? – szepnęła Tanirt. „Urodziłeś się w dniu Boga, ostatnim w miesiącu, będącym zarówno końcem, jak i początkiem. Nie rozumiesz? Twoim przeznaczeniem jest umrzeć i urodzić się na nowo”.

Usłyszał te słowa od Suparwity zaledwie kilka dni temu, na Bali.

– Raz umarłem – powiedział Bourne – i urodziłem się ponownie.

– Ciało, ciało, tylko ciało – mruknęła kobieta i dodała:

– To coś innego.

Powiedziała to z siłą, którą odczuł każdym włóknom ciała. Pochylił się w jej stronę. Obietnica ud i piersi wciągała go w jej orbitę. Pokręcił głową.

– Nie rozumiem.

Ręce kobiety zacisnęły się, przyciągnęły go jeszcze bliżej.

– Jest tylko jeden sposób, żeby ci to wytłumaczyć.

– Odwróciła się i poprowadziła go z powrotem do sklepu ze słodyczami. W jego najdalszym kącie odrzuciła kilka aromatycznych pak, ukrywających drewniane schody, zakurzone i zasypane kryształkami cukru palmowego. Weszli po nich na piętro będące kiedyś, być może do niedawna, czyimś mieszkaniem. Córki właściciela, sądząc po wiszących na ścianach plakatach przedstawiających gwiazdy filmu i rocka. Było tu jaśniej, przez okna wpadały promienie oślepiającego słońca, ale panował nieznośny upał. Wydawało się, że Tanirt to nie przeszkadza. Stała pośrodku pokoju i odwróciła się.

– Powiedz mi, Bourne... w co wierzysz?

Nie odpowiedział.

– W rękę Boga, los, przeznaczenie? W cokolwiek?

– Wierzę w wolną wolę. W to, że człowiek może dokonywać wyborów samodzielnie, niezależnie od organizacji lub losu, czy jak zechcesz to nazwać.

– Innymi słowy, wierzysz w chaos, ponieważ człowiek nie kontroluje niczego we wszechświecie.

– Co oznaczałoby, że jestem bezradny, a nie jestem.

– A więc ani prawo, ani chaos. – Tanirt się uśmiechnęła.

– Kroczysz inną ścieżką prowadzącą między nimi. Swoją własną, którą nie szedł nikt przed tobą.

– Nie jestem pewny, czy ująłbym to w ten sposób.

– Oczywiście, że nie. Nie jesteś filozofem. Jak byś to ujął?

– Dokąd prowadzi ta ścieżka? – spytał Bourne.

– Zawsze żołnierz, niecierpliwy żołnierz. Do śmierci. Do natury twojej śmierci.

– Śmierć jest końcem życia. Co innego można powiedzieć o jej naturze?

Kobieta podeszła do okna i otworzyła je.

– Powiedz mi, proszę, ilu widzisz wrogów.

Bourne stanął obok niej, czując promieniujące od niej ciepło, jakby była silnikiem pracującym dłużej czas na wysokich obrotach. Z wysokości piętra widział wiele krzyżujących się uliczek i bardzo wielu spacerujących nimi ludzi.

– Od trzech do dziewięciu, trudno powiedzieć – odrzekł po kilku minutach. – Który z nich mnie zabije?

– Żaden.

– A więc zginę z ręki Arkadina.

Tanirt przechyliła głowę.

– Ten mężczyzna, Arkadin, będzie heroldem, ale to nie on cię zabije.

Bourne spojrział na nią.

– Jeśli nie on, to kto?

– Bourne, czy ty wiesz, kim jesteś?

Spędził z Tanirt wystarczająco dużo czasu, by wiedzieć, że nie spodziewa się po nim odpowiedzi.

– Coś się z tobą stało. Byłeś jedną osobą, teraz jesteś dwoma.

Położyła mu dłoń na piersi. Na moment jego serce przestało bić, czy raczej przyspieszyło, omijając jedno uderzenie. Westchnął cicho.

– Ci dwaj ludzie do siebie nie pasują. W żadnym szczególe. A więc wojna toczy się w tobie. I ta wojna doprowadzi cię do śmierci.

– Tanirt...

Podniosła rękę, a Bourne poczuł się tak, jakby tonął w bagnie.

– Herold, Arkadin, pojawi się w Tineghirze z osobą, która cię zabije. To ktoś, kogo znasz, być może bardzo dobrze. Kobieta.

– Moira? Czy ma na imię Moira?

Tanirt pokręciła głową.

– Jest Egipcjanką.

Soraya!

– To przecież niemożliwe.

Odpowiedzią na te słowa był tajemniczy uśmiech.

– Oto paradoks. Jeden z was nie wierzy, że to możliwe, ale drugi wie, że tak.

Po raz pierwszy Bourne poczuł się naprawdę bezradny.

– Co mam zrobić?

Tanirt wzięła go za rękę.

– Twoja reakcja... to, co zrobisz... zdecyduje, czy umrzesz, czy też będziesz żył.

Rozdział 29

– Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin – powiedział M. Errol Danziger do słuchawki, gdy tylko udało mu się złapać telefonicznie Buda Hallidaya.

– Urodziny to ja miałem kilka miesięcy temu – odrzekł sekretarz obrony. – Czego chcesz?

– Czekałem na dole, w samochodzie.

– Jestem zajęty.

– Nie aż tak, żeby sobie tego nie odpuścić.

W głosie Danziguera było coś, co powstrzymało Hallidaya od posłania go do diabła. Zamiast tego zadzwonił do asystenta i poinformował go, że przez następną godzinę będzie nieuchwytny. Wziął płaszcz i zbiegł po schodach. Gdy szedł przez teren Białego Domu, strażnicy i agenci Secret Service kłaniali mu się z szacunkiem. Uśmiechał się do tych, których znał z imienia.

– Lepiej dla ciebie, żeby to było coś naprawdę interesującego – powiedział, wślizgując się na tylne siedzenie samochodu Danziguera.

– Zaufaj mi. Jest lepiej niż dobrze.

Dwadzieścia minut później samochód zatrzymał się na Massachusetts Avenue, pod numerem 1910. Danziger, siedzący od strony chodnika, wysiadł i uprzejmie otworzył szefowi drzwiczki.

– Dwadzieścia siedem? – spytał Halliday, gdy wchodzili po schodach prowadzących do wejścia do jednego ze współczesnych ceglanych budynków kompleksu General Health Campus. – Kto umarł? – W tym gmachu mieściły się biura głównego patologa dystryktu Columbia.

– Twój przyjaciel. – Danziger się roześmiał.

Przeszli przez dwa stanowiska ochrony, po czym zjechali wielką stalową klatką windy do piwnicy. Śmierdziało w niej środkami dezynfekującymi i czymś mdlącym, słodkim, czego Halliday nawet nie próbował identyfikować.

Oczekiwano ich. Zastępca koronera, szczupły mężczyzna w okularach na wydatnym nosie, roztaczający aurę sztywnej powagi, skinął im głową na powitanie, po czym poprowadził ich do kostnicy. Zatrzymał się w trzech czwartych rzędu wpuszczonych w ścianę stalowych drzwi, otworzył jedno z nich i wysunął zwłoki na noszach. Na sygnał dany przez Danziguera uniósł folię zasłaniającą twarz nieboszczyka.

– Święta Mario Matko Boża – stęknął Halliday – czy to Frederick Willard?

– Nikt inny. – Danziger najwyraźniej miał ochotę zatańczyć z radości.

Halliday zbliżył się do ciała i przyłożył lusterko do ust trupa.

– Nie oddycha – stwierdził, odwrócił się do asystenta i spytał: – Co się stało?

– Trudno powiedzieć. Jest wiele możliwości, a mieliśmy mało czasu...

– A z grubsza?

– Był torturowany.

Halliday nie zdołał powstrzymać śmiechu.

– Cholerna ironia – powiedział do Danzigersa.

– Dokładnie to samo sobie pomyślałem.

W tej samej chwili odezwał się palmtop sekretarza. Wyjął go i spojrział na wyświetlacz. Wzywano go do Białego Domu.

• • •

Prezydent czekał na nich nie w Gabinetcie Ovalnym, lecz w Sali Dowodzenia trzy poziomy pod Zachodnim Skrzydłem. W ściany wmontowane były wielkie monitory komputerów, środek zajmował owalny stół z pełnym wyposażeniem dwunastu wirtualnych biur. Gdy pojawił się Bud Halliday, prezydent rozmawiał z Hendricksem, doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego, oraz Breyem i Findlayem, szefami odpowiednio FBI i Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Z ich poważnych twarzy łatwo było wyczytać, że szykują się kłopoty.

– Cieszę się, że do nas dotarłeś, Bud – przywitał Hallidaya prezydent i wskazał mu miejsce po przeciwnej stronie stołu.

– Coś się stało?

– Owszem – potwierdził Findlay – i chcielibyśmy dowiedzieć się od ciebie, co robić.

– Terrorysty zaatakowali jedną z naszych zagranicznych baz?

– Nie, problem ma charakter bardziej domowy.

– Hendricks zrozumiał, co powinien zrobić. Odwrócił leżące przed nim dossier i podsunął je Hallidayowi. Rozłożył ręce.

– Proszę bardzo.

Sekretarz obrony otworzył teczkę. Jego wzrok padł na zdjęcie Jalala Essaia, lecz był opanowany i zadowolony zauważył, że jego zaciśnięte na teczce dłonie nie drżą. Upewniwszy się, że nad sobą panuje, podniósł wzrok.

– Dlaczego interesujemy się tym człowiekiem?

– Jesteśmy w posiadaniu informacji łączących go z zamordowanym po torturach Frederickiem Willardem.

– Dowody?

– Na razie brak nam dowodów – przyznał Findlay.

– Ale mamy wszelkie powody przypuszczać, że wkrótce je otrzymamy – zaznaczył Hendricks.

– I co? Wciśnięcie mi jakiś kit? – spytał Halliday z ironią.

– Panie sekretarzu, niepokoi nas to, że ten Essai latał do tej pory poniżej zasięgu naszego radaru, choć bezpośrednio zagraża bezpieczeństwu narodowemu – powiedział Findlay.

Bud poklepał dossier.

– Są tu informacje dotyczące tego człowieka zbierane od wielu lat. Jak mogliśmy...

– Właśnie na to pytanie musimy sobie odpowiedzieć – stwierdził prezydent.

Halliday przechylił głowę.

– Jeśli wolno wiedzieć... skąd informacje te pochodzą?

– Najwyraźniej nie z twojego podwórka – zakpił Brey.

– Z waszego też nie – odgryzł się sekretarz. Przyjrzał się wszystkim po kolei.

– To nie było zwykłe przeoczenie – stwierdził Findlay.

– A przynajmniej nie z naszej strony.

W sali zapanowała dziwna, pełna napięcia cisza. Przerwał ją prezydent.

– Bud, sądziliśmy, że okażesz się bardziej... otwarty.

– Cholera, przecież nie ja – zaprotestował Brey.

– Zwłaszcza w obliczu dowodów – dodał Hendricks.

– Dowodów na co? Niczego nie muszę wyjaśniać, nie mam za co przepraszać.

– Jesteście mi winni po słowie od głowy. – Brey uśmiechnął się z triumfem. Halliday obrzucił go spojrzeniem pełnym nienawiści.

Hendricks podniósł słuchawkę telefonu, powiedział kilka słów i odłożył ją na widełki.

– Na litość boską, Bud – westchnął prezydent – cholernie nam utrudniasz.

– Co to jest? – oburzył się Halliday. – Inkwizycja?

– Cóż, sam jesteś sobie winien. – W głosie prezydenta brzmiał smutek. – Ostatnia szansa.

Halliday stał nieruchomy jak pomnik weterana, mocno zaciskał zęby. Był wściekły.

Otworzyły się drzwi i do Sali Dowodzenia weszły bliźniaczki, Michelle i Mandy. Oczy miały roześmiane. Śmiały się z Hallidaya.

Jezu... Jezu Chryste...

– Proszę usiąść, panie sekretarzu.

W głosie prezydenta brzmiał powstrzymany gniew, ponieważ został zdradzony. Halliday zdrzął. Zrozpaczony zrobił, co mu kazano.

Uczył pierwszy krok na długiej, pełniej poniżej drodze do utraty władzy. Czekają go niełaska i upokorzenie. Słuchając dokonanych przez bliźniaczki nagrań z jego osobistych rozmów z Jalalem Essaiem prowadzonych w tajnym apartamencie, zastanawiał się, czy wystarczy mu odwagi, by zamknąć się w jakimś spokojnym miejscu i strzelić sobie w łeb.

• • •

Osierow przyleciał do Maroka z twarzą owiniętą bandażami. W Marrakeszu znalazł zakład, w którym zrobiono woskowy odcisk, a z niego lateksową maskę, białą jak blask gwiazd, doskonale pasującą na jego zniekształconą twarz. Jej straszny kamienny spokój zaprzeczał szalejącej pod nią rozpacz, ale mógł przynajmniej cieszyć się anonimowością, jaką mu dawała. Kupił ciężką tobe w czarno-brązowe pasy, z kapturem zasłaniającym głowę i czoło.

Po posiłku, który pochłoniął błyskawicznie, nie czując nawet jego smaku, szybko wynajął samochód, sprawdził drogę i ruszył do Tineghiru.

• • •

Idir Syphax powoli przemierzał swój dom położony w centrum Tineghiru. Przemykał się z cienia w cień niczym upiór lub postać ze snu, cichy i lekki jak powietrze. Urodził się i wychował w Warzazacie, prowincji w Atlasie Wysokim. Był przyzwyczajony do zimowych chłódów i do śniegu. Znano go jako człowieka przynoszącego lód na pustynię, co oznaczało, że jest kimś wyjątkowym. Miejscowi Berberowie bali się go tak, jak bali się Tanirt.

Był mężczyzną smukłym, umięśnionym, miał szerokie usta i duże białe zęby. Głowę i kark owijał tradycyjną wśród jego ludu błękitną chustą. Nosił też długą koszulę w niebieską-białą

kratę.

Choć z zewnątrz jego dom wyglądał identycznie jak sąsiednie, od środka widać było, że jest zbudowany jak forteca, a pokoje jak pudła w pudłach, mające chronić jego serce, wieżę obronną. Ściany zbudowano z betonu na stalowym szkielecie, a drzwi zrobione z dwucalowych metalowych blach obitych twardym drewnem mogły wytrzymać nawet ostrzał z broni półautomatycznej. Dom wyposażono też w podwójny system zabezpieczeń elektronicznych. W zewnętrznych pokojach zamontowano czujniki ruchu, w wewnętrznych czujniki podczerwieni.

Rodzina Idira od stuleci utrzymywała bliski kontakt z rodem Etana. Etanowie założyli Monition Club, dzięki któremu członkowie Severus Domna mogli spotykać się w wielu miastach świata, nie zwracając na siebie uwagi i nie używając właściwej nazwy bractwa. Dla zewnętrznego świata Monition Club był tylko organizacją dobroczynną zajmującą się badaniami antropologicznymi i starożytnymi filozofiami. W rzeczywistości był to hermetyczny świat, w którym tajni członkowie grupy mogli poruszać się swobodnie, spotykać, porównywać swoje dokonania i planować działania.

Idir miał sprecyzowane poglądy na kwestie władzy i sukcesji, ale zanim zdołał wykonać pierwszy ruch, próżnię na najwyższych szczeblach władzy, powstałą po zniknięciu brata Jalala Essaia, wypełnił Benjamin El-Arian. Teraz, kiedy Jalal pokazał, kim naprawdę jest, w świecie Severus Domna jego rodzina była już martwa i pogrzebana. Ale odpowiedzialność za tę ucieczkę spoczywała na sprawującym wówczas kontrolę El-Arianie. Idir już kilkakrotnie rozmawiał z Marlonem Etaną, szefem bractwa na Europę. Razem, przekonywał, są silniejsi od Benjamina. Etana nie był tego taki pewny, ale lata spędzone na Zachodzie uczyniły go ostrożnym, wręcz płochliwym, przynajmniej w opinii El-Ariana, a nie były to najbardziej pożądane cechy przywódcy. On sam miał związane z Severus Domna plany, wielkie plany, większe niż wszystko, co mogliby wymyślić El-Arian czy Marlon. Próbował negocjować, argumentował, aż wreszcie odwołał się do dumy i próżności przywódców. Niczego nie osiągnął. Pozostała mu już tylko przemoc.

Zadowolony z wyników ostatecznej inspekcji zamknął dom i odszedł. Ale niedaleko. Przedstawienie wkrótce się rozpocznie, a on ma zarezerwowane miejsce w pierwszym rzędzie.

• • •

W chwili gdy Arkadin zaczął działać na podstawie podejrzeń, kiedy przeciął ścięgna pod kolanem Moiry, idylla jego pobytu w Sonorze została bezpowrotnie zniszczona. Zrozumiał, że przez cały czas była niczym więcej niż iluzją. Nie dla niego gorące słońce i spokojny tryb życia, ponętne tancerki i smutne ranchery. Prawdziwe życie wygląda inaczej. Gdy to zrozumiał, nie mógł doczekać się wyjazdu z Meksyku. Czuł się zdradzony. Sonora pokazała mu lustro, a w tym lustrze odbijało się jego życie. Musi żyć właśnie tak, choćby najbardziej na świecie pragnął żyć inaczej.

W Maroku znowu był w swoim żywiole, rekin w głębokich, niebezpiecznych wodach. Ale w ciągu tysięcy lat rekiny nauczyły się sztuki przetrwania. Tej sztuki uczył się też Leonid Arkadin.

Uzbrojony i bardziej niebezpieczny niż kiedykolwiek wyjechał z Marrakeszu wraz z Sorayą, kobietą wyjątkowo i kłopotliwie skomplikowaną. Po tym jak Tracy wystrychnęła go na dudka, Arkadin dominował nad kobietami w każdym możliwym sensie tego słowa. W wygodną niepamięć poszła jego matka, w dzieciństwie kontrolująca go pod każdym względem, zamykająca w pełnej agresywnych szcurów szafie. Pewnego dnia szczury zjadły mu trzy palce stóp, nim w szale zdołał poodgryzać im łebki. Potem zabił matkę. Pogardzał nią tak bardzo, że wyrzucił ją ze świadomości i z pamięci. Pozostały tylko okruchy wspomnień, jak fragmenty ziarnistego, czarno-białego, oglądanego w dzieciństwie filmu.

A jednak to właśnie matka sprawiła, że patrzył na kobiety z pewnej szczególnej perspektywy. Flirtował niezamordowanie, a do tych, które uległy jego męskim wdziękom, czuł pogardę. Przeżuwał je i wypluwał, gdy tylko się nimi znudził. Ale przy tych rzadkich okazjach, gdy napotykał opór – Tracy, Devra, didżejka, którą spotkał w Sewastopolu, a teraz Soraya – reagował inaczej, mniej zdecydowanie. Wątpliwości pojawiały się jak mgła, przestawał sobie ufać, a w rezultacie ponosił klęskę. Nie udało mu się przejrzeć Tracy, nie udało mu się ochronić Devry. Jak będzie z Sorayą? Tego jeszcze nie wiedział, ale nie potrafił przestać myśleć o tym, co mu powiedziała, o jego życiu, które jest walką, by być człowiekiem, nie zwierzęciem. Były czasy, gdy roześmiałyby się w oczy każdemu, kto by coś takiego powiedział, ale wszystko się w nim zmieniło. Miał samoświadomość, że to, co powiedziała, z całą pewnością nie było oskarżeniem, lecz tylko stwierdzeniem faktu.

Myślał o tym, gdy jechali do Tineghiru. W Marrakeszu było chłodno, owszem, ale tu, w zakopanych w śniegu górach Atlasu, zimny wiatr przecinał kaniony jak nóż, zalewając uedy mroźnym powietrzem.

– Docieramy do kresu drogi.

Soraya nie skomentowała tego stwierdzenia, przez całą drogę zachowywała milczenie.

– Nie masz nic do powiedzenia?

Arkadin celowo wypowiedział te słowa z kpina, ale dziewczyna tylko uśmiechnęła się do niego i nadal wyglądała przez okno. Ta nagła zmiana zachowania niepokoiła go, trudno jednak było zdecydować, co z tym zrobić. Nie da się jej uwieść, nie da się jej pobić... Co więc pozostało?

Nagle kątem oka zauważył wysokiego mężczyznę, zbyt wysokiego, by był Berberem, otulonego tobe w czarne i brązowe pasy. Głowę osłaniał mu kaptur, ale w chwili, gdy samochód go mijał, można było dostrzec, że nie jest zniekształcona. A jednak mężczyzna poruszał się jak Osierow, choć... czy to możliwe?

– Sorayo, widziałaś mężczyznę w brązowo-czarnej tobe?

Soraya skinęła głową. Arkadin zatrzymał samochód.

– Wsiądź i podejdź do niego. Zrób, co trzeba, bo chcę wiedzieć, czy jest Rosjaninem, a jeśli tak, to czy nazywa się Osierow. Wiaczesław Germanowicz Osierow.

– I?

– Zostanę w samochodzie. Będę cię obserwował. Jeśli to Osierow, daj mi znać, żebym mógł go zabić.

Dziewczyna uśmiechnęła się tajemniczo.

– Byłam ciekawa, kiedy znów to zobaczę.

– Co?

- Twój gniew.
- Nie wiesz, co Osierow już zrobił... i do czego jest zdolny.
- To bez znaczenia. – Soraya posłusznie wysiadła z samochodu i odchodząc, dodała: – Widziałam, do czego ty jesteś zdolny.

• • •

Soraya przedzierała się przez tłum na ulicy. Zachowując konieczną ostrożność, zbliżała się do wysokiego mężczyzny. Zdawała sobie sprawę, że przede wszystkim musi zachować spokój i przytomność umysłu. Arkadin wymanewrował ją raz, nie zamierzała dopuścić, żeby to się powtórzyło. Podczas jazdy do Tineghiru kilka razy uznała, że ma szansę ucieczki, ale ani razu nie podjęła próby, a to z dwóch powodów. Po pierwsze, nie bardzo wierzyła, by udało jej się zmylić Rosjanina. Po drugie, i ważniejsze, przysięgła sobie kiedyś, że nigdy, przenigdy nie opuści Jasona. Jason ją uratował, więcej niż raz. Niezależnie od tego, jakie to złowrogie historie powtarzano o nim w Centrali Wywiadu, wiedziała, że na Bourne'a może liczyć zawsze i w każdych okolicznościach. A więc musi zrobić coś, by zmienić trajektorię, po której porusza się jego wróg.

Podeszła do mężczyzny i przemówiła do niego po arabsku z wyraźnym egipskim akcentem. Początkowo ją zignorował, być może po prostu nie usłyszał jej w panującym na ulicy hałasie lub sądził, że zwraca się do kogoś innego. Ominęła go więc i zastąpiła mu drogę. Powiedziała jeszcze kilka słów. Nie podniósł głowy i nadal milczał.

– Potrzebuję pomocy. Mówisz po angielsku?

Pokręcił głową. Soraya wzruszyła ramionami, odwróciła się, zrobiła kilka kroków, a potem spojrzała na niego i powiedziała po rosyjsku:

– Poznaję cię, Wiaczesławie Germanowiczu. – Mężczyzna gwałtownie podniósł głowę. – Jesteś przyjacielem Leonida, prawda?

– Znasz Arkadina? – Głos miał cichy, zdławiony, jakby w jego gardle tkwiło coś, czego nie mógł przełknąć. – Gdzie on jest?

– Tam, blisko. – Soraya wskazała samochód. – Siedzi za kierownicą.

Potem wszystko wydarzyło się jednocześnie. Soraya cofnęła się szybko, a Osierow wykonał obrót na ugiętych nogach. Pod tobe ukrył karabinek szturmowy AK-47. Uniósł go płynnym ruchem, wymierzył i strzelił do samochodu. Wrzeszczący, przerażeni ludzie rozbiegli się na wszystkie strony. Ciągłe strzelając, Osierow ruszył ulicą, podchodził coraz bliżej celu, cały trzęsąc się od odrzutu broni.

Przestał strzelać dopiero, gdy znalazł się przy samochodzie. Próbował otworzyć drzwi od strony kierowcy, ale były tak uszkodzone, że się zacięły. Klnąc, odwrócił AK-47 i kolbą wybił resztki szyby. Zajrzał do środka.

Samochód był pusty.

Natychmiast wymierzył broń w Sorayę.

– Gdzie on jest! Gdzie jest Arkadin!

Soraya dostrzegła Arkadina wyslizgującego się spod samochodu. Widziała, jak się prostuje i obejmuje ramieniem szyję wroga. Zacisnął je mocno, wygiął plecy, unosząc go do góry. Osierow próbował trafić go kolbą w żebra, Arkadinowi udawało się jednak unikać ciosów.

Osierow Kręcił głową, żeby nie dopuścić do zacieśnienia uchwytu, przy czym jego maska zaczęła się zsuwać. Arkadin, który to wyczuł, zerwał ją jednym szybkim ruchem, ukazując ukrytą do tej chwili, spuchniętą, obrzydliwe zniekształconą twarz.

Soraya przeszła przez ulicę. Zbliżała się do walczących mężczyzn niespiesznie, lecz zdecydowanym krokiem. Osierow rzucił AK-47 i wyciągnął groźnie wyglądający sztylet. Zorientowała się natychmiast, że Arkadin nie może go widzieć. Że nie wie, iż lada chwila jego ostrze może mu przebić bok.

• • •

Arkadin, pochłonięty bez reszty walką na śmierć i życie ze znieawidzonym wrogiem, poczuł przenikliwy smród ścieków i natychmiast uświadomił sobie, że to właśnie zapach Osierowa, jakby wszystkie jego ofiary zdołały wydobyć się z ziemi i owinęły wokół swojego mordercy jak zakorzenione głęboko pnącza. Ich kat wydawał się gnąć od środka. Arkadin zacisnął chwyt, lecz Osierow nadal walczył, wciąż próbował się uwolnić. Ale teraz, gdy już doszło do walki, żaden z nich nie zamierzał ustąpić, cofnąć się, rozluźnić mięśni. W tym epickim starciu dwóch ludzi stało się jednym. Dwaj mężczyźni walczyli o dominację, pogrążeni w otchłani bezrozumnego gniewu. Ten konflikt zrodziły nie tylko zbrodnie Osierowa, lecz także nieludzka przeszłość Arkadina, przeszłość, którą codziennie próbował usunąć ze swojego umysłu, pogrzebać, jak najgłębiej się da. A jednak przeszłość wstawała z grobu. Jak zombie.

„Takie jest twoje życie”, powiedziała Soraya. „Walka, by być człowiekiem, nie zwierzęciem”.

Postacie z przeszłości robiły wszystko, by go złamać, zredukować do zwierzęcia. Szansa, by być czymś więcej, pojawiła się w postaci Tracy Atherton. Nauczył się od niej dużo, a potem go zdradziła. Życzył jej śmierci i Tracy zginęła. Osierow reprezentował wszystkich i wszystko, co kiedykolwiek obróciło się przeciwko Arkadinowi, a teraz miał go w swojej mocy i powoli, lecz nieuchronnie wyciskał z niego życie.

Nagle jego uwagę zwróciło coś, co dojrzał kątem oka. Ostatnie trzy metry Soraya przebyła biegiem. Uderzyła Osierowa w lewy przegub z taką siłą, że momentalnie sparaliżowało mu ramię. Zobaczył też upadający na ziemię sztylet.

Przez ułamek sekundy patrzył jej w oczy. Nastąpiło między nimi tajemnicze, milczące porozumienie i nagle zostało przerwane. Nigdy nie mieli o nim mówić, ani się do niego odwoływać. Arkadin, z sercem pulsującym gromadzącą się latami wściekłością, zadał kantem dłoni cios w głowę śmiertelnego wroga. Siła ciosu sprawiła, że gwałtownie skręcona w prawo głowa uderzyła skronią w obejmujące szyję ramię. Zatrzeszczały kręgi, Osierow zatańczył jak oszalała marionetka. Wbił paznokcie w przedramię Arkadina, pociekła krew. Ryczał jak byk, chwilowy przypływ sił prawie pozwolił mu wyrwać się z uścisku.

Arkadin znów skręcił mu szyję, tym razem mocniej, przeciwnik stracił siły, był śmiertelnie wyczerpany. Osierow krzyknął strasznym, choć słabym głosem. Chciał powiedzieć coś, co wydawało mu się szalenie ważne, ale z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk, lecz tylko krew i język.

Arkadin nie zwalniał uścisku. Nadal uderzał Osierowa w głowę, jakby przedtem nie skręcił

mu karku, jakby jego szyja nie pękła w kilku miejscach.

– On nie żyje – powiedziała cicho Soraya.

Spojrzał na nią, w jego oczach płonęło szaleństwo. Szarpała go, próbowała oderwać od Osierowa, ale nie dała rady. Miał wrażenie, że końcówki jego nerwów zablokowały się w ostatnim momencie walki, jakby żądza mordy nie opuściła go, nie pozwalała mu uwolnić się od martwego wroga. Myślał: Jeśli go nie puszczę, będę mógł zabić go znowu, i znowu, i znowu...

A jednak huragan emocji powoli się uspokajał. Poczł dotyk Sorai, a po chwili usłyszał także jej głos, powtarzający: „On nie żyje”. Wreszcie rozluźnił uścisk. Ciało upadło i zastygło w groteskowej pozie.

Spojrzał na zniekształconą twarz Osierowa. Nie czuł triumfu, nie czuł rozczarowania. Nie czuł niczego. Był pusty w środku, rosła w nim otchłań, z każdą chwilą głębsza i mroczniejsza.

Wystukał kod na klawiaturze telefonu komórkowego. Podszedł do bagażnika samochodu, otworzył go, wyjął laptop, bezpieczny w specjalnej torbie.

Soraya się rozejrzała. Wokół nich zgromadzili się mężczyźni w strojach Berberów. Obserwowali ich z cienia, a kiedy Osierow upadł, zaczęli się zbliżać.

– To Severus Domna – powiedziała. – Przyszli po nas.

W tym momencie zapuszczaly hamulce i obok nich zatrzymał się samochód. Arkadin otworzył tylne drzwi.

– Wsiadaj – powiedział. Posłuchała.

Arkadin usiadł przy niej i samochód ruszył. W środku siedzieli trzej uzbrojeni mężczyźni. Przemówił do nich szybko płynnym rosyjskim. Soraya przypomniała sobie rozmowę z Puerto Pefiasco.

„Czego teraz ode mnie chcesz?” – spytała wówczas Arkadina. A on odparł: „Tego samego, czego ty chcesz ode mnie. Zniszczenia”.

Usłyszała jeszcze dwa słowa: „spalona ziemia”, i zrozumiała, że przybył do Tineghiru, by wypowiedzieć wojnę.

Rozdział 30

Bourne przybył do Tineghiru uzbrojony w wiedzę, którą podzieliła się z nim Tanirt. Naturalnie natychmiast przyciągnął go tłum zgromadzony wokół podziurawionego kulami samochodu. Martwy człowiek był nie do rozpoznania, lecz rozległe blizny po oparzeniach na twarzy powiedziały mu, że to musi być Osierow.

Nie było policji, zresztą nie było jej nawet w okolicy. Za to roilo się od żołnierzy Severus Domna, zapewne zastępujących ją w miasteczku i okolicy. Nikt nie próbował zająć się zwłokami. Muchy unosiły się nad nimi coraz gęstszą chmurą, smród śmierci niósł się coraz dalej jak roznoszona przez powietrze zaraza.

Bourne minął samochód, wysiadł kilka przecznic dalej i wrócił na miejsce piechotą. Słowa Tanirt zmieniły jego plan, zapewne wcale nie na lepszy. Nie miał jednak wyboru, tę sprawę postawiła jasno.

Podniósł wzrok. Niebo było blade, w tym nieokreślonym kolorze, który miewa często o piątej nad ranem, choć teraz było już późne popołudnie. Zamiast iść do domu, którego adres dostał, kwatery Severus Domna, poszukał kawiarni lub restauracji, a kiedy ją znalazł, wszedł do środka. Usiadł przy stoliku twarzą do wejścia, zamówił talerz kuskusu i berberyjską whisky, czyli miętową herbatę. Czekał, siedząc z nogą założoną na nogę, opróżnił umysł, myślał tylko o Sorai, o niczym więcej. Przed nim pojawiła się mała szklanka, nalano do niej wonną herbatę z wysoka, nie rozlewając jednak ani kropli. Przez okno zajrzał Rosjanin. Nie Arkadin, ale niewątpliwie Rosjanin. Bourne rozpoznał go po rysach twarzy i sposobie patrzenia, ani berberyjskim, ani muzułmańskim. Powiedziało mu to wiele rzeczy, ale żadna z nich nie była pocieszająca.

Podano kuskus. Jadł, lecz bez apetytu. Soraya weszła do kawiarni pierwsza, Arkadin tuż za nią. Bourne oczekiwał, że dziewczyna będzie sprawiała wrażenie znękaney, ale tak nie było, więc przyszło mu do głowy, że być może jej nie docenił. Jeśli tak, to pierwszy w tym dniu dobry znak.

Soraya przeszła przez kawiarnię i usiadła bez słowa. Arkadin zatrzymał się w drzwiach, obserwując wszystko i wszystkich. Bourne zaczął jeść kaszę prawą ręką, zgodnie z miejscowym zwyczajem. Lewą rękę trzymał na kolanach.

– Jak się masz? – rzucił do Sorai.

– Fatalnie.

Uśmiechnął się niemal niewidocznie.

– Ilu ma ludzi?

To pytanie chyba ją zdziwiło.

– Trzech.

Arkadin podszedł do nich, zgarniając po drodze krzesło od sąsiedniego stolika. Usiadł.

– Jak kuskus? – spytał.

– Niezły. – Bourne popchnął talerz w jego kierunku. Arkadin spróbował kaszy, nagarniając ją na czubki palców prawej ręki. Skinął głową, zlizął z nich olej i wytarł je o obrus. Pochylił

się.

– Ścigamy się już bardzo długo.

Bourne przyciągnął talerz do siebie.

– A teraz jesteśmy tutaj.

– Miło i przytulnie. Jak trzy pchły na marokańskim dywanie.

Bourne podniósł widelec.

– Strzelanie do mnie z tego, z czego celujesz pod stołem, nie jest najlepszym pomysłem – ostrzegł.

Przez twarz Arkadina przemknął cień.

– O tym to już nie ty decydujesz, prawda?

– Kwestia punktu widzenia. Mam berettę osiem tysięcy załadowaną amunicją trzysta pięćdziesiąt siedem, półpłaszczową, z otworem otwartym, wymierzoną wprost w twoje jaja.

Rosjanin rozchmurzył się i roześmiał. Brzmiało to tak, jakby nigdy nie nauczył się śmiać.

– Miło i przytulnie jak pchełki, rzeczywiście...

– A poza tym, jeśli zginę, ty nie wyjdiesz stąd żywy.

– Pozwolę sobie się z tobą nie zgodzić.

Bourne zatopił widelec w kaszy.

– Posłuchaj mnie, Leonidzie. Działają tu inne siły. Siły, z którymi nie poradzimy sobie ani ty, ani ja.

– Poradzę sobie ze wszystkim. Poza tym zabrałem ze sobą sojuszników.

– „Nieprzyjaciel mojego nieprzyjaciela jest moim przyjacielem” – Bourne zacytował arabskie przysłowie.

– Sugerujesz coś? – Rosjanin spojrzał na niego zwężonymi oczami.

– Tylko my zaliczyliśmy Treadstone. Uczono nas reagowania w sytuacjach takich jak ta. Ale nie jesteśmy identyczni, już bardziej przypominamy własne lustrzane odbicia.

– Masz dziesięć sekund. Przejdź do pieprzonej rzeczy.

– Razem możemy pobić Severus Domna.

– Oszalałeś – prychnął Rosjanin.

– Tylko pomyśl. Ludzie z Severus Domna doprowadzili do naszego spotkania. Przygotowali nam dom w przekonaniu, że jeśli wejdziemy tam obaj, to jeden zabije drugiego.

– I?

– I potem wszystko pójdzie zgodnie z planem. – Bourne zamilkł na chwilę. – Naszą jedyną szansą jest zrobić coś nieoczekiwanego.

– Nieprzyjaciel mojego nieprzyjaciela jest moim przyjacielem.

Amerykanin pokiwał głową.

– A potem przestaje nim być.

Arkadin położył na stole magpula, którego do tej pory trzymał pod stołem. Bourne odłożył otrzymaną od Tanirt berettę.

– Jesteśmy zespołem. We trójkę – powiedział.

Rosjanin zerknął na Sorayę.

– Masz coś do powiedzenia, mów.

– Rzeczą pierwszą i najważniejszą jest niejaki Idir Syphax.

Przycupnięty pośrodku przecznicy dom ocierał się bokami o sąsiednie. Ciemna noc zapadła szybko jak błyskawica, niczym zarzucony na głowę kaptur. Wznoszące się wokół doliny góry były czarne jak smoła. Mroźny wiatr smagał miasteczko, niosąc kryształki lodu wraz z ziarnkami piasku ulicami i alejkami. Światło gwiazd wydawało się halucynacją.

Idir Syphax skulił się na dachu budynku stojącego za jego domem, po drugiej stronie uliczki. Po bokach miał snajperów Severus Domna, uzbrojonych w karabiny Sako TRG-22, gotowych do akcji. Wypatrywał oczy, jakby oczekiwał wracającej córki, jakby czuł rozpościerający skrzydła strach przed nieznanymi miejscami, jakby to dom był jego córką. I do pewnego stopnia tak było. Zaprojektował go zgodnie ze wskazówkami Tanirt. „Chcę zbudować fortecę”, powiedział, a ona poradziła: „Najlepiej zrobisz, korzystając z planów Wielkiej Świątyni Baala. W historii ludzkości nie było lepszej fortecy”. Obejrzał wykonane przez nią rysunki i musiał się zgodzić, a potem pomagał w budowie. Każda deska, każdy gwóźdź, każdy pręt zbrojeniowy, każdy rodzaj betonu nosił tatuaż jego potu. Ten dom stworzony został nie dla ludzi, lecz dla rzeczy, idei, nawet ideału, w każdym razie czegoś nieuchwytnego. W tym sensie było to miejsce święte, tak święte jak meczet. Było jednocześnie początkiem i końcem, alfą i omegą, kosmosem samym w sobie.

Idir to rozumiał, ale inni członkowie Severus Domna nie. Dla Benjamina El-Ariana dom był po prostu muchołapką, dla Marlona Etany środkiem prowadzącym do celu. W każdym razie mieli go za martwą rzecz, a w najlepszym razie za juczne zwierzę. Nie rozumieli, że to Tanirt wybrała miejsce, używając do tego starożytnej inkantacji, której znajomość posiadała, ku jego zazdrości. Kiedyś spytał, w jakim języku śpiewa. Był to ugarycki. Powiedziała, że tym językiem mówili alchemicy z dworu króla Salomona znajdującego się na terenie dzisiejszej Syrii. Dlatego ustawiła posąg w samym centrum domu, w przestrzeni, z której promieniował świętością. Musiał go przesznuć, bo szaria zabraniała posiadania tego rodzaju posągów. Nie wiedzieli o nim ani Benjamin El-Arian, ani Marlon Etana. Gdyby wiedzieli, kazaliby pogrzebać Idira żywcem jako heretyka. Lecz jeśli Tanirt w ogóle go czegoś nauczyła, to tego, że są starożytne siły, może najlepiej określa je słowo „misteria”, starsze od religii, od każdej religii, nawet judaizmu, i że religie wynaleźli ludzie, by móc jakoś pogodzić się ze strachem przed śmiercią. Misteria, powiedziała mu, nie mają nic wspólnego z ludzką koncepcją Boga. „Czy Baal istnieje? – spytała retorycznie. „Bardzo wątpię. Ale istnieje coś”.

Jeśli nie liczyć szumu wiatru, noc była cicha. Wiedział, że nadchodzą, ale nie wiedział skąd. Każda próba śledzenia ich kończyła się niepowodzeniem. Tłumaczył sobie, że należało się tego spodziewać. Z drugiej strony były też atrakcje. Trzej ludzie Arkadina zostali zneutralizowani ofiarą czterech jego ludzi. Ci Rosjanie byli dobrymi wojownikami. Nie miało to jednak znaczenia, Arkadin nie dostałby się do środka, choćby nie wiadomo jak próbował. Wszystkie domy mają słabe punkty, miejsca, które można sforsować: na przykład kanały, ścieki, wloty linii energetycznej. Ponieważ swojego domu nie zbudował dla ludzi, nie był on skanalizowany. Ponieważ nie miał ogrzewania i klimatyzacji, nie wstawiono lodówek ani kuchenek, nie wymagał zewnętrznego zasilania i wszystkie systemy elektryczne czerpały energię z gigantycznego generatora stojącego w chronionym pokoju. Nie było dosłownie żadnego sposobu, by dostać się do środka, nie włączając przeróżnych alarmów,

uruchamiających z kolei inne środki zabezpieczające.

Syn Idira, Badis, chciał być przy ojcu, ale oczywiście nie można mu było na to pozwolić. Nadal wypytywał o Tanirt, choć miał już jedenaście lat i powinien wiedzieć pewne rzeczy. Pamiętał tylko, że Tanirt kiedyś kochała tatę, a przynajmniej mówiła, że go kocha. Teraz budziła w Idirze potężny, pierwotny strach nawiedzający go nocami niosącymi koszmary.

Wszystko się popsuło, gdy poprosił, by wyszła za niego za męża, a ona odmówiła.

– Czy to dlatego, że nie wierzysz w moją miłość? – spytał.

– Wiem, że mnie kochasz.

– A więc chodzi o mojego syna? Myślisz, że ponieważ kocham go najbardziej na świecie, nie będę potrafił cię uszczęśliwić?

– Nie chodzi o twojego syna.

– Więc o co?

– Jeśli musisz pytać, to nigdy nie zrozumiesz – odrzekła.

I wtedy popełnił fatalny błąd: zareagował, jakby była zwykłą kobietą. Próbował ją zmusić, ale im bardziej jej groził, tym większa i wspanialsza mu się wydawała, aż wypełniła cały salon, zdławiła słowa na jego wargach samą swoją obecnością, aż krztusząc się i dysząc, uciekł z własnego domu.

Trzask powtarzalnych sakos przywołał go do rzeczywistości. Wbił oczy w ciemność. Czy to cień porusza się na dachu domu? Jego snajperzy chyba byli tego zdania. W halucynogennym świetle księżycy pojawiła się jakaś plama i natychmiast znikła. Nadal panowała martwa cisza. I nagle kątem oka znów dostrzegł ruch. Serce zatrzepotało mu w piersi. Miał na ustach komendę: „Ognia!”, kiedy ktoś za jego plecami zawołał go po imieniu.

Odwrócił się i jego wzrok padł na stojącego w lekkim rozkroku Leonida Arkadina trzymającego w rękach dziwną pękatą broń.

– Niespodzianka – zakpił Rosjanin i dwoma strzałami z magpula rozwalił głowy snajperom. Padli jak marionetki.

– Nie przestraszysz mnie – powiedział Idir. Twarz i koszulę miał mokre od krwi i tkanki mózgowej swoich ludzi.

– Nie boję się śmierci.

– Własnej śmierci, może.

Arkadin skinął głową. Z cienia wyszła kobieta, Soraya Moore. Idir aż się zachłysnął. Przed sobą prowadziła Badisa.

– Tatuś! – Chłopiec skoczył do ojca, ale kobieta przytrzymała go za koszulę na karku i przyciągnęła go do siebie. – Tatusiu! Tatusiu!

Na twarzy Berbera odmalowała się rozpacz.

– Zrzuć ciała przez balustradę – rozkazał Arkadin.

Idir spojrział na niego zdumiony.

– Dlaczego?

– Żeby twoi ludzie dowiedzieli się, co się tu stało, i żeby zaczęli bać się konsekwencji swoich działań.

Idir pokręcił głową. Arkadin podszedł do jego syna i włożył mu lufę w usta.

– Nacisnę spust i nie rozpozna go nawet jego matka.

Berber zbladł, a potem spojrział na Arkadina wściekłym, lecz bezsilnym wzrokiem. Pochylił

się, chwycił leżące bliżej ciało, ale, zakrwawione, wyslizgnęło mu się z ręki. Badis gapił się na niego szeroko otwartymi oczami. Drżał.

Idir dociągnął bezwładne ciało do balustrady, dźwignął i przerzucił. Wylądowało z łomotem na bruku. Chłopiec drgnął. Z drugim ciałem poszło łatwiej, ono też upadło, wydając przy tym obrzydliwy, wilgotny odgłos. Tym razem Badis aż podskoczył. Arkadin wykonał ręką krótki gest. Soraya podciągnęła opierającego się chłopca i zmusiła, by wyjrzał przez balustradę. Ojciec zrobił krok w jego kierunku, ale znieruchomiał, gdy Arkadin machnął łufą magpula i pokręcił głową.

– Jak widzisz – powiedział – śmierć pojawia się pod wieloma postaciami. I w końcu wszyscy się boimy.

• • •

I tak noże zostały wreszcie wyjęte z pochew. Bourne usłyszał dwa strzały i zszedł z dachu. Widząc Arkadina popychającego przed sobą Idira Syphaxa, wyszedł im na spotkanie. Dwaj mężczyźni patrzyli na siebie, jakby byli agentami wojujących stron, mającymi dokonać wymiany więźniów na ziemi niczyjej.

– Soraya? – spytał Bourne.

– Jest na dachu z chłopcem – odparł Arkadin.

– Nie skrzywdziłeś go?

Rosjanin zerknął na Idira, a potem spojrzał z obrzydzeniem na Bourne'a.

– Zrobiłbym to, gdybym musiał.

– Nie tak się umawialiśmy.

– Umawialiśmy się, że odwalimy tę robotę.

W pełnej napięcia ciszy Idir przestępował z nogi na nogę, popatrując to na jednego mężczyznę, to na do drugiego.

– Wy dwaj powinniście chyba uzgodnić, o co wam tak naprawdę chodzi – powiedział.

Akradin uderzył go w twarz.

– Zamknij pysk – warknął.

Minęła jeszcze chwila, Bourne wręczył mu laptop w torbie i przejął od niego Idira.

– Poprowadzisz nas do środka. Przez wszystkie bariery, elektroniczne i jakiegokolwiek inne, będziesz przechodził pierwszy. – Pokazał trzymany w ręku telefon komórkowy.

– Jestem w stałym kontakcie z Sorayą. Jeśli coś pójdzie nie tak... – Machnął telefonem.

– Rozumiem – odparł Berber bezdźwięcznym głosem, ale jego oczy płonęły gniewem i nienawiścią.

Podeszli do frontowych drzwi. Idir otworzył je dwoma kluczami. Gdy tylko weszli, wystukał kod na klawiaturze wmontowanej w drzwi po lewej ręce.

Cisza.

Gdzieś szczeknął pies, nienaturalnie głośno. W napiętej do granic wytrzymałości atmosferze światło księżycy wydawało się smagać ściany niczym niesiony wichrem śnieg.

Idir kaszlnął i włączył światła.

– Najpierw wykrywacze ruchu, potem czujniki podczerwieni – powiedział. Włożył rękę do kieszeni, grzebał przez chwilę, po czym pokazał im małego pilota. – Jedne i drugie mogą

wyłączyć, stojąc tutaj.

– Bez generatora nic nie będzie działać – zauważył Bourne. – Zaprowadź nas do generatora.

Idir zrobił krok, lecz Amerykanin powstrzymał go stanowczym: „Nie tędy!”. Na twarzy Berbera pojawił się wyraz panicznego strachu.

– Rozmawiałaś z Tanirt! – Gdy wymawiał imię kobiety, drżał.

– Jeśli znasz drogę, to po chuj nam ten gość? – zirytował się Arkadin.

– Wie, jak wyłączyć generator, żeby ten dom nie zawalił nam się na głowy.

Ta rzeczowa uwaga otrzeźwiła Rosjanina, przynajmniej na chwilę. Idir zawrócił. Poszli prostszą drogą, omijając zewnętrzne pokoje. Trafili na pierwszy detektor ruchu z czarnym wygasłym okiem. Minęli go, Idir oczywiście pierwszy. Otwierał przed nimi kolejne drzwi. Za drzwiami korytarz rozwinął się jak wachlarz, skręcając najpierw w jedną stronę, potem w drugą. Bourne’owi przypomniały się komory Wielkiej Piramidy w Gizie. Berber otworzył przed nimi jeszcze jedno drzwi, znów prowadzące na korytarz, w odróżnieniu od poprzedniego krótki i idealnie prosty. Ściany były gładkie, pozbawione ozdób, pokryte stiukiem w cielistym kolorze. I znów na drodze stanęły im drzwi, tym razem stalowe. Przeszli przez nie bezpiecznie.

Przed sobą, w mroku, niewyraźnie widzieli spiralne schody prowadzące w dół, w ciemność.

– Włącz światła! – polecił Arkadin.

– Tam na dole nie ma elektryczności – wyjaśnił Idir.

– Tylko pochodnie.

Arkadin rzucił się na niego, ale Bourne zastąpił mu drogę.

– Trzymaj go z daleka ode mnie – powiedział wystraszony Berber. – To szaleniec.

Zeszli po schodach wiodących w ciemność. Na dole Idir zapalił trzciniową pochodnię. Wręczył ją Bourne’owi, sięgnął do żeliwnego kosza, w którym znajdowało się ich jeszcze kilka, i wyjął następną.

– Gdzie są systemy alarmowe? – spytał Bourne.

– Tu, na dole, jest za dużo zwierząt – powiedział Idir.

Arkadin przyjrzał się nagiej podłodze z lanego betonu, śmierdzącej kurzem i wyschniętymi odchodami.

– Jakich zwierząt? – spytał.

Idir ruszył przed siebie. W migotliwym blasku ognia dolny poziom wydawał się ogromny. Nie widać było nic oprócz trzaskających w ciemności płomieni. Dym zagęszczał i tak pozbawioną powietrza atmosferę. Nagle wszyscy trzej znaleźli się w przejściu. Po czterdziestu krokach zaczęło zakręcać. Szli w prawo. I tu ściany były zupełnie gładkie. Bourne miał wrażenie, że poruszają się po spirali, koncentrycznymi kręgami o coraz mniejszej średnicy. Domyślał się, że docierają do serca budynku. Niewidzialny ciężar zdawał się przygniatać ich do ziemi, utrudniając oddychanie, jakby zanurzali się w wodach głębokiego podziemnego jeziora.

W końcu dotarli do pokoju o kształcie mniej więcej pentagramu, przynajmniej o tyle, że miał pięć boków. Czulo się tu potężne pulsowanie, jak bicie niewidzialnego serca. Wypełniało salę, wywoływało wibrację gęstego powietrza.

– Jest tu. – Idir wskazał coś, co wyglądało jak masywny cokół wyrastający pośrodku

podłogi. Stała na nim czarna bazaltowa figura starożytnego boga Baala.

Arkadin odwrócił się błyskawicznie.

– A co to za nowe gówno? – warknął. Berber natychmiast się cofnął, szukając ochrony u Bourne’a.

– Rzeźba stoi na generatorze – wyjaśnił.

Rosjanin skrzywił się drwiąco.

– Znowu ten kretyński bełkot...

– Jest w niej ukryta brakująca część instrukcji.

– To już brzmi znacznie lepiej. – Arkadin podszedł do posągu, a Idir przysunął się do Jasona.

– Nienawidzicie się, to jasne – szepnął. – Poruszy posąg i aktywuje się wtedy zabezpieczony pakiet C-Cztery z zapalnikiem z trzuminutowym opóźnieniem. Nawet ja nie mogę go dezaktywować, ale mogę wyprowadzić cię stąd bezpiecznie, czasu jest dość. Zabij to zwierzę, a nie skrzywdzi już mojego synka.

Arkadin właśnie wyciągał rękę. Bourne wyczuł, że Berber wstrzymuje oddech i jest gotów do ucieczki. Rejestrował tę chwilę jasnym umysłem, oto nadszedł moment w czasie jakimś cudem przewidziany i przez Tanirt, i wcześniej przez Suparwitę. Oto może nasycić się zemstą za śmierć Tracy. Dwie zmagające się w nim osobowości w końcu rozerwą go na strzępy od środka. I umrze. Czy im wierzył? Czy w jego życiu nie było takich wyraźnie wyodrębnionych momentów? Czy wszystko zawiera się w tym, co nieznanne? W tym, czego nie pamięta? Może odwrócić się od niebezpieczeństwa, ale może także walczyć i zwyciężyć. Wybór, którego teraz dokona, pozostanie w nim i zmieni go na zawsze. Zdradzi Arkadina czy Idira?

Nagle uświadomił sobie, że przecież nie ma wyboru i że ścieżka przed nim oświetlona jest jasno niczym blaskiem księżyca w pełni.

Prośba Idira była sprytnym manewrem, lecz pozbawionym znaczenia.

– Stój, Leonidzie! – krzyknął. – Poruszenie posągu wywoła wybuch.

Arkadin zamarł z wyciągniętą ręką i palcami prawie dotykającymi posągu Baala. Powoli odwrócił głowę.

– To o tym poinformował cię ten sukinsyn za moimi plecami?

– Dlaczego to zrobiłeś? – Berber niemal wykrzyczał te słowa głosem pełnym rozpacz.

– Ponieważ nie powiedziałeś mi, jak wyłączyć generator.

Rosjanin spojrzał na niego pytająco.

– Dlaczego to takie ważne?

– Ponieważ generator zasila środki bezpieczeństwa, przez które nie wyszlibyśmy stąd nigdy w życiu – wyjaśnił Bourne.

Arkadin podszedł do Berbera i uderzył go w twarz kolbą magpula. Idir wypluł ząb i pasmo gęstej krwi.

– Mam cię dość – oznajmił Arkadin. – Za chwilę zostaniesz rozszarpany na kawałki, powoli i metodycznie. Powiesz mi wszystko, co wiesz, czy tego chcesz, czy nie. Nie boisz się śmierci, ale mnie zdążyłeś już pokazać, czego się boisz. Gdy tylko stąd wyjdę, zrzucę z dachu twojego Badisa.

– Nie, nie! – Idir podbiegł do generatora. – Tu, tu – mruknął do siebie. Wcisnął kamień u podstawy cokołu tak głęboko, że aż znikł z oczu. Przerzucił wyłącznik i niski warkot umilkł.

– Widzisz? Wyłączony. – Wyprostował się. – Zrobiłem, co kazałeś. Moje życie nic nie znaczy, ale błagam, nie rób krzywdy mojemu synowi.

Uśmiechnięty Arkadin postawił torbę z laptopem na cokole. Otworzył ją, wyjął komputer.

– A teraz – powiedział, włączając go – pierścień.

Idir podkradł się do niego i uderzył palcami w obudowę od góry, nim Rosjanin ciosem zadany grzbietem dłoni w twarz odrzucił go do tyłu z taką siłą, że Berber z trudem utrzymał się na nogach.

Bourne wyjął pierścień.

– To wam nic nie da – powiedział Idir.

– Zamknij się – warknął Rosjanin.

– Niech mówi – powstrzymał go Bourne. – O co ci chodzi, Idirze?

– To nie jest właściwy laptop!

– Kłamie – uznał Rosjanin. – Popatrz... – Wziął pierścień od Bourne'a i umieścił go na miejscu – ...ma właściwe gniazdo.

W śmiechu Idira brzmiała histeria, a może nawet szaleństwo. Arkadin raz za razem wkładał pierścień, ale nie udało mu się wywołać pliku obrazu partycji systemowej dysku.

– Ty głupcze! – Idir nie mógł przestać się śmiać. – Ktoś zrobił z ciebie durnia. To nie jest właściwy laptop!

Arkadin rzucił się na niego z nieartykułowanym krzykiem.

– Leonidzie, nie!

Bourne skoczył na niego za późno, by zapobiec strzałom, lecz z wielką siłą trafił go w prawy bok. Seria poszła w bok, a jednak dwie kule dosięgły Idira w ramię i w pierś. Obie pochodnie wylądowały na podłodze. Płonęły z trzaskiem, wypalone więcej niż do połowy. Bourne i Arkadin walczyli rękami, stopami, kolanami. Arkadin trzymał magpula w prawym ręku. Uderzał nim, a Bourne odbijał ciosy uniesionymi rękami. Pojawiły się na nich siniaki, a potem głębokie rany w miejscach, w które trafiała ciężka lufa. Uderzenie Rosjanina kolanem w żołądek nie przyniosło żadnego widocznego efektu. Amerykaninowi udało się w końcu złapać lufę, ale rozcięła mu ona wnętrze dłoni. Arkadin zdołał wymierzyć i w tym momencie zakrwawiona dłoń przeciwnika trafiła go w nos. Głowa Rosjanina odskoczyła w strumieniu krwi, uderzył potylicą w podłogę. Strzelił raz, z ogłuszającym w zamkniętej przestrzeni hukiem. Bourne znów trafił, głowa Arkadina odchyliła się w prawo, a jednocześnie skoczył ku nim poruszający się błyskawicznie szary kształt.

Przerażony hałasem wielki szczur skoczył w panice na twarz Arkadina, który próbował go uderzyć i nie trafił, odtoczył się więc, łapiąc pochodnię. Rzucił nią na oślep. Szczur przeskoczył na leżącego bezwładnie Berbera. Jego ogon się zapalił, szczur zaskrzeczał przeraźliwie, a Idir wrzasnął. Jego ubranie płonęło z gryzącym smrodem. Wstał chwiejnie, próbując zdusić płomień uderzeniem dłoni, ale zatoczył się, stracił równowagę i wpadł na cokół. Uderzył głową w posąg. Baal spadł z osłony generatora i roztrzaskał się na posadzce.

Bourne poderwał się, podbiegł do niego, ale żarłoczne płomienie zdążyły już ogarnąć Berbera i nie sposób było się do niego zbliżyć. Pozostał po nim mdlący smród spalonego mięsa, jaskrawy rozbłysk ognia i złowrogie tykanie odliczające pozostałe im trzy minuty życia.

Arkadin zatoczył ramieniem łuk, wystrzelił, lecz Bourne zdołał uskoczyć za Idira i kule go minęły. Trzcinowe pochodnie szybko się dopalały. Wziął jedną i wybiegł na korytarz. Ukryty przed wzrokiem Rosjanina wyciągnął berettę. Już miał strzelić, kiedy zobaczył Arkadina na klęczkach, grzebiącego wśród odłamków strzaskanego posągu, podnoszącego kartę pamięci SDS i wkładającego ją, wytartą z kurzu, do napędu laptopa.

– Przestań! – krzyknął Bourne. – To nie ten!

Nie doczekawszy odpowiedzi, zawołał Rosjanina po imieniu, tym razem głośniej.

– Mamy niewiele ponad dwie minuty, żeby się stąd wydostać!

– Idir chciał, żebyśmy w to uwierzyli! – odkrzyknął Arkadin. – Dlaczego miałby mówić prawdę?

– Był przerażony! Bał się o syna.

– W krainie ślepców nikt nie ma powodu mówić prawdy.

– Chodź wreszcie. Tylko marnujemy czas.

Tym razem Jason Bourne nie doczekał się odpowiedzi. Wsunął głowę do pięciobocznej sali, a Arkadin natychmiast do niego strzelił. Pochodnia zaiskrzyła z trzaskiem, zaczynała się już dopalać. Bourne popędził korytarzem, drogą, którą przyszli. Ciemność ogarnęła go w połowie drogi. Odrzucił to, co zostało z pochodni. Nie zwalniał, jego ejdetyczna pamięć doprowadziła go bezbłędnie do podstawy schodów.

Ściagał się tylko z zegarem. Oceniał, że ma mniej niż dwie minuty na wydostanie się z domu, nim wybuchnie C-4. Był już na górze, ale i tu panowała ciemność, a drzwi były zamknięte.

Znów zbiegł na dół i u podstawy schodów znalazł kolejną pochodnię. Zapalił ją i pognął na parter. Stracone dwadzieścia sekund. Ma jeszcze półtorej minuty. Jest światło, widzi drzwi. Od tej strony nie było klamki na ich gładkiej powierzchni ani śladu zamka. Ale... przecież musi być jakieś wyjście! Pochylił się i przeciągnął palcem wzdłuż ościeżnicy. Nic. Ukucnął i obmacał nadproże. Wyczuł, jak jego prostokątny fragment ustępuje pod naciskiem. Drzwi się otworzyły. Jeszcze minuta na znalezienie drogi w labiryncie koncentrycznych kręgów. Dotarcie do wejścia.

Bourne biegł skręcającym lekko korytarzem, trzymając pochodnię wysoko nad głową. Elektryczne światło zgasło w momencie wyłączenia generatora. Zatrzymał się na chwilę, wydawało mu się, że za plecami słyszy kroki, ale nie był pewny. Przyspieszył, w tej chwili liczyła się każda sekunda. Przebiegł przez dwoje drzwi i znalazł się w korytarzu, który uznał za ostatni. Trzydzieści sekund. I wreszcie dotarł do frontowych drzwi. Szarpnął klamkę. Nic. Uderzył w nie pięściami. To także nic nie dało. Odwrócił się, klnąc pod nosem. Przed oczami miał gładkie ściany. „W tym domu wszystko jest iluzją”, powiedziała mu Tanirt. „To najważniejsza z rad, które ci daję”.

Dwadzieścia sekund.

Kiedy szedł przy zewnętrznej ścianie, poczuł na policzku podmuch wiatru. Nie ma tu wentylacji, więc skąd wiatr? Przesunął dłońmi po ścianie. To musi być zewnętrzna ściana domu. Uderzył w nią kostkami palców, ocenił wywołany dźwięk, przesunął się kawałek dalej.

Piętnaście sekund.

I nagle dźwięk się zmienił. Był głuchy. Bourne cofnął się i kopnął w ścianę. Stopa przeszła przez nią na wylot. Jeszcze jedno kopnięcie. Dziesięć sekund. I tak nie zdąży. Włożył pochodnię do dziury, płomień wzbił się pod sufit, pożerał farbę i pomalowane nią deski.

Bourne puścił ją, osłonił głowę rękami i skoczył.

Wypadł na ulicę wraz z okruchami szkła, potoczył się, zerwał na równe nogi i biegł, biegł. Za jego plecami zapłonęła noc. Dom wypełnił się jak balon, eksplodował, fala uderzeniowa uniosła go w powietrze, cisnęła na ścianę budynku po przeciwnej stronie ulicy.

Bourne stracił chwilowo słuch. Pozbierał się jakoś, wstał i oparł o mur. Potrząsnął głową. Do jego świadomości dotarł przeraźliwy krzyk. Najpierw rozpoznał głos Sorai, potem dostrzegł ją samą, biegnącą w jego kierunku. Badisa nie było.

– Jasonie, Jasonie! – zatrzymała się przy nim gwałtownie.

– Nic ci nie jest?

Skinął głową, ale Soraya już zdejmowała płaszcz. Oddarła rękaw i obwiązała nim jego krwawiące dłonie.

– Badis.

– Puściłam go, kiedy wybuchł dom. Jego ojciec...

Bourne pokręcił głową.

– A Arkadin? Okrążyłam dom, lecz go nie widziałam.

Bourne wpatrywał się w strzelające w niebo płomienie.

– Nie chciał zostawić notebooka i pierścienia.

Soraya zakończyła bandażowanie rąk Bourne'a. Oboje przyglądali się, jak ogień pożera resztki murów. Ulica była pusta. Z całą pewnością pożar obserwowały setki par oczu, ale nie widzieli nikogo. Nie pojawił się żaden żołnierz Severus Domna. Bourne już wiedział dlaczego.

Przy końcu ulicy stała Tanirt, uśmiechając się niczym Mona Lisa.

Soraya skinęła głową.

– Wygląda na to, że Arkadin dostał wreszcie to, czego pragnął.

Bourne pomyślał, że tak, że to z pewnością prawda.

Rozdział 31

– Czy nie mówiłem ci, że nie chcę nikogo widzieć.

– Peter Marks nie ukrywał złego humoru.

Nie było to pytanie, raczej pretensja, lecz Eliza, pielęgniarka opiekująca się nim, od kiedy zgłosił się do szpitala Walter Reed Army Medical Center, chyba niezbyt się nią przejęła. Marks leżał w łóżku, a ranna, zabandażowana noga dokuczała mu jak diabli. Odmówił przyjmowania środków przeciwbólowych, do czego miał prawo, ale niestety, ku jego ciągłej irytacji, manifestacja stoicyzmu nie wywarła na Elizie większego wrażenia. Szkoda, myślał Peter, bo dziewczyna jest nie tylko ładna, ale i bardzo inteligentna.

– Myślałam, że w tym przypadku chętnie zrobisz wyjątek.

– Nie zrobię. Chyba że dla Shakiry. Albo Keiry Knightley.

– Chociaż jesteś pacjentem wystarczająco uprzywilejowanym, żeby w ogóle się tu znaleźć, nie masz prawa zachowywać się jak rozkapryszony dzieciak.

Marks przechylił głowę.

– Hej, to może podejdziesz i sprawdzisz, jak to wygląda z mojej perspektywy?

Dziewczyna uśmiechnęła się filuternie.

– Tylko jeśli obiecasz, że nie będziesz mnie napastował.

– Miała rzadki dar wyciągania go z najgorszego nastroju i Marks wreszcie się uśmiechnął.

– W porządku, więc kto to jest?

Eliza podeszła, poprawiła mu poduszki i podniosła górną część łóżka.

– Zrób to dla mnie i usiądź – poprosiła.

– Mam cię błagać?

– To byłaby miła odmiana. – Uśmiechnęła się jeszcze weselej. – Tylko uważaj, żeby mnie nie obślinić.

– Tak mało mam tu przyjemności, nie odbieraj mi jeszcze tej – poprosił Peter i nagle okropnie się skrzywił. – Cholera, tyłek mnie boli.

Eliza udała, że przygryza wargę.

– Sam się o to prosisz, ale nie, po prostu nie mogę bardziej cię upokorzyć. – Za to przeczesła mu włosy szczotką.

– Na litość boską, kto to jest? – zirytował się Marks.

– Pieprzony prezydent?

– Nie, ale blisko. – I już od drzwi Eliza dodała:

– Sekretarz obrony.

Dobry Boże, czego może chcieć ode mnie Bud Halliday? Ale do jego pokoju wszedł nie Halliday, lecz Chris Hendricks. Peter wytrzeszczył oczy.

– Gdzie Halliday? – wykrztusił.

– Mnie też miło pana widzieć, panie Marks. – Hendricks potrząsnął ręką pacjenta, przysunął sobie krzesło i usiadł, nie zdejmując płaszcza.

– Przepraszam... dzień dobry... nie wiedziałem, przepraszam. Chyba powinienem panu

pogratulować...

– No, to mi się bardziej podoba – powiedział nowy sekretarz obrony z uśmiechem. – Jeśli wolno spytać: jak pan się czuje?

– Już wkrótce stanę na nogi. Doskonale się mną tu opiekują.

– Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości.

– Hendricks splótł ręce na brzuchu. – Panie Marks, nie mamy dużo czasu, więc pozwolę sobie od razu przejść do rzeczy. Gdy przebywał pan za granicą, Bud Halliday złożył rezygnację. Oliver Liss siedzi za kratkami i szczerze mówiąc, nie widzę możliwości, by wyszedł na wolność w przewidywalnej przyszłości. A pana bezpośredni przełożony, Frederick Willard, nie żyje.

– Nie żyje? O Boże, co się stało?

– Porozmawiamy na ten temat przy innej okazji. W tej chwili ważne jest, że nagłe zamieszanie wytworzyło próżnię na samych szczytach piramidy. W jednym przypadku szczególnie dokuczliwą. – Hendricks odchrząknął. – Jak natura, tajne służby nie znoszą próżni. Śledziłem powolną likwidację Centrali Wywiadu, pańskiego dawnego podwórka. Pozwolę sobie dodać, że z pewną goryczą. Podobało mi się to, co pańska koleżanka zrobiła z Typhonem. W naszych czasach tajna organizacja, której członkowie są muzułmanami, prowadząca działalność wymierzoną przeciwko muzułmańskim ekstremistom to, trzeba przyznać, eleganckie rozwiązanie jednego z naszych największych bieżących problemów. Na nieszczęście Typhon należy do CI. Jeden Bóg wie, jak długo potrwa wydobywanie z dna tego szczególnego statku, a ja nie chcę marnować czasu. – Hendricks pochylił się na krzesło.

– W związku z tym chcę, by poprowadził pan zrewitalizowane Treadstone, które przejmie misję Typhona. Będzie pan odpowiadał bezpośrednio przede mną i przed prezydentem.

Marks ściągnął brwi.

– Jakiś problem? – spytał sekretarz obrony.

– Same problemy, panie sekretarzu. Po pierwsze, skąd, do diabła, w ogóle dowiedział się pan o Typhonie? A po drugie, jeśli zakochał się pan w nim tak, jak pan twierdzi, dlaczego nie skontaktował się pan z jego poprzednią dyrektorką Sorayą Moore?

– A kto powiedział, że się z nią nie skontaktowałem?

– Czyżby odmówiła?

– W tej chwili naprawdę ważne pytanie brzmi: czy jest pan zainteresowany?

– Oczywiście, że jestem zainteresowany, ale muszę wiedzieć, co z Sorayą.

– Panie Marks, chciałbym wierzyć, że będzie pan chciał jak najszybciej opuścić szpital tak, jak chce pan uzyskać ode mnie odpowiedzi na swoje pytania. – Hendricks wstał, podszedł do drzwi i je otworzył. Skinął głową.

Do szpitalnego pokoju weszła Soraya Moore.

– Mam przyjemność przedstawić panu pańską współdyrektorkę – powiedział i widząc, że Soraya szybko podchodzi do łóżka, dodał: – Jestem pewny, że macie do omówienia wiele spraw. organizacyjnych i innych. Nie będę wam przeszkadzał.

Sekretarz obrony wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Peter i Soraya nawet tego nie zauważyli.

– Tylko popatrzcie, kogo wiatr przywiał. – Deron cofnął się, zapraszając Bourne’a do domu. Objęli się i mocno uściskali.

– Człowieku, z tym swoim „to jestem, to mnie nie ma” jesteś gorszy niż błędny ognek.

– O to właśnie chodzi, nie?

Gospodarz spojrział na zabandażowane ręce gościa.

– A to co za cholera?

– Miałem małe starcie z czymś, co chciało mnie pożreć.

Deron się roześmiał.

– No, widać, że z tobą wszystko w porządku. Chodź.

– Poprowadził Bourne’a w głąb swego domu w północno-wschodnim Waszyngtonie. Był to wysoki, szczupły, przystojny mężczyzna o skórze koloru jasnego kakao. Mówił z brytyjskim akcentem, połykając końcówki słów. – Masz ochotę na drinka? Albo jeszcze lepiej, coś do jedzenia?

– Przepraszam, przyjacielu, ale brak mi czasu. Wieczorem wylatuję do Londynu.

– Och, doprawdy? To mam dla ciebie paszport akurat na tę okazję.

Bourne się roześmiał.

– Może następnym razem. Przyszedłem po pakunek.

Deron przyjrzał mu się uważnie.

– Och... długo na ciebie czekał.

– Wreszcie znalazłem dla niego odpowiedni dom – powiedział Jason Bourne z uśmiechem.

– Doskonale. Bezdomni wydają mi się tacy smutni.

– Gospodarz przeprowadził go przez wielki, pełen zakamarków dom do ogromnej pracowni pachnącej farbą olejną i terpentyną. Na drewnianych sztalugach stało płótno.

– Obejrzyj sobie moje nowe dziecko – powiedział i znikł w sąsiednim pokoju.

Bourne obszedł płótno. Było prawie skończone, a w każdym razie wystarczająco zaawansowane, by odebrać mu oddech. Przedstawiało kobietę w bieli, osłaniającą się parasolką przed palącymi promieniami słońca, brodzącą wśród wysokich traw, i małego chłopca, być może jej syna, patrzącego na nią z tęsknotą. Światło zostało uchwycone idealnie. Podszedł i przyjrzał się dokładniej pociągnięciom pędzla, idealnie odtwarzającym sposób malowania Claude’a Moneta, twórcy oryginału *La Promenade* z 1875 roku.

– I jak, spodobało się? – Deron wrócił ze sztywną teczką dyplomatką w ręku.

– Jest wspaniała. O wiele lepszy od oryginału.

Gospodarz się roześmiał.

– Dobry Boże, człowieku, mam nadzieję, że nie. – Oddał gościowi teczkę. – Nikt jej nie ruszał.

– Dzięki, człowieku.

– Hej, to było wyzwanie. Fałszuję obrazy, dla ciebie też paszporty, wizy i inne takie, ale komputer? Żeby nie skłamać, to kompozytowe gniazdo było prawdziwym wyzwaniem. Wcale nie byłem pewny, czy mi się udało.

– Zrobiłeś wspaniałą robotę.

– Kolejny zadowolony klient – stwierdził mężczyzna ze śmiechem.

Ruszyli powoli do drzwi.

– Co tam u Kiki?

– Bez zmian. Poleciała do Afryki na sześć tygodni. Poprawiać warunki życia mieszkańców. Bez niej czuję się trochę samotny.

– Powinniście wziąć ślub.

– Jeśli się zdecydujemy, dowiesz się o tym pierwszy.

– Stali już przy drzwiach. Deron potrząsnął dłonią Bourne'a.

– Zamierzasz odwiedzić Oksford?

– Zdziwisz się, ale tak.

– Nie zapomnij pozdrowić ode mnie Wspaniałej Starej Damy.

– Nie zapomnę. – Bourne otworzył drzwi. – Dzięki za wszystko.

Deron tylko machnął ręką.

– Z Bogiem, Jasonie.

• • •

Podczas nocnego lotu do Londynu Bourne'owi śniło się, że znów jest na Bali, na szczycie Pura Lempuyang, że patrzy przez bramę na górę Agung. We śnie widział Holly Marie przesuającą się powoli z prawej strony na lewą. Gdy znalazła się dokładnie przed świętą górą, pobiegł i złapał ją zaraz po tym, jak została popchnięta, ocalił przed upadkiem na kamienie i śmiercią. Trzymał ją w ramionach, spojrzał na jej twarz...

i była to twarz Tracy.

Zadrżała. Dopiero wtedy zauważył, że przebija ją ostry odłamek szkła. Zalała się krwią, krew popłynęła po jego dłoniach i ramionach.

– Co się stało, Jasonie? To nie jest mój czas na śmierć.

Głos, który odbił się echem w jego śnie, był głosem Scarlett.

• • •

Londyn powitał go nietypowym porankiem: jasnym, rześkim, słonecznym. Chrissie nalegała, że odbierze go z Heathrow.

Czekała na niego tuż za stanowiskami ochrony. Bourne pocałował ją w policzek. Uśmiechnęła się.

– Bagaż? – spytała.

– Tylko to, co mam przy sobie.

Wzięła go pod ramię.

– Miło znów cię zobaczyć. Scarlett była taka podniecona, kiedy dowiedziała się, że przylatujesz. Zjemy lunch w Oksfordzie, a potem pojedziemy odebrać ją ze szkoły.

Przeszli na parking i wsiedli do jej poobijanego range rovera.

– Dobre stare czasy! – roześmiała się Chrissie.

– Jak Scarlett przyjęła wiadomość o śmierci cioci?

Range rover ruszył, a Chrissie westchnęła.

– Mniej więcej tak, jak można się było spodziewać. Tonęła we łzach... przez dobę. Nie pozwalała do siebie podejść.

– Dzieci są odporne.

– Przynajmniej mamy za co dziękować Bogu.

Wydostali się z terenów lotniska i wyjechali na autostradę.

– A Tracy? – spytał Bourne.

– Pochowaliśmy ją na bardzo starym cmentarzu tuż pod Oksfordem.

– Mogłabyś zawieźć mnie tam od razu? Nie sprawię ci kłopotu?

Chrissie obrzuciła go szybkim spojrzeniem.

– Skądże znowu.

Do Oksfordu dojechali szybko, w milczeniu, zatopieni w myślach. Zatrzymali się przy kwiaciarni, potem pojechali na cmentarz. Zaparkowali, wysiedli, po czym Chrissie poprowadziła Bourne'a przejściem wzdłuż rzędów nagrobków, niektórych rzeczywiście bardzo starych, pod stary rozłożysty dąb. Ze wschodu wiał rześki wiaterek targający Chrissie włosy. Przystanąła i Bourne podszedł do grobu sam. Przez chwilę stał nieruchomo, a potem złożył na płycie bukiet białych róż. Bardzo chciał zapamiętać Tracy taką, jaką była w noc przed śmiercią. Pragnął pamiętać tylko wspólne doświadczenie bliskości, ale prawdziwą bliskość czuli dopiero w chwili jej śmierci. Bourne nie sądził, by zdarzyło mu się kiedyś mieć wrażenie, że na dłoniach i ramionach ma jej krew, że łączy ich jedwabna szkarłatna wstęga. Pamiętał, jak patrzyła mu w oczy. Tak bardzo pragnął zatrzymać opuszczającą ją wraz z krwią życie. Usłyszał jej głos, szepczący mu do ucha. Widział świat jak przez mgłę, w oczach miał łzy, ale nie potrafił płakać. Żałował, że nie czuje jej oddechu.

Poczuł za to, że Chrissie go obejmuje.

• • •

Scarlett odłączyła się od grupy przyjaciółek i rzuciła się w ramiona Bourne'a. Zakreślił nią w powietrzu.

– Byłam na pogrzebie cioci Tracy – oznajmiła dziewczynka z dziecięcą powagą. – Żałuję, że nie znałam jej lepiej.

Przytulił ją mocno. Wsiedli we trójkę do range rovera i na prośbę Bourne'a pojechali do gabinetu Chrissie w All Souls College, dużego kwadratowego pokoju, którego okna wychodziły na teren starego uniwersytetu. Pachniało w nim książkami i kadzidłem.

Bourne oraz Scarlett usiedli na kanapie. Tu Chrissie zwykła oceniać prace studentów. Teraz zaparzyła herbatę.

– Co masz w tej teczce? – zainteresowała się Scarlett.

– Zobaczysz.

Chrissie podeszła do nich z lakierowaną tacą w japońskim stylu, na której stał serwis. Bourne odczekał cierpliwie, aż naleje im aromatyczny napój, a Scarlett wierciła się, póki nie dostała słodkiego ciasteczka.

– A teraz... – Chrissie zajęła wreszcie miejsce przy stole – ...powiedz mi, o co właściwie chodzi.

Bourne położył teczkę na kolanach.

– Mam dla ciebie prezent urodzinowy – oznajmił.

Chrissie ściągnęła brwi.

– Urodziny mam dopiero za pięć miesięcy.

– Więc będzie to przedwczesny prezent. – Otworzył teczkę, wyjął z niej laptop i postawił

go na stole, obok filiżanek. – Usiądź przy mnie.

Chrissie przesiadła się na kanapę. Bourne włączył komputer. Podczas lotu naładował jego baterię. Scarlett przesunęła się na brzeg kanapy, by być bliżej ekranu.

Na ekranie pojawił się obraz, proces bootowania dobiegł końca.

– Scarlett, masz pierścień, który ci dałem?

– Zawsze mam go przy sobie. Mam oddać?

Bourne się roześmiał.

– Nie odbieram prezentów. Chcę go tylko pożyczyć.

Włożył pierścień w gniazdo dopasowane specjalnie do niego. To był laptop, który na rozkaz Conklina ukraść Jalalowi Essaiowi, wujowi Holly. Nie dostarczył mu go, bo odkrył, co zawiera, i uznał, że to zbyt ważne, by wpadło w łapy Treadstone czy w ogóle jakichkolwiek tajnych służb. Poprosił Derona o zrobienie fałszywego komputera. Towarzysząc Holly w jednej z podróży w celu zaopatrzenia „narkorancza”, poznał Gustava Morena. Pozwolił, by podrobiony komputer wpadł w jego ręce, bo wiadomość o tym, że ma go baron narkotykowy, musiała w końcu się rozejść, odwracając podejrzenia Conklina od jego osoby.

Podobnie wymienił pierścień Salomona na ten, który Marks zabrał jednemu z napastników w Londynie. To, że Scarlett znalazła pierścień Petera po tym, gdy został on postrzelony, dało Bourne’owi doskonałą okazję do dokonania podmiany. Miał rację, zakładając, że oryginalny pierścień będzie znacznie bezpieczniejszy w jej rękach niż jego.

Pasował idealnie. Wygrawerowana po jego wewnętrznej stronie tajemnicza inskrypcja odblokowała ukryty plik PDF będący doskonałą repliką starego hebrajskiego tekstu.

Chrissie pochyliła się nad stołem.

– Co to jest? Wygląda jak... jak instrukcja.

– Pamiętasz naszą rozmowę z profesorem Gilesem? – spytał Bourne.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Zabawne, że o nim wspomniałeś. Oddział MI6 wyprowadził go wczoraj z uniwersytetu.

– Obawiam się, że miałem z tym coś wspólnego – przyznał Bourne. – Szanowny pan profesor był członkiem grupy, która narobiła nam kłopotów.

– Chcesz powiedzieć... – wzrok Chrissie znów spoczął na starym tekście. – Dobry Boże, Jasonie, czy chcesz mi powiedzieć...

– Według tego, co widzisz, złoto króla Salomona ukryte jest gdzieś na terenie dzisiejszej Syrii.

Chrissie była coraz bardziej podniecona.

– W Ugaricie, gdzieś na górze Casius lub w jej pobliżu, gdzie miał przebywać Baal. – Skończyła lekturę i ściągnęła brwi. – Ale gdzie dokładnie? Ten tekst jest niekompletny.

– To prawda. – Bourne pamiętał kartę SD, którą Arkadin znalazł w roztrzaskanym posągu Baala. – Ostatni fragment jest niedokończony. Bardzo mi przykro.

– Nie masz za co przeproszać. – Chrissie objęła go i mocno przytuliła. – Mój Boże, co za fantastyczny prezent!

– Jeśli to prawda. Jeśli znajdziesz złoto Salomona.

– Nie o to chodzi. To, co tu mamy, samo w sobie jest bezcenne. To nieocenione bogactwo materiału badawczego. Pozwoli odróżnić prawdę od fikcji. Możemy się teraz dowiedzieć, jak wyglądał dwór Salomona... Nie wiem, jak ci dziękować.

Bourne uśmiechnął się lekko.

– Przekaż komputer uniwersytetowi jako dar w imieniu twojej siostry.

– Co... a oczywiście, co za cudowny pomysł! Będzie mi jeszcze bliższa... stanie się częścią Oksfordu.

Bourne westchnął. Pamięć o Tracy, jej obecność, stała się czymś oczywistym i pocieszającym. Potrafił myśleć o niej, ojej wszystkich wcieleniach, nie czując przejmującego smutku. Objął Scarlett.

– Wiesz, ten prezent jest nasz wspólny, mój i twojej cioci. Dziewczynka spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

– Naprawdę?

Amerykanin skinął głową.

– Opowiem ci o tym, dobrze? I o tym, jaka była dzielna.

1 USW (ang.) – ultrasonic weapon.
